

PRZEGŁĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO” Ps. 143.

ROK LV

Tom 217

STYCZEŃ — LUTY — MARZEC

1 9 3 8

WARSZAWA
DRUKARNIA „WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW”

~~~~~  
S P I S R Z E C Z Y  
N A K O Ń C U T O M U  
~~~~~

Demokratyczne drzwi...

W powodzi codziennych plotek politycznych, w gąszczu przeróżnych „rozgrywek“, „dekompozycji“, „konsolidacji“, tworzenia obozów, partij i grup politycznych... opinia publiczna zdaje się tracić z widoku rzeczy naprawdę zasadnicze i decydujące o przyszłości narodu i państwa. Niezdrowa sensacja polityczna, którą karmią nas prawie wszystkie dzienniki i tygodniki, zasłania podstawowe zagadnienia naszego życia. Trzeba więc wielkiego wysiłku publicystów dobrej woli, którzy przecież najwięcej mogą się przyczynić do urabiania opinii publicznej, by przełamać tę epidemię małostkowego plotkarstwa i gubienia się w drobnostkach personalno-rozgrywkowych a skierować uwagę czytającej i słuchającej publiczności na zagadnienia wielkie i decydujące.

Jednym z takich zagadnień zajmiemy się w niniejszym artykule.

Znowu odżyła u nas sprawa ustrojowa państwa. Coraz powszechniejszym staje się przekonanie, że mimo dotychczasowych wysiłków i osiągnięć zagadnienie podstaw ideologiczno-politycznych naszego ustroju państwowego nie zostało dotąd trwale rozwiązane. Sypią się znowu, niby z rogu obfitości, tak jak parę lat temu, projekty nowych reform ustrojowych, bo wbrew pozorom projekty te nie obejmują tylko reformy ordynacji wyborczej do Ciał Ustawodawczych. Zresztą mimo najlepszej nawet chęci nie mogą się zatrzymać przy sprawie w znacznej mierze technicznej, jaką jest ordynacja wyborcza sama w sobie. Sięgają, bo muszą

sięgać, do zagadnień politycznych, społecznych i światopoglądowych. Rzecz znamienna, iż najwięcej inwencji projektowniczej ujawniają ostatnio zwolennicy powrotu Polski do systemu pełnej demokracji parlamentarnej i politycznego liberalizmu.

Przy rozważaniach na ten temat musimy uwzględnić oczywisty fakt, że za takim powrotem wypowiada się w Polsce coraz bardziej jednoczący się obóz ludzi, sięgający na prawo aż do grupy „staro-endeków” (inaczej też zwanej „grupą profesorską”) poprzez Stronnictwo Pracy, Stronnictwo Ludowe, lewicowe skrzydło piłsudczyków, P.P.S. aż do komunistów włącznie. Popierają ten kurs prawie wszystkie organizacje polityczne mniejszości narodowych, a w całości i bez zastrzeżeń całe żydostwo.

Blok czy obóz taki reprezentuje w Polsce niewątpliwie wielką siłę, a o ile chodzi o aktywność polityczną i wewnętrzne zgranie, oraz zgodność aktualnych postulatów polityczno-ustrojowych, reprezentuje w tej chwili bodaj czy nie największą zorganizowaną siłę polityczną w kraju.

Nie będziemy wdawać się w domysły czy i jaka ukryta sprężyna tu działa, która ten obóz montuje i pcha go w kierunku odrodzenia — zdawałoby się ostatecznie w Polsce już przewyciężonego — liberalno-demokratycznego a nawet sejmowładczego ustroju. Chcemy pozostać tylko w sferze faktów i dającej się skontrolować rzeczywistości.

Obchodzi nas tu w pierwszym rzędzie sprawa powrotu do demokracji parlamentarnej z punktu widzenia obrony Polski przed przewrotem komunistycznym, co w gruncie rzeczy pokrywa się z obroną przed utratą niepodległego bytu państwowego, owszem przed zagładą narodu.

Nieprzebaczalnym i nie dającym się powetować było by błędem, gdyby politycy biorący się do rozwiązania obecnego kryzysu politycznego (mówimy o kryzysie, który nie wykazuje jeszcze znamionnych swych cech na zewnątrz, ale który istnieje już w umysłach ludzi politycznie myślących) nie uwzględniliby w dostatecznym stopniu tego kapitału dla Polski zagadnienia.

W artykułach umieszczonych zeszłego roku na łamach *Przeglądu Powszechnego* staraliśmy się wykazać aktualność

niebezpieczeństwa komunistycznego w Polsce. Głosy wielu publicystów różnych polskich kierunków politycznych, miodrajne opinie naszych władz rządowych i codzienna prawie kronika sądowa z procesów komunistycznych — twierdzą zgodnie, że fala komunistyczna, mimo przeszkód na które napotyka, rośnie ostatnio nawet dość głoźnie. Fakt, że rozwija się ona nie pod własnym wyraźnym sztandarem, ale za pomocą maskowania się pod legalnymi szyldami, nadaje niebezpieczeństwu komunistycznemu tym większe znaczenie. Nie powinny nasz uspokajać pogłoski, a nawet fakty tarć wewnętrznych i częściowych załamania występujących sporadycznie wśród komunistów na tle stalinowskich krwawych rozpraw w Z. S. S. R.

Komunizm zmienia swoje hasło, swoją taktykę, swoje formy organizacyjne, swoich przewodców, ale nie zmienia i nie zamierza zmienić podstawowego swojego celu, którym jest rewolucja światowa. Temu celowi pozostali wierni zarówno Stalin, jak i jego dwa główne narzędzia rewolucyjne: Związek Sowiecki i Komintern.

Otóż komuniści postawili na demokrację. Kanon teraźniejszej strategii komunizmu jest dążenie, by przez demokratyczne drzwi — znaleźć najwygodniejszy i najpewniejszy wstęp dla rewolucji komunistycznej w Polsce. Czy myślą się oni w swych rachubach, tak jak mylili się w swoich poprzednich planach strategicznych, gdy uważali, że najpewniejszą drogą dojścia do władzy w Polsce jest zewnętrzna interwencja zbrojna sowieckiej armii czerwonej, potem zaś samodzielna i bezpośrednia akcja rewolucyjna, względnie obie drogi razem skombinowane? Być może. W każdym razie trzeba sobie uświadomić, iż tak a nie inaczej wygląda w tej chwili strategia i polityka kominternu i jego agentów.

Przypomnijmy sobie pewne fakty historyczne. Stawka na demokrację nie jest przecież nowością w historii komunizmu. Tam gdzie komunizm zwyciężył, to jest w Rosji, zawdzięcza swe zwycięstwo przede wszystkim tak zwanemu etapowi demokratycznemu w rewolucji rosyjskiej. Jasne, że w Rosji była sytuacja szczególna: przegrana wojna, rozprzężenie aparatu państwowego, rozbitcie narodu rosyjskiego,

ostro zwalczające się partie i brak zdrowego, skonsolidowanego, masowego ruchu narodowego, szczególnie zaogniona sprawa chłopska, pomoc sztabu niemieckiego udzielona bolszewikom itd. Ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że najważniejszym czynnikiem, który ułatwił bolszewikom zwycięstwo to była „pełna”, konsekwentna aż do... absurdu demokracja rosyjskich socjalistów („mieńszewików”) i ludowców („eserów”), to był system — kiereńszczyny. Bolszewizm rozwijał się za czasów kiereńszczyny jakby w cieplarnianym i specjalnie dla niego stworzonym klimacie. Na oczach rządu i partij demokratycznych potężniał z każdym dniem, coraz bezczelniej wysuwał rewolucyjne hasła i nawoływał do zdrady stanu. Demokratyczny rząd odpowiadał na to półśrodkami, albo faktycznie wcale nie reagował. Wolności demokratyczne zostały wyzyskane po to, by je później zdeptać i sponiewierać w sposób nie spotykany w żadnym innym ustroju dyktatorskim. Charakterystyczne jest przy tym, że bolszewicy czynili to wszystko w imię najczystszej demokracji parlamentarnej, oni to domagali się najszybszych (w czasie wojny!) wyborów i rychłego zwołania Zgromadzenia Ustawodawczego. To jednak nie przeszkodziło im wcale w historycznym posunięciu, że na drugi dzień po dojściu do władzy rozpędzili całe to Zgromadzenie Ustawodawcze i ogłosili dyktaturę sowiecką.

Podobny jak w Rosji stan rzeczy doprowadził na Węgrzech do krótkotrwałej dyktatury socjalistyczno-komunistycznej w roku 1919. Demokracja parlamentarna liberalnego masona Karoly'ego i socjalistów przygotowała teren do przewrotu komunistycznego i do krwawych rządów satrapów żydowsko komunistycznych Samuela'ego i Beli Kuhna. Jedyne dzięki odporności katolickiego narodu węgierskiego i dzięki temu, że Węgry nie graniczyły z Rosją Sowiecką — epizod marksistowskiej dyktatury został szybko zlikwidowany.

Pouczającym jest również przykład współczesnej Hiszpanii. I tutaj dzięki demokracji, w pojęciu liberalistycznym, komuniści stali się jedną z rządzących partij, acz formalnie jeszcze nie wyłączną partią dyktatorską.

Pod opiekuńczymi skrzydłami weimarskiej demokracji w Niemczech komunizm wyrósł tam do potęgi 6 milionowej

rzeszy zwolenników i gotował się zupełnie otwarcie do zbrojnego przewrotu. Hitleryzm przeciął w porę te przygotowania i uprzedził komunizm przez dokonanie własnej narodowo-socjalistycznej rewolucji.

We współczesnej Francji demokratycznej komunizm rośnie jak na drożdżach i jak to słusznie zauważył p. St. Kozicki w niedawnych swych reportażach z Francji (w *Warsz. Dzienniku Narodowym*) ruch komunistyczny stanowi tam obecnie największe realne niebezpieczeństwo dla ustroju republikańsko-demokratycznego, mimo, że komuniści należą do formacji (Front Ludowy), na której opiera się obecny rząd.

Zresztą nowoczesna historia Polski dostarcza nam zupełnie miarodajnego przykładu. Na przełomie roku 1925/26 fala komunistyczna przybrała u nas największe rozmiary. Dywersje zbrojnych band partyzanckich na wschodnich i południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej, strajki i krawe rozruchy bezrobotnych, silna radykalizacja wsi, powstające, jak grzyby po deszczu, pomocnicze organizacje komunistyczne, licząca 21 członków frakcja poselska komunistów w sejmie — oto rzeczywisty obraz stworzony w ramach panującej naówczas wielopartyjnej demokracji parlamentarnej. Opierając się na historycznym doświadczeniu, komuniści w Polsce powracali wciąż do koncepcji: dojścia do władzy poprzez etap demokratyczny, który daje im największe szanse legalnego czy półlegalnego mobilizowania mas w celu wywołania rewolucji. Tak było w krótkim okresie kryzysowej jesieni 1923 roku, tak też było w przededniu przewrotu majowego 1926 roku.

Warto nieco zatrzymać się przy przewrocie majowym. Komuniści, jak i socjaliści, udzielili swojego poparcia przewrotowi, bo widzieli w tym przewrocie ostrze skierowane przeciwko ruchowi narodowemu, bo ocenili ten przewrót jako zapoczątkowanie ery rozkwitu pełnej demokracji na wzór kiereńszczyzny. Zawiedli się gorzko, bo w porę nie zauważyli drugiego ostrza tego przewrotu, a mianowicie jego ostrza antyrewolucyjnego i przeciwkomunistycznego. Komuniści natychmiast po przewrocie, a socjaliści nieco później, podnieśli krzyk, że przewrót był faszystowski i że cały sy-

stem Piłsudskiego jest faszystowski. Dziś doskonale wiedzą, że ta marksistowska ocena była fałszywa, ze względów jednak taktycznych trudno im przyznać się do błędnej oceny.

Ustrojowa koncepcja Piłsudskiego, jak i obecna koncepcja marsz. Śmigłego-Rydza jest typową koncepcją centrową — „ani faszyzm, ani komunizm” — z domieszką prymatu (żeby nie powiedzieć: dyktatury) oficerskiego korpusu.

Po doznanym zawodzie z piłsudczykowską demokracją, komuniści zrezygnowali na dłuższy okres czasu ze stawki demokratycznej i górę u nich wzięła taktyka samodzielnego mobilizowania mas do rewolucji proletariackiej. Wyniki zawiodły a taktyczny zwrot Kominternu dokonany na VII kongresie r. 1935 zbiegł się z zupełnym bankructwem „samodzielnej” i „lewicowej” taktyki Komunistycznej Partii Polski.

K. P. P. wraca więc znowu do leninowskiej strategii etapu demokratycznego, z początku jedynie ze względów dyscypliny kominternowskiej, bez wiary w słuszność tego zwrotu, napotykając na znaczny opór w kierujących kołach partyjnych, przesiąkniętych ortodoksyjnym antydemokratyzmem.

W ostatnich jednak kilku miesiącach nastąpił radykalny zwrot w ustosunkowaniu się KPP do nowej taktyki Kominternu.

Cóż się stało? Bez wątpienia ważną rolę odegrał tu stalinowski system rozprawiania się z nieposłusznymi wobec Moskwy działaczami komunistycznymi. Większe jednak znaczenie mają inne względy.

Ruch za powrotem do demokracji parlamentarnej przybrał w Polsce na sile. Nie tylko PPS, ale i Stronnictwo Ludowe, jak również nowopowstałe Stronnictwo Pracy wkroczyły na drogę walki o powrót do pełnej, parlamentarnej demokracji. Jeszcze bardziej znamienne dla komunistów był renesans przekonań demokratycznych w kołach legionowej lewicy, to jest właśnie wśród tych ludzi, których komuniści najczęściej — w pewnym okresie — nienawidzili, uważając ich i nazywając „peowiacką defensywą”.

Komuniści uwierzyli więc na serio w możliwość odrodzenia sejmowładztwa i w legalizację ich partii, o czym tak uro-

czyście zapewniają ich przywódcy P. P. S., a po cichu również niektórzy przywódcy partyj opozycyjnych. Ostatni rok wykazał, że jednolito-frontowe i ludowo-frontowe usiłowania komunistów nie poszły w Polsce na marne. Cztery odcinki społeczne, dla perspektyw rewolucyjnych bardzo doniosłe, uległy znacznym wpływom komunizmu, chodzi o klasowe związki zawodowe robotników, małopolskich chłopów, szczególnie w Małopolsce i w Lubelskim, o młodzież zarówno szkolną, jak i robotniczo-chłopską, wreszcie o inteligencję, szczególnie nauczycielstwo skupione w Z. N. P. Dość poważne wpływy w wyliczonych sferach społecznych umożliwiły komunistom przejście od propagandy hasła ludowo-frontowego do praktycznego zastosowania swej nowej taktyki. I trzeba przyznać, że zastosowanie to wypadło dla nich dość pomyślnie, mimo iż oficjalne kierownictwa partyj demokratycznych wypowiadały się raz po raz, czasem nawet dość ostro, przeciw wszelkiej współpracy z komunistami.

W samej zaś rzeczy współpraca ta istnieje nie tylko wbrew kierownictwom centralnym tych partyj, wśród ich dołów organizacyjnych, ale i w niektórych ogniwach centralnych. Nie chcemy przytaczać nazwisk znanych nam notorycznych komunistów, działających w centralach takich na przykład, dziś wpływowych organizacji jak Komisja Centralna klasowych Związków Zawodowych lub w Zarządzie „Klubu Demokratycznego”. Hasło komunistów „Wróg jest na prawicy — nie ma wroga na lewicy!” staje się coraz bardziej dorobkiem i hasłem przewodnim całego frontu czy obozu demokratycznego. Antynacjonalizm staje się w tym środowisku coraz bardziej istotną sprężyną działania i w gruncie rzeczy, wbrew słowom i subiektywnym chęciom niektórych działaczy, zastępuje postawę antykomunistyczną.

Chyba więc jedynie w celu zdeorientowania opinii publicznej niektórzy publicyści socjalistyczni, w pierwszym rzędzie p. Kazimierz Czapinśki z *Robotnika*, rozpisują się o rzekomej zmianie taktyki Kominternu w kierunku antysocjalistycznym i antydemokratycznym. Na dowód takiego twierdzenia przytacza np. p. Czapinśki artykuł sekretarza generalnego Kominternu, osławionego Dymitrowa, w którym

to artykule, w związku z XX-leciem rewolucji bolszewickiej, zaatakował on socjaldemokrację. Uważnie przestudiowałem ten artykuł,¹⁾ znalazłem w nim jednak zupełnie odmienne stanowisko niż sugeruje p. Czapinski. Wypominając socjalistom ich „grzechy“ przeszłości: współpracę z burżuazją i walkę z komunizmem — Dymitrow domaga się jednak jak najściślejszego współdziałania z socjalistami, włącznie do organizacyjnego połączenia się w jedną partię. Za podstawę zaś tego współdziałania wyznacza jedynie wspólne sprawy łączące socjalistów z komunistami, a mianowicie: walkę z faszyzmem o demokrację i walkę o pokój w obronie czerwonej Hiszpanii, zaprzyjaźnionych z Sowietami Chin i samego Z.S.S.R.

Jasne, że przykro musi być socjalistom, gdy ich sojusznik w międzynarodowej skali przypomina taki kanon „nieomyślnego“ Stalina: „Niemożliwością jest skończyć z kapitalizmem, zanim nie zrobi się końca z socjaldemokratyzmem w ruchu robotniczym“. Rozumiemy żale p. Czapieskiego.

Ale to nie oznacza bynajmniej, że komunizm wyrzeka się w obecnym okresie historycznym współdziałania z socjaldemokracją jako z sojusznikiem gdzieindziej i liczny i wpływowy. Grubiaństwo Stalina i Dymitrowa wobec socjalistów jest tylko potwierdzeniem prawa marksistowskiej dialektyki, że obecny sojusznik stanie się znowu jutro lub za lat dziesięć, zależnie od rozwoju wypadków, głównym wrogiem którego postawi się „pod ściankę“, jak to czyni się dziś w Z. S. S. R. z wczorajszymi komunistami nie stalinowskiego pokroju. I powiedzmy szczerze: mimo kwasów i wewnętrznej niechęci większość socjalistów konsekwentnych w marksizmie czy w demokracji z masonską pojętej, nadal będzie podążać w kierunku coraz ściślejszego współdziałania z komunistami, bo taka jest logika, wynikająca z ich wspólnego strachu przed tym co nazywają faszyzmem, a co w gruncie rzeczy jest powszechnym, acz jakościowo różnym w każdym kraju, procesem odrodzenia narodowego, społecznego i religijnego, procesem skierowanym wyraźnie przeciw marksizmowi i masonerii.

¹⁾ *Rundschau* nr 49 z datą 2. XI. br.

Doskonałym potwierdzeniem, że komunizm nie myśli nawet o zmianie swej obecnej taktyki na demokratycznym odcinku, jest choćby stosunek Kom. Partii Polski do nowo powstałego Stronnictwa Pracy. Otóż w organie Kominternu¹⁾ znajdujemy artykuł wybitnego „polskiego” komunisty Adolfa Langer²⁾ pod znamienitym tytułem: „Wielkie przebudzenie Polski”, poświęcony właśnie powstaniu Stronnictwa Pracy. W artykule tym wychwala on Str. Pracy przede wszystkim za to, iż przyjęło zdecydowanie za podstawę programu swej działalności „walkę o demokrację wewnątrz kraju” i „walkę o politykę zagraniczną po stronie państw demokratycznych”, co według autora oznacza opowiedzenie się po stronie Ligi Narodów, a szczególnie po stronie Francji, Czechosłowacji i... ZSSR. Pan Langer-Dluski znajduje słowa pełne uznania dla takich osobistości jak Paderewski, Korfanty, Popiel, St. Wojciechowski, gen. Kukiel, ba nawet dla gen. Hallera i prof. Grabskiego, nie pomny swoich artykułów, które wypisywał jako redaktor naczelny komunistycznej *Trybuny Robotniczej*, która wychodziła legalnie we Lwowie w r. 1923. Wówczas określał on tych samych panów przezwiskami, wśród których takie słówka jak „faszyści”, „krwawe psy burżuazji” i „kaci proletariatu” były bodaj że najłagodniejsze...

Obecnie styl ten uległ kompletnej przemianie. Stronnictwo Pracy — według komunistów — „okaże walce wyzwoleńczej polskiego ludu wielką usługę” póki pozostanie wierne żądaniom „demokracji i pokoju”.

Aż dziw bierze jakie różowe nadzieje żywią komuniści w związku z powstaniem tego nowego stronnictwa. Warto zacytować te wykrzykniki nadziei:

Chrześcijańskie i katolickie masy, umiarkowane drobnomieszczaństwo, w szczególności w byłych pruskich prowincjach Polski i duże koła pracującej inteligencji polskiej stoją za tą partią. Jej założenie wskazuje na to, że szeroki demokratyczny front, który powołany jest do tego, by wyzwolić Polskę z „wewnętrznej okupacji” Sanacji, jest na dobrej drodze. Jest on już dzisiaj siłą nie do przewyciężenia, bo ma poparcie całego ludu... Lud polski obudził się.

¹⁾ *Rundschau* nr 48, z dnia 4. XI. 1937 roku.

²⁾ Lwowski żyd, piszący pod pseudonimem — Ostap Dluski.

Lud polski wie, gdzie są jego przyjaciele, a gdzie ma wrogów. Powstanie nowego obozu Paderewskiego wykazuje, że prawda ta przedarła się również do umiarkowanej części narodu polskiego.

Skąd te podejrzane hymny pochwalne komunistów na cześć, formalnie przecież katolickiego, Stronnictwa Pracy?

Nie zamierzamy tu bynajmniej domyślać się jakichś tajemnych kulis. Nie ulega jednak wątpliwości, że główne źródło tych hymnów leży w fakcie, iż komuniści, w funkcji swej nowej taktyki, spodziewają się, że świeżo zorganizowana siła demokratyczna, może się przyczynić do otwarcia drzwi dla przeprowadzenia rewolucji w Polsce, siła tym dla komunizmu cenniejsza, że ma wartościową w Polsce markę katolicyzmu i umiarkowania, iż wolna od zarzutu radykalizmu, masoństwa czy żydostwa.

Polityka komunistyczna w swym pozytywnym ustosunkowaniu się do Stronnictwa Pracy ulega, naszym zdaniem, wielkiemu złudzeniu, jak uległa w przeddzień majowego przewrotu, w każdym jednak razie w swych planach i zamierzeniach sięga niewątpliwie w dalszą przyszłość.

Czy można to również twierdzić o polityce polskiej w stosunku do komunizmu?

Odpowiedź nasza wypada sceptycznie; na razie bowiem nie widać poza nielicznymi wyjątkami tej dalekosiężnej, zgranej, antykomunistycznej polityki polskiej.

Wracamy do zagadnienia reform ustrojowych, czy na razie choćby tylko reformy ordynacji wyborczej.

Absurdem byłoby bronić obecnego stanu rzeczy. Ordynacja wyborcza, która ma przeciw sobie co najmniej $\frac{3}{4}$ narodu nie może być nadal utrzymana, to jasne.

Ale chodzi o to, by mające się dokonać reformy rozpatrzone zostały również z punktu obrony Polski przed największym jej wrogiem — komunizmem, a więc także obrony przed jego sojusznikami na terenie Polski... Gdy z tego punktu widzenia podejmiemy do takiego, zdawałoby się technicznego tylko, zagadnienia, jak sprawa alternatywy głosowania na listy kandydackie wystawione przez partie polityczne czy na indywidualnych kandydatów, mogących również reprezentować jakiś program polityczny,

to sprawa nabiera od razu ważnego politycznego znaczenia. Do słusznych argumentów wysuwanych przez zwolenników indywidualnych kandydatur dorzucić trzeba jeszcze względ następujący. Nowa taktyka umożliwiła komunistom wejście do całego szeregu politycznych i społecznych organizacji, szczególnie lewicowych. Otóż na listy takich organizacji przedostaną się niewątpliwie komuniści, tak jak to miało miejsce w roku 1936 przy wyborach do łódzkiej Rady Miejskiej. Przy indywidualnych kandydaturach niebezpieczeństwo przekradania się komunistów do polskich Izb Ustawodawczych jest o wiele mniejsze.

Ale nie chodzi nam oczywiście o taką tylko czy inną ordynację wyborczą. Chodzi o całość polityki i ustroju państwowego Polski.

A jest już najwyższy czas, by Polska wyszła z okresu dreptania na miejscu, dojrzała do politycznego lub polityki „ruchu wahadłowego“ (jak to słusznie określił p. Cat-Mackiewicz) — raz na prawo, raz na lewo. Skończyć trzeba z fałszywym poglądem, że Polski nie stać na własną koncepcję ideologiczno-polityczną, że musi odczekać na wynik różnych eksperymentów polityczno-społecznych, dokonywujących się współcześnie w świecie. Polska może i powinna stać się katolickim państwem narodu polskiego, z ustrojem społeczno-państwowym opartym na zasadach korporacjonizmu, zdrowego nacjonalizmu i potęgi zbrojnej. Nie totalizm ale i nie sejmowładztwo stworzą zjednoczenie narodu konieczne do rozwoju potęgi polskiego państwa.

Jedynie program katolickiej i narodowej Polski może być podłożem skutecznej konsolidacji narodu i może wytworzyć taką siłę, która potrafi rozbić dzisiejszą przejściową przewagę frontu nazywającego się demokratycznym, a będącym w rzeczywistości, przynajmniej w wysokim procencie, frontem marksistowsko-masońskim, antynarodowym i, w gruncie rzeczy, antykatolickim.

Zapowiadana i nieunikniona reforma ordynacji wyborczej musi być rozpatrzona pod tym właśnie kątem widzenia, a wówczas nie stanie się z nią to, co się stało z nieszczęsną ordynacją roku 1935.

Trzeba mieć na oku niewątpliwy fakt, że judeo-moskiewski komunizm chce przedrzeć się do Polski poprzez demokratyczno-liberalne drzwi, że zatem tych drzwi trzeba dobrze strzec i dobrze badać, kto i w jakim celu przez nie wchodzi na arenę publicznego życia w Polsce...

J. Skaliński.

Kwestia emerytalna w Polsce.

Kwestia emerytalna jest w Polsce sprawą równie drażliwą, jak trudną do rozwiązania. Wiele przyczyn na to się złożyło, nie z powodu jakiejś „siły wyższej“, która na niej fatalnie zaciążyła, lecz w związku z popełnionymi błędami w dalszej i bliższej przeszłości.

Sprawy emerytalnej nie można rozpatrywać w oderwaniu od bieżącego stanu gospodarczego kraju i zasobów skarbu państwa. Życie posiada swoje wymagania, od których nie można uciec, stąd też, w ocenie posunięć w dziedzinie emerytalnej, należy wziąć również pod uwagę szereg czynników luźnie tylko z nią związanych, mających jednak doniosły wpływ na kształtowanie się zagadnienia emerytalnego. Nie pomogą tu żadne teoretyczne rozważania, mające wszelkie pozory prawdy, lecz nie poparte warunkami rzeczywistości. Czasami nawet prawne wywody muszą umilknąć, gdy w grę wchodzi rzeczywiste interesy państwa, które ma zarówno syntetyzować dobro wszystkich obywateli i stać na jego straży, jak i baczyć, aby gospodarka dnia dzisiejszego nie zaważyła na losach jutra.

Nikt nie zaprzeczy pewnikowi, że „z pustego i Salomon nie naleje“, a przysłowie niemieckie głosi *wo nichts ist, verliert der Kaiser seine Rechte*. Powyższe powiedzenie nie ma bynajmniej ilustrować tezy, iż metodyczne od szeregu lat „okrawanie“ praw emerytów, czyli stanu urzędniczego w stanie czynnym i nieczynnym, było zawsze koniecznością państwową, a nie wynikiem nieodpowiedniej gospodarki, nade wszystko zaś braku poczucia elementarnej sprawiedliwości społecznej.

Emeryt jest „urzędnikiem w stanie nieczynnym”, lecz umniejszanie uprawnień emerytalnych uderza tak samo w urzędników w stanie czynnym, jak i nieczynnym, a często nawet o wiele silniej w tych pierwszych, aniżeli w drugich, stąd też kwestia emerytalna jest sprawą dotyczącą solidarnie całego stanu urzędniczego, a jako taka zazębia się o szereg zagadnień natury państwowej, co tylko zwiększa jej znaczenie.

Sprawy emerytalnej nie można traktować ani z punktu widzenia interesu klasowego stanu urzędniczego, bo w tym wypadku wpadło by się od razu w demagogię tak szkodliwą, dla całości państwa i społeczeństwa, ani też z punktu widzenia „całości”, stojącej poza klasą urzędniczą, gdyż chociaż ta ostatnia jest tylko częścią składową jedności państwowo-narodowej, niesprawiedliwe upośledzanie części, w ten czy w inny sposób, prędzej czy później zemścić się musi na losach wszystkich.

Jeżeli z jednej strony istnieją tak zwane konieczności państwowe, to z drugiej istnieć winny także stałe pojęcia sprawiedliwości, na straży których stoi każde praworządne państwo, w interesie własnym i dla dobra wszystkich obywateli. Państwo żądać może nawet bardzo ciężkich ofiar od poszczególnych klas społecznych, byleby tylko te żądania wynikały jasno z prawdziwych konieczności państwowych, a nie z popełnionych przez administrację błędów oraz aby nakładane świadczenia nie kolidowały z poczuciem sprawiedliwości społecznej.

Iustitia est fundamentum regnorum, to zasada, której hołdować musi zarówno każde państwo jak i rządząca elita; pierwsze aby nie stać się dręczycielem tych nad którymi panuje i nie zgótować mrocznych dla siebie losów, druga aby własnymi rękami nie podkopywać swego panowania. Zapewne, iż do jasnego sprecyzowania pojęcia sprawiedliwości nie łatwo jest dojść, zwłaszcza wówczas, gdy się go wcale nie szuka i gdy się przypuszcza, że każda ustawa prawomocnie zatwierdzona jest odbłaskiem sprawiedliwego prawa, istniejącego obiektywnie niezależnie od tego, czy go kto uznaje czy też nie. Ustawa jednak niesprawiedliwa zawsze się zemści. Nad tym czuwa suwerenne Prawo, którym człowiek lekkomyślnie czy nierozważnie pogardził.

Tworzenie niesprawiedliwości prawnych, to jest ustaw sprzecznych ze sprawiedliwością w płaszczyźnie zbiorowego życia państwowo-narodowego, mści się na całości społeczeństwa, tak, że leży nie tylko w interesie poszkodowanych, ale i całości, aby takich ustaw nie było.

Sprawy emerytalne zostały w Polsce po raz pierwszy uregulowane ustawą z dnia 11 grudnia 1923 r.¹⁾ Kwestia emerytalna zaczęła się wikłać i wychodzić na wierzch w r. 1931, a więc w okresie kryzysu, w czasie gdy dochody skarbowe zaczęły się szybko kurczyć, a pieniądź stawał się coraz droższy, czyli jego siła kupna zaczęła wzrastać.

Nabyte uczciwie przez urzędnika prawo emerytalne, nie jest ze strony państwa ani jałmużną ani też darowizną, lecz świadczeniem, wynikającym z kontraktu zawartego dwustronnie między Państwem a urzędnikiem. Znanym jest powszechnie fakt, że państwa opłacają urzędników gorzej, aniżeli wynagradza pracę wolny rynek. Tu znajdujemy się u genezy emerytur, które mają zabezpieczyć jaki taki byt na starość tym, którzy przez całe swe życie byli wynagradzani poniżej swych realnych świadczeń. Emerytura więc stanowi tylko integralną część płacy, należnej urzędnikowi za jego pracę.

Umnieszenie emerytur zbiegło się z nastaniem kryzysu ekonomicznego, istnieją zatem pozory, że właśnie tylko i wyłącznie kryzys, ta siła wyższa, jest głównym sprawcą dzisiejszej nędzy emeryckiej. Jest w tym trochę prawdy, lecz rzeczywistość przemawia za tym, że kryzys zaledwie w $\frac{1}{4}$ zaważył na losach stanu urzędniczego, zaś $\frac{3}{4}$ pochodzi z innych zupełnie odmiennych źródeł.

Być może, że w związku z kryzysem i innymi okolicznościami, których szczegółowo rozpatrywać nie będziemy, zaistniała konieczność państwowa zmniejszenia nieco uprawnień emerytalnych, gdyż zmniejszenie wypłacanych emerytur, dostosowane do wzrostu wartości pieniądza jest inną kwestią, która by wymagała specjalnego rozpatrzenia.

Ktoś złożył na cel funduszu obrony narodowej złotą ślubną obrączkę. Dar ten jednak nie został przyjęty, gdyż

¹⁾ Dz. Ust. 1924 r. Nr 6, poz. 46.

Przegl. Pow. t. 217.

marszałek Śmigły-Rydz słusznie uznał, że obrączki są w rodzinie, tym jakby „ostatnim nabojem“ w ładownicy dobrego żołnierza, który się zachowuje na chwilę skrajnej potrzeby; takich więc ofiar krańcowych w czasie pokojowym ojczyzna nie potrzebuje.

Jeżeli więc państwo decyduje się na złamanie jednostronne swych zobowiązań w stosunku do ludzi, którzy pracowali w jego resortach, to muszą zachodzić bardzo poważne przyczyny, płynące ze źródła, które zwiemy „siłą wyższą“, a nawet i w tym wypadku postępować należy bardzo oględnie i nie wyciągać z niezbyt zasobnej ładownicy więcej naboju, aniżeli istotnie zachodzi potrzeba.

Otóż patrząc na sprawę retrospektywnie, wypadnie powiedzieć, że położenie wywołane pogłębiającym się kryzysem z jednej strony, a wzrostem wartości pieniądza z drugiej, wymagało w okresie szeregu kryzysowych lat pewnych posunięć redukcyjnych także i w stosunku do emerytów, lecz i w tym wypadku pojęcie sprawiedliwości nie było by naruszone tylko wtedy, gdyby te posunięcia stwarzał twardy mus, a nie, nie znająca umiaru polityka stwarzania mnóstwa emerytów.

Jeżeli więc emeryci zostali pokrzywdzeni, to niemniej pokrzywdzonymi zostali płatnicy podatków, budżet bowiem państwowy ugina się i tak pod ciężarem nawet tych silnie „okrojonych“ emerytur. A cóż by się stało z finansami państwa, gdyby, przy szalonym tempie tworzenia przedwczesnych emerytów, nie okrojono równocześnie ich uposażeń?

Urzędnik nie może być dla rządu absolutnym „tabu“, którego pod żadnym pozorem, poza wypadkami przestępstw, nie można ani przenieść na emeryturę, ani też zwolnić, zanim wysłuży swoją określoną prawnie ilość lat. Zachodzą bowiem niekiedy przyczyny przedwczesnej niezdolności lub niedołęstwa, niemniej jak i względy natury politycznej, a w wojsku niepoślednią rolę gra wiek, które zmuszają do wcześniejszego od przewidzianego terminu emerytowania. Wszystkie te jednak okoliczności i względy nie są absolutnie w stanie wytłumaczyć zjawiska masowości emerytowań, poczynionych w Polsce bynajmniej nie pod kątem istotnego

dobra państwa. Tymczasem właśnie ten fakt istnienia olbrzymiej ilości emerytów wysunięto jako główny argument do podeptania praw emerytalnych.

Jest rzeczą dobrze znaną, jak pierwszy głównodowodzący armią francuską w czasie Wielkiej Wojny Joffre dymisjonował w pierwszych jej miesiącach całe dziesiątki niedoświadczonych dowódców; było to tylko koniecznym skutkiem nie odpowiednio przeprowadzanej w sztabie selekcji w okresie pokoju. Z drugiej strony uderzającym jest fakt, że nie młodzi oficerowie, ale właśnie „starzy” i doświadczeni wybili się i odznaczyli podczas W. Wojny na naczelnych stanowiskach; wszelkie zatem „odmładzania” muszą być czynione z dużą umiejętnością i głębokim przemyśleniem. Otóż w Polsce najsilniej odmłodzono „stan emerycki”, stwarzając z ludzi 30 i 40 letnich... emerytów. Nadmierna zaś i zupełnie nieproporcjonalna liczba młodych „emerytów” obciążyła w niebывały sposób dział wydatków emerytalnych. Tu znajdujemy się u sedna zabagnienia sprawy emerytalnej.

O wzroście liczby emerytów świadczą następujące dane. W dniu 31. XII. 1924 r. było emerytów cywilnych 12.820, z czego 7.483 z b. państw zaborczych i 5.337 ze służby polskiej. W tymże czasie emerytów wojskowych było 1.766, z których 913 przypada na emerytów z państw zaborczych, a 853 ze służby polskiej.

W dniu zaś 31. III. 1936 r. odnośne cyfry wykazują 42.427 emerytów cywilnych, z których tylko 3.119 przypada na emerytów z b. państw zaborczych, natomiast 39.308 ze służby polskiej, nie licząc wdów i sierót. Emerytów wojskowych w tymże czasie było 14.506, z których zaledwie 572 przypada na pochodzących z b. państw zaborczych, a 13.934 ze służby polskiej.

Dane te wyłącznie dotyczą emerytów państwowych w ścisłym tego słowa znaczeniu i nie odnoszą się do emerytów z przedsiębiorstw państwowych jak koleje, poczta, lasy, monopole państwowe itd., którzy są z tej statystyki wyłączeni. Tym mniej oczywiście dane powyższe nie obejmują emerytów samorządowych, których liczba wzrasta gdzieś w jeszcze bardziej zastraszający sposób, a łozenie na ich utrzymanie obciąża nie kogo innego tylko podatników.

Prof. Jerzy Michalski tak sumuje ten tragiczny bilans:

„ogólna liczba wszystkich cywilnych emerytów wraz z wdowami i sierotami... w okresie od r. 1924 do 1936 prawie się podwoiła, natomiast ogólna ilość emerytów cywilnych ze służby polskiej... w tym czasie zwiększyła się w o wiele większym stopniu, bo prawie pięciokrotnie, podczas gdy ilość samych tylko emerytów ze służby polskiej wzrosła jeszcze więcej — bo przeszło siedmiokrotnie... Wojskowych emerytów włącznie z wdowami i sierotami... było u nas w r. 1936 przeszło 4 razy więcej niż w r. 1924, podczas gdy ilość emerytów (z wdowami i sierotami) ze służby w wojsku polskim w tym okresie zwiększyła się przeszło 10 razy, zaś samych emerytów z tej służby, tj. bez wdów i sierot, było z końcem roku 1924 — 856, a w dniu 31. III. 1936 blisko 14 tysięcy, więc już przeszło 16 razy więcej“.

Dane powyższe nie obejmują również tzw. „emerytów bez zaopatrzenia“. Jest to terminologia specjalnie polska i fakt istnienia takich emerytów spotyka się tylko w Polsce, a dotyczy ludzi najbardziej pokrzywdzonych, bo wykwitowanych kompletnie przez państwo. „Emeryci bez zaopatrzenia“ są to ci pariasi społeczni, o których się w ogóle nie mówi. Stworzyła ich Ustawa — nie wiem jak ją nazwać pod względem prawnym i ocenić pod względem moralnym — z dnia 18 marca r. 1932,¹⁾ która podwyższyła zasadniczy okres, potrzebny do nabycia praw emerytalnych, z 10 lat na 15, tak że ci, którzy mieli prawa emerytalne już nabyte, utracili je całkowicie. Państwo nie zredukowało w tym wypadku swych zobowiązań, ale przekreśliło je kompletnie. Dodać trzeba, że z tej ustawy przekreślającej prawa najsprawiedliwiej nabyte, skorzystano w bardzo szerokiej skali i to w dobie najcięższego kryzysu, w którym najtrudniej było o znalezienie jakiejkolwiek pracy. Masami całymi tworzone wówczas „emerytów bez zaopatrzenia“. W niektórych urzędach, jeśli ktoś miał już za sobą prawa nabyte, a dobiegał do swych 15 lat, mógł prawie napewno liczyć na wcześniejsze „zemerytowanie bez zaopatrzenia“.

Ilość zemerytowanych w ten sposób i okrutnie pokrzywdzonych jest bardzo znaczna; szkoda tylko, że nie można jej ująć w danych statystycznych, a raczej, że trudno jest

¹⁾ Dz. Ust. 1932 r. Nr 26, poz. 239.

do cyfr odnośnych znaleźć dostęp. Ustawa z dnia 18 marca 1932 r. to czarna karta w dziejach ustawodawstwa polskiego, a wykonywanie jej jest jeszcze czarniejsze. Ocena ludzi postępujących w ten sposób w życiu prywatnym nie pozostawia żadnych wątpliwości; a w życiu publicznym i państwowym czyżby obowiązywały inne normy?

Przyznać trzeba, iż ustawa z 18 marca 1932 r. nie pozbawia praw nabytych, lecz odkłada tylko ich uznanie do czasu kiedy zainteresowani ukończą 60 rok życia; ponieważ jednak wszyscy prawie w ten sposób emerytowani należą do klasy „młodych emerytów“, muszą więc czekać po kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat, zanim dojdą do swego emerytalnego wieku i doczekają się rozpatrzenia sprawy.

Na kwestię emerytur można się zapastrywać różnie, jedno jednakowoż nie ulega żadnej wątpliwości, a mianowicie, że emeryt nie może być pozbawiony całkowicie swego zaopatrzenia, o ile nie ma z jego strony wyraźnej i stwierdzonej winy. Czy można to powiedzieć o olbrzymiej większości „emerytów bez zaopatrzenia“? Otóż wobec elementarnego poczucia sprawiedliwości w fakcie tym nie pomogą żadne sofistyczne wykręty czy zasłanianie się koniecznościami państwowymi.

Przyjrzyjmy się obecnie poszczególnym cięciom, które pogrążyły wielkie masy emeryckie w biedzie nieraz w nędzy, a zwłaszcza przedwcześnie emerytowanych, dalekich więc od otrzymania pełnej emerytury.

Ustawa z dnia 18 marca 1931 r.¹⁾ zwiększa opłatę emerytalną z 3% do 5%. Równocześnie redukuje ona zaliczenie do wysługi emerytalnej czas pracy samorządowej, lub zawodowej do tylu lat, ile przepracowanych zostało w służbie państwowej polskiej.

Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 10 kwietnia t. r.,²⁾ cofa emerytom 15 procentowy dodatek do ich uposażeń.

Ustawą z dnia 18 marca z 1932 r.³⁾ zwiększono opłatę emerytalną z 5% do 8% i podwyższono wymagany do na-

¹⁾ Dz. Ust. 1931 r. Nr 27, poz. 170.

²⁾ Dz. Ust. 1931 r. Nr 32, poz. 232.

³⁾ Dz. Ust. 1932 r. Nr 26, poz. 239.

bycia praw emerytalnych okres z 10 do 15 lat, co nie tylko powołało do życia, wyłącznie w Polsce znaną klasę „emerytów bez zaopatrzenia”, ale i zmniejszyło wysokość uposażeń emerytalnych, wobec tego, że przysługujące uprzednio 40% wysokości wymiaru emerytury po 10 latach służby, przesunięto do lat 15.

Rozporządzenie z dnia 21 maja r. 1932¹⁾ cofa emerytom zamieszkającym na prowincji 10 procentowy dodatek, otrzymywany przez nich od 1927 r.

W 1924 r. następuje wstrzymanie wypłacania emerytom dodatku mieszkaniowego, w zamian za wypłacenie 10 procentowego dodatku do uposażenia, co jednak nie wyrównało poniesionej przez emerytów straty.

Dekret z dnia 22. XI. r. 1935²⁾ ogranicza do $\frac{3}{4}$ zaliczanie do emerytury już przyznanych lat pracy w b. państwach zaborczych i zweryfikowanych lat pracy zawodowej (których można było mieć zaliczonych maksymalnie 15, z obu tych tytułów) oraz skreśla korzystniejsze liczenie uwzględnionych przy emeryturze okresów; w odniesieniu zaś do emerytów z państw zaborczych, których w tym czasie jest już tylko minimalna ilość, zmniejsza im wymiar emerytury o 10%.

Wreszcie dekrety oszczędnościowe dla utrzymania równowagi budżetu państwowego i stałości waluty, chroniące państwo od grożącej katastrofy finansowo-gospodarczej, a wynikłej z długotrwałej i krótkowzrocznej, pod bardzo wieloma względami, polityki gospodarczej, dopełniły reszty. Dekret z 15 listopada r. 1935³⁾ wprowadzający 10% podatek specjalny od wszelkich wynagrodzeń, wypłacanych z funduszków publicznych, spadł całym swym ciężarem na nędzne pobory emeryckie, jak również i dekret z dnia 22 listopada r. 1935⁴⁾ podwajający stawki podatku dochodowego.

Rzecz przy tym znamienna, iż wszystkie powyższe cięcia, redukujące wysokość emerytur często do połowy, nie wyszły bynajmniej na korzyść wielkich mas podatników, gdyż sumy wypłacane na emerytury i tak z roku na rok w szybkim

¹⁾ Dz. Ust. 1932 r. Nr 43, poz. 419.

²⁾ Dz. Ust. 1935 r. Nr 85, poz. 521.

³⁾ Dz. Ust. 1935 r. Nr 82, poz. 503.

⁴⁾ Dz. Ust. 1936 r. Nr 85, poz. 518.

tempie wzrastają, obciążając nadmiernie Skarb Państwa, a to prawie wyłącznie z powodu wadliwej polityki personalnej, usuwającej z urzędów bez widomych i rzeczowych powodów całe masy ludzi młodych i wykwalifikowanych. Czyż jakaś ukryta, a wyższa racja stanu Rzeczypospolitej Polskiej wymaga istotnie podobnego postępowania?

Istnieją, jak przyznaliśmy wyżej, pewne racje, które mogą spowodować w obecnych państwach przyspieszone, w porównaniu do przedwojennych stosunków tempo emerytowań; lecz pomiędzy truchtem, a galopem jest jeszcze wielka rozpiętość. Istnieją nie dające się zaprzeczyć przewiny polskiego państwa przedmajowego wobec kombatanów za niepodległość, ponieważ nie umiało im ono, stopniowo i w odpowiedni sposób zabezpieczyć utrzymania i pracy; lecz groźnym jest poprawienie tego błędu inną niesprawiedliwością i rugować dziesiątki tysięcy ludzi byle tylko b. kombatanom a może zwłaszcza tym, którzy dla kariery w ten czy w inny sposób do nich przymknęli, a liczba tych jest cały legion, dostarczyć posad i zajęcia. Zresztą oczywista racja stanu każdego praworządnego państwa wymaga, aby miejsca urzędnicze były zajmowane przede wszystkim przez ludzi wykwalifikowanych i zdolnych, niezależnie od tego, jaki jest ich rodowód działalności w przeszłości. Rodowód taki ma oczywiście znaczenie, lecz nie może być jedyną miarą przy decyzjach kogo zwolnić z posady, a kogo przyjąć na urzędnika.

Zrozumiałym jest, że państwo polskie, jak każde szanujące się i patrzące w dalszą przyszłość państwo, winno otaczać bardziej pieczołowitą od innych opieką, tych, którzy w przeszłości, wówczas, gdy horyzont polityczny był z powodu przeszło wiekowej niewoli zaćmiony, stawiali mimo to życie swoje na kartę dla jego przyszłości, lecz opieka taka oraz nagroda, nie mogą stać w jawnej kolizji z obecnym dobrem Rzeczypospolitej.

Z drugiej strony, nawet państwa totalne, jak Włochy, w której rządzi przecież jedna tylko partia, mogąca zresztą poszczycić się pozytywną, twórczą pracą, nie jest wcale taką ekskluzywną w stosunku do swych urzędników, dawnych nie faszystów. Asymilując ich mądrym i sprawiedliwym

traktowaniem, korzysta z ich usług oraz doświadczenia. Polska nie jest ani państwem totalnym, ani też nie posiada swej skryształizowanej ideologii, partii b. kombatanów, mimo to panuje w niej ekskluzywizm pewnych sfer, które w życiu cywilnym nie dokonały nawet części tego, co dokonanym zostało w czasie pokojowym przez kombatancką partię w Włoczech. Istnieje pod tym względem między Polską a Włocchami olbrzymia dysproporcja. Tam twórczość teraźniejszości, u nas w wysokiej mierze eskontowanie tytułów przeszłości!

Względy rodzinne, stanowe, rodowody polityczne... mogą grać i grają zawsze, pewną rolę i na to „nie ma rady”, taki już jest porządek rzeczy. Piotr Wielki, gdy mu żona jego Katarzyna przedstawiła swego brata, rzekł: „Ten szlachcic jest moim szwagrem. Jeżeli jest człowiekiem wartościowym, zrobimy coś z niego, jeżeli nie, nie zrobimy nic z niego”. Piotr Wielki czuł, że szwagrostwo do czegoś obowiązuje, jednakowoż nie w tym stopniu, aby człowieka wartościowego wymieniać na „szwagra bezwartościowego”.

Ogłędnie się wyrażając, nie wszystkie u nas zmiany, z przedwczesnym emerytowaniem jednych i zastępowaniem ich drugimi były szczęśliwymi i przyniosły dodatnie rezultaty, nie mówiąc już o tym, że wielka i długotrwała fala zwolnień i emerytowań dokonanych „dla dobra służby”, lub „z powodu reorganizacji” itp., wprowadziła bardzo niezdrową atmosferę w sferach urzędniczych i poczyniła ogromne spustoszenia moralne, które długo dla dobra państwa trzeba będzie leczyć i usuwać.

„Emerytowano — pisze K. Kierski¹⁾ — ludzi o najwyższych kwalifikacjach moralnych, umysłowych i zawodowych, ludzi, którzy w chwili, kiedy Polska się budowała i potrzebowała ich pracy, pierwsi stanęli do apelu, rzucając bez wahania zajmowane przez siebie, nieraz bardzo intratne stanowiska. Z początku, kiedy byli potrzebni, obiecywano im złote góry, wszelkimi sposobami zatrzymywano na urzędach, potem — wyrzucano bez ceremonii.

¹⁾ Kwestia emerytalną w Polsce, oprócz pism emeryckich jak warszawski *Dodatek emerytalny* do *Biuletynu Urzędniczego*, poznański *Emeryf.*, krakowski *Jedność* itd., zajmują się prof. Jerzy Michalski, b. min. Skarbu, w książce: „Zagadnienie emerytalne w Państwie Polskim” i K. Kierski w broszurce: „Zagadnienie emerytalne w Polsce”, z których czerpię pewne dane do niniejszego artykułu.

Tak pomnożono tę potężną armię emerytów w Polsce, zbiedniałych, zgorzkniałych a często moralnie złamanych.

Armia potężna, bo według obliczeń prof. Michalskiego, liczba osób, pobierających zaopatrzenie wprost ze Skarbu Państwa lub pośrednio z niego tj. z przedsiębiorstw państwowych i monopolowych, opiewa prawie na 400.000. Ilu jednak w tej cyfrze jest emerytów prawdziwych, to jest odpowiadających normalnym warunkom stanu emeryckiego, lub takich, których emerytowanie przy obiektywnej ocenie jest przynajmniej do pewnego stopnia z tych czy innych względów usprawiedliwione, ilu zaś „emerytów przedwczesnych” — tego trudno będzie się kiedykolwiek dowiedzieć.

Przy zastosowywaniu cięć w stosunku do emerytów, posługiwano się w motywowaniu różnymi przesłankami, między którymi momenty „patriotyczne” odegrały też znaczną rolę. Zmniejszanie się do $\frac{3}{4}$, zaliczonych dawniej lat służby w b. państwach zaborczych, lub pracy zawodowej, motywowano względem, że praca ta nie szła na dobro państwa polskiego i jest mu całkowicie obojętną. Przy cięciach zastosowanych przez ustawę z 18 marca 1932 r. aby zmniejszyć ilość „emerytów bez zaopatrzenia”, wśród tych, którzy przed powstaniem państwa polskiego, pracowali politycznie czy też walczyli z bronią w rękę, na rzecz jego wskrzeszenia, 12 punkt tej ustawy zaleca: „zaliczanie do wysługi emerytalnej funkcjonariuszów państwowych okresu czynnej działalności, zmierzającej do odzyskania niepodległości Państwa Polskiego”.

Zalecenie to, które przedstawiano jako zdobycz dla pracujących politycznie w czasach przedwojennej konspiracji, przez dwa przeszło lata było martwą literą prawa, z tego powodu, że do powyższej ustawy „nie było rozporządzenia wykonawczego”. Rozporządzenie to, po dwu przeszło latach zwłoki, ukazuje się wreszcie dnia 28 maja r. 1934¹⁾ zwięzając postanowienie ustawy z przed dwu lat. Rozporządzenie wykonawcze mimo wszystko w § 67 wyraźnie głosi:

„Do wysługi emerytalnej funkcjonariuszów państwowych zalicza się, niezależnie od postanowień art. 105 ustawy... okresy

¹⁾ Dz. Ust. z dnia 10 lipca 1934 r. Nr 60, poz. 513.

czynnej działalności, zmierzającej do odzyskania niepodległości Państwa Polskiego, stwierdzonej przez nadanie Krzyża Niepodległości bądź Medalu Niepodległości¹⁾.

Lecz i tu nie jesteśmy u kresu. Można mieć swoje zaświadczenia w porządku i należeć do „odznaczonych”, jak tego żąda rozporządzenie z 28 maja r. 1934 a mimo to „okresy czynnej działalności, zmierzającej do odzyskania niepodległości Państwa Polskiego” nie są zaliczane, oprócz tego jednego wypadku, kiedy niedoszły emeryt służył w Legionach. Lecz wojskowa ta służba jest i tak zaliczana już z innego tytułu i wobec tego było zupełnie zbędnym wprowadzanie do ustaw paragrafu na pokaz, bez żadnego praktycznego zastosowania.

Studiując sprawy emerytalne w Polsce można dojść do wręcz zdumiewających wyników, które nie mają nic wspólnego z patriotyzmem, owszem przeciwnie dowodzą braku patriotyzmu i pojawieniu się tego, co w dawnej Rzeczypospolitej nazywano powszechnie „prywatą”. Z jednej strony wprowadza się drakońskie oszczędności w stosunku do wielkiej masy urzędniczej, przez obcinanie jej uprawnień i poborów w służbie czynnej i na emeryturze, w drugiej zaś podwyższa niepomrotnie pobory wyższych urzędników.¹⁾ I z tym faktem można by się jeszcze z pewnych względów zgodzić, gdyby nie to przygnębiające wrażenie równoczesnego ujmowania tym co mają mało, a dodawania tym co mają znacznie więcej. Co gorsze równocześnie zaprowadza się nadto luksusowe i nie znane nawet w bogatych krajach Zachodu innowacje emerytalne dla pewnych uprzywilejowanych kategorii. Tego już nikt wyrozumować i uniewinnić nie zdoła!

Każdy bowiem szary człowiek rozumuje w ten sposób, że gdy państwo jest zamożne, może lepiej zabezpieczać swoich emerytów, względnie lepiej wynagradzać urzędników, co w konsekwencji odbić się musi na tej integralnej części poborów, którą nazywa się emeryturą.

Otóż stan urzędniczy w Polsce nigdy nie był dobrze wynagradzany, ani za czasów sejmowładztwa, ani też w okre-

¹⁾ Rozporządzenie z dnia 28 października 1933 r. Dz. Ust. Nr 86, poz. 663.

sie pomajowym, co jest wynikiem z jednej strony ubóstwa kraju, z drugiej zaś skutkiem braku stałej, metodycznej i twórczej linii rządzenia, która by tak opanowała gospodarstwo narodowe, że przy wzroście ogólnego dobrobytu, było by możliwym także polepszenie warunków pracy i płacy stanu urzędniczego. Rządy jednak pomajowe nie przyniosły tej szumnie zapowiadanej stałości i strukturalnej poprawy sytuacji gospodarczej, w dobie zaś „kryzysowej” panowało takie bezhołowie, że gospodarstwo narodowe zaczęło się zupełnie widocznie chylić ku ruinie. W związku z tym warunki materialne całego stanu urzędniczego uległy wybitnemu pogorszeniu, nie mówiąc już o urzędnikach emerytowanych, na których doli zaważyła w pierwszym rzędzie polityka emerytalna biur personalnych.

Jeżeli jednak Polska jest krajem, który nie może hojnie wynagradzać swoich w stanie czynnym i nieczynnym urzędników, z tytułu samego położenia gospodarczego, w którym się znajduje, to zalecać by należało oszczędność efektywną z jednej strony, a z drugiej dokładanie wszelkich starań, aby, mimo ciężkich warunków, państwo mogło się należycie wywiązać ze swoich zobowiązań. W rzeczywistości działo się zupełnie inaczej.

Bo oto szary człowiek widział doskonale, że całymi masami stwarzano młodych emerytów, aby następnie nie-móc ich zaopatrzyć wskazując na „siłę wyższą”, którą się świadomie stworzyło. Jednocześnie wprowadzono zaopatrzenia emerytalne dla jednorocznych premierów i ministrów, wyznaczając pierwszym po 3000 zł miesięcznej, a drugim 2000 zł miesięcznej emerytury i to prawie bezpośrednio potem, gdy się pozbawiło tysiące ludzi nabytych już praw emerytalnych! Instytucji zaopatrywania emeryturami premierów i ministrów, którzy przez jeden rok sprawowali tę wysoką godność, nie ma bodaj nawet w krajach bardzo bogatych; zaprowadzono ją natomiast w biednej Polsce, która nie może wywiązać się ze swoich normalnych zobowiązań emerytalnych. Gdzie logika i gdzie sprawiedliwość w takich posunięciach?

Zarówno premier jak i każdy minister, pochodzący ze sfer urzędniczych, albo wojskowych, o ile po ustąpieniu

jego zachodzi konieczność przeniesienia go na emeryturę, (przy niemożności zużytkowaniu go na innym stanowisku) powinien podlegać, w kwestii ilości wysłużonych lat, tym samym zasadom emerytowania co normalny urzędnik, zaś premier lub minister, nie mający za sobą żadnych lat wysługi państwowej mógłby ją nabywać w przyspieszonym tempie. Lecz roczna służba w charakterze premiera lub ministra, uprawniająca do pełnej a bardzo wysokiej emerytury, wydaje się co najmniej rozrzutnością wobec „skrajnej oszczędności”, praktykowanej na setkach tysięcy emerytów i stwarza wobec nich jaskrawą dysproporcję. Nadmienić w tym miejscu wypada, że samo pojęcie emerytury, w naszych warunkach „nędzy polskiej” kłóci się z pojęciem „zaopatrzenia emerytalnego” w wysokości kilkudziesięciu tysięcy złotych rocznie. Jedyny rozumny wyjątek stanowić może zabezpieczenie dla Głowy Państwa z tytułu roli, którą w nim wypełnia w ciągu minimalnie lat siedmiu.

Rozbudowa zaopatrzeń emerytalnych na najwyższych szczeblach hierarchii państwowej, jakkolwiek w głównych zarysach nadal obowiązuje, została przez ratującego finanse państwa, vice-premiera Kwiatkowskiego częściowo przycięta i to z jednej strony przedłużeniem wymaganego dla ministrów okresu rocznego na dwuletni, z drugiej zaś bardzo silnym, bo wynoszącym aż 25%, opodatkowaniem poborów wypłacanych przez Skarb Państwa od 2.000 zł wzwyż.

Fakt jednak pozostaje faktem, że wówczas gdy „okrawano” prawie wszystkich emerytów, przeforsowaną została „rozbudowa emerytur” na najwyższych szczeblach hierarchii państwowej, co nie świadczy dobrze o pojęciach sprawiedliwości i umiaru jej pomysłodawców. Koncepcję powyższą czyni jeszcze bardziej drażliwą fakt, że stanowiska o których mowa rezerwowane są faktycznie dla ściśle określonych sfer elity, z bardzo małą domieszką z zewnątrz, a rzuca to gruby cień na to, co ze względu na przeszłość wzniosłą i romantyczną, powinno było pozostać nienaruszonym... Sławny na cały świat socjolog włoski Vilfredo Pareto, którego zresztą jednostronność pojęć nie ulega wątpliwości, twierdzi w swojej socjologicznej teorii „o zmianach elit”, że *spiritus movens* każdej dążącej do władzy elity jest

natury materialnej. Nie należało by temu niewątpliwie wielkiemu socjologowi ojczyzny Machiavella dostarczać argumentów, świadczących o prawdziwości jego, skądinąd spaczona, teorii.

Czy jednak istnieje w ogóle możliwość naprawy istniejącego stanu rzeczy? Tak i nie, stosownie od sposobu podchodzenia do zagrożenia emerytalnego.

„Idealne nawet — pisze prof. Jerzy Michalski — ustawodawstwo emerytalne zniszczy i unicestwi prędzej czy później zła polityka personalna”.

Przechodząc zaś do zasadniczego postawienia sprawy twierdzi:

„Budżet emerytur musi być ujęty w takie ramy, które wskazują możliwości gospodarcze kraju, emeryt zaś powinien mieć pobory takie, które sobie uczciwie wysłużył i na które zasłużył: emerytura nie może być uważana ani za dar z łaski, ani za jałmużnę, ani też nie powinna być *perpetuum mobile* — czymś, co roku zmiennym w swej wysokości”.

Istnieje, niemal powszechnie przez koła emeryckie zwalczany projekt posła Ostafina, który w określonych ramach budżetowych stara się załagodzić jaskrawe niesprawiedliwości, dotyczące stanu emeryckiego i rozwiązać tę nową kwadraturę koła. Nie będziemy się nad nim zastanawiać, ograniczając się do powiedzenia, że bez „dodania” ze Skarbu Państwa sum na ulżenie doli emerytom i wprowadzenie jakiej takiej sprawiedliwości w dziedzinę emerytalną, nie da się wiele uskutecznić. Ponieważ zaś finanse państwowe nie znajdują się wcale w stanie kwitującym, horoskopy na przyszłość przedstawiają się dość ponuro. Zresztą żadne posunięcia na tym polu nie są zdolne nic trwałego uczynić o ile „polityka personalna” nie ulegnie zmianie, bo właśnie ona, a nie co innego, zabagniła całą kwestię.

Zgodzić się można z prof. J. Michalskim, który pisze:

„Mniemam, że leczenie choroby w ten sposób, że nie usuwa się jej źródła, ale jedynie chce się usunąć czy zmniejszyć objawy zewnętrzne, przez nią wywołane, przy pozostawieniu *in statu infacto* przyczyny choroby, nie rokuje zwycięstwa. Są to tylko paliatywy-plastery, nic więcej”.

Bo w rzeczywistości, cóż można pomóc, jeżeli liczba emerytów nadal wzrastać będzie? Emeryci są pozbawiani

praw nabytych, pobory ich są zmniejszane, okrawane, opodatkowywane, a budżet emerytur jak wzrastał tak mimo wszystko wzrasta. W roku 1925 Skarb Państwa wydatkował na emerytury 33,5 milionów, co stanowiło 2% wydatków państwowych, zaś w roku budżetowym 1935/36 wydatki z tego tytułu doszły do sumy 172 milionów, stanowiąc 8⁰/₀ wydatków Skarbu Państwa.

Jeżeli pragnie się naprawdę leczyć ten chorobowy stan, należało by przede wszystkim skończyć z metodą emerytowania ludzi młodych, bez rzeczowych powodów i reaktywować tych spośród emerytów, których kwalifikacje, wiek i zdrowie czynią odpowiednimi do służby państwowej. Niestety, w obecnych warunkach, pomimo projektów a nawet zarządzeń, mało przemawia za tym, aby ta właśnie jedyna droga została zdecydowanie obrana.

Gdyby się w ten sposób wstrzymało rozwój trawiącej państwo choroby, można by wówczas pomyśleć o przeprowadzeniu na dalszą metę obliczonej terapii. Trudno jednak o tym myśleć, skoro nadal obowiązują np. w wojsku przepisy, że nie awansujący, w ciągu względnie krótkiego czasu oficer, musi przejść w stan spoczynku. Przechodzi w spoczynek, otrzymuje emeryturę, w dodatku zabiega o posadę z wolnej ręki, zajmuje miejsce przeznaczone dla młodych a bezrobotnych inteligentów i znowu wpadamy w pełnię kwadratury.

Ale przedwczesne i nie uzasadnione ściśle rzeczowo emerytowanie, oprócz trudności finansowo-gospodarczych dla państwa, niesprawiedliwości i biedy materialnej dla emerytowanych, wprowadza nadto w szerokie kręgi społeczne bardzo wiele rozgoryczenia i powoduje znaczne straty natury moralnej.

Jedność i solidarność państwowo-narodowa tworzy przede wszystkim świadomość wielkiej masy obywateli, że państwo, ta organizacja nadrzędna, opiekuje się obywatelem, troszczy się o niego, jest sprawiedliwym rządcą i nie pozwoli go skrzywdzić. Jeżeli naród niemiecki jest solidarnym i państwowo nastawionym, zawdzięczać to w wielkiej mierze należy darowi organizacyjnemu i wychowaniu kilkowiekowemu przez tych, którzy nim zarządzili.

Fryderyk Wielki ustępuje przed chłopem-młynarzem, powołującym się na autorytet „sędziów pruskich“, bowiem kaprys królewski nie może mieć znaczenia, wobec rządzącego prawa. Z tego znamiennego epizodu widać obustronne, tak u rządzącego jak i rządzonego, zakorzenienie pojęcia prawa i sprawiedliwości. „Prawicowiec“ Bismark zaprowadził w Niemczech ubezpieczenia społeczne, które w tym kraju zespalają bardzo pracującego z państwem.

Wszystko to sprawiło, że naród niemiecki historycznie został przygotowanym, do obejmującego go obecnie totalizmu, a jeżeli nie można zbyt wiele dobrego wróżyć w XX wieku rządowi totalistycznemu, to dlatego, że inne w grę tu wchodzić będą czynniki. Faktem jednak pozostaje, że dążenie do wytwarzania spójni państwowo-narodowej jest czymś dodatnim, do którego każdy naród, chcący przetrwać zawieruchę dziejową, dążyć musi.

Dla prawdziwego zaś stwarzania spójni narodowo-państwowej, koniecznym jest przede wszystkim sprawiedliwość i poczucie u obywateli, że państwo nie istnieje na to, aby ich gnębić, lecz aby nimi sprawiedliwie rządzić i chronić od złego. Gdy zaś państwo uwłacza sprawiedliwości i zamiast chronić tych, którymi rządzi, jednostronnie zrywa zawarte kontrakty, a na swe uniewinnienie podać może jedynie błędy popełniane przez rządzących, wówczas stwarza, zamiast sił zmiernych do jedności, siły odśrodkowe i nie gotuje sobie ani swoim obywatelom dobrej przyszłości.

Lęk nie jest dobrym wychowawcą, a cóż innego powodować może, wśród tysięcy służących państwu urzędników, ciągła obawa przed samowolnym zwolnieniem. Rozgoryczenie zaś zwolnionych bez dostatecznej podstawy, jedynie dla zrobienia miejsca innym jest wartością na wskrós negatywną, której skutki destrukcyjne sięgają głębiej i szerzej niż się to pozornie wydaje.

Kwestia emerytalna stanowi dla państwa polskiego sprawę doniosłą i posiada znaczenie nie tylko gospodarczo-finansowo-budżetowe, może ona nawet być punktem zwrotnym do oceny historycznej minionego okresu.

H. J. Korybut-Woroniecki.

Biała rasa w niebezpieczeństwie.

Było to niemałą sensacją w świecie, kiedy w pewien czas po przejęciu władzy Benito Mussolini zapoczątkował nową politykę ludnościową, pod hasłem *il numero e forza*, liczba to siła!

Wiedziano przecież ogólnie, że Włochy są krajem stosunkowo do swych przyrodzonych zasobów raczej prze-ludnionym, który też wysyłał stale znaczny kontyngent swego przyrostu ludnościowego za granicę. W r. 1910 emigracja włoska liczyła przeszło 5½ miliona osób, a masy pozostałe w ojczyźnie pędziły mimo to życie w dość ciężkich warunkach. Wojna światowa pogorszyła jeszcze położenie. Kryzys gospodarczy, zmniejszony znacznie napływ turystów, którzy stanowili poważne przedtem źródło dochodów i wreszcie ograniczenie możliwości emigracji do innych krajów, wszystko to zdawało się być klęską dla Italii. I oto w takiej chwili rząd faszystowski zwraca się do wszystkich Włochów w świecie z odezwą, że przyjmie chętnie z powrotem emigrantów do kraju, że będzie się starał hamować wyjazd za granicę i popierać najusilniej liczne rodziny.

Podobne zjawisko powtórzyło się w jakiś czas później w Niemczech, po objęciu rządów przez A. Hitlera. W „prze-ludnionym“ i obarczonym wysoką liczbą bezrobotnych kraju rozwinęto nagle energiczną akcję w celu zwiększenia przyrostu naturalnego. O napięciu jej można wnioskować ze skutków. Już w r. 1934, a więc po roku rządów narodowo-socjalistycznych, liczba urodzeń wzrosła o 227.000 w porównaniu z rokiem poprzednim, a w latach następnych powiększała się w dalszym ciągu.

Czym wytłumaczyć takie postępowanie? Czy obu tym krajom groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo? Czy znajdowały się może w położeniu Francji, która w r. 1935 miała prawie 18.000, a w r. 1936 przeszło 12.000 więcej trumien niż kołysek?¹⁾

Nie! Ludność Niemiec rosła z roku na rok i z 59.177 tys. w r. 1920 doszła do 67.330 tys. w r. 1936. Podobnie Włochy notowały rokrocznie przyrost ludności; w r. 1920 miały 38.033 tys., a w r. 1936 już 43.121 tys. mieszkańców. Sądząc z powyższych liczb, należało stan tych państw uważać za bardziej pomyślny niż wielu innych krajów Europy i dlatego krok ich tłumaczono najchętniej dążnościami odwetowymi jednego a imperialistycznymi drugiego. A jednak, choć przypuszczenia te nie były bezpodstawne, inne poważniejsze jeszcze racje odegrały niemałą rolę. *Duce* miał słuszną rację, kiedy powiedział, że nie ma kwalifikacji do rządzenia ten, kto nie umie patrzeć 50 lat naprzód.

I rzeczywiście, jeśli każda przewidująca polityka musi oceniać położenie w dalszej perspektywie, to przede wszystkim należy o tym pamiętać przy zagadnieniach ludnościowych, które z natury rzeczy rozgrywają się zawsze na dłuższym odcinku czasu. Zarówno okres choroby, jak stadium leczenia rozciąga się tu na przestrzeni dziesiątek lat, błędy dziś popełnione zemszczą się za lat kilkadziesiąt, środki zaradcze teraz użyte przyniosą owoc po niemniejszym okresie czasu.

Jeśli Francja znajduje się obecnie w niezwykle ciężkiej sytuacji ludnościowej, to przyczyn tego trzeba szukać od połowy 19 wieku, kiedy to roczny jej przyrost naturalny spadł poniżej 5, a w 20 lat później nawet poniżej 3 osób na 1000 mieszkańców. Jeśli zaś od szeregu lat wydaje olbrzymie sumy na akcję popierania licznych rodzin, to trzeba poczekać jeszcze dłuższy czas, zanim będzie można powiedzieć coś o skuteczności tych środków. Podobnie ma się rzecz z tymi zaburzeniami na terenie ludnościowym, które wynikły z powodu strat w wojnie światowej; nie

¹⁾ Owszem, jeśli chodzi o ludność rdzennie francuską, deficyt był jeszcze większy i wynosił w r. 1935 przeszło 38.000, a w r. 1936 przeszło 32.000 więcej zgonów niż urodzeń.

ustąpią one wcześniej jak za lat kilkadziesiąt, dopóki nie przeminie pokolenie, zrodzone w okresie wojennym.

Ten specyficzny charakter zagadnień ludnościowych stanowi też największą przeszkodę w należytych zrozumieniu ich przez szerokie sfery społeczeństwa. Przyzwyczajone do szybkiego dziś przebiegu zdarzeń, żyjące czasem niemal z dnia na dzień, pragnęłyby także w tej dziedzinie widzieć doraźne pociągnięcia i natychmiastowy skutek. Patrząc na obecne trudności gospodarcze i bezrobocie, skłonne są dlatego do hamowania przyrostu naturalnego, zwłaszcza że co roku biuletyny statystyczne donoszą im o zwiększeniu liczby mieszkańców kraju. W tych warunkach polityka popierania rozrodczości jest raczej niepopularna, a propaganda neo-maltuzjańska znajduje zwykle podatny grunt.

Kiedy jednak przeciętny ogół najczęściej rozprawia o „przeludnieniu“ i z troską spogląda na rosnące zastępy „zbytecznych ludzi“, to fachowcy z niemniejszym lękiem patrzą w przyszłość, która ukazuje im jednak wręcz odwrotne niebezpieczeństwo. Teoria R. Malthus'a ich nie przeraża; już dawniej schowali ją do archiwów. I pogróżki Edwarda M. East'a (U. S. A.), że za 120 lat ziemia może mieć 5 200 000 000 mieszkańców, nie biorą na serio. Dzisiejszy stan rozwoju rasy białej jest tego rodzaju, że nie tylko zwalnia ich od wszelkiej trwogi w tej mierze, lecz właśnie budzi obawy przeciwnie.

Dwa mianowicie fakty uderzają ich w tym rozwoju i uprawniają do zajęcia takiego stanowiska.

Z jednej strony widzą rekordowy wzrost ludności Europy: ze 188 milionów w r. 1800 na 400 mil. w r. 1900 i na 512 mil. w r. 1935. Ludność poszczególnych krajów powiększyła się w tym czasie dwu i trzykrotnie, a Danii oraz Anglii z Walią i Szkocją nawet czterokrotnie.

Z drugiej jednak strony rozpoczyna się w Europie — po części już z końcem 19, a przede wszystkim w wieku 20 — stopniowy spadek liczby urodzeń. Jeszcze w latach 1880—1890 przypadało w poszczególnych krajach ponad 30 urodzeń na 1.000 mieszkańców; wyjątek stanowiły jedynie Francja, Irlandia, Szwecja i Szwajcaria, choć i tu liczba urodzeń nie spadała poniżej 20. Od tego jednak czasu niższa urodzeń

staje się zjawiskiem powszechnym i trwa, można powiedzieć, do dnia dzisiejszego, przybierając w niektórych krajach wprost katastrofalne rozmiary. Tak np. w Anglii i Walii na 1.000 mieszkańców przypadało w r. 1890 urodzeń 30·3, a w r. 1935 tylko 14·7, czyli mniej niż połowa. Podobny spadek zaznaczył się w Austrii, gdzie w r. 1935 było tylko 13·47 urodzeń na 1.000 mieszkańców. W Niemczech na tę samą liczbę ludności przypadało w r. 1890 urodzeń 35·7, a w roku 1933 tylko 14·7; w praktyce oznaczało to utratę 802 tys. dzieci w porównaniu z r. 1890.

Te dwa pozornie sprzeczne zjawiska — znacznego wzrostu liczby ludności, mimo powszechnej zniżki liczby urodzeń — mają jednak swą wymowę. Jeśli w okresie od r. 1900—1935 ilość urodzeń spadła ogromnie, a mimo to ludność Europy powiększyła się okragło o sto milionów, to przyrost taki może jedyne wytłumaczenie znaleźć w znacznie zmniejszonej śmiertelności. Po prostu ubytek zgonów był tak wielki, że nie tylko wyrównał, ale przewyższył nawet zniżkę urodzeń. Dzieci przyszło na świat mniej, ale jeszcze mniej ludzi umarło i w rezultacie ogólna liczba ludności „wzrosła”.

Czy jednak tego rodzaju przyrost naturalny można uważać za pocieszający? — Zapewne należy powitać z uznaniem, że śmiertelność zmniejszyła się silnie i że wzrosła długowieczność. Jest to przecież tryumf nowoczesnej higieny i cel dalszych dążeń w tym kierunku. Nie wolno jednak zapominać, że taki stan rzeczy kryje zarazem w sobie groźne niebezpieczeństwo. Jeśli mianowicie powiększająca się liczba dorosłych i starców nie zostanie zrównoważona odpowiednim napływem młodego, świeżego życia, wówczas proporcja między młodymi a starymi zacznie się zmieniać na korzyść tych ostatnich i organizm danego narodu zacznie się starzeć. Innymi słowy: im więcej ludzi w wieku dojrzałym pozostaje przy życiu, tym bardziej konieczną staje się wysoka liczba urodzeń, która zapobiegłaby owemu „starzeniu się”.

Niestety z krajów zachodnich jedna tylko Holandia zrozumiała tę prawdę i posiada liczbę urodzeń, przewyższającą przeszło dwa razy liczbę zgonów. Pozostałe jednak

kraje zachodniej i północnej Europy nie chcą uznać w praktyce tej konieczności; i w tym leży ich tragedia.

Aby mieć pewien obraz, jak wygląda taki „starczy” naród, dość będzie porównać układ ludności podług wieku we Francji i w Polsce. Kiedy w r. 1931 na każde sto osób przypadało u nas 43·1 dzieci i młodzieży do lat 19, to Francja miała ich tylko 30·4; ale za to posiadała ona równocześnie 25·4 osób w wieku 50 i więcej lat, podczas gdy Polska miała ich tylko 14·9. Jaka to kolosalna różnica pomiędzy naszym krajem, który tętni życiem młodym, a „krajem starców”, jak francuscy demografowie nazywają swą ojczyznę!

Jakie jednak następstwa mogą wynikać z takiego stanu rzeczy? — Na ogół ujemne; a przy tym będą one pogarszały się w miarę dalszego nieuniknionego przyrostu osób starszych. Na polu gospodarczym odbije się to rosnącym obciążeniem młodszych pokoleń (stosunkowo coraz mniej licznych), które muszą zarabiać na utrzymanie starszych, niezdolnych już do pracy. W zakresie obronności państwa jest to zrozumiałym niebezpieczeństwem. Co zaś najgorsze, wysoka liczba osób starszych wiekiem, przy niskiej z powodu ograniczania urodzeń ilości młodych, staje się poważnym zagrożeniem normalnego rozwoju ludności w ogóle. Jak bowiem widzieliśmy powyżej, dzisiejszy przyrost naturalny krajów Zachodu opiera się głównie na niskiej stopie śmiertelności. Lecz stopa ta nie da się utrzymać i będzie siłą rzeczy rość w miarę przybywania ludzi starszych, ponieważ wśród tych śmiertelność jest zawsze wyższa. Z chwilą jednak, gdy ogólna ilość zgonów pocznie wzrastać, przyrost naturalny będzie malał i jeśli nie uratuje go wzmożona rozrodczość, może nawet przejść w deficyt. A wówczas liczba mieszkańców zacznie spadać i kraj stanie przed grozą powolnego wyludnienia.

We Francji, która najdawniej rozpoczęła „walkę z dzieckiem”, proces ten się już odbywa, a skutki jego są widoczne. „Francja już jest obecnie tym krajem świata, który liczy najwięcej starców” — pisze Fernand Boverat, wiceprezes Rady *Conseil Supérieur de la Natalité* i sekretarz generalny organizacji *Alliance Nationale contre la Dépopulation*;

14% jej mieszkańców, to ludzie mający 60 lub więcej lat; w niektórych departamentach odsetek ten jest znacznie wyższy, np. w dep. Yonne wynosi 21%. Widmo wyludnienia, którego przejawem była już niejednokrotna nadwyżka zgonów nad urodzeniami, zagląda też Francji coraz śmieiej w oczy, mimo usilnej propagandy i olbrzymich sum, łożonych rokrocznie na rzecz zwiększenia rozrodczości i popierania licznych rodzin. A co będzie dalej? „Czy pozwolicie — woła do Francuzów F. Boverat — żeby Francja stała się małym krajem, zaludnionym przez starców?”¹⁾

Nie tylko Francja jest jednak zagrożona dziś w swym stanie posiadania. Szereg innych krajów Europy czeka w przyszłości podobny los. Wprawdzie oficjalne statystyki ruchu ludności wykazują w nich stale pewien przyrost naturalny, jest on wszakże złudny, gdyż przy obliczaniu go nie uwzględniono układu ludności podług wieku, zestawiano nagie cyfry bez wglądu w objętą nimi treść. A tymczasem ta „treść” jest rzeczą istotną, bo jeśli komu poślą stu ludzi do pracy, to chyba nie jest obojętne, czy to są ludzie młodzi i pełni sił, czy niedołężni starcy. Niestety dawna statystyka i oparte na niej obliczenia nie uwzględniały tego momentu i dlatego dawały wyniki, formalnie poprawne, ale nie odzwierciedlające zupełnie faktycznego stanu rzeczy. Porównywano z sobą ilości zupełnie niewspółmierne, obracano fikcjami, podawano jako przyrost to, na czym ciążyła „hipoteka śmierci”.

Dopiero nowoczesne metody badania wprowadziły cały zastęp poprawek, które zmieniają niekiedy gruntownie postać rzeczy i wiodą do wniosków czasem wprost przeciwnych. Chcąc mieć pewne o tym pojęcie, wystarczy zestawić dawne „surowe” liczby urodzeń, zgonów i przyrostu naturalnego z dzisiejszymi „oczyszczonymi” (sprostowanymi) obliczeniami. Przypatrzmy się na przykład, jak w jednych i w drugich cyfrach wygląda bilans ludnościowy Niemiec w r. 1932:

¹⁾ Por. najnowsze wydanie broszury: Fernand Boverat: *L'effondrement de la Natalité et la Péréquation des Ressources aux Charges de Famille*. Paris, Editions de l'Alliance Nationale contre la Dépopulation.

	bilans „surowy“	bilans „oczyszczony“
urodzenia	15'1	12'3
zgony	10'8	17'4
przyrost naturalny	(+) 4'3	(—) 5'1

Kiedy więc oficjalny bilans wykazuje na 1.000 mieszkańców 10'8 zgonów a 15'1 urodzeń, to po takim opracowaniu tych danych, aby przedstawiły obraz rzeczywistego stanu ludności, pokazuje się, że sytuacja jest odwrotna: ilość zgonów jest wyższa, niż urodzeń, tak że ostatecznie zamiast fikcyjnej nadwyżki 4'3, mamy deficyt 5'1. Deficyt zaś taki oznacza w dalszej perspektywie: naprzód stagnację, a potem stopniowe wyludnienie.

Los ten, przed którym Trzecia Rzesza broni się tak energicznie przez popieranie licznych rodzin, wisi obecnie nad 11 innymi krajami Europy, w których „oczyszczony“ bilans ludnościowy wykazuje większy współczynnik zgonów, niż urodzeń. Są to: Francja, W. Brytania, Belgia, Szwajcaria, Austria, Szwecja, Norwegia, Dania, Finlandia, Estonia, Łotwa.

Odkrycie to — a można się tak wyrazić, gdyż nowe metody badania pochodzą z lat ostatnich — przeraziło wszystkich i uderzono na alarm. „Rasa biała w niebezpieczeństwie!“, *La race blanche en danger de mort*, pod tym tytułem wydał swą rozprawę w r. 1933 Fernand Boverat we Francji, a w roku następnym tę samą tezę podjął Friedrich Burgdörfer, dyrektor przy Państwowym Urzędzie Statystycznym w Berlinie, jeden z najwybitniejszych dziś specjalistów w dziedzinie ludnościowej. „Biała rasa — pisze on w swej broszurze *Sterben die weissen Völker?* (München 1934) — choć stanowi tylko trzecią część ludzkości, rozciąga jednak obecnie swe panowanie nad $\frac{3}{4}$ powierzchni kuli ziemskiej i prawie nad $\frac{2}{3}$ jej mieszkańców — ale ta jej potęga stoi na glinianych nogach. Nie dość, że białe narody żyją w niezgodzie między sobą, ale po części zaprzepaściły lekkomyślnie swe panowanie, a po części spycha je na coraz dalszy plan zwycięski i nie dający się niczym powstrzymać wzrost urodzeń ras kolorowych“ (str. 47).

Jakże bowiem przedstawiała się ta proporcja? — W r. 1932 ogólna liczba ludności kuli ziemskiej wynosiła

przypuszczalnie 2 030 000 000, z czego 678 mil. przypadało na rasę białą, reszta na kolorowe. Spośród ogólnej zaś liczby urodzeń, wynoszącej prawdopodobnie około 61 milionów — 17 mil. należało do rasy białej, a 44 mil. do pozostałych. Innymi słowy: rasa biała stanowi trzecią część ogółu ludności ziemi, podczas gdy liczba jej urodzeń przenosi tylko nieznacznie czwartą część ogólnej liczby urodzeń. Jest to świadectwo nad wyraz smutne, powiada Fr. Burgdörfer, bo robi wrażenie, jakby narody białej rasy straciły już wolę życia i wzrostu; nie pomoże im bowiem ich wyższa „jakość“, jeśli nie dopisze ilość. Znalazły się dziś na tej samej pochyłej równi, która doprowadziła niegdyś do zguby potężne państwa i kultury Asyryjczyków, Egipcjan, Greków i Rzymian (tamże, str. 8—14, 81—82).

Postępujący zanik urodzeń i idące za nim konsekwencje grożą jednak nie tylko rozprawą między rasą białą a rasami kolorowymi, lecz pociągają za sobą głębokie naruszenie równowagi w łonie narodów samej rasy białej, zwłaszcza w Europie. By je zrozumieć, wystarczy spojrzeć na zamieszczoną poniżej tablicę. Ludność Europy jest tu podzielona na trzy grupy narodów: germańskich, romańskich i słowiańskich. W r. 1810 grupy te różniły się niewiele między sobą, lecz w sto lat później ten stan rzeczy uległ dużej zmianie, przy czym grupa romańska, przedtem silniejsza od germańskiej pozostała teraz daleko poza nią. W r. 1930 różnice te zaznaczyły się jeszcze silniej: grupa germańska cofnęła się na korzyść romańskiej, a ogromną przewagę zdobyła grupa narodów słowiańskich.¹⁾

grupa narodów	r. 1810	r. 1910	r. 1930
germańskich	59 mil.	152 mil.	149 mil.
romańskich	63 „	108 „	121 „
słowiańskich	65 „	187 „	226 „
Europa (razem)	187 „	447 „	496 „

W dynamice rozwoju ludnościowego Europy dokonali się więc głębokie przesunięcia, a jeszcze większych — do-

¹⁾ Friedrich Burgdörfer: *Volk ohne Jugend*. Berlin-Grunewald 1934. Str. 383.

daje Fr. Burgdörfer (str. 383) — należy się spodziewać w przyszłości. Jeśli bowiem dalej tak pójdzie, to w r. 1960 narody słowiańskie będą liczyły 303 milionów, a germańskie 160 mil. Że te posunięcia napełniają trwogą Niemców, nie potrzeba chyba dodawać i autor nie ukrywa tego bynajmniej.

Wyludnienie bowiem, to najstraszniejszy cios, jaki może spotkać dany kraj, gdyż pociąga za sobą utratę jego znaczenia mocarstwowego i ustąpienie pierwszeństwa innym. Oznacza ono postępujący uwiąd starczy, malejącą zdolność produkcyjną i przejście na łaskę drugich. Jest to w ogóle hańba dla dotkniętego nim kraju, gdyż świadczy o jego niezdolności do życia.

Kraj, który w następstwie braku urodzeń nie jest już w stanie utrzymać swego poziomu ludnościowego, ginie powolną śmiercią samobójczą — tak wyrażają się o swej ojczyźnie sami Francuzi — nie wskutek przemocy z zewnątrz, ale z ręki własnych obywateli. Dziś narody nie giną przez wojny. Przekonano się o tym najlepiej podczas ostatniej pożogi światowej. Samych Europejczyków padło wtedy około 7 milionów na placu boju, miliony dzieci nie przyszły na świat w latach 1915—1919, zwiększyła się śmiertelność wśród ludności cywilnej, a jednak na ogólnej liczbie ludności nie zaważyło to tak silnie, jak oczekiwano. Nie zniszczą nas również mory i głody, groźne w czasach średniowiecza, ale nie trudne do zlokalizowania i usunięcia w warunkach obecnych. Niebezpieczeństwo grozi dziś, zdaniem znawców — jedynie z powodu spadku urodzeń.

Narody stojące na pewnym poziomie kultury i odznaczające się przy tym silną rozrodczością, choćby nawet znalazły się w niewoli, nie zginą. Słowa te, o których prawdziwości wiemy dobrze z własnego doświadczenia, wypowiedział Fr. Burgdörfer, dodając bezpośrednio potem takie ostrzeżenie pod adresem swych rodaków: jeśli jednak jakiś naród — choćby nawet na zewnątrz utrzymał swe dominujące stanowisko — przestanie się rozmnażać w dostatecznej mierze, to ani jego potęga materialna, ani wyższość kulturalna nie uchroni go od zepchnięcia przez inne, bardziej płodne narody.¹⁾

¹⁾ *Volck ohne Jugend*, str. 411—12.

Ponure horoskopy, stawiane rasie białej, względnie poszczególnym jej ugrupowaniom lub ludom, nie są jednak nieuniknioną koniecznością. Podtrzymywana dawniej teoria, że istnieje biologiczne prawo starzenia się narodów cywilizowanych, które doprowadzi je w końcu do nieuchronnej zagłady, została dziś zarzucona. Życie i śmierć narodów, powiada się obecnie, zawisły od ich woli. Jeśli zdobędą się na to, żeby liczbę urodzeń utrzymać na takim poziomie, jaki potrzebny jest do ich zachowania i dalszego rozwoju, mogą spokojnie patrzeć w przyszłość. Jeśli jednak nie zejść z drogi dotychczasowego ich ograniczania, nie ma żadnego środka, który by na dalszą metę uratował je od upadku.

Taki jest wyrok dzisiejszej wiedzy w dziedzinie demografii. Jakże uderzającym jest — możemy tu dodać od siebie — że schodzi się on z tym, co etyka katolicka głosiła od dawna: praw natury w zakresie stosunku płci i małżeństwa gwałcić nie wolno! Wyniki ścisłych badań naukowych i poczynione już doświadczenia stwierdzają inną drogą to samo, że życie płciowe nie może służyć celom egoistycznym, oraz że zdrowa i liczna rodzina jest głównym zabezpieczeniem narodu i państwa pod względem tężyzny fizycznej i duchowej, jedynym zapewnieniem trwałej potęgi mocarstwowej i gospodarczej. Innej drogi nie ma!

Lecz ta droga jest trudna. Egoizm jednostki i interes społeczny tu staczają najzaciętsze boje. I dlatego szczęśliwy jest kraj, którego obywatele i rząd doceniają znaczenie tego odcinka i potrafią na nim zgodnie współdziałać.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Dzisiejsza Szwajcaria.

Szwajcarię, tę naturalną „oś Europy“, nawiedzają corocznie setki tysięcy zagranicznych turystów; przez ten niewielki kraj przepływa połowa całego przeładunku towarowego, wędrującego handlowymi szlakami z północy na południe i z zachodu na wschód Europy. Z usług szwajcarskich kolei żelaznych korzystają wszyscy podróżni jadący bądź z Londynu na wschód, bądź ze Stockholmu do Włoch. Szwajcaria jest wreszcie siedzibą licznych instytucyj międzynarodowych. W Genewie mieści się nieproporcjonalnie do swej rzeczywistej roli głośna Liga Narodów i szereg innych instytucyj, wprawdzie mniej głośniejszych od Ligi, ale za to pracujących z bardziej konkretną korzyścią dla ludzkości, jak Międzynarodowe Biuro Pracy, Biuro Powszechnego Związku Pocztowego, Bank Międzynarodowych Rozrachunków. Dzieci, młodzież wszelkiego rodzaju i wszystkich krajów tutaj urządza swe zjazdy i *rendez-vous*, korzystając z gościnności szwajcarskich szkół i uczelni. Słowem Szwajcaria jest w dobie obecnej największym i najważniejszym kosmopolitycznym ośrodkiem.

Wobec tego rodzi się pytanie, o ile wpłynęła ta codzienna styczność mieszkańców Szwajcarii z tak wielobarwną mozaiką ludzkiego elementu na kształtowanie się ich charakteru i sposobu życia. I drugie niemniej interesujące pytanie: o ile świat skorzystał z tej gościnności na oścież otwartej Szwajcarii dla poznania jej duszy?

Odpowiedź na dwa powyższe pytania odsłania nam jeden z najbardziej dziwnych paradoksów naszej epoki: Szwajcarzy, zamknięci w sobie, pośród najprzeróżniejszych

prądów płynących z zewnątrz a krzyżujących się właśnie na terenie ich kraju, pozostali Szwajcarami; zagranica zaś, która zna dobrze krajobraz alpejski, nie zna duszy szwajcarskiej; wytworzyła jedynie konwencjonalny, powierzchowny wizerunek ludzi, których zrodził szwajcarski krajobraz.

Wprawdzie dużo krąży po świecie portretowych klisz, robionych na miejscu w kraju skonfederowanych demokracji. Podziwia się je bez dyskusji i nie można zresztą powiedzieć, by były fałszywe. Bo przecież i najstarszy obecnie na świecie demokratyzm szwajcarski i duch gorącego patriotyzmu i doskonała harmonia, wiążąca życie czterech narodów i dwóch wyznań odrębnych, przywiązanie mieszkańców do kantonalnego ustroju, instytucje i przeżytki partykularyzmu, komfort i zamiłowanie do czystości, przystępność i uszlusność, doskonała organizacja turystyki i wysoka stopa życiowa — to są rzeczy stwierdzone, prawdziwe. Ale brak im pewnych uwypukleń nie oddają więc rzeczywistości szwajcarskiej właśnie w tym, co jest bodaj w niej najistotniejsze i stąd najbardziej zawile. Uchwycenie żywej duszy szwajcarskiej, a nie tylko jej mechaniczną reprodukcję, utrudnia wybitnie naczelna zasada, rządząca życiem Szwajcarii; brzmi ona: jedność w różności, różność w jedności.

Być może, że duszę tej krainy przeciwieństw wypiastrzała i wychowała sama szwajcarska przyroda. Bo ta przyroda jest przebogata w grę kontrastów. Oto raz rozpostrze się nad nami wspaniały, nieskalany błękit nieba, przeglądający się w kryształach nieruchomych wód Lago Maggiore; raz znowu szare, zimowe niebo w mgłach Zurychu; raz rozśmiane wzgórza berneńskiego pasma Jura, to znowu majestatyczne, zadumane szczyty górskie Oberlandu, w tym samym jeszcze berneńskim kantonie; a za chwilę rozścielą się urodzajne niwy Renu koło Schaffuzy lub ciemne lasy Engadinu.

Nie ma jeziora, które by nie posiadało swoistego oblicza, które by jakimś bodaj drobnym szczegółem — czy to układu wód czy wdziękiem położenia, czy jakimś miłym chłodem lub skalistą, porwaną koronką brzegów, czasem pustych i dzikich, czasem znowu pokrytych bogatą szatą

zieleni, przetkaną plamami małych zabudowań nadbrzeżnych — nie podkreślało swej indywidualności, swej niepowtarzającej się odrębności.

Kontrasty te jeszcze bardziej podkreślił i uwidocznił człowiek. Gdziegdzie dźwignął olbrzymie miasta przemysłowe, gdzie indziej zostawił nietknięte w swej pierwotności całe połacie górskiej przestrzeni. Szybkość przenoszenia się z miejsca na miejsce, skracająca przestrzeń, dokonała reszty. Dzięki niej przeciwieństwa szwajcarskiego krajobrazu są wprost dotykalne, bezpośrednio uchwytne.

Kaprysy historii wytworzyły szereg wyrazistych linii podziału w stosunkach wewnętrznych tych z natury już i tak rozdrobnionych dzielnic, dodając do gospodarczych, klimatycznych i innych granic jeszcze granice polityczne, językowe oraz religijne. Tak naprz. mała miejscina Appenzell z swymi przedmieściami jest czysto katolicka; zaledwie jednak przekroczy się granice Rodezów Zewnętrznych, już jest się w kraju arcyprotestanckim. Ludzie żyją tu tak od czterech wieków. Oddaleni od siebie zaledwie o kwadrans drogi, zachowują nienaruszenie swą odrębność religijną, nie znając prawie zupełnie mieszanych małżeństw. We Fryburgu jedna część miasta mówi po francusku, druga po niemiecku. Mała rzeczulka i kilka potoków dzieli dwa języki i dwie kultury... Kanton berneński obejmuje dzielnicę francuską i dzielnicę niemiecką, zakątek katolicki i obszar zamieszkały przez ewangelicką większość.

Kanton ten przylega do kotliny Belfort, ciągnie się jeszcze poprzez większość masywu Jura i szczyty Alp Szwajcarskich. Tutaj właśnie znajduje się ośrodek przemysłowy, centrum zegarowego wyrobnictwa, przemysłu mlecznego ze sławnym serem szwajcarskim z Emmenthal i czekoladą, oraz ośrodek przemysłu metalurgicznego, a to wszystko tuż obok okolic czysto rolniczych. Berneńska szlachta jest pełna wykwintnej kultury i ogłady, niezwykle czysto i poprawnie mówi i pisze po francusku i po niemiecku; ale tuż obok wieśniacy z Bärnbiet odznaczają się rażącym nieokrzesaniem i posługują się jakimś niezrozumiałym żargonem. W kantonalnym parlamencie berneńskim zasiadają obok siebie radykali, liberalni demokraci, agrariusze, katolicy,

socjaliści i — przypuszczam — trochę nazistowskich „frontystów” i komunistów.

Zdawało by się, że ta atomizacja stosunków grozi wielkimi niebezpieczeństwami, że każdy obywatel jest pochłonięty przez tysiąc najrozmaitszych partykularyzmów. Tymczasem Szwajcarzy usiłują zawsze uświadamiać sobie to, co ich łączy, a zacierać to, co mogłoby ich dzielić i kłócić między sobą. Taki na przykład czcigodny profesor, syn wieśniaka i jednocześnie zainteresowany w hotelarskim przedsiębiorstwie swego kuzyna, jest katolikiem razem z półtora milionem swoich współobywateli, romańczykiem z ośmiuset tysiącami; z pięciu milionami Szwajcarów dzieli przynależność do kultury francuskiej; konserwatystą jest wraz z jedną czwartą ludności całej Szwajcarii; Valezeńczykiem z urodzenia a obywatelem Fryburga przez adopcję, inteligentem z wykształcenia, związany jednak pozostaje nadal z rolą jak i z turystycznym przemysłem. Słowem osobistość wielce złożona. Ale nie czuje się bynajmniej odosobnionym w swym kraju. Gdziekolwiek się zwróci, wszędzie znajdzie kogoś, kto podziela jego przekonania, jego zamiłowania i niechęci, odczuje przynależność do określonej grupy o wcale pokaźnym ciężarze gatunkowym na wszystkich odciinkach życia.

A jednak pomimo tej atomizacji można mówić o pewnych podstawowych typach, do których należy większość Szwajcarów.

Przede wszystkim każdy Szwajcar — od szarego obywatela i komunisty proletariusza po „reakcyjnych” patrycjuszów — kocha głęboko swą ojczyznę, miłością gotową do rzeczywistych ofiar. Ten patriotyczny duch, jakiego zresztą nie spotyka się gdzie indziej w takim stopniu, brzydzi się patetycznością i grandilokwencją; jest prosty, naturalny, zrodzony z równie silnego przywiązania do piękna ojczystej przyrody, jak i odziedziczonej po przodkach wolności. Patriotyzm i związane z nim pewne zamiłowanie w rzeczach zdrowych i prawych tak w dziedzinie idei i moralności, jak w drobiazgach życia codziennego — oto zdaje się wszystko, co bezsprzecznie stanowi wspólną cechę społeczności Szwajcarów.

Bo gdzie indziej, naprz. już w zakresie religijnych przekonań istnieją znaczne różnice. Szwajcar, czy wierzy, czy nie wierzy, lubi zajmować jasne stanowisko; na szczęście stanowisko to jest w przytłaczającej większości stanowiskiem... pozytywnym. Niewiarę spotyka się jedynie wśród proletariatu wielkich miast, w pewnych środowiskach radykalizującego drobnomieszczaństwa i u niektórych przedstawicieli sfer intelektualnych, uważających się za wyzwolonych z „przestarzałych już przesądów”. Zresztą trzeba zaznaczyć, że ci ateści nie są nastrojeni agresywnie; zostawiają innym zupełną swobodę przekonań i praktyk; chorują raczej na indyferentyzm niż na gorączkę nienawiści. Najliczniejsze kadry niewierzących rekrutują się z nieuświadomionych, wiodących życie „na marginesie” religii, której przyznają wprawdzie wartość teoretyczną, ale której nie znają na tyle, by dać się jej przekonać i porwać do czynu.

Brak zainteresowania dla spraw wiecznego zbawienia jest szczególnie charakterystyczny dla ośrodków protestanckich większych miast. Ci ludzie, a także i katolicy, zarówno mieszkańcy miasta jak i wsi, otrzymali religijne wykształcenie na tyle wystarczające, żeby nigdy już nie porzucić form obrzędowych danego wyznania, w tym samym mniej więcej stopniu co i średnie klasy w Bazylei i Zurychu, z daleka tylko szanujące chrystianizm. W każdym razie trzy czwarte ludności albo i więcej są praktykujące; stosunek pocieszający i potwierdzający ogólne przekonanie, że prawdziwa wolność form wyznaniowych da się dobrze pogodzić z istotnymi dążeniami Kościoła.

Szwajcaria jest ośrodkiem najbardziej żywotnego protestantyzmu, lecz jednocześnie najbardziej rozdrobnionego na sekty. Genewa, Neuchâtel i le Vaud to miasta czysto kalwińskie z wyjątkiem pewnych sfer, zarażonych modernizmem. Wspomniane kantony do dziś dnia są wylegarnią pastorów i misjonarzy, wychowawców i wychowawczyń, którym żaden katolik nie odmówi ani poświęcenia się ani wyrzeczenia. Żywią oni często fałszywe wyobrażenia o „papiściach”, to prawda; ale te przesady, zresztą nierzadko obustronne, bynajmniej nie pochodzą ze złej wiary.

Protestantyzm niemieckiego pochodzenia jest przede wszystkim „reformowany”; wywodzi się od Zwingli’ego, „reformatora” z Zurychu. Obok niego spotykamy się w równym stopniu z luteranami, kalwinami, dalej z metodystami, baptystami, zwolennikami *Christian Science*. *Armia Zbawienia* cieszy się dość znacznym wzięciem w regionach protestanckich, raczej jednak dla swych dobroczynnych dzieł, niż swej nauki.

Teoretyczno-dogmatyczna strona wiary nie pasjonuje zbyt wiele szwajcarskich ewangelików. Wewnątrz kościoła reformowanego istnieje szereg zasadniczych różnic, co nie wywiera wrażenia na wiernych. Każda gmina wybiera sobie pasterza według swego upodobania. Raz więc można usłyszeć kazania pastora, który przemawia w duchu zachowawczym i ortodoksyjnym, przyjmuje kilka sakramentów; gdzie indziej padają z kazalnicy słowa tak szerokiego liberalizmu, że właściwie nie pozostaje już w nim żaden istotny składnik tradycyjnego chrystianizmu i z trudnością tylko przyjmuje się jeszcze historyczne istnienie Jezusa.

Nie przeszkadza to jednak, że obaj ci kaznodzieje są zależni od jednego konsystorza. Owszem zdarzają się jeszcze ciekawsze kombinacje. Niektóre parafie Zurychu i Bazylei mają pastora na zmianę — jednego socjalistę i jednego przedstawiciela burżuazji. Zależnie od tego, o której godzinie idzie się do świątyni, można usłyszeć albo słowa osłodzonego marksizmu, noszącego dość niewyraźne już ślady zwingliańskich pozostałości, albo też rzetelną ewangelicką naukę, zbiegającą się w wielu punktach z nauką Kościoła Rzymskiego.

Podobnie zresztą dzieje się i na samych szczytach teologicznej wiedzy. Ragaz, sławny bojownik religijnego socjalizmu, jest tak samo Szwajcarem jak wielki myśliciel Barth, któremu Trzecia Rzesza odebrała katedrę na uniwersytecie pruskim w Bonn właśnie za jego niedwuznacznie okazywaną sympatię dla katolickiej i ortodoksyjno-luterańskiej opozycji.

Słowem protestantyzm szwajcarski przypomina, jeżeli zechcemy posłużyć się nieco drastycznym porównaniem, owe *Dachgesellschaften*, owe związki anonimowych spółek, jakich pełno jest w gospodarczym życiu szwajcarskiej Konfederacji,

a w których skupiają się ludzie najbardziej przeciwnych partyj w celu świadczenia sobie wzajemnej pomocy.

Czegoś podobnego — jak się nam zdaje — nie ma u katolików. Jedność wiary i nauki kościelnej chroni owieczki podległe władzy Piotrowego Namiestnika przed niepewnością i sprzecznościami. Lecz jakkolwiek katolicyzm szwajcarski jest całkowicie uległy Rzymowi, mimo to zachowuje pewne swoiste cechy, które zawdzięcza wrodzonemu Szwajcarom demokratyzmowi, przenikającemu całe życie publiczne. A więc biskupów wybierają kapituły za porozumieniem się i zgodą władz kantonalnych. Przedstawionych kandydatów jak dotychczas zatwierdzała Stolica Apostolska zawsze. Podobnie większość proboszczów jest wybierana przez rady parafialne, a tylko zatwierdzana przez ordynariusza. Stosunki te nie umniejszają bynajmniej powagi dostojników kościelnych w ich rządach klerem, ani niezwyklej czci, jaką darzą ludzie świeccy wybieranych przez siebie proboszczów. Katolicy prawie w całości wypełniają religijne praktyki. Na wsi wytyka się palcem tego, który by zaniedbał swą wielkanocną spowiedź. Nawet rodziny radykałów w katolickich regionach biorą publiczny udział w religijnych obrzędach i na świąteczne uroczystości nie szczędzą wydatków.

Stronnictwo katolickie zdobywa większość głosów we wszystkich prawie kantonach katolickich (Lucerna, Uri, Schwytz, obydwa Unterwald, Zong, Solura, Rodezy Wewnętrzne, Valaris, Fryburg, Tessin, połowa St. Gall), lecz pewna część posłusznych skądinąd synów Kościoła wojuje pod sztandarem lewicowym (radykalnym), a pewna tworzy właśnie szeregi socjalistów, chodzących na mszę św....

Przeciętny katolik szwajcarski nie jest mistykiem ani wizjonerem; od stóp do głów jest on tak samo naturalnie chrześcijaninem, jak jest blondynem lub brunetem, starcem lub młodzieńcem, matołkiem lub profesorem liceum.

Uczęszczanie do kościoła tak samo wchodzi w skład jego istoty jak jedzenie lub oddychanie. Od godziny piątej i pół rano do godziny siódmej widzi się wypełnione szczelnie kościoły, w których bez przerwy odprawiają się msze św., długie rzędy skupionych i nabożnie ułożonych ludzi przystępujących do Stołu Pańskiego, z których postaci przebija

nie jakaś sztuczna poza, lecz — że tak powiem — rozważna gorliwość. Zdarzyło mi się osobiście, że właśnie jednego z uczestników tych porannych nabożeństw spotkałem o godzinie ósmej przy okienku w jednym banku, gdzie mi wypadło wymieniać pieniądze. Poznałem go po brodzie i kwadratowych ramionach. Zrozumiałem wtedy tajemnicę szwajcarskiej *prosperity: ora et labora*.

II.

Wymienione wyżej niekonsekwencje, mniej lub bardziej głęboko tkwiące w naturze ludzkiej, zdają się szczególnie tkwić w naturze szwajcarskiej. A odnosi się to nie tylko do zwyczajnych mieszkańców i praprzodków-założycieli. Weźmy np. obecną teorię i praktykę polityczno-rządową. Opisując ją, mam na myśli hrabiego Ugolina, który zjadał swe dzieci z rodzicielskiej miłości, by zachować im ojca w okresie głodu... Szwajcarzy nie cierpią, by jakiś zarząd był wyznaczany, mianowany; sam ten wyraz razi ich ucho. Pisze się i mówi wtedy, że taki a taki został „wybrany” na taki a taki urząd. I tak federalni radcy, w liczbie siedmiu, tworzący nie tylko rząd centralny, ale i rodzaj zbiorowej głowy państwowej (prezydent jest tylko przedstawicielem najwyższego kolegium i zmienia się co roku) i panowie ministrowie, o skromnym stosunkowo tytule, a w rzeczywistości rozporządzający wprost nieograniczoną władzą faktycznych ekscelencyj monarchów i dyktatorów, są również wybierani przez Zgromadzenie Związkowe, złożone z Izby posłów (Rady Narodowej) i senatu (Rada Stanowa). De facto jednak ci administracyjni urzędnicy są wybierani stale, z wyjątkiem wypadków nadzwyczajnych, aż do czasu, gdy sami wreszcie zgłoszą rezygnację z urzędu. Przeciętnie więc urzędnicy ci i dostojnicy piastują władzę przez lat 20 lub nawet 30 bez przerwy. Motta, prezydent konfederacji na rok 1937, jest radcą federalnym od roku 1912. Siódemka rządzi spokojnie, nie zaczepiana ani nie krytykowana poważnie przez nikogo. Podlega tylko właściwie dwom normom: własnemu sumieniu i konieczności skoordynowania własnych wysiłków. Bóg zresztą, którego ministrowie wzy-

wają według chwalebnego zwyczaju w każdej sprawie publicznej, istnieje dla każdego z nich z osobna i każdy minister, gdy się zwraca do Boga, nie przestaje być sobą tzn. samodzielnym kierownikiem danego zakresu spraw.

Nadzór sejmowy — to czysta teoria. Tak np. kiedy w ubiegłym roku Francja dokonała swego sławnego *alignement* monetarnego, sejm (*Conseil Fédéral*) uchwalił o godzinie dziewiątej rano, że Szwajcaria nie przyłączy się do tego ruchu, a już o godzinie dwunastej frank szwajcarski był zdewaluowany i sejm ustąpił wobec faktu dokonanego. Kiedy indziej sejm uchwała energiczne zarządzenia przeciw propagandzie wywrotowej, bolszewickiej i nazistowskiej, jako przeciw czynnikom, grożącym nienaruszalności demokratycznego ustroju; nawet socjaliści nie protestują dla formy. Jednocześnie jednak te same ciała ustawodawcze powołują osobny rodzaj władzy, którą powierzają septemwiratowi, czyli tworzą niezwykle dyktaturę właśnie dla obrony swobody samej nawet istoty prawdziwej demokracji.

Bardzo przepraszamy wszystkich fanatyków parlamentaryzmu integralnego, ale nie możemy oprzeć się pokusie, by ten szwajcarski paradoks, jakim jest ta demokratyczna dyktatura albo, jeśli kto woli, dyktatorska demokracja, określić jako najbardziej sympatyczną i godną zalecenia formę rządzenia. Rozpatrywana zresztą ze stanowiska warunków miejsca i czasu jest to forma rządu najbardziej odpowiednia dla wszystkich klas szwajcarskiej ludności. Wystarczy rzucić tylko okiem na francuską anarchię lub na totalistyczne państwa — Niemcy i Włochy, by ocenić według jego prawdziwej wartości system, który nie jest żadnym z nich, w którym zdrowy instynkt działa po mistrzowsku — mianowicie wartość giętkiego i inteligentnego tradycjonalizmu Ich Ekscelencyj z Berna. Teoria ani papierowe pomysły nie wpływają zbytnio na postanowienia *Conseil Fédéral*, choć oczywiście istnieje dość liczna, skrupulatna, pracująca pod rozkazami czynników decydujących biurokracja, pełniąca dość zasadniczą funkcję. Ale te „departamenty“ powołane są do czuwania nad normalnym rozwojem codziennego życia, do załatwiania spraw bieżących. Inicjatywa zaś, tchnienie ożywiające tę administracyjną ma-

chinę pochodzi wyłącznie od ludzi, stojących przy kierownicy, wybranych instynktem, który rzadko kiedy się myli.

Weźmy np. Motte. Z wyglądu jest skromnym, wykształconym mieszczańinem, inteligentem, nie lubi pozować na dyplomata, choć piastuje obecnie godność prezydenta Konfederacji, szefa departamentu spraw zagranicznych i choć z całą pewnością należy do najrzeczniejszych dyplomatów Europy. Umie wyrazić (lub ukryć) swe myśli w sześciu językach. Słodki i melodyjny głos *du Conseiler Fédéral* stroi bardzo dobrze z jego na pół uniwersytecką i na pół parlamentarną wymową. Potomek dynastii oberżystów, osiadłych u stóp St. Gotharda od strony południowej, wzorowy, praktykujący katolik, p. Motta rozbłysnął w swoim czasie jako adwokat, potem w parlamencie kantonalnym i w Radzie Narodowej, zanim wreszcie przyjął swe *hautes responsabilités*, jak lubi określać swe stanowisko. Jako kierownik helweckiej polityki zagranicznej dokonał cudów. Miły, uśmiechnięty, dowcipny, umie powiedzieć tak lub nie z tą samą uprzejmością i wdziękiem. Motta — co ważniejsze — umie wypowiedzieć swe „nie” w chwilach rozstrzygających. Pamiętamy zwłaszcza, że on właśnie był — w pewnej chwili — jedynym przedstawicielem europejskiego kontynentu, który kategorycznie wypowiedział się przeciw wszelkim stosunkom z Sowietami. Zresztą nie szczędzi i swoich „tak” i równie wdzięczni mu jesteśmy za szereg doniosłych przyczynków w stosunkach środkowo-europejskich.

Naród szwajcarski w przeważającej swej większości zatwierdza rozwiązanie kwestii pogodzenia demokracji z dyktaturą, jakie znaleźli *conseillers fédéraux*. Ci panowie z Berna bardzo troskliwie szanują uprawnienia kantonalne a przede wszystkim instytucje, odnoszące się bezpośrednio do demokracji. Pominąwszy pewną ilość *Landsgemeinden*, które są raczej zabytkami ubiegłego stulecia, pominąwszy ich zgromadzenia, złożone wyłącznie z samych mężczyzn, rodzaj zgromadzeń Marsowych, jakie tu i ówdzie spotyka się dziś jeszcze po drobniejszych kantonach, wspomnieć wypada o tzw. referendum i inicjatywie. Każdy projekt prawa, odrzucony lub przyjęty przez sejm, może być jeszcze poddany pod głosowanie ludu — suwerena, który rozstrzyga

jako ostatnia instancja. Co więcej, na wniosek określonej ilości obywateli prawo może być poddane wprost pod głosowanie wyborców. Procedura ta przyjęta jest tak na zgromadzeniu całej Konfederacji jak i na zgromadzeniach poszczególnych kantonów. Szwajcarzy więc bywają wzywani do urny wyborczej kilka razy do roku, raz by rozstrzygnąć zagadnienia zasadnicze, to znowu by zaopiniować w kwestiach bardziej specjalnych i technicznych, np. o rozmieszczeniu i połączeniu kolejowym i drogowym, o poprawie finansowej mlecznego lub hotelowego przemysłu itp.

Szczególnie referendum jest doskonałym środkiem zachowania równowagi władzy. Obawa przed referendum odejmuje parlamentarzystom ochotę prowadzenia zakulisowych gier, z góry skazanych na odrzucenie przez społeczeństwo.

III.

Wypada z kolei poświęcić kilka uwag samemu parlamentaryzmowi. Jak wspomnieliśmy, władza ustawodawcza w Szwajcarii należy do przedstawicieli, wybranych w głosowaniu powszechnym, równym i bezpośrednim, z wyłączeniem kobiet i niepełnoletnich. Parlamenty kantonalne składają się z jednej tylko izby, która ze swej strony naznacza rząd kantonalny i kontroluje jego czynności w opisany wyżej sposób. Parlament centralny zawiera prócz Rady Narodowej jeszcze rodzaj senatu, Radę Stanową (*Conseil des États, Ständerat*), utworzoną na modłę senatu amerykańskiego, do której każdy kanton wybiera dwóch przedstawicieli.

Partie polityczne dzielą się mandatami wszystkich tych instytucyj mniej lub więcej pokojowo. Partie są liczne. A więc odróżnia się według wyznawanej ideologii partie konserwatystów (katolików i protestantów), liberalno-mieszcząską, lewicowych radykałów, socjalistów narodowych i międzynarodowych, komunistów i skrajnych nacjonalistów (nazistów). Sztyldy tych stronnictw są często zwodnicze. Tak np. skrajna prawica romańskich kantonów protestanckich nazywa się „liberalna”. Pewien odłam katolików mieni się konserwatystami, inny znów „społecznymi chrześcijanami”. Dalej istnieją również frontyści, hitlerowcy lub czysto szwaj-

carscy szowiniści (zjawisko bardzo rzadkie). Są zwolennicy Duttweilera, dość liczni i bardzo charakterystyczni dla Szwajcarii: podłożem programowym tej partii jest przyjęcie planu uzdrowienia hotelarstwa i założenia szerokiej organizacji, służącej wyłącznie aprowizacyjnym potrzebom wsi i pomniejszych miast. Wreszcie każde stronnictwo dzieli się jeszcze na podgrupy według różnic językowych.

Ogólną oś układu partyjnych stosunków da się wykreślić, przeprowadzając następującą linię (z prawicy na lewicę): faszyci niemieccy czyli frontyści, faszyci romańscy, katolicy konserwatyści i to niemieccy, romańscy i tesyńscy; „liberalni” protestanci romańscy i ich niemiecki sobowtór; socjalni chrześcijanie (*chrétiens sociaux*) narodowości niemieckiej; wielka partia radykalno-mieszczańska, najbardziej zwarta narodowościowo; chłopska partia berneńska i spokrewnione z nią odłamy chłopskie; partia Duttweilera; socjaliści, komuniści i trockiści. W Radzie Związkowej posiadają przedstawicieli wyłącznie radykali (4), katolicy (Motta, Etter), i partia chłopska berneńska (1). Parlamentarna większość Rady Narodowej obejmuje poza powyższymi także liberałów, podczas gdy socjaliści tworzą rdzeń opozycji, nie nastrojonej bynajmniej agresywnie. Kilkakrotnie podejmowano próby zaszczepienia Frontu Ludowego, zachęcając marksistów do złagodzenia swych zapędów i wejścia do Rządu centralnego. Ogół jednak społeczeństwa i sami nawet parlamentarzyści oparli się próbom rozszerzenia obecnej czysto burżuazyjnej koalicji. Przykład kantonów o większości socjalistycznej lub przynajmniej opanowanych przez socjalistów nauczył zwolenników Frontu Ludowego rotropności. Marksistowski rząd towarzysza Nicole’a w „Republique i Kantonie Genewy” nie zagrzał co prawda długo miejsca, ale zdążył zrujnować finanse i posiać ogólne rozprzężenie i zepsucie. Wyborcy — po dwóch latach wywczasów rządów mieszczańskich — pożegnali bez dalszej zwłoki swój pierwszy i ostatni rząd Frontu Ludowego i czują się obecnie zupełnie dobrze. Kantony Schaffuzy i Zurychu zakosztowały również przyjemności półsocjalistycznych rządów i nie miały w tym czasie czym się pochwalić. Czerwone wpływy działają jeszcze w Bazylej, w St. Gall, Argovie, Bernie, le

Vaud i Neuchâtel; wszędzie jednak tłumione są dzięki czujności partji burżuazyjnych. Pozostała część kraju jest zdecydowanie „reakcyjna”. Jedyne wielką schizmą, posiadającą znaczenie, jest podział na socjalistów i sfery burżuazyjne, chociaż ten ostatni termin jest bardzo szeroki i płynny.

Do tego pejzażu szwajcarskiego parlamentaryzmu, utrzymanego zasadniczo w zrównoważonych i spokojnych tonach, wnieśli frontyści nieco krzyczących i namiętnych plam. Podnieśli wrzawę przede wszystkim przeciw skandalicznej gospodarce socjalistów w większych zwłaszcza miastach (w Zurychu i Bazylei), gdzie grube i częste skandale wyprowadziły z równowagi nawet najbardziej obojętnych politycznie. Napływ pewnych elementów, znanych zresztą wszędzie jako szczególnie agenci i heroldowie komunizmu, dostarczył frontystom gotowego celu dla namiętnego ataku. Mimo to ruch utknął w miejscu. Po dwóch latach falowania, od r. 1933 do 1935, stracił swą rozpędową siłę, choć zdobył dla siebie paru przedsiębiorczych patrycjuszów w Genewie i Zurychu. Jedynym owocem agitacji frontystów to pewne oziębienie w stosunku do cudzoziemców, jeśli nie wprost ksenofobia, lub przynajmniej antysemityzm. Antysemityzm szwajcarski, choć znać go w całym kraju, nie wykazuje takiego nasilenia jak antysemityzm niemiecki, polski lub rumuński.

Władze municypalne Zurychu przyznały setce wschodnich Żydów prawo naturalizacji, by wzmocnić w ten sposób socjalistyczne kadry. Oczywiście rdzenni Szwajcarzy nie zachwycają się tą obcą inwazją. Na tym tle rozegrały się tu i ówdzie gorętsze sceny. Na ogół jednak zdrowy rozsądek, poczucie umiaru i zamiłowanie spokoju bierze górę. Szwajcar nie łatwo daje się opanować przez polityczne skrajności, które tak stosunkowo szybko rozogniają dusze mieszkańców mniej umiarkowanych klimatów.

IV.

Szwajcarzy zatem to naród grubo materialistyczny, pochłonięty wyłącznie troską o zbijanie pieniędzy?

Taką obelgę słyszy się często pod adresem Szwajcarów.

Osobiście jednak, choć to się może komuś nie spodobać, kocham i podziwiam ten zdrowy i moralny naród,

naród inteligentny i ofiarny, gościnny choć powściągliwy, który w elicie swej jest uosobieniem najbardziej szlachetnych porywów ludzkiego ducha, a który w klasach swych przez los mniej uprzywilejowanych jest wzorem cnotliwości, wyrobienia życiowego i pracowitości. Zgoda, że są to realiści, praktycy, ekonomowie. Ale nie są oni chciwi, egoistyczni, owszem można by ich ocenić jako ludzi wysoce uczynnych i pełnych miłości. Wyłączam tu oczywiście pewną klasę zawodowych poszukiwaczy zysku, których nie brak w żadnym narodzie; przyznaję, że i wśród Szwajcarów są mali ludzie, żyjący zresztą w każdej szerokości geograficznej; ale przeciętny typ szwajcarskiego inżyniera, przemysłowca, kupca cechuje pogarda groszorbstwa. Nigdzie zdaje się — poza Anglo-Saksonami — nie odkrywa się tyle zrozumienia dla wszelkich przygód w sferze duchowości, dla inwencji, dla wszystkiego, co nowe. Każdy Szwajcar, aż do prawdziwych rekinów wielkiego przemysłu, posiada w swym sercu zakątek ofiarnej miłości ojczyzny, a równocześnie nostalgię za odległymi, nieznanymi ziemiami, brawurę i zarodek twórczego geniuszu.

Porwany właśnie wichrem tych uczuć szedł Suter na zbadanie Kalifornii; prosty robotnik Maggi stworzył wynalazek, ochrzczony jego imieniem; dzięki tym porywom zrodził się przemysł szwajcarski, który tworzy bogactwo i dobrobyt w kraju po macoszemu potraktowanemu przez niezwykle piękną, ale niegościnną przyrodę. Te same porywy wiodły poprzez Europę szwajcarskich *Landsknechtów* i ich wodzów; one kazały im umierać dla cudzej sprawy i dla dochowania wierności przysiędze; one to pchnęły do ofiary życia gwardie Ludwika XVI, wymordowane w Tuilleries, a których pamięć uwiecznia „Lew Lucerneński”.

Duch ten nie wymarł wraz z bohaterami; tylko objawia się dziś w mniej patetycznych warunkach. W roku 1936 Rząd Związkowy ogłosił pożyczkę na obronę narodową przy śmiesznie nikłej nadziei rentowności, zwrotną w dalekiej przyszłości, bez żadnych uprzednich udziałów. Pierwsza składka przyniosła 80 milionów franków, całość zaś dała w sumie 235 milionów. W kilka dni po otwarciu subskrypcji nastąpiła dewaluacja franka szwajcarskiego, nie zamierzona

i nieprzewidziana przez ogół. A jednak, pod koniec tygodnia, pierwszy okres subskrypcji przyniósł niebywały sukces. Warto przypomnieć, że kraj liczy 4 miliony mieszkańców, na każdego zatem mieszkańca wypadło przeciętnie 80 franków szwajcarskich, które podarował państwu. Wielkie przedsiębiorstwa, kluby, towarzystwa dawały czasem po pięćdziesiąt, sto a nawet i więcej tysięcy franków; warstwy zaś uboższe, skromni służący po 50 do 100 franków na głowę.

Pożyczka ta była przeznaczona na modernizację wojskowego sprzętu armii, która stanowi przedmiot miłości całego narodu. A przecież Szwajcarzy są może najbardziej pokojowo usposobionym narodem w Europie, najbardziej zdecydowanym, by zachować zupełną neutralność na wypadek powszechnej zawieruchy wojennej, narodem najmniej zaborczym. Kiedy w r. 1929 księstwo Lichtenstein, a zwłaszcza austriacki Voralberg, chciały związać się z Szwajcarią, szwajcarskie „nie” było kategoryczne.

Niektórzy Alzacczycy usiłowali złansować ideę włączenia swego kraju do Szwajcarii; Szwajcarzy nie chcieli nawet o tym słyszeć. Lecz choć naród ten wyrzeka się wszelkiej ekspansji terytorialnej, nie ustąpiłby ani piędzi własnej ziemi, której broniłby do ostateczności. Szwajcaria jest członkiem Ligi Narodów, ale nie łądzi się bynajmniej co do jej rzeczywistej wartości. Obronność swą opiera Szwajcaria na armii i na zręczności dyplomatów. Szwajcarska armia jest jedyna w swoim rodzaju. Właściwie dotychczas było to pospolite ruszenie, zdemobilizowane, ale gotowe stanąć w szeregi na każdy zew ojczyzny. Armia regularna liczyła do niedawna 6 tysięcy ludzi. Dziś znacznie się powiększyła dzięki zaprowadzeniu tzw. formacyj specjalnych i garnizonów fortecnych zwłaszcza na odcinku St. Gotharda.

Szwajcarski obywatel spędza pod bronią trzy miesiące jako swój pierwszy okres świadczeniowy. Potem wzywany jest do służby wojskowej na czas ośmiu lub piętnastu dni każdego roku, zanim nie osiągnie tzw. *l'âge territoriale*. Zdolność mobilizacyjna kraju dochodzi do czterystu tysięcy żołnierzy broni właściwej i stu pięćdziesięciu tysięcy broni pomocniczej. Tak krótki okres wojskowego przeszkolenia

wystarcza Szwajcarowi najzupełniej. Rodzi się on już żołnierzem o długiej i wspaniałej tradycji wojennej, wychowuje go potem surowa i twarda rodzinna ziemia, której szkoła zastępuje najlepszą sztuczną zaprawę wojskową. Umiejętność strzelania, pływania i wspinania się po górach przynosi Szwajcar z cywila. W wojsku uzupełnia tylko sprawności koszarowe. Armia szwajcarska jest jedyna w świecie, której żołnierz przechowuje w domu swą strzelbę i mundur wojskowy.

Same zresztą zabawy i ludowe uroczystości mają posmak wojskowy — defilady, gimnastyka, zawody strzeleckie — co zresztą, podkreślamy to z naciskiem, najzupełniej godzi się z na wskrós pokojowym usposobieniem Szwajcarów. Artystyczne i literackie popisy przeznaczone są raczej dla cudzoziemców.

I tu dochodzimy do pytania, które nie daje spokoju od pierwszej chwili zetknięcia się ze Szwajcarią: jak pogodzić tę wyrafinowaną wprost i przeorganizowaną szwajcarską gościnność z tą zdecydowaną wrogą postawą Szwajcarów wobec cudzoziemca, który chciałby się mieszać do jego szwajcarskich spraw? Czy biednego czy bogatego przyjmie Szwajcar z otwartymi ramionami. Sto lat, jeśli Bóg pozwoli można żyć błogo i zacisznie w tym najbardziej demokratycznym państwie Europy, ale pod jednym warunkiem: jeżeli się nie będzie wyrywało z jakimiś radami i projektami, zwłaszcza — broń Boże — politycznymi. Taki inicjator zostanie po prostu wyrzucony z granic Szwajcarii, a przed wyrzuceniem Szwajcarzy potrafią mu po swojemu uprzyjemnić życie i skutecznie go unieszkodliwić. Nawet naturalizowani nie mogą udawać autochtonów. Dzieci ich, choć już są oficerami rezerwy, należą do trzydziestu stowarzyszeń i mają matkę rodowitą Szwajcarkę, są zawsze „obcego pochodzenia”. Takiemu panu N pamięta się jeszcze, że jego *Geschlecht* wywodzi się od potomków z innego kantonu, chociaż to działo się w szesnastym wieku!

Jakże sympatyczny i kojący w dzisiejszym światowym rozgwarze jest ten ocalony do dni naszych *piccolo mondo antico*!

Szwajcarzy odróżniają cudzoziemców. Wobec swych najbliższych sąsiadów są podejrzliwi z wyjątkiem Austria-

ków, których szczerze kochają, choć ani za grosz nie szanują. Niemcy nie ciągną szwajcarkiej ludności niemieckiej. Dowodem tego jest choćby językowy seperatyzm tej ludności, dążącej do usamodzielnienia swego języka i podniesienia go do rangi dialektu literackiego, właśnie dla zaznaczenia swej niechęci dla „Szwabów“. Usiłowania te jednak zdają się być z góry skazane na niepowodzenie, gdyż za długo posługiwano się językiem „pisanym niemieckim“, by można było go teraz zastąpić *Schwyzerdütsch*’em, który zresztą nie stanowi jeszcze zwartej całości. W każdym razie Berlin nie był i nie będzie duchową stolicą niemieckiej Szwajcarii. Zurych, Bazylea i Berno będą nadal ubiegać się o przyznanie im tego zaszczytu. Szwajcaria wobec Trzeciej Rzeszy pozostanie niezależna i autonomiczna.

V.

Już w Szwajcarii romańskiej sytuacja przedstawia się inaczej. Pomimo pewnej rezerwy, jaką zachowują frankofile wobec francuskiego *Front populaire* a italofile wobec faszyzmu, obydwie te narodowości ciągną uczuciowo ku macierzystym ziemiom ich kultury. Politycznie są wyłącznie Szwajcarami, ale w dziedzinie kultury, twórczości artystycznej ulegają wpływom francuskim lub włoskim, wzrok swój kierują ku Paryżowi lub Rzymowi. Taki np. szczegół, charakterystyczny dla stanowiska romańskiej Szwajcarii wobec tych dwóch kultur: w Szwajcarii nie udziela się żadnych honorowych odznaczeń i zakazuje się nosić orderzy zagraniczne. Prawa tego przestrzegają Szwajcarzy niemieckiej narodowości bardzo sumiennie, podczas gdy romańska ludność chętnie przypina różne rozety *Legion d'Honneur*, *Instruction Publique*, *Académie* a nawet *Mérite Agricole*.

Antagonizm pomiędzy niemiecką Szwajcarią a niemiecką Rzeszą bardzo silnie zaznacza się w literaturze; w dziełach zaś autorów romańsko-helweckich znać intelektualną współpracę między Francją i romańczykami, między Włochami a tessyńczykami.

Wpływy te krzyżują się do tego stopnia, że wielu czytelników, szwajcarskich poetów i powieściopisarzy nie wie

o ich szwajcarskim pochodzeniu. Bo i rzeczywiście czymże różnią się taki Edward Rod, Cherbuliez, Robert de Traz, Chenovièrre od swych francuskich kolegów? A już taki Ziégler, Buenzod, Guy de Pourtalès, Dumur jest Szwajcarem tylko przez wybór przedmiotu. Słownictwo i wewnętrzny klimat ich twórczości tchnie kulturą francuską. Cendrars jest już nawet kosmopolitą. Ramuz zaś i miłutki Valloton (z zachowaniem oczywiście należnego dystansu) — pierwszy dziki i porywczy chłop, drugi uduchowiony i sarkastyczny mieszczanin — obaj reprezentują twórczość romańską, najbardziej związaną z rodzinną glebą. Mimo to każdy frankofil łatwo aklimatyzuje się w sferze ich nastrojów i języka.

Literacka krytyka romańsko-szwajcarska kroczy szlakami wielkiej tradycji francuskiej ze swoim Aleksandrem Vinet'em, Monnier'em i Amiel'em, z Filipem Godet, Pawłem Seippel'em i Gonzague de Reynold. Ci, którzy podkreślają skłonności do introspekcji jako wybitnie szwajcarski przyrządek we francuskiej literaturze i którzy na dowód cytują Rousseau'a, a więc Beniamin Constant i Amiel, ci nie ostoja się na swym stanowisku wobec długiej listy Francuzów starszej Francji, wykazujących nie mniejsze zdolności introspekcyjne. Poprawniejszy wniosek zdaje się byłby ten, że sztuka analizowania samego siebie jest znamioną cechą i przywilejem raczej narodów łacińskich, w szczególności Francuzów, niż Szwajcarów.

Największym talentem pisarskim w orbicie wpływów włoskich jest Chiesa, zajmujący wybitne stanowisko we włoskiej twórczości regionalnej.

A Szwajcarzy niemieccy? Ci nigdy nie przestają być Szwajcarami, nawet wtedy, gdy są zdecydowanymi germanofilami lub gdy wprost uważają się — jak Konrad Ferdinand Meyer — za Niemców nieokreślonego bliżej pochodzenia. Od autorów niemieckich różnią się już nie tylko słownictwem, konstrukcją zdań czyli stroną formalną, lecz także duchem twórczości. Jeremiasza Gotthelfa, Gotfryda Kellera, Karola Spittelera, Henryka Federera, tych wielkich epików niemieckiej Szwajcarii na przestrzeni ostatniego stulecia, łączy między sobą właśnie tylko to, co oddziela ich od Niemców, bo pod każdym innym względem, filozoficz-

nym, religijnym i społecznym, są to zupełnie odrębne i samodzielne indywidualności. Trochę afektacji, dużo realizmu, pogoda umysłu spleciona z melancholią, żywioną filozoficznymi mgławicami; częste ucieczki i wyrwanie się z granic przestrzeni i czasu; pewna doza naiwności, półświadomości i półchcenia; trochę tradycjonalizmu i trochę buntowniczności; żywa, świeża wrażliwość i zmysłowa radość, potęgowana lekko obłudną cnotą; niewyczerpane uczucie dla przyrody; bezgraniczna życzliwość i współczucie dla każdego stworzenia; wrodzona zdolność malowania ludzi i rzeczy mocnymi, żywymi i czułymi barwami — oto niemiecko-szwajcarska literatura.

Regina Ullmann i Cecylia Zauber, Walser i Ilg, Inglin i Wirz wśród wybrańców początkujących, a Zahn, Heer i Huggenberger jako wybrańcy szerokiej publiczności, nawiązują i dalej prowadzą dzieło czterech wymienionych wyżej mistrzów.

Współczesny dramat szwajcarski (Caesar von Arx) i poezja liryczna (Lienert) wionie tym samym zapachem ojczystej gleby, na której dojrzeli ich twórcy. Każda stronica niemiecko-szwajcarskiego pisarza zdradza swe pochodzenie. Zaprawiony czytelnik odróżni ją wlot od czysto niemieckiego lub austriackiego tworu.

Znudziłoby to z pewnością czytelnika, gdybyśmy chcieli udowadniać taką samą niezależność twórczości szwajcarskiej w innych jej dziedzinach — w malarstwie, w rzeźbiarstwie, budownictwie i muzyce. Ale nie mogę powstrzymać się od przytoczenia tu imienia Hodlera i Segantini'ego. W najmniejszym nawet obrazie tych wspaniałych rzeczników integralnego helwetyzmu przegląda się szwajcarskie niebo i krajobraz duszy szwajcarskiej. Są tam smutki i radości wioski alpejskiej, wrzenie młodości, promienna siła wieku męskiego i melancholijna rezygnacja starości. Jest tam i twarda praca i heroizm, i granie śnieżnych powierzchni lodowcowych i drobiazgowo schludność podgórskiej miłośnicy. Słychać tam warkot bębnow i echa trąb, śpiew i strzelanie, całe gwarne i barwne istnienie, całą złożoną przyrodę tego rajskiego zakątka w cieniach postronnych dyktatur i anarchii... Ludzie i kraj idą ku nam z obrazów, ożywiają się,

ruszają, a my z nimi, porwani rytmem szwajcarskiego życia. *Vita somnium breve*, jak mówi o tym piękna kompozycja, pełna zadumy i uczucia, trzeciego wielkiego malarza tego kraju — Boecklin'a. Lecz w tej ziemi obiecaney nie zaniedbuje się niczego, by ustrzec się nudów i życiowego oziębnia wśród jednostajnego nurtu trosk codziennych.

A więc gdy głód się przypomni lub pragnienie, a nawet i częściej, ludzie ci lubią zjeść i popić, zwłaszcza, że mają wesołe, pieniące się wino. Lubią potańczyć i pośpiewać, zabawić się szwajcarską grą narodową, zwaną *Jass*, przy jazzowych dźwiękach, importowanych z Ameryki, a nadawanych przez stacje radiowe. Radio dotarło już na odległe szczyty gór i do najbardziej zapadłych kotlin i przełęczy. Kino jest również w rozrywkowym programie Szwajcara, nawet w niewielkich miasteczkach. Ale wszystkie te rozrywki mają swój czas; dopuszczalne są tylko pod koniec tygodnia lub po sumiennym spełnieniu codziennych zawodowych obowiązków. Szwajcar chętnie uprawia sport — piłka nożna ma liczną klientelę, młodzi Szwajcarzy tradycyjnie są zapalonymi zapaśnikami (*Schwinger*); uprawiają osobny sport narodowy, nieznanym gdzie indziej. Jest to sztuka wymachiwania proporczykami, rzucania ich w powietrze i chwywania z powrotem. Wreszcie w każdą sobotę jedzie się na wieś, bądź pociągami, bądź autem, wozem, motocyklem, jeżeli nie *pedibus cum jambis* i wraca się w niedzielę w późną noc. Taki *weekend* odbywa się w atmosferze niewinnej rozrywki. Tu i ówdzie można usłyszeć skargi na temat weekendowej obyczajności, ale na ogół wszystko kończy się piosenką wśród powszechnej harmonii.

Szwajcar bawi się po to, by mógł lepiej pracować. To też szwajcarskie wielkie miasta, ośrodki finansowej, przemysłowej i handlowej działalności, obrazują wymownie podziwu godne wyniki umysłowych i moralnych wysiłków szwajcarskich finansistów i konstruktorów. Pod tym względem Szwajcaria należy do najbardziej nowoczesnych państw Europy. A już wprost niedościgną jest w umiejętności urządzania sobie życia, pod względem komfortu i higieny. I co najważniejsze — wśród tych ultranowoczesnych zdobyczy życia nie ginie duch i zainteresowanie dla prawd wieczystych.

Pod niepozorną szatą tych codziennych ludzi i zwyczajów kryją się często prawdziwe kwiaty artystycznych uzdolnień, czasem nawet skarby erudycji, czasem autentycznego humanitaryzmu, a prawie zawsze wielkiej uczciwości logicznej, uderzającej prawości sądu i nieomylnego wycucia moralnych wartości. Ogniskują się wielkie przymioty narodowe w wyższych warstwach społecznych w których rozkwitają one szczególniejszym blaskiem i które wydały wielkich Szwajcarów — Burckhardta, Bernouilli'ego, Eulera, Pestalozzi'ego, Dumanta, Beniamina Constant, K. F. Meyera, Eschera i innych. Jakoś szczęśliwie szwajcarska elita rządząca zbiega się ze szwajcarską elitą narodową. I to może tłumaczy, dlaczego Szwajcaria, trwająca wiecznie przy swej tradycji, jednocześnie rozumnie idzie z życiem naprzód.

Prof. dr Otto Forst Battaglia.

Jubileusz Rodziewiczówny.

Pięćdziesiąt lat pracy, będącej jednym ciągiem poświęceń i ofiar, nieustrudzonej orki obywatelskiej i podniosłej twórczości powieściopisarskiej, to dość wymowny powód tego jubileuszu. Ale w okolicznościach, towarzyszących tej pracy, tkwi pewien moment, który sprawia, że jubileusz ten ma nad wyraz doniosłe ogólnie narodowe znaczenie, że owiany jest aureolą nie tylko wielkiej zasługi ale i wielkiego przykładu dla dzisiejszych pokoleń!

Dzisiejsze pokolenia mogą znać szczegóły tamtych lat ale z trudem tylko wmyśleć i wczuć się potrafią w tę działalność, która, mimo tysiącznych trudności, niezmierzona trwała z bohaterskim hartem na obranym posterunku i wśród ponurych ciemności siać umiała światło i siłę tak na własne ścieżki jak na drogi narodu.

Dość na początek powiedzieć, że Rodziewiczówna urodziła się w tragicznym roku 1863, że doznała na sobie wszystkich udręczeń tego roku i całego okresu po powstaniowego, że przeżyła kilkadziesiąt lat najczarniejszych z czarnej polskiej niedoli, w której nie tylko imię Polski wymazane było spośród imion żyjących, ale i pod wszystko co polskie podłożony był mściwą ręką wrogów dynamit. Potworną była walka z polskością na kresach zachodnich, ale wszelkie pojęcie przechodzi to, co działo się na kresach wschodnich, na Podlasiu, na kresach białorusko-litewskich, z których pochodzi Rodziewiczówna.

Przed kilkunastu laty, zaraz po odejściu Rosjan, zwiedzałem te kresy wschodnie, aby uprzytomnić sobie smutną dolę porozbiorowej Polski. Znalazłem się gdzieś w świecie,

rzucenym poza światy. Był dzień jesienny, dżdżysty, niebo niskie zwisało jak mokre płótno nad piaskami i ugorami, które na krańcach odcinały się od widnokręgu wąską linią krzaków i karłowatych drzew. Wszędzie pustka, jechało się godzinami przez moczary, zanikające ostępy leśne, przez wieś bure, przez które błotnymi drogami przebiegało na wysokich nogach chude stado nierogacizny, a spod opłotków sterczały łby brytanów. Ktoś niedawno opisując te okolice, ujął opis w krótką syntezę: „Kałuża błota przed progiem Azji, chandra pogrzebanej Unii i zbutwiałego prawosławia”. Oto co nam pozostawiła Rosja.

Tylko od czasu do czasu wświecały się w tę szarą pustkę białe ściany dworów i dworków polskich, otoczone wieńcem topoli i lip. W głębi dworów jaśniała przed obrazem Matki Boskiej czerwona lampka a w sercach mieszkańców domostwa żarzyła się niezłomna ufność w wielką Polskę. Niejeden z tych dworów był prawdziwą twierdzą Polski, z której szedł odpór i wytrwanie w dobie prześladowań.

Oto placówka działalności Rodziewiczówny.

Na tej placówce, już nad kolebką przyszłej bohaterki płonęły ognie męczeńskie. Za udział obojga rodziców w powstaniu, Rosja konfiskuje majątek i wywozi ich na Syberię. Małą sierotkę bierze w opiekę Karolina Skirmuntowa. Gdy rodzice wracają po ośmiu latach, jadą z córeczką do Warszawy, gdzie zaczyna uczęszczać do szkół. W kilka lat potem dziedziczy ojciec majątek po bracie, Hruszowę na Polesiu, co pozwala córce dokończyć studiów w Jazłowie u Niepokalanek. Znowu spada na nią cios, śmierć ojca. I wtedy 18-letnia panna bierze na swoje barki zarząd całego majątku. Własną pracą spłaca hipotekę obdłużonej Hruszowej — a zarazem zaczyna wprawiać się do spełnienia ideowego posłannictwa, jakie Opatrzność wyznaczyła jej na kresach.

Posłannictwo to podjęła najpierw starsza wiekiem Orzeszkowa. W jednym ze swych listów pisze, że główną przyczyną jej autorstwa i kierującym motorem jej życia było to, „że mając lat dwadzieścia była czynnym świadkiem tego dramatu, który nosi tytuł rok 1863, następnie zaś świadkiem wstrząsanym nieraz do głębi epoki po powstaniowej”.

Warto, dla związku z naszym tematem, przytoczyć dalszy ciąg tego listu:

Na grunt przygotowany padły wrażenia z widoku nieszczęść niesłychanych, okrucieństw i niesprawiedliwości bajecznych, zagrożeń przerażających, jak lawa wulkanu lejących się w mózg i serce, kiedy poczęły się sypać na kraj ukazy straszliwe, od ziemi i pracy uczciwej nas oddalające, kiedy dwory wiejskie, z których byłam rodem, pustką stawały, a miasta zaludniały się obcą i wrogą mową, obcymi i wrogimi twarzami i czynami. Miewałam wtedy, pomimo wczesnej młodości, dnie i tygodnie rozpaczy, w której dosłownie zdawało mi się, że niebo obrywa się nad ziemią i na nią spada, że coś wielkiego, nad życie drogiego, idzie pod ziemię, zapada w otchłań. Z wychowania i charakteru byłam od dzieciństwa w objawach uczuć swych powściągliwą; pomimo to, zdarzały mi się wówczas chwile, w których — bez świadków naturalnie — wyrывałam sobie włosy z głowy, albo na ziemię upadłszy godzinami płakałam. To uczucie rzucania o ziemię, bardzo dziwne, opisałam niedawno w noweli Hekuba. Obok tego coś wołało we mnie, krzyczało: ratunku!... Wkrótce wypracowywać się poczęło we mnie przekonanie, że ratunek tylko z wewnątrz przyjść może, że walka z niesprawiedliwością jest obowiązkiem, że w każdej pracy naszej tkwić winna myśl o tej walce. Przekonanie to, posilowane przez uczucia, nabrało we mnie takiej mocy, że uwierzyć wprost nie mogłam, aby w kimkolwiek mogło ono nie istnieć... Musiałam pisanie swoje pojmować jako walkę, musiałam pragnąć, aby to były cegły czy cegiełki do budowy ratunkowego mostu — nad otchłanią.

Były to niewątpliwie myśli i uczucia wielu ówczesnych Polaków i Polek, a więc i Rodziewiczówny. Tylko, że Rodziewiczówna zahartowana od pierwszych dni życia, ukrywała własne uczucia, a więcej dbała o praktyczną pomoc cierpiącym ludziom i zagrożonej sprawie narodowej. Oto, co mówi jedna z bohaterek powieści Rodziewiczówny, matka rodu, przekazująca młodym własne doświadczenia, wyjęte jednak z serca i doświadczeń autorki:

Utrzymywałam ziemię. Ciężko bywało. Z początku, po sześćdziesiątym trzecim, ustępowali ci, co zwątpili lub stchórzyli. Wtedy trzeba było fantować się często, wtedy poszły srebra i klejnoty, zapasy, jakie były. Gdy panika i egzekucje minęły, trzeba było gospodarstwo na nowo dźwignąć, stworzyć nowy byt. Nie umieli i nie chcieli pracować, do panowania i bawienia się i próżnowania nawykli. Wtedy trzeba było nie dospać, nie dojeść, nikogo nie widywać, oszczędzać, odmawiać sobie wszyst-

kiego, stare nałogi zabić. Więc nie będziesz mi miał za złe, że nie zebrałam dla ciebie kapitałów z tej ziemi a przeciwnie mam jeszcze ciężary. Trzeba było jednych wychować, drugim pomóc, pamiętać o zesłanych, zubożałych, o słabych, trzeba było i wykupić i zapłacić karę za innego i przekarmić rodzinę takiego, co to (jak mówiono) usunięto go na czas jakiś.

Oto duch Rodziewiczówny! W takiej atmosferze moralnej dojrzewała, w takiej, wskutek poniesionych cierpień i niedoli, rozpoczęła samodzielne życie. Miała duszę mocną, znała drogę narodowego i chrześcijańskiego obowiązku, miała przekonanie, że „żyć trzeba tak, aby się ani życia ani śmierci nie bać“.

Wyjątkowa w historii polskiej postać! Na ruinie narodowego bytu zrozumiała od razu, że w takiej dobie trzeba stwarzać ludzi o silnej woli, o bohaterskim ofiarnym sercu, ludzi wielkiego samozaparcia i męskiego czynu. Ale, żeby móc takich stwarzać, trzeba samej być taką. Ta praca wewnętrzna to była pierwsza praca jej życia. Potem, objawwszy majątek, wchodzi z warsztatem swej pracy, z ziemią, w związek nierozzerwalnie uczuciowy. Na tej placówce trwała duszą całą, żeby spełnić swój obowiązek życiowy i narodowy i w ten sposób być przykładem innym. „Nie gwałćcie wyroków Bożych, nie odchodźcie, bo zmarniejecie“! Takie było jej hasło. Zostawia na boku wszystkie inne zabiegi ludzkie, wszystkie fatałaszk i falbanki kobiece, ubiera się w kurtę z wiejskiego samodziału, chodzi w obuwiu juchtowym, w krótkiej spódnicy, strzyże włosy krótko po męsku i staje przy pługu narodowym kobieta-mąż.

Dwie kobiety, Orzeszkowa i Rodziewiczówna, stoją na czele samoobrony narodowej na kresach wschodnich. W ogóle, w całym zaborze rosyjskim zaczyna się teraz reakcja. W miejsce entuzjasmów romantyzmu przychodzi entuzjasm trzeźwości, pada hasło utylitarno-praktyczne pracy u podstaw. W hasle tym było dużo doktrynerstwa i wpływów obcej teorii, która na jakiś czas uwiodła i Orzeszkową, ale było też wiele tragicznej konieczności życiowej. Minął okres wywalczenia ojczyzny, przyszedł czas wypracowywania jej. W ogniskach handlowo-przemysłowych nad Wisłą jawią się coraz liczniejsze zastępy mieszczaństwa

i zdobywają silniejszą podstawę społeczną. Niejedno ziarno wpada wówczas w glebę społeczną i zaczyna przynosić plon. Tak było nad Wisłą, gorzej było nad Niemnem. Grottgerowska Lituania zaczyna się obrazem śmierci, przemykającej przez puszcze litewskie. Litwa była najkrwawszą ofiarą 63 r., walczyć może o swoje życie tylko biernym utajonym oporem.

Tak się składa, że w roku bieżącym przypada pięćdziesiąta rocznica ukazania się dwu wielkich polskich powieści: *Nad Niemnem* Orzeszkowej i *Dewajfisa* Rodziewiczówny. Na dwu tych twierdzach wywieszony był ten sam sztandar.

Twórczość Orzeszkowej rozwijała się stopniowo. Między początkiem tej twórczości, między naiwnym *Dziennikiem Wacławy*, a między dziełami wielkiego okresu leży ogromna przepaść. W początkach brakło umiaru psychologicznego, brak było precyzji określeń, nieosłonięta tendencja grała wybitną rolę.

Braki artystyczne w tym pierwszym okresie twórczości pochodziły także stąd, że myśl autorki wówczas kierowała się cała ku realnym zadaniom życia. Spełniała swe posłannictwo, powzięte w r. 1863, rozumiała, że w okowach systemu murawiewskiego należy wciągnąć do pracy społecznej wszystkie warstwy, szczególnie zaś kobiety. W tych ciężkich warunkach kobieta polska z natury rzeczy powołaną była do podtrzymywania bytu materialnego rodzin, do szerzenia oświaty i świadomości narodowej wśród młodzieży i mas ludowych, do zbliżenia ku sobie stroniących od siebie warstw społecznych. Tej idei poświęconych było kilka prac, jak *Obrazek z lat głodowych*, *Kilka słów o kobietach*, *Marta*, *W klatce*, *Pan Graba*.

Ale z każdym rokiem ten charakter publicystyczny bieżącej chwili, począł się ideowo i artystycznie pogłębiać, nabierać znaczenia coraz bardziej zasadniczego. Nadeszła wreszcie chwila, w której na każdym utworze wyryte było znamię wielkiego umysłu, odczuwającego głęboko sens życia, chwila olśniona nadto łuną wielkiego talentu pisarskiego. Słusznie odważył się Brzozowski nazwać Orzeszkową „młodszą siostrą Mickiewicza“.

Powieść *Nad Niemnem*, choć budowa całości nie była w niej zwarcie powiązana, należy do dzieł tego wielkiego

okresu. Jest to galeria dworów, dworków i portretów ludzkich na tle wspaniałych krajobrazów Niemna. Szczególną uwagę zwraca autorka na przysłowiową wytrwałość warstwy drobno-szlacheckiej na Litwie. Co za wspaniały materiał, powiedziała sobie, na wykuwanie silnych charakterów! To jest też idea przewodnia powieści *Nad Niemnem*.

Obserwuje taki materiał w młodzieńcu, który przyszedł na świat w tragicznym okresie 63 roku. Znamionuje go surowa powaga i wielkie umiłowanie idei narodowej a zarazem wszystkiego, co ma jakiś związek z przeszłością i teraźniejszością ojczyzny. Razem ze wstrętem do błyskotek kultury i dworactwa ożywia go pociąg ku prostocie i bezpośredniości życia ludowego. I oto z wyżyny dworskiej ściąga go autorka w nizinę schłopiałych szlachciców i każe mu się z nimi przyjaźnić. W tej samej powieści, ku zgorszeniu czytelnika dobrego tonu, każe pannie ze dworu wyjść za prostaka z chaty. Wszystko to są cegiełki do budowania ratunkowego mostu nad otchłanią.

Na te cegiełki zwróciła uwagę Rodziewiczówna, ale miała poza tym swój własny program.

Uroczą powieścią, która w lot przebiegła kraj cały i dziś w pamięci wszystkich żyje, był *Dewajtis*. Bohater *Dewajtisa* umiłował spuściznę ojcowską, ziemię, i nie wyda w obce ręce ani jednego jej zagonu. Na tej ziemi rośnie stary stuletni dąb Dewajtis, który zapuścił głęboko korzenie nie tylko w ziemię, ale i w serce bohatera. Drzewo i człowiek łączy nierozzerwalny związek. Wtem nadciągają tragiczne losy, mające przynieść kres i celom człowieka i życiu drzewa. Przemawia drzewo:

„Idź w głąb do moich korzeni — szumi gałęziami swoimi drzewo-symbol. Tam pod czarnoziemem i pod rzeką była opoka, a ja ją objąłem, wzrąłem się w nią, poćwiartowałem, na proch skruszyłem i na rodzajną ziemię. Idź! Zobacz! Nie gwałćcie Bożych wyroków, nie odchodźcie, bo zmarniejecie, jakbym ja zmarł, gdyby mnie stąd wzięto“.

Bohater, Marek Czertwan, zrozumiał szum symbolicznego przyjaciela, ocalił i siebie i drzewo i ziemię, część własności narodowej.

Nadejść miała wkrótce w całej Polsce chwila, gdy zaczęło jej grozić niebezpieczeństwo wywłaszczenia. Wówczas do wszystkich serc docierał szum Dewajtisa, jako nakaz sumienia, wzywający do ocknięcia się z niedbalstwa, lekko-myślności, z niedopatrzenia, z opuszczenia rąk. Ten nakaz sprawiał, że na ojczystym zagonie pozostawali nawet ci, których ciągnąć mogła gdzie indziej uzasadniona nadzieja świetnego losu. Niejeden wykształcony człowiek na kresach wschodnich chował dyplom uniwersytecki do kieszeni, wracał na wieś, zarzucał na siebie chłopską kapotę i stawał jak każdy chłop przy pługu. Gdy przed kilku laty byłem w sąsiedztwie Hruszowej na towarzyskim zebraniu, przedstawiono mi paru chłopów jako skończonych prawników. Wtem otwierają się drzwi — wchodzi Rodziewiczówna. Trudno opisać tę chwilę. Żaden zwycięski hetman nie był tak witany przez swych żołnierzy, jak ta ideowa hetmanka. Była to nie tylko cześć dla wodza — w oczach widziało się więcej — widziało się miłość, jaką mają wierni synowie dla dobrej, mądrej, wielkodusznej matki.

Tak powstała idea samoobrony po roku 63 i szerzyła się dalej tak w zabiegach życiowych jak w prasie codziennej, w utworach i publicystyce Prusa a zwłaszcza w utworach obu wielkich autorek. Orzeszkowa wraca do tej idei w *Australczyku* i poniekąd w *Dwu biegunach*, Rodziewiczówna w *Szarym prochu* i w innych. Później twórczość ta obejmuje coraz szersze widnokręgi, usiłuje wnikać w najważniejsze zagadnienia życia ludzkiego. Przy najistotniejszym z tych zagadnień schodzą się obie autorki w jednym punkcie. Utwór Orzeszkowej *Ad asfra* jest nie tyle powieścią, jak raczej dialogiem między kobietą szukającą najgłębszego sensu życia a sceptycznym ateistą, profesorem uniwersytetu. Po ustaleniu, że istnieją dwa typy ludzkie, jeden, dla którego celem jest sytość życia, a drugi, który dąży do doskonałości życia, dyskusja zaczyna biec szybszym tempem do końca. Sytość życia, egoizm, odpada na bok jako marne zboczenie ludzkie, a dążność do doskonałości prowadzi prostą drogą do najwyższej doskonałości jaką jest Bóg. I rozum szukający za przyczyną przyczyn i dążność serca do głębokiego szczęścia, związanego z pełną harmonią i najwyższym ładem

i nakazy etycznego obowiązku, wszystkie te czynniki do tego prążródła prowadzą. W uczuciowym momencie dyskusji woła kobieta: „Chcę, mówiąc do Boga: Przyjdź Królestwo Twoje — czuć, że sama jestem jedną z przadek, wysnuwających nie złotą, na której to Królestwo Wielkiego Dobra zwolna, zwolna, opuszcza się ku ziemi“. Jako ostatni wyraz tej dyskusji przychodzi synteza: Ojczyzna i Bóg — miłość i obowiązek.

Odpowiednikiem do tytułu powieści *Ad astra*, jest tytuł powieści Rodziewiczówny *Na wyżynach*. Znowu niezwykle typ młodego szlachetnego człowieka, który zapomina o sobie a dąży tylko do dobra i szczęścia drugih. Straciwszy ojca i matkę, sierotą, ma u boku swego babunię, mądrą, wyrobioną życiowo kobietę, u której na każdym zakręcie życia szuka światła i rady. Prześliczne są wieczory, kiedy te dwie szlachetne dusze omawiają w późną noc przy lampce zagadnienia życia. Oto urywek takiej rozmowy, bardzo prostej i bardzo głębokiej:

— Ja babuni zawodu nie zrobię nigdy, szepnął gorąco chłopak.

— Myślałam, że będziesz jak ojciec, cichy ofiarny pracownik wśród ludzi, zamknięty w sobie sługa boży. Aleś ty inny, matka ci dała swą duszę gorącą, swą żądzę czynu i zapał do ofiar bezmiernych. Ty musisz działać, musisz myśleć, musisz tworzyć i będziesz cierpieć okropnie!

— Ja się babuni cierpienia nie lękam. Ja nie chcę tylko wstydu znać i pragnę zostawić po sobie na ziemi imię czyste i ślad dobrej pracy.

— Oby ci Bóg to dał! Jednakże pamiętaj, że ziemia jest gościńcem a życie krótką chwilą. Może cię śmierć oderwać w pół drogi, w pół pracy. Niechże cię nie zgasi z duszą niegotową. Dobre imię u Boga mieć powinienes i nie znać przed Nim wstydu.

— Chłopak podniósł ku niej oczy i chłonał z przejęciem naukę, a ona, odsunawszy robotę, wzięła ze stolika starą wytartą książeczkę i otworzywszy ją czytać z cicha ustęp z listu świętego Pawła o tych, co biorą w biegu życia wieniec skazitelny i tych, co dążą do nieskazitelności.

— Umilkła staruszka i położywszy białe ręce na głowie chłopaka, którego była mistrzynią i powiernicą, patrzyła w dal wzrokiem od świata oderwanym, pełnym światła.

— Dyżma ku niej oczy podniósł i rzekł smutno:

— Więc mój bieg o wieniec skazitelny niczym jest, za nic mi policzonym będzie?

— Owszem, jeśli będziesz w duszy jeden cel na życie miał postanowiony.

— Żeby bliżnim usłużyć?

— Być chrześcijaninem!

Oto konkretniejsze rozwiązanie kwestii. Orzeszkowa wskazuje filozoficzną ideę Boga, Rodziewiczówna Chrystusa i Jego Ewangelię.

Ten duch polski i chrześcijański w twórczości Rodziewiczówny, miłość ojczystej ziemi, dążność do stworzenia typów szlachetnych, do dodania otuchy w walce życia i wiary w Boga, przy bogatej inwencji w tworzeniu fabuły powieściowej, to wszystko sprawiło, że poczytność jej kilkudziesięciu powieści była i jest po dziś dzień niezwykłą. Słynną była statystyka jednej z czytelni warszawskich, temu parę lat ogłoszona, w której największą ilość czytelników mieli Sienkiewicz i Rodziewiczówna.

Wybitny talent w *Dewajftisie* przyznali jej wszyscy, w innych powieściach niektórzy. Poszło to z wyjątkowego nastawienia duszy autorki, która z biegiem życia ma wstręt coraz większy do zmiany mód i snobizmów literackich a chce tylko mówić prawdę i krzawić dobro i z prostotą serca pełnić wierną służbę narodową. Taką uczyniło ją życie pełne ofiarnej pracy i dobrych czynów. Poczytność jej pism nic nie straciła na tym a owocność zyskała stokrotnie.

Tej służbie narodowi i bliżnim oddawała się wielokrotnie i poza twórczością pisarską. Znane jest jej poświęcenie i ofiarność na całym Polesiu, zwłaszcza wśród bliższego jej sąsiedztwa. Przy obecnym jubileuszu okoliczna ludność złożyła jej następujący adres: „Sprawiedliwej Pani i Matce za 50 lat wspólnej pracy“. Od roku 1906 wstępuje do koła zjednoczonych ziemianek i prowadzi ożywioną działalność w wydziale ekonomicznym. Podczas wojny światowej współdziała w niesieniu pomocy ofiarom wojny i pracuje w Czerwonym Krzyżu. Organizuje również odsiecz dla Lwowa, formując oddział z 200 ludzi. Buduje w Antopolu dom dla nauczycieli a w Horodcu odnawia kościół. W tym pobieżnym spisie złożmy i od siebie serdeczne wyrazy

wdzięczności za współpracę w Zrzeszeniu Pisarzy Katolickich w Warszawie, którego przez kilka lat była prezydentką.

A ileż dobra płynęło z jej prac, o którym tylko przypadkowo dowiadujemy się. Ossendowski na wieczorze, poświęconym jubileuszowi Rodziewiczówny, opowiedział ciekawe i wzruszające wspomnienie o przysłaniu mu *Dewajtisa* w bochenku chleba do więzienia. Duch tego utworu uchronił go od rozpaczliwego kroku i kazał przetrwać noc, poprzedzającą egzekucję śmiertelną, do której nadspodziewanie nie doszło.

Przypominają się słowa Pisma św. wyryte na cokole pomnika: *Idąc szli i płakali siejąc nasiona swoje, wracając zaś wracać będą z radością, niosąc snopki swoje.*

Ks. J. Pawelski T. J.

„Prawda życia“, prof. Rozwadowskiego.

Niepospolita była to postać — prof. Jan Michał Rozwadowski. Wielkiej, europejskiej miary uczony językoznawca, cłłuba Uniwersytetu Jagiellońskiego i prezes Polskiej Akademii Umiejętności a przy tym w obcowaniu człowiek tak skromny, jakby umyślnie ukrywający swą wielkość i wiedzę, by nad innymi nie górować; tak wyrozumiały nie tylko dla ludzi z ich słabościami oraz błędami, ale i dla zdań, różnych od własnego, jakby do swoich zdobyczy nie przywiązywał większej wartości, albo jakby na wszystko spoglądał *sub specie aeternitatis*, jako na coś przemijającego, względnego, równie uprawnionego do życia. Owiewał jego wypowiedzenia jakiś lekki sceptycyzm, jakaś romantyczna ironia poetów, a przy tym był niejako wcieleniem przymiotów, które stary rzymianin za Ciceronem ujmował wyrażeniem *vir bonus*. Wszelako nie trzeba było być wnikliwym psychologiem, aby odczuć, że na dnie duszy kryła się długoletnia fala przeżyć i bolesnego doświadczenia, a może i ta wyrozumiałość dla wszystkich i gotowość przyjścia każdemu z pomocą, to umiłowanie świata i ludzi wyżyłoby się w charakterze uczonego właśnie na gruzach, zawiedzionych nadziei, szczęścia osobistego lub tylko filozoficznych i religijnych dociekań. W głębiach jego duszy kryło się jakieś pęknięcie, ponad którym wznosił on pracę lat, gmach swej etycznej doskonałości.

Pośmiertne dzieło *Prawda życia*,¹⁾ wydane z całym pietyzmem przez profesora Uniwersytetu J. P. w Warszawie, Adama Krokiewicza, oraz odczyt, referujący dotychczasowe wyniki pracy nad *Prawdą życia*, zrekonstruowany przez tegoż uczonego w *Kulturze i Nauce*,²⁾ odsłaniają poniekąd źródło psychiki zmarłego profesora.

Prawda życia może więc uchodzić za testament filozofa lingwisty a zarazem stanowi syntezę jego filozoficznych rozważań,

¹⁾ Jan Rozwadowski: *Prawda życia*. Warszawa 1937. Wstęp profesora A. Krokiewicza str. CXXII+131. ²⁾ *Kultura i Nauka*. Praca zbiorowa. Warszawa 1937, str. 282.

którym się oddawał, osobliwie od czasu gdy Wundt zaczął wydawać swą *Völkerpsychologie*, rozpoczętą tomem: *die Sprache*.

Rozwadowski chciał dać filozofię polską. „Może przyjdzie teraz czas na polską filozofię” — pisał do St. Michalskiego jeszcze w 1917 r.; chciał dać filozofię „żywotną, dostępną dla wszystkich”¹⁾ — jak zaznaczał w liście do niego w r. 1928. Przede wszystkim jednak przyświecała mu myśl o młodzieży polskiej i wówczas kiedy zarody swej pracy drukował w 1921 r. w czasopiśmie młodzieży *Czyn*, w artykule: „Jest Bóg, czy Go nie ma? Czym żyć, prawdą czy kłamstwem? Czy być bydlęciem, czy człowiekiem?” — i kiedy w r. 1935 już o *Prawdzie życia* donosił wspomnianemu przyjacielowi, że ona „ma być otuchą i jakby płomieniem dla wszystkich, ale działać ma przede wszystkim na dzisiejsze pokolenie młodych...” ma „być jakby arką przymierza między dawnymi i nowymi laty, między odchodzącą a nadchodzącą Polską”.

Nie jest to zatem dzieło przygodne, powstałe w chwilach klasycznych *otia serena* uczonego, ale celowo przemyślane i latami tworzone.

Mam przekonanie — pisał sam w swoich notatach — oczywiście mogę się mylić, że wszystko to razem jest nowym, mocnym krokiem naprzód na dobrej, właściwej drodze prawdy, po której kroczy odwiecznie człowiek,... zrzadka jasno ją widząc,... nieustannie ją gubiąc i zbaczając na manowce... pośród heroicznych, ale i tragicznych a prawie zawsze groteskowych wysiłków ducha, jakimi są dzieje w szczególności nauki religii, sztuki, wreszcie filozofii.²⁾

Już to samo wystarczy, byśmy się pracą tą na łamach *Przeglądu* zajęli. Tym bardziej, że znalazła ona szeroki i pełen uznania oddźwięk w tygodnikach, nie tylko pokroju *Wiadomości Literackich*, ale także w katolickich, narodowych czy konserwatywnych dziennikach.³⁾

Cóż zatem głosi ta nowa filozofia, na jakich opiera się przesłankach i ku czemu zmierza?

Z góry musimy przygotować czytelnika, że filozofia Rozwadowskiego nie stanowi żadnego zamkniętego w sobie systemu, nawet ograniczonego do pewnego tylko działu filozoficznych rozważań. Byłoby to sprzeczne z całą umysłowością uczonego myśliciela, który wychowany w czasach wrogich wszelkim spekulacjom, choć w latach późniejszych, pod wpływem Wundta i Bergsona a jeszcze bardziej biologa Driescha, coraz silniej schodził na pole właściwe metafizyce,⁴⁾ pozostał jednak zawsze do niej usposobiony nieufnie, nawet wprost niechętnie. Uznawał, że „prawda nie może i nie potrzebuje być jakąś złudą”,

¹⁾ Cytaty zaczerpnięte ze wstępu prof. Krokiewiczza, str. XXIII, XXVII.

²⁾ *Prawda życia*, str. 124. Odczyt str. 119. ³⁾ Art. Czachowskiego, cfr. *Czas*, 22 sierpnia 1937. ⁴⁾ Driesch: *Relativitätstheorie u. Weltanschauung*. 1930.

był przekonany, że tak jak poznajemy coraz lepiej wszechświat, podobnie możemy zbliżyć się do poznania prawdy życia.

Jeżeli człowiek ma biologiczny pęd poznania, jeżeli szukanie prawdy obiektywnej jest jego zadaniem, oczywiście prawdy życia ogólnej i żywej, to zadanie to może być bardzo trudne i w całej pełni nicosiągalne, ale nie może być zgoła niemożliwe.¹⁾

„Strach obłądny i nastrój bez wyjścia, jaki dziś wstrząsa całą ludzkością”,²⁾ przypisywał również zapoznaniu prawdy. Jednakże z drugiej strony równie silnie tkwił w nim bergsonowski relatywizm poznania a może i fikcjonizm Langego, podjęty w *Vaihingera: Als Ob.*, w którym nie tai przeświadczenia, że „wszelka konkretna prawda o jakiejś określonej treści ma i musi mieć charakter względny”³⁾ i że choć „prawda jest jedna”, ale ludzkim językiem i ludzkimi pojęciami wyrażona, zawsze zawiera w sobie zarówno jakąś prawdę jak nieprawdę. Tym bardziej sprawdza się to, gdy chodzi o ujęcie najwyższego zagadnienia bytu.

Nie można dać człowiekowi jakiegos treściowo w sobie zamkniętego systemu filozofii, bo przedmiotem tego co nazywamy filozofią albo mądrością... jest ogólna orientacja i wyznanie się w życiu, a w szczególności zdanie sobie sprawy ze stosunku człowieka do wszechrzeczywistości... Nie jakaś określona wiara, teoria czy coś podobnego... tylko uchwycenie samego wężła naszego istnienia, wydobyć na jawę drżącego w nas pierwiastka naszego życia.⁴⁾

Dlatego:

Wszelkie „systemy” filozoficzne są tworam z góry i koniecznie poronionymi, nierealnymi, rodzajem zabawy starych dzieci we wszechwiedzę.⁵⁾

Prof. Rozwadowski bez wątpienia bardzo wysoko cenil wiedzę. Jednakże, wyrosly w pozytywizmie i uitylitaryzmie XIX w., uznawał własciwie jedynie naukę, która się dała sprawdzić doświadczeniem, oraz rozumowanie bezpośrednio na nim oparte. „Widzimy, to znaczy poznajemy”.⁶⁾ Wszelkie dalsze wyniki dyskursywnego poznania przedstawiały mu się jako „czcza spekulacja” i „przerost niebezpieczny”, jeżeli nie „zgubny”. W zetknięciu z prawdami, których bezpośrednio nie da się sprawdzić eksperymentem, przyjmował z Bergsonem możliwość intuicji, ale i tu wystrzegał się, by rozumowaniem ram jej nie rozszerzyć. Przy takim nastawieniu, rzecz jasna, Rozwadowski nie dał i dać nie mógł systemu rozwiniętego polskiej filozofii w rodzaju Gołuchowskiego, Trentowskiego, Libelta czy Cieszkowskiego. Był zbyt uczciwy, by podawać za prawdę coś, co by sam uważał za „przerost” własnej myśli. Stąd nawet w tym co pisze, rzuca pewne twierdzenia bez innych dowodów, jak ten, że „to oczywiście... rzecz

¹⁾ *Prawda życia*, str. 7. ²⁾ Str. 10. ³⁾ Str. 68. ⁴⁾ Tamże, str. 125. Odczyt str. 120. ⁵⁾ Tamże, str. 106. Odczyt str. 125. ⁶⁾ *Prawda życia*, str. 8. Odczyt str. 126.

jasna jak słońce... jasna jak dzień” i to wówczas, gdy czytelnik, czy słuchacz pragnąłby jednak poznać podstawę, na której uczony takie lub inne wypowiada zdanie. Delikatnie w czasie dyskusji nad „Odczytem” wytknęli mu to niedoceniające spekulatywnego myślenia i wielki przyjaciel zmarłego prof. Krokiewicz i profesorowie Białobrzeski oraz Łukasiewicz. Jednakże mimo to prelegent w zamknięciu dyskusji zaznaczył, że:

powinniśmy dążyć do uświadomienia sobie stosunku, łączącego człowieka z wszechświatem, ale stosunku tego lepiej na razie nie precyzować, aby uniknąć niebezpieczeństwa jałowej i gołosłownej spekulacji.¹⁾

Uznaniem względności wszelkiej prawdy, do jakiej rozumowanie doprowadza, wyjaśnia się ta wielka wyrozumiałość zmarłego dla drugich i pobłażliwość dla zdań innych, a równocześnie niechęć do wszelkiego dogmatyzmu, który, czy to w filozofii, czy w religii zaznacza swe posiadanie prawdy bezwzględnej. Nawet na naukę rozciągał Rozwadowski to swe nastawienie:

Absolutną wartość może mieć tylko idea nauki, ale nie uprawiana faktycznie nauka i umiejętności rzeczywiście istniejące. Ile razy traci się to z oczu, to z pracy robi się zaraz rzemiosło, a w dalszym ciągu zjawia się fałsz i frazes, błaga czy to osobnych uczonych, czy całych nauk, pycha profesorska i pycha nauki

pisał w jednej z dawniejszych swych rozpraw.²⁾ W rozprawie zaś: „Co to jest filozofia i czego jej potrzeba”, staje na Vaihingerowskim utilitarystycznym stanowisku, mówiąc, że (człowiek) „ma prawo lekceważyć każdą naukę, która nie wyjaśnia trwale i nie poprawia stosunków życia ludzkiego”. Profesor Krokiewicz upatruje w tym oddźwięk teorii przede wszystkim Hilty’ego, głównie jego dzieła *d. Glück*.³⁾

Jak zatem pojmował swą nową filozofię polską prof. Rozwadowski i czego po niej spodziewać się można?

Zaznaczył to sam już dawniej w swych pismach.

Człowiek szuka światła o sobie, o celu swego życia, swej przeszłości i przyszłości dla samego siebie, a nie dlatego, aby istniała jakaś nauka.

Toteż może żądać od filozofii, aby odpowiadała swemu celowi... ale nie, by usiłowała zaspakajać głód prawdy jego duszy samymi czczymi i dlatego ciemnymi słowami.⁴⁾ „Filozofia nie musi być naukowa”, oto hasło, które, jak zaznacza Krokiewicz, przewija się przez wszystkie artykuły wielkiego uczonego.⁵⁾

Filozofia jest zastanawianiem się życia nad sobą; wielkim opamiętywaniem się ludzkości, świadomością sensu i zadania naszego życia

¹⁾ *Nauka Polska*, t. XX, str. 251—255. ²⁾ We wstępie Krokiewicza str. LXXI, LXXII. ³⁾ We wstępie Krokiewicza str. CV. ⁴⁾ Tamże str. CV. ⁵⁾ Tamże str. LXXI.

w ogóle,... to dochodzenie do świadomości obiektywnych praw, prawd i nakazów życia.¹⁾

Filozofia Rozwadowskiego będzie więc uchwyceniem przezeń nie tyle dyskursywnym, ile intuicyjnym, wolnym od spekulacji metafizycznej, pewnych najwyższych zagadnień życia o bycie, który „ludzkość po staremu... Bogiem nazywa”. Tym właśnie wyrażeniem posługuje się autor czysto mówiąc o wszechświecie, człowieku, wzajemnej ich zależności względnie o związku wzajemnym, wreszcie o wskaźnikach, jakie stąd płyną dla życia osobistego i zbiorowego. *Prawda życia* nie będzie zatem dziełem naukowym, ale praktycznym. Sam zresztą tak ją charakteryzuje:

To nie jest książka erudycyjna, w ścisłym tego słowa znaczeniu naukowa... tylko naprawdę przeczyta, doznana, z nędzy mego życia jednostkowego powstała, z trudem wydzwignięta i spisana niby rozmowa duszy jednostkowej z wszechświatem.²⁾

Dojrzało wszystko w ciężkich troskach osobistych i nicosobistych, dojrzało wraz z kataraktą na oczach, zapewne że nie ostatecznie — bo nic na świecie naprawdę nie kończy się ani zaczyna, a tym bardziej ludzkie poznanie — ale przynajmniej o tyle, że się złożyło w pewną całość.³⁾

Rozpatrując tę całość w zagadnieniach przezeń wysuniętych musimy stwierdzić, że Rozwadowski daleki jest od ateistycznego stanowiska. Owszem w całym dziele zaznacza się silnie jego na wskrós religijna, jakkolwiek swoista natura. Był najwyższy stanowi u niego punkt centralny myśli i dążeń. Już w *Czynie*, we wspomnianym artykule dla młodzieży polskiej, ukazując dążenie w świecie ku nieskończoności i tęsknotę za nią, rzuca malowniczym, tak sobie właściwym językiem pytanie: „Do czego może to wszystko dążyć? Do niczego? Do zera? Może, psiaakrew, do guana?”⁴⁾ i w odpowiedzi stwierdza istnienie siły, „którą ludzkość Bogiem nazywa”, a która jest „Duchem... Rzeczywistością... przyczyną, celem i centrem wszechświata, Prawdą, Miłością”. Rzeczywistość ta wnika w całe nasze bytowanie tak, że: „Czy chcesz, czy nie chcesz, nie możesz uciec od Boga” i dlatego whywa:

Uprzytomnij sobie człowiecze tę prawdę, choć tłucze okrutnie po pysku twoją głupią, jednostkową pychę, że twe poznanie, nawet moralność, nie są naprawdę twoimi istotnie. Ty jesteś ich kanałem, nie źródłem.⁴⁾

Aby zaś tym silniej przekonać o istnieniu Boga tych, co mu przeczą, wskazuje na pojęcia moralne, jak to „nawet zwierz (sic!) łaknie sprawiedliwości i dobroci i prosi o nie swym niemym a wymownym wzrokiem”. Więc zwracając się do bezbożnika rzuca Profesor mocne pytanie: „Czy nie widzisz tego, psiawiaro?”⁴⁾

¹⁾ We wstępie Krokiewiczza, str. LXXIII. ²⁾ *Prawda życia* str. 124. Odczyt str. 120. ³⁾ Tamże, str. 123. Odczyt str. 118. ⁴⁾ *Czyn*. Czasopismo młodzieży polskiej. 1921, str. 3—4.

Myliłby się jednak, kto by mniemał, że Bóg Rozwadowskiego, w obronie którego nie szczędzi całej plastyki słowa, jest takim, jakim Go pojmują pozytywne religie. W rozprawce swej, zamieszczonej w *Czynie* skupia w Nim wprawdzie wszelkie przymioty, odmawia Mu jednak „niedoleżnej postaci osoby”.¹⁾ Jego Bóg jest bogiem bezosobowym. W *Prawdzie* zaś życia wyraźnie nazywa swój system „dualistycznym monizmem albo monistycznym dualizmem”.²⁾ Istotnie Bóg Rozwadowskiego i cała jego religia jest typowym wznowieniem i szczepieniem w duszę inteligencji i młodzieży polskiej, starego, zaczynającego się u Spinozy a zakorzenionego w europejskiej myśli filozoficznej, monizmu.

Bóg pozostaje w *Prawdzie życia* „realną siłą... istniejącą”, która „nie daje się znikąd wyprowadzić w przeciwieństwie do wszystkich tworów”, to znowu siłą „w swojej istocie dla nas niepoznawalną”.³⁾ Ale równocześnie jawi się jako „coś, co w stosunku do wszechrzeczywistości... możemy sobie uprzytomnić na podobieństwo stosunku ducha ludzkiego do ciała”.⁴⁾ To znowu występuje ten Bóg jako „falujący gdzieś w wszechświecie ocean miłości, który ludzkość po staremu Bogiem nazywa”,⁵⁾ lub jako „siła... ocean siły, do którego po drobnym wzlocie spada nazad każdy twór, który jest tylko jakby wypryskiem wszechrzeczywistości”,⁶⁾ jako „siła prymarna, twórcza”, „siła prymordialna życiowa o charakterze wszechjednym”, występuje ona najczęściej pod mianem „Wszechżycia”.⁷⁾ Wreszcie, żeby tym lepiej pojęcie Boga i Jego stosunek do wszechświata unaocznić, przedstawia autor świat jako olbrzymi zakład „Wszechfirmy”, której jesteśmy współnikami.⁸⁾ Poza te ogólne wyrażenia, mające niedoskonałym ludzkim językiem oddać nieskończone pojęcie absolutnego bytu, autor nie wychodzi. Wszystko inne przedstawia mu się jako „bezpłodna metafizyczna spekulacja”, której „nie uprawiali, owszem odsuwali ją i Budda i Chrystus”⁹⁾; jako „przerost, często absurdalny”, do którego dążność ujawniają „wszystkie religie od samego początku”, a zwłaszcza kiedy się urzeczywistnia „w kościołach, instytucjach, tworach obrzędowych, teologach” itd.¹⁰⁾

Nauka o konkretnym, boskim objawieniu, praktycznie może dla podniesienia prymitywnych mas ludzkich na wyższy poziom istnienia pożyteczna, w rezultacie jest prawie zawsze złowroga. Bo ta teoria,... prowadzi do straszliwej spekulacji teologicznej, dogmatyki itd. ze wszystkim, co za tym idzie.¹¹⁾

Szczególnie zatem Objawienie jest czymś, co Rozwadowski z góry odrzuca jako „przerost”, albo co najwyżej uznaje w znaczeniu modernistów jak Loisy, lub tak jak je pojmował u nas

¹⁾ *Czyn*. Czasopismo młodzieży polskiej. 1921, str. 3—4. ²⁾ *Prawda życia*, str. 20. ³⁾ Tamże, str. 67. ⁴⁾ Tamże str. 13. ⁵⁾ Dyktat u Krokiewicza Wstęp str. LXX. ⁶⁾ *Prawda życia*, str. 25. ⁷⁾ Tamże str. 20, 72, 94. ⁸⁾ Str. 94. ⁹⁾ Str. 121. ¹⁰⁾ Str. 34. ¹¹⁾ Str. 126, 127.

Cieszkowski i pojmuje Zdziechowski tj. jako doznane, osobiste wyraźniejsze drgnięcie wszechsiły, podmiotowe tylko przeżycie, które potem krystalizowało się w sformułowane prawdy, dogmaty.

Jest rzeczą możliwą, że pewne jednostki, czasem, doznają i przeżywają wyraźniejsze drgnięcia Wszechsiły; może, zapewne: Budda, Płotyń, Chrystus, niektórzy mistycy, wielcy święci, wielcy nauczyciele; ale mogą to być tylko „drgnięcia”, przelotne błyski, najcenniejsze zapewne w życiu jednostki, ale w żadnym razie nie znoszące praw życia upostaciowanego, a także życia praktycznego.¹⁾

Dopiero twórcy i nauczyciele religii

już to z głębokiego przekonania, już to dla praktycznej celowości, podawali naukę głoszoną jako „boską”, „nie swoją” i „prawie zawsze kończyła się tym, że choć im samym przeważnie nie śniło się podawać się za „boga”, byli jednak za takiego uznani, nieraz nawet nad bogami stawiani jak np. Budda.²⁾

„Ale czy warto za skuteczność praktyczną płacić tak drogo niepożądanymi skutkami”, rzuca na koniec Odczytu pytanie Profesor?³⁾

Objawienie i łaskę, o których różne religie i filozofie mówiły, można i trzeba, wedle Rozwadowskiego, przyjąć:

poza możliwością jakichś osobnych stanów u pewnych jednostek, w tym znaczeniu, że „nasza” mądrość nie jest naprawdę, w całej pełni tego wyrazu „naszą”, tylko aktem Wszechżycia.⁴⁾

Owszem objawienie w ścisłym tego słowa znaczeniu pozbawiałoby same prawdy życiowej wartości.

Cóżby znaczyło, jaką by miało wartość, gdyby cząstka wiekuistej mądrości życia spadała na człowieka jak wygrana na loterii państwowej, jak dar z łaski temu lub owemu rzucony? Nie, człowiek musi sam indywidualnym wysiłkiem dojść do prawdy, musi być współpracownikiem a nie biernym widzem, niewolnikiem, lub żebrakiem, który dostaje obiad za darmo.⁵⁾

Rozwadowskiemu „rozpaczliwe dzisiejsze rzucanie się ludzi w objęcia to wyznaniowego klerykalizmu, to teozofii, wiedzy tajemnej, astrologii, buddaizmu itd. bez końca”, było równie obce „jak odwracanie się od wszelkiej religijnej idei”. „Są to dzisiaj rzeczy już zbyt prymitywne, aby mogły brać ludzi w posiadanie”.⁶⁾ Stąd „nie czekając na „nagłe oświecenie”, które może przyjść a może nie przyjść”, z drugiej strony rozumiejąc, że człowiek „nie może rezygnować ze swego intelektu i ma obowiązek próbować „naukowo” dojść do „przejrzenia i doznania”,⁷⁾ sam był daleki od bliższego formułowania pojęcia absolutnego bytu

¹⁾ *Prawda życia*, str. 88. ²⁾ Tamże str. 34. ³⁾ Odczyt str. 145. *Prawda*, str. 121. ⁴⁾ *Prawda życia*, str. 126. ⁵⁾ Tamże, str. 127. Odczyt str. 124. ⁶⁾ Tamże, str. 119. Odczyt str. 118. ⁷⁾ Tamże, str. 119. Odczyt str. 118.

i poprzestał na drodze, którą panteistyczna myśl filozoficzna stale żłobiła w w. XIX od Fichtego i idealistów niemieckich, poprzez Schopenhauera aż do Ostwałda, Macha i Paulsen. Nawet ta fichteńska męka jaźni i zmaganie się z niejaźnią, w której jaźń nie mogła znaleźć zadowolenia w swych realizacjach — pozostała jako istotna cecha Rozwadowskiego „twórczej i nie dającej się znikąd wyprowadzić”, wszechjedni. Nie chce on jej przyznać „nie-doleżnej postaci osoby”, ale przyznaje ból, cierpienie, móżół.

Wszystko co żyje móżozi się i spełnia wspólną, olbrzymią pracę. Taka jest konieczność życia i taka jest widocznie wewnętrzna, prawdziwa konieczność Firmy.¹⁾

Z tak zarysowaną teologią naturalną wiąże się ściśle a nawet uzupełnia ją i spleta w całość filozoficznego spojrzenia zarówno kosmologia, jak i antropologia polskiego uczonego.

Właściwie nie można u niego rozróżniać człowieka od reszty wszechświata. Rozwadowski jest konsekwentnym ewolucjonistą i to z zabarwieniem neowitalizmu. Teoria, która panowała przed materializmem Büchnera w początkach romantyzmu i miała u nas przedstawicieli w Mochnackim i Goszczyńskim, a która ożywia całą, nawet martwą przyrodę jakimś pierwiastkiem witalnym, która w powojennych czasach, bierze górę wśród niemieckich filozofów przyrody, ma w nim rzecznika.

Cała wszechrzeczywistość, zarówno bezpośrednio i zjawiskowo, jak tylko pośrednio nam dostępna, cały wszechświat, to niewyczerpane wszechjedno, jest żywą realizacją Wszechsiły, jej życiem. Jest to niby olbrzymi, niewyczerpany wszechzakład, stwarzający życie, wszechwytwórnia, w której widzimy... wynik jej immanentnych, niewzruszonych praw, wpływających z jej własnej jedynej wszechistoty.²⁾

Człowiek, „ten rodzaj węzła na tkaninie wszechświata”³⁾ jest tylko „drgającym świadomie momentem tej wszechrzeczywistości, jednorodną drobiną jej treści czy życia”.⁴⁾ Stosunek ten nie jest wprawdzie „stosunkiem czysto ilościowym tożsamości”, są to twory odrębne, ale

jest niewątpliwie stosunkiem współistotności.⁵⁾ Człowiek jest drobiną życia skorupy ziemskiej, która jest znowu drobiną wszechświata.⁶⁾

Człowiek prymitywny... całkiem oczywiście był, względnie jest bliższym krewniakiem zwierząt; zwierzęciem, trochę tylko przemysłniejszym i mądrzejszym od innych.⁷⁾

Wyraźniej jeszcze zaznacza się to stanowisko w innej pracy uczonego, cytowanej u Krokiewicza.

Człowiek wyobraża sobie bardzo chętnie, że on a zwierzę to całkiem co innego. I zapewne,... ale wszystko to są różnice stopnia i roz-

¹⁾ *Prawda życia*, str. 95. ²⁾ Tamże, str. 95. Odczyt str. 138. ³⁾ Tamże, str. 101. ⁴⁾ Tamże, str. 12, 13. Odczyt str. 130. ⁵⁾ Tamże, str. 84. Odczyt str. 131. ⁶⁾ Tamże, str. 12. Odczyt str. 130. ⁷⁾ Tamże, str. 70.

woju... Człowiek, jak był, tak i został rodzonym bratem zwierzęcia, nie tylko lwa, tygrysa, orła lub słonia, ale także psa, osła, świni lub szakala. Nie wypierajmy się więc kuzynów i nie udawajmy arystokracji.¹⁾

Czy i to nie jakaś znowu tylko intuicja Rozwadowskiego, bo chyba ani badanie naukowe, ani wynik rozumowania prawdziwie naukowego!

Współistotność całego wszechświata, czy wszechrzeczywistości a również tym samym współistotność z Prasiłą,²⁾ która się właśnie siłą konieczności urzeczywistnia w rozlicznych tworach wszechświata materialnego i duchowego, stanowi jeden z filarów filozofii Rozwadowskiego. Natura martwa jest też martwą o tyle, że nie zawiera w sobie „sama przez się żywej siły rozpędowej” i „nie ma życia organicznego”.³⁾ Ale „także martwe twory biorą do pewnego stopnia udział w zjawisku życia” mocą tej siły życiowej, której są tworem i która w nich działa. Wszak „istotą życia jest energia, siła a cały wszechświat jest jednym olbrzymim układem energii”.⁴⁾ Ta zaś energia jest znowu modyfikacją jedynej energii, Prasiły. Drugim pojęciem, wchodzącym również w tworzywo poglądu na kosmiczną budowę wszechrzeczywistości, jest przyjęta przez uczonego zasada złożoności wszystkich tworów zarówno w świecie materialnym, jak duchowym.

Zdaje się, że w ogóle nie ma tworów, absolutnie prostych, niezłożonych, na wskrós jednolitych... Możemy stwierdzić jako fakt pewny i oczywisty, że wszystkie twory, czy to rzędu fizycznego czy duchowego są złożone. Są zatem układami, systemami albo organizmami... są wypadkową składników, zorganizowanych i zastosowanych przez pewien impuls czy moment twórczy.⁵⁾

Energizm przede wszystkim filozoficznie rozwinięty przez Ostwalda, świeci swój tryumf u Rozwadowskiego, zresztą zgodnie z pojęciami współczesnych fizyków i przyrodników, jak to widzimy u Bavinka.⁶⁾ Pojęcie substancji, jako „bytu w sobie”, który by nie tkwił w innym, jako w podmiocie, i różnica od bytów wtórnych (*accidentia*), które jestestwem swym muszą tkwić naturalnie w podmiocie, jest dla nich nie do przyjęcia. Tak więc i dla uczonego profesora wszystko, co istnieje, jest jedynie układem sił, które każdemu tworowi z góry są dane i nawet w zakresie kultury duchowej rozwijają się w samodzielne, osobne byty, jako takie oddziałujące wzajem na siebie.

Twory te, wbudowane w twór wyższy tracą na rzecz całego tworcu częściowo swą własną jednostkową samodzielność i osobność. Ale nie zupełnie. Posiadają one w dalszym ciągu swoją niezależność i odrębność, swą indywidualną samodzielność... Kości, mięśnie, nerwy, skóra, członki organa wewnętrzne, mózg, narządy zmysłów nawet paznokcie i włosy mają znaczny zapas własnej samodzielności życiowej.⁷⁾

¹⁾ U Krokiewicza Wstęp. XCIX. ²⁾ *Prawda życia*, str. 84. ³⁾ Tamże, str. 44. ⁴⁾ Tamże, str. 128. ⁵⁾ *Prawda życia*, str. 23, 50. ⁶⁾ *Ergebnisse d. Naturwissenschaften*. 1930 str. 180 i nast. ⁷⁾ *Prawda życia*, str. 51, 52.

Pamięć, wyobraźnia, ściśle myślenie, dar poetycki, dowcip, różne zalety i wady charakteru są to różne rzeczy... jako stałe ogólne wielkości czyli układy,¹⁾ bo

każdy twór czy układ urzeczywistniwszy się... obiektywizuje się, staje się osobną, niezależną istnością...²⁾ niezależną od swojej zasadniczej idei a jeszcze bardziej, w twórcach kulturalnych, od swego twórcy. Twór niejako na własną rękę żyć zaczyna...³⁾ Nawet tzw. czyn lub akt nie jest niczym innym tylko rzeczywistym tworem.³⁾

Są to więc chyba jakieś, Leibnitzowskie monady, układające się w jeden twór, wyższego lub niższego rzędu. O jedności zasadniczej, o pierwiastku, który by w tworze żywym, łączył celowo w całość te różne elementy i energie, mowy być nie może. Człowiek jest zlepkiem danych mu z góry sił, które znów mają z góry dane własne swoje rozwojowe dążności.

Ideałem człowieka jest wprawdzie doskonały... sprawnie działający system psychofizyczny. Ale codzienna oczywistość poucza, że jego składowe części, mimo „organicznego” związku, działają właściwie niezależnie i w znacznej mierze dla człowieka zupełnie nieświadomie...⁴⁾ Nawet nasza świadomość, nasza samowiedza osobowa noszą ten sam charakter.⁴⁾

Stąd

człowiek jako całość, jako „ja” samowiedne jest właściwie tylko świadkiem i rejestratorem działania swych organów i popędów.⁵⁾

Jest, inaczej mówiąc, jedynie jakimś magazynem, lub teką, w której wszechżycie składa poszczególne akty swej siły, modyfikującej się w energiach różnych twórców wszechrzeczywistości.

Każdy z tych twórców fizycznych, czy duchowych, życia indywidualnego, czy zbiorowego, ulegają tylko trzem z góry danym i działającym koniecznie prawom: prawu „przerostu” czyli dążenia do ogarnięcia sobą całej rzeczywistości, prawu „postaci”, czyli dążności do samozachowania własnego typu i ponad nimi stojącemu i regulującemu życie prawu ślepego „pędu”.

Z dążności przerostowej⁶⁾ płynie

egoizm, egotyzm, megalomania człowieka — pycha... Pęd ten może dojść do jasnej świadomości, ale nie jest subiektywnym... zamiarem, ale obiektywnym dążeniem... Zależy od wewnętrznego układu tworu i od zewnętrznych warunków...⁷⁾ Występuje najrozmaiciej, ale działa wszędzie i zawsze koniecznie, bo każdy twór jest wyposażony w pewien zapas energii, albo prężności życiowej, która go pcha naprzód.⁸⁾

W zasadzie jest on nieskończony

ponieważ siła, w nim działająca jest częścią energii wszechrzeczywistości, tej nieskończonej prąsity, do której znowu po drobnym wzlocie powróci...⁹⁾ Człowiek też czuje w sobie ten bezkresny wzlot ku wyżynom, ponieważ za chwilę zapadnie w łono wszechżycia.⁹⁾

¹⁾ *Prawda życia*, str. 54. ²⁾ Tamże, str. 41. ³⁾ Tamże, str. 55.
⁴⁾ Tamże, str. 56, 62. ⁵⁾ Tamże, str. 56. ⁶⁾ Tamże, str. 21, 22. ⁷⁾ Tamże, str. 24, 25. ⁸⁾ Tamże, str. 23, 25. ⁹⁾ Tamże, str. 26, 35, 39.

Przerost dochodzi zawsze z konieczności do absurdu, to znaczy do sprzeczności z życiem i rzeczywistością i niejako sam się rozlatuje i znika bez naszej czynnej mądrości.¹⁾

Z przerostowych dążeń różnych twórców wywija się walka zarówno w wszechświecie,²⁾ jak „wewnątrz tworu indywidualnego”.³⁾

Obok prawa „przerostu” występuje prawo „postaci”, które wprowadza bezwład i tradycję postaci. Wynikiem tego prawa są pewne utrzymujące się zwyczaje i poglądy, tworzące zarówno hamulec postępu⁴⁾ i wzmagające walkę przerostową. Oba dążenia są przy tym podległe jakiejś starszej *ananke* — ślepego pędowi życia w raz nadanym kierunku. Prawo to przede wszystkim umacnia przerosty i usuwa w człowieku jego osobistą wolną wolę.⁵⁾

Każdy twór jest dany, czyli realizuje się jako wynik z góry danych: pędu życia w związku z pewną ideą, układem oraz warunków, w jakich żyje. Czyli każdy twór żywy jako indywidualna jednostka ma w całości charakter dany. Jest to fakt zupełnie oczywisty a więc także życie jednostki i wszystko, co się w nim kryształizuje i z niego wystrzela posiada ten charakter.⁶⁾

Wszyscy wiemy, co znaczy potrzeba i popęd jedzenia, picia, spoczynku, snu, wyładowania piciowego itd., i że jesteśmy wobec nich i wobec ich przerostowej dążności tak samo bezsilni, jak wobec funkcjonowania żołądka, serca, płuc itd. To samo odnosi się do działania naszego organizmu psychicznego... Wszelki apetyt, podniecony smacznym kęsem, kieliszkiem wódki, bliskością apetycznej kobietki, lenistwo rozespania itd. bez końca, jest silniejszy od człowieka.⁷⁾ Gdzież wtedy jest nasza dumne „ja”, nasza jednolita osobowość, gdzie godność „króla stworzenia”, gdzie świadomość, charakter, ideały? ...Zależność, heteronomiczność, wynikowość i daność czyli tzw. przyrodniczość albo biologiczność człowieka jest, praktycznie biorąc, zupełna.⁸⁾ Człowiek z tymi przerostami walczy, jeżeli zbyt jaskrawo naruszają równowagę i interes całości, ale ogółem biorąc, jest wobec nich bezsilny, chyba że przerost grozi zniweczeniem i rozleceniem się całości. Wtedy czasem zwycięża egoizm całości, ale i to raczej tylko w dziedzinie ciała, ze strachu przed śmiercią.⁹⁾

Rzecz zrozumiała, że w takim ujęciu wszechświata i człowieka nie może być mowy o jego osobowej nieśmiertelności.

Jeżeli twierdzimy, że człowiek jest nieśmiertelny, albo trwa wiecznie, to jest to w gruncie rzeczy dla człowieka oczywiste tylko jako pragnienie... Stwierdzenie X. umarł znaczy, że twór X., który się zrealizował jako jednostka i jakiś czas trwał, wreszcie się skończył jako taka i nic więcej. Ale nie znaczy że w ogóle zniknął, bo to już jest nonsens absolutny. Na odwrót stwierdzenie, że człowiek jest nieśmiertelny znaczy tylko że nie ułatnia się z rzeczywistości, z wszechżycia, ale nie znaczy, że się on, ta sama jednostka bez przerwy czynnie realizuje. Wszak to także byłby nonsens absolutny.¹⁰⁾

¹⁾ *Prawda życia*, str. 31. ²⁾ Tamże, str. 22. ³⁾ Tamże, str. 23. ⁴⁾ Tamże, str. 41—49. ⁵⁾ Tamże, str. 18, 21, 24. ⁶⁾ Tamże, str. 59. ⁷⁾ Tamże, str. 56, 57. ⁸⁾ Tamże, str. 87. ⁹⁾ Tamże, str. 56. ¹⁰⁾ Tamże, str. 85.

Największą trudność w przyjęciu tak zbudowanego wszechświata razem z człowiekiem, stanowi świadomość człowieka, w której on nie pojmuje się jako futerał, kryjący mnogość twórków, rozbieżności w dążeniach, ale zwłaszcza w zakresie myśli, jako samowiedne i twórcze „ja”.

Łatwo jest dojrzeć i przyjąć ogólną, faktyczną i praktyczną zależność człowieka, łatwiej nawet uznać nieistnienie „wolnej woli”, ale „myśli”... wydaje się człowiekowi naprawdę własną, swobodną, autonomiczną, niepo pochodną, chociaż jeszcze słabą. Uznać, że „moja” samowiedza nie jest „moją”, że „moje” ja osobowe nie jest „moim” wydaje się niepojętym nonsensem, sprzecznym z bezpośrednią oczywistością.¹⁾

Myśliciel stanął istotnie wobec niełatwego problemu. Odpowiada jednak na to, że cała ta „moja samowiedza”... nie jest „moja”, czyli że jest pozorna i złudna.²⁾ W rzeczywistości istnieje

we wszystkich jednostkach ludzkich jakie są, były i będą, w swojej istocie takie samo i to samo... pochodzi zatem z jednego, wspólnego, pozajednostkowego źródła;³⁾ jest nasze „własne” tylko w sensie względnym...⁴⁾ Jego rdzeń i podstawa musi tkwić w prymordialnej sile życiowej, być jej cechą pierwotną i konieczną. Samowiedza więc osobowa jest wypadkową prymarnej siły życiowej i jej wyodrębnienia jednostkowego.⁵⁾

Innymi słowy mnie się wydaje, że ja myślę, że czuję, że jestem świadomy, a to wszystko przypisać trzeba tej sile prymarnej „bezosobowej”, która żyje we mnie w mojej, danej mi w pewnej mierze sile jednostkowej, jako rozszczepienie siły prymarnej. Ona sprawia to samopoczucie jedności. „Wszystkim się zdawało, że Wojski gra jeszcze, a to echo grało”.

Stanowi to, jak się wyraża prof. Rozwadowski, biegunowy węzeł istnienia, dzięki któremu

jednostka, mocą swej jednostkowości ograniczona, ślepa, zamknięta, zależna, wtórna, wynikowa, nieautonomiczna itd. jest równocześnie nieograniczona, wiedząca, swobodna, prymarna itd... To jest niewątpliwe, jasne jak dzień.⁶⁾

Uchwycenie całego życia z jego objawami w „biegunowym węźle” istnienia jest też dla Rozwadowskiego zarówno ostatecznym wnioskiem przemyśleń filozoficznych jak podstawą, na której wyrastało i jego osobiste życie i cały pogląd na świat.

„Człowiek jest istotą odrębną, samą dla siebie”. Ale to tylko jedna strona każdego bytu wtórnego. Obok niej istnieje druga. Jednostka jest związana istotnie z wszechżyciem i dopiero w tej łączności stanowi całość.

¹⁾ *Prawda życia*, str. 62—68. ²⁾ Tamże, str. 68. ³⁾ Tamże, str. 64.

⁴⁾ Tamże, str. 63. ⁵⁾ Tamże, str. 64. ⁶⁾ Tamże, str. 64, 83.

Podstawowym faktem naszego życia jest relacja... Nie są to dwie istności, dające się rozdzielić, ale dwa momenty tej samej jedności jej uniwersalnego i jednostkowego bytu.¹⁾

Uchwycenie wszystkiego w samym węźle istnienia zapewnia i prawdę poznaniu i wartość życia.

Jasny wgląd w węzłowość naszego istnienia daje dopiero mocny chwyt podstawy życia jednostkowemu... niewzruszony fundament, stały, dla nas absolutny punkt oparcia, niezachwiany drogowskaz i orientację...²⁾ jest najgłębszym, najbardziej realnym rdzeniem naszej istoty.³⁾

Cesze tej podlegają (przede wszystkim) wszystkie nasze sądy o życiu, całe nasze poznanie... Stąd wszystkie nasze sądy wyrażają zawsze stanowisko i ujęcie jednobiegunowe, bądź jednostkowe, bądź uniwersalne, i tym samym nie wyrażają całej prawdy, tylko względną... Cała prawda musiałaby się opierać o zupełnie jasny wgląd we wzajemny stosunek obu biegunów, stanąć niejako ponad nimi a to jest wykluczone... Nie ma sposobu wydostać się z tego związania, które warunkuje samo nasze pojęcie prawdy... Rzeczywista pełna prawda musi być węzłowa, obubiegunowa i dlatego tak trudno ją uchwycić i wyrazić. Właściwie tworzymy pojęcia wzajem się wykluczające, naprawdę względnie tylko prawdziwe a w gruncie rzeczy bezsensowne... Jeżeli jedni mówią, że Bóg jest, że człowiek żyje dalej po śmierci, że ma wolną wolę, że Opatrzność kieruje jego losami itd., a drudzy mówią wprost przeciwnie, to te ujęcia są w obu razach naiwne, dziecinne, same w sobie sprzeczne.⁴⁾

Gdybyśmy, w myśl postawionej przez uczonego zasady, nie musieli i ujęcia prawd życia przez Rozwadowskiego uważać za ujęcie jednobiegunowe, „samo w sobie sprzeczne”, nie kwalifikując już dosadniej jego własnymi wyrażeniami przedstawionej nauki, to należało by powiedzieć, że jest to rzeczywiście tragedia człowieka, dążącego do poznania prawdy, a niezdolnego do jej zdobycia, skoro wszystkie sądy pozostaną zawsze i muszą pozostać jednobiegunowe i będą kryły w sobie „absolutny nonsens”.

W każdym razie odsłania się nam tu ostateczna podstawa, na której Profesor zakładał relatywizm poznania. Teorie poznawcze, rozwijające się w przeróżnych formach kantowskiego *numenon*, osadził ostatecznie ten wróg spekulacji i metafizyki mimowiednie na silnie metafizycznym podłożu „zawężlenia” biegunowego w człowieku a przy tym twardej konieczności tworzenia czysto „jednobiegunowych” pojęć, bez względu na to, czy punktem wyjścia będzie jednostka, czy się spojrzy na życie ze stanowiska uniwersalnej wszechsiły.

Staną na drodze skądinąd słusznej, twierdząc, że tylko w uświadomionym związku, łączącym poznanie człowieka z węzłem istnienia, nasze ziemskie jednobiegunowe poznanie może nabrać nie tylko wartości, ale rozwinąć swój zakres i zdobyć prawdy, które silniej mówią niż mędrca szkiełko i oko, może wnieść w życie indywidualne i zbiorowe trwałe wartości.

¹⁾ *Prawda życia*, str. 11, 14. ²⁾ Tamże, str. 81. ³⁾ Tamże, str. 65.
⁴⁾ Tamże, str. 84, 85, 86.

Należy wszakże uczynić ważne zastrzeżenie: że to poznanie musi opromieniać prawda Boża głębiej poznana, aniżeli w formie ogólnego ujęcia naszej zależności od jakiejś nieosobowej wszechsiły. Tymczasem właśnie posunąć się dalej nie chce i woła autor: „Stop! bo zaraz czyha na człowieka cała mechanika jego myśli”.¹⁾

W tak ogólnym uchwycie, zwłaszcza opartym o teorię współistotności człowieka z materialnym wszechświatem i współistotności energii w wszechświecie z jej twórczym źródłem, można tylko dojść do uświadomienia sobie swej zależności i własnej, momentalnie trwającej beziły oraz do zwątpienia w rzeczywistą prawdę wszelkiego poznania. „Wielki dramat życia musi się wtedy zmienić w tragedię, albo w krwawą komedię, albo w tępa farsę”²⁾ — jak się wyraża Uczony o jednobiegunowym poznaniu i życiu człowieka. Zawężenie z wszechsiłą, ogólnie pojętą, nie uratuje go przed tym szkopułem duchowego rozbicia.

Tylko że Rozwadowski nie umie wyciągnąć konsekwentnych wniosków ze swoich pesymistycznych obłądnych założeń; nie był bowiem człowiekiem, dla którego filozofia stanowiłaby zagadnienie myślowe, oderwane od życia. Toteż, skoro rozwijał się przed jego oczyma przerażający obraz ludzkości w jej egotycznych dążeniach, starał się z uświadomionego węzłowego istnienia człowieka uczynić dlań busołą i wskaźnik życia rozumnego, uczciwego i czynnego, dążącego ku niedosiężonemu, ale rzeczywistemu ideałowi.³⁾ Filozofia nie była mu „naukowym problemem”, ale „przekształceniem samego siebie..., nastawieniem całego organizmu” na „dominujący nastrój”, w którym by widniała „Prawda Życia”.⁴⁾

Trzeba się samemu niejako na drugą stronę wyrzucić, aby dojrzeć prawdę i trzymać się jej mocno. Trzeba zaprzeczyć niejako samemu sobie, wyprzeć się niejako i zniszczyć samego siebie,⁵⁾ dojść do zrozumienia, że bez wprowadzenia w życie prawdy, mówiącej o węzłowości istnienia, całe życie nasze jest tylko niepojętym groteskowym widowiskiem, jakimś sennym wegetowaniem, albo jakąś tymczasową gonitwą za czymś co ma dopiero przyjść a nigdy nie przychodzi.⁶⁾ Prawdę tę należy przeżyć a nie wystarczy tylko umysłem uchwycić.⁷⁾

Uświadomienie sobie zupełnej zależności, mechaniczności, ograniczoności i względności, oto co jedynie pozostaje w mocy człowieka i co musi stanąć u podstawy życia,

bo wtedy dochodzę do samej granicy istnienia, chwytam sam węzeł swojego życia i tę prymordialną siłę, która jest warunkiem mego życia i przejawia się w samym jego węźle...⁸⁾ To człowieka podnosi, wyrwa z beznadziejności i rozpaczy.⁹⁾

¹⁾ *Prawda życia*, str. 126. ²⁾ Tamże, str. 78. ³⁾ Tamże, str. 81.
⁴⁾ Tamże, str. 105—106. ⁵⁾ Tamże, str. 81. ⁶⁾ Tamże, str. 80. ⁷⁾ Tamże, str. 14—15. ⁸⁾ Tamże, str. 87—88. Odczyt str. 136—139. ⁹⁾ Tamże, str. 118.

Wszelako uświadomienie nie może pozostać jałowe.

Trzeba, aby wiodło do czynnej zgody z wszechżyciem, jako jedynej podstawy budowania charakteru i orientacji życiowej a nie błakania się i nieustannego chwiania w życiu.¹⁾ Człowiek przestaje być wówczas niewolnikiem pełnym nienawiści i buntu, pracującym z musu i pod batem, wyzwała się i staje się chętnym i ufnym współpracownikiem i współnikiem Wszechżycia, tej „siły, którą ludzkość po staremu Bogiem nazywa”.²⁾ Pozostaje jednostkowym składnikiem, aktem wszechistnienia, drobiną wszechjednej istności prawie zupełnie zależną, kształtowaną w pochodzeniu, rozwoju i w celu zdeterminowaną, ale biorącą udział w wszechistnieniu, zatem drobinowo niezależną, autonomiczną i twórczą.³⁾

Czegóż więc rozpaczć i poco stawiać niemądre pytania: dlaczego cała kreatura tak cierpi? Dlaczego w szczególności człowiek cierpi tak strasznie i dlaczego dopuszcza się takich niezliczonych, podłych zbrodni i okrucieństw?⁴⁾

To też Rozwadowski porównywa wszelki bunt przeciw twardej doli, jaką jednostka przeżywa, z wierzganiem osła upartego, który

wierzgając zdycha jak osioł...⁵⁾ I choćbyś miał norę napchaną łupem od góry do dołu, interes, przedsiębiorstwo twego życia zupełnie się nie udały. Zaszkoziłeś sobie i Firmie,

jeżeli brakło chętnego poddania się losowi, bo wszystko, co żyje — mozoli się i cierpi. Taka jest już konieczność wewnętrzna, prawłasna, konieczność Firmy⁶⁾ (tego czynnika, który ludzkość Bogiem nazywa.

Obok uświadomienia sobie i wprowadzenia w życie uzależnienia od pierwiastka twórczego, wysuwa uczony inny postulat życiowy — pokorę. Ona jest jedynie mądrym stanowiskiem świadomej myśli ludzkiej — rozumienie, że jesteśmy drobinowymi, ale współpracownikami Wielkości.⁷⁾

Poczucie pełnej zależności kruszy megalomanię człowieka, ale równocześnie dźwiga, podnosi i uszlachetnia... Jednostka z pełną degradacją w ślad za nią otrzymuje niejako indygenat.⁸⁾

Filozofia tak ujęta była zatem i religią Rozwadowskiego. Religii tak swoście pojętej nie odrzucał. Przypisywanie religii i moralności egoistycznemu wymysłowi klas uprzywilejowanych uważał za „naiwną koncepcję”.⁹⁾ Religia była mu przyrodzoną, immanentną funkcją, potrzebą i wytworem naszego życia.¹⁰⁾ Wedle zasad, jakie wyłuszczył, sam też żył z całym poddaniem się w najcięższych chwilach i uważał, że uchwycenie samego wężła istnienia i uczynienie go drogowskazem, czy kompasem życia jest „wieczną lampą, płonąca w nas przed ołtarzem wszech-

¹⁾ *Prawda życia*, str. 89. ²⁾ Tamże, str. 94. ³⁾ Tamże, str. 96. ⁴⁾ Tamże, ⁵⁾ Tamże, str. 92—94. ⁶⁾ Tamże, str. 94. ⁷⁾ Tamże, str. 129. Odczyt str. 143. ⁸⁾ Tamże, str. 116—117. ⁹⁾ Tamże, str. 119. ¹⁰⁾ Tamże, str. 118.

rzeczy...¹⁾ Jakaś tęsknota kosmiczna, która zda się rozsadzi życie ludzkie, serce i głowę człowieka”²⁾ i jemu się udzielała, zwłaszcza w ostatnich latach życia.

Oczywiście przy takim nastawieniu umysłu i takiej ideologii nie można mówić o właściwej, nawet czysto naturalnej, religii; nie można też uznać zasłużonego językoznawcy za człowieka religijnego w ścisłym i normalnym tego słowa znaczeniu. Religia bowiem jest duchową więźbą człowieka z osobowym Bogiem, jest uwielbieniem Go i umiłowaniem a nikt nie może wiązać się duchowo z czymś, co ma tylko nieosobowy charakter kosmicznej, transcendentalnej siły a tym bardziej takiej siły, która tylko tworzy a nie nagradza, prowadzi przez morze zła ludzkość bez innego znaczenia cierpienia, jak że ono jest koniecznością. Takiej siły nikt ani uwielbiać ani miłować nie może. Może się poddać fatalizmowi z poczuciem własnej niemocy, czuć swą zależność i nicość, ale to jeszcze nie religia.

Jednakże w szerszym znaczeniu można powiedzieć, że Rozwadowski był właśnie typem nowożytnego, na swój sposób religijnego człowieka. By to wykazać zestawiliśmy obszernie system z jego pism wynikający, posługując się ile możliwości wyrażeniami samego autora, bo te zapatrywania monistycznego panteizmu kształtują duszę wielu współczesnych, inteligentów, zwłaszcza z uniwersyteckim wykształceniem. Nawet niejeden z naszych tzw. katolików, może i praktykujących, w braku rzetelnego uświadczenia religijnego i znajomości głębszej prawd wiary, oddziela prawdy wiary i prawdy rzekomej nauki, pierwszym przypisując względną wartość jakiejś spekulacji lub czyjegoś osobistego przeżycia, drugim również względną wartość, ale życiową. Z podobnymi pojęciami spotykamy się u Brzozowskiego. Podobne poglądy, w wielu razach z Rozwadowskim styczne, miał w swoim „Ojcie Nasz” Cieszkowski, podobne zapatrywanie na objawienie, ma Zdziechowski. Monizm wnika w dusze i przez nowożytną powieść. I właśnie Rozwadowski świadczy najlepiej jak monizm głęboko tkwi w poglądzie na świat starszego pozytywistycznego pokolenia.

Rozwadowski odżegnywał się od wszelkiej pozytywnej religii, skryształizowanej w kościołach, dogmatach. A przecież zasadnicze prawdy, które wyprowadza jako „nowe” znalazłby rozwinięte pełniej, prawdziwiej i dla człowieka podniosłej w pozytywnych religiach a zwłaszcza w religii objawionej, w katolicyzmie.

Wszak samo zawężenie z prasiłą wysuwa się jako podstawa teologii św. Pawła: *w Bogu żyjemy, poruszamy się, jesteśmy*. Nawet rozumem tworzona religia (*teodicea*) uczy, że Bóg nie tylko nas stworzył, ale i w naturalnym porządku nieustannie nas utrzymuje i z nami współdziała. A cóż dopiero mówić o prawdziwie niewy-

¹⁾ *Prawda życia*, str. 20. ²⁾ Tamże, str. 36.

powiedzianych niejako zaślubinach Boga z duszą przez łaskę uświęcającą, którą w swej ignorancji tak dyskwalifikuje nasz uczony?¹⁾

Tylko w religii pozytywnej ten Bóg osobowy, pozaświatowy, zawęzła się niejako ze stworzeniem, działalnością własnej wszechmocy, pozostającej w sobie nieskończoną i niepodzielną. Monizm natomiast samą tę siłę nieskończoną rozszczepia w stworzeniu i każe przyjąć, że ona pozostając sobą, jest równocześnie tą samą siłą nieskończoną i skończoną — zamiast tajemnicy religii daje nam tajemnicę sprzeczności.

Gdyby Rozwadowskiemu ktoś mówił, że w tajemnicy Trójcy św. osoby są tylko relacjami, w jakich żyje jedna, niepodzielna cała Boża istota, jako byt sam z siebie, że w Sakramencie Ołtarza są tylko widoczne same przypadłości, twory wtórne, bez istoty chleba i wina a pod nimi kryje się substancja ciała i krwi Chrystusowej, nazwałby to z pewnością spekulacją nie do pojęcia; ale nie uważa za jałową spekulację, kiedy mówi, że wszystkie byty są osobne wprawdzie, ale są tylko relacją, albo kiedy uczy, że poszczególne byty są tylko momentami, modyfikacjami prasiły i mają wszystkie w tym znaczeniu byt jedynie wtórny, są więc przypadłościami bez substancji.

Możemy wiarą przyjąć niepojętą dla nas prawdę o relacji trzech Boskich Osób, bo nie sprzeciwia się rozumowi, by ta sama natura istniała cała i niepodzielna w różnych relacjach. Tylko wynikająca z tych relacyj potrójna osobowość pozostaje niedościgłą tajemnicą nieskończoności poznania i miłości Bożej, tajemnicą wiary, której ani potężny umysł Augustyna nie zdołał przeniknąć. Atoli przyjęcie, że byty stworzone są tylko relacją istoty niestworzonej, w której urzeczywistnia się w ograniczony sposób byt nieograniczony, pozostając jednak sobą, czyli, że ten byt jest równocześnie skończony i nieskończony — to już taka tajemnica natury, że graniczy chyba z „przerostem“, który chyba kryje w sobie, że użyjemy słów Profesora, „absolutny nonsens“.

Podobnie jeżeli Rozwadowski przyjmuje z całym monizmem, że wszechświat jest tylko zbiorem modyfikacji, że są to więc przypadłości prasiły — to oczywiście musi istnieć i w monizmie jakaś istota, z której one niejako ewolucyjnie wynikły i w której tkwią, czyli musi istnieć substancja; ale wtedy te twory, nie stworzone aktem wszechmocy, ale wyszłe koniecznością z prasiły jako ze swego podłoża muszą być z tą siłą współistotne, co zresztą monizm wyraźnie zaznacza i wtedy albo każdy z tych tworów jest Bogiem, albo też nieskończoność z natury swojej własnej wyprowadza konieczne dla się modyfikacje skończone. I znowu tajemnica natury, trudniejsza do przyjęcia od wszystkich tajemnic wiary; i znowu spekulacja, bardziej oderwana aniżeli

¹⁾ *Prawda życia*, str. 127.

wszelkie spekulacje teologii! Należało tu już zawołać: „Stop, bo czyha zaraz cała mechanika myśli”, w której w dodatku brak logicznego związku. Obok tych zasadniczych tajemnic, wynikających z założeń monizmu¹⁾ nie brak i tajemnic logiki, lub może intuicyjnego myślenia.

Nie mówię o drobnych, jak że „gdyby człowiek i wszechświat cały nie były współistotnymi, to nie wiedzieliby o sobie”,²⁾ ale o zasadniczych.

Profesor nie uznaje winy z zamiaru i intencji, do tego stopnia, że wedle niego „może ją uznawać tylko głupiec”.³⁾ Oczywiście takie stanowisko jest jedynie zgodne z założeniami monizmu i z założeniami Profesora o prawie ślepego pędu oraz przerostowej dążności. Można się oczywiście z tym nie godzić, tak jak w dyskusji nad „Odczytem” profesor Tatarkiewicz zakwestionował powszechność „prawa przerostu”, albo profesor Łukasiewicz zaznaczył odrębne stanowisko wobec determinizmu, albo profesor Krokiewicz stanął w obronie spekulacji.⁴⁾ Jednak trzeba uznać, że te właśnie założenia są filozoficznym stanowiskiem prof. Rozwadowskiego. Ale, jeżeli uznaje on determinizm, usuwający odpowiedzialność, to logicznie trudno uznać w człowieku „a nawet jak on pisze niewątpliwie w każdym stworzeniu (sic!) głos sumienia.”⁵⁾

jakiś nieprzyjemne skrobanie gdzieś wewnątrz jego istoty, (skrobanie, które) ...pozostaje na zawsze jako głuche, przykre niezadowolenie z siebie, jako ciera wbity w duszę, ilekroć człowiek nie zachowuje się tak, jak powinien postąpić, niezależnie od wszelkiej religii i wszelkiego prawa.

A przecież te czyny, wedle Rozwadowskiego nie są „moje”, są tylko koniecznym wytworem praw ślepego pędu i przerostu, nawet ich świadomość nie jest „moja” tylko tej wszechsiły, „zawężłonej” we mnie jako w swym tworku. Więc po co się niepokoić jakimś niby głosem sumienia. Niechże sobie „nieprzyjemnie skrobie” tę wszechsiłę, która tyle przeszkobała. — Tak by kazała powiedzieć logika, a psychologia kazałaby uznać z Nitschem sumienie za objaw chyba złego trawienia.

Podobnie żąda profesor Rozwadowski zupełnie słusznie, by kulturalna ludzkość dążyła do wyzwalańia się i wyswabadzania ze skrajnych, jednostronnych „absurdalnych” form przerostowych, uważa to za najistotniejszą cechę prawdziwego ideału kultury.⁶⁾ Patrząc na świat stwierdza, że „na ogół jest bardzo źle, prawie beznadziejnie i woła: „biada egotycznemu absurdowi ludzkiemu! Zdechniesz człowiecze, jeżeli nie przejrysz”.⁷⁾ I dalej do tej

¹⁾ O monizmie porównaj klasyczne dzieło Friedrich Klimke S. J.: *Der Monismus und seine philosophischen Grundlagen*. 1911. ²⁾ *Prawda życia*, str. 13. ³⁾ Tamże, str. 93. ⁴⁾ *Nauka Polska*, t. XX, str. 251—255. ⁵⁾ *Prawda życia*, str. 99. ⁶⁾ Tamże, str. 29. ⁷⁾ Tamże, str. 32.

samej przestrogi powraca: „albo zdechniesz człowiecze, albo przejrzyś”.¹⁾ Dlatego w imię ratunku kultury wzywa do wpa-
trzenia się w istotne właściwości i cechy życia (ślepy pęd, prze-
rostowość, upostaciowanie, rezultatywność wszystkiego niezależna
od woli) oczywiście po to, „aby się do nich w sposób rozsądny
i niezupełnie na ślepo przystosować, ani wierząc na lewo
i prawo, ani nie poddawać się całkiem bezwiednie i na ślepo”.²⁾
Cóż więc się może zmienić przy usunięciu wolnej woli? Jakże
ten człowiek kulturalny ma się wyzwalać, kiedy te przerosty są
koniecznością odeń niezależną? Tyle tylko chyba, że uświadomi
sobie grozę przerostów i będzie się im musiał poddać nie bez-
wolnie, ale powolnie ze zgody chętniej z wszechżyciem jako
koniecznością. Ale to nie jest żadnym wyzwoleniem, ani wyswo-
bодzeniem się z gniołącego zła. Tym bardziej, że sam uczony
Filozof przestrzegał „przed próbami wykorzenienia zła z życia,
bo wtedy musiałoby zniknąć także dobro”.³⁾ W artykule pisanym
dla młodzieży w *Czytelniku*: „Szkoła a rzeczywistość” uważa zło,
(mowa w tekście o złu moralnym) za normalny i konieczny
składnik naszej rzeczywistości i przestrzega przed sentymen-
talizmem etycznym, panującym wszechwładnie w wypisach, prze-
mowach, egzortach itd.⁴⁾

Jakżeż więc usuwać zło, bez którego dobra by nie było?
Raczej chyba je mnożyć! Przynajmniej wówczas staniemy na
logicznym stanowisku Göthego *Wilhelm Meisters Wanderjahre*.
Ale są to znowu tajemnice intuicyjnego czy psychologicznego
myślenia prof. Rozwadowskiego, które się nie da wtłoczyć
w żadne formuły myślenia logicznego.

Słuszne są też uwagi o bólu rozlanym w świecie, o cierpie-
niach fizycznych i moralnych i zaznaczenie potrzeby chętnego
poddania się w doli i niedoli. Tak to wszystko prawda, o ile
się wierzy w Boga osobowego i nagrodę po śmierci. Wtedy
i cierpienia mogą nabrać innej nowej i wielkiej wartości. Jeżeli
jednak tę wiarę zastępuje uczony tylko ogólną kosmiczną koniecz-
nością i teorią, że jednostka, „wylażająca ze swej nory na to, aby
nagrabić, co się da, nazabijać, ile się da i napaskudzić (sic!)” —
zaszkodzi i sobie i Firmie, to — jak pięknie mówi Jan z Czarno-
lasu: „łacno to pisać się z rozumu, kiedy po wolej świat mamy,
a głowa człowieka zdrowa”.⁵⁾ Ale jeżeli przyjdą chwile wielkich
strat, nieszczęść, walących w człowieka, to czy interes urojonej
Firmy powstrzyma od słów goryczy przy tej filozofii: „nieszczę-
śliwy ja człowiek, którym ja lata swoje strawił, żebych był ujrzał
progi twoje a terazem nagle z stopniów ostatnich zrzucony?”⁶⁾
Czy owszem bunt wtedy nie będzie racjonalny? Profesor Roz-
wadowski przetrwał próbę życia dzięki swemu spokojnemu tem-

¹⁾ *Prawda życia*, str. 80. ²⁾ Tamże, str. 33. ³⁾ Wstęp Krokiewicza
str. XCVI. ⁴⁾ Tamże. ⁵⁾ Kochanowski: *Trzy*.

peramentowi, szlachetnej naturze, rozwiniętemu intelektualizmowi i tęsknocie ku Bogu, którego mimo swych błędnych filozofowań jakby intuicyjnie odczuwał, choć lękał się bliższego o Nim pojęcia drogą dyskursywną czy objawienia. Ale czy wielu podobnych sobie znajdzie nawet pośród ludzi wykształconych? Czy właśnie obecne przerosty egoizmu i zbrodnie, nad którymi ubolewa uczony, nie są właśnie wynikiem coraz szerzej zakorzeniającego się monizmu? Wszak już Schopenhauer zaznaczył, że „monizm, głosząc współistotność Boga i wszechświata jest tylko uprzejmym pożegnaniem Boga”.¹⁾ Owszem powiedziałbym jest gorszy od otwartego bolszewickiego ateizmu, bo ten wywołuje silną reakcję a monistyczne przedstawienie filozoficznej myśli, jak je znajdujemy u Rozwadowskiego, usypia człowieka pozorem szlachetnego ideału, usuwając odeń w rzeczywistości wszelkie poczucie osobistej winy i odpowiedzialności. Jeżeli prof. Rozwadowski mniemał, że w swej filozofii da narodowi i polskiej młodzieży coś „nowego”, to wyznać trzeba, że nowym rzeczywiście jest wprowadzenie do literatury naukowej wyrażen gorzej niż gwarowych, nowym oczywiście jest jego własne przeżycie, bo każdy akt człowieka jest zawsze nowy, ale idee, ale myśli są stare od dawna spotyka się je u wszystkich monistów, czy panteistów, przede wszystkim niemieckich. Jest to więc omszała, stara butelka, którą zamiast krzepiącego węgryna, wypełnia niestety kwas pruski. Nawet pragnienie, by ta nowa rzekomo filozofia służyła młodzieży jako podstawa kształtowania charakteru i myśli, nie jest nowe. — Już Haeckel domagał się, by monistyczna religia uznana była w państwie jako równorzędna z innymi wyznaniem, owszem jego zdaniem powinna ona usunąć inne poglądy na świat, osobiście chrystianizm!²⁾

To też, choć Rozwadowskiego bardzo wysoko cenię, jako mego drogiego profesora, dla jego olbrzymiej wiedzy a jeszcze bardziej jako człowieka, nie mogę żadną miarą zgodzić się z profesorem Krokiewiczem, by „ta książka miała ogromne znaczenie dla kultury polskiej”.³⁾

Filozofia Rozwadowskiego, rozwijana z górą lat 15 w różnych artykułach poprzedzających syntezę podaną w „Prawdzie życia”, nie tylko nie płynie z ducha polskiego, lecz jest dla tego ducha wręcz zabójcza, mimo szlachetnych zamiarów Autora, mimo niejednej głębokiej myśli i wielu trafnych życiowych spostrzeżeń.

¹⁾ Klimke: *Monismus als Band zwischen Religion u. Wissenschaft*, str. 5. ²⁾ Tamże. ³⁾ *Nauka Polska*, t. XX, str. 255.

Przegląd piśmiennictwa.

Casimir Świetliński: *La Conception sociologique de l'Oecuménicité dans la pensée religieuse russe contemporaine*. Paris, libr. philosophique J. Vrin, 1938, str. 163.

Autor, kapłan katolicki, ogłosił w tym dziele swą tezę, dzięki której uzyskał tytuł doktora nauk społecznych. Temat tezy był pociągający. Na Zachodzie dużą renomą cieszą się niektórzy pisarze rosyjscy emigranci o zabarwieniu religijnym i pewne ich idee są z sympatią przyjmowane nawet w środowiskach katolickich. Autora zainteresowała jedna z tych idei, mianowicie pojęcie Kościoła, silnie u tych pisarzy uwydatniane, a streszczone przez nich w przymocie Kościoła zwanym *soborność*. Wyraz ten w słowiańskim symbolu wiary stoi na miejscu greckiego *katholické* a służy nowszym teologom rosyjskim do różnych, niekiedy antykatolickich wywodów. Zasadnicza jednak treść, upatrywana przez tychże teologów w owym określniku, odnosi się do samej istoty Kościoła, który jest pojmowany jako organizm bosko-ludzki, pomimo wielości należących doń ludzi tak wewnętrznie spoisty, że można go uważać nie tylko za abstrakcję myślową, za proste *ens collectivum*, ale za byt ontologicznie jeden, byt realny choć *sui generis*, nadprzyrodzony, mistyczny.

Zainteresowawszy się tym pojęciem Kościoła, silnie podkreślanym przez pisarzy rosyjskich, ks. Świetliński podjął zadanie poszukania analogii do tego pojęcia gdzie indziej, najpierw w patrystyce greckiej, a potem i w filozofii starszej i socjologii współczesnej. Temu pojęciu, które było osią jego zainteresowań, nadał wyraz *oecuménicité*, który — od razu trzeba to zaznaczyć — został wybrany nieszcześliwie, gdyż w języku greckim nawiązuje on do pojęcia, które właśnie pisarze rosyjscy chcą pozostawić na boku, mianowicie do ilościowego, geograficznego zakresu Kościoła. Ale mniejsza o to: wiemy o co chodzi.

Autor książki, którą omawiamy, nie podjął trudu rozpatrzenia całej historii i literatury interesującego go zagadnienia, co oczywiście nie zmieściłoby się w ramach tezy doktorskiej.

Wziął zatem tylko czterech pisarzy rosyjskich, nie koniecznie samych *contemporains*, jak zapowiadał tytuł książki, bo wziął dwóch starszych, Chomiakowa i Sołowiowa, a dwóch tylko współczesnych nam, Bułgakowa i Bierdiajewa. Z patrystyki przypomniawszy św. Grzegorza z Nyssy, podobnie z pomiędzy filozofów i socjologów, po paru myślicieli, których uważał za bardziej typowych w danym cyklu idei. Postawił sobie autor potrójne zadanie: streścić myśl wybranych pisarzy odnośnie do rozpatrywanego zagadnienia, podkreślić podobieństwa między pisarzami rosyjskimi, a wszystkimi innymi przytoczonymi myślicielami, wreszcie wydać sąd wartości o pojęciu Kościoła, właściwemu owym pisarzom rosyjskim. Pierwsze zadanie wypełnił dobrze. Umiał uchwycić cudzą myśl i krótko a jednak jasno ją wyłożyć. Nie wszystkich wprowadzić streszczonych autorów znam, ale na podstawie znajomości niektórych z nich, mianowicie pisarzy rosyjskich, tudzież Durkheima i jego szkoły, których myśl — w zakresie rozpatrywanego zagadnienia — została oddana wiernie, można spodziewać się, że podobnie wiernie autor streścił i innych cytowanych myślicieli.

Drugim zadaniem było porównanie pojęcia Kościoła u pisarzy rosyjskich z ideą grupy u „socjologów”. Tu mam niejakię zastrzeżenia. Na przykład taki Tarde, a nawet Toënnies może w ogóle niepotrzebnie znaleźli się obok szkoły Durkheima. Trzeba także zauważyć, że autor, choć zdaje się insynuować zależność religijnych pisarzy rosyjskich od „socjologów” zachodnich, nie podjął się wykazania tej zależności, a sądę nawet, że byłoby trudno taki dowód przeprowadzić odnośnie do Chomiakowa i Sołowiowa, chociażby z powodów chronologicznych. Na nowszych teologów rosyjskich niewątpliwie wywarł wielki wpływ Chomiakow, ale sam Chomiakow nie mógł zapożyczyć swego pojęcia Kościoła u późniejszych od siebie autorów zachodnich. Wielce prawdopodobną jest zależność Chomiakowa od niemieckich romantyków z początków 19 stulecia, a może od katolickiego teologa Möhlera, ale o tym u ks. Świetlińskiego nie ma ani słowa.

Co się tyczy sądu autora o pojęciu Kościoła u nowszych pisarzy rosyjskich, moje zastrzeżenia są większe. Obawiam się, że jego sąd negatywny o pisarzach rosyjskich godzi także w traktat katolicki o Kościele. Przez chwilę może sam autor zdawał sobie z tego sprawę. Streściwszy platonizującego św. Grzegorza z Nyssy i wspomniawszy o św. Cyrylu z Aleksandrii, ks. Świetliński pisze (nr 65): „Poprzedzający rozbiór pokazuje nam jasno, że nawet w łonie Kościoła katolickiego istnieje pojmowanie Kościoła, które przypomina nam w uderzający sposób doktrynę o Kościele u współczesnych myślicieli rosyjskich”. Gdyby to odnosiło się nawet tylko do Grzegorza i Cyryla, to i tak o pojęciu „indywidualności zbiorowej”, wspólnym owym doktorom Kościoła z późniejszymi socjologami i teologami rosyjskimi nie należało

może tak kategorycznie wypowiadać się, jak to uczynił autor (w nr. 123), że to pojęcie jest „biegunowo przeciwne dogmatowi religii katolickiej i nauce Objawienia”. Prawda, że bezpośrednio potępienie to odnosi się u autora do teoryj nowych socjologów w rodzaju Durkheima, ale autor w całej książce przeprowadzał znak równania między pisarzami rosyjskimi, Ojcami „platonizującymi”, socjologami — zatem jego potępienie wspólnego pojęcia w jednej grupie pada i na dwie grupy inne.

Lecz tutaj chodzi nie tylko o dwóch greckich Ojców Kościoła. „Platonikiem” okazałby się zapewne i św. Augustyn i to właśnie w swej nauce o Kościele, a cofając się wstecz czy nie musielibyśmy do tejże grupy zaliczyć św. Pawła z jego *Ecclesia corpus Christi*? A nowoczesna teologia katolicka, poczynszy od Möhlera, a chociażby od Franzelina, poprzez Scheebena, d’Herbigny’ego (w Polsce ks. Wł. Piątkiewicza) aż do K. Adama (Istota katolicyzmu), Kościołowi, chociaż złożonemu z wielu indywidualności, przypisuje jednak jakąś nie przenośną tylko, nie metaforyczną, ale rzeczywistą indywidualność i jedność, którą wyraża w Pawłowej formule: *Corpus Christi*, dodając: *mysticum*. Czy zatem grot, puszczony przez ks. Świetlińskiego w pisarzy rosyjskich, nie trafia także w uznanych i cenionych teologów katolickich? Oczywiście między jednymi a drugimi zachodzą różnice i przeciwieństwa, ale nie dotyczą one pojęcia jedności Kościoła jako jednego tajemniczego organizmu, któremu jedność nadaje pierwiastek boski, Chrystus, jako jego głowa, Duch święty, jako jego dusza. Można tu jeszcze zauważyć, że jedność, jaką przypisuje teologia katolicka Kościołowi, jest bardziej wewnętrzna, spoista, niż jedność upatrywana w innych grupach społecznych przez „socjologów”. Kiedy Kościół nazwany został przez św. Pawła „Ciałem Chrystusowym”, czy ośmieliłby się którykolwiek „socjolog” nazwać jakąkolwiek społeczność ciałem tego, który ją założył, prawa dla niej przepisał, lub na czele jej stoi?

Że ks. Świetliński tak łatwo się rozprawił z pojęciem Kościoła jako jednego bytu, wynikło to stąd, że pominął teologię (z wyjątkiem św. Grzegorza i Cyryla), a zajął się jedynie konfrontacją tego pojęcia z pojęciem grup społecznych u świeckich, przeważnie czy wyłącznie antychrześcijańskich myślicieli. Realistyczne pojęcia grupy odrzuca ze stanowiska indywidualizmu, pluralizmu; powiedziałbym, że wznawia stary spór nominalistów z realistami. Nie trudno mi zgodzić się z jego stanowiskiem, kiedy chodzi o grupy przez naturę czy przez wolną umowę utworzone, jak rodzina, naród, państwo, klub jakiś. Że takie grupy mają jakąś ontologiczną jedność i byt, że posiadają jako całość jakieś przymioty, które nie powstały z zesumowania przymiotów oddzielnych członków, że są logicznie pierwsze, niż ich członkowie — niechaj o to sprzeczą się z autorem zwolennicy różnych kolektywizmów, nacjonalizmów itd. Od tego sporu abstrahuję.

Ale nie zdaje mi się, żeby twierdzenie, słuszne w odniesieniu do grup naturalnych, musiało być także słuszne w zastosowaniu do społeczności nadprzyrodzonej, grupy *sui generis*, jaką jest Kościół. Dlatego rozciągnięcie potępienia teorii socjologicznych, w rodzaju Spencera czy Durkheima, na pojęcie Kościoła, jako jednego, rzeczywiście istniejącego bytu, nie wydaje mi się logicznie koniecznym, a skądinąd, ze źródeł teologicznych, uważam takie rozciągnięcie za fałszywe.

Poza tym najważniejszym punktem, można by autorowi zarzucić, że niepotrzebnie odrzuca różne powiedzenia rosyjskich teologów, w rodzaju takich, jak to, że jednostka winna zaprzeczyć siebie, myśleć i czuć „sobornie” itd. Często są to parafrazy wyrażań ewangelicznych (zaparcie siebie, zgubienie duszy swojej, obumarcie itd.), które mogą być rozumiane w dobrym sensie. Może Bierdiajew zbyt wiele w nie wkłada, nie można wszakże, tak bez rozróżnień i zastrzeżeń, stawiać je wśród tych formuł, które się zamierza potępić i odrzucić, jako „anty-indywidualistyczne” i sprzeciwiające się obowiązkowi człowieka „trwania w swoim bycie”. Albo jakieś podejrzliwe traktowanie pojęcia *théosis* — ubóstwienia człowieka w Kościele: wszak jest to pojęcie, wzięte z św. Piotra, a powtarzane przez nas codziennie we mszy św.: *eius divinifatis esse participes, qui humanifatis* etc. (Modlitwa przy nalewaniu wody do kielicha).

Zakończmy jeszcze drobiazgiem. Dlaczego autor rozmaicie pisze po francusku końcówki nazwisk rosyjskich, które brzmią i piszą się po rosyjsku jednakowo? Czemu Boulgakoff, Chomia-koff, Berdiaeff, a obok nich Soloviev? Albo, albo.

Ks. Jan Urban T. J.

B. H. Merkelbach O. P.: *Summa Theologiae Moralis*, Paris Desclée de Brouwer, 786+1029+768.

Wielkie trzytomowe dzieło O. Merkelbacha posiada wysoką naukową wartość. Układem oparte na drugiej części Sumy Teologicznej św. Tomasza, jest równocześnie i nowoczesnym jej komentarzem i pod pewnym względem pełniejszym, dostosowanym do warunków i wymagań współczesnego życia rozwinięciem. Podobnie do swego pierwowzoru ma charakter wybitnie spekulatywny, aczkolwiek i strona pozytywna zagadnień moralnych i zastosowanie podawanych zasad do konkretnych wypadków są w nim także szeroko uwzględnione. W kwestiach spornych, jakkolwiek autor idzie zazwyczaj za zdaniem większości swoich współpracowników, uwzględnia jednak i poglądy przeciwne a nawet tu i ówdzie czyni dla nich pewne ustępstwa. W głośniejszej sprawie probabilizmu przechyla się, wbrew panującej w szkole dominikańskiej opinii, na stronę zwolenników tego systemu. W kwestii

dotyczącej kryterium moralności, czyli tzw. normy autor przejawia trochę niezdecydowania a nawet popada w sprzeczność, bo choć wyraźnie oświadcza się w tej sprawie za zdaniem zwalczającym tych, którzy już w samej rozumnej ludzkiej naturze widzą regułę, albo drogowskaz moralnego ludzkiego postępowania, jednak dodaje: „a jeśliby nawet ktoś chciał (naturę ludzką) nazwać regułą, nie będzie to w każdym razie reguła najbliższa” (I, 127), przy omawianiu zaś różnych szczegółowych zagadnień sam powołuje się na naturę ludzką jako na kryterium (I, nr 122, 159, 161, 429).

Żeby akt był moralnie dobry — między innymi powiada — trzeba by był podjęty dla dobrego celu... Takim zaś celem jest „jakikolwiek dobro moralne, ponieważ to odpowiada rozumnej naturze człowieka” (I, 159). „Żeby człowiek w działaniu swoim, — powiada gdzie indziej, — był prawdziwie człowiekiem, nie wystarczy by unikał złego, lecz potrzeba, żeby chciał i czynił to, co odpowiada jego naturze” (I, 161). Przy zwalczaniu pozytywizmu moralnego w ten sposób argumentuje: „Dobrem każdego bytu jest to, co odpowiada jego naturze, złem — co się z nią nie zgadza. Już zaś wiele jest takich czynności, które z natury swojej ludzkiej rozumnej naturze odpowiadają, albo też są jej przeciwnie. Zatem wiele czynności już z samej natury swojej jest dobrych albo złych (moralnie)” (I, 122). Jako całkiem dobre i ściśle filozoficzne określenie grzechu przyjmuje taką definicję: jest to „akt przeciwny zdrowemu rozsądkowi albo też akt ludzki, nie odpowiadający rozumnej naturze” (I, 429). — Podobnie jak w kwestii normy, tak też w kwestii niedoskonałości moralnych (I, 415) niejedno można by autorowi zarzucić. Są to jednak drobne niedociągnięcia, które przy dokładniejszym badaniu, można wykryć w każdej niemal pracy ludzkiej. Nie zmniejszają one bynajmniej ogólnej wartości tego prawdziwie monumentalnego dzieła, łączącego w sobie jasność z gruntownością.

Ks. E. Elfer T. J.

S. Stendig: *Materializm a poznanie*. Nakładem F. Hoesicka, Warszawa 1936. Str. 123.

Tytuł tej rozprawki jest może za szeroki i zbyt wiele obiecujący. Autor bowiem wybrał jednego tylko przedstawiciela materializmu osiemnastego wieku, Pawła Holbacha; jego naukę poddał analizie i surowej krytyce a wnioski swych badań rozciągnął nie tylko na ówczesną szkołę lecz i na materializm w ogóle. To jednak nie usprawiedliwia postawionego wyżej zarzutu. Holbach był rzeczywiście czołowym materialistą, który śmieiej od innych (ale także bardzo często pod obcym nazwiskiem) głosił zasady encyklopedystów i brutalnie domagał się

wprowadzenia ich w życie, ale, jeżeli myśli Voltaire'a, Diderot'a, d'Alembert'a będą patronowały przy układaniu Praw człowieka, to wpływ Holbacha zaznaczy się najsilniej i najwyraźniej na mordowaniu księży i paleniu kościołów przez tłum. Filozofia Holbacha jest filozofią tłumy, jego *Système de la nature* nazwano przecieź biblią materializmu, biblią dla wszystkich. Oryginalnym Holbach nie był, pomijając nawet wyraźny związek z twórczością Lamettrie'go, trzeba zawsze pamiętać o specjalnej atmosferze filozoficznej, o przyjaźni z Diderot'em, Condorcet'em, Condillac'em, Helvetius'em, Buffon'em (autor nazywa Buffon'a oględnym naturalistą, czy nie za łagodnie?). W czasie rozmów sokratesowskich a częściej epikurejskich tworzył się system, powstawała Encyklopedia. Była to wielka gra o dzieje i dalszy rozwój myśli ludzkiej — w tej grze Holbach stawiał zawsze na jedną tylko kartę, na ateizm; filozofia zaczynała się dla niego od zaprzeczenia Boga. Gdy inni mieli cały uporządkowany system, on miał ideę, według której rozwiązywał wszystkie problemy lub odrzucał je jako nieważne i niepotrzebne. Tak więc postąpił z głębszym pojęciem przyczynowości. Oczywiście, że i teoria poznania w myśli filozoficznej Holbacha gra rolę świadomie krzywdzonej młodszej siostry. Nie zawsze udało mu się uzgodnić logikę rozumowania z logiką uczucia; luki więc, przez które mógłby się wdrzeć w jego świat myśli Bóg, wraz ze wszystkimi konsekwencjami, wypełniał brutalnością i cynizmem — filozof przedziergał się w gwałtownego demagoga. Stąd też tak trudno w jego dziełach wyodrębnić logiczne rozwiązania poszczególnych problemów. Holbacha trzeba brać całego i jako człowieka i jako filozofa. P. Stendig w swej pracy zajmuje się Holbachem-filozofem, odrzuca wszystko, co nie wiąże się bliżej z problemem teorii poznania i nie łączy się z samym systemem materialistycznym. Naraża to czytelnika na niezrozumienie już nie tylko myśli Holbacha ale i krytyki tejże myśli przez p. Stendiga. Te zarzuty odnoszą się tylko do sposobu ujęcia tematu. P. Stendig miał jednak rację używając tej a nie innej metody, a posłużył się nią, trzeba przyznać świetnie, miał rację ze względu na swe stanowisko idealisty; musi jednak liczyć się z tym, że nie wszyscy są zwolennikami systemu idealistycznego i nie dla wszystkich pojęcie bytu transcendentálnego straciło znaczenie tak w myśli filozoficznej jak i w życiu praktycznym.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Grzegorz Burzyński: Takt pedagogiczny w wychowaniu współczesnego człowieka. Lublin 1937, str. VIII+145.

Książka powyższa należy do tych cenniejszych prac, które nie zamykając się w ramach czystej nauki, wnoszą jednak do niej pewien dorobek przez poruszenie mało omawianego tematu

i równocześnie służyć wybitnie celom praktycznym. Tytuł jej nie mówi wszystkiego, ale jest trafny. Jeżeli nawet w stosunkach z dorosłymi wszystko zawisło niekiedy od taktu, tym bardziej ważnym staje się ten czynnik w pracy nad młodzieżą, więcej wrażliwą, mniej wyrobioną i odporną. Obecność lub brak taktu rozstrzyga nieraz o powodzeniu pracy nauczyciela i ustosunkowaniu się młodzieży do niego. Lecz takt „pedagogiczny” nie jest rzeczą łatwą i wielu nauczycieli zdobywa go dopiero doświadczeniem długich lat, które i im przyniosły sporo przykrości i młodzieży niejedną szkodę. Pouczenie w tej dziedzinie, wskazanie, jak należy postępować i czego unikać, jest więc dla każdego nauczyciela, początkującego zwłaszcza, przysługą ogromnej wagi.

I tę właśnie przysługę oddaje książka G. Burzyńskiego. Autor obok fachowego przygotowania (studia uniwersyteckie w zakresie nauk klasycznych i pedagogii) przeszedł szkołę kilkunastoletniego „doświadczenia” — pracy nauczycielskiej w szkole powszechnej i średniej, oraz w organizacjach społecznych — podczas którego, jak sam przyznaje, nie zawsze uniknął błędów. Wyzyskując to doświadczenie osobiste, w które włożył zarówno wiedzę, jak prawdziwy zapal do pracy i umiowanie młodzieży, opiera się autor nadto na pokrewnej literaturze i na ankiecie, rozpisanej w r. 1930 do nauczycieli szkół powszechnych Lublina. Materiał ten pozwala mu omówić obszerniej zagadnienie taktu pedagogicznego i zamieścić dużo cennych spostrzeżeń i praktycznych wskazówek, świadczących o wielkiej wnikliwości w duszę wychowawcy i dziecka, dziecka dzisiejszej szkoły polskiej, z wszystkimi jej zaletami i brakami.

Całość podzielona jest na trzy części. W pierwszej autor wyjaśnia istotę „taktu pedagogicznego”, w drugiej próbuje nakreślić w szerszej płaszczyźnie jego granice, w trzeciej rozbiera bliżej pewne szczególnie rażące rodzaje nietaktu pedagogicznego. Uwagi jego są trafne, rozciągają się zarówno na młodzież jak na wychowawców i ilustrowane są przy tym bogatym doбором przykładów. Nauczyciel znajdzie tu obraz młodzieży dzisiejszej nakreślony piórem wychowawcy, który ją rozumie i kocha, oraz wskazówki, jak ją pozyskać i prowadzić. Pozna również, jakim sam być powinien. Autor nie szczędzi bowiem uwag w tej mierze, podkreśla ważność osobowości nauczyciela, konieczność opanowania siebie i wysokiego poziomu moralnego, potrzebę znajomości duszy dziecka i umiejętności wnikania w nią, należyte go umiaru w wymaganiach, zrozumienie ważności współpracy z rodziną i Kościołem, pamięci na dobro ojczyzny i państwa. Uwagi te nie są czysto teoretyczne, autor kreśli je na tle konkretnych naszych warunków dzisiejszych i dlatego nie zamilcza także trudnego położenia nauczyciela, które jest następstwem materialnych trudności i niewłaściwego czasem ustosunkowania

się do niego wyższych, zwłaszcza bezpośrednich władz szkolnych. Z wszystkich tych względów książkę powyższą uznać należy za cenny nabytek dla naszej pedagogiki praktycznej; powinna ona znaleźć się w ręku wszystkich nauczycieli i tych osób, które mają do czynienia z młodzieżą, nie wyłączając rodziców. Wyjaśnia ona wiele, pomoże w pracy wychowawczej, przyczyni się do współdziałania szkoły, rodziny i Kościoła.

Ks. S. Podoleński T. J.

Marceli Handelsman: *Ukraińska polityka ks. Adama Czartoryskiego przed wojną krymską*. Prace Ukraińskiego Instytutu Naukowego, Warszawa 1937, str. VIII + 175.

Praca prof. Handelsmana znacznie więcej daje, niż obiecuje jej tytuł. *Ukraińska polityka* ks. Adama przedstawiona jest dopiero w ostatniej z czterech części pracy, podczas gdy pierwsze trzy części zajmują się ruchami intelektualnymi i politycznymi w środowiskach ukraińskim i rosyjskim, które stwarzały dalsze lub bliższe warunki dla takiej polityki „nie koronowanego króla polskiego”. Czartoryski w swojej polityce antyrosyjskiej liczył wiele na żywioł ukraiński dlatego, ponieważ miał wiadomości (częściowo przesadne) o odrodzeniu się ukrainizmu tak nad Dnieprem (głównie Bractwo św. Cyryla i Metodego), jak i w Galicji (od „trójcy ruskiej” lat 30-ch do Rady ruskiej 1848). Dzieje budzenia się świadomości ukraińskiej na obu tych, rozdzielonych jedno od drugiego, terytoriach są tematami interesującymi niezależnie od planów księcia Adama i one też obszernie zostały naszkicowane przez prof. Handelsmana. Nieco luźniejszy związek zarówno z ukrainizmem, jak z polityką Czartoryskiego mają dzieje słowianofilstwa moskiewskiego — przedmiot drugiego rozdziału tej pracy. Znałe one były dosyć polskiej literaturze dzięki dawnej już pracy prof. M. Zdziechowskiego („Mesjaniści i Słowinaofile”), której prof. H. nawet nie cytuje. Praca obecna tym jest ciekawa dla nas, że wskazuje na wpływy polskie (wojna 1830., konarszczyzna, literatura emigracyjna, zwłaszcza Mickiewicz) na powstanie i formowanie się świadomości ukraińskiej, a nawet słowianofilstwa moskiewskiego. Rozdział trzeci o ukrainizmie galicyjskim poucza zarazem o wewnętrznym rozszczepieniu się owego, zrazu przede wszystkim negatywnego względem polskości, ruchu ruskiego, na dwa prądy, znane dzisiaj jako właściwy ukraiński i prorosyjski, czyli moskalofilski, zwany także „staroruskim”. Rozszczepienie to jest b. starej daty, niemal od początku ruchu.

Praca prof. Handelsmana ma znaczenie nie tylko czysto naukowe; przypomina ona zagadnienie wciąż aktualne — stosunków polsko-ukraińskich, zagadnienie, którego nie zdołał rozwiązać ks. Adam, a które i dzisiaj jest do rozwiązania trudne. Wzucie

się jednak w historię problemu pomaga zrozumieć jego ważność, a zarazem może być źródłem pewnych natchnień dla polityki bieżącej. W tym leży praktyczna wartość omawianej pracy.

Chcemy dorzucić parę drobnych uwag. Czy nie mieszały się autorowi od str. 105 nazwa miasta serbskiego Nisz z Niżem ukraińskim? Do str. 108 dorzuciłbym przypuszczenie, że na treść i zwłaszcza ton przemówienia ks. Adama w dniu 29 XI 1845 wpłynęła także „historia” Makryny Mieczysławskiej, która właśnie pod jesień owego roku była prezentowana w Paryżu i pono nawet księcia błogosławiła.¹⁾ Na str. 110 zbyt sceptycznie odnosi się autor do hipotezy Duchńskiego co do pochodzenia Rosjan („wpychając ich w jakieś koryto turańskie”). „Turańskość” Moskwy jest dość rozpowszechnioną kategorią myślenia, nie obcą samym Rosjanom („eurazjanie”). O ks. Terleckim (str. 119) warto było dodać, że później porzucił on i unię na rzecz prawosławia. Na str. 120 zamiast Juliana Kułowskiego należy czytać J. Kułowskiego (późniejszy metropolita). Może to błąd czysto drukarski.

Ks. J. Urban T. J.

Przegląd Socjologiczny. Kwartalnik Polskiego Instytutu Socjologicznego, wydany z udziałem seminariów i zakładów socjologicznych wyższych uczelni w Polsce z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. Tom V zes. 1—2 1937 Poznań—Warszawa. Skład główny „Nasza Księgarnia Z. N. P.”, stron 520.

Ogromny tom *Przeglądu Socjologicznego* przynosi przede wszystkim dwie rozprawy o kapitalnym znaczeniu, tym ciekawsze, że zawierają one dwa stanowiska przeciwstawne a zarazem zapoznają one czytelnika polskiego z nieznaną prawie nową dyscypliną, tzw. „socjologią wiedzy”. Twórcami tej nowej nauki są Lucács i Max Scheler, a głównym jej heroldem jest Karol Mannheim, socjolog niemiecki, który po przewrocie hitlerowskim osiedlił się w Londynie. Podana przez *Przegląd* rozprawa nie została specjalnie napisana, lecz stanowi tłumaczenie artykułu, umieszczonego w wydany przez Vierkandta pomnikowym (istotnie... obecnie już „pomnikowym”) dziele socjologii niemieckiej *Handwörterbuch der Soziologie*. Tezom Mannheimu przeciwstawia się umieszczona na pierwszym miejscu oryginalna rozprawa prof. Znanieckiego.

Socjologia wiedzy wyrosła w klimacie duchowym materializmu dziejowego jako jego nieunikniona, logiczna konsekwencja. Stawia ona sobie jako zadanie: wykazanie zależności wiedzy od warunków bytu i ew. wysnucie z tego epistemologicznych konsekwencji. Faktu, że nauka ma też swoje „style”, związane

¹⁾ Por. moją pracę: Makryna Mieczysławska w świetle prawdy. Kraków 1923.

z epoką i że nawet kategorie mogą się dostosowywać do sytuacji społecznych — nie chcemy negować. Jest też rzeczą niewątpliwą, że ideologiczne postawy wpływają na naukowe sformułowanie i rozwiązanie problemów, albo że współzawodnictwo działaczy może jako „ukryty impuls” na różne „sposoby interpretowania świata” a nawet, że „za genialnymi pomysłami ukrywa się kolektywny, historyczny spłot doświadczeń” (str. 61). Można oczywiście te zależności między warunkami ekonomicznymi czy innego gatunku „czynnikiem realnymi” a rozwojem i treścią wiedzy brać za przedmiot badań. Nikt też w to nie wątpli, że przekonania ideologiczne wywierają wpływ na postawienie problemu, a nawet samo jego rozwiązanie. Chodzi tylko o to, czy tego rodzaju podejście jest płodne, czy posuwa ono nas naprzód, czy też może raczej odwraca uwagę w kierunku niewłaściwym. Jednostronną sugestią materialistyczną jest w każdym razie przekonanie, że „realne” są tylko te zjawiska, które się mniej lub więcej zbliżają do gospodarczych czy najwyżej jeszcze i politycznych faktów. Na tym właśnie przeświadczeniu oparł swą bardzo nieszcześliwą klasyfikację nauk bliski Mannheimowi Hans Freyer (*Soziologie als Wirklichkeitswissenschaft* Lipsk, Berlin 1930). Istotne niebezpieczeństwo grozi jednak nauce ze strony tej nowej koncepcji w dziedzinie teorii poznania. Wnioski epistemologiczne autora są wprawdzie bardzo niezdecydowane; nie chce on się przyznać do relatywizmu. W swej głośnej pracy *Ideologie und Utopie*, rozwija Mannheim szerzej swą koncepcję „relacjonizmu”, odróżniając „związanie z bytem” *Seinsgebundenheit* od relatywizmu. Różnice te zaciera się jednak łatwo. Relacjonizm w pojęciu Mannheima podcina wiarę w wszelki obiektywizm poznania i stwarza naukowo niebezpieczną skłonność do pytania się nie o podstawy empiryczne czy logiczne danej tezy, lecz o to, jaki się z nią kryje interes. Jak wszelki relatywizm rozбивa się ta teoria o własną wewnętrzną sprzeczność, która wynika z tego, że skoro wszelka wiedza jest zależna od interesu tej ideologii, to dotyczy to również i samej „socjologii wiedzy”... Dochodzi zresztą i sam Mannheim w swej *Ideologie und Utopie* do tego wniosku i szuka warstwy, której ta właśnie postawa relacjonistyczna odpowiadać może (jest nią „socjalnie wykorzeniona” inteligencja).

Tendencje socjologii wiedzy stanowią antytezę zasad szkoły Znanieckiego. Decydującą dla przyszłości socjologii zasługą polskiego socjologa było właśnie jej odgraniczenie od innych aspektów naukowych i wyrażanie w tej straszliwej *silva rerum*, którą socjologia europejska była do niedawna, miejsca na naukę specjalną, empiryczną, o ściśle określonych własnych metodach. Fundamentami tych metod są dwie zasady centralne: współczynnik humanistyczny, polegający na traktowaniu zjawisk kulturalnych jako „czyichś” a więc sprowadzania ich do faktów świadomości, oraz zasada zamkniętego układu,

której kwintesencją jest traktowanie każdego zjawiska społecznego jako powtarzalnego układu określonych elementów, przy czym eliminuje się świadomie wszystko, co do tego układu nie należy. W ten jedynie sposób można tu ustalić pewne prawa przyuczynowe. Ta dążność do sztucznego tworzenia dla celów badawczych oderwanych, w sobie zamkniętych układów, jest dosłownie antytezą materialistycznej tendencji tłumaczenia faktów kulturowych przez przyczyny innego rzędu.

Znanięcki w swej bardzo ciekawej rozprawie pt. „Rola społeczne uczonych a historyczne cechy wiedzy” eliminuje również wszelkie sądy o „prawdziwości” czy „fałszu” jakiegos systemu naukowego, sprowadzając każdy sąd do „czyjegos” przekonania. Lecz jest to rzecz zupełnie odmienna rezygnować w imię obiektywizmu poznawczego z zajmowania stanowiska wobec spraw, które do przedmiotu danej nauki nie należą, a relatywizować zasadniczo wszelką wiedzę.

Bardzo ciekawe są same analizy roli uczonych, przeprowadzone przez Znanięckiego, a szczególnie związane z tym jego argumenty, wykazujące błędność zasad pragmatyzmu. Dużo materiału do refleksji daje określenie typu i postawy „mędrców ideologów” i „scholarzy”. W przeciwieństwie do zabójczo bezpłodnych i suchych schematów Mannheima tchną te koncepcje świeżością myśli i nowością postawienia problemów. Niejedno trzeba będzie w świetle tych badań na nowo przemyśleć. A to zmuszenie do wysiłku myślowego jest jedną z zasadniczych miar wartości naukowej teorii.

Po nużącym swą abstrakcyjnością i schematyzmem Mannheimie, czyta się jak egzotyczną powieść aktualną ciekawą bardzo, a przy tym pogłębioną rozprawką Witolda Jabłońskiego o „chińskim pluralizmie ustrojowym”. Praca Jabłońskiego daje nam w pewnej mierze odpowiedź na pytanie tak aktualne, dlaczego tak potężne państwo chińskie wykazuje tak małą odporność wobec zewnętrznej agresji. Przyczyna leży właśnie w tym „pluralizmie” ustrojowym. Polega to na tym, że kręgi świadomości i solidarności grupowej rozszerzają się tu koncentrycznie od niezwykle zwartej rodziny poprzez wieś czy miasto do bardzo jeszcze niewyraźnej świadomości narodowej, identyfikującej naród chiński z kręgiem kultury jako takiej. Z tego punktu widzenia możemy zrozumieć rolę najazdu japońskiego jako czynnika, cementującego tę prawie jeszcze nie istniejącą jedność narodową.

Znacznie mniej ciekawą jest lektura następnych trzech rozpraw: pracy Hipolita Grynwassera o „ruchu włościan w r.1861”, Maksymiliana Melocha o „ruchu strajkowym w Królestwie w latach 1870—1886 i jeszcze obszerniejsze studium N. H. Tennenauma o „przesunięciach w strukturze zawodowej ludności na obszarze województwa warszawskiego i m. st. Warszawy w okresie 1921—1931”. Pierwsze dwie prace mają charakter historyczny

i trudno zrozumieć, dlaczego znalazły się w organie socjologii polskiej. W kwestii samego postawienia problemu można by tu, tym razem może z powodzeniem, przeprowadzić analizę Mannheimowską na temat różnego gatunku „związania” tych autorów.

Do modnego dziś typu monografii wiejskich należy studium p. Krystyny Duda-Dziewierzówny: „Emigracja a społeczna topografia wsi”, oparte na zbadaniu wsi Babica. Na temat prac tego typu można mieć tę zasadniczą wątpliwość, czy nie gromadzi się tu materiałów w stanie zbyt surowym, co utrudniać musi późniejsze ich opracowanie i ustalenie korelacji między różnymi zjawiskami. Czy nie byłoby bardziej ekonomicznie wobec szczupłości środków, jakimi dziś dysponują wydawnictwa naukowe, podawać materiał już sprowadzony do określonych mianowników, a nie np. wymieniać nazwiska gospodarzy i różne nic nie mówiące szczegóły? Rzucamy tę tezę raczej w formie pytania niż zarzutu.

W mniejszej już mierze dotyczy to i studium S. Tapuacha o wsi żydowskiej na Wileńszczyźnie, które zresztą zawiera niektóre ciekawe dane na temat przystosowania się Żydów do pracy na roli. Można z tego porównawczo wysnuwać pewne ostrożne wnioski na temat tworzenia się nowej tradycji, przywiązania się do ziemi ludu koczowniczego i różnic „rasowych”, czy plemiennych, które w tym wypadku, wobec równości zajęcia, mogą się lepiej uwydatnić.

Rozprawa Heleny Radlińskiej o „przyczynach niepowodzeń szkolnych” jest bardzo ciekawa; opiera się ona na pracach czterech uczestników seminarium pedagogiki społecznej, przy wolnej wszechpolskiej, przeprowadzonych nad 439 dziećmi, poznawanymi indywidualnie i 11.727 badanymi zespołowo. Jest to wynik sześcioletnich badań. Chodzi tu zarówno o badanie zależności powodzenia szkolnego od sytuacji społecznej i materialnej oraz kulturalnej, jak i o poszukiwanie metod tej pracy. Praca stara się ustalić pewne wskaźniki społeczne szans rozwoju i wysnuwa ciekawe i słuszne, jak sądzimy, postulaty jak np. przedłużenie okresu dojrzewania kulturalnego młodzieży z środowisk pracy fizycznej, lub koordynacji poczynąń, kompensujących braki rozwojowe. Rozprawa stanowi autoreferat obszernego dzieła, które się ukazało pod tym samym tytułem.

Bardzo ciekawą rozprawę z dziedziny polityki oświatowej daje Rychliński: „Drabina oświatowa w Anglii”. Chodzi tu o kwestię ważną i u nas, mianowicie o udostępnienie szkół dla proletariatu. Nie bardzo za to rozumiemy czemu akurat w *Przeglądzie Socjologicznym* ukazała się sprawozdawcza, czysto historyczna praca p. E. Frauenglasa na temat badań nad kulturą oświecenia.

Bogaty ten i tak różnorodny cykl zamyka bardzo ważne studium Andrzeja Waligórskiego na temat zagadnień propagandy w literaturze socjologicznej. Zostało ono napisane w Londynie.

Autor daje nam pogląd na olbrzymi pod względem ilości (4500 pozycji bibliograficznych!) ale słaby jakościowo dorobek niedostępnej dla nas na ogół (ze względu na słabe uposażenia naszych bibliotek) literatury amerykańskiej w kwestii niezmiernie doniosłej dla teoretyka i praktyka.

Ogromny tom zamyka bogaty dział recenzyj, który zawsze stanowił chlubę *Przeglądu!* Tym razem nie możemy się jednak w imię prawdy powstrzymać od stwierdzenia przykrego faktu, że w niektórych recenzjach w żaden sposób nie można się dopatrzyć obiektywizmu naukowego; nabierają one charakteru rzucających na papier *cum ira et studio* refleksyj światopoglądowych. Ograniczmy się tu do jednego przykładu. Omawiając pracę Suchodolskiego „Polityka kulturalno-oświatowa w Polsce współczesnej” dr Chałasiński stawia taką tezę: obraz dany przez autora, wbrew jego intencjom, dowodzi „jak bezpłodną życiowo jest koncepcja polityki kulturalnej, opartej na ideałach prawdy, dobra i piękna — i jak bezsilne były te ideały wobec rzeczywistości społecznej”. Oplakany stan naszej kultury wydaje się autorowi recenzji związany z wiernością Polski dla Kościoła, którego polityka kulturalna opiera się właśnie na takiej idealistycznej teorii kultury. Istotę rzeczy widzi autor w „funkcjonalnym związku kultury” z całokształtem ekonomicznych i politycznych stosunków (str. 513), i woli wytworzone i rubaszne znawstwa kulturalne, szlacheckie czy chłopsko-żołnierskie od znawstwa „opartego na obcowaniu z absolutem”.

Nie możemy tu oczywiście podejmować dyskusji z tą tezą, stanowiącą wyraz określonego poglądu na świat, a rzuconą zresztą od niechcenia i bez szerszej argumentacji. Może podejmiemy tę dyskusję zasadniczo na innym miejscu. Tu niech nam będzie wolno wyrazić życzenie, by oficjalny organ socjologii polskiej trzymał się zasad bezwzględnego obiektywizmu w ocenach i doborze prac, albo też ograniczył się do bezstronności, dopuszczając do głosu przedstawicieli różnych kierunków.

Dr Andrzej Niesiołowski.

Ks. dr Leon Skibniewski: Psychologiczna diagnoza powołania kapłańskiego. Podręcznik naukowy. Lwów 1936. Str. 49.

Z całym uznaniem należy powitać tę pierwszą poważną próbę wyzyskania zdobyczy współczesnej psychologii do tak doniosłej sprawy, jaką jest powołanie kapłańskie. Próba ta jest w zupełności udaną. Autor umie unikać ubocznych zagadnień, jak np. dociekań metafizycznej istoty kapłańskiego powołania, a całą rozprawę utrzymuje na płaszczyźnie ściśle psychologicznych rozważań. Oczywiście przy roztrząsaniu zagadnienia powołania kapłańskiego nie da się unikać pewnych światopoglądowych założeń,

zwłaszcza jeśli się chce dać wskazówki praktycznego postępowania. Autor więc świadomie wychodzi z pojęcia katolickiego kapłaństwa, opierając się na urzędowym jego określeniu. Dlatego należało by może już w tytule zaznaczyć, że chodzi tu o powołanie do katolickiego kapłaństwa, przez co bynajmniej nie chcemy zaprzeczać ogólnie kapłańskich wartości, jakich jest wiele w podręczniku.

Za usterkę również uważamy niejasne rozgraniczenie psychologii racjonalnej od doświadczalnej, podane na stronie 2. Każda diagnoza należy do psychologii stosowanej, gdzie chodzi o opis faktów i ustalenie norm i praw, a nie pojęć, jakby to mogło wynikać z innych wyrażań autora (str. 7). Również określenie „naturalnego” *naturale — quidquid utilitatis naturae convenit —* uważamy za nieściśle. Należało by uzupełnić: *debetur vel convenit*, co nawet lepiej odpowiada podanej niżej przez autora definicji nadnaturalności: *quod omnem potentiam et exigentiam naturae superat*. Są to drobne usterki, które wartości podręcznika w niczym nie umniejszają. Czyta się go zresztą z przyjemnością, a co ważniejsza z pożytkiem. I dlatego jest nie tylko podręcznikiem, ale naprawdę praktycznym podręcznikiem, mogącym oddać cenne usługi w wyborze kandydatów do stanu kapłańskiego.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

Yvonne de La Vergne: Madame Elisabeth de France. Pierre Téqui et Fils, Paris 1936. Str. 373.

We Francji Frontu Ludowego wielką poczytnością cieszą się biografie dawnych panujących, zwłaszcza królów nieszczęśliwej dynastii burbońskiej. Pisane przez wybitnych historyków i publicystów oprócz naukowej wartości mają i tę, że rehabilitują, przynajmniej w części, dawny ustrój i władców, uczą przeciętnego obywatela Trzeciej Republiki być dumnym z potęgi Francji dobrych królów Ludwików. Przed oczy społeczeństwa francuskiego stawia się też coraz częściej świetlane postacie członków rodziny królewskiej; odsłania się w ten sposób drugi Wersal: święty i miłosierny, skąd często droga prowadziła do klasztoru, a w okresie rewolucji — na szafot. Ten drugi Wersal zawdzięcza swój rozwój w wielkiej mierze Marii Leszczyńskiej, która z dala od rozgrywek politycznych i gorączkowych intryg dworskich potrafiła stworzyć ośrodek prostoty i spokoju. Ten wpływ osobisty królowej wraz z domieszką krwi polskiej zaznaczył się dość wyraźnie w charakterze ostatnich Burbonów. Szkoda, że autorka wspomina o tym tylko przelotnie. Przecież bohaterka jej książki Mme Elisabeth de France, siostra Ludwika XVI, była w prostej linii wnuczką Marii Leszczyńskiej. To jest może jedyny zarzut, jaki można postawić tej dobrze na-

pisanej biografii. Całe życie Elżbiety, pełne poświęcenia dla drugich — jedynie ze względu na brata nie wstąpiła do klasztoru — a równocześnie trzeźwe i rozumne, przedstawiła autorka przystępnie, posługując się bardzo szczęśliwie dobranymi wyjątkami z korespondencji Elżbiety. W jednym z listów pisze Elżbieta: „Nie czuję ochoty do męczeństwa; sądę jednak, że z przyjemnością odczułabym pewność, z jaką obrałabym raczej śmierć aniżeli odstąpienie od mej wiary. Spodziewam się, że jeżeli męczeństwo jest mi przeznaczone, Bóg doda mi sił”. W dwa lata później, w trzydziestym roku życia Elżbieta poniosła śmierć męczeńską. Nic więc dziwnego, że katolicy francuscy zabiegają o jej beatyfikację. Książka p. de La Vergne ma na celu spopularyzowanie tej idei wśród szerszych mas i dobrze spełnia swą rolę — może nawet lepiej od innej biografii Elżbiety pt. *Une grande chrétienne: Mme Elisabeth de France* przez E. M. du L.

Ks. Br. Wójcik T. J.

W. I. Gutowski: *Źródło wody żywej. Dziennik podróży do Ziemi Świętej i na Wschód*. Nakł. Autora. Kraków 1936. Str. 143.

Weszło już w zwyczaj, że z grupowych wycieczek, podróży lub pielgrzymek przynajmniej jeden z uczestników przywozi do domu książkę, swoją własną książkę. Fachowiec napisze dzieło naukowe albo klasyczny, zwykle zamówiony już z góry przez jakieś wydawnictwo reportaż. Inni wracają z okruciami świata, oglądanego przez okna wagonu i z burty okrętu — okrucy te scementowane wewnętrznymi, płytszymi lub głębszymi przeżyciami wydają następnie najczęściej nakładem własnym. Są to wspomnienia przeciętnych turystów, podróżników, pielgrzymów, przeważnie zawsze rezygnujących z oryginalnego ujęcia tematu i głębszych dociekań, notujących często chaotycznie i pośpiesznie ale szczerze uczucia, wzruszenia i przeżycia w krajach im dawniej nieznanach. Takie cechy nosi też *Źródło wody żywej* p. Gutowskiego. Jest to dziennik podróży przeciętnego, dobrego katolika, trochę artysty (umieścił w swej książce parę szkiców), trochę poety marzącego o lepszym życiu i trochę realisty pragnącego, żeby to życie na codzień nie było zbyt trudne. Książka więc może liczyć na uznanie czytelników o podobnych zapatrywaniach.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Peter Lippert S. J.: *Einsam und Gemeinsam. 12 Essays*. Herder, Freiburg in Breisgau 1936. Str. 242.

Niektóre z przemówień umieszczonych w tym tonie znają już czytelnicy *Stimmen der Zeit* — nabrały one jednak nowej

siły i nowego uroku przez złączenie ich w jeden cykl, przedstawiający wędrówkę pobożnej duszy do Boga. To już jest właściwością metody O. Lipperta — zatrzymać uwagę czytelnika na prawdach prostych, tak prostych, że mijanych zwykle z pośpiechem, powtarzanych bez zrozumienia, słuchanych bez przejmowania się nimi. Jedno zdanie z *Einsam und Gemeinsam* rzuca czasem więcej światła w zakamarki duszy ludzkiej aniżeli długie traktaty o psychoanalizie. I to jest druga zaleta tych „przemówień” — nadzwyczajna oszczędność słów. Na kilkunastu stronicach ujęty głęboko nasz stosunek do uśmiechających się do nas stworzeń *Vom Lächeln der Kreatur*. Albo to pełne łagodnej melancholii pytanie: *Was wollen wir heute spielen?* — o naszym stosunku do życia przepełnionego obowiązkami i trudami, o wyborze wolnym tego, co jest dla nas koniecznością; charakter paradoksalny tego ostatniego twierdzenia zniknie, jeżeli na świat patrzeć będziemy oczyma wielkiej miłości.

Einsam und Gemeinsam powinno być przetłumaczone na język polski i dotrzeć do rąk wszystkich, zwłaszcza starszej młodzieży.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Dr Josef Weingartner: *Der Christ im Alltag*. Felizian Rauch Innsbruck 1936. S. 214.

Jest to, — jak Autor zaznacza na wstępie, — zbiór luźnych artykułów pisanych przygodnie i rozproszonych dotąd po rozmaitych czasopismach. Ugrupowano je w trzy działy: I. Liturgia i rok kościelny. — II. Problematy dzisiejsze. — III. Z teki duszpasterza.

W pierwszym dziale (Roraty, W. Post, W. Tydzień, ceremonie chrztu św., pogrzeb katolicki itp.) zasługuje na szczególną uwagę śliczny rozdział o mszy św.

W drugim autor omawia krótko i praktycznie różne zagadnienia narzucające się współczesnemu człowiekowi, a na które często nie umie sobie po katolicku odpowiedzieć (o rozwodach, o zmniejszeniu cyfry narodzin, o paleniu zwłok, o święceniu niedziel, o słynnym „poza Kościołem nie masz zbawienia” itp.).

Dział III zawiera humorystyczne obrazki z życia i praktyki proboszcza wielkomiemiejskiego.

Książka wytwornie wydana, pisana w sposób miły i swobodny. Nastawienie autora do spraw duszpasterskich i kwestyj życiowych związanych z religią zdradza dar bystrej obserwacji, umysł wnikliwy, wielkie doświadczenie i zrozumienie psychiki dzisiejszego człowieka, tak różnej od przedwojennego pokolenia.

S. M. R.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu:

- Ks. Józef Teodorowicz arcybiskup: Herold Chrystusa na tle epoki, str. 260.
- Romano Guardini: Znaki święte. Przełożył z niemieckiego Józef Birkenmajer, str. 37.
- Zofia Kossak: Bez oręża. Powieść historyczna t. I. str. 316. t. II. str. 292.
- Myśli św. Jana Chryzostoma. Wybrał prof. dr Józef Birkenmajer, str. 135.
- Dr Stanisław Helsztyński: Bohater Warszawy, ks. Ignacy Skorupka, str. 66.
- Anna Szoftowa: Czarni święci. Błog. Męczennicy z Ugandy. Z ilustracjami, str. 64.
- Jerzy Bandrowski: Szkarłatna Róża Raju Boskiego, świątobliwy ks. Wojciech Męciniński, str. 96.
- Zofia Teresa Plisowska: Andrzej Maria Ampère, entuzjasta nauki i Boga, str. 76.
- Piotr Villey: Niewidomy Dobroczyńca niewidomych — Maurycy de la Sizeranne. Tłumaczyła z francuskiego Wanda Zaleska-Kurnatowska, str. 195.
- Stefania Marciszewska-Posadzowa: Matka. Fundamenty wychowania moralnego. Biblioteka Wychowania Przedszkolnego, str. 53.
- Jadwiga Kopciowa: Dziennik młodej matki. Rady i wskazówki na okres macierzyństwa, str. 60.
- K. Wrotny-Klimowiczowa: Tajemnica człowieczeństwa. Studium filozoficzno-religijne, str. 148.
- Michalina Isaakowa: Polka w puszczech Parany. Z licznymi ilustracjami, str. 229.
- Roman Kośla: Sandomierka. Legendy ziemi sandomierskiej, str. 239.
- J. B. Rychliński: Skarbiec Bałtyku. Opowieść historyczna, str. 73.
- Wanda Miłaszewska: Święty wąż. Powieść, str. 338.
- J. Surynowa-Wyczółkowska: Egoizm we dwoje. Powieść, str. 232.
- Helena Zakrzewska: Pojednanie. Powieść o niedźwiedziu tatrzańskim, str. 216.
- Jerzy Marlicz: Dzicy ludzie. Nowele afrykańskie, str. 194.
- S. Barbara Żulińska L. B.: Na przyjęcie Pana. Listy dziecka przed pierwszą Komunią świętą, str. 79.
- M. Rudnicki: Żydzi. Powieść współczesna, str. 391.

Nakładem Gebethnera i Wolffa:

- Piotr Chojnowski: Opowiadania szlacheckie. 1937, str. 213.
- Stefania Zahorska: Korzenie, str. 341.
- Henryk Sienkiewicz: Pisma. W układzie Ign. Chrzanowskiego. Tomy: XI, XLIV, XLV, XLVI. Publicystyka. Wydanie Ludwika Biernackiego. Tomy: I, IV, V, VI. Nakładem Zakładu Narodowego Im. Ossolińskich we Lwowie, Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa w Warszawie 1937.
- Kornel Makuszyński: O dwóch takich, co ukradli księżyc. Powieść dla młodzieży z 8 ilustracjami i barwną okładką K. Sołpoki. Wydanie trzecie, str. 238.
- Kornel Makuszyński i M. Walentynowicz: O wawelskim smoku. Nowe bajki tego roku.
- Ludwik Hieronim Morstin: Misterium Nocy Majowej. Sztuka w 2 częściach z Prologiem, Kraków 1938, str. 118.

Nakładem Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie:

- Julian Krzyżanowski: Władysław St. Reymont. Twórca i dzieło. 1937. str. 200.
 J. Kleiner, A. Brückner, Z. Aleksandrowicz, J. Balicki, St. Maykowski: Wypisy z literatury polskiej. Tom I. Część I, str. 376. Cz. II str. 356. Cz. III str. 178. Wydawnictwo Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich. Lwów 1938.

Nakładem Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych we Lwowie:

- Gustaw Olechowski: Na wielką wyprawę. 1937, str. 117.
 Józef Andrzej Teslar: Marszałek Edward Śmigły Rydz. Życiorys. 1937, str. 97.
 Natalia Gąsiorowska: Górnictwo i hutnictwo w Polsce. 1937, str. 155.

Nakładem Książnicy Atlas:

- Roman Wojtusiak: W sercu Kaukazu. Dziennik przyrodnika pierwszej polskiej wyprawy w góry Wysokiego Kaukazu. Z 2 mapkami i 60 ilustracjami. Lwów—Warszawa 1937, str. 245.
 Zofia Nałkowska: Choucas. Powieść internacjonalna. Wydanie drugie. str. 211.

Nakładem Herdera, Freiburg im Breisgau:

- Josef Rick: Der feuerrote Ball. Ein Buch der Abenteuer. 1937, str. 132.
 Silvia v. Bornstedt: Ein Kind erlebt den Weltkrieg. 1937, str. 244.
 Theodor Grentrup: Volk und Volkstum im Lichte der Religion. Eine grundsätzliche Studie zur Gegenwartslage. S. VIII+296. Brosz. 250, opr. 250 M.
 Josephus Gredt: Elementa Philosophiae aristotelico-thomisticae. Metaphysica, Ethica. S. XVI+470. Brosz. 640, opr. 8 M.

Nakładem „Wydawnictwa Polskiego” (K. Wegnera) w Poznaniu:

- Knut Hamsun: A życie toczy się dalej. Powieść. Poznań, str. 428.
 Robert L. Stevenson: Wyspa Skarbów. Przełożył z angielskiego Józef Birkenmajer. Wydanie II przejrzone przez tłumacza, str. 230.

Nakładem różnych:

- P. Josephus de Guibert S. J.: Theologia spiritualis ascetica et mystica. Quaestiones selectae in praelectionum usum. Romae. Apud Aedes Universitatis Graegorianae. 1937, str. 475.
 Hans Mortensen - Gertrud Mortensen: Die Besiedlung des nordöstlichen Ostpreussens bis zum Beginn des 17 Jahrhunderts. Teil I. Verlag von S. Hirzel in Leipzig. 1937, str. 206.
 Międzynarodowy Kongres Chrystusa-Króla. XIII Zjazd Katolicki Archidiecezji Gnieźnieńskiej i Poznańskiej. „Studia Katolickie” pod redakcją ks. dra Stanisława Brossa. Poznań. Nakładem Komitetu organizacyjnego Międzynar. Kongr. Chr.-Kr. 1937, str. 350.
 Stanislaus Rescius: Stanislaus Hosii vita. Delplini 1938. Sumptibus Fundi Hosiani, str. 216.
 Dr J. Smoczyński: Bibliographia Hosiana. Delplini 1937. Sumptibus Sedis Episcopalis, str. 12.
 Dr Witold Doroszewski: Myśli i uwagi o języku polskim. Poprawność językowa i nauczanie języka. Objaśnienie wyrazów i form Uwagi o pisowni. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. 1937 str. 129.

- Jerzy Zdziechowski: *Mit złotej waluty*. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”. Warszawa 1937, str. 311.
- Ks. Stefan Sydry: O. Stanisław Papczyński i jego dzieło. Warszawa. Nakładem Funduszu Beatyfikacyjnego o. Papczyńskiego. Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha w Warszawie 1937, str. 299.
- Ks. Józef Winkowski: W głąb i wwyż. Wybór artykułów z 17 roczników (1920—1937) miesięcznika „Pod znakiem Maryi”. Zakopane 1938, str. 432.
- Zoltan Magyary: *Organizacja władza a zwłaszcza rola szefa rządu w administracji publicznej*. Nakładem Tow. Pracy Społeczno-Gospodarczej. Warszawa 1937, str. 150.
- Valeriu Marcu: *Machiavelli. Szkoła władzy*. Nakł. Powszechnej Spółki Wydawniczej „Piłomieh”. Warszawa 1938, str. 280.
- Franciszek Siedlecki: Z zagadnień poetyki: *Studia z metryki polskiej*. Część I. — Metr sylabiczny a inne polskie systemy metryczne. Str. 224. Część II: Problem transakcentacji metrycznej w wierszu polskim, str. 222, Wilno. Z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. 1937.
- Stefan Vrtel-Wierczyński: *Staropolska legenda o św. Aleksym*. Na porównawczym tle literatur słowiańskich. Poznań. Nakładem Poznańskiego Twa Przyjaciół Nauk, z zasiłku Funduszu Kultury Narod. i Funduszu Nauk. U. P. Skład główny w Księgarni Jana Jachowskiego w Poznaniu. 1937, str. 309.
- Ks. J. Burzyński, mag. teol.: *Przyzwyczajenie i jego rola w religii według „Myśli” Pascala*. Warszawa. Uniw.-Theologicum. 1937, str. 40.
- Ks. Feliks Bodzianowski: *Ludzkość na rozdrożach*. Księgarnia Katolicka, Poznań. 1938, str. 344.
- Ks. I. Henry, C. SS. R.: *Kapłan heroldem Boskiego Serca*. „Dobra Prasa”, Wilno, str. 141.
- Ks. Józef Księżopolski: *Ideale kleryka według Papieża Piusa XI*. Nakładem autora. Janów Podlaski. 1937, str. 40.
- Stanisław Adamski, biskup śląski: *Zadania Akcji Katolickiej Młodzieży*. Nakł. Sp. Akc. „Ostoja”. Poznań 1938, str. 30.
- Gaston Salet, S. J.: *Le Christ notre vie*. Casterman — Paris — Tournai. 1937, str. 101.
- Kazimierz Niepokoyczycki: *Słowacy i Czesi. Zarys stosunków*. Wydawnictwo „Myśli Polskiej” Warszawa. 1937, str. 65.
- Dr Jan Lutosławski: *O katolicką politykę agrarną*. Warszawa. 1938. Osobne odbicie z zeszytu Nr 50 „Gazety Rolniczej” 1937, str. 24.
- Myśl katolicka a postulaty reformy rolnej*. Warszawa 1938, str. 24.
- Janusz Sopoćko, mjr dypl.: *Mój pluton*. Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy. Warszawa 1937, str. 188.
- Adalbertus Bangha S. I.: *Allocutiones eucharisticae. Breves synopses conferentiarum occasione 34. Congressus Eucharistici Internationalis habendarum*. Budapestini 1938. Apud Comissionem Praeparatorium Congressus. Inscriptio postalit: Eucongress, Budapest, IV. Postafiók 100.
- Sól polskiej ziemi. Dzieje służ Bożych*. Warszawa. Koło Studiów Katolickich. 1937.
- Inż. Aleksander Potyrała: *Przemysł okrętowy*. Wydawnictwo igi Morskiej i Kolonialnej. Warszawa 1937, str. 66.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Problem „krwawego kwadransa“.

W dusznej atmosferze naszej polityki wewnętrznej, którą znamionuje potęgujące się rozproszkowanie partyjne, urągające oficjalnym i półoficjalnym wysiłkom oraz próbom zjednoczenia, wylęła się w ubiegłych miesiącach niesamowita plotka o zamierzonej i przygotowanej rzekomo „nocy św. Bartłomieja“ w Polsce. Rozpisały się najpierw szeroko o tej „krwawej konspiracji“ zagraniczne pisma, powtórzyły później tę wiadomość krajowe dzienniki a w międzyczasie wszechwładna plotka szalała w stolicy, kolportując czarną listę skazanych, terroryzując jednych, napełniając niejasnymi nadziejami innych. A potem wszystko ucichło i tylko od czasu do czasu w prywatnych rozmowach jawi się jeszcze trwożne pytanie: czy konspiratorzy nie mają przypadkiem zamiaru powrócić do swojego planu?

Niesamowita, absurdałna plotka, zmyślona najprawdopodobniej dla autoreklamy, czy zastraszenia przeciwników pewnej koncepcji politycznej! Tak można było osądzić na trzeźwo cały ten niesmaczny a dla autorytetu naszego państwa szkodliwy incydent. Tylko że trochę dziwnym wydać się mógł fakt, iż aż sam marszałek Śmigły Rydz uznał za stosowne polemizować z tą plotką czy zgłaszać przeciw niej autorytatywne dementi.

Samo jednak zjawisko, iż szerokie warstwy zajęły się na serio tą krwawą pogłoską, iż szereg osób myślało o zabezpieczeniu zagrożonego rzekomo życia... świadczy wybitnie o psychozie współczesnych nastrojów, lęgnących się na trzęsawiskach moralnego i politycznego rozprzężenia i zdziczenia.

Zjawisko to zresztą nie jest specyficznie polskie. Stało się ono światową zmorą, która w powojennych latach straszy

różne narody oraz społeczeństwa. W epoce rewolucyj, przewrótów, gwałtów, czystek i zamachów... tradycja „krwawej nocy” nie jest bynajmniej anachronizmem i raz po raz wciela się to tu do tam w zmodernizowane nieco formy.

Z chwilą kiedy załamały się autorytety moralne, rozluźniły się a nawet zamilkły nakazy sumienia, musiała za triumfować brutalna siła, dla której, tak czy inaczej upozerowany mord staje się środkiem do celu. Życie ludzkie, którym tak rozrzutnie szafowała wielka wojna, spadło niepomrotnie w cenie na giełdach nowej i niezależnej etyki, której twórcami i obrońcami stały się grupy, klany, mafie a nawet całe reżimy.

Rekord w mordowaniu ludzi niewygodnych osiągnął oczywiście bolszewizm. Morze krwi wytoczyła rosyjska rewolucja a do dziś dnia do tego morza spływają krwawe rzeki i strumienie. Zamordowano cara i jego rodzinę, wymordowano tysiące obrońców caratu, w imię triumfu rewolucji i suwerennego dobra ludu; dziś z krwią carów miesza się krew starych bolszewików, wypróbowanych druhów Lenina, których po kilkunastu latach wiernej służby uznano za wrogów rewolucji i proletariatu. Dyktatorski tron Stalina wznosi się na potwornym cokole ułożonym z tysięcy i milionów trupów. Staniało i spodłzło życie ludzkie.

Orgie hiszpańskiej rewolucji, zapalanej przez Komintern, usiłowały prześcignąć swój krwawy pierwowzór. I znowu, podobnie zresztą jak w Meksyku, rozgryszano najokrutniejsze, masowe zbrodnie rzekomym dobrem suwerena ludu. Jakżeż dziecinną prawie zabawką wydaje się na tym tle „noc św. Bartłomieja”!

Dyktatura Hitlera ma także swoje ofiary, a w krwawej nocy spajano wiązania narodowego socjalizmu. Czy wobec tych wszystkich masowych egzekucyj warto jeszcze bilansować poszczególne mordy, krwawe zamachy, porwania, tajemnicze zniknięcia... politycznie niewygodnych osób? Precyzyjna praktyka zastąpiła w powojennym świecie kruche teorie *de tyrannicidio*, nad którymi dyskutowała kiedyś namiętnie Europa. Niema czasu na filozofowanie subtelne, sztylet, bomba czy sąd partyjny działają szybciej i sprawniej niż pracowity sylogizm. Zresztą niema się czym nadmiernie roztkliwiać, bo staniało życie ludzkie!

Mimo to nie zabrakło i teoretyków, skrupulatów, którzy sylogizmami i rozumowaniem pragnęli jednak uspokoić swe sumienie. Oczywiście „zacofańców” tych nie należy szukać w obozie komuny albo totalizmów, tam praktyka zastępuje teorię; zjawili się oni w obozie katolickim, rzucając tragiczne pytanie, czy jednak współczesne warunki nie zmuszają katolików do zrewidowania tradycyjnych poglądów na przewrót,

rewolucję i krwawe metody? Wszak Chrystusową zasadą o nadstawianiu policzka... nie można już dziś rozwiązać społecznych i politycznych problemów. Mobilizacji wszelkich sił ciemności, nie liczących się z żadną etyką, dążących wszelkimi metodami do zdobycia władzy i wyzyskujących tę władzę dla zgębnienia dobrych — należy przeciwstawić aktywizm katolicki, który dla obrony religii, społecznej sprawiedliwości i kultury ducha może i powinien użyć przemocy i siły, wstrząsu, przewrotu czy nawet rewolucji. Dalsza bierność grozi bowiem katastrofą. Potężnych organizacji, które trzymają w rękach armie, finanse i administracje nie rozbroi się modlitwą, ni nie ułagodzi potulną pokorą. Czy zatem należy biernie oddawać kark w obrożę, patrzeć na konsekwentne, sekciarskie rugowanie wszelkich wpływów religii z życia państw i narodów, na zagarnięcie wszechwładzy przez wyzute z wszelkich skrupułów kliki lub partie, na montowanie bezkarne rewolucyjnych folksfrontów? Cóż pomoże spóźnione białanie i załamywanie rąk na ruinach spalonych świątyń i zbeszczeszczonych ołtarzów?

Takie tragiczne dylematy rozpierają dziś pierś niejednego z młodych katolików. Wyrzuciły one racami duchowego buntu przede wszystkim we Francji i tam przyoblekły się w wyrozumowany system na łamach *Terre Nouvelle*. „Rewolucjoniści chrześcijańscy“, pod wodzą p. Laudrain, w dążeniu do przebudowy ustroju, rzucili wyraźnie hasło użycia wszelkich godziwych środków, a za godziwy uznano i zbrojną rewolucję. W uzasadnieniu zaś tej radykalnej metody powołano się na katolickich teologów, którzy głoszą, iż w pewnych wypadkach dozwolonym jest zbrojne powstanie i wojna przeciw tyranowi, oraz że wolno orężem bronić nie tylko swego życia ale i swych dóbr przed niesprawiedliwym napastnikiem. „Rewolucjoniści chrześcijańscy“, uznając w całej pełni Boży autorytet władzy, pragną tylko złożyć ten autorytet w godniejsze ręce, wyróżniając subtelnie między posłuszeństwem dla Boga a posłuszeństwem dla władzy cywilnej, która nie uznaje woli Bożej. Do takiego rozsądzania sprawy — zdaniem ich — uprawniają same wypadki dziejowe, wykazując dowodnie, ile nieszczęść i zbrodni płynie z przedłużania i tolerowania systemu, który się legitymuje przed narodami swą prawnie przejętą władzą. Tymczasem zdrowy rozum wykazuje, iż ta rzekoma władza jest tylko jednym wielkim nadużyciem, radykalnie sprzecznym z Ewangelią.

W ilu to krajach trzeba by dziś powiedzieć, iż dzierżący najwyższą władzę nie liczą się z wolą Bożą i nie uznają Ewangelii? Czy przed prześladowanymi za wiarę i przywiązanie do Kościoła katolikami Rzeszy nie staje w całej ostro-

ści to samo pytanie? Czy nie stanęło w krwawej łunie pożarów, w orgiach masowych mordów, w ohydzie bezczeszczenia bezbronnych zakonnic w Hiszpanii? Czyż ten dylemat powolnej agonii, ruiny katolicyzmu, zdeptania całej kultury wyrosłej z chrystianizmu nie kazał chwycić za broń generałowi Franco i rzucić się w zbrojnym powstaniu na rzekomo prawny rząd czerwonych katów? A przecież cała katolicka Hiszpania stanęła wraz z episkopatem po stronie powstańców, którzy armatami i karabinami zdobywają sobie wolność sumienia i wiary.

Belgijski Degrelle wystąpił w swej namiętnej akcji również z hasłami moralnego odrodzenia. Stał do walki na drodze legalnej rozgrywki, choć zdaje się nie zawsze etycznymi przeprowadzanej środkami i metodami. Ale w gronie jego szermierzy czyż nie ta sama myśl zdobycia władzy siłą i przewrotem, choćby zbrojnym i krwawym! Za sztyld służy dobro ojczyzny i katolicyzmu, boć przecież nie w innym celu wywieszono na sztandarach młodych, zapalonych reksistów hasło Chrystusowego królestwa.

I u nas w Polsce toczą się na ten temat namiętne dyskusje, a hasło wstrząsu, przewrotu czy nawet „krwawego kwadransa” ma swoich zapalonych zwolenników. Trudno odgrodzić Polskę od idei i nastrojów szerzonych dziś w całym świecie. Paszporty i wize są w tej dziedzinie bezsilne. Nie brak zresztą w krótkiej historii naszej wskrzeszonej niepodległości pewnych precedensów, ...które mogą posłużyć za lekcję oraz zachętę.

W tej atmosferze podniecenia padają ściszone a nawet jawne uwagi, że i u nas musi dojść do decydującej rozprawy między konsolidującym się frontem lewicy a elementami narodowymi. Czy rozprawa ta nie przybierze form bratobójczej walki? Wyzywające pogróżki skrajnej lewicy, zapowiadającej bezwzględne i powszechne strajki, ożywiona akcja Naprawy, radykalizacja wiciowych odłamów wiejskiej młodzieży, wzmożone wysiłki komuny... wszystko to zdaje się przygotowywać rozgrywkę o charakter naszego państwa i prawa polskiego katolickiego społeczeństwa we własnej ojczyźnie.

Otóż nie wkraczając bynajmniej na teren politycznych rozgrywek, pragniemy tym silniej podkreślić, że katolicyzm polski nie na przewrotach i wstrząsach, tym mniej na „krwawych kwadransach” opiera swoje nadzieje na pełny rozkwit i całkowite zwycięstwo. Przenoszenie na polski teren hasel tych czy innych Laudrain'ów, Degrellów, których akcje potępił już zresztą autorytet Kościoła, wyrządziłby u nas jedynie niepowetowane szkody. Szermowanie autorytetem katolickich teologów, wskrzeszanie tezy *de tyrannicidio* jest

w najlepszym razie prostym nieporozumieniem, jeśli nie wprost nadużyciem.

O tyranach, którymi zajmuje się św. Tomasz z Akwinu, Suarez i cały szereg wybitnych teologów trudno dzisiaj mówić. Wszak teza ich odnosi się albo do najeźdźcy, który przemocą zagarnia ziemie rzeczypospolitej, albo do uzurpatora, który na drodze bezprawia i gwałtu zdobywa swą władzę. Jeśli zaś chodzi o tyranów nadużywających swej władzy, którą prawnie osiągnęli, to wprawdzie ogół teologów zgadza się, iż naród czy cały czy przez swych prawnych przedstawicieli może w pewnych wyjątkowych wypadkach usunąć przemocą, nawet drogą krwawej egzekucji tyrana, który gwałci prawa, poniewiera religię i powoduje wielkie szkody i nieszczęścia dla całego państwa, ale równocześnie tenże ogół teologów zastrzega się, iż żaden z podwładnych nie może sobie rościć pretensji, by z własnej inicjatywy, bez prawnego mandatu narodu, podejmował się politycznego mordu, choćby ośobiście był najświęciej przekonany o słuszności i konieczności takiego właśnie rozwiązania sprawy.

Tyrani, apostaci, zadający gwałt sumieniu podwładnych... to zjawiska minionych wieków. Dziś wszelkie reżimy i rządy mają węższą lub szerszą podstawę w swoim społeczeństwie i w pewnym przynajmniej znaczeniu są wyrazem woli albo zgody ludu. Czy nawet krwawa tyrania sowieckiego rządu z Stalinem na czele, może być uznana w pełnym tego słowa znaczeniu za tyranię, o której mówi św. Tomasz z Akwinu? Pomimo wszelkich pozorów, pomimo potworności, jakich się ten rząd dopuszcza, pomimo najzacieklejszej walki jaką prowadzi z wszelką religią i w tym nawet tak krańcowym wypadku będą zdaje się podzielone zdania.

Wiemy z historii, iż papieże prowadzili długie moralne wojny z rozmaitymi suwerenami, nadużywającymi swej władzy, pamiętamy o ekskomunikach, interdyktach i Canossach, ale nie znamy — jak to już podkreślał Bellarmin — ani jednego wypadku, by papież polecał lub aprobował zamordowanie jakiegokolwiek tyrana, by organizował spiski i rewolucje dla obrony wiary i sumienia.

Nad dziejami bowiem Kościoła, unoszą się wiekowym, nieśmiertelnym echem słowa Boskiego Mistrza, skierowane w tragicznej chwili do pierwszego księcia apostołów: „Scho-waj swój miecz do pochwy“... Nie miecz ale Kalwaria była drogą do zwycięstwa; nie miecz ale krwawe męczeństwa obaliły potęgę Neronów i Domicjanów; nie miecz ale heroiczny trud Ksawerych rozszerzał granice królestwa Bożego na ziemi; nie miecz ale Akcja Katolicka, praca u podstaw, heroizm sług Kościoła i pełna ofiarność wiernych zapewnia triumf wiary i dzisiaj. Moralna siła przywiązanych do Ko-

ściota synów i córek, zwycięży najskuteczniej bezbożne zapędy Rosenbergów, Kerrl'ów, czy nawet Stalinów. Droga to do zwycięstwa pozornie daleka, bierna i bolesna, w rzeczywistości jednak pełna dynamiki i potęgi moralnej, która zwycięża nie orężem ale ideą.

I u nas w Polsce pomimo politycznego chaosu, pomimo bałgania moralnego, w którym ugrzęzło tyle osób zajmujących wybitne i wpływowe stanowiska, pomimo montowania lewicowych frontów, liczących na poparcie decydujących czynników... katolicyzm zwycięży siłą swej idei i pełnej poświęcenia pracy, rzetelną miłością ojczyzny oraz tężyzną moralną. Dlatego katolicyzm polski nie miał i nie będzie miał nigdy nic wspólnego z pomysłami „krwawych kwadransów”. Tę broń przewrotów, zamachów i politycznych mordów zostawi bankrotom idei, którzy rewolwerem i bombą, muszą zastępować pustkę i nicość swej ideologii?

Zyjemy ciągle w okresie ideowego przełomu, w którym legną się najbardziej szaleńcze pomysły i odżywiają najbardziej zbankrutowane w dziejach metody, ale też pręży się stara swą genezą a wiecznie młoda swą siłą, idea Chrystusowego Królestwa, która mobilizuje umysły i harmonizuje serca w wielkim dziejowym wysiłku.

Obóz tej właśnie idei rośnie z dnia na dzień w odrodzonej Polsce, do niego gromadnie garnie się polska młodzież i dlatego do tego obozu należy przyszłość i zwycięstwo.

To ścieranie się poglądów na naszej ojczyściej ziemi scharakteryzował doskonale Prymas Polski w swym głębokim przemówieniu wigilijnym:

Polska przeżywa ten przełom rozsądniej niż jej bliźsi i dalsi sąsiedzi. Porwana głębokim prądem odzyskanego bytu, wiedziona duchem swych dziejów, wpatrzona w wielkość, która ją czeka, kuszona przez współczesne demony, szuka decyzji w swym instynkcie, w świadomości swych przeznaczeń, w ewangelii swych wierzeń.

Jest dla niej rzeczą oczywistą, że ani na materialistycznych pustyniach ducha, ani na samowoli totalistycznych dyktatur, przeczących godności i sumieniu człowieka, nie można budować twórczego zbiorowego życia. Toteż chociaż wokoło trwoga, zameł, walki bratobójcze, orgie krwawych porachunków, okropności wojującego bezbożnictwa, sztuczne wskrzeszanie pogaństwa, Polska we własnej duszy, w swym powołaniu, w rozjaśniającej się wizji Chrystusowej prawdy odnajduje siebie i odgaduje drogę swej przyszłości.

Pod względem światła i ducha nie potrzebuje się zapożyczać u nikogo. Nie skleca sobie nowych bożków nie odgrzewa za-

marłych kultów bałwochwalczych, nie myśli klękać jak tylko przed swym dawnym Bogiem, którego dziś kolendową modlitwą wielbi złożonego na sianie. Chrystusem wyzwala Polska swoje sumienie, odbudowuje swą godność, gruntuje swój niepodległy byt i nieśmiertelny czyn. Jako państwo „dobrej woli” klęka Polska przed Bożym Dziecięciem z hołdem wierności i uwielbienia.

Przy tym orędziu swego Prymasa staje bez zastrzeżeń cała katolicka Polska; to jej przekonania, to równocześnie program solidarnej pracy katolickiej na rok najbliższy.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Odprężenie jeszcze trwa. — Halifax i Hitler. — *Tour d'amitié* min. Delbosa. — Anglia, Włochy, Liga i Polska. — Na frontach rzek Niebieskiej i Żółtej. — Wulkany znów dymią.

W chwili gdy rozpoczynam to sprawozdanie odprężenie sytuacji międzynarodowej, które nastąpiło w listopadzie jeszcze trwa. Nie bez pewnego mimowolnego zdziwienia notuję ten fakt; do tego stopnia cały rok ubiegły przyzwyczaił zmysł obserwacyjny do iście konwulsyjnych szamotań roboty dyplomatycznej. Wprawdzie nad tym odprężeniem coraz groźniej znów grzmieć poczyną Daleki Wschód, trzeba jednak opowiedzieć polityczne dzieje ostatniego adwentu według biegu wydarzeń, „od początku”.

Jak tedy wiemy, w listopadzie położenie międzynarodowe odprężyło się na skutek zmian niekorzystnych dla osi rzymsko-berlińskiej, jakie nastąpiło w Hiszpanii i na Dalekim Wschodzie. W Hiszpanii gen. Franco „zdradził” swoich dotychczasowych faszystowskich protektorów, skłaniając się do zbliżenia z obozem wielkich demokracji: angielskiej, francuskiej i amerykańskiej. „Oś” przeto, a zwłaszcza Włochy, musiały się z Hiszpanii wycofać i wykreślić ją na razie z rachuby swych sił politycznych. Skomplikowało to także stosunek Włoch do Niemiec nad Dunajem w punkcie Austrii, którą Włochy poprzednio „ofiarowały” Niemcom w zamian za Hiszpanię. „Oś” jednak postanowiła się do tego nie przyznawać i nadal występowała w grudniu solidarnie wobec przeciwników.

Druga zaś zmiana, której mechanizm wyjaśnialiśmy w ub. miesiącu, nastąpiła na Dalekim Wschodzie w postaci powstrzymania się Rosji od udziału w wojnie chińsko-japońskiej. Obaliło to rachubę Niemiec na sposobność dla zbrojnego uderzenia w europejską ścianę Moskwy i do dziś jeszcze stanowi najważniejszy z czynników, który powstrzymał mocarstwa centralne od

rozpętania światowej zawieruchy wojennej. Inna rzecz, że ten sam czynnik zaczyna być obecnie mocno niedogodny także dla trójporozumienia demokracji, ponieważ japoński rozmach wojenny w Chinach staje się coraz groźniejszym dla interesów mocarstw zachodnich nad Pacyfikiem.

Zapewne w przewidywaniu, iż trójpzymierze faszystowskie Japonii z Niemcami i Włochami okaże się dość skutecznym, by dostarczyć Niemcom okazji do wyprawy na Moskwę, albo też by utrzymać Moskwę w bezwładzie na azjatycką niekorzyść mocarstw zachodnich — te ostatnie zwróciły uwagę na europejski wschód środkowy i postanowiły wzmocnić tę „barierę” między Niemcami, a Rosją. Równocześnie i niebezpiecznie dla mocarstwa zachodnie sądziły, że nowa sytuacja wytworzona w następstwie ich przewagi w Hiszpanii, a hamująca zapędy wojenne Niemiec w Europie wschodniej, oznacza pewną porażkę dla mocarstw centralnych, nadaje się przeto dla prób porozumienia na gruncie ustępstw względnie umiarkowanych, w szczególności natury kolonialnej.

W tym celu delegowany został do Berlina lord Halifax, z półoficjalną misją wybadania życzeń i zamierzeń kanclerza Hitlera. Okazało się, że mimo doraźnych hamulców dyplomatycznych, o których była mowa, życzenia i dążenia niemieckie nie są bynajmniej minimalistyczne. Kanclerz przede wszystkim miał oświadczyć, że w zakresie kolonialnym byle czym się nie zadowolni; że woli poczekać choćby jeszcze parę lat a otrzymać poważny obszar afrykański: nie tylko zwrot Kamerunu i Togo, lecz ponadto jeszcze Kongo belgijskie i portugalską Angolę. Co do rewizji granic w Europie środkowo-wschodniej, to Hitler miał zadeklarować gotowość do paktów nieagresji z Czechosłowacją i Austrią, ale pod warunkiem, że mocarstwa zachodnie skłonią Czechosłowację do udzielenia autonomii Niemcom sudeckim, oraz nie będą się przeciwstawiały niemieckiej „pokojoyej penetracji”, do Austrii. Trzecim podstawowym życzeniem politycznym Niemiec jest ażeby się mocarstwa zachodnie wycofały ostatecznie z polityki paktów z Rosją, uprawianej, zwłaszcza przez Francję, pod egidą zbiorowego bezpieczeństwa o barwie ligowo-pacyfistycznej. Ten punkt jest równoznaczny z wolną ręką dla Niemiec w stosunku do Moskwy. Wobec tych trzech punktów drugorzędne znaczenie polityczne posiada sprawa powrotu Niemiec do Ligi Narodów, świeżo skomplikowana przez Włochy, oraz sprawa nowego paktu reńskiego, na razie zupełnie nieaktualna. Na takim tle politycznym Niemcy projektowałyby ożywienie międzynarodowej współpracy gospodarczej w Europie, oczywiście przez dopływ kredytów z zachodu na wschód.

Z taką odpowiedzią niemiecką powrócił lord Halifax z Berlina i Berchtesgaden do Londynu. Przybyli tam natychmiast na zaproszenie rządu angielskiego, francuski premier Chautemps i min. Delbos. Po wystuchaniu sprawozdania Halifaxa, oraz na-

radzie z Anglikami, min. Delbos wyruszył śpiesznie w zapowiadzaną podróż okrężną do stolic sprzymierzeńców wschodnich Francji, a więc Polski i Małej Ententy.

Do Warszawy przywiózł p. Delbos pewnego rodzaju „przyjętą” w postaci widoków kolonialnych dla Polski, w razie jeby je zrealizowano w stosunku do Niemiec. Była mowa o polskim (nie tylko żydowskim) osadnictwie na Madagaskarze. Była mowa o nowych kredytach, bardziej politycznych niż gospodarczych, w szczególności o 350 milionach franków na elektryfikację Centralnego Okręgu Przemysłowego. W związku z tym godzi się wspomnieć, że po powrocie min. Delbosa z jego podróży okrężnej na Zachód, Anglia ujawniła zainteresowanie dla wzmocnienia Polski na morzu, zwłaszcza naszej floty wojennej. W Warszawie p. min. Delbos zainteresował się jeszcze stosunkiem polsko-czeskim w duchu jego odprężenia i solidarności wobec Niemiec. Zarazem zaś, w zakresie orientacji ogólnej nie porzucił zasady zbiorowego bezpieczeństwa, dotyczącej również Rosji. W tym punkcie przeto, jak dotąd, postawa Francji, nadal krzyżuje się z niemiecką, a po części także z polską, my bowiem stosujemy przede wszystkim zasadę układów bezpośrednich i dwustronnych. Koniec końców p. min. Delbos wyjechał z Warszawy z tym wynikiem pozytywnym, że polityka wzmacniania Polski może już teraz być stosowana, a powinna być stosowana w tym rozleglejszej skali, jeśli do pozytywnych wyników doprowadzą również układy zachodu z Niemcami.

W Bukareszcie p. Delbos umocnił kurs profrancuski, który w pewnych momentach był atakowany przez usiłowania włoskie. Nastąpiła umowa o kredytach na dobrojenie Rumunii, budowie fabryki czołgów, oraz dostawie nafty rumuńskiej do Francji. Białogród wizytę min. Delbos poprzedził odwiedzinami Rzymu przez premiera Stojadinowicza, który następnie oświadczył swemu francuskiemu gościowi, że Jugosławia równie wierna jest przymierzowi z Francją jak Polską, lecz podobnie jak Polska z Niemcami, równocześnie stara się Jugosławia utrzymać przyjazne stosunki z Italią. W zamian otrzyma Jugosławia od Francji korzystny traktat handlowy. Wreszcie w Pradze czeskiej wynikiem odwiedzin min. Delbos, osiągniętym już wcześniej, przez samą ich zapowiedź, był gest odprężenia ze strony rządu czeskiego pod adresem polskiej mniejszości narodowej, pośrednio więc także i państwa polskiego. W następstwie odwiedzin i odbytych narad postanowiono wdrożyć zabiegi o porozumienie i pakt nieagresji między Czechosłowacją a Niemcami.

Niemcy i Włochy obserwowały tę podróż nie bez niepokoju i pewnej kontrakcji. Niemcy w szczególności zajęły stanowisko dwuznaczne, starając się przygotować sobie podstawę do oczekiwanego dyplomatycznego targu. Naprzód min. Neurath dopełnił niezwyklego aktu kurtuazji witając na dworcu w Berlinie prze-

jeżdżającego min. Delbos. To jednak nie przeszkadzało późniejszym złośliwym zaczepkom prasy niemieckiej wobec Polski. Równocześnie rozeszła się pogłoska o zamierzonej jakoby wizycie polskiego min. spraw zagran. w Berlinie, nieuzasadniono jednak na jakim tle i z jakiego powodu. Być może, że kojarzyłaby się ona z ewolucją stosunku do Ligi Narodów ze strony Włoch, Niemiec i Polski. Mniej jest prawdopodobne, by wizyta ta miała pozostawać w związku z poparciem Czechosłowacji wobec Niemiec, w myśl życzeń francuskich, gdyż naprzód Czesi musieliby dać wyraz konkretny i dostateczny swej dobrej woli wobec polskiej mniejszości narodowej w ich państwie.

Co do stosunku Włoch, Niemiec i Polski do Ligi Narodów to poruszyła go inicjatywa włoska z powodu trudniejszego w ogóle położenia Italii niżli Niemiec w rozpoczynającym się nowym stadium gry międzynarodowej. Anglia niewątpliwie z całym rozmysłem odłożyła zapowiedziane już po ewakuacji Hiszpanii układy z Rzymem, nawiązała je zaś naprzód przez Halifaxa z Berlinem, ażeby w razie ich powodzenia osłabić poparcie niemieckie dla Włoch i ułatwić sobie poskromienie Rzymu możliwie tanim kosztem. Włochy więc nie mają przeciw tej taktyce innej osłony, jak tylko tę, że na razie także w interesie Niemiec leży solidarny z Włochami nacisk na mocarstwa zachodnie, którego najsukuteczniej dostarcza Japonia.

W Europie chwilowo mało jest w tym względzie do zrobienia. Próbowaly więc zarówno Niemcy jak Włochy pośredniczyć między Japonią a Chinami, oczywiście w tym duchu, ażeby przyspieszyć i ułatwić Japończykom wasalizację Chin. Gdy to się nie powiodło, Włochy zadeklarowały uchwałę wielkiej rady faszystowskiej, że występują z Ligi Narodów, Niemcy zaś zgodnie przyświadczyły, że do niej nie powrócą.

Jest to krok, który zacieśnia „antykomunistyczne” trójprzymierze włosko-niemiecko-japońskie o tyle, że obecnie już wszystkie trzy mocarstwa faszystowskie znalazły się poza obrębem Genewy. Tenże krok przeciwstawia się skłonności trójporozumienia demokracji do polityki zbiorowego bezpieczeństwa, mogącej ośmielić Moskwę przeciwko Japonii. Co więcej fakt, że z wielkich mocarstw pozostają w Lidze już tylko Anglia, Francja i stalinowska Moskwa, z poparciem Ameryki, a zwłaszcza, że za Ligą stoi *in corpore* obóz trójporozumienia demokracji, przeciwko niej zaś obóz trójprzymierza totalizmów, wymierza istotnie dotkliwy cios uniwersalistycznemu charakterowi wszechludzkiego, genewskiego nadpaństwa. Rzecz jasna, że to nie ułatwi polityki zbiorowego bezpieczeństwa mocarstwom zachodnim, formalnie zmuszonym opierać się o Ligę Narodów.

Nieobojętnym jest wreszcie dla położenia międzynarodowego, że wobec takiego ujednostronnienia charakteru Ligi nie mogła nie zareagować również i Polska. Zgłosiła więc do genewskiego

sekretariatu notę z odpowiednim zastrzeżeniem, która jest interpretowana w sensie możliwości cofnięcia się od udziału w Lidze również naszego państwa. Powstaje stąd dla Polski sytuacja o tyle śliska, iż chcąc salwować swe stanowisko niezależnie wobec obu światowych bloków wielkich mocarstw nie wiadomo jak ma postąpić. Jeśli w Lidze pozostanie, obawia się jednostronnego związku z demokracjami. Jeśli zaś z niej wystąpi, to stworzy pozór przechylenia się ku faszyzmom. Stąd pogłoski, że nota polska doreczona w Genewie, lecz nieopublikowana, zawiera propozycje w kierunku reorganizacji Ligi Narodów. Jest to bądź co bądź woda na młyn faszyzmów, które zdawna również wysuwały postulat reorganizacji Ligi.

Równocześnie Włochy starają się być wszędzie tam gdzie wchodzi Francja, ażeby nie dopuścić do wyłącznego przez nią opanowania danej pozycji. Stąd wizyta jugosłowiańskiego premiera w Rzymie bezpośrednio poprzedzająca odwiedzin Delbosa w Białogrodzie. Jak już wspomniałem wynika z tych dwóch wizyt jugosłowiańska polityka paktów dwustronnych, wzorowana na polskiej. Stąd także, równoległe z misją Delbosa w Warszawie, włoskie umizgi pod naszym adresem. Okazji dostarczyły im, jak wiadomo, pobranie ziemi z mogiły płk. Nullo w miechowskim, oraz poświęcenie pomnika śp. marszałka Piłsudskiego w Rzymie. Mussolini, względnie z jego ramienia generał Coselschi, zawsze mają w odwodzie jakieś wspomnienie historyczne lub kulturalne, które puszczają w ruch gdy im to politycznie dogadza.

Dyktator Włoch w swym trudnym, po-hiszańskim położeniu, zwija się w ogóle ruchliwie, stara się asekurować, lub sonduje możliwości nie tylko od strony Polski i Francji. Do tej ostatniej bezpośrednio zwracał się apel *Tribuny*, skonfiskowany po niewczasie dla formy, lecz bardzo znamieny. Nawet do Anglii wyruszył Leopold III, król Belgijczyków, w celu zwracającym uwagę właśnie przez swą tajność. Przywodzi on zarazem na pamięć odwiedzin tegoż, skuzynowanego z domem sabaudzkim, monarchy u śp. Jerzego V w okresie najwyższego napięcia wojny abisyńskiej. Wówczas wyniknęła z nich rozgłosna choć chybiona próba anglo-włoskiego kompromisu rozbiorowego na gruncie Abisynii. Prawdopodobnie i teraz Leopold III nie przybył do Anglii, po niedawnym pobycie oficjalnym powtórnie — z pustymi rękoma.

Jak dotąd jednak, stosunki Italii z Wielką Brytanią pozostały nadal złe. Z okazji przystąpienia Włoch do trójprzymierza antykomunistycznego, bawiła przed kilku tygodniami w Rzymie misja japońska. Tak się jakoś dziwnie złożyło, że właśnie po tym włosko-japońskim kontakcie, Japończycy zgromadzili trzy dywizje wojska na Formozie, zajęli dużą chińską wyspę Haonan i niedwuznacznie poczęli grozić wyprawą na Kanton. Zdobycie przez

Japończyków Kantonu przecięłoby ostatnią wielką drogę, przez którą dostęp do Chin posiada jeszcze anglo-amerykański handel, oraz anglo-amerykańska pomoc finansowa i materiałowa dla armii chińskiej. Zdobycie Kantonu przez Japończyków zablokowałoby i odebrało wszelką wartość ekonomiczną sąsiedniemu angielskiemu Hong-kongowi, a pozostawiłoby go w sytuacji także pod względami wojskowymi nie do utrzymania. Oczywiście tak silna presja na Wielką Brytanię nie mogła pozostać bez wrażenia i odpowiedzi. Wielka Brytania wstrzymała zapowiedziane układy z Włochami, wysłała lorda Halifaxa do Berlina, Italii zaś dała poznać półurzędowo, że jakiekolwiek przyszłe angielskie z nią rokowania mogą być prowadzone jedynie w płaszczyźnie wyłączającej uznanie włosko-abisyńskiego imperium. Na to odpowiedziały Włochy, występując z Ligi Narodów a Niemcy poparły je oświadczając, że jakiekolwiek przyszłe angielskie z nimi rokowania będą mogły być prowadzone jedynie w płaszczyźnie wyłączającej ich powrót do Ligi Narodów.

Z tego punktu sprawozdania europejskiego, można już odwrócić wzrok w stronę Eurazji oraz Dalekiego Wschodu. Gdy oś rzymsko-berlińska utraciła Hiszpanię, co świadczyło o przewadze na zachodzie trójporozumienia demokracji, gdy z drugiej strony Japończycy zdobyli Szanghaj, ku wielkiemu tychże demokracji pogwałceniu, wówczas Rosja Sowiecka zdawała się chwilowo znów skłaniać do czynnej interwencji w wojnie azjatyckiej. Ponieważ wojska rosyjskie na Dalekim Wschodzie gotowe są do akcji, więc mianowano jeszcze Kaganowicza dyktatorem gospodarczym dla wykończenia (w zakresie dla Rosji dostępnym) wojennego pogotowia całego państwa. Heroiczny zamiar znów jednak spełznął na niczym, bo Niemcy dały poznać, że i one trwają w pogotowiu. Niemal nazajutrz po nominacji Kaganowicza w Moskwie, w Niemczech ustąpił, względnie liberalny i pokojowy kierownik narodowego gospodarstwa, dr Schacht, na rzecz dyktatury wojenno-gospodarczej premiera Goeringa.

Rosja znów przycichła, natychmiast zacieśniło się, zaktywizowało trójpzymierze antykomunistyczne. Cenne usługi tak widocznie oddawane Japonii ze strony Niemiec przeciwko Rosji, oraz ze strony Włoch przeciwko Anglii, Japonia zrewanżowała podczas bitwy o Nankin.

Ta bitwa odbywała się w złożonych i ciekawych okolicznościach. Paromiesięczna zacięta wojna, zwłaszcza o Szanghaj, wyzerpała Chiny. Czuli, że Nankinu nie obronią, jeśli Rosja nie dotrzyma obietnicy interwencji, która jedynie zdołała ośmielić Chiny do podjęcia tej walki ponad ich siły. Ponieważ Rosja zawiodła się w neorapallitańskiej swej wiosennej rachubie na Niemcy i zobowiązań wobec Chin nie dotrzymała, przeto dykta-

tor marszałek Czang-kai-szek wystosował do czerwonego marszałka Bluechera, wodza armii rosyjskiej na Dalekim Wschodzie (palącej się do uderzenia na Japonię), list z błagającą prośbą, ażeby Bluecher uderzył na Japonię w Chinach północnych, choćby wbrew Moskwie. Podobno Czang obiecywał Bluecherowi wzajemian za tę pomoc naturalizację chińską, godność marszałka i naczelnego dowódcy armii chińskiej.

Bluecher tego błagania o zdradę nie uwzględnił, ale Rosja poczęła znowu ujawniać niepokój interwencyjny. Przysłała do Hankou, nowej stolicy rządu chińskiego, generała czerwonej armii ze 100 samolotami, by układał się o traktat przymierza Chin z sowiecką Mongolią. Mocą tego traktatu 100 tysięcy dobrze uzbrojonej konnicy mongolskiej miałyby podjąć natarcie na tyły armii japońskiej w Chinach północnych. Chiny miałyby się wzajemian zobowiązać do takiej reorganizacji rządu i *Kuomintangu*, by w nich zdecydowaną przewagę osiągnęły elementy antyjapońskie a prosowieckie; oraz miały powierzyć naczelne dowództwo na froncie północnym — generałom chińskiej armii czerwonej. Podobno do uzyskania przez Chiny tego traktatu przyczyniły się zabiegi podjęte na miejscu w Moskwie przez panią Sunjatsen, wdowę po zasłużonym pierwszym prezydencie i organizatorze Chin republikańskich. Podobno również, w chwili gdy piszę, traktat zaczyna już ze strony chińskiej wchodzić w życie, gdyż czerwone dowództwo objęło komendę na froncie Rzeki Żółtej.

W międzyczasie jednak została rozegrana bitwa o Nankin, przyjmując przebieg zgoła nieoczekiwany. Naprzód zdawało się nawet samym Japończykom, że stolica Chin dostanie się w ich ręce prawie bez oporu. Przewidywanie to zawiodło o tyle, że w ostatniej niemal chwili przed zajęciem miasta przez oddziały japońskie, Chińczycy porwali się gwałtownie do walki i stoczyli bitwę krótką, parodniową, ale tak zaciętą, że ponieśli w niej do 70 tysięcy strat w ludziach, podczas gdy Japończycy opłacić mu sieli zwycięstwo 30 tysiącami zabitych i rannych. Ta przykra dla Japończyków niespodzianka niewiele, wprawdzie opóźniła zajęcie Nankinu. Szanghaj wymagał kilkumiesięcznej uporczywej wojny pozycyjnej, Nankin zajął zwycięzcom ogółem zaledwie 10 dni kampanii. Mimo to bitewna niespodzianka pod Nankinem mocno zirytowała wojska, a bodaj i dowództwo japońskie. Wyładowała się ta irytacja w ataku lotniczym i ogniowym na anglosaskie kanonierki stacjonujące pod Nankinem na Rzece Niebieskiej.

Zatopienie amerykańskiej łodzi artyleryjskiej „Panay” z członkami ambasady na pokładzie wydaje się akcją bardziej odruchową niż celową. Odruch ten musiał mieć jakieś powody miejscowe, nieznane Europie. Kto wie, czy to nie było np. tak, że bitwę o Nankin mogli Chińczycy podjąć w ostatniej chwili, dla-

tęgo, że właśnie od południa, przez Kanton, nadszedł na pozycje chińskie pod Nankinem, większy transport amunicji, pochodzenia anglo-saskiego... To mogło wywołać ze strony japońskiej nie tylko reakcję miejscową, lecz wyjaśniałoby również, ponowną aktualizację japońskich zamierzeń ofensywnych na Kanton, co istotnie ma miejsce. Wszak jeśli Japończycy pragną osiągnąć Chiny w ich nowej stolicy, w samym sercu żółtego koloru, w wielko-przemysłowym Hankou, nad środkowym biegiem Jangtsekiangu, to muszą się liczyć z tym, że transporty materiału wojennego z Kantonu do tego centralnego węzła kolejowego będą docierały prędzej niż do Nankinu; oraz że mogą się nagromadzić w poważnej ilości, zanim Japończycy ponownie odepchną Chińczyków z ich nowych pozycji pod Antung i podejda pod odległe od morza Hankou.

Dramat wojny chińsko-japońskiej rozwija się coraz szerzej i zdaje się wchodzić w stadium rozstrzygające. Stąd jego nacisk na postawę Bolszewii z jednej, zachodnich zaś demokracji z drugiej strony bardzo się wzmógł. Choć Rosja ma wszelkie powody obawiać się Niemiec w Europie, mimo to jednak zaczyna poruszać się ofensywnie z Mongolii. Choćłaż mocarstwa zachodnie mają wszelkie powody do wyteźzonej czujności wobec Niemiec i Włoch w Europie, mimo to jednak musiały zdecydować się ostatnio na przesunięcie poważnej części flot bojowych angielskiej i francuskiej z Atlantyku na Pacyfik, do bazy w Singapoore. Równocześnie większa część floty Stanów Zjednoczonych ma także ulec przesunięciu z Atlantyku na Pacyfik, przez Kanał Panamski, do bazy hawajskiej.

Są to perspektywy, które gdy wejdą w wykonanie, zmieniają układ sił na Dalekim Wschodzie, na niekorzyść Japonii, ale w sposób niebezpieczny, bo nie dycydujący, lecz tylko naprężający sytuację. W Europie te same perspektywy, gdy zostaną zrealizowane, to analogicznie i równie niebezpiecznie naprężyć mogą sytuację, osłabiając mocarstwa zachodnie i Moskwę wobec Niemiec i Włoch. W razie zaś gdyby Japonia podjęła rękawicę zachodu i nawiązała wymianę strzałów z czerwonymi Mongolami Moskwy na lądzie, oraz pancernikami demokracji na morzu, to równowaga sił w Europie tak dalece znów by się przechyliła na korzyść mocarstw centralnych, że rozszerzenie pożogi z nad Pacyfiku na cały świat mogłoby się okazać nie do uniknięcia.

Ta chmura z Dalekiego Wschodu rzuca zatem groźny cień na trwające jeszcze dotąd odprężenie w Europie, jak o tym wspominałem na początku. Nie wiadomo jak pod tym cieniem rozwijać się będą dalsze układy mocarstw zachodnich z Niemcami i czy misja z którą się wybiera do Berlina b. premier francuski Flandin nie okaże się trudniejszą od misji lorda Halifaxa.

Niepewność, która stąd płynie, dotyczy także Polski, po części dlatego, że jej polityka międzynarodowa tym kłopotliwiej oscylować musi między obu blokami mocarstw, trójporozumienia demokracji, oraz trójprzymierza faszystów, im bardziej się napręża ich stosunek wzajemny. Po wtóre zaś dlatego, że nasz wewnętrzny wysilek dynamizacyjny w zakresie gospodarczym, oraz konsolidacyjny w zakresie politycznym, w dużej części opiera się właśnie na koniunkturze międzynarodowej, a zwłaszcza na zainteresowaniu jakie w związku z nią okazują nam mocarstwa zachodu.

Jest to orientacja niebezpiecznie jednostronna. Powierając się jej wyłącznie, gramy *va banque* wraz z całym światem kapitalizmu, liberalizmu i faszyzmu. Uda się czy nie uda uratować pokój na najbliższe lata i podciągnąć niedojrzały kapitalizm wschodnio-europejski do miary proporcjonalnej z zachodem? O to jest tragiczne szczególnie dla Polski pytanie. Może się jednak uda.

Udać by się mogło, uratować pokój na parę lat i zyskać na czasie, gdyby mimo wielkiego znów naprężenia na wschodzie i na zachodzie, osiągnięto jednak jakieś kompromisy. Tylko że przy tak wielkim naprężeniu kompromisy stają się trudniejsze, toteż ich budowa musi być głębsza, fundamentalniejsza. Nie da się oprzeć na samej powierzchni zjawisk, przy pomocy samych tylko pojęć utartych i wytartych metod, „wypróbowanych”, lecz i zużytych. Do takich należą np. „otwarte drzwi” w Chinach, „bezpieczeństwo zbiorowe” w Europie albo „reformy rolne” w Polsce. Należy się też liczyć z prawdopodobnym „faktem dokonanym” wielkiej wagi, jak wewnętrzne załamanie i rozkład Rosji, na skutek wojny z Japonią, albo przeciwnie, bezwładu wobec niej. Zdenerwowanie Kremla z powodu tej perspektywy wyraziło się ostatnio w nowej fali mordów sądowych, wśród których zwraca szczególną uwagę Karachan, zasłużony współpracownik Cziczierina z najczynniejszego okresu zdobywczej polityki Kominternu w Azji, w latach 1924—27,

Odprężenie jeszcze trwa. Ale wulkany znów dymią.

Andrzej Prawdź.

Zażydzenie Warszawy w świetle statystyki.

Główny Urząd Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej rozpoczął niezmiernie wartościową serię wydawnictw, które są oparte na materiale dostarczonym przez drugi powszechny spis ludności z r. 1931. Dotąd ukazały się cztery duże tomy poświęcone War-

szawie,¹⁾ Wilnu, woj. wileńskiemu i woj. śląskiemu. W szeregu bardzo szczegółowych tablic zostały zilustrowane za pomocą liczb stosunki mieszkaniowe, gospodarcze, ludnościowe i zawodowe. Z tej niewyczerpanej kopalni dat zupełnie obiektywnych niniejszy artykuł zamierza wydobyć i zestawzić udział katolickiej i żydowskiej ludności stolicy w życiu społecznym, kulturalnym i gospodarczym. Wprawdzie liczby pochodzące z roku 1931 mogą się wydać nieco przestarzałe, jednakowoż są tak dokładne i wszechstronne, że warto się z nimi zapoznać bodaj dla historycznych względów, a w dodatku można mieć uzasadnione wątpliwości, czy w ostatnich sześciu latach zaszły jakieś poważne zmiany na terenie wyznaniowym Warszawy, wobec czego materiał zebrany przez drugi spis powszechny jest wciąż aktualny i zasługuje na to, żeby go uważać za wykładnik obecnego stanu rzeczy.

Dnia 9 grudnia 1931 ludność „wielkiej” Warszawy wynosiła

	ogółem	katolicy	żydzi	% żydów do ogółu
mieszkańców	1 171 898	783 933	352 659	30,1

Jeżeli zaś uwzględnimy samo miasto bez przedmieść (Żoliborza, Marymontu, Powązek, Koła, Woli, Czystego, Ochoty, Mokotowa, Czerniakowa, Saskiej Kępy, Grochowa, Targówka, Bródna), czyli 7 dzielnic statystycznych, odpowiadających komisariatom policyjnym od I do XVI włącznie, to miasto w ścisłym znaczeniu liczy

mieszkańców	938 077	573 761	336 647	35,9
-------------	---------	---------	---------	------

W omawianej publikacji Gł. Urząd Statystyczny miał szczęśliwy pomysł zamieszczenia tablicy 34, w której mieszkańcy Warszawy zostali sklasyfikowani „według zawodu i stanowiska społecznego oraz wyznania i płci” (str. 227—282). Na podstawie tej tablicy postaramy się ułożyć skalę zawodów według wzrastającego procentu zażydzenia.

1. Poszczególne zawody.

Działem, w którym element polski procentowo jest reprezentowany najliczniej, element żydowski zaś najsłabiej, okazuje się służba domowa (dział J):

czynni pracownicy	57 862	51 146	4 527	6,6
w tym mężczyźni	824	724	52	

¹⁾ Drugi powszechny spis ludności z dn. 9. XII 1931 r. *Miasto st. Warszawa*, Warszawa 1937, Gł. Urząd Statystyczny, seria C, zeszyt 49, s. XXXI i 289.

Nawiasem należy dodać, że wobec 561948 czynnych pracowników całej Warszawy, zawód służby domowej stanowi 10,3% ogółu!

Drugim z kolei najmniej zażydzonym działem jest oczywiście rolnictwo (dział A). Oddaje mu się

	ogółem	katolicy	żydzi	% żydów do ogółu
czynnych pracowników	4671	3981	333	7,1

Idąc dalej według rosnącego procentu żydów do ogółu, spotykamy dział F, służba publiczna i organizacje społeczne, który skupia

czynnych pracowników	32568	28652	2173	7,8
----------------------	-------	-------	------	-----

Sprawiedliwość nakazuje zanotować dwa poddziały o nieco innym ustosunkowaniu wyznaniowym:

Administracja państwowa i sądownictwo	12709	11854	167	1,3
Policja państwowa, straż graniczna i więziennictwo	4474	4315	24	0,5

Za to poddział „adwokatura, notariat, obrońcy sądowi oraz biura porad prawnych i próśb” przedstawia całkiem inny wygląd:

	2011	1218	646	32,2
--	------	------	-----	------

Dział B, ogrodnictwo, rybactwo i leśnictwo wykazuje dużą różnicę w porównaniu z poprzednim działem:

	2200	1648	279	12,7
--	------	------	-----	------

Dział E, komunikacja i transport jest jeszcze więcej zażydzony:

	36447	29988	5225	14,8
--	-------	-------	------	------

Struktura tego działu jest bardzo charakterystyczna. Im bardziej jakiś zawód wymaga przedsiębiorczości, ryzyka, a także im więcej przynosi dochodów, tym liczniej są w nim reprezentowani żydzi. Liczby same o tym mówią:

	ogółem	katolicy	żydzi	% żydów do ogółu
Poczta, telefon, telegraf	5505	5203	5	0,1
Tramwaje i autobusy	5075	4957	9	0,2
Koleje	11138	10707	45	0,4
Żegluga wodna i powietrzna	518	454	29	5,6
Inne rodzaje komunikacji i transportu	13922	8399	5129	36,9

W ogóle, im więcej dział jakiś wykazuje wolnych zawodów, tym liczniej skupia w sobie ludność żydowską. Na wielką skalę objaw ten zachodzi w dziale I, lecznictwo, higiena i zakłady opieki społecznej, w którym jest zatrudnionych

pracowników czynnych	25829	19012	5909	22,8
w tym:				
lecznictwo i profilaktyka	11112	7789	2775	25,0
fryzjerstwo i kosmetyka	5592	3206	2294	41,2
lekarze wolnopracujący	1472	421	976	66,4

Dział H, szkolnictwo, oświata i kultura, stoi prawie narówni z poprzednim działem:

	26199	18103	6411	24,5
--	-------	-------	------	------

Charakterystyczne liczby zawiera poddział „wychowanie i oświata pozaszkolna”:

	7633	4360	2778	36,4
--	------	------	------	------

Dział C, najliczniejszy ze wszystkich, górnictwo i przemysł, w którym na etatyzm stosunkowo mało miejsca zostaje, przynosi dalszą wyżkę procentową na korzyść ludności żydowskiej:

pracownicy czynni	229190	152038	70574	31,2
-------------------	--------	--------	-------	------

I znów można stwierdzić, że im cięższej pracy wymaga jakiś zawód, tym skąpiej zaznacza się w nim udział ludności żydowskiej. Np.:

kowalstwo	866	773	75	8,4
ślusarstwo	5939	4566	1188	20,0
blacharstwo	2326	1446	836	36,0
zegarmistrzostwo i jubilerstwo	2164	698	1430	66,1

Z poszczególnych poddziałów górnictwa i przemysłu przytoczymy bardziej charakterystyczne pozycje:

	ogółem	katolicy	żydzi	% żydów do ogółu
przemysł budowlany	23732	20108	2811	11,9
w tym: szklarstwo	434	98	335	77,2
przemysł poligraficzny	8581	6043	2298	26,8
w tym: introligatorstwo	1359	720	610	44,9
zakłady fotograficzne	685	337	319	46,6
przemysł spożywczy	19081	12395	5915	31,0
w tym: młyny	529	302	198	37,4
rzeźnictwo	4670	2660	1857	39,3
piekarnie	5243	2915	2102	40,1
przemysł drzewny	12266	7992	3994	32,5
w tym: tartaki	547	366	164	30,0
tapicerstwo	1222	626	580	47,5
przemysł papierniczy	3149	1640	1447	46,0
przemysł odzieżowy	61424	28456	32005	52,1
w tym: bieliźniarstwo	7757	3111	4511	58,2
kuśnierstwo	1792	552	1161	64,9
kapelusznictwo, czapnictwo i modniarstwo	3538	1015	2455	69,4
przemysł włókienniczy	11396	4636	6364	55,9
w tym: produkcja pończoch i wyrobów dzianych	6103	1743	4253	69,7
przemysł skórzaný	5567	2144	3274	59,0

Wreszcie dział F: handel i ubezpieczenia osiąga rekord zażydzenia. Jest w nim zatrudnionych

pracowników czynnych	106142	53384	49396	46,5
w tym: handel hurtowy	1478	650	760	51,4
pośrednictwo	4786	1469	3083	64,4
handel wędrowný i domokrażny	5429	830	4566	84,1

2. Robotnicy i przedsiębiorcy.

Ażeby zdobyć właściwy pogląd na strukturę poszczególnych zawodów, należy porównać procentowy udział w nich robotników i przedsiębiorców. W całej Warszawie oddaje się pracy czynnej:

robotników	285923	237544	49550	17,2
przedsiębiorców zatrudniających siły najemne	23082	10228	11799	51,1

Dział A, rolnictwo:

robotnicy	1052	978	42	4,0
przedsiębiorcy zatrud. siły najemne	486	415	30	6,2

Dział B, ogrodnictwo, rybactwo i leśnictwo:

robotnicy	1229	915	77	6,3
przedsiębiorcy zatrud. siły najemne	230	164	51	22,2

Dział C, górnictwo i przemysł:

	ogółem	katolicy	żydzi	% żydów do ogółu
robotnicy	137 790	103 222	31 260	22,7
przedsiębiorcy zatrudn. siły najemne	11 718	5 160	6 029	51,5

Poddział 14—15, przemysł chemiczny:

robotnicy	3 961	3 265	573	14,5
przedsiębiorcy zatrudn. siły najemne	332	115	189	56,9

Poddział 174, tartaki:

robotnicy	387	321	56	14,4
przedsiębiorcy zatrudn. siły najemne	51	10	38	74,5

Poddział 242, młyny:

robotnicy	343	243	79	23,2
przedsiębiorcy zatrudn. siły najemne	20	3	16	80,0

Dział D, handel i ubezpieczenia:

robotnicy	35 531	24 939	9 779	27,6
przedsiębiorcy zatrudn. siły najemne	8 194	2 997	4 825	58,8

Poddział 33, obrót pieniężny:

robotnicy	1 293	1 208	57	4,4
przedsiębiorcy zatrudn. siły najemne	57	15	40	70,2

Dział E, komunikacja i transport:

robotnicy	20 772	19 089	1 084	5,2
przedsiębiorcy zatrudn. siły najemne	545	333	195	35,8

Poddział 41, żegluga wodna i powietrzna:

robotnicy	310	295	4	1,3
przedsiębiorcy zatrudn. siły najemne	9	6	3	33,3

Dział F, służba publ., organizacje społeczne i religijne:

robotnicy	10 050	9 351	470	4,7
przedsiębiorcy zatrudn. siły najemne	265	181	56	21,1

Dział H, szkolnictwo, oświata i kultura:

robotnicy	4 921	4 286	478	9,7
przedsiębiorcy zatrudn. siły najemne	276	144	122	44,2

Poddział 523—524, adwokatura, notariat, obrońcy sądowi oraz biura porad prawnych i próśb:

	ogółem	katolicy	żydzi	% żydów do ogółu
robotnicy	48	43	5	10,4
pracownicy umysłowi	828	561	223	26,9
samodzielni zatr. siły najemne	265	181	56	21,1
samodzielni nie zatr. sił najemn.	870	433	362	41,6

Dział I, lecznictwo i higiena, utrzymywanie czystości oraz zakłady opieki społecznej:

robotnicy	11349	9442	1675	14,4
przedsiębiorcy zatr. siły najemne	1363	828	489	35,9
przedsiębiorcy nie zatr. sił naj.	7020	4250	2517	35,9

Poddział 80, lecznictwo i profilaktyka:

robotnicy	3234	2887	281	9,7
przedsiębiorcy zatr. siły najemne	303	161	127	41,9
przedsiębiorcy nie zatr. sił naj.	2486	1000	1335	53,7

Poddział 802, zakłady lecznicze i służba sanitarna wszelkich instytucyj:

robotnicy	2735	2498	243	8,7
przedsiębiorcy zatr. siły najemne	35	11	24	68,6

Poddział 803, apteki i pracownie analiz lekarskich:

robotnicy	263	253	4	1,5
przedsiębiorcy samodzielni	237	178	44	18,6

3. Zakłady przemysłowe.

Na ostatek porównajmy z sobą zakłady przemysłowe katolickie i żydowskie, pamiętając przy tym, że rubryka wyznań „innych i nie podanych”, której tutaj nie przytaczamy, zawiera sporo zakładów żydowskich a także spółki akcyjne, w olbrzymiej większości opanowane przez żydów.

Z zakładami przemysłowymi spotykamy się tylko w dziale C, górnictwo i przemysł.

Zakłady I—III kategorii:

	Zakłady			% zakładów żydowskich do ogółu
	ogółem	katolickie	żydowskie	
Górnictwo i przemysł	89	34	36	40,4
w tym: przemysł mineralny	7	3	2	28,6
przemysł spożywczy	11	3	5	45,5
przemysł nieokreślony	5	2	3	60,0
przemysł włókienniczy	7	2	5	71,4

Zakłady IV—VII kategorii:

	Zakłady			% zakładów żydowskich do ogółu
	ogółem	katolickie	żydowskie	
Górnictwo i przemysł	8625	1700	1652	45,6
w tym: stolarstwo	158	111	42	26,6
przemysł spożywczy	457	250	151	33,4
młyny	9	1	7	77,8
drukarnie i litografie	199	119	75	38,0
przemysł mineralny	124	67	51	41,1
przemysł chemiczny	208	84	107	50,1
przemysł skórzany	155	57	84	54,2
tartaki	26	7	16	61,5
przemysł papierniczy	112	34	75	67,0
przemysł nieokreślony	38	7	26	68,4
przemysł włókienniczy	336	38	272	81,0
w tym: produkcja pończoch i wyrobów dzianych tkalnie	185 7	16 —	199 7	85,9 100,0

Zakłady VIII i niewiadomej kategorii:

Górnictwo i przemysł	8004	3417	4341	54,2
w tym: przemysł mineralny	289	184	98	33,9
stolarstwo	3065	1864	1139	37,2
przemysł nieokreślony	370	193	158	43,8
zakłady zatr. siły naj.	38	12	12	37,9
zakłady nie zatr. sił naj.	332	181	156	41,0
przemysł spożywczy	3769	1707	1899	50,4
w tym: rzemieślnictwo	1910	966	861	45,1
młyny	89	38	48	53,9
zatr. siły naj.	11	2	9	81,8
nie zatr. sił naj.	78	36	39	50,0
piekarnie	1115	426	638	57,2
zatr. siły naj.	366	104	240	65,6
nie zatr. sił naj.	749	322	398	53,1
drukarnie i litografie	449	185	254	56,6
zatr. siły naj.	187	62	121	64,7
nie zatr. sił naj.	262	123	133	50,1
przemysł włókienniczy	2418	643	1720	71,1
zatr. siły naj.	407	57	345	84,8
nie zatr. sił naj.	2011	586	1375	68,4
przemysł chemiczny	266	61	192	72,2
przemysł skórzany	1434	333	1083	75,5
tartaki	45	5	39	86,7
przemysł papierniczy	512	28	481	94,0

W ostatniej tablicy rzuca się w oczy wybitna przewaga żydowskiego elementu w zakładach zatrudniających siły najemne, które z natury swojej są silniejsze gospodarczo i bardziej dochodowe od zakładów nie zatrudniających sił najemnych.

Ks. Marian Pirożyński C. SS. R.

Książka w Polsce.

W r. 1935 wydano w Polsce 7460 książek w 20.645.700 egzemplarzach. W stosunku do r. 1934 liczba wydanych książek wzrosła więc o 783, spadła natomiast liczba egzemplarzy o 111.400. Zjawisko to, charakterystyczne ze względu na stosunek społeczeństwa do książki, wskazuje że wydawcy musieli bardzo znacznie obniżyć wysokość nakładów, co świadczy wymownie o zubożeniu i kurczeniu się tej warstwy społeczeństwa, która książki nie tylko czyta ale i kupuje.

Pierwsze miejsce wśród książek wydanych zajmuje, jak się należało spodziewać, literatura piękna, obejmuje ona 1490 pozycji. Na drugim miejscu znajdują się dzieła treści religijnej, obejmując 840 dzieł (w tym 88 prac naukowych, 46 podręczników i 706 dzieł popularno-naukowych). Trzecie miejsce zajmują dzieła z dziedziny medycyny, farmacji i weterynarii, razem 817 dzieł (w tym 706 dzieł naukowych, 3 podręczniki i 108 dzieł popularno-naukowych). Tę stosunkowo dużą liczbę dzieł o treści medycznej i farmakologicznej tłumaczyć chyba należy tym, że większość ich to zapewne publikacje reklamujące rozmaite nowe lekarstwa, zaledwie bowiem 30 prac tej treści ma objętość przekraczającą 4 arkusze druku. Pozostałe publikacje — to broszury.

W stosunku do lat poprzednich podniosła się ilość wydanych książek w dziedzinie bibliografii z 70 na 83, filozofii z 100 na 106, teologii z 824 na 840, z matematyki z 57 na 97, z fizyki z 51 na 71, spadła natomiast w dziedzinie geologii z 96 na 89, antropologii z 70 na 53, geografii z 186 na 97, teatrologii z 176 na 155, nauk społecznych z 262 na 216, pedagogiki z 222 na 200, technologii z 267 na 239 i wojskowości z 118 na 97.

Przy wolnym ale stałym wzroście wydawnictw w języku polskim uderza zastój w wydawnictwach w języku ukraińskim, białoruskim, hebrajskim i żargonowym. Wydawnictwa rosyjskie zmalały wybitnie a niemieckie ulegają oczywistym wahaniom, w zależności od nasilenia politycznej propagandy.

W roku	wydano książek w języku						
	polskim	ukraińskim	białoruskim	niemieckim	rosyjskim	hebrajskim	żargon
1931	4502	220	20	125	103	176	327
1932	4573	187	21	78	61	108	222
1933	4687	220	22	92	75	108	237
1934	5679	233	14	79	33	118	281
1935	6184	223	23	167	44	163	318

Na ogólną liczbę 6184 książek polskich było w 1935 r. 5646 dzieł oryginalnych i 538 tłumaczeń, co świadczy o wzro-

ście produkcji oryginalnej. Dośród tych książek było 4080 publikacji, których objętość nie przekracza 4 arkuszy oraz 2104 wydawnictw obszerniejszych. Na 3172 dzieła naukowe wydano 3096 dzieł oryginalnych i 76 tłumaczeń, na 198 pamiętników i reportaży było 156 oryginalnych i 42 tłumaczeń, na 149 zbiorów poezji tylko 11 tłumaczeń na 40 utworów dramatycznych 3 tłumaczenia. Wśród książek dla młodzieży było 311 oryginalnych i 78 tłumaczeń.

W 1935 r. wydano 534 podręczniki, w tym 531 oryginalnych i 3 tłumaczenia (1 odnoszący się do językoznawstwa i 2 do rolnictwa). Na 2264 wydawnictw popularno-naukowych było 2100 prac oryginalnych i 164 tłumaczenia (w tym 90 teolog. i 22 z medycyny). Najwięcej tłumaczono w tym okresie z języka angielskiego (169 książek), niemieckiego (122) i francuskiego (100). Przy czym przetłumaczono z angielskiego 134 powieści, 7 prac naukowych i 28 popularno-naukowych w 481.000 egz.; z niemieckiego 71 powieści, 22 prac naukowych i 29 popularno-naukowych w 273.000 egz. i z francuskiego 41 powieści, 6 prac naukowych, 2 podręczniki i 12 pop.-nauk. w 105.000 egz.; z języka rosyjskiego przetłumaczono 61 dzieł, z włoskiego 20, z łacińskiego 12 z żydowskiego 10 (7 powieści, 1 pracę naukową i 2 pop.-naukowe w 10.000 egz.), z czeskiego 8, hebrajskiego i węgierskiego po 6, z norweskiego 5, z greckiego 4, z hiszpańskiego i holenderskiego po 3 i z duńskiego 2.

Firmy księgarskie wydały 2223 dzieł w ogólnym nakładzie 8.652.900 egzemplarzy, władze i urzędy 467 dzieł w 1.433.000 egz. władze i urzędy duchowne 176 dzieł w 634.200 egz., organizacje społeczne 943 dzieł w 1.980.600 egz., przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe 1669 dzieł w 1.133.600 egz., redakcje czasopism 1711 dzieł w 835.400 egz., osoby prywatne i autorzy 431 dzieł w 687.0000 egz., szkoły prywatne 12 dzieł w 16.300 egz., różni nakładcy 229 tys. dzieł w 207.800 egz. Z zasiłku państwowego korzystało 204 dzieł, wydanych w 186.900 egz. Nie podano nakładcy w 1184 dziełach, wydanych w 5.797.700 egz.

Na 219 pozycji książek polskich, wydanych poza granicami Polski, przypada 113 na ZSSR, po 3 na Czechosłowację i Gdańsk, po 2 na Litwę i Niemcy i po 1 na Brazylię, Łotwę i Stany Zjednoczone.

Z języka polskiego przetłumaczono w 1935 r. 92 książki; w tym 13 na język włoski, 12 na język rosyjski, 11 na język niemiecki, 9 na język litewski, 7 na chorwacki, 7 na czeski, 6 na francuski, 5 na angielski, 4 na hiszpański, 3 na holenderski, szwedzki i ukraiński, po 2 na łotewski i słoweński oraz po 1 na grecki, słowacki i żydowski żargon.

Przyjmując, że dane, zebrane przez Bibliotekę im. Józefa Piłsudskiego są niekompletne, gdyż nie wszystkie dzieła, wydane w Polsce docierają do niej, mimo istniejącej ustawy, trzeba pod-

kreślić, że statystyka druków zawiera bardzo wiele pouczającego materiału.

Sam fakt, że mimo znacznego wzrostu ilości wydanych książek, zmalała znacznie ilość wydanych egzemplarzy, świadczy dowodnie, że nożyce społeczne bardzo się już zwariły, że coraz mniej w Polsce ludzi, którzy mogą sobie książkę kupić, ale ci, którzy je kupują, powiększają stale swoje biblioteki.

Dalej rozwiewa się utarta opinia, że większość wydawanych książek w Polsce to tłumaczenia, bowiem tylko niespełna 10% książek wydanych w 1935 r. należy do działu tłumaczeń; wreszcie podkreślić należy znamienity fakt, iż duża ilość, bo przeszło 13% wydanych książek posiada treść religijną.

E. S.

WACZELNY REDAKTOR: KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.

Druk ukończono dnia 3 stycznia 1936 r.

Burżuazja, proletariat i ustrój.

Ideologie, które rozdzierają między sobą ginący świat kapitalistyczny są jedynym dlań narzędziem orientacji w zakresie jego tragicznego położenia. Trudno się wobec tego dziwić, że tak mało on o nim naprawdę wie. Ideologie te bowiem, wszystkie trzy, zarówno liberalna, jak obie totalistyczne, wyrosły na gruncie elementarnych zjawisk społecznej walki o byt. Dają więc wyraz przede wszystkim temu, co pewne grupy społeczne boli, czego one chcą lub co odpowiada ich interesom. Dorabiają teorię do potrzeb i dążeń, przedstawiają rzeczywistość w prymitywnych uproszczeniach, nie dostrzegają jej istoty, lub co gorsza deformują ją. Dotyczy to najstarszej doktryny liberalnej wywodzącej się jeszcze z Jana Jakuba Rousseau i Adama Smith'a, dotyczy niemniej płytkiej choć najnowszej, hitlerowskiej teorii walki ras, dotyczy także „nauki” Karola Marxa o walce klas. Konsekwencje błędów marksizmu sięgnęły może najdalej i najbardziej utrudniają zarówno orientację w naturze obecnego przesilenia, jako też odkrycie właściwych z niego dróg wyjścia. Pozwolę sobie przeto zestawić z rzeczywistością socjalistyczny pogląd na zjawisko bogactwa, ubóstwa i wyzysku oraz teorię walki klas.

Teoria wyzysku.

Antagonizm pomiędzy bogatymi i ubogimi jest „stary jak świat”. Ponoć już w Grecji, w okresie hellenistycznym, walka klas na tym tle sięgała takiego zdziczenia, że w jakiejś rewolcie zwyciężski proletariat Efezu czy Miletu dokony-

wał egzekucji na pojmanych burżujach, tratuując ich masowo wołami. Pomysł, nie ustępujący świadomej inwencji, nowoczesnym metodom czerwonych czerezwyczajek w Moskwie lub Hiszpanii. Nie o to jednak chodzi.

Kontrast między bezmiarem nędzy mas ludowych, a nadmiarem zbytku w jaki opływają górne sfery warstw posiadających jest zjawiskiem bez wątpienia niemoralnym, prowokującym poczucie sprawiedliwości. Jest to też objaw społecznie szkodliwy: 1^o dlatego, że nie tylko nędza lecz także zbytek sam przez się deprawuje i zwyrodnia dotknięte jedną lub drugą anomalią grupy społeczne; 2^o że w drugim niejako rzucie deprawuje obie klasy, wzniecając między nimi nienawiść i zaciętą walkę, oraz wreszcie 3^o, że ta walka rozbija i osłabia zarówno społeczeństwa jak ich narodowe gospodarstwa.

Jeżeli jednak tak jest, jeżeli to złowrogie zjawisko skrajnych kontrastów w podziale praw do konsumpcji dóbr dawało się już we znaki starożytnej Grecji i Rzymowi, a jeszcze groźniej zwisa nad dzisiejszym światem kapitalistycznym — to jednak stąd nie wynika, ażeby nie było również rzeczą szkodliwą interpretować to zjawisko wyłącznie ze stanowiska interesów jednej z klas toczących między sobą walkę. Pewien pozór obiektywizmu i pewną dozę słuszności zawierają wprawdzie znane argumenty liberalnej szkoły ekonomicznej o korzyściach wolnej konstytucji itp. dla rozwoju gospodarstw narodowych. Jest to jednak słuszne głównie tylko w odniesieniu do liberalizmu jako ustroju przeszłości, wtrąconego obecnie w nieuleczalny przekwitowy kryzys. Podobnie też ze strony proletariackiej dążność do sprawiedliwości w podziale dóbr, nosi w zasadzie charakter społecznie dodatni. Poza tym jednak doktryna marksistowska, mimo całego swego materializmu i pozytywizmu, posiada aż nazbyt powierzchowny punkt wyjścia. W rozwiniętej stąd perspektywie odbiegł też Marx od rzeczywistych dróg rozwoju społecznego niezmiernie daleko.

Prymitywne, elementarnie ludowe odczucie różnicy między bogactwem a ubóstwem, przenosi marksizm w płaszczyznę industrializmu. Stąd wyprowadza swą podstawową teorię wyzysku robotnika przez kapitalistycznego pracodawcę.

Pracodawca nagłony konkurencją innych przedsiębiorstw dąży do jak najmniejszych kosztów produkcji, ewentualnie też do konkurencyjnie niskich cen towaru. W tym celu wywiera presję na robociznę, spycha ją na poziom niższy nawet od *minimum* egzystencji, osiąga wysokie zyski i gromadzi coraz większe kapitały; zwłaszcza jeżeli równomiernie rozszerza się zbyt na wytwarzany towar. Z tego schematu wywodzi następnie socjalizm znaną perspektywę ewolucyjno-rewolucyjną: „nadejdzie czas”, gdy z jednej strony w rękę nielicznej burżuazji skupią się tak ogromne masy kapitału, z drugiej zaś powstaną tak niezmierne rzesze wyzyskanego do cna proletariatu, że potęgą swej, bojowo zorganizowanej masy, podejmie on i przeprowadzi „rewolucję społeczną”. W jej wyniku kapitał zostanie wywłaszczony, upaństwowiony i oddany na użytek najemników; przede wszystkim oczywiście na użytek spożywczy, przez zwyżkę płac zarobkowych.

Prymitywy.

Doktryna ta odbija rzeczywistość niby realnie, ale tylko częściowo, wykoszlawiając ją przy tym subiektywizmem jak w krzywym zwierciadle. Stwierdzić to można zarówno odnośnie do jej punktu wyjścia, którym jest stosunek bogacza do nędzarza, kapitalisty do najemnika, jak wobec całokształtu narodowego gospodarstwa i wobec perspektywy ewolucyjno-rewolucyjnej. Najmocniejszą tej doktryny stroną, tą, która jej zapewniła popularność wśród mas i podtrzymuje ją po dziś dzień, stanowi prymitywizm punktu wyjścia, zbieżny z namiętym odczuciem krzywdy wyzyskiwanego najemnika.

Prymitywizm ten zresztą daje się zauważyć nie tylko ze stanowiska proletariatu. Również burżuazja nie inaczej pojmuje swoje zyski i dążność do mnożenia swych bogactw. Te dwa wrogie stanowiska wiąże indywidualistyczny charakter właściwego liberalizmowi naczelnego impulsu działalności gospodarczej: żądzy zysku i dobrobytu osobistego. Burżuj pragnie mnożyć swój kapitał w nieskończoność, choćby nawet w drodze wyzysku najemnika. Najemnik zaś pragnie jak najmniej pracować i jak najwięcej zarabiać, oburza się więc

gdy burżuj stara się go zmusić, by jak najwięcej pracował a jak najmniej zarabiał. Równocześnie proletariusz zazdrości burżujowi gromadzonych bogactw i chętnie słucha socjalistycznego agitatora, który mu tłumaczy, że zysk przedsiębiorcy jest rabunkiem dóbr wytworzonych przez robotnika i jemu tylko przynależnych.

Z tego tak rozpowszechnionego nastawienia umysłów, zarówno burżuazji jak proletariatu, rodzą się pewne, elementarne ujęcia kwestii społecznego podziału dóbr, także na tle jej współczesnych zaburzeń. W ogłoszonych niedawno wyjątkach z pamiętników bezrobotnych można było czytać takie aforyzmy:

Zostaliśmy pozbawieni środków do życia dlatego, że inni zgromadzili ich za dużo. Nie mamy nic do stracenia. Gotowi jesteśmy walczyć na śmierć i życie z kapitałem i jego pachołkami, którzy oto wyrzucili nas, wynędzniałych na bruki miast. Czas najwyższy, ażeby po całym świecie rozbrzmiał potężny zew wzywający proletariat do powszechnej rewolucji socjalnej.

Szczególnie znamiennej jest wypowiedź o „pozbawieniu środków do życia dlatego, że inni zgromadzili ich za dużo”. Stwierdza ona bijący w oczy pozor, że skoro jedni posiadają dóbr o wiele więcej niżli im potrzeba do życia, inni zaś przeciwnie zbyt mało, to przyczynę zła stanowi właśnie ten nierówny podział. Naczelnym przeto postulatem sprawiedliwości społecznej, jedynie zdolnym przywrócić równowagę praw do życia między bogatymi a ubogimi, staje się podział bardziej równomierny tak bogactw, jak dochodów. Na podstawie takiej oceny rzeczywistości zostały też zdawna uformowane i czynne są po dziś dzień fronty bojowe w społecznej walce klas.

Zagadnienie to jednak nie jest tak proste jakim się wydawało i dotąd powszechnie wydaje. Nie może być traktowane indywidualistycznie. Już przed ostatnią wielką wojną prymitywowi o przesadnym indywidualnym bogactwie jednych a nędzy innych, przeciwstawiono godny uwagi kontrprymityw w postaci następującej anegdoty. Do paryskiego Rotszylda zgłosił się rzekomo ideolog socjalistyczny i, w duchu maksymy Proudhon'a *la propriété c'est le vol*, jął Rotszyldowi przekładać jaką potworną niesprawiedliwością jest

jego bogactwo wobec tego, że większość ludu francuskiego nie posiada nic, lub co najwyżej drobne kapitały i warsztaty. Ideolog zapewnił bankiera, że cierpliwość ludu francuskiego już się wyczerpuje, że rewolucja socjalna stoi u drzwi, oraz że Rotszylda w pierwszym rządzie wyniesie ona na latarnię. Przeciwnie jednak Rotszyld może się ocalić, a nawet zaskarbić względy proletariatu, jeśli da dobry przykład innym burżujom i dobrowolnie zapoczątkuje swoim majątkiem *partage universel*. Rotszyld wysłuchał tej przemowy spokojnie, a co dziwniejsza oświadczył, że się z jej wnioskiem zgadza i natychmiast się doń zastosuje. Wezwał swego prokurenta i zapytał go jak wysoko szacuje ogólną wartość wszystkich jego dóbr i kapitałów. Okazało się, że ma trzysta kilkadziesiąt milionów franków. Ponieważ ludność Francji podówczas liczyła trzydzieści kilka milionów głów, przeto na każdego Francuza wypadało około 10 franków z bogactw rotszyldowskich. Tę właśnie kwotę Rotszyld polecił wypłacić natychmiast osobiłwemu interesantowi i wziąć od niego pokwitowanie, że się uznaje całkowicie zaspokojonym, albo też wyrzucić go za drzwi.

Powyższa anegdota przedstawia „odwrotną stronę medalu” w kwestii społecznego podziału dóbr. Przedstawia ją niemniej trafnie i realnie, choć w takim samym karykaturalnym uproszczeniu, jak to czyni ze stanowiska proletariackiego wypowiedź bezrobotnego pamiętnikarza lub anegdotycznego zwolennika *du partage universel*. Treść tej anegdoty można jeszcze bardziej skonkretyzować i zbliżyć do zainteresowań socjalizmu, jeśli się ją zastąpi przykładem dotyczącym stosunku wielkiego kapitału nie do całej ludności kraju, lecz do własnych najemników we własnych przedsiębiorstwach.

Multimilioner amerykański zatrudnia w swych zakładach przemysłowych 20 tysięcy robotników. Zakłady przynoszą mu rocznie zysku netto 40 milionów dolarów. Gdyby multimilioner rzekł się tego dochodu na rzecz swoich robotników, to każdy z nich zarobiłby rocznie o jakieś 2 tysiące dolarów więcej niż zarabiał dotąd. Nawet przy wysokich płacach robotniczych amerykańskich taka ich podwyżka byłaby nie do pogardzenia, podniosłaby zarobki może o 50

może nawet o 100%. Tylko że socjalne posunięcie bogatego fabrykanta mogłoby wprowadzić rozentuzjazmować jego robotników, ale w perspektywie interesów ogółu robotniczego, a zwłaszcza ogółu ludności kraju i całokształtu gospodarstwa narodowego przedstawiałoby się o wiele problematyczniej. Gdyby tę metodę zastosowano powszechnie do wszelkiej pracy najemnej we wszelkich przedsiębiorstwach, to podniósłby się wprowadzić dobrobyt proletariatu, wzmogłoby się spożycie dóbr z jego strony, ale zarazem to wzmożone spożycie pochłonięłoby wszystek przyrost nowego kapitału w kraju i uniemożliwiłoby zarówno remont i rozszerzenie istniejących, jak i powstawanie nowych przedsiębiorstw. Konieczne zaś ono jest ze względu na przyrost ludności i rosnący stąd podaż pracy oraz popyt na wytwarzane przez nie dobra. Taki horoskop mógłby się okazać dla ogółu ludności i całokształtu narodowego gospodarstwa wręcz katastrofalnym, gdyby nie to, że zapewne wysoko płatni robotnicy zaczęliby ze swej strony kapitalizować swoje dochody w oszczędnościach, a za pośrednictwem banków inwestować w przedsiębiorstwach. Ponieważ zaś różnie by się i robotnikom i tym ich nowym przedsiębiorstwom powodzić mogło, przeto po pewnym czasie ów nowy podział, w duchu *partage universel*, wytworzyłby ponownie różnice majątkowe; o ile by całość życia gospodarczego nie została gruntownie przeorganizowana i poddana systematycznej, planowej regulacji.

Przewrót społeczny wdrożony jednostronnie ze stanowiska interesów konsumcyjnych „świata pracy“, doprowadziłby tylko do przefasowania tytułów własności na niekorzyść burżuazji istniejącej, na korzyść zaś nowej, która by powstała. Nasuwa się stąd zasadniczej wagi wniosek, że w dążeniach do naprawy ustroju społecznego nie należy przeceniać momentu praw do spożycia, wobec konieczności równoległego rozwoju produkcji dóbr, oraz nieodzownej w tym celu kapitalizacji. Otóż właśnie socjalizm przecenia doniosłość konsumcji, gdy kapitalizm, odwrotnie, oszukuje się wyłącznie produkcją, niedoceniając i upośledzając konsumcję.

Zbytek i sprawiedliwość.

Marksiści więc akceptują w teorii i akcentują w demagogii częściowo słuszny etycznie, lecz bardzo jednostronny ekonomicznie punkt widzenia robotnika wobec przedsiębiorcy. Robotnik spożywa z reguły cały swój dochód, który mu zresztą często nie wystarcza na zaspokojenie istotnych potrzeb. Robotnik z drugiej strony widzi, że jego pracodawca żyje na stopie względnie lub bezwzględnie luksusowej. Robotnik czuje się pokrzywdzonym i tę swoją krzywdę przypisuje zagarnięciu lwiej części zysku przedsiębiorstwa przez jego właściciela. Jeśli te zyski wynoszą np. 40 milionów dolarów rocznie, to robotnikowi się wydaje, iż fabrykant tonie w przepychu proporcjonalnym do tej sumy, że tak jak on robotnik, tak również przedsiębiorca wszystko co zarobił — spożywa. Jeśli nawet inteligentniejszy robotnik wie, że tak nie jest, to go to w każdym razie nie wiele obchodzi i żadnych stąd wniosków społecznych nie wyprowadza. A właśnie te wnioski wysnuwane być powinny, gdyż posiadają one ogromną wagę społeczną, ze stanowiska gospodarstwa narodowego, jego ustroju i tego ustroju przebudowy.

Jeśli wyjątkowo bogaty przemysłowiec otrzymuje ze swego przedsiębiorstwa roczny zysk netto 40 milionów dolarów, to przy najwyższym przepychu stopy życiowej (który w tej sferze bynajmniej nie stanowi reguły) zdoła skonsuować 1 lub 2 miliony dolarów rocznie. Ta jedynie kwota może być uzasadnionym przedmiotem zatargu o sprawiedliwość społeczną. Jeżeli tę kwotę nawet w jej wygórowanym szacunku 2 milionowym, podzielimy między 24 tysiące robotników owego przemysłowca to indywidualna „poprawa bytu” każdego z nich wyraża się w postaci 200 dolarów rocznie, czyli kilkunastu dolarów miesięcznie. To znaczy praktycznie tyle co nic. Rzeczywistość społeczna rozpatrywana od tej niezmiernie ważnej strony okazuje się więc także w sferze stosunku pracodawcy i pracobiorcy całkowicie zgodna z anegdotą o Rotszyldzie. Odpowiada też tej rzeczywistości ciężar gatunkowy przemysłu fabrykującego przedmioty zbytku. W całokształcie obrotu wytwórczo-spożywczego gospodarstw narodowych stanowi on odsetek wręcz znikomy. Tym bardziej, że burżu-

azja jest nieliczna, wszak w Stanach Zjednoczonych tylko 20% ludności posiada więcej niż 50 tysięcy dolarów majątku.

Coż czyni bogaty przemysłowiec z tymi 38 milionami dolarów swego rocznego dochodu, których żadną miarą skonsumować nie jest w stanie? W Ameryce, która znajduje się w stadium przekwitowym kapitalizmu i cierpi na typową tego przekwitu chorobę, na nadmiar kapitału w stosunku do potrzeb krajowej produkcji, bogaty przemysłowiec może się nieraz znaleźć w kłopotcie co do dysponowania swymi dochodami. Może być zmuszony inwestować je pod względem gospodarczym nieprodukcyjnie w fundacjach filantropijnych lub kulturalnych. Tam wszakże gdzie jeszcze nie dała się odczuć schyłkowa klęska nadmiaru kapitału, tam bogaty przemysłowiec z reguły postępuje inaczej. Przyrost wolnego zysku ze swego przedsiębiorstwa zaprzęga do dalszej pracy nad rozszerzeniem produkcji dóbr i dalszym na tej drodze mnożeniem zysków, czyli zasobów rozporządzalnego kapitału. Przemysłowiec inwestuje więc swój kapitał już to rozszerzając własne przedsiębiorstwo i powiększając jego zdolność wytwórczą, już to przekazując wolny kapitał bankom, które go z kolei kredytują na inwestycje w innych przedsiębiorstwach, lub na zakładanie przedsiębiorstw nowych. W ten sposób w gospodarstwach narodowych znajdujących się jeszcze na kapitalistycznym dorobku, potrzebujących dalszego ilościowego i jakościowego rozwoju produkcji, wysokie dochody bogaczy (choćby nawet gromadzone były częściowo kosztem wyzysku czyli niedokonsumcji robotniczej) pełnią w całokształcie życia gospodarczego funkcję społeczną dlań nieodzowną i na wskrós dodatnią. Stwarzają nowe warsztaty pracy i źródła zarobków, powiększają równomiernie zdolność spożywczą ludności i podaż dóbr dla jej zaspokojenia za pomocą powiększonej produkcji.

Rządy burżuazji.

Stosunek bogactwa do ubóstwa jako zjawisko społeczne nie jest więc bynajmniej sprawą tak prostą, by ją można było trafnie ocenić ze stanowiska subiektywnych

żądź spożywczych, które stanowią siłę pędną życia gospodarczego przy kapitalizmie, a zarazem punkt wyjścia do walki klas o wymiar praw do udziału w spożyciu. Społecznie doniosłą funkcję burżuazji stanowi nie to, że ów wymiar praw do spożycia przysługuje jej w stopniu nieograniczonym, lecz to, że nie będzie w stanie tych swoich praw wykorzystać materialnie, wykorzystuje je jednak w postaci innego społecznego przywileju. Tym przywilejem jest władza. Burżuazja dysponuje kapitałami, rozwija produkcję i organizuje ją. Sprawuje zatem rządy ekonomiczne nad kapitalistycznym gospodarstwem narodowym. Jak je sprawuje, czy tak dobrze jak sama twierdzi, czy tak źle jak utrzymują socjaliści i jak o tym świadczyć się zdaje zorganizowana przez nich obrona ludowych praw do spożycia za pomocą walki klas?

Sądzę, że ani jedno, ani drugie. Ewolucja rzeczywistości społecznej w epoce libero-kapitalizmu, rozwinęła się w wielkiej mierze wbrew zasadom i przewidywaniom tak Karola Marxa jak i Adama Smitha. Nie mogło być inaczej ponieważ zarówno jeden jak drugi interpretowali rzeczywistość społeczną jednostronnie, choć z odwrotnych stanowisk. Ani Marx ani Smith nie dostrzegli podstawowych tej rzeczywistości założeń ewolucyjnych.

Założenia ujawniły się jednak wyraźnie już w wielkiej rewolucji francuskiej. Sztywne ramy ustrojowe stanowego absolutyzmu, oraz kumulacja lwiej części majątku narodowego Francji w rękach arystokracji, która nim administrowała niedbale i niedołącznie wtrąciły w skrajną nędzę silnie w poprzednich stuleciach rozrodzone masy ludowe. Nie mogły one już ani utrzymać się przy życiu, ani tym bardziej rozmnażać przy starym ustroju. Możliwość ta powstała dopiero dzięki przewrotowi liberalnemu, ponieważ równością praw, wolnością konkurencji otworzył on szerokie pole dla burżuazyjnej inicjatywy w zakresie organizacji produkcji, oraz uruchomił masową podaż rąk do pracy. W nowych warunkach rozgorzała nieokiełznana, ekonomiczna, tak indywidualna, jak zbiorowa walka o byt. Jej wszakże zasadnicze tło i ośrodek stanowił powszechny, maksymalny wysiłek społeczny w kierunku masowego wytwarzania dóbr. Temu

celowi służyła zarówno burżuazyjna inicjatywa wytwórcza i walka konkurencyjna między organizatorami produkcji, jak wyteżona w kierunku wynalazków działalność wiedzy technicznej, jak niemniej również *maximum* wydajności pracy, przy *minimum* zarobkowych praw do spożywania jej owoców, te bowiem właśnie warunki burżuazja usiłowała narzucić wyzyskiwanemu przez nią proletariatowi.

To był pierwszy okres libero-kapitalizmu. Przewodziła mu niepodzielnie ekonomika Adama Smitha i zasada *laissez-faire, laissez-passer*. Niczym jeszcze nie skrepowana wolna konkurencja między przedsiębiorcami, oraz niczym nie skrepowany ich stosunek do robotnika nadawały gospodarczej ekonomicznej walce o byt w tym okresie charakter wybitnie indywidualistyczny. Wtedy to stosowano w Anglii słynny *sweating system* „system pocenia” wolno-najemnych, nieorganizowanych robotników 15 lub nawet 18 godzinnym dniem pracy.

Okres ten był wolnościową reakcją przeciwko właściwej poprzedniemu stuleciu skrajnej reglamentacji gospodarstwa narodowego starymi przywilejami stanów, gmin i cechów, nieprzystosowanymi do nowych konieczności liczebnie rozrosłego życia. Forsownym wysiłkiem wytwórczym okres ten odparł niebezpieczeństwo masowego wymierania ludności podczas głodów, nawiedzających co kilka lub kilkanaście lat Francję *ancien regime'u*. Młody, indywidualistyczny kapitalizm wyzyskiwał pracę wolno-najemną niemiłosiernie, ale ostatecznie nie tępił już wprost życia ludzkiego, jak ustrój XVIII wieku. Owszem potrzebował masowej podaży rąk do pracy i żywił je, jako swój inwentarz roboczy. Nie tępiąc, dopuszczał tym samym możliwość rozmnażania. Ludność Europy zliberalizowanej wzrastała szybko. Podaż rąk do pracy również. Równolegle z wzrostem tym podaży pracy ujawniała ona umiała tendencję do spadku w cenie, czyli do coraz sroższego wyzysku ze strony przedsiębiorców. Wyzysk ten groził przekroczeniem granic wytrzymałości ludzkiej, oraz nawrotem do tępienia życia jak za ustroju przedrewolucyjnego.

Wtedy zrodziła się reakcja kolektywistyczna. Wdrożył ją Karol Marx proklamując walkę klas. Natchnienie czerpał

z angielskiego „systemu potowego”. Burżuazja zrabowała proletariatu w dziedzinie społeczno-gospodarczej owoce wielkiej rewolucji. Proletariat musi je odzyskać występując do walki w zbiorowej organizacji o upaństwowienie na jego rzecz kapitalistycznych środków produkcji.

W rzeczywistości, przy wciąż wzrastającej liczbie zaludnienia i zaostrzającej się skutkiem tego walce o byt, jednostka spośród proletariatu stawała się zbyt słabą, żeby się ostać w warunkach absolutnego liberalizmu, czyli przy niczym nieograniczonym, wolnym najmie pracy. Na grunt przeto niezmiernie płodny padła marksistowska inicjatywa zrzeszania sił proletariatu dla walki klas w związkach zawodowych robotniczych.

Od czasów manifestu komunistycznego minęło jeszcze parę dziesiątków lat nim związki zawodowe w pełnej zbroi weszły w skład ustroju kapitalistycznego. Z chwilą jednak gdy się to stało w zjednoczonych Niemczech, libero-kapitalizm wszedł w drugi wielki okres swej ewolucji ustrojowej. W ślad za związkami robotniczymi, wobec których indywidualni przedsiębiorcy znaleźli się teraz w pozycji strony słabszej, burżuazja poczęła również reorganizować się kolektywistycznie w związkach pracodawców, celem skuteczniejszej walki klasowej z proletariatem. Co więcej przedsiębiorca indywidualny poczynął się stawać coraz widoczniej zbyt słabym nie tylko w walce klasowej z proletariatem, lecz także w walce wolno-konkurencyjnej z innymi przedsiębiorcami, która się zaostrzała równolegle ze wzrostem produkcji i podaży dóbr. Stąd początek zrzeszeń kapitalistycznych o charakterze wytwórczym, czyli ewolucja kolektywistyczna w zakresie samej organizacji wytwórczości. To trusty i koncerny wielko-przemysłowe. Równolegle przyrost kapitałów drobnych koncentrować się począł dla celów wytwórczych w upowszechnionej akcyjnej formie przedsiębiorstw.

W ten sposób pod koniec tego drugiego okresu kapitalizmu, w przeddzień wielkiej wojny, przy współdziałaniu także państwowych ustawodawstw socjalnych, ustrój odchylił się już bardzo znacznie od liberalnego, indywidualistycznego *laissez-faire*'yzmu Adama Smith'a bynajmniej jednak przez

to nie pojednał się z doktryną Karola Marxa. Przeciwnie wszedł z nią w ostrą kolizję zadając kłam przewidywanej przez marksizm przewadze nie tylko liczebnej, lecz i organizacyjnej proletariatu w walce klas ze skoncentrowanym w wielkich fortunach kapitałem burżuazyjnym. Kolektywizacja sił bojowych w walce klas nastąpiła nie tylko po stronie proletariatu, lecz niemniej także po stronie kapitału wielkiego, a w pewnej mierze i drobnego.

Poważne te zmiany powstawały organicznie pod naciskiem konieczności rozwojowych życia. Coraz potężniejszy wzrost zaludnienia, oraz równoległy wzrost produkcji i konsumpcji potęgował obrót do nieznanej przedtem skali, oraz komplikował go, czyniąc równocześnie z jednostki nie tylko pracującej, lecz także posiadającej, drobny pyłek, niezdolny do walki o byt w tak gigantycznie masowych wymiarach. Masa samym swoim ciężarem i rozmachem zagroziła więc zniszczeniem jednostki, zmuszając ją do łączenia się w grupy związane wspólnością interesów i dążeń, oraz koordynujące je. Zjawisko to z samej natury swojej poczęło zarazem coraz silniej ograniczać i korygować liberalną wolną grę ekonomiczną, równoległe od strony wolnonajemstwa pracy (zawodówki robotnicze) wolnej konkurencji wytwórców, oraz automatycznej regulacji podaży i popytu.

W ten sposób już przed wielką wojną pierwotny, klasyczny liberalizm oparty na inicjatywie i wysiłku jednostki, gospodarującej wyłącznie na swój własny rachunek dla zysku osobistego, regulujący zaś całokształt gospodarki społecznej automatyzmem wolnej gry tych indywidualnych poczynań, ustąpił miejsca stadium przejściowemu do ustroju opartego na inicjatywie i wysiłku grupowym, oraz na ich planowości ograniczającej lub usuwającej automatyzm.

Można by to stadium nazwać pewnego rodzaju korporacjonizmem organicznie wyłaniającym się z odmetów coraz sroższej gospodarczej walki, nie tyle jednak marksistowskiej walki klas, ile ogólnej, międzygrupowej gospodarczej walki o byt. Korporacjonizm to pierwotny, dziki, bojowy, podobnie jak planowość jego działań, służących wyłącznie interesom grupy, a zwalczający interesy grup innych, orientowane odmiennie.

Rozkład kapitalizmu.

To był drugi okres ewolucyjny libero-kapitalizmu. Trzeci rozwinął się po wielkiej wojnie, ujawniając się ze szczególną wyrazistością w światowym przesileniu gospodarczym. Przemiany ustrojowe okresu drugiego kształtowały się w związku z nieustannym rozrostem produkcji, równoległym do wzrostu zaludnienia. U startu epoki kapitalistycznej wzrost produkcji znajdował się w tyle poza wzrostem zaludnienia. Ażeby mu sprostać musiał z nim podjąć forsowny wyścig wysiłku wytwórczego. Po wielkiej wojnie, w najbardziej w swym rozwoju posuniętych, wielko-kapitalistycznych i silnie uprzemysłowionych mocarstwach zachodnich, nastąpił w tym względzie przełom niezmiernej doniosłości o daleko sięgającej perspektywie następstw. Dzięki technice produkcja wygrała ostatecznie swój wyścig ze wzrostem ludności, tak zaciekle prowadzony w ciągu całych 150 lat epoki libero-kapitalizmu. Zdolność wytwórcza zachodnich gospodarstw narodowych, zwłaszcza Ameryki, przerosła ich zdolność spożywczą. Przerosła również chłonność konsumcyjną rynku światowego ciasnota, która ujawniła się już w przededniu wielkiej wojny i wojnę tę spowodowała. Po wyrównaniu zaś „dziur w produkcji“ przez nią dokonanych, ta ciasnota odżyła „jako klęska nadmiaru w powojennym wielkim kryzysie.

Ten niebywały w dziejach fakt, że zdolność wytwórcza przewyższyła zdolność spożywczą, postawił w zupełnie nowej sytuacji i wobec zupełnie nowych zadań zarówno stosunek bogactwa do ubóstwa, jak marksistowską walkę klas, jak wreszcie istotniejsze odeń zjawisko walki między grupami społecznymi, zorganizowanymi korporacyjnie pod innym kątem niżli stosunek kapitału i pracy, burżuazji i proletariatu. Ten stosunek zachował wprawdzie nadal swoją moc jątrzącą i społecznie destrukcyjną, owszem powiększył ją nawet w związku z komunizmem — jednakże, przynajmniej na Zachodzie, tę swoją moc czerpie już wyłącznie tylko z prowokującej powierzchni zjawisk, z bijącego w oczy kontrastu między bogactwem a nędzą.

Kontrast ten jest niewątpliwie poważnym uchybieniem przeciwko sprawiedliwości społecznej, aczkolwiek ani daw-

niej, ani zwłaszcza obecnie nie stanowi źródła, lecz tylko jego objaw. Objaw ten mać pokój społeczny na tyle złośliwie, że wydawałoby się słusznym, ażeby w przebudowanym ustroju przyszłości został ograniczony ustawowo na wzór *leges sumptuariae*, praw przeciw zbytkowi, stosowanych w przeszłości.

Ratunek ginącego świata nie od tego jednak zależy. Przeciwnie wielko-klasowa demagogia rozwijana na tym tle ciężką stanowi przeszkodę, bo odwraca uwagę od właściwego kierunku i zadań przebudowy. Jeżeli w jakimś kraju ujawnił się nadmiar dóbr i kapitałów w stosunku do jego potrzeb i jeżeli nie znajduje on dostatecznego ujścia na rynku międzynarodowym, jeżeli skutkiem tego powstaje w tym kraju zastój i bezrobocie, zaostrzając tym samym jątrzący wpływ kontrastu między bogactwem a nędzą, to wynika stąd, że zagadnienie naprawy nie zawiera się bynajmniej w stosunku burżuazji do proletariatu, lecz w płaszczyźnie znacznie szerszej i na poziomie głębiej sięgającym do podstaw ustroju. Wynika stąd, że sama zasada ustroju kapitalistycznego, sama istota rządów ekonomicznych burżuazji wymaga zmiany. „Organizatorowie produkcji” pod kątem jej nieograniczonego rozrostu, pędzonego indywidualną żądzą zysku przestają się nadawać, zarówno jak ich metody, do kierownictwa gospodarstwem narodowym cierpiącym na przerost produkcji, a zarazem nieprawidłowość jej społecznego podziału.

W tych nowych warunkach stosunek produkcji do konsumpcji nie może już być regulowany automatycznie, lecz musi być regulowany celowo i planowo. Impulsem tej działalności kierowniczej nie może już więc pozostawać nadal żądza zysku, ani też odwrotnie zazdrość bogactwa. Impulsem tym musi się stać dążność do świadomego harmonizowania procesów gospodarczych w solidarnym interesie społecznym przez samo społeczeństwo. Nie może ono tego, rzecz jasna czynić w drodze indywidualnej inicjatywy jednostek, lecz może to czynić wyłącznie za pośrednictwem korporacji. Życie już je w znacznej mierze wyłoniło, lecz nastawiło w kierunku walki. Muszą być przedstawione na współdziałanie. Muszą też podlegać jednolitemu kierow-

nictwu gospodarki narodowej, centralnej władzy państwowej planującej i dysponującej środkami wykonania planu. Środki te, kapitał i pieniądź, muszą być celowo rozprowadzane tak, by finansowały równolegle produkcję i konsumpcję, utrzymując je w nieodzownej równowadze.

Tej konieczności usiłował zadość uczynić w Ameryce Roosevelt, manipulując pieniądzem i nakręcając koniunkturę tamtejszą. Ta konieczność jaskrawo wystąpiła niedawno we Francji, gdzie „walka klas” wszczęta przez robotników pod wpływem marksistów, spotkała się ze słabym i nieskutecznym odporem wielkiego kapitału, ale za to z tym skuteczniejszym ze strony kapitału drobnego, który reprezentuje partia radykalna. Walka klas przybrała więc tutaj tę niebywałą i *par excellence* nowoczesną postać, że proletariát wynajmujący swą pracę w fabrykach, ujrzał po drugiej stronie barykady nie tylko bogatego burżuaja, lecz także drobnego rentiera, chłopa, rzemieślnika i sklepikarza.

Ani burżuazja, ani proletariát.

Jest to niezmiernie wymowne *signum temporis*. Potwierdza ono, że zalecana przez szkołę społeczną katolicką „deproletaryzacja” za pomocą upowszechnienia drobnej własności, nie jest złym środkiem zapobiegawczym przeciwko marksistowskiej socjalizacji. Jednak nie to wydaje mi się najważniejszym. Najważniejsze jest, że walka klas, która zdawna rozwija się w społecznej płaszczyźnie pionowej, między bogatymi i ubogimi, burżuazją i proletariatem, teraz najwidoczniej przesuwą się w płaszczyznę poziomą: wzajemnego stosunku poszczególnych grup szerokiego ogółu, a zarazem poszczególnych elementów całokształtu gospodarstwa narodowego. Są to przede wszystkim produkcja i konsumpcja, drobna własność i salariat, prawo do oszczędzania i kapitalizacji, oraz prawo do należytego poziomu płac zarobkowych, ogólny zasób kapitałów w kraju, oraz stan zatrudnienia. Między tymi właśnie czynnikami narodowego gospodarstwa, istotniejszymi i powszechniejszymi niżli stosunek wielkiego kapitału do pracy najemnej w wielkich przedsiębiorstwach, rozwinął się najbardziej nowoczesny spośród wielkich zatargów społecznych.

Rozwinął się na skutek wspomnianego już niebywałego technicznego przełomu, który wyścig między konsumpcją a produkcją zakończył zwycięstwem tej ostatniej. Walka o podział dóbr stała się bezprzedmiotową, z chwilą gdy na widowni ukazał się ich nadmiar w asyście z jednej strony bezrobotnego kapitału, z drugiej zaś bezrobotnej pracy. Powstały natomiast nowe wielkie, zupełnie dotąd nieznane zagadnienia techniki regulacyjnej procesów życia gospodarczego w nowych warunkach, przystosowania do niej form ustroju społecznego oraz psychiki zbiorowej.

Takie konflikty jak francuska sprzeczność pomiędzy prawem robotników do pracy oraz jej dostatecznego wynagrodzenia, (które jak wiadomo zwiększa koszty produkcji) a prawem drobnego ciułacza do jego oszczędności — mogą być wprawdzie odraczane z pomocą fał koniunkturalnych, lecz nie mogą być zasadniczo rozstrzygnięte ani w ramach liberalnego *laissez-faire'yzmu*, ani marksistowskiego etatyizmu. Są to zjawiska nowe, których rozwiązanie musi być organicznie wydedukowane z ewolucji rozwojowej, która je wyłoniła, poza obrębem świadomości tak Adama Smitha i burżuazji, jak Karola Marxa i proletariatu. Dlatego nie dadzą się opanować ani wolną grą ekonomiczną ani wywłaszczeniem. Oba zaś człony libero-katolicyzmu: jego afirmująca burżuazyjna teza, oraz negująca proletariacka antyteza, do niczego innego są niezdolne. Nie widzą nowej rzeczywistości, którą im zasłania, stara, ślepa, rozjątrzona nienawiść klasowa.

Toteż nie tylko burżuazja drży w swoich posiadach. Chwieje się również i rozpada komunizm. Przyszłość należy do strony trzeciej, do korporacjonizmu katolickiego, pod warunkiem, że głębiej niżli przeżyte idee libero-kapitalistyczne wnिकnie on w naturę rzeczywistości, zdoła związać się praktycznie z jej tendencją rozwojową, odkryje i zastosuje odpowiednią technikę przebudowy. Inaczej, jeśli się ograniczy do wydreptywania ścieżek utartego radykalizmu lub konserwatyzmu społecznego, a na realizację nowego ustroju liczyć będzie dopiero za lat 50, jak portugalski Salazar i katolicy polscy minimaliści, to nie uratuje świata, bo grozi mu zguba jeśli nie natychmiast, to za parę lat.

Katolicyzm zaś skaże na to, że po nowej wielkiej wojnie będzie znów musiał podejmować swą pracę od fundamentów zniszczonej cywilizacji, jak po wielkiej wędrówce ludów.

To wszystko dotyczy w szczególności także Polski. Choć bowiem nie znajduje się ona w przekwicie kapitalizmu, lecz dopiero na jego progu, jednak jeśli możliwy *delaí de gráce* kilkuletniego jeszcze pokoju poświęci wyłącznie na podciąganie się do kapitalizmu zachodniego, nie troszcząc się o to co nastąpi gdy on runie, to może runąć, mimo podciągnięcia, wraz z nim. Nie należy naszej przyszłości zbyt ufnie opierać li tylko na tak zmurzających filarach jak wolna gra ekonomiczna z jednej, a wyłączenie z drugiej strony. Należy pogłębiać myśl korporacjonistyczną i prostować przed nią ścieżki.

St. Szczutowski.

Na drodze do realizmu.

Jeżeli wszelkie próby ułożenia jednolitego credo filozoficznego ostatnich czasów wobec współczesnej atomizacji naukowej myśli zawodzą i muszą zawodzić, to przecież nie brak tym czasom pewnych wspólnych rysów, wspólnych usiłowań i dążeń, pewnych powszechnych nałogów myślenia, składających się w sumie na duchowe oblicze w. XIX i świtu XX stulecia. Wspomniana atomizacja nauki jako następstwo zdyskredytowania metafizyki, znękaney ostatecznie kompromitacją idealistycznych systemów, brak wspólnego kulturalnego podłoża — oto pierwsza cecha, znamionująca filozoficzne wczoraj. Dotychczas brak jeszcze nauce syntezy, zdolnej zaspokoić wrodzoną ludzkiemu duchowi potrzebę perspektywy i hierarchii wartości, ów — jak go określił Gumplowicz — instynkt transcendencji wpleciony w biologiczny ustrój człowieka. Ten brak metafizyki treści zastąpił wiek XIX metafizyką metody, fizykalizmem myślenia, tworząc w ten sposób podstawy współczesnego pojęcia nauki jako ilościowej metody badania rzeczywistości. Genialny przesąd matematycznej głowy, twórcy analitycznej geometrii, Descartes'a, zaciążył nad całą nowocześnieą filozofią, opanował też tzw. odtąd myśl naukową. Kartezjuszowska próba opisanja całej doświadczalnej rzeczywistości ruchem geometrycznej materii stworzyła podstawę dla nowoczesnego mechanicyzmu filozoficznego, który tak przemożnie oddziałał na kształtowanie się współczesnego przyrodoznawstwa. Ontologiczne zmatematyzowanie rozciągłości fizycznych ciał, dokonane przez Descartes'a, prawie jednocześnie pojawiło się z rewolucyjnymi odkryciami

Galileusza, Kopernika, Keplera, osiągniętymi dzięki zastosowaniu matematycznej metody do badań przyrodniczych. Skuteczność tej metody niesłusznie przypisano kartezjuszowskiemu uproszczeniu rzeczywistości przez jej ontologiczne zmatematyzowanie. I bez Descartes'a mielibyśmy z wszelką pewnością Galileusza, Kopernika i Keplera, a nagięcie rzeczywistości do metody nic nie ma wspólnego z samą metodą. Kartezjanizm jako metoda może z powodzeniem ubiegać się u potomnych o uznanie i wdzięczność na równi z fizykami Odrodzenia; ale kartezjanizm jako pogląd na świat, jako ontologia, musi się wykazać ze swych wartości niezależnie od metody. Faktem jest jednak, że nie tylko metodyczne, ale i treściowe, ontologiczne matematyzowanie przejawów bytu stało się od czasów Descartes'a modą, a potem i nałogiem myślenia, opanowawszy zupełnie dziedzinę późniejszych tzw. nauk ścisłych.

Z tego nałogu zrodziła się druga charakterystyczna cecha nowoczesnej myśli naukowej — dążności monistyczne i to znowu zarówno w znaczeniu metodycznym, jak treściowym. Błąd Odrodzenia powstał już nieodłącznie spuścizną myśli naukowych naszych czasów. Po osobliwym zjawisku historycznym w postaci pluralistycznej monadologii Leibniza, monizowanie rzeczywistości szybko poczęło posuwać się naprzód. Już Kant — świadomie czy nieświadomie — dokonał mocnej operacji na naiwnym obrazie świata zmysłów, usuwając jej tło, za które podstawił jedną tylko niewiadomą, zgół nieuchwytny X. Jedno więc pojęcie zastąpiło całą przedmiotową rzeczywistość doświadczalną. Nie ratowała tej rzeczywistości i jej złożoności wielość kategorii, nie była bowiem dostatecznie przekonująca, o czym świadczą późniejsze próby uproszczenia transcendentnego aparatu myślenia przez następców Kanta. Dualizm przedmiotu i podmiotu zawisł u Kanta na bardzo cieniutkiej nitce niewiadomej X, która zresztą była raczej ustępstwem na rzecz skrupułów pietystycznej pobożności i prawowierności Kanta, niż koniecznym wynikiem logiki systemu. Jakiegoż bowiem doświadczalnego materiału może dostarczyć niezorganizowana, nieokreślona rzeczywistość? Wszak u Kanta X jest nielogiczne i beztreściowe, skoro

przedmiotem jest dopiero synteza wrażenia (materii) i apriorycznej formy zmysłowej, przed tą zaś poznawczą syntezą rzeczywistość jest nieuprzedmiotowiona.

Wielkie systemy idealistyczne XIX stulecia były więc zupełnie uprawnionym rozwinięciem założeń Kanta w kierunku idealistycznej monizacji. Szczyt jej osiągnął Hegel, ontologizując logikę, znalazłszy jeden punkt do opisania całej rzeczywistości. Niepowodzenie tych idealistycznych zapędów — przy równocześnie ciągle czynnym monizującym nastawieniu umysłowym — stworzyło podatną glebę do krzewienia się skrajnej myśli materialistycznej. Wiek XIX zostanie, zdaje się, na zawsze typowym przykładem wyżycia się i hazardu myśli ludzkiej, klasycznym przykładem młodzieńczego *Sturm und Drang* — nowego okresu filozoficznego. Drugą połowę XIX wieku wypełnia agnostyczny pozytywizm, prąd o wybitnie schyłkowych cechach. Jest to zresztą okres epigonów, niezdolnych do samodzielnych lotów, czepiających się najróżniejszych i najsprzecznějších kierunków umysłowych.

Ale monizująca filozofia była tylko jednym z przejawów ogólnej dążności nauki XIX w. Widzieliśmy jak narzucony przez Descartes'a matematyczno-fizyczny sposób myślenia, stojący w luźnym związku z rozpoczynającym się wówczas triumfalnym pochodem ilościowej metody w badaniach przyrodniczych, stał się kanonem naukowego myślenia. Zlekceważono fizyczną, ontologiczną przestrzeń Newtona, jego ogólny sposób wyrażania się o prawach ruchu i ciężenia. Mechanicznym ruchem kartezjuszowskiej geometrycznej materii-rozciągłości usiłowano wytłumaczyć wszystkie zjawiska w świecie fizycznym. Nie odróżniano wcale ontologicznego uproszczenia materii, dokonanego przez Descartes'a, od jego metody, biorąc metodę za treść fizycznego świata. W ten sposób zrodził się niepokonalny przesąd fizykalizmu w nauce (fizyce), dotąd nie mogącej się otrząsnąć z filozoficznych naleciałości kartezjuszowskiego mechanicyzmu.¹⁾

¹⁾ Typowym przykładem takiego przesądu jest teoria falowań światła w początkowym swym sformułowaniu. Stwierdzona przez Fresnela okresość, zachodząca w zjawiskach świetlnych, nie nasunęła zrazu żadnych

Einsteinowskie wprowadzenie do fizyki poznającego podmiotu, choć uczyniło znaczny wyłom w dotychczasowej kartelizacji nauki przez filozofujących fizyków, nie usunęło jednak mechanicznych przesądów nauki i jest raczej dopiero modą, niż nałogiem myślenia.

W każdym razie w niezaprzeczalnym spadku odziedziczyliśmy po XIX stuleciu głębokie uprzedzenie, nieufność i niechęć do metafizyki czyli nauki o bycie samym w sobie. Niesłusznie stawiane wciąż filozofii — zwłaszcza scholastycznej — zarzuty bezpłodności i sprzeczności z „czystą” fizyką, z nauką, głoszone rzekomo w imieniu tej „czystej”, naukowej fizyki a w rzeczywistości w imieniu filozoficznego mechanicyzmu, jaki się wciskał do badań przyrodniczych, pogłębiały tylko tę niechęć. A już zupełną kompromitacją filozofii był ów osławiony heglowski dowcip: „Tym gorzej dla rzeczywistości”. Zresztą i w nauce lekkomyślne — według określenia prof. Białobrzeskiego — podnoszenie pierwszego lepszego przejawu bytu do zasady bytu w ogóle (mechanicyzm, materializm, energetyzm, spirytualizm, panpsychizm itd.), które z konieczności musiało się kończyć niepowodzeniem i szybkim wycofaniem się danego systemu z obiegu, powodowało ogólny kryzys myśli naukowej. Nowy okres filozofii rodził się — jak wspomnieliśmy — wśród pozytywistycznych, sceptyczno-agnoscytycznych nastrojów.

Streszczając dotychczasowe uwagi, możemy stwierdzić, że odziedziczyliśmy po w. XIX stosunkowo dużo. Odziedziczyliśmy przesady mechanicznego fizykalizmu, stanowczy rozdział między pojęciem nauki a filozofii, niejasne przy tym rozgraniczenie uprawnień obu tych dziedzin, nadzieję pełnego odczłowieczenia naukowego poznania, nałóg sprowadzania całej rzeczywistości ludzkiej do jednego pierwiastka, spłylenie metafizycznego instynktu, spowodowane z jednej strony niepowodzeniem filozoficznej myśli, a z drugiej olśniewającym rozwojem przyrodniczych badań.

innych sposobów tłumaczenia jak tylko przyjęcie lokalnego a więc czysto mechanicznego ruchu (Descartes!), choć z wniosków Fresnela narzucała się jedynie konieczność przyjęcia okresowości drgań, a nie ruchu lokalnego, jak to później okazało się w teorii kwantów. (Por. Hoenen, *Cosmologia*).

Rozstrzygającym bodaj czynnikiem zarysowania się nowej linii rozwojowej na polu filozofii było zwycięskie wkroczenie na widownię ludzkiej myśli psychologii, poprzedzone świetnie zapowiadającymi się naukami biologicznymi (Darwin) — zjawisko analogiczne do pojawienia się fizykalizmu Odrodzenia. Psychologizm, jako pewna postawa umysłowa w naukowym badaniu, jest nieprzychylny, jeśli nie wprost wrogi fizykalizmowi.¹⁾ Ujmując nie schemat, kośćciec, lecz sam miąż rzeczywistości, podstawiając gdzie się tylko da spłoty psychicznych wrażeń i ontologizując je, wypełnia psychologizm przykrą bądź co bądź dla ludzkiej świadomości lukę, powstałą wskutek uproszczenia i zubożenia poznawczej rzeczywistości. Wtargnięcie biologizmu i psychologizmu jest zawsze zabójcze dla wszelkich anemicznych pomysłów idealistycznych, żywiących się snuciem pajęcznych nici z własnej jaźni, oderwanej od krwistej, żywej przyrody. Wyswobodzony z ram i schematów geometrycznego rozumu prąd irracjonalnych doznań z pewną nadobfitością wypełnia przeoczone lub wprost nieuchwytnie przez matematyzującą myśl szczeliny i zakamarki bytu, zacierając linie celowego jego układu. Irracjonalizm, wyzbycie się klasycznego pojęcia celowości w dziedzinie bytu jest następstwem biologizmu, podniesionego do godności metafizyki, którego odpowiednikiem w dziedzinie poznania jest wszelkiego rodzaju intuicjonizm — *pendant* irracjonalizmu ontologicznego. Okres myślowego schematyzowania musi wywołać odruch zlekceważonych aracionalnych czy irracjonalnych porywów człowieka.

Tak się też stało u schyłku w. XIX. Bergson ze swoją „twórczą ewolucją”, „życiowym rozmachem” i intuicją jako główną władzą poznawczą człowieka to odwet biologizmu i psychologizmu za idealistyczną dialektykę poprzedniego okresu. Bergson tkwi głęboko w przesadach swoich czasów. Rozum u niego to rozum geometry Descartes’a, szufladkowa, beznadziejnie sucha władza duszy.

¹⁾ Wyrażenia „psychologizm” nie zacieśniamy wyłącznie do dziedziny teorio-poznawczej, jak się na ogół przyjmuje w filozoficznych podręcznikach. „Psychologizm” ma tu znaczenie filozoficznego systemu, ontologii, powstałej z przerostu psychologii w ogólnej postawie filozoficznej, ze zontologizowania psychicznych przeżyć. Podobnie biologizm.

Tym się tłumaczy jego gwałtowna reakcja przeciw zgeometrywaniu rzeczywistości. Bergson zdaje się nie przypuszczać nawet możliwości zbiologizowania właśnie rozumu. Logicznym tego następstwem było skonstruowanie *ad hoc* nowej władzy poznawczej, intuicji, chwytającej płynną rzeczywistość, współczesnej stawaniu się i trwaniu, podczas gdy rozum zawsze się spóźnia z nadążeniem za prądem istnienia.

Na dalsze utrwalenie się psychologizmu i biologizmu we filozofii wpłynęły silnie badania Freuda, jego psychoanaliza. Freud tworzy psychologistyczne słownictwo, którego wpływ znać będzie odtąd prawie we wszystkich wyrażeniach zarysowanych kierunkach nowoczesnej myśli filozoficznej. Freudowska dynamika popędów, świat świadomości i podświadomości (*Ich und Es*) z bogatym mechanizmem działania, z niezwykłą zwłaszcza precyzją odtworzony mechanizm marzeń sennych, freudowska symbolika i automatyzm psychiczny przepoiła atmosferę pracy umysłowej wieku XX, osłabiła idealistyczne skłonności do traktowania myśli jako zjawiska oderwanego od świata. To realistyczne i psychologistyczne nastawienie umocnił w dalszym ciągu zwrot ku psychologii dziecka, przeoczzonej przez Kanta. Przez szkołę i popularną literaturę pedagogiczną wpływ ten docierał i do szerokich mas przedwojennego pokolenia. Tworzyła się w ten sposób nowa płaszczyzna prób i zainteresowań filozoficznych.

Ale najjaskrawszy swój wyraz znalazł nurtujący już od połowy XIX w. bunt przeciw zlogicyzowaniu i schematyzacji myśli w osobie genialnego dyletanta Nietzschego. Nietzsche skupił w sobie wszystkie charakterystyczne cechy irracjonalnego biologizmu, doprowadzając do krańcowości spuściznę myśli swego duchowego ojca Schopenhauera. U Nietzschego zasada bytu jest „potworem siły bez początku i końca”, siłą nieustannie tworzącą i burzącą, z płynnym dynamicznym światem przejawów. Dynamiczno-witalne poznanie jest tylko wypadkową popędowych instynktów i woli życia. Nietzscheański biologizm w etyce stworzył etykę samolubstwa. Bunt przeciw kulturze, opartej na podstawach transcendentnych, był logicznym wnioskiem irracjonalnego

biologizmu. Olbrzymi wpływ Nietzschego, wywierany na współczesne sobie pokolenie, świadczył, że Nietzsche trafił na podatną glebę, że był wyrazem nastrojów ówczesnych ludzi.

Mniej burzliwe prądy irracjonalizmu wcielały się w bardziej spokojne, zrównoważone kierunki umysłowe. — Metafizyczny irracjonalizm Volkelta, pełen tęsknoty za wyjściem ze świata sprzeczności przez zatracenie jej w nieskończoności Absolutu; irracjonalizm witalistyczny G. Simmela, oparty na mistyce życia, tworzącego własne nadfunkcje — wartości (*Mehr als Leben*); filozofia czynu Blondela, Le Roy, zachowująca poznanie pojęciowe (*connaissance notionnelle*) jako atomizowanie rzeczywistości a treść jako jej abstrakcyjną, sztuczną przeróbkę; aktywizm, niemiecki oraz anglosaski pragmatyzm, doprowadzający swój radykalny empiryzm do noetycznego irracjonalizmu — oto główne przejawy biologizmu i psychologizmu w nowszej filozofii. Prądy materialistyczne, krzewiące się bujnie w połowie XIX w., pogłębiały niechęć do metafizyki idealistycznej, ale jednocześnie wyrażały zmysł najbliższej rzeczywistości. Współczesne istnienie skrajnego idealizmu ze skrajnym materializmem nasuwało nieodparte przypuszczenie, że rzeczywistość jest złożona, dwoista, że trzeba szukać pośredniego sposobu objaśniania jej. I właśnie w biologizmie dopatrywano się takiej pośredniej formy między idealizmem a materializmem, w czynie, w życiowym prądzie, w rozmachu widziano pogodzenie dynamicznej logiki ze statyczną materią, poznania z przedmiotem. Zwolna powraca zachwiany przez Kanta dualizm, słabną monistyczne skłonności. Krytycznemu idealizmowi szkół neokantowskich, przechodzącemu początkowo u Cohena w poznawczy dualizm, należy przypisać chwilowe powodzenie tych szkół i ich zmierzch z chwilą przesunięcia przez neokantystów punktu ciężkości na logikę formalną i na podmiot.¹⁾ Wprawdzie ontyczny dualizm względnie pluralizm zespala się jeszcze w monizmie czy to witali-

¹⁾ Z tych samych powodów nie można rokować wielkiej przyszłości dla neopozytywistycznego ruchu tzw. Koła Wiedeńskiego (u nas „szkoła warszawska” logistyków), o ile rości on pretensje do zastąpienia właściwej metafizyki, a całą filozofię zacieśnia wyłącznie do roli wszechmetody.

stycznej siły, czy „życia osobistego” czy wreszcie w monizmie wartości, nie może jeszcze przełamać starych nałogów, wyjść poza ramy monistycznych uprzedzeń: ale czuje się już, że czysto teoretyczne podejście do rzeczywistości lub upraszczanie jej do jednego mianownika nie odpowiada faktycznemu stanowi rzeczy, że jednostronne uwzględnianie podmiotu lub przedmiotu prowadzi do filozofii subiektywizującej lub obiektywizującej jednostronnie rzeczywistość. Obok zwrotu ku realizmowi rodzi się potrzeba rzeczywistej, klasycznej transcendencji, szukania oparcia wartości pochodnych o ich ontyczne źródło. Stoimy wobec nowego okresu filozofii europejskiej.

Psychologizm i biologizm zarania XX stulecia był już krokiem naprzód ku realizmowi, godził do pewnego stopnia idealizm z materializmem, w metafizyce aktu psychicznego i witalistycznego podawał próby ontologicznego systemu, opartego na pewnym wycuciu dualizmu, dynamizmu i statyczności. Lecz ani psychologizm, ani biologizm, ani witalizm nie był jeszcze prawdziwą metafizyką, gdyż nie rozwiązał dualizmu poznania, tego nieodzownego warunku realizmu.

Nie doszedł do pojęcia abstrakcji w znaczeniu czynności pośredniczącej — w płaszczyźnie psychologicznej — między podmiotem a przedmiotem, w płaszczyźnie zaś treściowo-logicznej — wiążącej bezpośrednio świadomość z treścią, co zdaniem naszym było najgenialniejszym twierdzeniem perypatetyczno-scholastycznej filozofii. Psychologizm pozostał przy pojęciu pozytywistycznej abstrakcji Comte'a, który funkcje syntezy ograniczył do podciągania szczegółów pod ogół (tworzenie praw) w znaczeniu czysto metodologicznej a nie logiczno-psychicznej pracy umysłu.¹⁾ Nie po-

nauk ścisłych. Logiczny formalizm nie idzie po linii współczesnego rozwoju ogólnego podłoża kulturalnego, które ostatecznie rozstrzyga o charakterze filozofii. Historycznie więc byłby on ruchem spóźnionym.

¹⁾ Obok tej logicznej abstrakcji, przechodzącej u pozytywistów w prostą czynność klasyfikującą, odróżnia filozofia scholastyczna abstrakcję psychiczną, przy pomocy której umysł jako władza niematerialna łączy się z konkretem materialnym w treści-pojęciu. Stosunki logiczne wynikające z abstrakcji jako funkcji logicznego podporządkowania szcze-

rzucił więc mechanicystycznego przesądu. Nie rozwinął jakościowego traktowania zjawisk, które naprowadziłoby go do pytania o wspólne ich podścielisko, o istotę. Psychologizm i biologizm mimo wszystko albo ulegał kantowskiemu agnostycyzmowi albo rzucał się w objęcia biologicznej jakiejś intuicji. Pozostał raczej metodą.

To niedociągnięcie psychologizmu i biologizmu zostało wkrótce odkryte wobec wzmagających się realistycznych dążeń. Husserl, tworząc nowy kierunek myśli zwany fenomenologią, rzucił znamienne hasło: *gehen zu den Sachen selbst*. Fenomenologia, choć uważa się w pierwszym rzędzie za metodę filozoficzną, za drogę do bezwzględnego uchwycenia rzeczywistości, jednak nie jest już tylko metodą. Hasło *zu den Sachen selbst* jest zdecydowanym zwrotem ku realistycznej metafizyce, klasycznej ontologii, ciągnącej się nieprzerwanie od Talesa do Tomasza z Akwinu i Scofa, aż do Kanta, który wreszcie zadał jej cios, z jakiego musiała się leczyć przez całe stulecie. Fenomenologia wyrasta wprawdzie ze współczesnej sobie filozoficznej gleby, nie wyrzeka się zdobyczy ostatnich stuleci, owszem tkwi w nich cała; lecz jednocześnie przerasta swe otoczenie dzięki wyzbyciu się agnostycznych przesądów pokantowskiej operacji ludzkiego ducha, skazującej go na ślizganie się po powierzchni bytu, na beznadziejne czeplanie się peryferyj zjawisk.

Husserl i jego szkoła idzie ku rzeczom, by szczerze zapytać po raz pierwszy od długich lat filozoficznego zakłamania, narzucającego człowiekowi milczenie wobec pytania, które ciśnie się mu na usta siłą biologicznej konieczności — czym jest rzecz w sobie, jakie prawa ontyczne rządzą światem zjawisk. Sięgnąć w głąb rzeczy, dotrzeć do jej istoty —

gółu ogółowi, są czymś wtórnym w porównaniu z aktem psychicznym. Są następstwem aktu psychicznego, oczywiście w zupełnie różnej płaszczyźnie. Dlatego nie można utożsamiać scholastycznej abstrakcji z logicznym zakresem pojęcia, nie zaznaczywszy, że chodzi tu o logiczną, a nie psychiczną abstrakcję. Błąd ten, jak się zdaje, popełnia ks. Jakubisiak, kiedy scholastyczne rozwiązanie jednostkowego poznania wtlacza w ramy książki pt. „Od zakresu do treści”. Tymczasem epistemologiczne rozwiązanie tego zagadnienia nie mieści się ani w zakresie ani w treści, tylko w abstrakcji i refleksji jako w osobnych funkcjach psychicznych.

oto główna wytyczna szkoły fenomenologów, zrywającej z modą myślowego sceptycyzmu, łapania przejawów bytu na nitki matematycznych ślasek bez tła i dna.

Łamiąc niechęć do metafizyki, Husserl nie rzucił się ślepo w gąszcz nowych spekulacji i dedukcji, które niechybnie zaprowadziłyby go w nowe ślepe uliczki bez wyjścia i postawiły wobec nowej kompromitacji filozofii. Husserl nie zrywa ani z doświadczalną indukcją, ani z psychologią (fenomenologię nazywa „opisową psychologią”, *descriptive Psychologie*). U Husserla wraca arystotelesowska refleksja i abstrakcja, skazana przez nowoczesną filozofię na bezwzględną banicję. Wprawdzie Husserl zastrzega się, że jego redukcja fenomenologiczna, przez którą rozumie usunięcie pewnych treści z pola uwagi, metodyczne zwężenie pola świadomości, nie jest ani dawną refleksją scholastyczną, ani abstrakcją, lecz w istocie rzeczy pojęcie to, choć w zmienionej postaci, w nowej koncepcji, wraca, wiodąc wprost do drugiego pojęcia scholastycznego, do intencjonalności aktu poznawczego, jedynie zdaje się szczęśliwego rozwiązania dualizmu przedmiotu i podmiotu. Husserl albo nie chce się przyznać, w obawie ośmieszenia, że wstąpił już na drogę klasycznej metafizyki, albo po prostu, nie znając jej do głębi, nie przeczuwa analogii i pokrewieństw, wiążących jego system z epistemologią św. Tomasza, opartą na dualizmie podmiotu i przedmiotu.

I u św. Tomasza bowiem byt abstrakcyjny jest w porządku istnienia czymś wtórnym, podrzędnym, uzależnionym od rzeczy konkretnej, pojętej jako zespół właściwości, stanowiących całość zdolną do odrębnego istnienia. Tylko przez pomieszanie porządku logicznego z istnościowym może Husserl utrzymywać, że jego redukcja przez wstępowanie w dół zasadniczo różni się od abstrahującego scholastycznego wstępowania w górę. Jego „odkrycie” intencjonalnej świadomości, pośredniego bytu między porządkiem logicznym a fizycznym, świadczy, że poprzednie „fenomenologiczne” rozważania obracały się w sferze przynajmniej bardzo pokrewnej scholastycznej abstrakcji. Jedno bowiem wynika z drugiego. Intencjonalność to wyosobnienie treści z fizycznego przedmiotu na mocy specjalnego uzdol-

nienia poznawczego, nie powtarzającego się nigdzie indziej; zatem czynność, akt wyosobniania — mniejsza o to w jakim kierunku — stanowi podstawę zespolenia się władzy poznawczej z przedmiotem w trzeciej osobnej kategorii istnienia — w treści poznawczej. Transcendencja treści wobec psychicznego aktu poznawczego stanowi podstawową tezę scholastycznej epistemologii. Dla scholastyka, opierającego się zwłaszcza na tomistycznej noetyce, Husserl nie powiedział zasadniczo nic nowego. Ani to, że świadomość jako introspekcja może być potencjalna lub aktualna; ani złożony charakter świadomości, składającej się z podwójnego hyletycznego i neofitycznego złoza (scholastyczna *species sensibilis* i *species intellectualis*); ani husserlowski świat eidetyczny, istoty rzeczy, umiejscowiany tylko przez scholastyków — w porządku ontologicznym — w Absolucie jako Prawzorze i Prazasadzie wszelkiej treści; ani nawet fenomenologiczne oglądanie istoty (*Wesenschau*), ujmujące tylko istotę a pomijające istnienie rzeczy (husserlowska abstrakcja lub redukcja eidetyczna), łudząco przypominające scholastyczną intuicję pierwszych zasad bytu oraz każdej istoty, wyłanianej jednym rzutem tzw. rozumu czynnego spośród konkretnego oglądu zmysłowego.

Słowem Husserl ze swoją fenomenologią, chcąc czy nie chcąc, jest na drodze ku realizmowi dualistycznego poznania, a przezeń ku klasycznej metafizyce, ku dualizmowi ontycznemu.¹⁾

Choć może Husserl nie chce się przyznawać do pokrewieństwa z tomizmem, filozofia tomistyczna dość szybko wyczuła w nim swego sprzymierzeńca. Maritain, otwierając *Journées d'études de la Société Thomiste* we wrześniu 1932 r.

¹⁾ Jak dotychczas fenomenologię można określić jako dążenie do stworzenia z filozofii apodyktycznej nauki ścisłej (*strenge Wissenschaft*), badającej nadzjawiskową sferę bytu. Zaslugą fenomenologii jest przeczygnięcie subiektywizmu przez przyjęcie transcendentalnego świata istot, rozróżnienie dwóch rzeczywistości — materialnej i duchowej, przyjęcie autonomicznej dziedziny istot rzeczy. Egzystencjalizm Heideggera, jako dalszy rozwój Husserla, uwydatnił kryjący się w niej istotnościowy dynamizm. Egzystencjalizm jest również protestem przeciw statycznemu logicyzmowi i racjonalizmowi i jako taki stanowi przedłużenie linii Nietzsche-Bergson. (Por. ks. J. Pastuszka: *Filozofia współczesna*. T. II, str. 158).

(w Juvissy), oświadczył na wstępie: „Fenomenologię wypada studiować z sympatią i wyczuciem, czego konieczność tym żywiej czują tomistyczni filozofowie, im więcej punktów styczności zachodzi między tomizmem a fenomenologią“.

W międzyczasie jednak myśl filozoficzna posunęła się jeszcze o krok naprzód ku realizmowi. Nicolai Hartmann w swej *Metaphysik der Erkenntnis* stworzył syntezę fenomenologii i marburskiej szkoły neokantystów. U Hartmanna dochodzi wreszcie zdecydowanie do głosu gnoseologiczna transcendencja naszego poznania. Poznanie to swoisty stosunek wzajemny, oparty wprawdzie na porządku istnościowym, psycho-fizycznym, lecz dokonujący się na zupełnie odmiennej płaszczyźnie zjawisk, mianowicie w porządku poznawczym, treściowym, stanowiącym jakby wewnętrzny przekrój poprzeczny poznawczego aktu-prądu psychicznego. Husserl utrzymywał, że w poznawczej świadomości rozróżniamy tylko dwa składniki: świadomość czynności (aktu) poznawczej i przedmiotu. Poza tym nie odróżniamy nic, żadnego trzeciego czynnika, pośredniczącego w poznaniu. Zatem w akcie poznawczym w ogóle nie ma miejsca na jakikolwiek „obraz“ (scholastyczna *species*). Przedmiot zawarty w intencjonalnym akcie to nic innego jak rzecz sama w sobie, przedmiot fizyczny.

Przeciw tym tezom Husserla, Hartmann wysunął tezę obrazowości (*Bild* — albo *Repräsentationsthese*), tezę irracjonalności albo może lepiej pozaracjonalności oraz tezę o transcendencji poznania. Między podmiotem a przedmiotem, między aktem poznawczym a przedmiotem poznania zachodzi coś trzeciego, pośredniego, mianowicie „obraz“ (*das Bild*), przedmiotowe wyobrażenie rzeczy (*Repräsentation des Gegenstandes*), wchodzące w akt poznawczy jako jego istotny składnik (teza I). Ponieważ zaś nasze poznanie istniejącego samoistnie (*ansichseiend*) przedmiotu jest tylko „obrazem“ i ponieważ władza poznawcza ujmuje tylko przedmiot tak jak on się wyłania i objawia w obrazie-oglądzie — dlatego poznanie nasze daje tylko zwierzchnią warstwę samoistnego i zamykającego się w sobie bytu, warstwa zaś głębsza przedmiotu-istnienia nie może być poznana, bo jest w ogóle niepoznawalna (teza II). Pozna-

nie jednak jest prawdziwym dotarciem, ujęciem (*Erfassen*) przedmiotu w sobie, a nie tylko posiadaniem (*Haben*) namiastki przedmiotu w postaci intencjonalnego wyobrażenia-przedmiotu (teza III). Hartmann więc nie zadowolił się już husserlowskim dotarciem do rzeczy przez bezpośredni intuicyjny ogłąd. U Husserla nie znajduje wytłumaczenia doświadczalna wprost cecha pewnej niewymierności poznania ludzkiego z przedmiotem, która przeczy intuicyjności poznawczych władz. Hartmann zdecydował się więc na dalszy krok ku scholastycznemu realizmowi poznania i przyjął pośrednictwo osobnej poznawczej funkcji, określonej przez scholastykę porządkiem intencjonalnym, w którym główną rolę odgrywa pośredniczący obraz — *species*. W ten sposób Hartmann znajduje się o krok od tomistycznego irracjonalizmu poznania jednostek bytu, wymykających się spod władz naszego rozumu, oraz dyskursywnego ujmowania istoty rzeczy przez odnoszenie konkretnego do znanego abstraktu. Filozofia w osobie Hartmanna otrząsa się w dalszym ciągu z logicyzmu i matematyzmu, a z drugiej strony i z biologizmu, narzucającego człowiekowi intuicyjne poznanie rzeczy wbrew doświadczeniu. Nie obcą też zdaje się być Hartmannowi idea scholastycznego *medium quo*, tego najlepszego bodaj rozwiązania transcencji poznania.

* * *

Jesteśmy więc świadkami wyraźnego zwrotu współczesnej myśli filozoficznej ku klasycznemu realizmowi. Dualizm poznania, jaki głosi już choćby Hartmann, niechybnie doprowadzi tę myśl do dualistycznej metafizyki. Doświadczalny fakt istnienia czynnego i biernego składnika bytu materialnego „odkrytego” przez Arystotelesa, dotąd zupełnie zaniedbany i nie wyzyskany, stanie się znowu punktem wyjścia dla nowej metafizyki.

Ale ostatecznego przechylenia szali filozoficznych zainteresowań ku klasycznej ontologii nie należy oczekiwać ze strony filozofii. Dokonać tego muszą te nauki, które były ostateczną przyczyną wyłączenia metafizyki z zakresu nauk ścisłych. A więc nauki przyrodnicze, a wśród nich na pierwszym miejscu fizyka. Musi ustąpić przesąd, jakoby

dokładność i ścisłość wiedzy polegała wyłącznie na ważeniu i mierzeniu. Matematyczny, abstrakcyjnie uproszczony świat, musi przybrać na wadze, na ciebie, musi zakraśnić rumieńcem jakości. Myśl ludzka będzie musiała uzupełnić swą bogatą już, ale jednostronną, bo patrzącą tylko pod kątem ilości i stosunków wiedzę spojrzeniem prawdziwie humanistycznym, wszechstronną postawą wobec rzeczywistości. Pozostanie wprowadzić zróżnicowanie poszczególnych metod badania, fizyka pozostanie fizyką, tj. nauką, której ścisłość polega na jak najdokładniejszym odczłowieczeniu badanej rzeczywistości. Ale nie będzie już błędu uogólniania jednej metody i podnoszenia jej do godności wszechmetody nauk. Jedna dziedzina nauki nie będzie przeczyła drugiej tam, gdzie problem przekracza jej uprawnienie. Słowem człowiek zacznie badać świat po ludzku tj. odcinkami i na różny sposób, usiłując jednak wyniki powiązać w jedną całość w ścisłej zależności od badań na poszczególnych odcinkach. Człowiek już dziś zaczyna się dziwić, dlaczego pytanie o sens bytu uznał za bezsensowne, kiedy równocześnie z taką siłą zainteresował się, czym jest czerwony kolor.

I rzeczywiście, jak dotychczas, wszystko zdaje się wskazywać, że nowy jakiś ferment rozsadza ramy starej metodologii i klasyfikacji nauk. Dostrzeżony przez fizyków indeterminizm w przyrodzie — na podstawie badań zachowania się najmniejszej cząstki materii-energii — poważnie zachwiał wiarę w matematyczną poprawność i ścisłość wszystkich przejawów bytu, dających się dotychczas bez reszty sprowadzać do materii i ruchu. Przez rozwarte podwoje indeterminizmu w fizyce powiało lekkie na razie tchnienie transcendencji. Prawdopodobnie już w niedalekiej przyszłości nauka jako nauka pocznie się na serio liczyć z „hipotezą Boga”. Dobrze zdaje się wyczuł Maritain rodzącą się gdzieś jeszcze w biologicznych głębiach podświadomości człowieka nową epokę, która będzie epoką teocentrycznego humanizmu.

* * *

W głębinach więc ludzkiego jestestwa gotuje się renesans metafizycznego instynktu. Prawem biologicznej ko-

nieczności musi przyjść odruch i bunt zlekceważonych i upośledzonych przez scientyzm ostatnich stuleci wrodzonych człowiekowi popędów. I jak każda reakcja, tak i ta przeciągnie najprawdopodobniej strunę. Na wszystkich odciśnięciach ten bunt przechodzić już będzie w mistycyzm. Obecnie najwidoczniej objawia się to w renesansie religijnym, (dlatego teza „teocentrycznego humanizmu“ wydaje się tym bardziej uzasadniona). Gdzie indziej śledzimy na razie znane skądinąd zjawisko opóźnienia kulturalnego w przejawach zbiorowego życia. Dziś masy przeżywają to, co kilkanaście lat temu działo się na szczytach, wśród filozofów — gorączkę czynu, biologiczną reakcję przeciw złudzeniom i bezpłodności spekulacji, echo woluntaryzmu, biologizmu i aktywizmu ze schyłku XIX i początków XX wieku. Dziś nie myśl, lecz instynkt rządzi światem. Nie teoria tworzy rzeczywistość, lecz życie narzuca teorię często wbrew rzeczywistości. Stąd chaos, jaki towarzyszy zawsze wyswobodzeniu biologicznych, irracjonalnych energii. Położenie ogólne gmatwa się jeszcze bardziej na skutek wypaczenia biologicznych instynktów przez technizację życia. Rozwój techniki ogromnie zmanierował człowieka, tak że trudno obecnie przewidzieć, do czego zaprowadzi go rozpętanie niezawodnych, lecz dziś zmanierowanych instynktów. Kwestia chleba przytłacza dziś wszystko. W takich warunkach nie prędko należy spodziewać się uspokojenia tafli życia, utworzenia się jakiegoś nowego, ogólnego stylu kultury. Ale co niezawodnie czuje się już dziś powszechnie, to niewystarczalność dotychczasowej organizacji życia. Matematyka zorganizowała wprawdzie materialną stronę ludzkiego istnienia, lecz nie zorganizowała ducha. Dała człowiekowi radio i samochód, lecz z nim razem wiadomość, że jest on życiowym wykołajeńcem, rozbitkiem i oszustem. Rozrosło się nam ciało, a duch pozostał mały — jak powiedział Bergson na ostatnim kongresie filozoficznym w Paryżu. I właśnie ku źródłom sił nowej organizacji całego życia zwraca się szukająca nowych dróg współczesna myśl filozoficzna.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

Narodowość Chrystusa i ghetto ławkowe.

Prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek.

Słowo odwieczne, które jest ponad czasem i zmiennością ludzką zamyka się przez ludzką naturę w granicach czasu, wchodzi do historii jako Syn Człowieczy. Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego staje się prawdziwym człowiekiem, narodzonym z Maryi Dziewicy, a Ten, którego ziemia i niebiosa ogarnąć nie mogą, jest owinięty w pieluszki i położony w żłobie. Od chwili, w której Maryja wypowiedziała swoje *fiat*: *Oto służebnica Pańska, niechaj mi się stanie według słowa twego* (Łuk. I, 38) historia dosięgła swych szczytów; nastąpiło powiązanie wieczności z czasem, nieskończoności z ograniczonością, mocy ze słabością, natury ludzkiej z naturą Bożą w jednej osobie Słowa Przedwiecznego. Jezus swoją osobą i swą działalnością poruszył ludzką naturę w jej najskrytszych tajnikach, odkrywając pokłady najbardziej wartościowe, utworzone z najszlachetniejszych uczuć i porywów ludzkich.

Równocześnie jednak w odniesieniu do Słowa Wcielonego pojawiły się gadzinowe myśli, odsłoniły się pokłady i cechy charakteru człowieczego nasycone wstrętnym egoizmem i obłudą. Tak więc miłość wznosząca się na wyżyny heroizmu oraz nienawiść szatańska ku Słowu Wcielonemu przybierały w różnych dziejowych fazach rozliczne formy, wzrastały lub słabły, lecz nie zanikały nigdy.

Kiedy Chrystus żył i nauczał w ziemi palestyńskiej musiał nasłuchiwać się z ust swoich wrogów najpotworniejszych zarzutów i obelg. Mówiono o Nim iż jest „obzercą i winopijcą, przyjacielem celników i grzeszników” (Mat. XI,

18—19), iż przez Belzebuba wyrzuca czarty (Mat. XII, 24; Jan X, 20), iż jest bluźniercą (Mat. XXVI, 65; Jan X, 36), buntownikiem (Łuk. XXIII, 2; Jan XIX, 12); a gdy umarł, nazwano go zwodzicielem (Mat. XXVII, 63).

Kiedy, po zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu Chrystusa oraz zesłaniu Ducha Św., Kościół począł się rozszerzać, nienawiść do jego twórcy i założyciela krzewi się dalej w ludzkiej duszy, raz po raz wybucha usiłując poprzez karty Talmudu, pisma Philostratos'a, Celsusa, Lucjana, Porphyriusa, Hieroklesa i innych zniekształcić postać Chrystusa. I zjawisko to występuje nieustannie w ciągu całej ery chrześcijańskiej z mniejszym albo większym nasileniem aż do bluźnierczych pomysłów XIX i XX w., kiedy to Chrystusa uznano za umysłowo chorego, marzyciela, lub zaprzeczono po prostu Jego historycznemu istnieniu, rzekomo w imię nauki!

Tak więc Chrystus występuje w dziejach ludzkości nie tylko jako dobro ukochane ponad majątek, władzę, nawet ponad życie, to znowu znienawidzone ponad miarę ludzką, lecz jawi się nadto jako fakt jedyny, nie dający zamknąć się w formułkach i kategoriach stworzonych przez ludzki rozum. I kiedy człowiek nie zdobędzie się na pokorę ducha, na uznanie, że są prawdy, których „oko nie widziało, a ucho nie słyszało”... wówczas tworzy „swojego” Chrystusa, tworzy Jego karykaturę, pod wpływem pychy lub nienawiści, a w każdym razie z braku zrozumienia dla Słowa — Logosu, które jako najwyższe Eros poniża się dobrowolnie przyjmując „postać sługi”. Od zanotowanej w Ewangelii odpowiedzi na pytanie: „Kim mienią być ludzie Syna Człowieczego?” aż do dni naszych, dni teologii liberalnej, czy modernistycznej, usłyszymy hymny uwielbienia i podziwu dla Chrystusa najszlachetniejszego z synów ludzkich, proroka, geniusza, człowieka, w którym Bóstwo zamieszkało, lecz tylko człowieka... nie Boga.

Chwilami giełda rozumu ludzkiego ogłaszała wyższe stawki, przyznawano, iż Chrystus był czymś więcej niż tylko człowiekiem, był najpierwszym, najdoskonalszym ze stworzeń (arianie); był Bóstwem, w którym zostało pochłonięte człowieczeństwo (monofizyci); był Bogiem, ale nie miał ludzkiej duszy rozumnej (apolinaryści); był Bogiem, ale nie miał

woli i działania ludzkiego (monoteleci); miał tylko ciało pozorne, pozornie tylko cierpiał (dokeci). Kościół zaś strzegąc depozytu wiary musiał raz po raz bronić dogmatu o Wcielonym Słowie, nie wahając się rzucać anatemy, chociaż nawet liczne zastępy heretyków odpadały od jedności wiary. Kościół nie kierował się nigdy względami fałszywego utylitaryzmu, nie przemilczał prawdy, nie podawał jej połowicznie. Owocem zaś takiego właśnie stanowiska Kościoła jest triumf wiary w jego nadprzyrodzoną misję, a także jasna świadomość milionów wierzących chrześcijan, że Chrystus to prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek. Kto nie uznaje lub zniekształca jedną albo drugą prawdę objętą dogmatem Wcielenia, ten tym samym stawia się poza nawiasem społeczności katolickiego Kościoła.

Chrystus aryjczykiem?

Niezwykły wzrost i pełna dynamiki prężność ruchów nacjonalistycznych, łącząc się ideowo czy programowo z asemityzmem czy antysemityzmem, przynosi z sobą w ostatnich czasach nowy pogląd na człowieczeństwo Chrystusa. Chrystus, według tej nienawiści do żydostwa przepełnionej teorii, nie był żydem, lecz aryjczykiem. Błąd ten wyłonił się, względnie odżył w rasistowskich kołach tzw. niemieckich chrześcijan, którzy w funkcji swej nacjonalistycznej teorii zwalczają St. Testament, obcinają i kaleczą Ewangelie w tym celu, aby na ich tle powstał obraz Chrystusa pełnego aryjczyka a nawet antysemitę.

Każdy błąd, a w szczególności dotyczący myśli religijnej, znajduje dość łatwo swolich zwolenników. Cóż dopiero, kiedy się sprzęgnie z potężnym ruchem ideowym? Może on wówczas zatruć życie katolickie zwłaszcza, gdy się go zacznie szczepić z wiarą w dobrą sprawę, co więcej z chęcią obrony Kościoła przed tak niepopularnym dziś zażydzeniem.

Otóż i w Polsce zaczyna się jawić spór o narodowość Chrystusa, a wyłonił się w związku z zaprowadzeniem ghetta ławkowego w warszawskim uniwersytecie. Prof. Michałowicz zabronił wprowadzać ghetto ławkowe w czasie

swych wykładów, powołując się na swoje sumienie chrześcijańskie:

„Skoro Pan Bóg nie wahał się włożyć duszy swego syna w ciało semity, to nie jest ludzką rzeczą rozstrzygać kto jest lepszy, a kto gorszy...”

Oświadczenie prof. Michałowicza spowodowało ukazanie się kilku artykułów polemicznych, w których niestety myśl katolicka została mniej lub więcej zaciemniona. Do artykułów, które w szczególniejszy sposób sprowadzają zameł należy artykuł St. Kobylińskiego¹⁾ pt.: „Czy Chrystus był żydem?” Ewangelisci — twierdzi autor — nie podali genealogii Maryi. Nie wiemy zatem ściśle, czy Maryja była córką Abrahamową, Izraelitką z rasy, czy też była tylko żydówką z religii, pochodząc jednak z przodków mieszanych aryjsko-żydowskich. Wobec tego nie wiemy z pewnością, czy Jezus był synem żydówki pod względem rasowym.²⁾ W dalszym ciągu swych wywodów pisze autor że:

Ze stanowiska naturalistycznego możliwe są tedy trzy poglądy w sprawie pochodzenia Jezusa: 1) żydowski — Jezus był żydem; 2) nieżydowski — Jezus był mieszancem; 3) nieżydowski — kwestia żydowskości lub aryjskości Chrystusa nie da się, przynajmniej w chwili obecnej, rostrzygnąć...

Pogląd, że Chrystus nie był żydem ma wpływać również z samego dogmatu Wcielenia; ponieważ Maryja poczęła Chrystusa w sposób nadprzyrodzony, a w Chrystusie zespala się Bóstwo i człowieczeństwo, więc w tych warunkach elementy rasowe ludzkie zanikają...

Jeżeli zastanowimy się nad stosunkiem wzajemnym obu pierwiastków — boskiego i ludzkiego, to niewątpliwie zmuszeni będziemy przyznać przewagę Boskości nad człowieczeństwem. Cóż w tych warunkach znaczyłoby, gdyby nawet Maryja była izraelitką z rasy?

I wreszcie autor dochodzi do wniosku, że Chrystus ani fizycznie³⁾ ani duchowo żydem nie był. Co więcej,

¹⁾ *Mercurjusz Polski*, z dn. 7. XI. 1937.

²⁾ W przypisku autor stwierdza, że Galilea, skąd pochodziła Maryja, była zamieszкана przez ludność mieszaną pod względem rasowym.

³⁾ Całun turyński ma wykazywać, że Chrystus nie miał rysów semickich.

Chrystus został ukrzyżowany... nie za to, że był żydem, lecz za to, że nim nie był, że nie tylko sam żydem być nie chciał, lecz owszem chciał odrodzić całe żydostwo.

W odpowiedzi na artykuł p. Kobylińskiego nadesłał do *Merkuryusza* list ks. Charszewski, wykazując jasno pochodzenie Chrystusa z narodu żydowskiego. Dowody te jednak p. Kobylińskiego nie przekonały, ponieważ w nowym artykule: ¹⁾ „Chrystus nie był żydem“, upiera się przy twierdzeniu o możliwej aryjskości Chrystusa. Do takiego postawienia kwestii otrzymał zachętę ze strony katolickiej. Bo oto, jak sam pisze:

W przeciwieństwie do ks. kanonika Charszewskiego, w zupełnej zgodzie z moimi wywodami, ks. Maciątek potwierdza, że właściwie pytanie czy N. Maryja Panna była żydówką z rasy, schodzi na plan drugi, jeżeli wziąć pod uwagę, iż w myśl współczesnego stanu nauki biologicznej, krew dziedziczymy po ojcu, nie zaś po matce; a ponieważ Chrystus nie miał ojca na ziemi, zatem wedle ciała nie był żydem. Ks. Maciątek podziela bez zastrzeżeń moje stanowisko, że Chrystus nie był żydem ani z ducha, ani z ciała. ²⁾

Niezbyt może jasne i sprecyzowane było również oświadczenie ks. ks. Prałatów Marcelego Nowakowskiego, Seweryna Popławskiego zamieszczone w prasie stołecznej w odpowiedzi prof. Michałowiczowi. W ustępie zasadniczym tej odpowiedzi czytamy:

Teologiczny argument p. profesora o Synu Bożym w ciele semity, specyficznie ujęty, *haeresim sapit* — trąci herezją. Syn Boży „zstąpił z niebios i wziął ciało przez Ducha św. z Maryi Dziewicy i stał się człowiekiem“ (*Credo nicejskie*). Jezus Chrystus prawdziwy Bóg jest zarazem prawdziwym człowiekiem, ale podobnego Mu człowieka na świecie nie było i nigdy nie będzie. Nie przyszedł bowiem na świat semita, ale człowiek dla całej

¹⁾ *Merkuryusz*, 26. XII. 1937.

²⁾ Ks. Maciątek w swym liście do *Merkuryusza* pisze, że Chrystus nie był żydem z ducha i nie był żydem według ciała „krew, rasa, narodowość idzie nie „po matce“ lecz otrzymujemy ją według ciała — właśnie „po ojcu“. Chrystus Pan nie miał ojca na ziemi. Zatem według ciała nie był żydem“. (Mamy tu niezwykle biologiczne *curiosum*, że „dziedziczymy krew tylko po ojcu!“). A Maryja, chociaż była z rodu Dawida, to jednak miała domieszkę rasy nieżydowskiej, gdyż ród Dawida nie był rasowo czysty.

ludzkości, by cała ludzkość w Nim i przez Niego została uzdolniona do zbawienia.

Sądzę, iż pewna niejasność zawiera się w słowach: „nie przyszedł bowiem na świat semita“. Czyżby to miało znaczyć, że Chrystus nie pochodził z narodu żydowskiego?

W każdym razie po powyższych oświadczeniach p. Kobyliński pozwolił sobie na twierdzenie:

Nie istnieje powszechnie obowiązujący dogmat, jakoby Chrystus był żydem z ciała, a tym bardziej z ducha... Rozbieżność bowiem poglądów między teologami jednego Kościoła byłaby nie do pomyślenia.

Zdaniem autora w chrystianizmie płyną dwa prądy: żydowski i aryjski; żydowski, „od wystąpienia Pawła apostoła, czerpie natchnienie ze źródeł synagogi...“ „W tej sprawie teologowie katoliccy zachowują wymowne milczenie“.

W kwestii narodowości Chrystusa zabrała głos i Katol. Ag. Prasowa,¹⁾ przedstawiając jasno dogmat Wcielenia. Muszę jednak zauważyć, że pewne zwroty komunikatu mogą budzić obawę fałszywego zrozumienia kwestii narodowości i charakteru Chrystusa:

Wprawdzie w zewnętrznych stosunkach życia przedstawia się On jako człowiek należący do narodu żydowskiego, bo inaczej nie byłby prawdziwym człowiekiem, z kobiety narodzonym i między ludźmi żyjącym, ale byłby myślą samą tylko, cieniem jakimś, bez świeżości i rzeczywistości życia; właściwość jednak narodowa osłania go tylko zewnętrznie, jako szafa, a nie przenika w Jego wnętrze; narodowe formy Jego życia są dlań tylko środkiem i narzędziem, nie zaś celem i zasadą.

Przyznam się otwarcie, że nie rozumiem tej „narodowości zewnętrznej“. A dalej czyż narodowość „przenikająca wnętrze“ jest czymś obraźliwym lub może moralnie złym? Czyż „cel i zasada Chrystusa“ nie były w pewnym stopniu także narodowe, odnosząc się w pierwszym rzędzie do religijnego i moralnego odrodzenia Izraela?

Niejasne jest również i następujące zdanie:

Uniwersalizm Chrystusa pochodzi stąd, że został On poczęty z Ducha świętego, nie podlegał więc zwykłemu prawu

¹⁾ 5. XI. 1937.

dziedziczności, stanowiącemu podstawę zjawiska, które nazywamy rasą.

Należy zaznaczyć, że uniwersalizm Chrystusa nie wypływa bynajmniej z nadprzyrodzonego poczęcia,¹⁾ które nie zmienia w niczym pełni człowieczeństwa Chrystusa. Chrystus więc przez swą Matkę posiada właściwości fizyczne, jakie Go łączą z narodem żydowskim. Nazbyt śmiałym jest twierdzenie, że Chrystus nie podlega „zwykłemu prawu dziedziczności”. — Jakiej więc dziedziczności podlega? Czyż dziedziczność jest czymś ujemnym? Czyż nie można dziedziczyć cech fizycznie i moralnie dobrych? Jeśli Chrystus nie podlegał zupełnie biologicznemu prawu dziedziczności lub podlegał jakiemuś prawu „niezwykłemu”, to czy możemy wówczas w pełnym tego słowa znaczeniu powiedzieć, że Chrystus pochodzi z narodu żydowskiego?

Z jakiego narodu pochodził Chrystus?

Nacjonalizm polski, do którego należy jutro Polski, o ile pragnie rozwijać się w łóżysku myśli katolickiej, musi przyjąć Chrystusa rzeczywistego, musi uznać katolicyzm pełny bez żadnych zastrzeżeń. Chociaż Chrystus potomek Dawida i Abrahama jest dla wielu rasistów zgorszeniem i głupstwem — nie wolno nam wstydzić się ewangelii! Na pytanie, czy Chrystus był żydem, należy dać prostą, jasną i twardą odpowiedź twierdzącą. A kiedy prof. Michałowicz argumentował przeciwko ghettu z faktu, że Bóg nie wahał się włożyć duszy Syna swego w ciało semity, należało podważyć logikę wnioskowania, lecz uznać za prawdę, że dusza ludzka Chrystusa rzeczywiście została złączona z ciałem semity. W jednej osobie Syna Bożego nastąpiło połączenie dwu natur: boskiej i ludzkiej; żadna z natur przez to połączenie nie utraciła swych właściwości. W całkowitej więc i doskonałej naturze prawdziwego człowieka Bóg się narodził całkowity w swoich właściwościach boskich, całkowity w naszych właściwościach ludzkich.²⁾ Ten sam Chrystus,

¹⁾ Uniwersalizm Chrystusa wynika z Jego Bóstwa i z faktu, że w naturze ludzkiej jest posłańcem Bożym i Odkupicielem ludzkości.

²⁾ *Enchir. symb.* D. B. 143 — list papieża Leona W. do Flawiana.

Syn Boży Jednorodzony „w dwu naturach bez zmniejszania (natur) nieoddzielnie i niepodzielnie musi być uznany bez zatracenia różnicy natur schodzących się w jednej osobie” (Syna Bożego).¹⁾ Chrystus jako Bóg jest Synem Jednorodzonym Ojca Przedwiecznego, pochodzącym odeń w jednej i tej samej naturze Bożej; posiada wszystkie przymioty Boże, jest Stwórcą świata i Stwórcą swej Matki, Stwórcą narodów i państw, a więc nigdy nie jest i nie może być w swej naturze Bożej członkiem żadnego narodu i żaden naród nie ma prawa nazwać Go wyłącznie swym Bogiem narodowym; jest On dla każdego narodu jedynym Bogiem. Syn Boży jednak przyjął postać sługi, stał się człowiekiem, wziął ciało z Matki ziemskiej Maryi, za sprawą Ducha Świętego. Nie ma na ziemi ojca ziemskiego, lecz ma na ziemi prawdziwą Matkę i ten sam, który w naturze Bożej nazywa Boga swoim ojcem, ten sam w ludzkiej naturze nazywa Maryję słodkim imieniem matki. Syn Boży przyjął ciało z określonego narodu,²⁾ który przez długie lata był narodem wybranym. Jasno, wyraźnie i dobitnie stwierdza ten fakt Pismo św. Pominiecie więc tego świadectwa pochodzić może tylko z ignorancji jeśli nie ze złej woli. Przy zwiastowaniu anioł mówi do Maryi:

Oto poczniesz w żywocie i porodzisz Syna, a nazwiesz imię Jego Jezus. Ten będzie wielki i będzie zwany Synem Najwyższego i da mu Pan Bóg stolicę Dawida ojca jego i będzie królował w domu Jakubowym na wieki (Łuk. I, 32—2).

Ewangelia św. Mateusza zaczyna się od słów: *Księga rodzaju Jezusa Chrystusa, syna Dawidowego, syna Abrahamowego* (Mat. I, 1). W liście św. Pawła do Rzymian czytamy, że Syn Boży jako człowiek pochodzi z nasienia Dawidowego. A kiedy św. Paweł wylicza prerogatywy narodu wybranego, wymienia jeden z najpiękniejszych przywilejów: *Których ojcowie i z których jest Chrystus według*

¹⁾ *Enchir. symb.* D. B. 148 — orzeczenie soboru chalced.

²⁾ W encyklice *Mit brennender Sorge* Ojciec św. Pius XI pisze, że ślepotą i pychą „zaprzecza wierze rzeczywistego w ciele objawionego Chrystusa, który przyjął naturę ludzką z tego narodu, który miał Go przybić do krzyża”.

ciała, który jest nad wszystkim Bóg błogosławiony na wieki (Rzym IX, 5).

Nowy Testament jest nierozzerwalnie związany z Testamentem Starym, którego sens, cel i proroctwa mówią o pochodzeniu Odkupiciela z narodu izraelskiego: *Mojżesz zaiste mówił: Proroka wzbudzi wam Pan Bóg wasz z braci waszych jako mnie, onego słuchać będziecie (Dz. Ap. III, 22 — Powtórzonego Pr. 18, 15). Wy jesteście synami prorockimi (kazanie Piotra do żydów) i testamentu, który postanowił Bóg z ojcami naszymi, mówiąc do Abrahama: I w nasieniu twoim będą błogosławione wszystkie narody ziemi (Dz. Ap. III, 25).*

Obietnica dana Abrahamowi i proroctwo Jakuba: *Nie będzie odjęte berło od Judy, ani wódz z biodr jego, aż przyjdzie ten, który ma być posłany, a on będzie oczekiwanem narodów (Gen. 49, 10),* była chlubą i według planów Opatrzności Bożej nadawała sens historii Izraela. Sam Chrystus stosuje proroctwo St. Test. do siebie: *Rozbierajcie pisma... a one są, które świadectwo dają o mnie (Jan V, 39). Bo gdybyście wierzyli Mojżeszowi, podobno byście i mnie wierzyli, bowiem o mnie pisał (Jan V, 46). A począwszy od Mojżesza i wszystkich proroków wykładał im we wszystkich pismach, co o nim było (Łuk. XXIV, 27).*

A więc Chrystus według ciała tj. jako człowiek pochodził z narodu żydowskiego, był semitą z krwi i rasy, był żydem. I sądzę, że nie trzeba zbyt wiele czasu, aby obalić twierdzenie, że Chrystus jako człowiek mógł być aryjczykiem, ponieważ jego Matka pochodziła z Galilei, gdzie ludność pod względem rasowym była mieszana. Chociaż bowiem Maryja mieszkała w Galilei, pochodziła jednak z rodu Dawida; — zauważmy słowa anioła przy zwiastowaniu: *da mu Bóg stolicę Dawida ojca jego.* Ewangelisci pisząc o dziewiczym pochodzeniu Chrystusa podają genealogię Jezusa syna Dawidowego; nie było w zwyczaju podawać rodowodu kobiet, a istniał obowiązek zawierania małżeństw w tym samym pokoleniu, podanie więc rodowodu Józefa wskazywało na rodowód Maryi, a przez nią i Chrystusa. Zresztą niezależnie od tego tłumaczenia mamy całe szeregi tekstów wskazujących najwyraźniej na semickość Chrystusa według ciała.

Powoływanie się dalej na dogmat Wcielenia, aby wykazać za wszelką cenę rozplnięcie się i zanik semickości (jeśliby nawet Chrystus był semitą) jest beznadziejne i pochodzi z braku zrozumienia dwu natur w Chrystusie Panu istniejących razem, lecz niez mieszanych. Semickość Chrystusa nie mogła rozplnąć się w Bóstwie, ponieważ Syn Boży przyjmując ludzką naturę nie zniszczył jej właściwości.¹⁾

O przynależności jednak narodowej i charakterze rozstrzygają w większym stopniu niż elementy somatyczne, czynniki psychiczne. Jakiż był tedy charakter Chrystusa, do jakiej narodowości przyznawał się Jezus?

Jest rzeczą wprost oczywistą, że w charakterze moralnym Chrystusa nie ma żadnych ujemnych cech, tym bardziej więc nie ma wad żyda nam współczesnego, w którego charakterze narodowym miesza się chytrłość niewolnika z butą władcy, mistyka pieniądza i doczesności z religijną wiarą w światowe mesjańskie posłannictwo, a anarchizm ducha i szerzenie rozkładu wśród chrześcijańskich społeczeństw godzi się z jakimś namiętym przywiązaniem do dawnej minionej chwały i skostniałych talmudystycznych formuł. Wstrętny jest dla nas psychiczny typ współczesnego żyda z powodu jego właściwości nie tyle fizycznych ile moralnych, a wstrętniejszy tym bardziej dla Polaka, na którego ojczyźnie żydostwo pasożytuje w tak olbrzymiej masie, nie dając w zamian żadnych trwałych wartości.²⁾ W niechęci zaś Polaka-katolika mieści się zapewne i uczucie urazy w stosunku do narodu, na którego czole widnieje piętno bogobójcy. — Otóż zwolennicy aryjskości Chrystusa pod-

¹⁾ O wyglądzie Chrystusa na całunie turyńskim tak pisze dr Hynek (Święty całun — dr R. W. Hynek — opracował dr Karwowski) „Na udanych fotografiach św. Całunu widzimy przecież wyraźnie zaznaczony orientalny typ twarzy Chrystusa: podłużny, energiczny nos, pełną wyrazu oprawę oczu, wysokie czoło, miękki wąs i dostojną brodę, wreszcie wąskie i ostro zarysowane usta” (str. 112), — cytujemy głównie dlatego, bo zwolennicy aryjskości Chrystusa powołują się na fotografię Chrystusa odbitą na całunie turyńskim, a mającą rzekomo wyrażać typ aryjski.

²⁾ Charakteryzując w ten sposób naród żydowski nie wykluczamy pewnych rysów szlachetnych, uznajemy także w stosunku do żydów możliwość odrodzenia narodowego i religijnego.

świadomie usiłują jakby oczyścić postać Zbawiciela z ujemnych cech występujących w charakterze współczesnych nam żydów.

Tymczasem Chrystus nie miał wad nie tylko żydów dzisiejszych, ale współczesnych sobie ziomków. Obluda i formalizm faryzeusza, obojętność religijna, służalczość i hedonizm saduceusza, nienaturalna surowość i zasklepienie się w sobie esseńczyka były Chrystusowi absolutnie obce i dlatego można o Nim mówić, że wyrasta ponad swój naród i rasę, a cechy jego charakteru są ogólnie ludzkie i ponad narodowe, dla wszystkich czasów i dla wszystkich ludzi: *Albowiem ktobykolwiek uczynił wolę ojca mego, który jest w niebieszech, ten bratem moim i siostrą i matką jest* (Mat. XII, 50). Charakter uniwersalny Chrystusa uwidacznia się jeszcze bardziej w Jego posłannictwie mesjańskim i roli Odkupiciela: *Nauczajcie wszystkie narody...* (Mat. XXVIII, 19), *Albowiem ta jest krew moja nowego testamentu, która za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów* (Mat. XXVI, 28).

Słusznie będzie pisał św. Paweł: *Nie jest Żyd, ani Grezyn, nie jest niewolnik, ani wolny, nie jest mężczyzna, ani niewiasta. Albowiem wszyscy wy jedno jesteście w Chrystusie Jezusie* (Gal. 3, 28). Pomimo jednak, że swoim ludzkim charakterem Chrystus przewyższa swoje pokolenie i wszystkie pokolenia przyszłe, odczuwa żywo wspólnotę ze swoim narodem. Nie znajdujemy co prawda w Ewangeliach wyznania „wiary narodowej” u Chrystusa, mimo to z całą pewnością możemy powiedzieć o fakcie uczuć narodowych u Zbawcy świata, z tym oczywiście zastrzeżeniem, że samo pojęcie narodowości uległo w ciągu wieków znacznym odchyleniom. — Miasto Nazaret jest nazwane ojczyzną Chrystusa: *I przyszedłszy do ojczyzny swej nauczał ich w bóżni-cach ich... i gorszyli się z niego. A Jezus rzekł im: Nie jest prorok bez czci jedno w ojczyźnie swojej, a w domu swoim* (Mat. XIII, 54, 57). Misję swą zaczyna Chrystus od członków swego narodu: *Tych dwunastu posłał Jezus rozkazując im, mówiąc: Na drogę poganów nie zachodźcie i do miast samarytańskich nie wchodźcie, ale raczej idźcie do owiec, które poginęły z domu izraelskiego* (Mat. X, 5—6). Chrystus przyjmuje manifestację narodowo-religijną, którą mu zgotowano

przy uroczystym wjeździe do Jerozolimy: *Hosanna synowi Dawidowemu, błogosławiony, który idzie w imię Pańskie, hosanna na wysokościach* (Mat. XXI, 9); płacze nad świętym miastem Jerozolimą, przewidując jego tragiczny koniec: *A gdy się przybliżyli, ujrawszy miasto płakał nad nim, mówiąc: Iż gdybyś i ty poznało i w ten dzień twój, co ku pokojowi twemu, a teraz zakryte jest od oczu twoich...* (Łuk. XIX, 41—2). A gdy jeszcze dodamy, że cele narodowe Izraela były tak ściśle związane z celami religijnymi, to lepiej zrozumiemy u Chrystusa fakt Jego uczuć narodowych i miłość własnego narodu połączone z misją ogólnoludzką.

Zwolennicy aryjskości Chrystusa powołują się na Ewangelię św. Jana, gdzie żydzi mają występować wobec Chrystusa jako naród obcy,¹⁾ a przecież w tej właśnie Ewangelii Jezus powołuje się jak wykazaliśmy, na proroctwa St. Testamentu. Tak samo w Ewangelii św. Jana narodowość Chrystusa jest uznawana i przez żydów, którzy go sądzą według swego prawa i przez Piłata, który się zwraca do Jezusa jako do członka narodu żydowskiego: *Naród twój i najwyżsi kapłani wydali ci ciebie, coś uczynił?* (Jan XVIII, 35).

Reasumując więc nasze uwagi, możemy obecnie krótko odpowiedzieć na pytanie, czy Chrystus był żydem?

1^o Chrystus w swej naturze Bożej nie był, nie jest i nie może być członkiem żadnego

¹⁾ Np. *Porwali tedy żydzi kamienie, aby go ukamienować* (Jan X, 31). *Jezus chodził po Galilei, bo nie chciał chodzić po żydowskiej ziemi* (Jan VII, 1). *Dlatego żydzi prześladowali Jezusa, że to czynił w szabat* (Jan V, 16). Zwroty te są zrozumiałe, gdy się uwzględni, że czytelnikami Ewangelii św. Jana mieli być głównie nawróceni z pogaństwa.

Zwolennicy aryjskości Chrystusa przytaczają też za dowód słowa Chrystusa: *Co się wam zda o Chrystusie? czyj jest syn? Rzekli mu Dawidów. Rzekł im: Jakóż tedy Dawid w duchu zowie go Panem, mówiąc, Rzekł Pan Panu memu... Jeśli tedy Dawid zowie go Panem, jakóż jest synem jego?* (Mat. XXII, 42—45). Z tekstu miało wynikać, że Chrystus zaprzeczył swemu pochodzeniu od Dawida. — Mielibyśmy w takim razie wyraźną sprzeczność w Ewangeliach, bo Chrystus nie jeden raz jest nazwany w Ewangeliach synem Dawida. Tłumaczenie słów Chrystusa jest zupełnie odmienne a proste. Chrystus poucza w tym miejscu faryzeuszów o Boskim charakterze Mesjasza. Chrystus jako Bóg jest panem Dawida pomimo, iż jako człowiek od niego pochodzi.

narodu, jest bowiem Stwórcą świata i narodów.

2^o Chrystus Syn Boży w ludzkiej naturze, pochodzący za sprawą Ducha Świętego z Maryi Dziewicy jest przez nią potomkiem Dawida, a więc semitą i żydem, jednak bez wad właściwych dawnemu czy obecnemu żydostwu.¹⁾

3^o Chrystus odczuwał wspólnotę ze swoim narodem żydowskim, jednak przez swój charakter ogólnoludzki i mesjański wznosi się ponad wszystkie narody i należy do wszystkich narodów.

Żydowskie ghetto.

Teoria „aryjskości” Chrystusa jest jedynie próbą uzgodnienia koncepcyj rasistowskich z religią chrześcijańską i jedną z metod walki antyżydowskiej.

Tymczasem sprawa ghetta żydowskiego nie powinna mieć nic wspólnego z fałszywą i niekatolicką teorią o rzekomej aryjskości Chrystusa.

Przez „ghetto” rozumiemy całkowite wyodrębnienie i usunięcie żydów ze społeczności aryjskiej. Wszelka infiltracja wpływów Izraela w dziedzinie religijnej, społecznej, naukowej, artystycznej, gospodarczej na społeczność aryjską i w ogóle jakiegokolwiek możliwe z nią związki powinny, w myśl założeń „ghetta”, zniknąć. Żydostwo jednak, przynajmniej do czasu (przypuśćmy do okresu zupełnej emigracji), otrzymałoby możliwość rozwoju w swoich szkołach, teatrach literaturze i organizacjach.

Czy ghetto pojęte tak obszernie jest sprzeczne z ideologią katolicką i czy nauka Kościoła potępia ideę wyodręb-

¹⁾ Spotkałem się z takim dowodem aryjskości Chrystusa: dziecko z małżeństwa mieszanego nie należy całkowicie do rasy jednego z rodziców, a więc i Chrystus poczęty z Ducha Świętego nie może być nazywany żydem. Sposób dowodzenia wskazuje do jakiego stopnia może być prawda zaciemniana! — Wszak jest chyba rzeczą całkiem jasną, że działanie Ducha Św. jest nadrzędne, nadludzkie, w niczym nie podobne do funkcji ziemskiego ojca; a następnie Duch Święty nie stworzył ciała Chrystusa — Chrystus nie jest stworzony, lecz urodzony z Maryi.

nienia żydów ze społeczności chrześcijańskiej? Sądzymy, że nie, ale oczywiście z pewnymi zastrzeżeniami. I tak gdyby „ghetto” podważało którykolwiek z dogmatów chrześcijańskich, jak np.: o powszechnym odkupieniu rodzaju ludzkiego, o pochodzeniu Chrystusa według ciała z narodu żydowskiego, o możliwości nawrócenia żydów itp., gdyby następnie było powodowane nienawiścią a w praktyce uniemożliwiało przejście żyda do społeczności chrześcijańskiej (nie mówię do narodowości obcej), byłoby moralnie złe i potępione przez Kościół.

Ale spróbujmy dać odpowiedź bardziej pozytywną, formułując pytanie: czy w niektórych wypadkach „ghetto” może być *n a k a z a n e* przez naukę chrześcijańską? Sądzymy, że tak. Kościół i społeczeństwo świeckie mają prawo do obrony wiary i obyczajności chrześcijańskiej przed czynnikami rozkładu duchowego, a jak historia świadczy żydzi w wysokim procencie są elementem anarchii, rozsiewają i popierają ateizm oraz wyuzdanie obyczajowe.¹⁾ Dokumentów z historii Kościoła (deklaracje papieży i synodów²⁾ o złych wpływach żydostwa) i z czasów obecnych (udział żydów w akcji komunistycznej, wywrotowej oraz bezbożniczej) posiadamy aż nadto. Ghetto całkowite może więc być polecone jako środek obrony; należy jeszcze wziąć pod uwagę, że miłość własnego narodu, który jest jednym z największych dóbr doczesnych, wynika z prawa natury i z nakazu etyki chrześcijańskiej, miłość zaś winna w praktyce tworzyć i pomnażać dobro narodowe a zarazem wzmacniać zręby indywidualności narodowej i bronić przed wpływami,

¹⁾ Nie jest zadaniem niniejszego artykułu podawać spis książek i broszur mówiących o roli żydostwa w świecie, warto jednak polecić pracę: *Israel, jego przeszłość i przyszłość* — H. de Vries Heckelingen; — przy końcu tej książki znajdujemy obszerny wykaz literatury żydoznawczej.

²⁾ Polski ostatni synod plenarny odbyty w Częstochowie w rozdziale XIII, dekrete 122 nakłada na katolików obowiązek walki o katolicką szkołę wyznaniową i obowiązek troski, aby w obecnych szkołach wiara i obyczajność młodzieży nie były podrywane przez koedukację i współżycie młodzieży katolickiej z żydowską (*neve alumnorum fides et morum honestas in discrimen vocentur incongrua coeducatione et commixtione iuventutis catholicae cum iudaeis*).

które rozbrajają duchowo naród, prowadząc do zatracenia swoistego oblicza kulturalnego. Fakty zaś wykazują niezbicie, że Izrael wnosi rozkład narodowego ducha lub w najlepszym razie nie tworzy w duchu i z ducha narodu; nakaz więc miłości ojczyzny może wymagać, aby żydostwo zostało wyodrębnione z narodowej społeczności. Czy zaś obecnie nadszedł już moment, w którym ogólne ghetto bez wstrząsów i bez naruszenia etyki chrześcijańskiej może i powinno być wprowadzone? — oto problem nad którym warto zastanowić się głęboko oraz wszechstronnie, aby zamiast lekarstwa nie znaleźć trucizny w zbyt szybkim rozwiązywaniu kwestii żydowskiej.

W Polsce „ghetto” ustawowo nie istnieje, a życie kulturalne i gospodarcze było i w dużej mierze jest dotychczas wolną domeną Izraela; inteligencja żydowska w znacznym odsetku uprawiała i uprawia swobodne ideowe harce, rzucając błyskotliwe hasła: humanitaryzmu, wolnej myśli, swobody seksualnej, „postępu”, stosując lekką, a zjadliwą ironię w zwalczaniu „klerykałów i antykulturalnych huliganów z obozu narodowego”; należy też przyznać, że tupet żydowski połączony ze snobizmem stwarzały w Polsce typ Polaka nie myślącego i nie czującego po polsku. Pod wpływem przeobrażeń ideowych, szczególnie wobec wzmożonego ruchu narodowego, miłość narodu mimo wszystko nie dała się zagłuszyć szumnymi frazesami postępowych międzynarodówek. Młodzież akademicka — żywy sejsmograf przemian ideowych — pierwsza zareagowała i nie mogąc stworzyć właściwego ghetta, szuka symbolu, pchana zdrowym w zasadzie instynktem, a za taki symbol uważa ghetto ławkowe. Przypuszczam, iż myślą się ci, którzy ghetto ławkowe traktują jako niepoważny wybryk młodzieży i niecelowy środek obrony przed zalewem żydowskim. W dobie bowiem panowania sierpa z młotem, swastyki i różgi liktorskiej miłość i pragnienie symbolów narodowych rośnie u młodzieży polskiej, zakazy nie pomogą wiele, młodzież bowiem polska uważa ghetto ławkowe za jeden z symbolów odrodzenia narodowego i dlatego tak zawzięcie walczy, chociaż dla wielu z jej profesorów o dawnym liberalnym pokroju i liberalnych kategoriach myślenia idea ghetta, tak

gorąco przez młodzież umiłowana, jest jedynie żakowskim wybrykiem i pustym frazesem.

W walce o ghetto ze strony zwolenników i przeciwników przytaczano chrześcijański dogmat Wcielenia i w tym nie widzimy nic złego, a raczej spostrzegamy fakt pocieszający, że przejawy współczesnego życia są rozpatrywane w świetle wiary; popełniono jednak w argumentacji pewne nieścisłości, na które mamy obowiązek wskazać, w przeciwnym bowiem razie sam dogmat zostałby zaciemniony, nawet podważony.

Tok rozumowania przeciwników ghetto moglibyśmy przedstawić następująco: Chrystus jest żydem (skoro nie wahał się Bóg włożyć duszy Syna swego w ciało semity...), a więc ghetto należy potępić, ponieważ usuwanie się od żydów jest usuwaniem się od Chrystusa — „jeśli nas przesadzacie na lewą stronę, usuniecie i krzyż, bo i ukrzyżowany był żydem“.

Zwolennicy zaś ghetto próbują, jak widzieliśmy wyżej wykazać, że Chrystus jest, lub może być aryjczykiem lub przynajmniej, że „człowieka podobnego Chrystusowi na świecie nie było i nigdy nie będzie, nie przyszedł bowiem na świat semita...“ a więc Chrystus nie był w właściwym tego słowa znaczeniu semitą i w takim razie ghetto ławkowe jest dopuszczalne.

Rozumowanie i w jednym i w drugim wypadku jest błędne, gdyż fakt, że Chrystus pochodził jako człowiek z narodu żydowskiego nie łączy się żadną miarą z charakterem etycznym lub nieetycznym ghetto ławkowego. Powoływanie się na Chrystusa przez przeciwników ghetto miałoby sens tylko wówczas, gdyby ghetto ławkowe musiało koniecznie być symbolem nienawiści rasowej i wyrządzało krzywdę żydom, gdyby było całkowitym potępieniem narodu żydowskiego jako takiego, a nie słuszną tylko obroną przed wpływami, jakie są uznane za szkodliwe dla życia danego narodu. Katolik nie może zwalczać rasy semickiej jako takiej; młody nacjonalista polski nie powinien bezkrytycznie przyjmować teorii rasy *made in Germany*.¹⁾

¹⁾ Nie chcemy tu oceniać krytycznie podstaw naukowych skrajnego rasizmu, który rzeczywiście jest mitem; mamy w tej materii doskonały

Każda rasa ma swe zalety i wady psycho-fizyczne; nie zwalczamy bynajmniej żydów dlatego, że są żydami, lecz pragniemy tylko usunąć uciążliwych i szkodliwych imigrantów, których przez wieki z niemałym poświęceniem gościliśmy w naszej ojczyźnie; nie walczymy z człowiekiem, lecz z jego wadami. Rasa semicka nie jest zła, bo Bóg złożył duszę Syna swego w ciało semity, ludzie rasy semickiej są odkupieni przez Chrystusa i za nich Chrystus krew swą przelał. — Jeden jest Bóg dla wszystkich narodów i jeden Pośrednik Chrystus Jezus. W poglądzie zatem, że obrońcy ghetta ławkowego nie będą mogli pogodzić swego stanowiska z wiarą w Chrystusa pochodzącego w ludzkiej naturze z narodu żydowskiego, tkwi podświadomie teoria pogańskiego rasizmu — Chrystus nie mógł być żydem, gdyż żydzi są rasą niższą.

Argumenty za ghettem ławkowym, czy nawet szerzej pojętym, można pełną dłonią czerpać i z historii i z życia współczesnego, należy jednak w walce z żydostwem pilnie baczyć, aby nie dostały się do Polski i nie zaczęły panować niechrześcijańskie teorie i nieetyczne metody walki. Chrystus, który jest położon na upadek i powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwiać się będą, niech będzie dla nas kamieniem granicznym odgradzającym katolicką Polskę od dialektycznego materializmu Sowietów i zamaskowanego materializmu rasistycznego w Niemczech, od nienawiści rasowej i od nienawiści klasowej.

rozdział (Tomizm wobec współczesnej filozofii dziejów) w książce *Nie-znanemu Bogu* — Ks. prof. K. Michalskiego.

Ks. dr Wincenty Granat

Prof. Sem. Duch.

Sandomierz, 5. I 1938.

Bezbożnictwo sowieckie.

Bezbożnictwo jest w bolszewickiej Rosji elementem stałym. Zmieniają się pojęcia w różnych sprawach u władców czerwonego Kremla, ulegając częstokroć zasadniczym nawet modyfikacjom, na punkcie jednak uznania istnienia Stwórcy wszechrzeczy, Jego stałej interwencji w sprawach świata i w ziemskich oraz poza ziemskich losach człowieka, trwa od samego początku zapanowania marksizmu w Rosji, aż po dzień dzisiejszy, zasadnicza i niezmienna negacja.

Czy jest jakieś ścisłe *junctim* pomiędzy marksizmem a bezbożnictwem? Jeżeli będziemy ujmować zagadnienie w płaszczyźnie rozumowania nie doprowadzonego do końca, względnie jeśli podejmiemy do niego ze strony tylko zjawiskowo-praktycznej, to *junctim* takie nie istnieje. Chcę przez to powiedzieć, że żyją na świecie, zwłaszcza w krajach kulturalnych, o głębszym podłożu psychicznym, miliony socjalistów-marksistów wierzących w Boga, uznających świat religijny i pozagrobowy, socjalistów, którzy by nawet czuli się dotknięci, gdybyśmy na zasadzie, iż są przecież wyznawcami marksizmu, poczytywać ich chcieli za bezbożników świadomych lub nieświadomych, względnie torujących choćby pośrednio drogę ideokierunkowi bezbożniczemu.

Byłoby oczywiście nonsensem wmawiać w ludzi wierzących, że w konsekwencji swojej drugiej wiary, tej ziemskiej: marksizmu, wzmacniają prąd bezbożniczy na ziemi — skoro samo podobne postawienie sprawy wydać by im się mogło przewrotnym i zgoła sprzecznym z istotną rzeczywistością. Marksizm intelektualny, zwłaszcza nie sięgający w głąb nauki swego mistrza, ten bezdynamiczny i powierz-

chowny, do którego przyznają się organizacyjnie, a nawet ideowo miliony ludzi na świecie, nie wnosi z sobą w atmosferze kultury chrześcijańskiej bezbożnictwa, a przynajmniej, jeśli to czyni, to w stopniu tylko nieznacznym, uchodzącym uwagi zwłaszcza powierzchownych obserwatorów.

Zdefiniowanie stosunku marksizmu statycznego do bezbożnictwa jest zagadnieniem bardzo trudnym i to z wielu względów. Po pierwsze dlatego, że w pewnych okresach historycznych, w środowiskach marksizmu statycznego mimo wszystko zaczyna się tworzyć marksizm dynamiczny, a ten ma już wyraźne podszycie ateistyczne; po wtóre, marksizm statyczny w niektórych krajach wnosi w tłum swych wyznawców bezbożnictwo wprawdzie statyczne ale w dość znacznych rozmiarach, w innych zaś krajach wpływ ten będzie minimalny, bo reakcja na zagadnienia religijne zależy w wysokim stopniu od psychiki szerokiego tłumu danego narodu. Inaczej reagują na określone idee i doktryny synowie Albionu, inaczej Francuzi, a jeszcze inaczej Polacy.

Faktem jest na przykład, że wybitny socjalista-niepodległościowiec, Józef Piłsudski, był mimo wszystko człowiekiem wierzącym. Wprawdzie jego marksizm był zjawiskiem okresowym i wówczas, gdy Piłsudski wkroczył na szeroką arenę historyczną, autentycznym marksistą już nie był, a formalne rozstanie się z socjalizmem nastąpiło w wiele lat po rozstaniu się faktycznym, tym niemniej Piłsudski był kiedyś zdecydowanym marksistą, a jednak fakt ten nie zabił w nim doszczętnie przekonań oraz uczuć religijnych, chociaż w jego otoczeniu było dość wielu ateuszków statycznych, a nawet nie brak było i jednostek o dość wyraźnym dynamizmie ateistycznym.

Inaczej jednak przedstawi się kwestia, jeżeli rozpatrywać będziemy istotę marksizmu; jeżeli tym samym wejdziemy w głąb zagadnienia. Ideolodzy socjalizmu Marx i Engels nie zajmowali się specjalnie sprawami religii, leżały one na peryferiach ich zainteresowań, poświęcali im mało miejsca w swych obszernych wywodach ekonomiczno-społecznych, stąd jedynie bardzo biegli w pismach swych mistrzów stykali się z ich areligijnością i bezbożnictwem. Tym chyba tylko można tłumaczyć fakt, iż od czasu po-

wstania doktryny po dzień dzisiejszy, istnieje tylu marksistów wierzących. Natomiast nie ulega wątpliwości, że wówczas, gdy Marx i Engels wychodzili ze swej rezerwy w sprawach religijnych, wystąpienia ich były na wskrós antyreligijne, tak, że marksiści dynamiczni — bolszewicy sowieccy — nie potrzebują zadawać sobie żadnego trudu w wyszukiwaniu tekstów antyreligijnych swych bezbożniczych mistrzów.

To co przez wiele lat leżało niejako odłogiem, niezużytkowane przez marksistów statycznych, wyszło obecnie na jaw w całym swym splendorze, gdy marksiści dynamiczni doszli do władzy w Rosji i wyzbywszy się wszelkich „przesądów przeszłości”, zaczęli wprowadzać w czyn, w sposób totalny, doktrynę swego mistrza, łącznie z jej bezbożniczą ideologią.

Przy światopoglądzie na wskrós materialistycznym, a światopogląd marksowski takim jest właśnie, pojęcie Boga, życia pozagrobowego, wszystkiego tego co łączy i sprzęga widzialne z niewidzialnym, staje się wynikiem „chorobliwej imaginacji” umysłu ludzkiego, tym szkodliwszej, że jak głosi doktryna, służącej za narzędzie „klasom posiadającym” do wyzyskiwania klasy robotniczej.

I tu znajdujemy się u źródła zagadki, w związku z którą, z jednej strony miliony np. angielskich laburzystów są ludźmi w swej ogromnej większości religijnymi, z drugiej zaś strony Rosja, gdzie zapanowała totalnie doktryna Marxa, staje się szampionem wojującego, dynamicznego bezbożnictwa.

Przyznać trzeba, że jeżeli kto stanie na płaszczyźnie doktryny Marxa, z całym istotnym i konsekwentnym uświadomieniem sobie tego wszystkiego, co wraz z często maskowanymi peryferiami doktryna ta w sobie kryje — stać się musi nie tylko ateuszem statycznym, indyferentnym, lecz w pełni słowa tego znaczeniu bezbożnikiem wojującym.¹⁾

W niektórych krajach, a między innymi i w Polsce, marksizm w wydaniu socjalistycznym, kwestię wierzeń religijnych pozostawia teoretycznie na uboczu, twierdząc, że jest

¹⁾ Cfr. *Przegląd Powszechny*, lipiec-sierpień 1937, art. ks. E. Kosiłowicza T. J.: „Ideowe źródła współczesnego bezbożnictwa”.

to kwestia, którą należy pozostawić sumieniu każdego towarzysza partyjnego. W tym wypadku, sprawa religii pozostaje nadal na peryferiach, z tym, że w praktyce więcej się obecnie o tych peryferiach mówi, a raczej, że silniej niż dawniej, zaczyna z nich wyzierać na światło dzienne ateuszcowska strona ideologii Marxa. Postęp w tym kierunku jest widoczny, jakkolwiek programowo w tej dziedzinie nic się u socjalistów nie zmieniło i każdy z członków partii wyznawać może co chce, może być zarówno dobrze jawnym i agitującym ateuszem, jak wierzącym katolikiem, muzułmaninem, czy żydem. Partia jest pod tym względem bardzo liberalną, z czego umiejętnie korzystają przede wszystkim aktywne elementy bezbożnicze.

Faktem jest niewątpliwym, iż w czasach współczesnych, socjalizm stał się jedną z najlepszych pożywek dla rozwoju bakterii początkowo ateizmu statycznego, a następnie bezbożnictwa wojującego.

Bezbożnictwo wojujące ześrodkowało jednak swą akcję przede wszystkim w Rosji. Marksizm bowiem, pomijając jego czasowe panowanie w Hiszpanii i skrzepowany katolickim środowiskiem słabszy dynamizm w Meksyku, doszedł do władzy trwałej i wyłącznej jedynie w Rosji, stąd też tam jedynie mogła się jego doktryna rozwinąć w całej swej okazałości, łącznie z ateistycznymi peryferiami, które w swoim programie zawiera. Przy tym ziarno ateistycznego marksizmu, z nastaniem rządów czerwonych carów, padło w Rosji na grunt zawczasu dobrze przygotowany i to nie tylko przez przesłańców wojującego marksizmu, lecz również i przez wieki panującego despotyzmu, którego jednym z narzędzi była uległa mu cerkiew prawosławna. Nie potrafiła ona w ciągu wieków zaszczerpić w szerszych masach czynnego chrześcijaństwa i zadawała się zazwyczaj zachowywaniem martwej litery prawa.

G. Welter poruszając to zagadnienie, w ten sposób ujmując swój sąd syntetyczny:

Cerkiew prawosławna była kościołem, który nie potrafił stworzyć prawdziwej moralności, ponieważ ograniczył swoje nauczanie do ustosunkowania swoich wiernych jedynie do Bóstwa, nie rozciągając go do stosunków wzajemnych między ludźmi...

duszą, które pragnęły żywego chleba, pop dawał jedynie wystygły kamień swojej religii.¹⁾

A wielki znawca historii Rosji, Jan Kucharzewski zaznacza:

Począwszy od końca XV do połowy XVI wieku trzy hierarchowie cerkwi moskiewskiej, Józef, Daniel i Makary, stopniowo dokonali dzieła poddania cerkwi pod kierownictwo cara. Przykład dał ihumen... Józef Sanin, wróg mędrkowania, zwolennik ślepego posłuszeństwa i ścisłego związku kleru z państwem. „Matką wszelkich chuci jest rozumowanie” — tak formułował myśl Józefa jeden z uczniów jego. Józefińcy (josiłianie) domagali się srogich kar na mędrków i odstępców, a do tych zaliczali każdego, kto śmiał myśleć, zamiast powtarzać ślepo tekst ksiąg, uznanych za święte. Tępilli oni w cerkwi myśl i uczucie, zastępując je formą, literą, obrzędem. Czynili z cerkwi instytucję państwową, opartą na rozkazie i ślepej subordynacji. Szerzyli zasadę dogadzania władzy carskiej, twierdząc, że oddają cesarzowi to, co jest cesarskie; niezgodnie z duchem chrześcijaństwa rozszerzali zakres tego, co cesarskie, a coraz bardziej zwężali dziedzinę boską.²⁾

W tych warunkach, jak pisze Kucharzewski:

...Car zyskał posłuszne i potężne narzędzie w klerze i oddał w politycznym działaniu traktował cerkiew, jako narzędzie swej władzy.

Duchowieństwo prawosławne, które na równi z bojarstwem, mogło w dawnych czasach mieć pewien wpływ na bieg spraw państwowych, samo się niejako zdegradowało.

Na zapytanie cara o radę, głowa kleru, od roku 1589, odpowiadał, iż car i jego doradcy w swojej głębokiej mądrości lepiej znają się na sprawach państwowych od duchowieństwa, które oddane jest służbie bożej i zamiast udzielać rad, wspierać będzie czyny rządu swymi modłami. Potem dla formy, komunikowano duchowieństwu projekty praw i postanowień carskich; wyrażało ono natychmiast swą zgodę i błogosławiąc cara, opuszczało salę posiedzeń.

W ten sposób, jak zaznacza Kucharzewski:

Duchowieństwo, idąc w ślady Józefa Sanina, poszło na rękę caratowi, postawiło literę i obrzęd ponad ducha wiary, a ponieważ, kler moskiewski konserwował ciemnotę i dzikość swej

¹⁾ G. Welter: *Histoire de la Russie Communiste*.

²⁾ Jan Kucharzewski: „Od Białego Caratu do Czerwonego” T. I. str. 17, 18, 27, 30, 31, 136.

owczarni, jako stan miły Bogu i cerkwi; na tak uprawianym przez wieki gruncie, musiały zakwitnąć wszystkie przywary barbarzyństwa.

W Rosji, za czasów carskich, nastąpiła, niemal że idealna symbioza, pomiędzy państwem, a kościołem prawosławnym. Totalno-niwelująca władza „białych carów” podporządkowała sobie niemal całkowicie cerkiew, która stała się niejako jednym z resortów maszyny państwowej. Ścisła łączność caryzmu z cerkwią, niski poziom moralny i umysłowy ogromnej większości duchowieństwa prawosławnego, odstręczać musiały nie tylko sfery inteligencji ale i szerokie masy ludu, od wszystkiego, co pogłębia życie religijne, oczyszcza je z intrygi ludzkich interesów, zaprawia do zwycięstwa w konfliktach.

Cerkiew prawosławna, jako całość organizacyjna nie wskazywała tej szczytnej drogi. Przeciwnie jak podkreśla Kucharzewski:

Cerkiew rzuca na szalę carsławia całą wagę swej potęgi, miesza cześć Boga z cześcią cara, uznając cara za namiestnika Boga na ziemi, wiąże go z poddanymi węzłem religii. Dym kadzideł, wśród którego rozbrzmiewają modły za cara, mroczy wśród ludu resztki jasnego sądu, jakie ocalały z oparów wódki i przesądów ciemnoty.

Samowładztwo, despotyzm polityczno-religijny, obrzędowy formalizm i brak głębszej moralności wytworzyły w ciągu długich wieków w narodzie rosyjskim stan istotnie areligijny, tak że gdy z carskim reżimem politycznym, zawałił się i jego „religijny departament”, prawosławie poczęło ulegać rozkładowym wpływom nowego reżimu. Oczywiście byłoby zarówno przesadą jak i niesprawiedliwością w stosunku do narodu rosyjskiego twierdzić, że religia znikła kompletnie i bez reszty z horyzontu myślowego tego nieszczęśliwego narodu. Uczucia religijne zbyt mocno tkwią korzeniami w duszy ludzkiej, aby można je było wytrzebić jednym ukazem władzy politycznej, czy nawet okrutnym terrorem. Tym niemniej jednak z nastaniem reżimu marksowsko-ateistycznego wiara w Boga o wiele silniej została podważona w Rosji, aniżeli mogłoby się to stać w każdym innym, katolickim kraju. Sytuacja była tym bardziej tragiczna,

iż właśnie w Rosji nie przystąpił do walki z religią marksizm rozcieńczony w otoczeniu kultury chrześcijańskiej i podlegający mimo wszystko jej wpływowi, ale silny, dynamiczny rewolucyjny komunizm, realizujący bez żadnych odchyśleń wskazania swego ateistycznego mistrza. Komunizm totalny musiał siłą swej logiki zastosować całość doktryny Marxa, zawierającej w sobie ideologie istotnego bezbożnictwa.

„Religia, to opium ludu”, głosił Karol Marx; a najwięksi i najpotężniejsi realizatorzy jego doktryny z Leninem na czele, przyjąwszy raz tę konsekwentnie z systemu płynącą zasadę, starali się czynić wszystko, aby naród rosyjski wyzwolić spod wpływu tego „zła i trucizny”. „Moje zdanie o religii — wywnętrza się marksista, komunista Borin¹⁾ — jest zupełnie określone; religia jest największym złem. Należy z nią walczyć jak najwytrwalej, aby wyzwolić z religijnego otumanienia masy pracujących, specjalnie chłopów-kołchozników”.

W tym też kierunku rozpoczęła się energiczna a w perfidne pozory osłonięta kampania. Przywykła od wieków do cesaropapizmu Cerkiew nie stawiała większego oporu. Jak dawniej carowi, przyszła pokłonić się teraz koryfeuszowi bezbożnictwa, Leninowi. Jej reprezentantów przyjął Uljanow z nieukrywanym szyderstwem. Miał on rosyjski proletariatusobą, który tak samo jak opuścił cara, opuścił i jego religijno-cerkiewny departament. Tak rozpoczęła się tragedia rosyjskiego prawosławia.

Jeżeli chodzi o scharakteryzowanie istotnych cech komunistycznego bezbożnictwa, to na pierwszym miejscu trzeba wymienić jego wprost demoniczną nienawiść, decyzję zniszczenia tego wszystkiego co miałoby odwagę stanąć w poprzek ideowym jego zamierzeniom. Ze zniknięciem z myślowego horyzontu Rosjanina „opium ludu”, wylało się na Rosję całe morze nienawiści.²⁾ Marksowski dogmat walki klas odegrał w pierwszych momentach rewolucji zasadniczą rolę wydobycia na wierzch olbrzymich zasobów nienawiści. Marksizm wykazał masom rosyjskiego proletariatu kon-

¹⁾ „Antireligioznik” nr 10. 1937 r. str. 41.

²⁾ Patrz „Zasady komunizmu a rzeczywistość”, *Przegl. Powsz.* nr 12, 1937 r., str. 342.

kretny obiekt tej żywiołowej nienawiści. I zaczęła płynąć krew i płynie do dnia dzisiejszego. Walka o władzę i dobra doczesne nie byłaby dała nigdy tak krwawych rezultatów, gdyby nie stojące za nią bezbożnictwo, które, dla swych adeptów, zniosło wszelkie granice między dobrem a złem.

Światopogląd bezbożniczy nie uznaje dalej żadnej władzy moralnej. W związku z tym, każda jednostka czuje się swobodną pod względem moralnym w działaniu. Żadne zapory moralne nie stoją na drodze jej wyłącznie ziemskich apetytów. Tam zaś, gdzie nie ma norm jakościowych, jedynie brutalna siła może normować wypadki, podporządkowywać jednych ludzi drugim. Stąd drugą cechą charakterystyczną bezbożnictwa, gdy posiada już dostateczną siłę, jest stosowanie przemocy. W ciągu długotrwałej „walki klas”, tłum rosyjski zaprawił się w wyższym, aniżeli za czasów carskich, stopniu do stosowania i znoszenia przemocy, czyli coraz bardziej nabywał jedną z zasadniczych cech bezbożnictwa.

Przemoc tę zastosowano też w dziedzinie ducha, by w masach zabić sumienie i usunąć z umysłów wszelkie wartości nadziemskie, na których opiera się religia. Zohydzono wszelkimi środkami duchowieństwo, czyniąc z niego „wrogów klasowych”, wrogów ludu i rewolucji. Do dziś dnia, pomiędzy „psami trockistowskimi” i „szpiegami bucharinowskimi”, umieszcza się zawsze w bezbożniczych pismach agitacyjnych duchownych wszystkich wyznań.

Ale nie zadowolono się zniszczeniem zewnętrznej organizacji religijnej i jej ośrodków. Siłą logiki materializmu zdynamiczowanego heglowską dialektyką, wydano walkę samemu pojęciu Boga i związanej z tym pojęciem wszelkiej religii.

Już w 1905 r. ogłosił Lenin swój program antyreligijny:

Religia nie jest prywatną sprawą dla socjalistycznej partii proletariatu. Nasza partia jest związkiem świadomych bojowników dla oswobodzenia klasy robotniczej. Taki związek nie może i nie powinien odnosić się obojętnie do nieuświadomienia, ciemnoty i kołtuństwa pod postacią wierzeń religijnych... Założyliśmy nasz związek... między innymi, właśnie dla walki z religijnym otumanieniem robotników. Dla nas walka ideowa nie jest prywatną, a ogólnopartyjną i ogólnoproletariacką sprawą.¹⁾

¹⁾ Lenin: „Socjalizm i religia” 1905 r.

Te hasła były motorem antyreligijnej akcji Lenina, gdy stanął u steru władzy. Widząc wraz z Marxem w religii tylko „westchnienie zgniecionego stworzenia, duszę bezkrwistego świata i bezdusznego bezkresu“, wypowiedział jej walkę na śmierć, niszcząc i zamykając kościoły, cerkwie i synagogi oraz szczepiąc przede wszystkim ateizm za pomocą szkół i jak najwszechstronniej zorganizowanej propagandy.

Idąc wiernie śladami Lenina, Stalin ogłosił we wrześniu 1927 r. identyczny program:

...prowadzimy propagandę przeciwko zabobonom religijnym i będziemy ją prowadzić. Partia nie może być neutralną w stosunku do religii, prowadzi ona antyreligijną propagandę przeciwko wszelkim i wszystkim religijnym przesądom, dlatego, że stałe po stronie nauki, a nauka zwraca się przeciwko religii, ponieważ każda religia jest czymś sprzecznym ze zdobyczami nauki... Partia... będzie prowadziła propagandę przeciwko tym przesądom, ponieważ jest ona jednym z właściwych środków podważania wpływu reakcyjnego duchowieństwa, podtrzymującego klasy eksploatujące i głoszącego uległość wobec nich. Partia nie może być neutralną wobec głosicieli religijnych przesądów, w stosunku do reakcyjnego duchowieństwa, zatruwającego uświadomienie mas pracujących... Bywają wypadki, że ten lub ów spośród członków partii przeszkadza stopniowemu rozwijaniu propagandy antyreligijnej. Jeżeli takich członków wyklucza się z łona partii, to czyni się bardzo dobrze, ponieważ dla takich „komunistów“ nie ma miejsca w szeregach naszej partii.¹⁾

Akcja bezbożnicza Stalina odpowiedziała w całej pełni w okresie panowania czerwonego dyktatora, tej programowej deklaracji.

Wiosną r. 1937 ten arcykapłan bezbożnictwa w następujący sposób przemawiał na zebraniu komunistycznej młodzieży:

Musicie strzec się, aby nie ośwładnęły wami obce wpływy, zwłaszcza wpływy religijne. Musicie stać się bezbożnymi. Kto jest bezbożny, ten jest prawdziwym komunistą. Jeśli zaś myślicie o Bogu, popełniacie zdradę rewolucji i zdradę dyktatury komunistycznej. Ja sam jestem bezbożny i przekonałem się, że komunizm razem z bezbożnictwem są etapami do prawdziwego socjalizmu.

¹⁾ Stalin: *Biasieda pierwszej amerykańskiej raboczej delegaczej*. 1927.

Ten etap bezbożnictwa realizował Stalin przede wszystkim brutalną przemocą, bezwzględny terror, pomimo pozornego liberalizmu sowieckiej konstytucji, głoszącej wolność sumienia.

Ale obok przemocy zastosowano trzeci środek, złożony z istotą bezbożnictwa, mianowicie na gigantyczną skalę wyreżyserowane kłamstwo.

W propagandzie bezbożniczej przyjęto za pewnik, którego nie potrzeba zupełnie dowodzić, rzekomy fakt, że nauka jest zaprzeczeniem religii, a religia wrogiem nauki. Na tym „pewniku”, oparli wojujący ateusze Rosji swój bezbożniczy system.

Istnieje cały arsenał „chwytów myślowych”, podlanych obficie sosem ordynarnego kłamstwa, którym, czasem dość zręcznie, operują wojujący bezbożnicy, propagując swą ideologię. Zdziwiłby się zapewne ks. kanonik Mikołaj Kopernik, ten co to z „białej polskiej ziemi” pochodził i na Warmii swoje wielkie odkrycia o krążeniu ciał niebieskich poczynił, że jest przez bezbożników moskiewskich użyty jako potężny taran przeciwko Bogu. Kopernika mianowano prawie, że honorowym bolszewikiem. Jeżeli ktoś zupełnie bezkrytyczny przeczyta w *Antyreligiozniku* artykuł: *Moszczone orudje antyreligioznej propagandy*,¹⁾ to może dojść do wniosku, że ks. Kopernik „wywrócił Pana Boga”, a jeżeli za ten czyn nie został przez ówczesnego papieża zgładzony, to tylko dlatego, „że umarł na drugi dzień, po wypuszczeniu swojej książki w świat” (tłumaczenie dosłowne).

Bezbożnictwo sowieckie w swojej propagandzie walczy niesamowitymi bredniami, których same cytaty starczyły na grubą książkę. Brednie te przeplatane są pospolitym kłamstwem, bo bezbożnictwo musi opierać się na kłamstwie. Przeciwno tym fałszom oczywiście nikt nie protestuje, bo któż i gdzie może protestować? Wszak w Rosji marksowsko-totalnej nie ma swobody słowa, myśli, sumienia; wielomilionowy naród siedzi szczelnie zamknięty w trumnie światopoglądu marksowskiego. Niechby się ktoś odważył, wskazać na różne oczywiste kłamstwa bezbożniczej propa-

¹⁾ *Antyreligioznik*, nr 10, 1937 r., str. 34.

gandy, a od razu uznany zostanie „za wroga klasowego”, i zlikwidowany, bo tak samo jak prawosławie było jednym z resortów rządu carskiego, tak bezbożnictwo jest jednym z departamentów rządu Wodza proletariatu światowego. Analogia jest całkowita.

Jakież rezultaty przynosi dla narodu rosyjskiego działalność bezbożnicza? — Temat to zbyt rozległy, by można go wyczerpać w formie szkicowej notatki. Podkreślimy więc tylko niewątpliwy fakt, że przemoc, despotyzm, absolutny brak moralności, system drakońskich kar dla opornych i szczodrych nagród dla prawowiernych wobec Wodza proletariatu i totalnej ideologii marksowskiej czynią swoje; „propaganda” natomiast działa o wiele słabiej i to z bardzo wielu powodów.

Wypieranie wiary z umysłów ludzkich, mimo zmontowania przez rząd proletariacki całej maszyny, mającej wykorzenić uczucia religijne i tęsknotę za Bogiem wśród rzesz ludzkich, jakkolwiek spycha w dół ideowo i moralnie miliony, nie może się jednak poszczycić ze swego punktu widzenia zbyt zadawalniającymi rezultatami. Celem bezbożnictwa jest, aby miliony dusz znalazły się jak najszybciej poza wszelkim wpływem wiary i religii, a przecież mimo wszystko, wielomilionowa rzesza trzyma się nadal dolnych przynajmniej szczebli religijnych praktyk, będąc daleką od ideału komunistycznego ateizmu. Przed dziesięciu laty, bilansując wyniki antyreligijnej akcji, stawiał Stalin następujące pytanie:

Czyśmy zdusili duchowieństwo reakcyjne? Tak, zdusiliśmy. Bieda jednak w tym, że nie jest ono jeszcze całkowicie zlikwidowane. Antyreligijna propaganda jest tym środkiem, który ma doprowadzić do końca dzieło likwidacji reakcyjnego duchowieństwa.¹⁾

U Stalina „duchowieństwo” jest synonimem wszelkich objawów życia religijnego. W rozumowaniu wodzów ruchu bezbożniczego, zniesienie wszelkiego kultu zewnętrznego, który podtrzymuje duchowieństwo, przyczynić się powinno w sposób decydujący do wytrzebień z duszy ludzkiej wszelkiego poczucia religijnego.

¹⁾ Stalin: *Biesieda z pierwszej amerykańskiej robotniczej delegacji*. 1927.

Istotnie, w Rosji gdzie religia sprowadzała się w wysokim procencie do liturgii, bez głębszego uświadomienia szerokich mas wierzącego ludu, wyćpienie objawów kultu zewnętrznego, „zniesienie departamentu religijnego” z jego ekspozyturami, porozrzucanymi po całym kraju, musiało podważyć silniej i skuteczniej, aniżeli w każdym innym kraju, nie wysokie jakościowo, poczucie wiary wśród szerokich rzesz ludzkich. Mimo to jednak, poczucie religijne jest tak wrośnięte w umysł ludzki, że człowiek, nawet zupełnie nie uświadomiony religijnie przez innych, po pewnym czasie, szukając pewnych światła w swym życiu, zaczyna dochodzić do pewnych przynajmniej religijnych pojęć. Cóż dopiero mówić o tych, którzy w swym otoczeniu stykają się z żywą jeszcze tradycją religii. Dlatego też, sprawa rugowania pojęcia Bóstwa z dusz ludzkich, nie jest w Rosji sowieckiej wcale taką łatwą, pomimo że to, co się z religią łączy, wymyka się spod eksperymentu zmysłów.

Toteż komunistyczne pisma bezbożnicze utyskują wciąż na fakt, że postępy ateizmu są niedostateczne. Ostatnio w *Antyreligiozniku* skarży się otwarcie wybitny stachanowiec i bezbożnik, towarzysz Borin, na zbyt powolny wzrost ateizmu w rosyjskiej wsi. Z rad, jakie podaje, wnosić można o trudnościach, na które napotyka bezbożnicza agitacja w szerokich warstwach rosyjskiego ludu.

Literatury antyreligijnej — mówi Borin — nie można zwyczajnie posyłać na wieś. Będzie ona wówczas leżała nietknięta. Należy więc ludziom czytać antyreligijne książki i gazety, należy dyskutować, wyjaśniać...

Towarzysz Borin, który dzięki reżimowi bolszewickiemu wydobył się, jak sam wyznaje, z ciemnoty analfabetyzmu, nie posiada się z oburzenia, stwierdzając następujący fakt:

Dobrze sobie przypominam, jaką ogromną szkodę przynosiła religia ludowi. A teraz słyszę, jakoby nawet pośród profesorów i profesorskich żon, znajdowali się wierzący. Należy się zając nimi, otworzyć im oczy... Także i pomiędzy studentami są cudacy, którzy zachowują ikony swoich babek i ciotek; przecież to śmiechu warte i wstyd dla nas.

Borin, który może uchodzić za typ świeżo upieczonego komunistycznego półinteligenta, nie rozumie oczywiście, jak

można profesorską wiedzę pogodzić z religijną wiarą. Dla niego, bezbożnictwo jest wynikiem wiedzy, wszak tysiące razy powtarzano mu ten pewnik na komunistycznych zebraniach, podczas gdy w rzeczywistości może być ono tylko wynikiem wiedzy powierzchownej i niedostatecznej. Im kto ciemniejszy, tym łatwiej można go okłamać pozorami wiedzy.

Ale sięgając głębiej w całokształt sowieckiego reżimu, trzeba stwierdzić, iż propaganda bezbożnictwa natrafia na bierny opór szerokich mas może głównie dlatego, że spręgnięto ją z równoczesną apologią sowieckiego raju. Wynoszenie pod niebiosa krwawego Stalina, jako największego geniusza świata i dobroczyńcy ludzkości, sławienie dobrodziejstw kolektywizacji, cudów sowieckiej techniki, swobody, jaką się cieszą sowieccy obywatele, uwolnieni spod jarzma okrutnych wyzyskiwaczy kapitalistów, popów, faszystów, nieustanne tropienie i likwidowanie rzekomych wrogów ludu, wszelkich sabotażystów, szpiegów, „psów” trockistowskich, bucharinowskich i kułackich... wszystko to sprawia, że obywatel sowiecki, który na własnej skórze doświadcza tych wszystkich „dobrodziejstw”, stwierdzając potworność kłamstw tej propagandy sowieckiego raju, z nieufnością odnosi się i do propagandy bezbożniczej. Dowody przeciw istnieniu Boga, wyroki ferowane w imieniu nauki na religię podejrzewa o takie same kłamstwa, jak i propagandę mającą za cel budzenie entuzjazmu dla sowieckiego reżimu.

Warunkiem powodzenia bezbożniczej akcji musiałoby być całkowite oddzielenie jej od komunistycznej władzy politycznej i związanego z nią ustroju. Tymczasem takie postawienia zagadnienia w totalnym państwie marksizmu jest absolutną niemożliwością, gdyż bezbożniczy dynamizm jest związany z najgłębszą treścią tej ideologii i opartego na niej systemu.

Marksizm totalny musi iść konsekwentnie ręką w rękę z wojującym bezbożnictwem aż do końca i jedna wspólna przykryć ich musi mogiła.

H. J. Korybut-Woroniecki.

Wojna japońsko-chińska.

Tragiczne koleje tej wojny „bez wypowiedzenia” w dalszym ciągu zwracają na siebie uwagę zarówno politycznych sfer międzynarodowych, jak i szerokich mas inteligencji Zachodu. Nadspodziewanie dobry stan wojsk chińskich, zgromadzonych w obronie Szanghaju i wykazane przez nie bohaterstwo podczas blisko czteromiesięcznych gwałtownych szturmów japońskich, w których brały udział artyleria lądowa i morska oraz całe roje samolotów bombowych, jakiś czas do pewnego stopnia uprawniały nawet do przypuszczeń, że miasto oprze się atakom i Japończycy, jak w roku 1932, zrezygnują z jego zdobycia. Rzeczywistość jednak zadała kłam tym optymistycznym i mało na ogół uzasadnionym przypuszczeniom. 10 listopada u. r. wojska chińskie na otrzymany rozkaz wycofały się z Szanghaju i zajęły nowe pozycje na drogach wiodących do Nankinu. Najbliższym tego powodem było wylądowanie znacznych sił japońskich w miejscowościach na północ i na południe od miasta, co w rezultacie doprowadziłoby do okrążenia armii chińskiej i mogło spowodować jej klęskę. Późniejsze rozstrzelanie kilku wyższych dowódców przez rząd nankiński zdaje się wskazywać i na to, że nie obeszło się tu, jeżeli nie bez zdrady, to w każdym razie bez zaniedbania obowiązku, które pozwoliło Japończykom na bezpieczne wylądowanie. Tak czy inaczej Szanghaj upadł i wraz z jego upadkiem skończył się pierwszy okres wojny japońsko - chińskiej, polegający na zmaganiu się w otwartym polu głównych sił przeciwników.

Zdobycie Nankinu.

Dalsze pospieszne cofanie się wojsk chińskich doszło do skutku nie z powodu jakiejkolwiek decyzji w tym względzie dowództwa chińskiego. Tak po prostu ułożyły się warunki wojny. Rząd chiński powziął decyzję bronić bezwzględnie swojej stolicy — Nankinu — i stworzyć z niej nowy Szanghaj. W tym celu na drogach wiodących do tego miasta powstały mocne pozycje, z których zwłaszcza jedna, skonstruowana na wzór „linii Hindenburga” z czasów wojny światowej, nawet przez rzeczoznawców cudzoziemskich była uważana za nie do zdobycia. Czy jednak wojska chińskie straciły ducha po niepowodzeniu szanghajskim, czy też szybki i gwałtowny atak wojsk japońskich pokrzyżował plany dowództwa chińskiego, czy wreszcie przygotowane pozycje tylko z nazwy przypominały „linię Hindenburga” — trudno obecnie ustalić, wynik jednak tych nowych walk nie przysporzył w każdym razie chwały armii chińskiej. Japończycy zdobywali jedną pozycję po drugiej i w rekordowo szybkim czasie, bo w okresie niespełna dwóch tygodni, przebyli odległość stu kilkudziesięciu kilometrów, dzielących Szanghaj od Nankinu. Dopiero pod samymi murami stolicy zdobyli się Chińczycy na poważniejszy opór, ale i wtedy nie byli w stanie dotrzymać pola. Z początku marszałek Dziaŋg Kai-szek miał zamiar zamknąć się wraz z całą swoją armią w murach miasta, ale oskrzydłający manewr wojsk japońskich, zamykający wszystkie drogi odwrotu, udaremnił i ten plan. Główne więc siły chińskie, aczkolwiek ze znacznymi stratami, zdążyły w ostatniej chwili opuścić miasto, w którym pozostało tylko kilka wyborowych dywizyj, zdecydowanych do końca bronić tego symbolu odrodzenia i zjednoczenia kraju, gdzie we wspaniałym mauzoleum spoczywają prochy proroka i twórcy Nowych Chin, dra Sun Yat-sena. W ciągu kilku dni toczyły się zacięte walki o każdą ulicę, niemal o każdy dom w mieście, przewaga jednak Japończyków stawała się coraz wyraźniejsza i wreszcie część obrońców przerwała otaczający ich pierścień wojsk japońskich i wycofała się na drugą stronę rzeki Jang-dzy, podczas gdy mniej szczęśliwi zwiększyli liczbę jeńców zwycięskiego przeciwnika.

Była to, jak dotąd, ostatnia większa bitwa na tym odcinku frontu. Dowództwo chińskie widocznie było przygotowane do upadku stolicy, gdyż zawczasu zdążyło ewakuować stamtąd wszystkie urzędy, banki i archiwa. Wyjechali również zamożniejsi mieszkańcy, w tej liczbie i cudzoziemcy. Walki więc pod murami i w murach Nankinu miały charakter raczej krwawej demonstracji, niż akcji strategicznej, mającej widoki powodzenia.

Nowa rezydencja rządu nankińskiego.

Prezydent republiki, sędziwy uczony i poeta Lin-seng, część członków gabinetu ze swoimi resortami, kierownicze koła partii Guo-min-dang i większość innych dostojników wyjechali do miasta Czung-dzing, położonego na górnym biegu rzeki Jang-dzy, w graniczącej z Tybetem, wielkiej i bogatej prowincji zachodniej Sy-czuan. Inne resorty rozmieszczono w mieście Czang-sza, stolicy prowincji Hu-nan oraz w Han-kou, wielkim porcie na Jang-dzy, otwartym dla handlu cudzoziemskiego i posiadającym bogate koncesje terytorialne wielkich mocarstw, w tej liczbie i japońską. Han-kou stało się również rezydencją marszałka Dżiang Kai-szeka i sztabu armii chińskiej oraz główną bazą obronną przed dalszą penetracją Japończyków w głąb kraju. Według informacji prasowych wielka ilość robotników buduje potężne tamy na Jang-dzy, aby przeszkodzić flocie japońskiej wziąć udział w ataku na Han-kou. Na wielkim lotnisku za miastem odbywa się montowanie dostarczonych przez Sowietów samolotów, a świeżo skompletowana armia ćwiczy się pod kierownictwem cudzoziemskich instruktorów. W składzie rządu nie zaszły żadne zmiany, tylko ostatnio marszałek Dżiang Kai-szek zrezygnował ze stanowiska premiera, aby cały swój czas poświęcić sprawom wojennym. Miejsce jego w gabinecie zajął dr Kung, dotychczasowy minister skarbu, szwagier i najbliższy długoletni współpracownik marszałka. Za to w składzie Wyższej Rady Wojennej zaszły zmiany dosyć znamienne. Mianowicie weszli do niej trzech generałów chińskiej armii czerwonej, Mao Dze-dung, Dżu-de i Pan De-huai, z których dwaj pierwsi znani są z walk, prowadzo-

nych z Japończykami w Chinach Północnych. W związku z tym rozeszły się pogłoski, że Sowiety w zamian za dostarczaną broń, zażądały reorganizacji rządu chińskiego w kierunku stworzenia „Frontu Ludowego”, dotychczas jednak nic pewnego w tej dziedzinie nie wiadomo.

W każdym razie rząd chiński nie zdradza żadnej chęci do kapitulacji, a odwrotnie energicznie przygotowuje się do dalszej akcji zbrojnej, obliczonej na dłuższą metę. W prowincjach znajdujących się pod jego władzą, mają być przeprowadzone ważne reformy wewnętrzne, przede wszystkim rolna i podatkowa, zmierzające do podniesienia dobrobytu mas i zdolności obronnej państwa. Walki na tym odcinku frontu ustały zupełnie, gdyż wojska chińskie wycofały się na większą odległość, a Japończycy po zdobyciu Nankinu zajęli się zabezpieczeniem swoich tyłów oraz ostatecznym podbojem prowincyj północnych. W związku z tym część armii zdobywcy Szanghaju i Nankinu, generała Iwane Matsui, zaatakowała piękne, historyczne miasto Hang-dżou, stolicę położonej na południe od Szanghaju, pomorskiej prowincji Dże-dziang, inna zaś część wyruszyła ku północy celem nawiązania kontaktu z oddziałami armii generała hrabiego Dżuiczi Terauczi, które po sforsowaniu Żółtej rzeki, posuwają się ku południowi. Hang-dżou zostało zdobyte, ale według ostatnich wiadomości, znowu rzekomo odebrane przez Chińczyków i walki na tym odcinku trwają w dalszym ciągu. Co się zaś tyczy wymarszu drugiej kolumny, to połączenie jeszcze nie nastąpiło, ale odległość dzieląca obydwie podążające ku sobie oddziały, wynosi już tylko około trzydziestu kilometrów.

Walki na frontach północnych.

Po dłuższej przerwie, wojska operujące na północy Chin, wszczęły obecnie nową ofensywę. Tym razem celem jej jest wielka i bogata prowincja pomorska — Szan-dung, ostrym półwyspem wrzynająca się w Żółte morze. Jest to jedna z tych „pięciu prowincyj”, których oderwanie od kraju-macierzy od dawna było *conditio sine qua non* rządu japońskiego w jego rokowaniach z Chinami. Obecnie cztery

z nich — Ho-bei (czyli pekińska), Czahar, Sui-juan i znaczna część Szan-si — znajdują się już pod władzą Japonii. Z Szan-dungiem zwlekano dotąd, ponieważ Japończycy mieli tam znaczny stan posiadania, któremu rozpoczęcie działań wojennych groziło zniszczeniem. Poza tym gubernator Szan-dungu, generał Han Fu-dżu, uchodził za przeciwnika rządu nankińskiego i osobistego wroga marszałka Dziang Kai-szeka, istniała więc możliwość dojścia z nim do porozumienia bez wojny. Widocznie jednak czasy się zmieniły i nawet generałowie chińscy starej daty zaczęli się obawiać miana zdrajców ojczyzny. Czy uczucie patriotyzmu pokonało w generale Han Fu-dżu wszystkie inne, czy miejscowe koła wojskowe wywarły nań nacisk w tym kierunku, czy wreszcie przeląkł się dywizyj rządu nankińskiego, wysłanych doń z pomocą — nie wiadomo, ale generał po dłuższej zwłoce opowiedział się po stronie swojego rządu i wystąpił przeciwko Japończykom. Ponieważ zaś równocześnie całe mienie japońskie w prowincji zostało zniszczone, nie było już powodu odkładać dawno zdecydowanej ekspedycji wojennej.

Wojska generała Han nie potrafiły wyzyskać dla obrony prowincji nawet swoich naturalnych granic i Japończycy przekroczyli Żółtą rzekę bez większych wysiłków i strat. Nawet wysadzenie w powietrze podminowanych tam na tej rzece utrudniło tylko chwilowo zwycięzki marsz japońskiej armii ku stolicy — Dzi-man-fu, którą wojska chińskie opuściły prawie bez walki. Obecnie cała armia generała Han opuściła, wbrew rozkazom naczelnego wodza, granice prowincji i tylko przybyłe na pomoc wojska rządu centralnego, stawiają pewien opór Japończykom. Los prowincji zdaje się jednak być przesądzony i wojska japońskie coraz bardziej zbliżają się do wybrzeża morskiego, celem zajęcia portu Cing-dao, dawnej przedwojennej koncesji niemieckiej. Ostatnie depesze doniosły o zajęciu przez Japończyków małego miasteczka Ciu-fu, miejsca gdzie urodził się Konfucjusz i gdzie dotąd mieszka cały klan jego bliższych i dalszych potomków, z potomkiem w linii prostej, księciem Kungiem, na czele. Cofające się wojska chińskie zabrały ze sobą, księcia Kunga wraz z całą jego rodziną, nie chcąc aby swoją obecnością jeszcze bardziej uświetnił tryumf japoński.

Z innych odcinków frontu północnego dochodzi mało wiadomości. W południowej części prowincji Szan-si trzymają się jeszcze wojska chińskie, co wynika z wystosowanego niedawno do ich dowódcy, generała Jen-Si-szana, żądania wojsk japońskich, aby się dobrowolnie wycofał poza granice prowincji. Widocznie jednak dowództwo chińskie ma zamiar jeszcze stawić opór dalszej penetracji Japończyków w kierunku południowym, gdyż tworzy nową linię obronną, znowu ze względów topograficznych uważaną za „nie do zdobycia“, idącą na ukos od prowincji An-hoei, przez Hu-nan — do Szan-si. Na tych pozycjach prawdopodobnie skoncentrują się wszystkie niedobitki północnych wojsk chińskich, wzmocnione posiłkami przysłanymi przez dowództwo w Han-kou.

Próba stworzenia nowego rządu centralnego w Pekinie.

W rezultacie półrocznej wojny, w posiadaniu Japończyków znalazło się terytorium, przewyższające obszarem Francję i Niemcy razem wzięte i liczące około 90 milionów mieszkańców. Jak to już niejednokrotnie zaznaczały japońskie czynniki urzędowe i jak jest w istocie, Japonii wcale nie chodzi o zdobycze terytorialne w Chinach, których utrzymanie wymagałoby od niej niewspółmiernych z jej możliwościami wysiłków wojennych i finansowych. Celem jej jest złamanie oporu rządu marszałka Dziańg Kai-szeka i partii Guo-min-dang i zastąpienie ich nowym rządem, bardziej uległym i kompromisowym, który by całkowicie dostosował się do jej żądań politycznych i gospodarczych, biorąc zarazem na siebie odpowiedzialność za utrzymanie porządku w kraju i ukrócenie agitacji antyjapońskiej. Rzecz oczywista, że w warunkach obecnych znalezienie takiego rządu nie jest łatwe. O ile bowiem wśród dawnych działaczy politycznych Chin Północnych nie brak osób niechętnych rządowi nankińskiemu lub przekonanych o niemożliwości dalszego oporu Japonii, o tyle autorytet ich wobec mas pozostaje pod znakiem zapytania. Dlatego też Japończycy, chociaż mocno zainteresowani w najszybszym roz-

wiązaniu tego zagadnienia, oficjalnie wstrzymują się od wszelkiej ingerencji, czekając aż sprawa sama dojrzeje. W miarę więc postępów akcji zbrojnej, w znaczniejszych miastach zawojowanego terytorium powstawały organizacje miejscowe pod nazwami Rad Politycznych, Komitetów Bezpieczeństwa i nawet samorządów miejskich, współpracujące z japońskimi władzami wojskowymi i usiłujące według ich wskazówek doprowadzić życie podlegających ich władzy jednostek terytorialnych do stanu normalnego. Dopiero w czasach ostatnich uczyniono próbę stworzenia w Pekinie rządu centralnego, ale na razie znajduje się on w stanie organizacji i nosi nazwę tymczasowego. Według informacji prasowych składa się on z ośmiu członków — dawnych premierów i ministrów z czasów przednankińskich oraz z trzech komisji — ustawodawczej, wykonawczej i prawniczej. Nazwiska członków rządu nie zostały podane do wiadomości publicznej i jego manifest programowy ma się dopiero ukazać; nie ma więc dostatecznych podstaw do wydania o nim sądu. Można jednak z góry zaznaczyć, że dopóki opór wojsk chińskich w Szan-dungu i Szan-si i irredenta w całych Chinach Północnych nie zostaną złamane, a zwłaszcza dopóki istnieje nowa linia obronna między prowincjami An-hoei i Szan-si, o której pisaliśmy wyżej, władza tego rządu będzie zupełnie iluzoryczna. Dotychczas w imieniu rządu udziela wywiadów tylko prezes komisji ustawodawczej, Tang Erh-ho, operujący zresztą jedynie ogólnikami na temat przyszłej współpracy chińsko-japońskiej i walki z wpływami Guo-min-dang. Wszystkie inne kwestie ma wyjaśnić zapowiadziany manifest rządu.

Plany Japonii.

Długotrwały opór wojsk chińskich i decyzja marszałka Dziang Kai-szeka „prowadzenia wojny do końca” były do pewnego stopnia niespodzianką dla sztabu japońskiego. Przypuszczano bowiem, że chodzi tylko o „ekspedycję karną, która od razu rzuci Chiny na kolana i zmusi je do przyjęcia żądań japońskich. Ponieważ zaś nie tylko tak się nie stało, ale i opanowanie całych Chin Północnych, Szanghaju i Nankinu nie doprowadziło do kapitulacji rządu

Dziang Kai-szeka, powstaje zrozumiałe pytanie: co Japonia zamierza uczynić dalej. Odpowiedzi na to pytanie, pochodzące ze źródeł japońskich są nieco sprzeczne. Koki Hirota, minister spraw zagranicznych, w jednym z ostatnich wywiadów zapewnił, że armia japońska nie ma żadnego zamiaru atakować Han-kou i tym sposobem jeszcze bardziej rozszerzać front. Uważa on, że rząd nankiński może tam siedzieć, pokaż nie zrozumie bezcelowości dalszego oporu, a Japończycy tymczasem zorganizują już opanowaną część Chin. Opinia ta, interpretowana dosłownie, wywołuje sporo zastrzeżeń natury logicznej, a już przede wszystkim to, że w takim razie znaczna armia japońska musiałaby w ciągu nieokreślonego czasu pozostawać na straży dosyć niewyraźnej granicy między dwiema częściami Chin. Nie ma jednak potrzeby szczegółowo roztrząsać wszystkich nastroczających się w tym względzie wątpliwości, gdyż ogólne poglądy kierowniczych sfer japońskich co do dalszej akcji w Chinach przedstawiają się bardziej stanowczo i opinia ministerstwa spraw zagranicznych prawdopodobnie nie bardzo będzie brana pod uwagę. Najwyższa Rada, stworzona nie dawno, powzięła kategoryczną decyzję doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca i tylko co do szczegółów dalszej akcji istnieją jeszcze pewne różnice zdań. Przede wszystkim wyłania się kwestia dostarczania rządowi marszałka Dziang Kai-szeka broni przez państwa cudzoziemskie. Część jej dochodzi drogą lądową, ekspediowana przez Sowiety, ale znacznie większe ilości przybywają via Hong-kong i Indo-Chiny. Pochodzenie transportów nie jest ostatecznie wyjaśnione, przynajmniej oficjalnie. Niechęć Japonii z tego powodu zwraca się głównie przeciwko W. Brytanii, właścicielki Hong-kongu, ale czynniki brytyjskie wskazują jako na dostawcę — na Niemcy, co wobec przyjaznych stosunków Rzeszy z Japonią nie jest pozbawione pikanterii. Ambasador japoński rzekomo interweniował w tej sprawie w Berlinie i miał podobno uzyskać obietnicę rządu przeprowadzenia śledztwa, które by uniemożliwiło dalsze dostawy. Niewątpliwie jednak w handlu tym biorą udział i inne państwa i ze strony prawnej są w porządku, gdyż stanu wojny między Japonią i Chinami dotąd formalnie nie ogłoszono i każ-

demu z tych państw można dostarczać wszystkiego, czego zażąda. Dlatego też w japońskich sferach wojskowych zaczynają rozlegać się głosy o konieczności formalnego ogłoszenia wojny, celem zmuszenia państw trzecich do sprecyzowania swojego stanowiska do państw wojujących. Następnym krokiem byłoby zajęcie przez wojska japońskie Kantonu, drugiego po Szanghaju chińskiego „okna na szeroki świat”, ale wobec bliskiego sąsiedztwa Hong-kongu powstaje obawa komplikacji z W. Brytanią, których rząd japoński, pomimo antybrytyjskiego nastawienia narodu i ostrych wystąpień nawet członków gabinetu, prawdopodobnie chciałby uniknąć.

Przygotowania do ataku na Kanton rozpoczęły się od razu po upadku Nankinu i oddziały japońskie zajęły kilka sąsiednich wysepek i usadowiły się w delcie rzeki Perłowej w pobliżu miasta, skąd od czasu do czasu organizują napady samolotowe. Większych jednak operacji dotąd nie przedsięwzięto i nic o tym nie słychać. Widocznie dowództwo japońskie, przed dokonaniem tak poważnego i bądź co bądź ryzykownego posunięcia, pragnie zapewnić sobie komunikację i choć do pewnego stopnia mieć rozwiązane ręce w Chinach Północnych. Chwila ta jednak prędzej czy później musi nastąpić, a ponieważ Chińczycy już dowiedli, że nie mogą dotrzymać pola Japończykom, zdobycie Kantonu nie ulega wątpliwości, po czym ostatnia droga komunikacji morskiej ze światem zewnętrznym zostanie zamknięta. Kwestii komplikacji z W. Brytanią nie bierzemy tu pod uwagę zupełnie świadomie, gdyż jest to dziedzina w której trudno obecnie cokolwiek przewidzieć ze względu na dotychczasową bardziej niż bierną politykę rządu brytyjskiego i brak ściślejszego porozumienia z U. S. A.

Czy jednak nawet zupełnie nieszkodliwe w swoich skutkach zdobycie Kantonu będzie tym kneblem, który ostatecznie pozbawi oddechu broniące się Chiny, trudno z całą pewnością zawyrokować. Jak zaznaczyliśmy wyżej, czynione są wysiłki celem ułatwienia komunikacji z Sowiecami i Birmą drogą lądową. Będzie to tylko namiastka możliwości, dających się osiągnąć przy posiadaniu Kantonu, ale i ta namiastka będzie jednak o tyle skuteczna, że może przedłużyć zdolność obronną wojsk marszałka DziaŃg Kai-szeka na

czas nieokreślony, tym bardziej, że będzie to bodaj że ostatnia stawka Sowieców w jej zamaskowanym udziale w konflikcie dwóch państw azjatyckich.

Czyż w tych warunkach nie staje się zupełnie jasnym, że atak japoński na Han-kou, Czung-dzing i wszystkie inne punkty obronne, którymi władza obecnie lub do których przeniesie się w przyszłości sztab marszałka Dziańg Kajszeaka, będzie wcześniej czy później nieunikniony? Uczyniłoby go zbędnym tylko kapitulacja albo upadek obecnego rządu, na co jak dotąd nic nie wskazuje. Jeżeli więc opór trwać będzie w dalszym ciągu, Japonia stoi przed perspektywą nie tylko rozciągnięcia frontu na cały wodociąg rzeki Jang-dzy, ale może i ścigania niedobitków wojsk chińskich aż do granic Turkiestanu.

Próby nawiązania rokowań pokojowych.

Ponieważ wojna formalnie nie została ogłoszona, rokowania dyplomatyczne między rządami Chin i Japonii odbywały się bez przerwy. Na początku konfliktu było o nich głośno i przyjazd ambasadora Kawagoe z już zdobytego Pekinu do atakowanego Szanghaju wzbudził nawet wielkie nadzieje zarówno w kołach chińskich, jak i cudzoziemskich. Po upadku Szanghaju kontakt bezpośredni między ambasadorem Kawagoe a rządem chińskim uległ zerwaniu, ale ambasador nie został odwołany, a i ambasador chiński nie opuszczał Tokio. Prawdopodobnie jednak wszystkie rozmowy prowadzone w tym czasie były bezprzedmiotowe i nic o nich nie pisano, tylko jedno z pism cudzoziemskich zamieściło podobiznę ministra Hiroty w rozmowie z ambasadorem Chin. Dopiero w ostatnich czasach znowu zaczęto mówić o rokowaniach, przy czym pośrednictwo w tej sprawie przyjął na siebie ambasador niemiecki przy rządzie chińskim, von Trautman. Poprzednio W. Brytania i USA również proponowały swoje pośrednictwo, ale zostało ono odrzucone przez Tokio, które kategorycznie stwierdziło, że sprawy wzajemnego stosunku dwóch państw azjatyckich mogą być uregulowane tylko w drodze bezpośrednich rokowań, bez żadnego udziału strony trzeciej.

Obecnie pogląd ten widocznie uległ zmianie, gdyż pośrednictwo niemieckie zostało przyjęte. Jak dotąd jednak na nic się ono nie przydało i zasługuje na uwagę więcej ze względu na to, że dzięki niemu mamy możliwość dowiedzieć się o różnicy, jaka zaszła w warunkach japońskich, podanych na początku wojny a sformułowanych ostatnio. Tak więc początkowo główne żądania japońskie dotyczyły kwestyj następujących: 1) Uznania niepodległego państwa mongolskiego, 2) Uznania autonomii pięciu prowincyj Chin Północnych i 3) Zawarcia paktu antykomunistycznego z Japonią i Mandżurią.

Obecnie sprawa przedstawia się już inaczej. Trzy wymienione żądania pozostały, a dodano do nich nowe, a mianowicie: 1) Układ gospodarczy, na podstawie którego Japonii przypadłaby część dochodów celnych oraz dochodów kolei żelaznych, 2) Utworzenie stref zdemilitaryzowanych na obszarach wskazanych przez Japonię, 3) Utrzymanie garnizonów japońskich w Chinach i 4) Zapłacenie przez Chiny odszkodowania. Nie jest to komunikat oficjalny, a tylko „wiadomość z miarodajnego źródła“, podana przez prasę, ale sądząc z jej treści, zasługuje na wiarę, gdyż trudno sobie wyobrazić, ażeby Japonia po tylu wysiłkach i kosztach mogła żądać mniej. Z drugiej jednak strony łatwo zrozumieć dlaczego rząd chiński, pomimo ciężkiej sytuacji, bez wahania te warunki odrzucił. Cóż bowiem może spotkać go gorszego nawet w razie ostatecznej klęski? Przecież Japończycy nie pragną zdobyczy terytorialnych nie dlatego, że szanują „integralność Chin“, ale tylko dlatego, że przyczyniłoby to im tylko więcej kłopotu wewnętrznego i komplikacyj międzynarodowych. Nawet więc opanowanie całych Chin nie grozi im okrojeniem. Co zaś dotyczy odszkodowań, to i obecne żądania muszą już być tak wielkie, że wypłacenie ich oddałoby Chiny w długą niewolę gospodarczo-finansową Japonii. Czy nie lepiej więc walczyć do końca nawet z minimalną nadzieją na pomyślny wynik?

Tak mniej więcej rozumują nawet przeciętni Chińczycy, wychowani w zasadach Guo-min-dangu, coś dopiero mówić o marszałku DziaŃg Kai-szeku i jego otoczeniu, którzy całe swoje życie poświęcili sprawie zjednoczenia i odrodzenia

ojczyzny. Trzeźwy polityk, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, nie może oczywiście żyć tylko sentymentem, ale właśnie i w dziedzinie możliwości realnych w dalszym ciągu istnieją pewne perspektywy. Niewątpliwie Chińczycy z ogromnym zainteresowaniem śledzą przebieg ciągłych zatargów japońsko-brytyjskich i japońsko-amerykańskich, wynikających na podłożu ostrzeliwania czy topienia statków mocarstw zachodnich, znieważania ich flag, gwałcenia praw itd. Kto wie, może rząd chiński z zapartym oddechem czeka na rozpoczęcie operacji wojennych pod Kantonem, mając nadzieję, że właśnie wtedy nastąpi kres cierpliwości W. Brytanii i w chaosie konfliktów międzynarodowych łatwiej mu będzie obronić się przed potężnym napastnikiem.

Nie mam zamiaru przedstawiać sytuacji chińskiej w świetle bardziej różowym, niż ona jest w istocie, ani też przypisywać rządowi DziaŃg Kai-szeka więcej szans, niż ich posiada, ale w grze którą prowadzi on od pół roku, trudno pominąć milczeniem, trzy poważne atuty, na których się opiera. Są to — obszary kraju, możliwość interwencji wielkich mocarstw zachodnich, (pomimo wszystko dotąd wcale nie wykluczona) i pomoc ZSRR, działającego w danym wypadku nie tyle w imię nowych zdobyczy komunistycznych, co w obronie własnej, coraz bardziej zagrożonej sytuacji na Dalekim Wschodzie. Czwartym, niezbędnym czynnikiem, umożliwiającym prowadzenie na pozór beznadziejnej walki jest duch. Dotąd nie stracił go rząd DziaŃg Kai-szeka, ale czy mu go starczy jeszcze na długo — nie wiadomo, a od tego zależy wszystko. Od pozbawienia bowiem tego ducha walczących wojsk chińskich, zależy zwycięstwo Japończyków i nad obszarem i nad interwencją obcą i nad wszelkimi machinacjami Sowietów, z wyjątkiem komunizmu, który, jak wiadomo, najlepiej rozwija się w środowisku zdezorganizowanym. Ale to jest już inna sprawa i walce komunizmu z opierającą się na podłożu narodowym ideologią pan-azjatycką poświęcimy inny artykuł.

Konstanty Symonolewicz.

Warszawa, 15 stycznia 1938.

„Prix Goncourt” 1937 r.

...I dano jej (besfil) walkę toczyć ze świętymi i kwycieć ich. I dano jej władzę nad wszelkim pokoleniem i ludem i językiem i narodem. I kłaniali się jej wszyscy, którzy mieszkają na ziemi, których imiona nie są zapisane w Księdze Żywota...

(Objawienie św. Jana, 13, 7—8).

Mimowoli przyszedł mi na myśl te słowa św. Jana, gdy zamknęła książkę Karola Plisnier, ostatnią „nagrodę” Goncourt, zatytułowaną: *Falszywe Paszporty*. Gruby tom, prawie czterysta stronnic, zbiór kilku nowel (gwarantujemy, że takie zbiory nowel będą bardzo modne w tym roku), tworzących w gruncie rzeczy całość i połączonych tą samą ideą. Były komunista opowiada swe wspomnienia, kreśli sylwety dawnych swoich towarzyszy. Były komunista, gdyż wykluczono go z partii, a raczej on odszedł sam, bo nie mógł się pogodzić z tym, iż aby być komunista, trzeba zabić w sobie człowieka. Cała ta książka to jeden wielki protest indywidualizmu przeciw komunizmowi.

Więcej jeszcze: protest Zachodu przeciw Wschodowi. Przecież wiemy dobrze z historii, że skazańcy w starej Rosji carów i Tatarów, gdy mieli ponieść karę śmierci przez powieszenie, musieli często powiesić się sami i w dodatku przynaglali jeden drugiego do pospiechu, bo „car będzie niezadowolony”. Przecież wiemy, że carzykowie tatarscy siadali na koni po grzbietach swoich sług. Przecież wiemy, że ofiary Iwana Groźnego musiały za cara, umierając modlić się, sławić jego sprawiedliwość, a nawet obwiniać się i zapisywać majątek carowi.

Więc wcale nie dziwi mnie, że stuprocentowy komunista rosyjski robi to samo dla partii, czy dla Stalina. Czemu nie? Jeden czy drugi, przecież to wszystko jedno; chodzi o duszę narodu, czy ona może wyrzec się swej wolności i poddać się tak zupełnie, tak bezwzględnie? Mówi się wiele o indywidualizmie rosyjskim; za mało o łatwości rosyjskiej wyrzeczenia się swobody indywidualizmu.

Gdy się czyta książkę Karola Plisnier, trzeba *volens nolens* wywnioskować z niej, że komunizm rosyjski jest szatą zrobioną na miarę dla jednego narodu, a inne w żaden sposób pomieścić się w niej nie mogą. Trudno i darmo: dwadzieścia wieków katolicyzmu muszą zaważyć na szali. Nawet u tych, co nie wierzą, czy błędzą, dusze ukształtowały się pod wpływem niewidzialnym tej wiary.

I dlatego gdy im się mówi, że komunizm każe człowiekowi zabić w sobie człowieka w imię człowieka, katolik Zachodu, czy katolik Polak odpowie świadomie lub podświadomie: za mały cel, za wielką ofiarą. Wyrzec się życia, dla wieczności, wyrzec się samego siebie tu, na ziemi, aby odzyskać siebie na wieki, to ofiara zrozumiała i godna duszy ludzkiej. Ale wyrzec się najpierw duszy, a potem siebie i życia?... Czy nie za dużo wymagać tego od ludzi, którzy są tylko ludźmi?

Możliwe, że dla niektórych jednostek może i w tym być jakieś piękno. Znam zbyt dobrze literaturę rosyjską i duszę rosyjską, aby wątpić o tym. Powiem więcej, choćby miano mi to wziąć za złe, rozumiem to piękno i potrafię je uszanować z pewnego punktu widzenia, z punktu widzenia rosyjskiego, a raczej moskiewskiego, bo wyhodowała je Moskwa i już za czasów tzw. przez historyków rosyjskich „tatarszczyzny”. Tego piękna nie byliby nigdy zrozumieli np. ludzie z Wielkiego Nowogrodu, miasta „bujnej woli”, jak je zwały stare pieśni. Tam kwitł indywidualizm może aż nadto mocny, podobnie jak w dawnej Polsce. Ani „posadnica” Marta Boreckaja, ani „dumni” kupcy Nowogrodu Wielkiego nie byliby nigdy zrozumieli, że trzeba oddawać „żizń za caria” (życie za cara). Za Boga i naród, tak. Trzeba było ich wybić co do nogi, aby na gruzach ich wolności założyć nową carską Ruś-Moskwę.

Budował ją Iwan Groźny, Borys Godunow, później dynastia Romanowych. Za Piotra Wielkiego, za Katarzyny II szarpie się jeszcze reszta wspomnień o wolności, zniekształcona już bardzo, ale jeszcze istniejąca gdzieś w głębi duszy narodu.

Stieńka Razin za cara Aleksieja Michajłowicza, Pugaczew za Katarzyny II, to już ostatnie podrygi wspomnień dawnej „woli” (swobody) rosyjskiej. Potem przyjdą rewolucjoniści-arystokraci, trochę sztuczni, trochę na modłę zachodnią, jak idealni Dekabryści, z góry przeznaczeni na zagładę, bo pragnący rewolucji uczciwej, szlachetnej, niemal bezkrwawej. Rewolucja może być nawet piękną, ale nie może być ani uczciwą, ani szlachetną. Jednostki zbyt szlachetne, zbyt uczciwe, nawet zbyt prostolinijne, giną w niej, jak muchy w pajęczej sieci. Pestel, Murawiew (Sergiusz Apostoł), Ryliejew, nawet Kachowski i Bestużew, mieli za dużo skrupułów, aby mogli zrobić rewolucję z powodzeniem. Następni rewolucjoniści, choć niby to idą do ludu i chcą się „oprosić”, jak to nazywa dość trafnie Turgeniew, są jeszcze między Scyllą a Charybdą, tj.: między tzw. ludem, a klasami arystokratycznymi i średnimi. Ale ci już pod wielu względami pozbyli się skrupułów, dowodzą tego zamachy, w których ludzie i ich życie nie wchodzi już w rachubę. Dawni prawodawcy mieli pono maksymę: lepiej stu winnym przepuścić, niż jednego niewinnego skazać. Rewolucjoniści rosyjscy — przed nimi francuscy i inni — stosują zasadę odwrotną: niech sto i tysiąc nawet niewinnych zginie, byle jednego winnego osiągnąć. Tak myślą już Zelabow, Perowskaja, Chałturin, Burcew i wielu, wielu innych, których nie podobna byłoby nawet wymienić. Zresztą życie ludzkie nie miało dla nich wielkiej ceny, gdyż sami narażali co dzień własne, nie raz z heroiczną odwagą.

Wreszcie komunizm, lepiej zorganizowany, a zwłaszcza jeszcze bardziej pozbawiony balastu wszelkich skrupułów, trafia na chwilę podatną i wyzyskuje ją z myślą jedynie o sobie.

Czy może sobie ktoś wyobrazić Dekabrystów-męczenników, występujących przeciw rządowi, nawet carskiemu, w chwili, gdy Napoleon stał u progu Moskwy, lub podczas

wojny z Turcją, łączących się z wrogiem, zapominających o wszystkim, byle zrobić rewolucję? Ja nie. I nie chodzi mi wcale w tej chwili o to kto miał słuszość: Dekabryści, czy Lenin i Trocki. Pierwsi doszli do szubienicy, drudzy do władzy. Stojąc na gruncie twardej rzeczywistości musimy powiedzieć: pierwszym się udać nie mogło, drugim się udało. Może i dlatego, że pierwsi zanadto nasiąkli Zachodem.

Ale jakże żądać od tych, którzy odrzucili wszelkie skrupuły ludzkie, nie mówię już nawet o religijnych, którzy posiadali iście tatarsko-azjatycką zdolność wytrzymania wszystkiego — wszak nie co innego odczuwa się w słynnej dewizie Tolstoja o „nie sprzeciwianiu się złu” — aby liczyli się ze skrupułami innych? A z drugiej strony jakże można żądać od człowieka Zachodu, posiadającego choć trochę rozsądku, czy uczciwości, aby poszedł bezkrytycznie za tą doktryną komunizmu rosyjskiego?

Może pójść za nią w chwili uniesienia, może zginać za nią „na gorąco”, ale wytrzymać, szczerze naprawdę, bezinteresownie? Niemożliwe. W pewnej chwili zbudzi się krytycyzm, skrupuły, albo po prostu dusza, czy serce. Prędzej, czy później.

Niepodobna poznać wszystkich „rozczarowanych”. Ale wśród pisarzy, inteligencji — wyłączmy z góry polityków, którym chodzi o mandaty poselskie i popularność — słyszy się tyle okrzyków rozczarowań. Weźmy Andrzeja Gide’a, nie uchodzącego bynajmniej za wzór cnót, weźmy bardzo lewego przed podróżą do Rosji sowieckiej, Floriana Parmentier, weźmy ostatnio eks-komunistę robotnika Klebera, Legay i wielu, wielu innych.

Charles Plisnier, tegoroczny laureat nagrody Goncourt, zwiększa tę plejadę rozczarowanych inteligentów. Jego *Fałszywe paszporty*, to nie tylko rzeczywiste fałszywe paszporty, sfabrykowane w oficynach komunistycznych, paszporty, które z Francuzów lub Polaków mogą zrobić Hiszpanów, z Rosjan, Polaków lub Niemców i tak dalej. To są również fałszywe paszporty do fałszywego raju, do nieistniejącej krainy, gdzie obiecuje wprowadzić ich posiadaczy propaganda Kominternu. Ale tej ziemi obiecanej komunizmu nie zoba-

czy nikt z żyjących, oczywiście z tych, co naprawdę w nią uwierzyli i dążyli do niej. A że komunizm wyrzekł się raz na zawsze wieczności i wiary w życie duszy po śmierci, więc nie zobaczą jej nigdy, żadnymi oczyma. Czy można wobec tego dziwić się, że w Sowietach zdarzają się masowe niemal samobójstwa? Wszak siły ludzkie mają także swe granice.

Charles Plisnier jest Belgiem. Pochodzi z kraju, gdzie krańcowe sprzeczności spotykają się z sobą, tj. krańcowy materializm z krańcowym idealizmem i mistycyzmem. Z kraju, który posiada olbrzymią ilość przemysłowców, kupców itd., ale który wydał mistyków, jak Ruysbroeck i poetów, jak Maeterlinck, Verhaeren, Albert Mockel itd. Tacy ludzie nie mogą zadowolnić się komunizmem rosyjskim. Zbyt to ubogi pokarm dla ich dusz.

Jak wszystkie jednostki obdarzone umysłem żywym i wrażliwym, a oprócz tego bogatą wyobraźnią, Charles Plisnier nie mógł zauważyć od razu, że komunizm podobny jest bardzo do owych starych, legendowych oberży hiszpańskich, gdzie, jak mówi dawne przysłowie, gość przybywający jadł to, co sam przyniósł. Przyniósłszy ze sobą ogromną ilość iluzji, pragnienie poświęcenia się, potrzebę walki i wiary w jakiś nowy idealny porządek społeczny, młody neofita komunizmu musiał zużyć dziewięć lat, aby wyczerpać wszystkie te zapasy. Ale wreszcie zobaczył próżne dno swej torby i sakiewki i zrobił rachunek. Rezultat wypadł jasno i strasznie: nie było ani w co wierzyć, ani na czym się oprzeć.

Wystąpił z partii. Ale nie byłby literatem, gdyby nie szukał przyczyn swego zawodu i rozczarowania. Przypatruje się uważnie przeszłości, przesuwając w palcach, niby ziarenka różańca, wspomnienia, bada samego siebie. Jako literat również nie zapomina o znanym francuskim *beau geste*; we wspomnieniach swoich wybiera umyślnie sylwetki tych eks-towarzyszy, którzy, zdaniem jego, reprezentowali najlepiej, najpiękniej, idee partii, byli jej bojownikami i męczennikami zarazem. Ale nie łudźmy się, nawet podkreślając ich cnoty i zalety, Plisnier sądzi ich mimowolnie czy świadomie — to drugie wydaje mi się prawdopodobniej-

sze — bo już nie jest z nimi. Kto nie jest z nami, musi być przeciwko nam.

Więc choć przedstawieni ze strony sympatycznej, niemal bohaterskiej, wyglądają... powiedzmy właściwe słowo, nie bojąc się słów... nieludzko. Jest w nich coś szatańskiego, apokaliptycznego. Przypominają się znowu fałszywi prorocy z Apokalipsy.

Maurer, rewolucjonista hiszpański, to rodzaj maniaka, który nie widzi nic poza komunizmem, rewolucją a przede wszystkim zamachami i zabójstwami. Komunizm dla tego prymitywnego, ograniczonego człowieka, to ogólne lekarstwo na wszystkie biedy, dolegliwości i nieszczęścia ludzkości. Doskonały typ prostaka-fanatyka, dobrze zaobserwowany i oddany z nielitościwą drobiazgowością. Jego „towarzyszka”, lub jeśli kto woli kochanka, jest o wiele ciekawsza i skomplikowana. Ta młoda Pilar, to panna z bogatej rodziny, która naczytała się książek i traktatów rewolucyjnych i chciałaby cały świat zmienić, zrewolucjonizować, jak się mawia wulgarnie „przewrócić do góry nogami”. Ale w głębi jej samej nie ma wiary w tę rewolucję, o której rozprawia, nie ma nawet tej upartej, zaślepionej manii rewolucyjnej, jaką odznacza się np. Maurer. I dlatego Pilar, aby samą siebie przekonać, że taką wiarę posiada, zostaje kochanką Maurer’a bez miłości, bez radości. Prawda, że zdaje jej się, iż w ten sposób dokonywa jakiegoś heroicznego czynu, jakieś pokuty za niezrozumiałe grzechy. Dlatego porzuca dom, ojca, którego naprawdę kocha, po swojemu, ale także kocha swoje środowisko. Dlatego skazuje się na dobrowolne wygnanie, na nędzę, na pracę. Lecz z chwilą, gdy nie ma już żadnej podpory, gdy zdana jest na łaskę i niełaskę losu i swego kochanka, maniaka rewolucji, kruszy się powoli jej heroizm i żądza pokuty, a budzi się potrzeba miłości i radości życia. Tego Maurer jej nie da, choć może i przywiązał się do niej, jak mógł i umiał, więc uczciwie jej radzi wrócić do swoich. Pilar oburza się na podobną propozycję, ale czas robi swoje i powoli ta myśl nie tylko nie będzie jej oburzać, ale stanie się jej najmiłszą nadzieją. Pilar wróci do ojca, który umie kochać i przebaczać, Maurer pójdzie dalej robić rewolucję

w świeżo powstałej republice i zginie, nie wątpiąc oczywiście ani na chwilę, że ginie dla dobra ludzkości.

Bułgarska para rewolucjonistów mniej się udała autorowi, rozplywa się we mgle. Tu mężczyzna uległ czarowi kobiety i pozostał pod jego działaniem na zawsze.

Co do kobiety, to wprawdzie pogardziła swoją urodą i miłością, lecz gdy jej zestarzałej i steranej przypomniano o tym, że niegdyś była piękna i młoda, budzi się w niej nagle coś na kształt buntu przeciw tej własnej ofierze, buntu, którego głębię łatwo zmierzyć goryczą z jaką Dítka Guercheva mówi o sobie i swojej przeszłości. Nie zabija się bezkarnie. Ta komunistka bułgarska zamordowała samą siebie w imię komunizmu i upiór własnej straconej młodości dręczy ją nieraz. Ostatnie przypomnienie o dawnym kochanku przynosi jej towarzysz-autor książki. Czy z powodu tego wspomnienia pójdzie na pewną śmierć? czy żeby raz już był koniec? czy po prostu dlatego, że tego wymagała jej służba? To już sam czytelnik musi sobie w duszy dośpiewać.

Włoskich rewolucjonistów Plisnier zna i rozumie o wiele lepiej niż bułgarskich, powiedziałabym nawet, niż rosyjskich, choć portret Jegora jest najbardziej opracowany i wyczyszczony ze wszystkich sylwetek. Czuć, że autor nie mógł się rozstać z tą postacią i z żalem skazał ją na śmierć. Włoska rewolucjonistka, Carlotta, imponuje autorowi swoją zimną krwią z pewną domieszką okrucieństwa, zresztą bardzo kobiecego. Wiadomą jest rzeczą, że w czasach zamieszek, rewolucyj, tyranii, kobiety rzadko wprawdzie zdobywają się na inicjatywę, ale gdy się raz zdobędą, popełniają zbrodnie i okrucieństwa daleko gorsze i o wiele chłodniej, niż mężczyźni. Co nie przeszkadza im potem płakać i miewać ataki nerwowe, albo rozczulać się nad drobnostkami. Zresztą skłonność do zdenerwowania i czułościowości nie jest wyłącznym przywilejem kobiet-zabójczyń, widzi się ją często również i u mężczyzn-zabójców. Nerwy zbyt napięte muszą się mścić, jest to zupełnie ludzkie i zrozumiałe.

Carlotta z zimną krwią skazuje na śmierć nieszczęsnego adwokata, który zdradził komunizm. Ze swego punktu widzenia ma rację. Ale gdy ofiara szamocze się, wzywa litości, mówi o swej żonie i dzieciach, gdy inni komuniści skła-

nają się do przebaczenia — nikt z nich, nawet sam autor nie zdaje się rozumieć, że przecież ten człowiek mógł kochać swą ojczyznę w inny sposób niż oni i niż to nakazuje komunizm — Carlotta nie ma ani cienia czysto ludzkiej dobroci człowieka dla człowieka. A gdy słyhać dwa wystrzały, uśmiecha się ironicznie i mówi chłodno do skamieniałego pod strasznym wrażeniem autora: „Towarzyszu, jakże jesteście nerwowi”!

„Kto czym wojuje, od tego ginie”. Bezlitosna amazonka rewolucji zakochała się w pięknym komuniście włoskim, Alessandro Cassini, doskonale przygotowanym w Moskwie do szerzenia propagandy Kominternu we Włoszech. Ale Cassini wolałby pojechać do Chin, niż do Włoch. Tam ma rodzinę, tam ma wspomnienia, tam był innym. I będąc bardzo szczerze komunistą, boi się jednak swej ojczyzny, boi się stanąć oko w oko z przeszłością.

Mimo to wysłał go właśnie do Włoch. Będzie to zresztą zupełnie logiczne. Trudno żądać od Kominternu, aby wysyłał Włochów do Chin, a Chińczyków do Włoch. Amazonka-Carlotta zakochała się w pięknym Cassini i bardzo dumna jest z tego, że jemu właśnie przypadła ta misja. Cassini jedzie zatem i powraca szczęśliwie ku radości Carlotty. Organizuje na wielką skalę propagandę komunistyczną w swej ojczyźnie. Lecz rzecz dziwna, wszyscy wysyłani przez niego emisariusze wpadają w ręce policji włoskiej. Carlotta odkrywa na koniec prawdę: Alessandro Cassini przeszedł do obozu wrogiego, nie wytrzymał próby ojczyzny. Wtedy, po odejściu kochanka, amazonka zalewa się łzami, jak każda inna przeciętna kobieta.

Mniejsza o to, że Alessandro zginie zastrzelony tajemniczo i że autor pozwala nam przypuszczać, że Carlotta nie obcą była tej egzekucji. Siła moralna amazonki została złamana i pozostaje jej tylko umrzeć, albo wlec życie jak taczkę skazańca. Miłość mści się okrutnie także za brak miłości w sercu dla ludzi.

Wiele sentymentalnych „midinetek” paryskich mogłoby wylewać łzy nad smutną dolą rewolucjonisty i komunisty francuskiego, Corvelise, tego dezertera-komunisty, który, gdy cały kraj bronił się rozpaczliwie przed nawałą nie-

miecką, przeszedł granicę i schronił się w Szwajcarii. Jak sam mówi, zrobił to dlatego, że umarła mu przed tym żona, a nie chciał porzucić małej córki. Gdy to czytałam, mimo woli przypomniała mi się historia dziadka jednej z moich znajomych, który w 1871 r., po śmierci żony, zrobił znak krzyża nad kolebką nowonarodzonej dziewczynki i poszedł z własnej i nieprzymuszonej woli do *francs-tireur*ów bić się za napadniętą wtedy przez Niemców ojczyznę. Poszedł i poległ. Dwie różne miłości i może dwie różne odwagi. Wolno każdemu cenić i przedkładać nad inną tę, którą woli. Co do mnie wolę tę drugą. I myślę, że większość Polek i Polaków wołałaby ją również.

Corvelise schronił się ostatecznie do Berlina. Tu pozwalają mu zostać i pracować, choć, jak sam to konstatuje, odnoszą się do niego z pogardą. Wychowuje tedy swą córeczkę, ową *déracinée*, jak ją nazywa autor i maluje nieudatne obrazy — ocena autora — przedstawiające wojnę rewolucjonistów z „burżujami”. Wojnę „romantyczną”, pełną kasków, tanków, itd. Obiecuje sobie przy tym, że pójdzie walczyć za partię, gdy córka jego dorośnie i nie będzie go już potrzebować. Pewnego dnia znajduje się w Berlinie przejazdem komunista agitator francuski, Saurat, dawny znajomy Corvelise’a. Tego Saurat nienawidzą hitlerowcy, gdyż z jego przyczyny zabito im jednego z ich wybitnych członków. Dowiedziawszy się o jego pobycie w Berlinie, oblegają literalnie dom, w którym zamieszkał Corvelise, dość podobny do Saurat, przychodzi go odwiedzić. Dla większego podobieństwa ucharakteryzował się na Saurat. Chociaż drży z wrażenia czy ze strachu, wygląda przez okno i z balkonu. Wzięty z oddali za swego przyjaciela, pada na bruk przeszyty trzema kulami. Saurat mówi o nim: „Ja jestem bohaterem dla gazet. Ale tego, co zrobił Corvelise, ach tego nie byłbym zrobił”.

A oto Jegor, najdroższy autorowi ze wszystkich komunistów, bo najbardziej kompletny, jako typ komunisty. Typ zdumiewający dla ludzi Zachodu, takich, jak Charles Plisnier, ale nie dla nas, którzy znaliśmy literaturę rosyjską, ducha rosyjskiego. Jegor zamiast Boga i cara dawnej Rosji, postawił na swoim ołtarzu partię. Jegor mówi do autora już

jako do eks-komunisty. Człowiek Zachodu spotyka się tu z człowiekiem Wschodu, podobnie jak w doskonałej powieści Ferdynanda Goetla *Kar-Chaf*. Tylko tu chodzi o szefów-teoretyków, którzy nie tylko działają, ale i rozumieją, tworzą teorię.

Jegor tłumaczy zbuntowanemu zachodnikowi, że partii trzeba się poświęcić duszą i ciałem — właściwie sumieniem, bo dusza wieczna dla bolszewika istnieć nie powinna — tak jak pierwsi chrześcijanie poświęcali się Chrystusowi. Teoria bardzo rosyjska. Można by odpowiedzieć wprowadzić na nią teorią Tołstoja, że gdy się stawia za cel absolut, osiąga się zaledwie relatyw, gdy się stawia za cel relatyw, nie osiąga się nic, bo rezultat zawsze będzie niżej, jak cel. A na to Jegor odpowiedziałby, że dla niego partia jest właśnie absolutem i ostatecznie ze swego punktu widzenia miałby rację.

Dobrze, mówi zbuntowany eks-komunista, człowiek Zachodu, ale pierwsi chrześcijanie mieli przed sobą Chrystusa i wieczność. A komunista umierający bezślawnie, często nawet haniebnie, nie ma przed sobą nic prócz końca. Wszystko się kończy na ziemi. Albo może nieświadomie wierzyć w zaświaty?

Jegor opowiada historię komunisty Koroszenko, którego musiał skazać na śmierć niewinnie. Wzięto go za zdrajcę, okazało się, że zdrajcą nie był. Ale partia mylić się nie może, więc Koroszenko musiał umrzeć i nie tylko umrzeć, ale umrzeć zniesławionym. Przeciwnemu nieszczęsnemu ofiarze protestuje: „Umrzeć, wszystko mi jedno, mówi. Ale tak umrzeć!” A Jegor mu na to: „Stefanie, partii można dać jeszcze coś innego oprócz życia”. Koroszenko milczy chwilę, poczem: „Niech i tak będzie”, rzekł wreszcie. „Niech z nim skończą, woła Jegor. Jedna kula wystarczy. Nie tracić nabojów”... Lecz wyznaje jednocześnie: „I uciekłem, żeby nie słyszeć wystrzału”. W tym ostatnim zdaniu jest coś niewymownie bolesnego, jakby zduszony krzyk niewolnika, okutej w kajdany — duszy wolnego człowieka.

Jegor ma żonę vel towarzyszkę. Daria Władimirowna Kryżanow, której rodzina wychowała i wykształciła Jegora, syna ich służącej; straciła ojca w burzy rewolucyjnej, straciła dom. Pozostał jej jeden brat młodszy, Kolia (Mikołaj).

Ten brat obwiniony w procesie inżynierów w Sowietach o sabotaż, przejdzie przez taką mękę, jak nieszczęsny Koroszenko, gorzej, bo musi się sam obwinić. Daria błaga męża, aby ratował jej brata. Ale naturalnie Jegor nie rozumie nawet podobnej prośby. Daria opowiada swoją smętną historię autorowi. Spotykają się jeszcze w Salzburgu podczas festiwalu Mozarta, gdyż Jegor uwielbiał muzykę i był wybitnie uzdolniony w tym kierunku. A potem Jegora spotka los Koroszenki i Koli. Wybucho proces siedemnastu szefów bolszewickich oskarżonych o spiskowanie z Trockim. Otóż czytając sprawozdania z procesu eks-komunista konstatuje z przerażeniem, że w dniu, w którym Jegor rzekomo znajdował się w Norwegii i spiskował z Trockim, był właśnie w Salzburgu. Biegnie więc do ambasady sowieckiej, błaga, zaklina, wysyła depesze do Moskwy, wzywa świadectwa rosyjskiego pisarza, który również był w owym czasie w Salzburgu, ale który przeszedł już do bolszewików i o niczym już pamiętać nie chce. Naturalnie wszystko na próżno. Jegor oskarżył się sam o wszystkie przypisywane mu zbrodnie i skończył, jako zdrajca partii.

Ponurą grozą wieje z tego zakończenia. Autor mówi, że ci ludzie to komunistyczni święci. Możliwe, ale myśli się raczej o bojarach Iwana Groźnego, albo o carzykach tatarskich. A jeszcze więcej o jakiejś autosugestii, naturalnie, gdy chodzi o ludzi Zachodu, bo co do Rosjan wszystko tu jest zupełnie naturalne i w porządku.

Charles Plisnier oznajmił reporterowi paryskiego *Le Journal*, że w tym roku pojedzie po raz pierwszy na pasterkę do jednego z opactw belgijskich. Jeżeli tak, to pod łukami świątyni musiał usłyszeć wielkie i wieczne błogosławieństwo wiary, odpowiadające z jednakim zawsze spokojem na przemijające hasła walki i szarpaniny ludzkiej: „Chwała Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!”

Dr Maria Kastarska.

Przełom w Rumunii.

Rumunia, wielki kraj na południowym-wschodzie Europy, cieszy się na równi ze swoim sąsiadem Polską, przywilejem, że dla zachodnich Europejczyków jest geograficznym pojęciem o dość nieokreślonej treści. Ale nie tylko to łączy Rumunię z Polską. Wspólnota najistotniejszych rysów historycznego rozwoju tych krajów stanowi podstawę zrozumienia i współczesnych stosunków politycznych, zbiegających się w niejednym szczególe, trudno wytłumaczalnym dla tego, kto dziejów tych nie zna.

Nie grzesząca ścisłością nauka XIX stulecia zaliczyła mechanicznie Rumunów — na podstawie ich gramatyki i językowej składni — do grupy ludów łacińskich, a Polaków opatrzyła w etykietę „grupy słowiańskiej”. A potem przy bliższym zetknięciu się z Rumunami — o ile w ogóle bliżej się z nimi stykano — dziwiono się bardzo, że u tych Rumunów prócz z łacińska brzmiącej mowy niewiele jest istotnych więzi, łączących ich z romańskimi narodami Zachodu. Właściwie ta „spójnia” kończyła się na dość sztucznie spreparowanej konstrukcji ideologicznej wzorowanej na Francuzach i Włochach. Odnosi się to zarówno do historycznej legendy o rzymskim pochodzeniu narodu, jak i o jego francuskim pokoście, do rumuńskiego parlamentaryzmu, jak i do literackich prądów „ludowego” i „krytycznego” kierunku.

Rumuni, dzięki przestrzennej styczności i ewolucji dziejów, są pod względem społecznym i rasowym bardzo blisko związani z południowo-wschodnimi Polakami, z Węgrami, Bułgarami, Albańczykami, Chorwatami i Serbami. Zasadniczy trzon ludności tworzy rasa dynarska, wschodnio-

bałtycka i mongolska, z nieznaczną przymieszką elementu śródziemnomorskiego a, w znikomej już ilości, nordyjskiego. Historycznie wyrosła ta ludność z tracko-illyryjskiego podłoża, w którym rozplynęły się niektóre ludy przedaryjskie. Podłoże to pokrywa się rasowo z Dynarami. Na nim powstaje naprzód warstwa ludności słowiańskiej (rasowo wschodnio-bałtyckiej) rozprzestrzeniająca się począwszy od VI wieku naszej ery na cały półwysep Bałkański. Prawie jednocześnie nawiedzają ten kraj nieprzeliczone przypływy ludności mongolskiej, ugrofińskiej, tatarskiej. Znikoma domieszka składników nordyjskich pochodzi od Gotów i innych szczepów germańskich, osiadłych między Morzem Czarnym, Adriatykiem, Dunajem i północnym Przedkarpaciem gdzieś między III a VI wiekiem. Wreszcie wraz z rzymskimi kolonistami dopływał ongiś element śródziemnomorski. Tak by się przedstawiał skład ludności osiadłej i uważanej za rdzennie rumuńską. Oprócz tego istnieje warstwa ludności niezrośnięta z pojęciem ludności rodzimej. Są to przybysze późnego średniowiecza: Niemcy, Żydzi, Grecy, Armeńczycy, Cyganie, których i dzisiaj traktuje się jako żywioł napływowy.

Był to więc właściwie przypadek, uwarunkowany z pewnością przez jakieś wydarzenia historyczne, że w tym rasowym i językowym konglomeracie nastąpiło wyodrębnienie się poszczególnych języków i związanie z określoną przestrzenią ziemi, na czym opiera się cała dzisiejsza przynależność narodowa obecnych narodów bałkańskich. W każdym razie nie łatwo jest wskazać na jakiś fakt, który by tłumaczył przekonywująco, dlaczego ten właśnie obszar ziemi i ta mieszanina rasowa zrosła się i skrzepła już od X w. w pojęcie narodowościowej wspólnoty. Z pewnością „mongolscy” Węgrzy nie są bardziej Mongołami od „słowiańskich” Bułgarów, a w żyłach „łacińskich” Rumunów płynie co najmniej tyleż krwi mongolskiej, co i u „mongolskich” Węgrów; znacznie zaś więcej krwi śródziemnomorskiej, a zatem starorzymskiej, znajdziemy u Chorwatów, niż u „łacińskich” Rumunów.

Otóż człowiek nie jest li tylko produktem ślepego biologicznego krzyżowania się. Stanowisko, które ma zająć, określa sobie sam na podstawie wyboru wolnej woli. Tak

więc Chorwaci i Bułgarzy przyznali się do Słowian, motywując swój wybór wspólnotą językową; Węgrzy bronią swej wolności wyboru w ten sposób, że się skłaniają do zupełnie sobie obcych historycznie i rasowo Finów; podczas gdy Rumuni czują się Latynami i mił ten pielęgnują z wzruszającą, owszem z rozbijającą wprost gorliwością. Legenda ta, tej samej mniej więcej wartości, co państwowo zatwierdzane konstrukcje historyczne współczesnego nacjonalizmu niemieckiego lub kemalowskiej Turcji, głosi niezachwianie: w obecnej Rumunii a starej Dacji i tylko tu, rzymscy koloniści przetrwali zawieruchy wędrówek ludów i średniowiecznych zamieszek, najazdy Gotów, Słowian, Hunnów, Awarów, Madziarów, Bułgarów, Kumanów, Tatarów, nie zostawili tylko niestety żadnych śladów po sobie i dopiero w XIII wieku Wołosi, posługujący się romańskim narzeczem, udowodnili źródłowo, że są w prostej linii potomkami Rzymian z czasów Trajana...

Tymczasem ci Latyni są tylko potomkami zlatynizowanych Illyrów, którzy wywędrowali ongiś z nad brzegów wschodniego Adriatyku — gdzie jeszcze dzisiaj istnieje rumuńska wyspa językowa — posuwali się w głąb Bałkanu wzdłuż pasma górskiego, aż dotarli w ciągu wieków poprzez Dunaj do Wołoszy i na Mołdawię. Potem zaś, już jako urodzeni górale, ciągnęli coraz dalej wzdłuż karpackiego łuku, naprzód w kierunku północnym, następnie zachodnim. Najdalej wysunięte na zachód grupy tych wędrowców dotarły do Moraw i Śląska, tam ulegały czechizacji, słowakizacji lub polonizacji, podczas gdy dawni rumuńscy mieszkańcy przesmyku między Rusią Podkarpacką a Polską ulegli zruszczeniu. Ślady tej jednolitej ongiś ludności można i dziś jeszcze poznać od pierwszego wejrzenia po cechach dynarskich, które występują wzdłuż czesko-polskiej granicy, poczynszy od Morawskiej Bramy Karpat aż do obszaru i dziś jeszcze rdzennie rumuńskiego. Ludzie ci wiodą podobny tryb życia, posiadają zupełnie podobne obyczaje, tak samo są uzdolnieni artystycznie do muzyki, tańca i sztuki zdobniczej, niezależnie od tego, czy mówią po czesku, czy słowacku, po polsku, rusku, czy rumuńsku, a nawet po serbsku, chorwacku lub bułgarsku.

Początki państwowości rumuńskiej sięgają dopiero XIV wieku. Trzy ówczesne księstwa, Siedmiogród, Mołdawia i Multany, nazwana później Wołoszą, były początkowo zawisłe od Węgier. Pierwsza dynastia, Besarabów, była prawdopodobnie słowiańskiego pochodzenia, choć najstarsze wizerunki książąt wyraźnie ukazują nam dynarsko-środdziemnomorskie typy. Później przeważyli mongołoidzi, jak świadczą o tym zachowane portrety sławnych władców, takiego Michała Walecznego, Macieja Besaraba, Kantemira. Zresztą i dzisiaj jeszcze czołowe osobistości rządowe — jak Titulescu lub Tatarescu — noszą pieczęć swego tatarskiego pochodzenia bądź w rysach twarzy, bądź nawet w nazwisku.

Łacińskość Rumunii odkryto ponownie w wieku XIX. Był to owoc ogólnego prądu romantyzmu, domagającego się dla każdego narodu chwalebnej i starej przeszłości kulturalnej. Tymczasem aż po to narodowe ocknięcie się Rumunia była raczej wszystkim innym, niż romańsko-zachodnim państwem i romańsko-zachodnią społecznością. Aż do chwili przejścia pod panowanie Turków przeważały tu — tak w dziedzinie kulturalnej jak w rządzącej hierarchii, jeśli w ogóle można o kulturze i rządach mówić w tych nowych państwach kolonialnych na bezpańskim obszarze — wpływy węgierskie. Od w. XV księżęta — wajdowie i gospodarowie (obydwa wyrażenia są słowiańskie) zależą od Wysockiej Porty. Tureckie zwierzchnictwo przejawiało się bardzo zewnętrznie — w strasliwym wysysaniu ludności, w własnowoli tureckich urzędników, zjawiających się na ziemiach poddańczych, oraz w osobie gospodarów, naznaczanych i usuwanych w zupełnej zależności od chwilowych zachcianek sułtanów.

Panowanie tureckie, jak wszędzie na Bałkanie, tak i tu, doprowadziło kraj do głębokiej demoralizacji. Służalczą poddańczość w obliczu przejściowych i zmieniających się wciąż panów, fatalistyczne zdanie się na wyroki nieuniknionego losu, uosobionego w samowoli władcy, zepsucie moralne, obojętność wobec obowiązków, żądza, by urząd jak najszybciej spieniężyć — oto spadek, zostawiony przez Osmanów chrześcijańskim swym poddanym. Rumunom przynieśli oni ponadto nową klasę władców, fanariotów, nie związaną niczym

z narodem ani ze starszą a rodzimą szlachtą. Wysoka Porta nie szukała książąt między potomkami dawnych dynastyj, lecz rozdawała trony Mołdawii i Wołoszy Grekom, którzy ze swej strony mogli być włoskiego lub albańskiego pochodzenia. Siedmiogrodem zaś nawet za panowania sułtanów rządili węgierscy z urodzenia władcy.

Właśnie ta odrębność dziejów, dzięki której Siedmiogród wszedł w krąg zachodniej i środkowo-europejskiej kultury, gdy Mołdawia i ziemie wołoskie zostały bizantyjskie, potem tureckie — stanowi podłoże kulturalnego zróżnicowania trzech głównych ziem, składających się na współczesną Rumunię. Bukowina przez półtora stulecia, podobnie jak Siedmiogród, pozostawała pod panowaniem Habsburgów. Dzięki temu wyjęta została spod wschodnio-bizantyjskich wpływów, gdy tymczasem Dobrudża i Besarabia uległa mniej więcej temu samemu losowi, jakiemu uległy obydwie księstwa naddunajskie.

A jednak językowo-kulturalna jedność narodu, który nigdy nie zaznał jedności rządów, jest niezaprzeczalna, mimo że Siedmiogród podlegał teoretycznie przez dwa stulecia władztwu Osmanów i mimo że Bukowina trzy stulecia a inne ziemie rumuńskie cztery kosztowały tureckiej niewoli. Ta jedność jest tak niezaprzeczalna, jak wątpliwą jest latyńska plemienność Rumunów. Społeczne uwarstwienie zaś najdokładniej odpowiadało stosunkom, panującym u innych narodów, któreśmy określili jako grupę pokrewną z Rumunami. A więc u góry klasa magnatów, posiadaczy rozległych latyfundiów, niżej szlachta-bojarowie, sprawująca patriarchalne rządy nad swymi chłopami, rodzaj szlachty polskiej i tablabirosów węgierskich, obok odosobniona szlachta szaraczkowa, wreszcie w miastach obcokrajowi mieszcianie, przede wszystkim Niemcy. Poza tym bogaty Kościół z ubogimi duszpasterzami i stan zarobkujący, któremu by się nieźle wiodło, tam zwłaszcza gdzie ziemia dobrze rodzi, tj. na równinach, gdyby był pozostawiony sam sobie i gdyby nie wyzyskiwali go nieuczciwi panowie i obcy przybysze. W górach, wraz z większą swobodą, i nędza panowała większa. Wreszcie znienawidzeni jako pasorzyty Żydzi, element zupełnie niezrośnięty z pozostałą resztą ludności, oraz po-

gardzani i unikani Cyganie. Współcześnie na jednej z ziem, wchodzących obecnie w skład Rumunii, gnieźdźdźili się w zamkniętym kręgu wpływów budziaccy Tatarzy jako muzułmańska graniczna osada wojskowa, trzymająca w ryzach Rumunów i ich gospodarów oraz czyniąca wypadły do sąsiedzkich krajów, zwłaszcza do Polski oraz na ziemię habsburskie.

Jeśli chodzi o właściwych Rumunów, którzy nie przedsiębrali od XIV wieku żadnych przesiedleń w większym stylu, z wyjątkiem wspomnianych wyżej wędrowców wzdłuż górskiego pasma, to lud ten, zamieszkujący w zwartej masie przestrzeń między Siedmiogrodem, Morzem Czarnym i Dnieprem, wykazuje wybitnie, aż do połowy XIX w. duchowe rysy wszystkich chrześcijańskich narodów Bałkanu. Cechuje go więc przede wszystkim przynależność do prawosławia, które jednocześnie jest całym narodowym myśleniem, całą wiedzą, sztuką i literaturą tego okresu. Wyznanie to jest dzięki językowi słowiańskie. Ono to wprowadziło cyrylicę jako alfabet rumuńskich tekstów. Obok przejawów chrześcijańskiej kultury silnie zakorzenione są wśród niższych warstw społecznych pozostałości z zamierzchłych czasów pogańskich, które dopiero dzisiaj odsłania się i wydobywa spod kryjącej je powłoki chrześcijańskiej obyczajności. I one są na wskroś słowiańskie. A więc rumuński zabobon, ideał bohaterski, taniec, śpiew, tkactwo, malarstwo wiąże ściśle pokrewieństwo z analogicznymi przejawami ruskiej, serbskiej, bułgarskiej kultury.

Ideę o łacińskości Rumunów podnieśli do godności narodowego mitu rumuńskiego dopiero twórcy państwowej jedności rumuńskiej, którzy poczęli działać od połowy XIX stulecia. Byli to mężowie stanu i poeci w jednej osobie, jak Heliade Radulescu i Vasile Alecsandri, Mihail Kogalniceanu i Constantin Rosetti. Upoiła ich, a wraz z nimi i tworzącą się nową duchową warstwę narodu, myśl o przynależności do rasy, która *e regina intr'ale lumii ginte mari, ea poarfa'n frunte o sfea divina, lucind prin simpii seculari*, „jest królową wśród potężnych ras świata, która nosi na czele boską gwiazdę, świecąca poprzez stulecia”.

Wiara ta nie przeniosła wprawdzie gór, ale przedarła się przez nieprzekraczalną dotąd granicę siedmiogrodzkich Karpat, spoiła Rumunów w jedną całość, zanim jeszcze stosunki polityczne nie stworzyły dla niej symbolu w postaci *România Mare*, Wielkiej Rumunii. Reszty dokonali historycy, uprawiający jednocześnie politykę, w tym samym zakresie, co i poeci. Hasdeu, Kogălniceanu, Hormuzaki, Onciul, Xenopol i Iorga nie omieszkali konstrukcyj poetów i narodowych wodzów oprawić w naukowe ramy i nadać łaciński sens cerkiewno-słowiańskiej, węgiersko-turecko-tatarskiej przeszłości.

Ale politycznej praktyce życiowej nie zależy bardzo na tym, jak „się też to w rzeczywistości działo”. Zasadnicza rzecz wiedzieć, czego się uczy dzieci w szkołach i czego się uczą duże dzieci, co mają głosić z katedry, jak mają czytać w gazetach, czego mają słuchać na wyborczych zebraniach i przy rodzinnym stole. Tam są Rumuni z jednej strony Latynami, autentycznymi spadkobiercami Romy, a z drugiej strony również potomkami bizantyjskiego cesarstwa jako czołowej potęgi na Bałkanie i w grecko-prawosławnej cerkwi. Dodajmy dla porządku, że Rumuni nadzwyczaj niechętnie słuchają nie tylko o węgierskich i tureckich wpływach, którym ulegli, lecz także o tym, że przemilczają jak mogą silny wpływ ruski (w. XIX) i jeszcze silniejszy polski (w. XVII i początek XVIII) w dziejach swej kultury.

Dopiero po takim naszkicowaniu historycznego kształtowania się rumuńskiego ideału narodowego, po zestawieniu świadomych dążeń łacińskich i odziedziczonych, ale nieświadomych, zaprzeczanych i odrzucanych rasowych czynników, historycznych i kulturalnych wpływów przejętych w spadku po pierwotnych mieszkańców dynarskich, po wschodnio-bałtyckich Słowianach, Turko-Tatarach i fińskich plemionach, po zsumowaniu tych czynników w bilansie politycznym, otrzymamy klucz do zrozumienia obecnego przewrotu w Rumunii.

Przewrót ten nie jest jakąś latyńską rewolucją faszystowską, ani zwycięstwem niemieckiego narodowego socjalizmu. Jesteśmy raczej świadkami przełomu o swoistym zabarwieniu narodowym, poszukiwania nowych dróg, odpo-

wiadających współczesnej politycznej rzeczywistości Rumunii, która zbliża ten kraj do pokrewnych mu rasowo i historycznie narodów i która właśnie dlatego przejawia rumuńską swoistość.

Rumuński parlamentaryzm, rumuńska demokracja były sztucznie wzniesionymi i nigdy niezrosłymi z rumuńską ziemią gmachami, które stosunkowo nieliczna zwierzchnia warstwa kulturalnej Rumunii uważała wbrew życiowej prawdzie za trwałe system. Ta gra zastępujących się kolejno stronnictw, z daleka tylko przypominająca angielskie lub amerykańskie stosunki, była tylko uciechą dla uprzywilejowanych klas. Lud nie brał w niej żadnego udziału i przyglądał się jej beczynnie tak długo, dopóki sam nie został wciągnięty w wir politycznego życia. Obecnie w państwie rumuńskim dochodzą do głosu swoiste formy ustrojowe, zrzucając obcą sobie powłokę zachodniego kapitalizmu skrojonego według francusko-angielskiego wzoru, a z nim razem państwowe i cywilne prawo, które przyniósł ze sobą także kapitalizm. Pryska legenda polityczna, która jak cały męt rumuński o latyńskiej przeszłości, produkt literatów i profesorów, nie wytrzymała krytyki życia. A prawdziwa, nie „robiona“ dusza rumuńska nie zna żadnej wrodzonej równości, ani panowania pisanego słowa, ani magicznej mocy głosów wyborczych, ani krytyki czystego rozumu, ani wszechmocy pieniądza.

Chłop rumuński, tworzący trzon narodu, potrzebuje — tak jak chłop polski, jugosłowiański, bułgarski i węgierski — albo silnej ręki, pewnego, wyrobionego i zaprawionego do rządów kierownictwa, albo sam chwytą za ster wymykający się ze słabych rąk i skłania się wtedy ku agrarnemu socjalizmowi. Posłuszeństwo i karność jest zapewniona, ale wtedy tylko, gdy ktoś potrafi rozkazywać, kto jednocześnie zna chłopą, kto dostosowuje się do jego sądów i przesądów, kto poważa tradycję i kto czerpie znajomość wsi z głębin chłopskiej duszy, a nie ze szkolnych podręczników i teoryj.

Słowem Rumun chętnie oddaje się pod zwierzchnictwo temu, kto albo urodził się jako władca, albo udowodnił czynem, że umie rządzić, choćby nawet wywodził się z chło-

pów. Przy tym odwołanie się do dobrych i złych popędów, hasło pobożnej wiary i miłości ojczystej, jak granie na instynktach mściwości przeciw ludziom obcej krwi czy innej klasy, jest równie skuteczne. Dobra lub zła strona przeważa zależnie od okoliczności. Tak np. partia agrarna Maniu zwróciła swe ostrze przede wszystkim przeciw wielkim własnościom ziemskim, a dopiero obok tego przeciw przerostom kapitalizmu. W ostatnich znów dziesięciu latach całą dynamikę społeczną zwrócono przeciw Żydom i ich zwolnikom. I to właśnie ogólne rozgoryczenie na tle sprawy żydowskiej wyzyskały dwie skądinąd rywalizujące z sobą partie, umiarkowani chrześcijańscy narodowcy oraz Żelazna Gwardia, partie idące dziś pod hasłem: „Wszystko dla Ojczyzny”.

Ten polityczny przełom, jakiego jesteśmy świadkami, nie przyszedł nagle. Poprzedził go przewrót duchowy, dokonujący się na długo przed tym. Już bowiem od dłuższego czasu panował na wyższych uczelniach duch Cuzy i Iorgi, który dostarczył walczącemu nacjonalizmowi rumuńskiemu myślowej, naukowo opracowanej broni. Już dawno przed tym dokonał się ten przewrót w literaturze. Namiętne ludowa poezja stłumiła i wyparła panujący w rumuńskiej twórczości literackiej aż po dni światowej wojny naturalizm, nastrojony na międzynarodową, demokratyczną i socjalistyczną nutę, wraz z jego neoromantyczną kolorystyką.

Po pokoleniu pesymistycznych piewców kosmicznego bólu i społecznej niedoli, po Michale Eminescu i Caragiáli, rumuńskim Leopardim i rumuńskim Zoli (a może raczej rumuńskim Słowackim i rumuńskim męskim odpowiedniku Zapolskiej?) przyszli Sadoveanu i Liviu Rebreanu, Oktawian Goga i Lucian Blaga, Crainic, Voiculescu i Adrian Maniu, w których poezji rumuńska ludowość doszła do pełnego rozkwitu. Rzecz godna uwagi, że jedyny współczesny talent rumuński, wyrosły jeszcze na glebie kosmopolitycznego marksizmu, Panait Istati, opuścił swą ojczyznę. Ale i ten zfrancuziały pisarz, pół-Rumun, oderwany od swej ziemi, został napowrót odzyskany dla kraju. Otrzeźwiło go zetknięcie się z sowiecką Rosją.

Wraz z siedmiogrodzianinem Rebreanu i pół-Polakiem Petrescu weszła do dzieł epicznych potężna poezja mistyczna, torująca drogę do praduszy narodu; natomiast w osobie Crainica, Voiculescu i A. Maniu, dokonała się synteza chrześcijaństwa i ludowych wierzeń, znalazłszy swój wyraz w subtelnej, pełnej wspaniałego kolorytu liryce. Cała ta poezja jest zapowiedzią i drogowskazem, owszem nawet już częścią politycznej rumuńskiej rzeczywistości. Z Parnasu wdarli się do narodowego życia Goga i Blaga, by tu urzeczywistniać swe dzieło. Goga pięćdziesięciosiedmioletni dziś mężczyzna, z pochodzenia siedmiogrodzianin, wychował się w szkole węgierskiej. Zaczepnął tu wiele zachodniej kultury, ale jednocześnie przesiał nienawiścią do jej pośredników. Stawszy się dość wcześnie w walce przeciw państwu św. Stefana męczennikiem swoich namiętnych przekonań, dał się naprzód unieść prądowi socjalistycznemu, potem, oddany już wyłącznie kultowi narodowego ideału, zwalczał Węgrów bronią swej literackiej satyry. Jego sceniczny utwór pt. *Pisarz gminny*, grany w teatrze bukareszteńskim, wywoływał dość częste dyplomatyczne interwencje ze strony Węgier. Zdaje się, że nie będzie to wielką przesadą, jeżeli te interwencje zaliczymy do spłotu przyczyn zbrojnego wmieszania się Rumunii w wojnę światową...

Goga, którego sądy węgierskie skazały za zdradę stanu, w czym nie mógł pocieszyć go chyba fakt, że największy poeta węgierski ostatniej doby, Ady, nadal zapewniał go o swej koleżeńskej przyjaźni, stanął po stronie Ententy z całym przekonaniem i zapałem. Wykarmiony na francuskiej i włoskiej kulturze, opanowany latyńskim mitem rumuńskiej historii jak mało kto, mimo swego nieuprzedzonego stanowiska wobec niemieczyny i mimo wybitnej znajomości niemieckiej kultury, pozostał wobec niej obcy duchowo. Dlatego jest wcieleniem wodza współczesnej Rumunii, łączącym w sobie harmonijnie przeżycie łacińskiego wykształcenia z prapopędami rumuńskiego narodu.

Ani człowiek Zachodu, ani rusofil, ani germanofil, lecz jedynie i wyłącznie Rumun, acz obeznany z duchowymi i politycznymi prądami obczyzny, objął stery rządu Goga

jako przywódca chrześcijańsko-narodowej partii, wypróbowałszy swych kierowniczych zdolności jako minister w rządzie marszałka Averescu. Ale wyrządzilibyśmy mu krzywdę, gdybyśmy go nazwali szefem partii w dotychczasowym słowa tego znaczeniu. Jest on wprawdzie grabarzem sztucznego zachodniego parlamentaryzmu, lecz nie będzie też heroldem obcego zupełnie Rumunom narodowego socjalizmu niemieckiego. Jako jedyna analogia, wiążąca dwa te kierunki, rumuński i niemiecki, narzuca się zawzięcie wrogie stanowisko wobec Żydów, jakie przejawia się w ostrych ustawach i zarządzeniach antysemitycznych.

Wszakże antyżydowskie poczynania nie wyczerpują charakterystyki rządowego programu. Bo nawet choćby się stwierdziło, że trzydzieści lat temu profesor Cuza, sprzymierzeniec i ministerialny kolega Gogi, wprowadził już swastykę; że zakazuje się Żydom zatrudniać u siebie chrześcijańskie służące w wieku poniżej lat czterdziestu; że zawiesza się żydowskie dzienniki, począwszy od *Dimineata*, a skończywszy na *Tschernowitzer Morgenzeitung*; gdyby się nawet uświadomiło sobie naraz wszystkie ograniczenia stosowane wobec Żydów i przypomniało, że już prawie sto lat temu Rumuni rzucili hasło: *Desteapta te, Române!*, „zbudź się, Rumunie!“, nawet i wtedy jeszcze nie usunęło by się wszelkich różnic, które nadal istnieją między Niemcami a Rumunią.

W Rumunii nie należy oczekiwać żadnej zasadniczej zmiany rządu. Król zostaje nadal, owszem sam, podobnie jak we Włoszech, dał znak do zmiany systemu (przy czym zgodził się na wmieszanie się do swego prywatnego życia, co przed tym stanowczo uchylał). Obecny przewrót nie wyszedł ze sfer rewolucyjnych: czołowe osobistości nowego rządu należą do klasy poetów, uczonych, adwokatów; nie są to *homines novi*, lecz owszem prawie wszyscy to politycy, mający daleko za sobą pierwszą młodość, czynni w życiu politycznym od dziesiątków lat i to na stanowiskach kierowniczych. W Rumunii zagadnienie mniejszościowe jest o zupełnie innym zasięgu niż w Niemczech, i prędzej czy później, po dokonaniu pośpiesznych i doraźnych pociągnięć piórem w sprawie żydowskiej, będzie się musiało poddać je pod

pilną rozważyć i przeprowadzić rewizję dotychczasowych metod. Trwałość reżimu Gogi zależy przede wszystkim od tego, czy potrafi on dojść do porozumienia z Niemcami i Węgrami. Odnosnie zaś do sprawy żydowskiej, po zastosowaniu obecnej *tabula rasa*, będzie musiał ogłębnić się za jakimś nowym sposobem postawienia rzeczy. Bo w Rumunii, podobnie jak w Polsce, Żydzi nie są tylko jakąś nawierzchnią, intelektualnie i gospodarczo czynną klasą średnią, jak się to działo w Niemczech, gdzie stanowią zaledwie 1% ludności i gdzie pozornie są zasymilowani językowo i kulturalnie. W Rumunii Żydzi stanowią co najmniej 6% ludności, liczącej 19—20 milionów. Są oni do tego wyodrębnieni pod każdym względem, a niektóre gałęzie gospodarstwa i wolnych zawodów potrafili zmonopolizować w stopniu, jakiego nie znano w Niemczech.

Dalej Rumunia w przeciwieństwie do Niemiec, które są samowystarczalne, skazana jest gospodarczo i politycznie na pomoc zagranicy. Musi się wobec tego umieć zdobyć na sztukę unikania wszelkiego zatargu z mocarstwami, a przy tym możliwie poprawnie układać pożycie z sąsiadami. Pod pewnym jednak względem Rumunia znajduje się w lepszym położeniu od Niemiec. Nie grozi jej żaden kościelny zatarg. Goga pracuje w ścisłym związku z popierającym go Kościołem prawosławnym, a jako siedmiogrodzianin nie myśli wywoływać zatargu z katolikami czy protestantami. Prądy zaś neopogańskie pojawiły się w literaturze, lecz nigdy w polityce.

Nie bez znaczenia jest też fakt, że Rumun lubi wprowadzić rozkazy i posłuszeństwo, ale nie lubi zbyt ostrych form. To też przed Gogą piętrzy się iście herkulesowe zadanie uprzątnięcia ogromnej stajni augiaszowej, jaką pozostały po sobie te cechy rumuńskiego charakteru oraz korupcja, zaszczepiona jeszcze przez okres tureckiego panowania.

Są to zadania palące, ważniejsze od wszelkich zagranicznych widoków politycznych, podsuwanych wciąż Rumunii zwłaszcza przez zachodnio-europejskich przyjaciół odsuniętego od rządów pana Titulescu. Poczucie prawdy nakazuje stwierdzić, że nowy rząd aż nadto będzie miał roboty, jeśli się zabierze do tego, co mu narzuca dziejowe posłan-

nictwo: do usunięcia sztucznej demokracji, skrojonej na model zachodni i nadania Rumunii politycznego ustroju, politycznych instytucyj i obyczajów, odpowiadających jej wschodnio-europejskiemu charakterowi.

Przy tym nie można zapominać, że Goga i jego ekipa będzie się musiała liczyć z lewicową partią chłopską Maniu, oraz że musi się przede wszystkim strzec, by nie dać najskrajniejszej prawicy (Codreanu) żadnego powodu do krytyki. Obojętność czy poparcie ze strony liberałów nie wystarczy. Tutaj czeka nowego szefa niewdzięczna rola. Będzie musiał odstręczyć od skrajnych nacjonalistów wielką liczbę ich dotychczasowych zwolenników, a przede wszystkim nie dopuścić do pogodzenia się grupy Vaida-Voevoda z Maniu. Ci dotychczasowi stronnicy Tatarescu muszą być o ile możliwości wcieleni do chrześcijańsko-narodowego zjednoczenia Gogi. Z byłymi Żelazno-gwardzistami sprawa będzie tym trudniejsza, im mniej ich program polityki wewnętrznej odbiega od programu obecnego premiera i Cuzy, a im więcej program polityki zewnętrznej różni się od programu tych dwóch mężów stanu. Partii „Wszystko dla Ojczyzny“ brakuje doświadczenia, ale zato posiada ona młodość swego przywódcy i cieszy się ogromnym mirem wśród młodzieży. Niebezpiecznego tego rywala da się tylko ugłaskać ustępstwami wobec wszystkich jego żądań w polityce wewnętrznej i w ten sposób doprowadzi się go do porzucenia bardzo niedowarzonych zamiarów w dziedzinie polityki zagranicznej, z którymi dotychczas ta partia się nosiła.

Goga i Micescu zachować chcą w polityce światowej linię, którą kroczy Polska i Jugosławia, i która najlepiej da się uzgodnić z prawdziwie narodowym rządem: a więc żadnej zażyłości z Sowietami, żadnego otwartego zerwania z Ligą Narodów, lecz i nie za dużo dla niej entuzjazmu; utrzymanie przymierza z Francją, bez kłopotania się o jej rządy i bez dopuszczenia Francji do mieszania się w sprawy wewnętrzne Rumunii; doskonałe stosunki z Niemcami i serdeczne z Włochami.

Jako szczególny rys obecnej Rumunii należy podkreślić nader wyraźnie zaakcentowany związek Rumunii z Polską i Jugosławią. Ta trójca państw, dzięki jakości swych armij

i dzięki geograficznemu położeniu tworzy nieprzewyciężony blok pokojowy. Drażliwa będzie zawsze sprawa z Węgrami i Czechosłowacją. Rumunia oczywiście nie myśli o wrogim zaczepianiu Czechów, owszem wzmacnia dotychczasowe węzły pokojowe, ale musi uchylić się od obowiązku wysnuwania stąd praktycznych wniosków, jak to życzyli sobie niektórzy illuzjoniści. Dlatego Rumunia nie zawrze żadnego paktu przeciw Niemcom lub Polsce, ani nie da się Pradze pociągnąć na linię Moskwy. Co się tyczy Węgier, możemy mieć niepłonną nadzieję, że Goga weźmie sobie na ambicję, by właśnie pokazać, że niekoniecznie były piewca nienawiści ma głosić jako premier „Boże pokaraj Węgry“. Być może, że za polskim pośrednictwem dojdzie między tymi siostrzanymi narodami do odprężenia.

Naszkicowane tu zarysy zewnętrznej polityki Gogi i Micescu zakładają, że Francja zdaje sobie sprawę z dziejowej chwili i nie powtórzy już błędu, jakiego dopuściła się wobec Polski ze względów ideologicznych, a za który później musiała ciężko pokutować. Próba ukarania Rumunii za to, że się nawraca ku sobie, wstrzymanie kredytów i świadczeń zbrojeniowych, dyplomatyczne zabiegi i prasowe kampanie, mogłyby co najwyżej spowodować upadek Gogi i dojście do władzy Codreanu. Ale to skończyłoby się włączeniem Bukaresztu do osi Berlin—Rzym, co na razie nie grozi. Nie należy też rzucać się na tych poetów-polityków, którzy usiłują znaleźć szlaki, wiodące na realną rumuńską ziemię, *Tara Româneasca*, do królestwa poza czasowej rumuńskiej myśli, *Tara de peste veac* — za to, że początkowo muszą kroczyć i myśleć na ulicach i drogach praojczystych. Niech będzie wolno Rumunom naznaczać sobie rząd lub zastępować go innym według ich własnego uznania. Wtargnięcie nieopatrzných mentorów nie potrafiłoby zmienić ustalonych już podstaw rumuńskiej historii i rumuńskiej geografii. Spowodowałoby co najwyżej nowe przesilenie rządowe, a właśnie *Simbarea Domnilor, bucuria nebunilor*, „Książęta się zmieniają, a głupcy cieszą się z tego“...

Wiedeń, 15 stycznia 1938 . Prof. dr Otto Forst Battaglia.

Przegląd Piśmiennictwa.

Zygmunt Nowakowski: *Gałązka rozmarynu* (Książnica Atlas). — Jo van Ammers-Küller: *Patrioci*, przekład Henryka Leśniewskiego (Książnica Atlas). — Andrzej Strug: *Miliardy* (Gebethner). — Tatiana Czernawina: *Zbiegowie z G. P. U.*, przekład Marii Czapskiej (Instytut wydawniczy: Biblioteka polska). — Karol Koźmiński: *Kamienie na szaniec* (Książnica Atlas). — Józef Morton: *Spowiedź* (Rój). — Jerzy Marlicz: *Bezdroża* (Książnica Atlas). — Czesław Ksawery Jankowski: *Sieć z czerwonej przędzy* (Biblioteka dobrych książek, Łomża).

Książki dla młodzieży: Helena Zakrzewska: *Pojednanie* (wyd. św. Wojciecha). — Stefan Thermeson: *Przygód Marcellianka Majsterklepki historii 6* (wyd. J. Mortkowicz). — Hugh Lofting: *Cyrk doktora Dolittle* (wyd. J. Mortkowicz).

Gałązka rozmarynu widowisko w 5 obrazach, taki tytuł nosi książkowe wydanie głośnej już dziś sztuki Zygmunta Nowakowskiego. Autor, jakby dla zapobieżnięcia kłopotom krytyków-nominalistów, utwór swój nazwał widowiskiem. Bo jego sztuka to nie dramat, nie komedia, nawet nie w ścisłym tego słowa znaczeniu „sztuka”, to naprawdę widowisko *du theatre pur* powiedziałby zapewne ks. Brémond. Jest to utwór, który na deskach scenicznych wskrzesza i odtwarza pewien fragment życia. Werbowanie rekruta w Oleandrach w wilię wymarszu pierwszej kadrowej, wejście do Kielc, pozycja w Laskach, Boże Narodzenie w rowach strzeleckich pod Łowczówkiem, obozowanie nad Nidą — oto etapy rozwijającej się przed nami legionowej epopei. Pięć tych kapitalnych obrazów łączy lekka nić tzw. akcji, zrobionej jakby dla literackiej przyzwoitości. Sanitariuszka Sława i młody legionista Juhas pokochali się w pierwszym akcie, pobrali w ostatnim. To jest wątek sentymentalny. Ciotka ze Stanisławowa zaczyna w pierwszym akcie szukać swego siostrzeńca, chcąc go obdarzyć papierosami, czekoladą i ciepłą bielizną; po mnóstwie nieporozumień, po mnóstwie paczek rozdanych pomyłkowo legionistom,

znajduje go w akcie ostatnim, ale paczek znowu nie ma... To jest doskonały i stale zabawny, wątek humorystyczny. Ale oba te wątki, jakkolwiek konsekwentnie przeprowadzone, są tylko pretekstem, rzeczą uboczną. Rzeczą główną jest barwne, bujne, kipiące życie żołnierskie, żołnierska pieśń, jest niesłabnące napięcie uczuciowe i patriotyczne tego *sui generis* jedynego widowiska, w którym wzruszenie i wesołość kolejno a niejednokrotnie równocześnie przejmują widza. „Do śmiechu i do płaczu” — powiedziała mi pewna prosta dziewczyna, wróciwszy zachwycona z teatru. I to że ona to podwójne oblicze sztuki zrozumiała, że pochwyliła to podwójne zamierzenie autora, jest wielką zasługą sztuki i jej wielką wartością i wagą. Bo ostatecznie literatury dobrej, dostępnej dla tzw. *oberen zeh'n Tausend* mamy mimo zdania malkontentów dość sporo. Ale literatury dostępnej dla wszystkich mamy bardzo mało. Fakt, że pojawiła się sztuka, która przemawia do tzw. szerokiego ogółu, jest wydarzeniem doniosłym, a jej napisanie jest wielką kulturalną i społeczną zasługą Nowakowskiego. — Jeżeli będziemy się na „Gałązkę rozmarynu” patrzeć nie z punktu użyteczności publicznej lecz jedynie z punktu widzenia literackiego, to i tu także musimy oddać jej należne pochwały: autor, który takie właśnie popularne widowisko napisać zamierzył, cel swój osiągnął w pełni, a wiadomo, że stosunek założenia do realizacji jest najważniejszą miarą artystyczną każdego dzieła. Tu zamierzenie zrealizowane zostało w stu procentach. A że chcąc napisać i napisawszy doskonałą sztukę popularną, napisał sztukę, która podoba się nie tylko ludowi, lecz także Irzykowskiemu i Boyowi, to już miałoby się ochotę powiedzieć, jego szczęście, a mówiąc ściślej jego talent, jego zmysł sceniczny, takt, umiar i smak artystyczny. Bo nie ładu umiaru i taktu trzeba było w operowaniu tym najbardziej niebezpiecznym, wybuchowym, materiałem artystycznym, elementem patriotycznego wzruszenia i sentymentu. I największym triumfem Nowakowskiego jest, że z tego prawie że beznadziejnego zadania wybrnął zwycięsko. Nie wiem, czy nie popełnię literackiej herezji przypisując ten triumf Nowakowskiego nie jedynie jego talentowi, nie jedynie jego znakomitemu teatralnemu rzemiosłu, ale także, w dużej mierze, jego głęboko i całym sercem przeżytej legionowej przeszłości. Że ten głęboki legionowy sentyment tkwi w Nowakowskim wiedzieliśmy już z ślicznej, zbyt mało znanej jego noweli „Wymarsz”, pisanej swego czasu przez młodego, jeszcze wówczas mało znanego autora. Dziś znalazł on dojrzały wyraz w „Gałązce rozmarynu”. Bo ta sztuka to nie tylko doskonale zrobione widowisko, nie tylko celowo i świadomie pisana sztuka popularna, to przede wszystkim wypowiedzenie siebie, to powtórne przeżycie młodej, bujnej, heroicznej i pełnej upojenia legionowej młodości. I tu nie w rzemiosło, nie w konstrukcję, lecz w samego Nowakowskiego, tkwi „biorący” sentyment jego sztuki.

W wydaniu książkowym sztuka jest o wiele dłuższa niż na scenie. Ale i to jak wszystko jest celowe i przemyślane. Chcąc, aby „Gałązka rozmarynu” była sztuką dla wszystkich, autor zrobił ją a *double usage*: w całości dla wszystkich scen stołecznych (gdzie święci zasłużone triumfy), w jedno-aktowych zaś fragmentach, dla małych scen prowincjonalnych, a nawet dla scen amatorskich. Zapewne ta tak dobrze pomyślana, napisana a przede wszystkim tak głęboko odczuta sztuka stanie się żelaznym kapitałem naszego repertuaru. Zasluguje na to w zupełności.

Patrioci to pierwsza część wielkiej historycznej trylogii, popularnej u nas pisarki holenderskiej Jo van Ammers-Küller. Pod tytułem czytamy objaśnienie: „Dzieje rodziny pewnego regenta Amsterdamskiego” (1778—1787). Określenie to zbyt skromne. „Patrioci” to coś o wiele więcej, niż dzieje jednej rodziny. To dzieje całej epoki, epoki przedrewolucyjnej, pełnej groźnych pomruków zbliżającej się burzy dziejowej, to obraz całego społeczeństwa, jego dążeń, wad, błędów, porywów, dzieje nurtujących je prądów i walk. W szeroko i z rozmachem kreślonych scenach przesuwają się przed nami obrazy zmiennych kolei wewnętrznych walk między stronnictwem „patriotów” a stronnictwem Orańskim; przesuwają się przede wszystkim obrazy współczesnego życia, jakby ze starych holenderskich sztychów wyjęte. Barwne *assemblées*, uroczyste posiedzenia, oficjalne, pełne etykiety zabawy towarzyskie, kapiące od złota stroje, ciężkie skrzynie pełne skarbów, pełne snobizmu i chciwości układy małżeńskie. A całe to życie obraca się i funkcjonuje powoli, trochę sennie, trochę ociężale, właśnie tak, jak wyobrażamy sobie, że płynąć musiało życie w bogactwie zadufanych Holendrów ówczesnych. Pod starożytnymi strojami, pod tą doskonale zrobioną *couleure locale*, dostrzegamy jednak zawsze tę samą, zmianom i modom niepodległą ludzką duszę. Widzimy grę ludzkich namiętności, miłości, nienawiści, zazdrości, chciwości, pychy. Widzimy przede wszystkim nagromadzony materiał palny, dla rewolucji, widzimy jakby jej konieczność. Bardzo szczęśliwie umiała Jo van Ammers-Küller połączyć egzotykę historyczną z ludzką prawdą, bardzo szczęśliwie zająć o siebie sprawy publiczne swych bohaterów. — Starannie i poprawnie przez Henryka Leśniewskiego przetłumaczona książka ta będzie się zapewne cieszyć tą samą popularnością co i poprzednie prace utalentowanej autorki. I zapewne z niecierpliwością będą jej liczni czytelnicy oczekiwać ciągu dalszego zajmującej powieści.

Miliardy Andrzeja Struga to ogniwo między „Pieniądzem” a dalszymi częściami cyklu, zakrojonego na rozmiary cyklu „Żółty krzyż”. Niestety śmierć pisarza przerwała jego pracę, nad tym na

wielką miarę planowanym dziełem. Jak zwykle u Struga fabuła jest tylko pretekstem do ukazania nam wielkiego odcinka współczesnego życia w jego istotnych i zasadniczych momentach. Tak jak w „Żółtym krzyżu” ukazywał nam Strug „duszę wojny”, tak tu ukazuje nam duszę złota, ukazuje nam jego ciężar gatunkowy, jego potęgę i przemoc nad człowiekiem. Wizja jest potężna i sugestywna, a wychodzi tym plastyczniej, że podtrzymująca ją fabuła-pretekst jest sztafażem z żel-betonu, sztafażem zbudowanym z doskonałą znajomością praw równowagi, ze znakomitym rozmieszczeniem punktów ciężkości. Autor operuje umiejętnie efektami światła i cieni, często co prawda przejawiając światła w scenach zbyt realistycznych. Poza skonstatowaniem doskonałości roboty i wielkiej sugestywności wizyjnej tej książki trudno o niej powiedzieć coś więcej, trudno zwłaszcza rozprawić o jej zawartości ideowej, bo ideologia w całości dopiero byłaby się wyraźnie zarysowała, a tej całości nie poznamy niestety nigdy.

Zbiegowie z G. P. U. Tatiany Czernawiny to jedno więcej „wspomnienie” z Rosji sowieckiej, jeden więcej straszliwy i autentyczny dokument dramatu rozgrywającego się u naszego boku. Autorka nie należała do arystokracji, rodzina jej pochodziła z ludu. Sama była z zawodu historykiem sztuki, jej mąż był profesorem uniwersytetu, ichtiologiem. W żadnej robocie politycznej udziału nigdy nie brali, z przekonań byli liberałami i rewolucję witali raczej sympatycznym okiem. Pracowali oboje aby móc żyć i wychować synka. On wykładał na uniwersytecie, ona pracowała na stanowisku konserwatora muzeum naprzód w Pawłowsku potem w Peterhofie. Ale ciążył na nich grzech największy: byli inteligentami. Po przebyciu straszliwej nędzy i głodu na początku rewolucji, w życiu uczonej pary nastąpiło odprężenie i względny dobrobyt za czasów Nepu. Ale dobre czasy prędko się skończyły. W roku 1930 ulegli, jak cała inteligencja, okrutnemu prześladowaniu. Pan Czernawin został aresztowany, potem zesłany na Syberię, potem pani Czernawina spędziła 5 miesięcy w okropnym sowieckim więzieniu. Wypuszczona na wolność udała się wraz z dzieckiem do męża i tam dzięki przemyślności i dzięki „łutowi szczęścia” udało się całej rodzinie zorganizować ucieczkę. Przedarli się, idąc 16 dni o chłódzie i głodzie, przez północne góry i tundry do Finlandii.

Opis tych tak zwykłych dziś wypadków jest w tej książce wprost wstrząsający. Czytelnik z tudem broni się od wzruszenia. Spośród wielu podobnych autobiograficznych opisów, opis pani Czernawiny wyróżnia się wysokim poziomem kulturalnym, spokojem i przez to może właśnie robi takie wrażenie. Nie ma tu żadnej deklamacji, żadnego frazesu. Nagie fakta, opowiedziane po prostu, szerokie spojrzenie, inteligentne zrozumienie rozgry-

wających się dookoła wypadków. Książka ta była już tłumaczona na 12 języków. Dobrze się stało, że ukazała się także po polsku. Jest nie tylko doskonale pisana, nie tylko zajmująca i przejmująca ale jak żadna może, rzuca prawdziwe światło na prawdę rosyjskiej rewolucji, na prawdę „bolszewickiego raj” i sowieckiej wolności. Przekład p. Marii Czapskiej, jak wszystkie jej przekłady, znakomity.

Kamienie na szaniec Karola Koźmińskiego to dwa-naście krótkich rysów biograficznych młodych ludzi, którzy między rokiem 1914 a 1920 polegli w walkach o oswobodzenie Polski. Szlachetne jest założenie tej książki, bo słusznie należy się pamiętać i wdzięczność tym, którzy życie swe dali za kraj; ładne i staranne jej wykonanie. Z prawdziwym wzruszeniem czytamy te rzewnie i z pewnym ale w tych okolicznościach nie raziącym patosem opowiedziane historie, wracając myślą w te smutne czasy, gdy pod wrogimi sztandarami walczyli o jedną i tę samą sprawę młodzi bohaterowie, znacząc swymi mogiłami obszar ziemi począwszy od Francji skończywszy na Murmaniu. Naprawdę szaniec...

Uderzającą a napewno nie przypadkową rzeczą jest, że wszyscy ci młodzi ludzie, których życia opowiedział nam Karol Koźmiński, to synowie i wnukowie powstańców, to ludzie którzy wyszli z rodzin o silnej i żywej powstańczej tradycji. I nie można nie wrócić myślą w czasy owych sporów o celowość i wartość powstań, nie można nie przypominać sobie tych głosów, które nasze powstania nazwały szaleństwem a nawet zbrodnią... Książka Karola Koźmińskiego, tak jak każda książka przedstawiająca uczciwie jakiś fragment prawdy życia, ułamek rzeczywistości, pobudza nas do refleksji nad wielką wagą i doniosłością wartości ideowych w życiu. Poucza nas raz jeszcze o tym, że żadne bohaterstwo, żadna ofiara, żadna nawet szlachetna intencja nie ginie, że choć chwilowo może się wydawać zbędna, czy niepotrzebna, zawsze jednak wydaje owoc, owoc czynu i zwycięstwa. Bo dziś w perspektywie historii, dziś po zwycięstwie definitywnym, myślimy z przerażeniem czym byśmy byli, czym mogli byśmy być, gdyby te „szaleńcze” czyny nie były w nas podtrzymywał ducha, nie były syciły patriotyzmu, gdyby odrzucając rozsądek nie były zawsze dążyły do osiągnięcia maksymalnych a wówczas słusznie uważanych za utopię. I pokazuje się, że jedynym prawdziwym błędem człowieka, błędem nie do naprawienia, jest zaparcenie wiary, jest odstępianie w myśli i dążeniu od tego, co słuszne i sprawiedliwe, choć pozornie i chwilowo nieosiągalne.

Powieść Józefa Mortona *Spowiedź*, jest jedną z tak licznych ostatnich czasy powieści o wsi, jej nędzy, bolączkach, potrzebach i aspiracjach. Autor w formie dziennika opisuje nam

dzieje Stefana Okoły, syna dziewięciomorgowego gospodarza z Pińczowskiej wsi Chroberz, którego ojciec posyła do szkół, aby przynajmniej on nie tkwił całe życie „w gnoju”, i wyszedł „na pana”, aby miał życie niezależne i od rodziców lepsze, a ewentualnie także i rodzicom pomógł. Aby utrzymać syna w „gimnazji” w Pińczowie, a potem na uniwersytecie w Warszawie, rodzice zdobywają się na wprost bohaterskie ofiary, zadłużają się i wyniszczają, ciągle ufając, że nie tylko syna na człowieka wykiurują ale że także wkład ten kiedyś się wróci i oprocentuje. Mimo tych wysiłków rodziny Stefek głoduje przez całe gimnazjum. Nie lepiej powodzi mu się w Warszawie, na uniwersytecie. Nędza i głód dochodzą do szczytu. W ślad za nimi idzie „upadek moralny”, drobne kradzieże, życie na koszt i z zarobków szlachetnej, „czystej” i heroicznej prostytutki, Lucyny. (Ten typ szlachetnej i prawej prostytutki, przeciwstawianej „zgniłej moralności burżuazyjnej” zaczyna już być w literaturze typem klasycznym i nużącym). Ale nic nie pomaga: nędza zwycięża. Stefek zniszczył sobie zdrowie, nabawił się śmiertelnej choroby żołądka. Nie może znaleźć absolutnie żadnego zajęcia, studiów kontynuować nie jest w stanie. Wraca złamany do domu. Tu po licznych jeszcze a bezowocnych próbach znalezienia pracy, coraz bardziej zapada na zdrowiu i w końcu — ofiara bezrobocia — umiera, patrząc z goryczą na coraz rosnącą w domu rodzicielskim nędzę, której jest mimowolną przyczyną. Studia jego zrujnowały rodzinę, nie pozwoliły siostrze wyjść za mąż, a z niego samego zamiast „pana” uczyniły społecznego wyrzutka, rozgoryczonego do świata, który ani jego, ani jego pracy nie chce i nie potrzebuje. Taki jest smutny bilans aspiracji do oświaty i „dźwigania” się chłopskiego syna. — Obraz ten jest niewątpliwie wstrząsający, mimo od razu uderzających w nim przejawów. A nadużycie węgla w rysunku mści się na artystycznej stronie książki. Partie ściśle odpowiadające prawdziwej autobiografii autora — lata gimnazjalne w Pińczowie, obraz wsi i rodziny są najlepsze. Znacznie słabsze, bardziej konwencjonalne i nieprzekonywujące są „dokomponowane” partie życia w Warszawie, czysto powieściowa historia z Lucyną, która oprócz tego w sposób przykry razi nas rzeczywistością superrealistycznymi opisami. Nagromadzenie na głowie jednego człowieka wszystkich możliwych i niemożliwych nieszczęść, pechów i okropności, wyciągnięcie z każdej sytuacji najstraszliwszych i ostatecznych konsekwencji, wyrzucenie z życia bohatera przyszłowiowego łutu szczęścia — zamierzony efekt osłabia, zamiast go potęgować. A przecież w samej nagiej prawdzie życia było motywów dramatycznych dosyć. I gdyby autor nie dał się ponieść „literaturze”, działałyby one niewątpliwie silniej. Bo istotnie ten dramat bezrobocia, choć jest klęską powszechną, innej nabiera barwy i groźniejszego wyrazu, gdy spada na takiego „chłopskiego syna”, którego wykształcenie było owocem heroicznych wysiłków

i ofiar całej rodziny, jedyną jej nadzieją i deską ratunku. I ten dramat mimo niepotrzebnych fiorytur i zbędnych przesad występuje w książce Mortona w sposób przekonujący i przejmujący. Podniesienie i podkreślenie tego tragicznego momentu życia wsi, chcące się dźwigać jest niewątpliwą zasługą autora. Drugą zaletą książki Mortona jest doskonała znajomość wsi, jej życia i stosunków. Wieś Mortona to nie wieś stylizowana, upiększona, także nie wieś oczerniona i demagogiczna, to wieś prawdziwa, chłop żywy, język chłopski autentyczny i soczysty, to piękny wzruszający obraz życia chłopskiej kochającej się, zżytej i solidarnej rodziny, jaką jest i w książce i w „prawdzie” sympatyczna rodzina Stefka Okoły vel Mortona. Dobra jest i technika książki: zaplatające się o siebie dwa powieściowe wątki, historia przeszłości, dzieciństwa i młodości Stefana i teraźniejszości, choroby bohatera i nędzy rodziny. I dopiero pod koniec, tam, gdzie autor w formie dziennika opisuje ostatni etap swojej choroby, prawie że śmierć własną — wychodzą na jaw braki tej formy. Staje się ona sztuczna i rażąca. Raz jeszcze występuje jaskrawo największy błąd tej ciekawej i wartościowej książki: jej sztuczna literackość i przeciągnięcie struny okropności.

Jerzy Marlicz jest, jak już kilkakrotnie zaznaczałam w moich recenzjach w *Przeglądzie Powszechnym*, autorem zajmujących i dobrych powieści sensacyjno-egzotycznych. Umie dobrze opowiadać, zgrabnie zazębiać fantastyczne przygody, umie trzymać w napięciu czytelnika, a przy tym daje zazwyczaj swoim opowiadaniom ładne tło i posługuje się czystym, poprawnym językiem. Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że osiąga doskonałe rezultaty w przykuwaniu uwagi czytelnika i intrygowaniu go, nie posługując się zbyt niestety często w tym celu używanymi środkami wkładek pornograficznych, że nie operuje sensacją niezdrową, że jego książki nie mają tych wszystkich ujemnych stron, jakie bardzo często mają książki tego typu. Przeciwnie, książki Marlicza utrzymują się zawsze na poziomie etycznym i kulturalnym. Wszystkie te zalety sympatycznego autora posiada także jego książka ostatnia *Bezdroża* choć przyznać trzeba, że nie jest równie dobra jak książki poprzednie. W *Bezdrożach* podejmuje Marlicz temat znany nam już z *Ośmiornicy* i tam rozpoczęty wątek snuje dalej, przeprowadzając swoich bohaterów przez cykl nowych przygód. Zastosowanie metody tak dzisiaj modnej *du roman fleuve*, do powieści tego typu, nie wychodzi jej na zdrowie. Przez wprowadzenie osób już znanych i już częściowo „zdemaskowanych” osłabia się moment niespodzianki i tajemniczości. Wskutek tego opowiadanie trochę się dłuży, choć nie jest pozbawione momentów emocjonujących. Trochę też zbędne wydaje się komplikowanie tego rodzaju po-

wieści zagadnieniami skomplikowanej psychologii bohaterki, fałszywą nutę wprowadza walka między jej miłością do kosmopolity Kerstena, a jej wzniosłymi uczuciami patriotycznymi. Powieść sensacyjno-awanturyczna ma też, jako taka, swoją rację bytu, ale lepiej jest, gdy trzyma się swoich przyrodzonych ram i nie wdziera się w dziedziny powieści psychologiczno-problemowej. Zatraca przez to swój wdzięk i swój charakter nie wiele wzamian zyskując. Mimo tych zastrzeżeń przyznać trzeba, że *Bezdroża*, tak jak wszystkie książki Marlicza, w polskiej kolekcji tego rodzaju twórczości zajmuje miejsce poczesne a nawet przodujące.

Młody bezrobotny inteligent (ulubiony bohater współczesnej powieści polskiej) szukając napróżno pracy daje się wciągnąć w robotę komunistyczną. Wierząc w jej ideowość i bezinteresowność staje się zapalonym komunistą. Oczywiście nie jest tu bez znaczenia wpływ rudowłosej i pięknej żydówki Ewy, dla której zapomina Wolski o zacnej kochającej narzeczonej, Jance. Wkrótce w partii coś się psuje, okazują się malwersacje, ujawniają się jej stosunki z organizacjami międzynarodowymi, okazuje się, że ideowi komuniści, Żydzi są szpiegami. Wolski jest zrozpaczony. Pod wpływem zacnego ks. Hanicza zaczyna rozumieć gdzie jest prawda. Po kilkumiesięcznym sanatoryjnym pobycie w kresowej puszczy, wraca do normalnego zdrowia, uwalnia się spod demonicznego wpływu Ewy, godzi się z Janką. I wszystko jest jak najlepiej i dla szczęścia i dla kraju i dla duszy. Taka w krótkich, z konieczności uproszczonych, słowach jest treść powieści Czesława Ksawerego Jankowskiego *Sieć z czerwonej przędzy*. Za mało mam doświadczenia w robocie społecznej, aby ocenić propagandową wartość tej książki. Do omawiania z punktu literackiego nie nadaje się.

Już dawno miałam podejrzenie, że zawód recenzenta specjalisty od książek dla młodzieży byłby zawodem niesłychanie miłym. Utwierdziła mnie w tym przekonaniu książka p. Heleny Zakrzewskiej *Pojednanie*. Co za śliczna historia, pełna prostoty, wdzięku, poezji, jak bardzo pełna dobrej życzliwej miłości! Wojtek Mateja, góral z Kościelisk, stynny Jubaś i myśliwy, zabił niedźwiedzicę Śmigłą, piękną, ukochaną żonę Misia Mocarnego. Okaleczył także jednego z synów tej czulej pary. Zrozpaczony maż poprzysięga Wojtkowi zemstę. Przez 20 lat ścigają się po turniach tatrzańskich niedźwiedź i człowiek. Miś prześladowuje Wojtka nie na żarty. Jawi się wszędzie w ślad za nim, porywa owce z jego kierdeli, niszczy jego dobytek, szerzy spustoszenie wszędzie, gdzie się Wojtek znajduje. To też wkrótce groza pada na nazwisko górala. Ludzie zaczynają go się obawiać, bo chodzi za nim „złe”. Wkońcu wypędzają górale Wojtka ze swej gromady. Niech idzie w góry sam, niech nie sprowadza nieszczęścia na

wszystkich. Rozgoryczony Mateja tym zacieklej dybie na życie swego wroga. I nie wiadomo czyją śmiercią byłby się skończył ten pojedynek, gdyby nie mała Hańcia. Hańcia wnuczka Wojtka budzi w sercu starego samotnika nieznane mu dotąd uczucia miłości. Świata poza nią nie widzi i żyje już tylko miłością dla wnuczki i nienawiścią do Misia. Ale Hańcia nie może znieść dookoła siebie tej atmosfery nienawiści. Chce pogodzić zwaśnione strony, boli ją krzywda wyrządzona niedźwiedziowi. Pewnego dnia Miś podkrada się do szałas, w którym Hańcia została na kilka godzin sama. Miś widzi, że nadeszła upragniona chwila zemsty. Zabije tę małą kolorową kulkę, którą stary Wojtek tak bardzo widocznie kocha. Ale Hańcia wychodzi naprzeciwko wroga z dobrym słowem i miłym powitaniem. Przemawia do niego z miłością i współczuciem, częstuje go chlebem i miodem. I zdobywa serce niedźwiedzia, tak jak zdobyła serce dziadka. Niedźwiedź prędzej niż człowiek rozumie mowę miłości i przebaczenia, delikatnie bierze z rąk małej gaździny poczęstunek i odchodzi spokojnie. Nadbiegający Mateja oczom nie wierzy. Nic nie pojmuje: stary wróg oszczędził go, odpłacił mu dobrym za złe. Nie, nie będzie to już wróg lecz przyjaciel. Wrogowie patrzą sobie w oczy, nienawiść ich serc wypaliła się, rozchodzą się każdy w swoją stronę pogodzeni i węzłem przyjaźni złączeni. — Walka niedźwiedzia z człowiekiem daje autorce sposobność do oprowadzania nas po tatrzańskich wierchach i dolinach, czyni to w sposób pełen wdzięku. Ukazuje nam groźne piękno gór, opisuje zimowe kurniawy i letnie upały, ukazuje nam górskich ludzi, zapoznaje nas z gazdami Tatr, niedźwiedziami, z podniebnymi orłami, z jeleniami, świstakami, kozicami, z tym całym tak bliskim każdemu dziecku światem zwierząt. A wszystko to czyni w sposób prosty, naturalny, nie zaniedbując ani na chwilę pasjonującego wątku swego opowiadania. Przyjemnie jest dać tę książkę piękną i pełną miłości do ręki młodemu czytelnikowi, dla których jest przeznaczona, przyjemnie jest przez chwilę oddychać jej dobrą atmosferą.

Czytając książkę Stefana Thermesona: *Przygód Marcelianka Majster-Klepki historii* 6 przekonałam się raz jeszcze, że do każdej rzeczy potrzebny jest ekspert i to ekspert fachowy. Bo przyznam się szczerze, że te przygody, a raczej wyczyny Marcelianka dokonywane przy pomocy:

„Węzełka Przyda się Wszędzie
Węzełka Wszystko Zmieści
Choćby 1 Sto Czerdzieści
Narzędzi” —

wydały mi się trochę monotonne. Ale gdy przeczytałam tę książkę z moim siedmioletnim synkiem „zrewidowałam” gruntownie to

zapatrywaniu! Okazało się bowiem, że książka ta jest pasjonująca jak żadna, ciekawa i niewypowiedzianie zabawna. Wprost czytać się nie dała, tak do łez trzeba się było ciągle śmiać; przygody i dzieła okazały się dech w piersi zapierające, a Marcellanek przeobraził się w postać mityczną i zupełnie u nas zadomowioną.. Oczywiście więc zmieniłam zdanie, bo ostatecznie w myśl zasady o samostanowieniu — on a nie ja jest w tej materii kompetentny! Książka jest na to, żeby się podobała takim właśnie młodym ludziom, a nie, nam starym recenzentom! Autor umiał trafić do swojej publiczności. A że tak bardzo bawiąc i zajmując młode audytorium poucza je przy tym o całym szeregu rzeczy, książkę jego należy pochwalić nie tylko za zalety rozrywkowe, ale i dydaktyczne. Przy tym książka ma wyjątkowo ładną szatę graficzną, jest ozdobiona bardzo ładnymi ilustracjami (i znowu te ilustracje specjalnie podobają się małym czytelnikom). To też można ją jak najbardziej zalecić wszystkim młodym adeptom literatury.

Cyrk doktora Dolittle napisany przez angielskiego autora Hugh Loftinga a przełożony bardzo ładną polszczyzną przez Janinę Mortkowiczową to pełna fantazji, pogody i humoru historia wielkiego miłośnika zwierząt, doktora Dolittle i jego czworonogich i skrzydlatych przyjaciół. *Cyrk* jest dalszym ciągiem książki *Doktor Dolittle i jego zwierzęta*, ale i bez części pierwszej czytany być może. Stanowi całość zamkniętą i zrozumiałą. Książka jest typowo angielska, zwłaszcza „anglosaski” jest jej humor, naiwny, dobroduszny, przechodzący często w burleskę i groteskę. Ale mam wrażenie, że te historie o kaczce prowadzącej dom, o focie podróżującej dyliżansem w przebraniu damy i cały szereg podobnych — to właśnie typ humoru i dowcipu odpowiadający przez swoją prostotę i irracjonalny nonsens umysłowości dzieci. Oczywiście: ta wybitna „anglosaskość” książki może mieć i mniej zrozumiałe strony dla czytelników polskich, ale uważam, że sam fakt jej wybitnej zagraniczności ma elementy cywilizacyjne. Dodawać nie potrzeba, że miła ta, przyjemna do czytania i zajmująca książka, ma też wiele wartości pedagogicznych i dydaktycznych. Zawiera nie tylko wiadomości z dziedziny przyrody ale przede wszystkim prześiąknięta jest duchem dobroci, wyrozumiałości dla drugich, zawiera w formie bajkowej alegorii pouczenie o szanowaniu cudzej wolności i indywidualności. Jednym słowem jest to książka ładna, kulturalna i na pewno z przyjemnością i pożytkiem będzie przez dzieci czytana.

Zofia Starowieyska-Morstinowa.

Ludwik v. Eimannsberger gen. art. wojsk austr.: *Wojna pancerna* tłumaczyli major dypl. Franciszek Stachowicz, i major Władysław Kotarski. Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy, Warszawa 1937. Str. XII+326.

Doradca żołnierza — Praca zbiorowa. W. I. N. O. Warszawa 1937. Str. VIII+173.

Autor książki *Wojna pancerna*, podaje nam historyczny szkic rozwoju walk pozycyjnych z natarciem broni nowoczesnej — broni pancernej. Poddaje analizie i krytyce tak samą broń pancerną jak jej działanie i przeprowadzenie głównych ataków broni pancernej na froncie zachodnim w okresie wojny światowej. Następnie omawia rozwój tej broni po wojnie światowej, nowe teorie i metody użycia tejże broni w przyszłej wojnie, wreszcie chcąc uzmysłowić teorię przeprowadza fikcyjny atak czołgów w czasie wojny, która odbędzie się w r. 193... na tej samej pozycji frontu zachodniego co w r. 1918, między rzeką Oise a Ancres.

Autor analizuje trzy główne natarcia broni pancernej: pod Cambrai z 20 listopada 1917 r.; bitwę czołgów pod Soissons z 18 lipca 1918 r. i z pod Amiens 8 sierpnia 1918 r. Ogólne uwagi i wnioski, które wysuwa są następujące: Czołgi to nie straszaki, ale broń groźna, jest ona zdolna w natarciu przełamać pozycję, swym ogniem, a nawet swą masą likwiduje gniazda oporu, nie mając żadnego przeciwważnika ze strony obrony. Natomiast słabą stroną tej broni jest to, że nie może walczyć samodzielnie, gdyż ogień zaporowy musi jej torować drogę do zwycięstwa, za czołgiem musi postępować piechota dobrze wyćwiczona w współdziałaniu z tą bronią, bo czołg na pozycji zdobytej bez własnej piechoty jest stracony. Okazało się, że natarcie czołgów może zrobić wyłom, wbić klin w pozycję, lecz rozszerzyć tę ranę musi inna jednostka. W tych warunkach próbowała dokonać tego kawaleria, lecz bezskutecznie i z wielkimi stratami dla siebie.

Następnie natarcie czołgów w pierwszym rzucie, po przełamaniu pierwszej linii oporu nie jest zdolne do natychmiastowego dalszego ataku, do rzutu drugiego na drugą linię, bo musi zaopatrzyć się w paliwo i amunicję, poczekać na piechotę, którą maszyny wyprzedziły i na podciągnięcie armat na bliższe stanowiska, by mogły ogniem zaporowym osłaniać drugie natarcie. Tymczasem wiele cennych godzin upłynie, które wyzyska obrona na zabliźnienie swej rany, umocnienie pozycji i ściąganie odwodów.

Obrona wobec tych „pudełek stalowych” była bezsilna i skazana na zagładę. Dziwna rzecz, że główne dowództwo niemieckie było uprzedzone do tej nowej broni i dopiero w ostatnim roku krwawych zmagających postarało się o znikomą liczbę czołgów. Nadto nie wyciągnęło odpowiednich wniosków z doświadczeń pierwszej bitwy pod Cambrai i nie postarało się o skuteczną

obronę w formie dział przeciw pancernych. Wprawdzie wprowadzono c. k. m. p. p. o pełnym naboju 13 mm, lecz nie miały one większej wartości obronnej, bo nie burzyły skutecznie czołgów.

Wielka Wojna przyniosła światu wiele doświadczeń, a państwa, nie chcąc narazić się na niespodzianki zawczasu studiują nowe teorie i metody natarć i walk broni pancernej. Jedną z prób metod takiej organizacji i walki przeprowadza Autor w dalszych częściach tej książki. A więc zajmuje się kwestią samej organizacji jednostek pancernych, ilości i jakości wozów, współdziałania innych broni w natarciu, przełamaniu i walce.

Wysiłki wszystkich państw zmierzają do tego, by usunąć te braki i niedomagania, które z konieczności związane były z bitwami czołgów podczas wojny światowej. Dlatego, by zapewnić skuteczność uderzenia wozów pancernych trzeba piechotę w ataku ściśle złączyć z nimi, a da się to uskutecznić przez odpowiednie oddziały zmotoryzowane. Chcąc uniknąć zwłoki w podciąganiu armat na bliższe stanowiska trzeba w drugim i trzecim rzucie użyć lotnictwa bojowego, które by skutecznie od armat niszczyło gniazda oporu i armatki przeciw pancerne.

Do obrony, poza polami minowymi, miotaczami min i artylerią polową włączyć trzeba najcięższą broń piechoty: działka przeciwczołgowe, które mają odtąd stać się zwykłą bronią piechoty.

Praca jest oparta na danych z Archiwum Wojskowego i na gruntownych badaniach i doświadczeniach. Uwagi i wnioski Autora śmiało, za które sam bierze pełną odpowiedzialność.

Mapy, szkice i zestawienia uprzystępniają nam zorientowanie się w zawikłanych pozycjach i teoretycznych kalkulacjach.

Doradca żołnierza porusza wiele kwestyj, które mogą i muszą interesować czytelnika. To dzieje Polski współczesnej ujęte w krótkie a treściwe opowiadania o wielkości Polski, o jej posłannictwie dziejowym, o roli jaką odgrywa obecnie, o jej sąsiadach czyhających na naszą ojcowiznę i o sprzymierzeńcach nam życzliwych.

Wskazuje na gospodarczy dorobek odrodzonej Polski, który opiera się na naturalnych jej bogactwach, na umiejętnej i planowo prowadzonej gospodarce, oraz na drobnych a stałych oszczędnościach poszczególnych jednostek.

To czegośmy dokonali w odrodzonej Polsce może nas napędląć dumą i nie tylko nas, ale i tych, którzy daleko od Macierzy przebywają na obczyźnie, bo tylko wielkość i potęga Polski może połączyć ściślej rodaków z ojczyzną, bo tylko jej mocarstwowe stanowisko wzbudzi gorącą miłość i przywiązanie do Polski i tego, co ojczyste.

Ponieważ na pierwszym miejscu książka ta przeznaczona jest dla żołnierzy, którzy przeważnie rekrutują się z rolników

dłatego trzy ostatnie rozdziały poświęcone są sprawom dotyczącym podniesienia wsi tak pod względem gospodarczym jak i oświatowym, by żołnierz wróciwszy na wieś mógł ze znajomością sprawy stać się czynnikiem rozwoju i dźwigania polskiej wsi w wyż.

Doradca żołnierza to praca zbiorowa. Zaletę ogólną stanowi ujęcie krótkie i jasne. Zdrowy optymizm przebija z każdej stronicy, wraz z optymizmem wlewa ta książka w duszę czytelnika wiarę w przyszłość narodu i poczucie wartości i wielkości Polski. To też warto polecać tę książkę.

Ks. Leon Nowak T. J.

Lutman Tadeusz: *Studia nad dziejami handlu Brodów w latach 1773—1880. „Badania z dziejów społ. i gospod.”* pod redakcją prof. Franc. Bujaka, nr 26. Lwów 1937, str. 365.

Znany jest w dziejach b. zaboru austriackiego rozwój miasta Brodów, korzystającego na przestrzeni lat 1773—1879 z specjalnego przywileju wolno-cłowego, a stąd i szczególnych warunków gospodarczego rozkwitu. Wzmagające się coraz bardziej naukowe studia nad dziejami ekonomicznymi Polski, a zwłaszcza badania „lwowskiej szkoły” historyczno-gospodarczej, prowadzonej przez niestrudzonego prof. Fr. Bujaka — objęły i ten arcyciekawy wycinek naszej przeszłości. Dostarcza on wiele ciekawych wniosków zarówno co do polityki handlowej monarchii habsburskiej i Rosji, jako też co do kierunku rozwoju ludnościowego tego obszaru. Zażydzenie jego, przetrwało do dnia dzisiejszego, a było tak silne że cesarz Franciszek I, zwiedzający to miasto, miał ironicznie zauważyć, iż dopiero teraz rozumie, dlaczego przysługuje mu tytuł „króla jerozolimskiego”.

Praca Lutmana oparta na wielu pierwszorzędnych materiałach archiwów wiedeńskich, krakowskich i lwowskich — daje niezwykle sumienny obraz zagadnienia, zbudowany na obiektywnej i ścisłej metodzie wnioskowania i rekonstruowania faktów. Wszystkie twierdzenia ilustrują konkretne daty i tabele statystyczne, dające rok po roku zarówno obraz rozmiarów tranzytu przez Brody według kraju pochodzenia i przeznaczenia towarów, jak z drugiej strony według ilości poszczególnych towarów czy półfabrykatów (w kwint. i tys. flor. wartości).

Monografia rozpada się na dwie części: pierwsza omawia historię i znaczenie przywileju wolno-handlowego Brodów, druga zajmuje się samym handlem towarowym przez Brody w okresie lat 1773—1880. W części pierwszej daje Autor charakterystykę polityki handlowej rządu wiedeńskiego w dwu etapach: 1773—1848 i 1848—1880 i w tych samych okresach zajmuje się szczegółowiej stosunkami handlowymi Rosji i Austro-Węgier. Następnie, po sumiennym przedstawieniu istoty przywileju brodzkiego, prze-

chodzi do skreślenia poszczególnych faz walki o zniesienie tego przywileju, który stanowił poważną przeszkodę w rozwoju gospodarczym przede wszystkim Lwowa, a miał także ujemne następstwa dla samych Brodów, Galicji i monarchii austro-węgierskiej. Omówienie ewolucji populacyjnej Brodów i interesów poszczególnych warstw na tamtejszym terenie — zamyka część pierwszą. Druga część książki jest również ciekawa, choć może nieco suchsza; omawia w niej autor w analogiczny sposób przywóz, wywóz, przewóz wchodowy i wychodowy. Za to historyczny obraz handlu brodzkiego najpierw w dobie rozbiorów, następnie blokady kontynentalnej Napoleona (1806—1812), w końcu w okresie systemu prohibicyjnego w Rosji (1813—1850), a po nim protekcyjnego (1850—1870) — zainteresować może i niespecjalistę.

Materiał zebrany przez autora, jest na ogół mało znany — jak w ogóle cały problem, toteż książka zajmie niewątpliwie poczesne miejsce w literaturze historyczno-gospodarczej.

Dr Marian Tyrowicz.

Dr Mieczysław Orłowicz: *Ilustrowany Przewodnik po Warszawie*. Wyd. 3. Nakł. Instyt. Wydaw. „Biblioteka Polska”, Warszawa 1937. Str. 172 z mapką.

Na ogół rzecz dobra i pożyteczna. Informacje zwięzłe, układ przejrzysty, poręczny format. Wkradło się jednak trochę nieścisłości, zarówno w tekście jak i w ilustracjach. I tak np. przy opisie katedry niedokładnie podano losy wieży, jakoby po ruinie w początkach XVII w. nie została już odbudowana, błędnie scharakteryzowano ołtarze jako barokowe. Przy opisie Starego Miasta podano, że kamienice jego w r. 1928 otrzymały nową polichromię, co każdy z czytelników z pewnością zrozumie jakoby przedtem istniała już inna, co nie jest prawdą. W opisie Bazyliki Serca Jezusowego podano, iż sklepienie podtrzymują dwa szeregi kolumn z kararyjskiego marmuru, podczas gdy w rzeczywistości kolumny są z finlandzkiego granitu (monolitu), a sklepienia w ścisłym tego słowa znaczeniu nie ma, jest natomiast strop. — Biblioteka Narodowa nie mieści się obecnie przy ul. Rakowieckiej w gmachu bliźniaczym Wyższej Szkoły Handlowej (nazwanej raz Główną Szkołą Handlową, innym razem Akademią) ale na Krakowskim Przedmieściu nr 32 w pałacu Potockich, dawniej Tysskiewiczów, o czym Przewodnik nie mówi. Przy ul. Rakowieckiej Biblioteka Narodowa posiada tylko część swoich magazynów. Dom jezuitów na końcu Rakowieckiej nie jest domem rekolekcyjnym, ale wydawniczym. — Do ilustracji użyto w Przewodniku starych zdjęć fotograficznych, które w kilku wypadkach nie przedstawiają już aktualnego stanu zabytków, jak np. gmach Zachęty z dawniejszym skwerem bez pomnika peowiaka, grób Żwirki i Wigury na Powązkach w stanie sprzed trzech lat

z dwoma krzyżami, widok na Pragę ze spiczastymi wieżami św. Floriana, które też już od trzech co najmniej lat są ścięte. — W ocenie wartości zabytków tu i ówdzie uderza brak przedmiotowego kryterium, jak np. przy ocenie kamienia na kanonii. Do najcenniejszych autor zalicza dom pod nr. 8. Sądzimy, że żaden z architektów czy historyków sztuki na to się nie zgodzi. Dom ten ma niezawodnie dużą wartość jako pamiątka historyczna (mieszkanie Staszycy, siedziba Towarzystwa Naukowego), ale pod względem architektonicznym jest czymś bardzo banalnym, ani równać się nie może z innymi kamienicami w tym samym małoludczym zakątku, mającymi wyższe numery porządkowe. To samo trzeba powiedzieć o ocenie pomników. Żeby zatem przewodnikowi nadać pełną wartość przy nowym wydaniu należałoby porobić dość liczne poprawki.

Ks. E. Elter T. J.

Tacyt: *Dialog o mówcach*. Opracowany i przemyślany przez Ognisko Filologii Klasycznej w Lublinie, ostateczna redakcja przekładu J. Piłszczyńskiej i K. Plucińskiego. Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie. Lublin 1937. Str. 73.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie wydało opracowany i przełożony przez Ognisko Filologii Klasycznej *Dialog o mówcach* Tacyta. Trzeba przyznać, że jest to jedna z udanych prób podtrzymania i ożywienia w społeczeństwie polskim zainteresowań i upodobań klasycznych. Wybór *Dialogu o mówcach* był bardzo trafny — w obecnej powodzi mów i orzeczeń warto cofnąć się o kilkanaście wieków wstecz i przypomnieć sobie, co starożytni sądzili o sztuce wymowy i jaką rolę mógł wtedy odgrywać wielki mówca. Gdyby to nie zainteresowało czytelnika, to na pewno zaciekawia go pewne wspólne rysy charakterystyczne okresu drugiej połowy pierwszego wieku cesarstwa i naszych czasów. Wystarczy przeczytać rozdział o stanowisku rodziny w społeczeństwie i wychowaniu dzieci; jest tam tragiczne stwierdzenie choroby, która w późniejszym rozwoju stanie się jedną z głównych przyczyn upadku cesarstwa. Rozdział ten, umieszczony na pierwszej stronie dziennika byłby świetnym i aktualnym artykułem wstępnym.

Za uprzystępnienie więc tego dzieła szerszemu ogółowi należy podziękować Wydawcom i Tłumaczom. Ci ostatni nie łatwie mieli zadanie — o ile bowiem nie jest rzeczą zbyt trudną dać dosłowny przekład Tacyta, to dosłowny i piękny zarazem przekład wydaje się czasem wprost niemożliwy do urzeczywistnienia. Tłumacze starali się połączyć te dwie cechy, i trzeba przyznać — z dobrym skutkiem.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Dawna Sztuka: Czasopismo poświęcone archeologii i historii sztuki. Komitet redakcyjny: S. J. Gąsiorowski, M. Gębarowicz, T. Mańkowski. Rocznik 1, zeszyt 1, str. 88. Wyd. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Lwów.

Nauka polska nie miała dotąd szczęścia czy szczęśliwej ręki w wydawaniu naukowego czasopisma z zakresu historii sztuki. Wszystkie dotychczasowe próby kończyły się z różnych przyczyn niepowodzeniem. Przede wszystkim nie umiano znaleźć właściwego programu czy charakteru dla pisma: oscylowano między pismem naukowym a pismem o charakterze albumowo-salonowym, między sztuką dawną, którą można naukowo rozważać, a sztuką współczesną, która wymyka się spod naukowego ujmowania. Nowa próba, o której pragniemy poinformować czytelników *Przeglądu*, wchodzi swym zdecydowanym charakterem od razu na właściwe tory. Tytuł *Dawna sztuka* wyklucza od razu sztukę współczesną a tym samym nieujęte w zasady naukowe impresjonistyczne estetyzowanie. Komitet redakcyjny i powaga Ossolineum dają gwarancję, że nowe pismo utrzyma się na najwyższym poziomie i będzie chlubą polskiej sztuki.

Treść pierwszego numeru znakomicie to nasze rokowanie potwierdza. Pismo pragnie mieć charakter uniwersalny, dlatego obejmuje swymi zainteresowaniami całość historii sztuki tak powszechnej jak i polskiej z archeologią łącznie, dopuszcza artykuły nie tylko w języku polskim ale i w czterech językach europejskich, otwiera łamy swoje dla uczonych polskich i obcych. Mimo jednak swej naukowości pragnie być pismem tak redagowanym, aby znalazło czytelników i prenumeratorów nie tylko w ciasnym kółku specjalistów ale wśród wszystkich miłośników sztuki. Pragnie być przewodnikiem w przebogatym świecie arcydzieł twórczości człowieczej.

Przechodząc do przeglądu artykułów pierwszego zeszytu, bez żadnej przesady musimy powiedzieć, że każdy z nich nie tylko stoi na wysokim poziomie ale przynosi wyniki rewelacyjne. Prof. Kostrzewski pisze o Gnieźnie pogańskim i wczesno-historycznym w świetle ostatnich wykopalisk. Obok Bikupina najświeższe wykopaliska w Gnieźnie, chociaż właściwie dopiero zapoczątkowane, dają nam już niezmiernie interesujący obraz życia i kultury starych, pogańskich Polan a równocześnie przynoszą niezbite dowody niezależności tej kultury od wpływów germańskich. Prof. Molê, prof. Uniw. Jag., uczony jugosłowiański, ale na stałe złączony z nauką polską, ogłasza obszerny artykuł o charakterze syntetycznym przynoszący cenne wyniki na temat roli Dalmacji w sztuce średniowiecza i renesansu (po niemiecku). Powstanie i autorstwo perły architektury i dekoracji architektonicznej i plastycznej, kościół św. Piotra i Pawła na Antakolu we Wilnie, mimo wielkiego zainteresowania, jakie to arcydzieło budziło, przecież nie było dotąd należycie zbadane.

St. Lorentz dorzuca nowe cenne szczegóły, dowodząc przede wszystkim, że główny twórca tego kościoła Jan Zaor był krakowianinem. — *Miscellanea* i bogaty dział recenzyjno-sprawozdawczy dopełniają treści zeszytu, stojącego pod względem graficznym na poziomie najlepszych wydawnictw zagranicznych. Nowemu piśmu życzymy pomyślnego rozwoju, licznych prenumeratorów i wprowadzenia w przyszłości osobnych tablic, wykonywanych jedną ze szlachetnych technik reprodukcyjnych.

Ks. St. Bednarski T. J.

R. Leszczyński: *Iudith*, opr. M. Sipayłówna, Bibl. Zap. Poet. i Proz. P. XVI—XVIII w. ser. II, z. 3. Warszawa 1936.

Rafał Leszczyński, wojewoda bełski, znany był dotychczas czytelnikowi jako wybitny mąż stanu z czasów Zygmunta III, ruchliwy przywódca i opiekun różnowierstwa pol. oraz protektor Jana Amosa Komeńskiego, szukającego w Polsce przytułku, gdy własna ojczyzna pozbyć się go starała. A przecież sława tego męża u współczesnych sięgała i innych dziedzin; znano go „ze skłonności do poezji łacińskiej i polskiej” i opiewano „że filozof jest zacny a poeta dobry”. Z tą właśnie stroną działalności Leszczyńskiego zapoznaje nas wspomniany zeszyc B.P.P.P. w oprac. M. Sipayłówny. Jakkolwiek *Judyta* nie jest oryginalnym dziełem Leszczyńskiego, jednak swoboda, z jaką autor odnosi się do oryginału, liczne skróty, zmiany i zastosowania do warunków pol. pozwalają dosyć dokładnie zorientować się w talencie poetyckim autora. Z prawdziwym zainteresowaniem przeczyta to dziełko miłośnik literatury Polski niepodległej, a już z obowiązku badacz piśmiennictwa ojczystego. Ale nie tylko oni. Fakt, że Leszczyński sięgnął po oryginał do Francji, że wybrał współczesnego sobie a głośnego na owe czasy poetę protestanckiego du Bartasa sprawi, że skromną tą pracą zająć się musi i badacz stosunków polsko-francuskich i historii reformacji polskiej.

Ks. J. Mikula T. J.

J. D. Solikowski i Anonim: *Historie o Lukrecyi*, opr. J. Krzyżanowski, Bibl. Zap. Poet. i Proz. P. XVI—XVIII w. ser. II, z. 4. Warszawa 1936.

Żaden może z wątków literatury łacińskiej nie pociągał bardziej fantazji późniejszych pokoleń poetów i czytelników jak opowiadanie o niewieście, która śmierć nad hańbą przenieść wołała. Tragizm zdarzenia, prostota wątku, łatwość przekształcenia okoliczności i dostosowania morału przyczyniły się ogromnie do spularyzowania tego tematu. Tłumaczono go po wielekroć razy, przerabiano, dostosowywano do teatru i noweli, pojawiał się w kaznodziejstwie i u moralistów. Nic też dziwnego, że i w literaturze pol. *Lukrecja* znalazła kilkakrotny wyraz. Zestawienie różnych opracowań w wierszu pol. XVII w. podaje prof. J. Krzy-

żanowski. Zestawienie bardzo pouczające. *Lukrecja rzymska* Solikowskiego — to swobodna przeróbka z Owidiusza, ale ponieważ — jak sam autor zaznacza — „chrześcijańskie przykłady przystojniejsze mamy“, obok *Lukrecji rzymskiej* znalazła miejsce *Lukrecja chrześcijańska*, osnuta na tle legendy o św. Pelagii. Wreszcie anonimowa *Historia o Lukrecyjej*, różniąca się od poprzednich nie tylko ujęciem tematu, ale i talentem poetyckim autora, dopełnia korzystnie tego zbiorku, z którym zapoznanie się stanowi ciekawą i pożyteczną lekturę.

Ks. J. Mikula T. J.

Fr. Schnabel: *Deutsche Geschichte im Neunzehnten Jahrhundert*. Tom. IV: *Die religiösen Kräfte*, 1937. Herder, Freiburg (Breisgau).

Jeżeli maksyma, że „historia jest mistrzynią życia“, została już po wielokroć stwierdzona, to z niemniejszą słusnością potwierdza ją na nowo, na wielką skalę zamierzona i odznaczająca się wzniosłą szlachetnością w ujęciu, ostatnia praca historyczna prof. Schnabla. Dzisiejsze bowiem położenie katolicyzmu w Niemczech staje się zrozumiałym dopiero po uprzednim zbadaniu procesu dziejowego rozwoju, który doprowadził do współczesnych wyników drogą ściśle logicznych następstw.

Prof. Schnabel ma swą siedzibę w Karlsruhe, a jest to zarazem jego placówka obserwacyjna, z której dokonywa baczного przeglądu horyzontów europejskich. Od ośmiu lat podjął obszerną pracę, mającą zobrazować całokształt dziejów niemieckich XIX wieku. Tomy poprzednie dały zarys podstaw ogólnych, teoryj a również i walk politycznych, na koniec rezultatów, osiągniętych na polu wiedzy doświadczalnej oraz techniki. Kreśląc tę rozległą panoramę dziejową, autor odbiegł w niej daleko od metody rozważań pod ściśle politycznym kątem widzenia, — metody, która była w użyciu w wieku XIX. Perspektywa wywołana piórem prof. Schnabla, będąca pod wieloma względami syntezą najważniejszych faktów epoki, nie ma sobie równej, jeśli będziemy mówić o bogactwie i różnorodności tematów albo o głębi ujęcia. Przy tym łączy ona z zaletą jednolitej koncepcji światopoglądu zaletę sprawiedliwości wobec ludzi oraz idei, przejawiającą się w każdej kwestii poruszanej przez autora. Stojąc mocno na własnym stanowisku, Schnabel jest mimo to tolerancyjnym i wyrozumiałym nawet tam, gdzie chodzi o zaprzysiężonych wrogów katolicyzmu. Zadanie jego polega nie tylko na wykazaniu, co i jak właściwie się działo, ale też na równoczesnym wyświetleńiu, dlaczego stało się tak, nie zaś inaczej. Wyprowadzając czytelnika poza szczupły zakres historycznej opowieści, otwiera przed nim dalekosiężne możliwości: użytecznego stosowania w praktyce doświadczeń dziejowych.

Ostatni czwarty tom dzieła nie zawiera żadnej aluzji do obecnych stosunków w Niemczech, natomiast odsłania obraz potęg religijnych, oddziałujących w tym kraju przed r. 1848, i o nich wyłącznie mówi, opisując cnoty i grzechy całego ówczesnego pokolenia, nie tylko niemieckiego.

W pierwszej księdze oglądamy katolicyzm na drodze zeświecczenia, bojaźliwych wahań i słabości, nawet sprzedajności; dalej odkrywamy w nim wysiłki do wywalczenia w sobie wewnętrznej siły obronnej oraz stałą wolę ustawicznego pozyskiwania na nowo tego, co się posiada jako najcenniejsze dobro. Od zwolenników Febroniusza i józefinizmu, od wielkich panów, którzy w biskupstwach i kapitułach katedralnych widzieli jedynie zabezpieczenie odpowiedniego stanu posiadania, prowadzi nas Schnabel ku duchownym i świeckim postaciom ludzi „twardego karku”, którzy, obwarowawszy się siłą wewnętrzną, umieli przeciwstawić się nieugięcie zarówno państwu, jak wyzutemu z chrześcijańskiej treści społeczeństwu; którzy oddawszy władzom świata, co im się należy, umieli żądać rzeczy słusznej i sprawiedliwej wedle nauki chrześcijańskiej, mianowicie przyznania dla Boga i Kościoła, rodziny i poszczególnych dusz bezwzględnego pierwszeństwa we wszystkim, co się odnosi do doktryny i do wiecznego zbawienia. Imiona, wokół których wije się wątek opisu obejmują cały program: od Wessenberga, spadkobiercy wieku oświecenia, jednego z ostatnich spośród „teologicznej służby dworskiej Józefa II”, przechodzimy do „budzieli”: Klemensa M. Dworzaka (Hofbauera) oraz Jana Michała Sailera; do Möhlera, odnowiciela naukowej potęgi katolickiego ducha; do mognuckiego koła walecznego Kettelera, na koniec do arcyb. Droste-Vischeringa, bohatera starć kolońskich. Przed oczyma naszymi przesuwają się kolejno: monachijski zespół Görresa, katolicyzm społeczny, uosobiony w „ojcu czeladników”, Kölpingu, i wreszcie, w krótkim omówieniu, poezja chrześcijańska obok nazaretańskiej szkoły sztuki. Związek katolicyzmu niemieckiego z rzymskim i jednocześnie między nimi przeciwieństwa są tu odmalowane bez obsłonek. Obok wywalczającego sobie ścisłą jedność katolicyzmu, protestantyzm, rozszczepiony sam w sobie, nie zdradzał nie tylko woli, ale w ogóle żadnej zdolności do samoobrony.

O tragicznym losie protestantyzmu poucza nas właśnie księga druga. Opieka państwa (przedłużenie przewodniej myśli wieku oświecenia) obok obojętności klas wykształconych — były to dwa momenty rozstrzygające w takim stanie rzeczy, jakiego nie mogły polepszyć ani marzycielskie zabiegi kwietystów oraz innych sekt, ani też ataki teologii liberalnej skierowanej przeciwko zasadzie autorytetu w państwie i w Kościele. Kościelne plany i zamiary króla Fryderyka Wilhelma IV oraz jego doradców, jakkolwiek nie pozbawione dobrych chęci, pozostały jednak

na zawsze romantycznym snem. Nie jest tu faktem bez znaczenia, że najsilniejsze oddziaływanie duchowe w tym zakresie przypadło w udziale człowiekowi, którego Niemcy dzisiejsze chciałyby — z przyczyny rasizmu — wykreślić w ogóle z historii własnego rozwoju. Mowa tu o konwertycie z żydostwa, Fryd. Juliuszu Stahlu. Podobnież najpiękniejszych przejawów sztuki z doby protestantyzmu przedmarcowego szukać należy w dziedzinie muzyki kościelnej u Feliksa Mendelssohna-Bartholdy, oraz w silnie zażydzonej szkole nazaretańskiej, o ile chodzi o malarstwo.

Katolicyzm okrzepł jedynie na tyle, że zdołał zaznaczyć swą odrębność na tle ogólnego życia niemieckiego. Wiek XIX stanowił bezsporne władztwo idealizmu, wyzwolonego z dogmatów, dogmatom wrogię. Był to okres panowania mieszczańskiej filozofii klas posiadających i wykształconych, sytych wszelkich dóbr kulturalnych. Z kolei, z przyczyn natury gospodarczej, pokonał ją światopogląd kolektywistyczny, przybierający bardzo rozmaite formy a obliczony na tłumy. Chrześcijaństwo powszechne, rozsadzające ramy narodowości i społeczeństw, nie posiadało wszakże dostatecznej siły czynnej, aby zdobyć dla siebie w Niemczech przodujące pod względem powagi i co do mocy decyzji stanowisko, jakie niegdyś tam zajmowało i jakie według katolickiego poglądu jest dla Kościoła zasadnicze.

Prof. Schnabel roztrząsa to wszystko z nieposzlakowanym zamiłowaniem prawdy; nie cofa się przed bolesnymi orzeczeniami, nie gubi w beczelowych skargach ani oskarżeniach i sprowadza do właściwej miary zbyt wysoką ocenę niektórych wyników lub wygórowaną wartość przypisywaną niektórym działaniom. Całość jego obrazów przekonywa, wstrząsa, ujarzmia. Szczegółowe omówienie tego dzieła godnego podziwu musimy pozostawić prasie fachowej. Wszakże nie przyniesie mu to żadnej ujmy, gdy wyrazimy z naszej strony żal z powodu zbyt słabego uwzględnienia stosunków austriackich. Jedne z przytoczonych osobistości zostały potraktowane zbyt po macoszemu, innych wcale nie wymieniono; również nie zostało wykazane, że przez pewien czas katolicyzm zajmował stanowisko dominujące. Chętnie dowiedzielibyśmy się czegoś więcej w związku z francuskim katolicyzmem liberalnym. Wreszcie odczuwamy brak uzasadnień wskazujących na gospodarcze podłoże faktu zepchnięcia na daleki plan katolicyzmu w Niemczech.

A teraz co do ustosunkowań między ową epoką minioną a teraźniejszością, jakie się z tych rozważań wyłaniają. Wzrostowi potęgi Kościoła rzymskiego towarzyszył przejaw mało pocieszający, że wpływy tego odrodzenia nie wykraczały poza obręb katolickiej części narodu: tym się tłumaczy historia niemieckiego centrum. Z drugiej strony z wewnętrznej słabości i rozdrobnienia w łonie protestantyzmu wypływał brak jakiej-

kolwiek odporności kościołów ewangelickich wobec zakusów rządowej administracji. W dalekim spojrzeniu wstecz poznajemy przyczyny ciężkiego kryzysu, na jakie zostało skazane chrześcijaństwo w Niemczech: podporządkowanie Kościoła państwu zaciężyło nad całym narodem od chwili skutecznego rozdzielenia obu instytucji. Reakcją na to nie było, niestety, dążenie do niezawisłości Kościoła, ale przeciwnie, pęd do zupełnego uniezależnienia się odeń, ogarniający elitę społeczeństwa tak towarzyską, jak intelektualną.

Połączenie wszystkich prawdziwych wyznawców chrześcijaństwa w jedną społeczność o nieugiętych zasadach staje się dzisiaj, w dobie próby oczyszczającej dla Niemiec, ich zadaniem naczelnym i dziejowo koniecznym. Z taką falangą, szczupłą liczebnie, ale niezrównaną pod względem spójności wewnętrznej, należałoby wyjść z ciasnego kręgu działań na szerokie pole, obejmujące cały naród niemiecki, i tym sposobem uniknąć ziszczania się na daleką metę, a bodaj czy nie na zawsze — zmory katolickiego ghetta, trapiącej przed laty Reichenspergera.

Prof. O. Forst Battaglia.

St. Dunin-Borkowski S. J.: Spinoza. Band IV: Das Lebenswerk. Aschendorffsche Buchhandlung, Münster in Westfalen, str. 587.

Nie było danym o. Borkowskiemu doczekać ukończenia drukarskich prac ostatnich tomów jego wielkiego dzieła. Trzeci i czwarty tom ukazał się dzięki staraniom i opiece współbraci zakonnych o. Borkowskiego, redaktorów *Stimmen der Zeit*.

Szerokie potraktowanie problemów spinozystycznej egzegezy na tle ówczesnej egzegetyki (przeszło połowa tomu IV) świadczy, że autor chciał stworzyć nie filozoficzną kolekcję, lecz pełne, samoistne dzieło, obrazujące wiernie całego Spinozę. Troska o dokładność i wyczerpujące przedstawienie rzeczy wpłynęła mniej dodatnio na styl tej części dzieła, który miejscami staje się ciężki i zawiły.

W swych rozważaniach dochodzi o. Borkowski do końcowego wniosku, że egzegeza Spinozy kierowały metafizyczne założenia jego systemu. Metafizyka kazała Spinozie odrzucić możliwość prorocтва a przede wszystkim cudu, konsekwentnie zaś transcendencję chrystianizmu, jego nadprzyrodzoność. Podobnie wyraźne są ślady wpływów metafizyki w fizyce (optyce) Spinozy. I tu wpływ był ujemny. Spinozie nie podobały się idee Boyle'a, zbyt się bowiem opierały, jego zdaniem, na doświadczeniu, a zaniedbywały metafizykę. W tej dziedzinie okazał Spinoza prawdziwie żydowski upór i zaciętość sądu. Ale może i dlatego cała wielkość Spinozy to jego metafizyka, rozbiorowi której poświęca o. Borkowski resztę dzieła raz całą swą wnikliwość i cierpliwość nieustrudzonego badacza.

Tutaj stosuje uczony autor właściwą sobie metodę odczytywania cudzej myśli. Usiłuje mianowicie — wbrew wszelkim pozorom — rozplątać sprzeczności i nonsensy, tkwiące w spinozystycznej metafizyce. Nie zadowala się więc drogą łatwiejszą — stwierdzeniem sprzeczności, lecz z bezinteresowną zapobiegliwością i życzliwością dla twórcy chce wynaleźć interpretację, usuwającą lub przynajmniej łagodzącą logiczne zgrzyty. Nie tworzył o: Borkowski krytyki spinozyzmu, lecz pisał jego historię. Chciał się dowiedzieć, jakie były idee Spinozy, a nie jaka jest ich wewnętrzna wartość ze stanowiska logiki i religii. Był epikiem Spinozy. Dzięki temu stworzył dzieło, które kryje w sobie zadatek trwałości, dzieło, należące bezsprzecznie do najlepszych prac o Spinozie, jakie się ukazały kiedykolwiek.

A. K.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Pierre Téqui w Paryżu:

Marcel de Corte: *La philosophie de Gabriel Marcel*. Collection publiée sous la direction L'ires Simon. Str. 105.
Odoric de Pordenone. *De Venise à Pékin au Moyen Age*. Str. 122.

Nakładem T-wa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lub., Lublin 1937:

Kultura i cywilizacja. Praca zbiorowa. Str. 344.
Irena Butkiewiczówna: *Powieści i nowele żydowskie Elizy Orzeszkowej*. Str. 133.
Jan Feliks Szurek: *Podstawy nauczania arytmetyki i geometrii w szkole powszechnej*. Str. 158.
Witold Krzyżanowski: *Finansowanie wojny współczesnej*. 1938, str. 181.

Nakładem T-wa Wiedzy Chrześcijańskiej, Lublin:

Encyklika J. Św. Piusa XI o położeniu Kościoła katolickiego w Rzeszy Niemieckiej. Tekst niemiecki, przekład polski ks. prof. A. Słomkowskiego. Str. 57.
Ludwik Górski: *Wytyczne programu wiejskiego w świetle zasad katolickich*. 1937, str. 52.
Ks. dr Z. Goliński: *Pius XI jako nauczyciel i obrońca moralności chrześcijańskiej*. 1937, str. 37.
Jan Dobraczyński: *Bernanos powieściopisarz*. 1937, str. 81.
Ks. dr Z. Goliński: *Zabójstwo z litości w świetle etyki katolickiej*. 1937, str. 37.
O sprawiedliwości społecznej. 1938, str. 50.

Nakładem Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska” w Warszawie:

Lew Trocki: *Zbrodnie Stalina*. Przekł. Tadeusza Teslara. 1937, str. 57.
Victor Serge: *Losy pewnej rewolucji*. Z. S. R. R. 1917—1938. Autoryzowany przekład J. Baykowskiego. 1938, str. 413.
Jacques Bardoux: *Oskarżam Moskwę...* Autoryzowany przekład Tadeusza Teslara. 1937, str. 73.

- Jacques Doriot: Pieniądze płyną z Moskwy. Tłumaczył i wstępem opatrzył Tadeusz Teslar. 1937, str. 133.
 Georges Lakhowsky: Od Moskwy do Madrytu. Przekład z francuskiego. Przedmowa Tadeusza Teslarsa. 1938, str. 218.
 Stefan Witold Wojstowski: Sprzymierzeńcy Czesi na Syberii. 1918—1920. 1938, str. 239.
 St. Andrzej Radek: Rewolucja w Warszawie. 1904—1909. 1938, str. 434.
 Feliks Młynarski: Proporcjonalizm ekonomiczny. Zagadnienie nowego kierunku. 1937, str. 185.
 Agnieszka Osiecha: Krzyż na piaskach. Powieść. 1938, str. 257.

Nakładem Książnicy Atlas, Lwów—Warszawa:

- Zofia Nałkowska: Dom kobiet. Sztuka w trzech aktach. Wydanie II. Str. 142.
 Tejżę: Charaktery. Wydanie II. Str. 82.

Nakładem Wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy, Kraków:

- Ks. prof. Józef Kaczmarczyk: Wykład modlitwy Pańskiej. 1938, str. 109.
 Ks. Stanisław Podoleński T. J.: Rodzina w Sowietach. Z 8 ilustracjami. Seria: „Komunizm bez maski”. — Nr. 3, str. 93.

Nakładem różnych:

- Maria Kosterska: Na zamku milczenia. Opowieść. Nakł. F. Hoesicka. Warszawa 1938, str. 134.
 Józef Paciorek: Słońce wśród chmur. Powieść. Nakł. Tygodnika „Nasza Sprawa”. 1937, str. 232.
 Dr Stefan Truchim: Św. Augustyn a nauki i szkolnictwo starożytne. Skład główny: „Nasza Księgarnia” Sp. Ak. Związku Nauczycielstwa Polskiego. Warszawa 1928, str. 22.
 P. dr Hieronymus a Felletle O. M. C.: De Laurentii a Brundisio activitate apostolica ac operibus. Venetiis. Typogr. S. Marci 1937, str. 309.
 Encyklopedia Nauk Politycznych (Zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze). Wydawnictwo Instytutu Społecznego i Inst. Wydawniczego „Biblioteka Polska” w Warszawie. Str. 597—756. (Herriot Edouard — Irlandia).
 Maciej Szukiewicz: Na wymowie. Dramat z życia ludu w 4 aktach. Skład główny w księgarni Fr. Eberta Wdowy. Kraków 1937, str. 181.
 Stefan Kaden: Samotne wiersze. Kraków 1936, str. 23.
 K. J.: Wychowanie chrześcijańskie według encykliki Ojca św. Piusa XI *O chrześcijańskim wychowaniu młodzieży*. Katolicki Związek Kobiet. Bibl. Wykładowa Nr 9. Poznań 1937, str. 68.
 Słownik Morski, polsko-angielsko-francusko-niemiecko-rosyjski. Zeszyt V — Nawigacja. Str. 106. Redagowali S. Kański i A. Reyman. Zeszyt VI — Praktyka morską. Str. 70. Redagował gen. Zaruski. Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy. Warszawa 1936.
 Marian Falski: Środowisko społeczne młodzieży a jej wykształcenie. Skład główny: „Nasza Księgarnia”. Sp. Ak. Zw. Naucz. Pol., Warszawa 1937, str. 99.
 Basil Carey: Niebezpieczne wyspy. Powieść. Wł. Michałak i Ska. Warszawa 1938, str. 307.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Panazjatyzm i panarabizm. — Religijny problem Wschodu.

Wśród huku armat, w pożodze krwawej wojny, równocześnie w misternej a dalekosieżnej politycznej grze, krystalizuje się na dalekim Wschodzie ideologia panazjatyizmu, hegemonii rasy żółtej. Pionierami tego potężnego ruchu, w którym nacjonalizm i rasizm przybrano w szczytne hasła humanitaryzmu, są dziś siłą faktu zwycięscy na wielu frontach synowie Nipponu. Paradoks, iż hegemonia rasy żółtej ma za etap wstępny wojnę między dwoma narodami tejże rasy, jest tylko pozorny. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, iż ostrze tej ideologii, która na swe usługi ma dzisiaj naukę i technikę, politykę i armię, komunikację i gęstą sieć propagandy, entuzjazm mas i zaciętą wytrwałość elity — jest skierowana zasadniczo przeciw rasie białej, przeciw Europie, która przez długie wieki eksploatowała bezkarnie i bezczelnie daleki Wschód i całą prawie Azję. Zdobywszy wszechstronną broń europejskiej kultury, kieruje dziś Azja tę samą broń przeciw Europie.

W tym potężnym ruchu nie trudno spostrzec dwa zasadnicze prądy: jeden polityczny, drugi religijny. Zdynamizowany buddaizm oraz szintoizm mobilizują dziś umysły i serca nie w mniejszym stopniu jak narodowa i rasowa duma.

Burzy się daleki Wschód i nawołuje do dziejowej rozprawy. Równocześnie zaś burzy się i mobilizuje Wschód bliższy z Arabami na czele. Analogia między tymi dwoma ruchami jest w wielu punktach wprost uderzająca. Zdynamizowany islam, wprzęgnięty w rydwan ruchu panarabskiego, obudzone nacjonalizmy, zbrojne w zdobycze kultury europejskiej a zcementowane nienawiścią gjaurów, stwarzają nowe

problemy o skali światowej. Hasła, rzucone na bliskim Wschodzie, obejmują arabski Maghreb (Zachód), tworząc poprzez północną Afrykę potężną pętlę ludów i idei. Kto i kiedy ściągnie tę żywiołową pętlę w solidarnym zrywie, trudno dziś przewidzieć, jak trudno rozstrzygnąć, jaka to tajemna więź powoduje dziwną solidarność we wzburzeniu całego wschodniego świata. Można się uśmiechać wobec namietnej walki radiowych fal, naładowanych arabską propagandą a wysyłanych przez rywalizujące z sobą stacje angielskie i włoskie; ale uśmiech zamiera na twarzy, gdy stwierdzi się niewątpliwy fakt, iż zamieszki w Damaszku i Palestynie odbijają się solidarnym echem w Tunisie i Fezie a zdolni emisariusze Tokia pracują harmonijnie i skutecznie w Indiach, Tybecie oraz Indochinach.

Pomińmy ruch panazjatycki, by tym baczniejszą skierować uwagę na bliższy Europy i dla niej może groźniejszy ruch panarabski.¹⁾ W potężnym tym nurcie, który jednoczy dziś arabski Wschód z arabskim Zachodem istnieją niewątpliwie, jak i na dalekim Wschodzie, dwa prądy: polityczny oraz religijny. Mistycyzm zdynamizowanego islamu podnieca nacjonalizm i na odwrót rasowo-narodowa duma kulminuje w religijnym fanatyzmie. Może to mieć pozory sprzeczności, ale czyż nie hegeliańska zasada sprzeczności stała się w Europie jednym z ideologicznych motorów komunistycznej ekspansji?

W dziedzinie polityki dwa ideowe prądy, o przeciwstawnych dążnościach, ścierają się w świecie arabskiego islamu: unitaryzm i nacjonalizm. I jeden i drugi nie mają głębszego oparcia w tradycji i skłonnościach świata arabskiego. Wszak unitaryzm przeciwstawia się partykularyzmowi plemion, z którym łączy się przecież cała atawistyczna przeszłość arabska i z którym wiążą się wszystkie pojęcia życia społecznego tychże plemion; podobnie nacjonalizm nie znajduje ideowych sprzymierzeńców w ludach, które do ostatnich jeszcze czasów nie znały pojęcia narodu, nie stworzyły zorganizowanego celowo społeczeństwa i nie wyraziły swej jedności ani w języku ani w obyczajach.

Ruch unitarny, zwany dziś panarabizmem ma swe ideowe początki w drugiej połowie ub. wieku. Patronowało mu grono myślicieli arabskich z Dżemal'em ed-Dîn el Afghani na czele, którzy tworząc ligi umysłowe i rewolucyjne organizacje w głównych centrach arabskiego Maghrebu (Zachodu) rzucali śmiało hasła: wyzwolenia spod jarzma obco-

¹⁾ Cfr. L. Jalabert: La turbulence de l'islam arabe. *Etudes*. 20. I. 1938. Str. 170—184.

krajowców i zjednoczenia arabskiego świata pod jedną władzą duchowną oraz cywilną. Najbardziej ruchliwą okazała się „Liga arabskiej ojczyzny”, założona w r. 1895 w Paryżu i w jej kołach zrodził się znany manifest z r. 1905, w którym arabscy patrioci domagali się stworzenia konstytucyjnego arabskiego imperium, z monarchą-sułtanem arabskim na czele.

Nie wiele brakowało, by projekt ten doszedł do skutku w przeddzień wielkiej wojny. Wszak angażując się w orężną rozprawę z Turcją, W. Brytania oświadczyła swą gotowość stworzenia federacji arabskich państw na bliskim Wschodzie. Nadzieje jednak pionierów unitaryzmu zawiodły. Królestwo arabskie Syrii, które miało stanowić krystalizacyjną oś nowego imperium, wymknęło się z rąk Fejsala już w parę miesięcy po objęciu przez niego rządów. Równocześnie Palestyna stała się siedzibą żydowskiego syjonizmu, stwarzając stałą groźbę dla arabskiej unii. W miejsce sfederowanych państw arabskich powstały mandaty Palestyny, Transjordanii i Iraku pod protektoratem Anglii oraz Syrii pod władzą Francji. Potężny prąd Wahabizmu skłócił plemiona półwyspu Arabii, podczas gdy zaborcza władza umocniła jeszcze silniej swoje pozycje w całej północnej Afryce. Marzenia panarabizmu rozwiały się jak złudne fatamorgana. Ale pozostało bolesne rozgoryczenie i fanatyczna zawziętość. Toteż raz rzucone hasła podniosły się wnet z pożogi światowej wojny. Rozsadziły ciasne ramy zakonspirowanych organizacyj, przeniknęły w szerokie masy, dzięki propagandzie apostołów tej miary co Chekib Arslan, budzących poczucie arabskiej jedności w rozdartych przemocą plemionach. Hasło wyzwolenia i zjednoczenia Arabów zaczęło elektryzować świat islamu od zatoki Perskiej aż po słupy Herkulesa. Ale w tym ogólnym prądzie panarabskim poczęły się równocześnie wyłaniać ośrodki arabskich nacjonalizmów. To jedna z ideowych broni zdobyta na giełdzie stolic europejskiego świata.

Panarabizm i arabski nacjonalizm — zdawałoby się dwa sprzeczne pojęcia; w rzeczywistości jednak dwa tylko aspekty nowej walki Wschodu ze Zachodem, Azji z Europą.

Świat muzułmański obejmuje dziś kilka wielkich etnicznych grup, podzielonych wprowadzić politycznie ale sprzęgniętych fanatyczną więzią nauki Proroka. W szeregu objętych islamem ludów grupa arabska nie sięga liczbowo połowy grupy hinduskiej, a stanowi nieco więcej niż dwie trzecie malajskich wyznawców koranu. Pod względem politycznym przedstawia mozaikę; zależna od obcych rządów, podzielona różnymi mandatami oraz statutami. Ponad jednak sztuczne granice zaborców idzie potężna idea arabskiej

wspólnoty, sprzągniętej jedną religią, przemawiającej jednym językiem, z jednego wywodzącej się pnia i dumnej ze wspólnej przeszłości. Jeśli jedność religii, opartej na nauce koranu, stanowi istotnie potężną w swym fanatycznym dynamizmie więź, to inne wytaczane przez pionierów panarabizmu czynniki przechodzą łatwo w krainę mitu i bohaterskiej legendy.

Już w dziedzinie języka nie brak głęboko sięgających różnic. Język koranu, ubogi w swoim słownictwie, archaiczny w konstrukcji i pojęciach, nie wiele ma wspólnego z rwącym prądem postępu i nie zdoła wyrazić nowoczesnych problemów politycznych, naukowych czy społecznych. Ale na podłożu tej mowy klasycznej, a zatem zamarłej, rozwinął się bujnie nowy, żywy język. A już na sarkazm zakrawa paradoks, że język ten stworzyła właśnie Europa, w ogromnej mierze wysiłkiem misjonarzy katolickich oraz protestanckich, prowadzących szkoły i naukowe zakłady dla arabskich dzieci i młodzieży. Ten nowożytny język wyrugował powoli stare dialekty i panuje dziś w całym świecie arabskim, podtrzymywany przez prasę, literaturę i radio. Ten właśnie język wyzwolony z przesądów tradycji, żywy i barwny, używany przez jakieś 40 milionów mahometan jest dzisiaj silną spójnią arabskiego świata.

Jedność lingwistyczną usiłuje wzmocnić panarabizm legendą wspólnoty rasowej. I jakkolwiek jedność etniczna świata mahomekańskiego, który posługuje się językiem arabskim, będzie dla antropologa naukową herezją, mimo to herezja ta jest dla panarabizmu pewnikiem. Czyż jednak można mieć za złe arabskim patriotom, że usiłują związać arabski świat starożytną genetyką wspólnego pnia? Wszak nie tylko Wirgiliusz wiązał genealogię Rzymian z bohaterskimi przodkami Troi ale i rasiści niemieccy czystą fikcją i mitem gloryfikują super-aryjskość swojego narodu.

Apel do historycznej przeszłości ma zmobilizować narodową dumę. Bohaterska epopeja islamu, który od VII do XII w. triumfował nad chrystianizmem, stwarzając wyrafinowaną kulturę arabską ma być potężnym bodźcem dla współczesnej twórczości Arabów. Nie można oczywiście przeczyć, iż „barbarzyński” Zachód skorzystał dużo i dużo się nauczył w szkole arabskiego Wschodu, iż zapożyczył niejedną zdobycz w dziedzinie filozofii, nauki i sztuki — ale trudno również pominąć fakt, że arabski Wschód przejął swą cywilizację w wysokim stopniu od Wschodu chrześcijańskiego. Oczywiście panarabska propaganda nie wdaje się w takie „drobiazgi”, za to tym silniej historyczną, wspinała przeszłością głaszcze i podnieca narodową dumę, podkreślając, iż warunkiem odrodzenia jest polityczna i kultu-

ralna niepodległość arabskich ludów. Duma czerpana ze źródeł przeszłości, nadzieja wybiegająca w przyszłość, te dwa uczucia umacniają dziś arabski świat w wierze w wielką a wspólną misję ludu, zjednoczonego w jednej religii, zbratanego jednym językiem, wyrastającego z jednego szczepowego pnia i okrytego chwałą wspólną a bohaterskiej przeszłości.

I zdawaćby się mogło, iż tak potężna idea, na takich oparta przesłankach, powinna stworzyć żywiołowy, solidarny, nie dający się niczym zwyciężyć ruch panarabski.

Tymczasem panarabizm zaczyna się załamywać właśnie w starciu z arabskim nacjonalizmem. Paradoks ten potwierdza tylko dziejowe zjawisko, że często namiętność zwycięża ideę, a interes bierze górę nad ideologią wspólnoty. Sprawdza się to nie tylko w życiu jednostek ale i całych narodów.

Przed wszystkim panarabizm w swej krucjacie przeciw europejskiemu Zachodowi nie ma konkretnego przeciwnika. Pojęcie Europy jest zbyt abstrakcyjne, brak dynamiki wyrażnie określonego wroga, bo wrogiem jest nie Europa ale Francja, Brytania czy Włochy. Trudno kierować rewoltę przeciw jakiemuś anonimowi ale zato łatwo przekonać Marokańczyka, że francuski kolonista jest uzurpatorem, że francuski czy angielski rząd gnębi tubylców, których własnością jest ziemia, że szkoły i administracja obcym służą interesom a rzekoma przyjaźń europejskich najeźdźców zdąża jedynie do wynarodowienia Arabów.

To właśnie narodowe zróżnicowanie białych okupantów stało się potężną dźwignią dla nacjonalizmów arabskich.

Nie brak oczywiście i innych czynników. W miarę jak poszczególne prowincje arabskie organizują się w grupy narodowe na wzór krajów europejskiego Zachodu, wzrasta również ich narodowe poczucie. Organizacyjne ramy społeczno-polityczne, w które zamyka się dana grupa, nabierają cech terytorialnej granicy, a na tych granicach zatrzymują się a nawet ścierają różne narodowe interesy. Grupa mieszkająca za taką granicą, choć wyznaje tę samą religię i tym samym posługuje się językiem, zaczyna się zmieniać jeśli nie we wroga to w każdym razie w rywala. Od czasu więc jak miejsce terytorium zamieszkałego przez Arabów zajęło państwo Iraku, Syrii, Transjordanii, Palestyny... zrodziły się analogiczne nacjonalizmy. Każdy z nich rozwija się w swej orbicie i swoje bliższe interesy ma na oku, oddalając się stopniowo od panarabskiej wspólnoty. Syria jest parlamentarną republiką, dziedzicząc przede wszystkim ujemne strony tego systemu: partyjniactwo, ducha intrygi, demagogię politycznych i społecznych metod, a wszystko to roz-

rywa narodową spójnię, ścieśniając horyzonty do domowego podwórka partii. Damaszek ma swój problem autonomii Druzów czy donioślejszy jeszcze problem chrześcijańskiej mniejszości. Irak, który najprędzej zrzucił z siebie jarzmo obcego najeźdźcy, budzi u sąsiadów więcej zazdrości, niż braterskiej sympatii. W Transjordanii oraz Palestynie zaognia stosunki kwestia żydowska, spychając element arabski, zdeorganizowany i zgorkniały na plan drugi.

Takie mniej więcej ewolucje przechodzi nacjonalizm arabski na bliskim Wschodzie. Góruje nad tym zjawiskiem dziejowy fakt, że słynny ostracyzm wobec idei europejskich, który przez wieki charakteryzował tak swoiście muzułmański klan, zaczyna zanikać. Wielka wojna wstrząsnęła wielką tradycją zamkniętego w sobie świata, zgalwanizowała wschodnią bierność, stworzyła szybkie tempo ewolucji i modernizacji, które może śmiało rywalizować z ewolucją nowoczesnej Japonii. Tylko, że w przeciwieństwie do Japonii, świat arabski nie posiada samodzielnego, zorganizowanego państwa i dlatego spreczne prądy wstrząsają nim w niesamowitej rytmice a linia rozwoju zbacza w gąszcz przysłowiowych arabesek. Nacjonalizmy grup, które mogły wejść jako składowe w ogólny prąd unitaryzmu, rozsadzają jego zwartość. Nacjonalistyczna ideologia Europy znalazła podatny grunt i silną pożywkę w interesach arabskich grup; egoizm, zrodzony z europejskiej idei, rozsadza fizyczną jedność wszecharabskiej masy.

Czy z tego nacjonalistycznego rozbicia wyłoni się bezprzymiotnikowa narodowa jedność? — trudno dziś rozstrzygać. Może najwięcej szans posiada rodzaj federacji feodальной, na której czele stanęłaby potężna jednostka. Być może, iż o takiej właśnie federacji marzy ambitny Ibn Seud, ale i wówczas pod berłem księcia Nedźdu i Hedżasu znalazłaby się co najwyżej zaledwie jedna trzecia arabskiego świata, bo przecież przed Egiptem i całym Maghrebem inne zdają się otwierać perspektywy.

Czyżby zatem potężna idea panarabizmu, tej naturalnej sojuszniczki panazjatyizmu, miała się rozplynać całkowicie w świecie nieziszczonych marzeń? Niezupełnie. Trzy bowiem grupy faktów zdają się temu zaprzeczać, i z tymi faktami musi się liczyć europejski Zachód.

Przede wszystkim idea panarabizmu istnieje i działa; pod jej wpływem świat arabski uświadomił sobie swoją zasadniczą jedność. Falowanie tej idei odczuwa się w równej mierze w Tunisie i Fezie jak w Damaszku i Bagdadzie. A pewne nieprzewidziane w tej chwili wypadki, mogą rytm tego falowania przyspieszyć, mogą go nawet zmienić w gwałtowny i brutalny wybuch, który odradza i cementuje na-

rody. Tylko ślepy optymizm zdobywcy może nie zauważyć głębokich zmian, jakie się dokonały pod wpływem tej właśnie idei na terytoriach arabskich okupowanych dziś przez Europę.

Rzućmy choćby na moment okiem na arabski Maghreb. Od wieku włada w Algierze Francja; od półwiecza spacyfikowała oraz urządziła Tunis. W pierwszych latach po światowej wojnie uchodziło w Algierze panowanie francuskie za rzecz zupełnie normalną, zrozumiałą samą przez się. Podobne warunki wytworzyły się w Tunisie, zwłaszcza pod genialnym kierownictwem Lyautey'a. Tylko w południowym pasie „dyssydentów” rozlegały się od czasu do czasu karabinowe salwy ekspedycji wojskowych. Powstanie Abd el Krim'a było prawie wyłącznie dziełem intryg i finansów niemiecko-sowieckich. Do tubylców odnosili się Francuzi z wielką życzliwością i liberalizmem.

A oto jak wygląda sytuacja w ciągu lat ostatnich? — Cały kraj pokryty gęstą siecią organizacji irredenty, które łączy jakieś tajemnicze centrum. Syryjska partia niepodległościowców, tuniżyjski „Destur”, algerska tajna organizacja „Afrykańskiej Gwiazdy” i marokańscy nacjonaliści działają wspólnie w myśl wielkiej panarabskiej ideologii. W lecie r. 1936 wybucha rewolta w Algierze. Mufti Ben Dali Amor Mahmud, komandor legii honorowej, oficjalna głowa mahometanizmu, ginie na ulicy Algeru, zamordowany jako przyjaciel francuskich gjaurów a zdrajca narodowej sprawy. Wkrótce po tym krwawe zamieszki w Syrii, 15 trupów w Aleppo, 5 w Beyrucie, 12 w Trypolis. Zimą występują wrogie antyfrancuskie demonstracje w związku z incydentem Aleksandretty. W dwa miesiące później wybucha ostry konflikt między bey'em Tunisu a francuskim rezydentem Guillon'em. 13 lutego 1937 r. zlynchowana francuskich lotników a 25 lutego doszło do obłężenia koszarów w Lattaquih przez 4 tysięczny tłum; w rezultacie 4 trupy i 40 rannych. W Algierze i w Tunisie wybuchają periodyczne strajki oraz zaburzenia a tubylcze wojsko parokrotnie odmawia posłuszeństwa, nie chce użyć broni przeciw swym rodakom. W Marokku wybucha 2 września strajk powszechny, sklepy zamknięte a 10 tysięczny tłum usiłuje wtargnąć do sądowego gmachu, i znowu jako żniwo rozruchów: 15 zabitych, ponad 50 rannych. Oto parę faktów.

Dziś więc ułożyły się tak stosunki, iż np. w Algierze, 800 tysiącom francuskich kolonistów i 200 tysiącom zfrancuziałych Algerczyków przeciwstawia się sześć milionowa masa tubylców, wiedziona przez 200 tysięcy wrogiej Francuzom inteligencji, mieszczan, akademików oraz robotników, kierujących religijną, społeczną i narodową agitacją. W ta-

kich warunkach raz po raz wybuchają gwałtowne zamieszki; w Fezie, Rabacie, w Marakesz, w Casablanca, w Chemiset... doszło do krwawych starć a każda kropla przelanej krwi arabskiej staje się żywym, namiętym hasłem do dalszej walki z najeźdźcą.

Dokładniejsze zatem badanie terenu dowodzi niezbicie, że idea panarabizmu istnieje i działa. Działać zaś może tym skuteczniej, gdyż, mimo wszystkich przeciwnych pozorów, w świecie arabskim obowiązuje plemienna solidarność. I to jest drugi fakt, z którym się liczyć należy. Wielka wrażliwość mieszkańców Wschodu reaguje silnie na każdą podniecie ale specjalnie burzy ją i rozpala wszystko co dotyka i krzywdzi członków wielkiej rodziny arabskiej. Wystarczy przypomnieć potężne echo, jakie w całym świecie arabskim wzbudził tragiczny apel Arabów palestyńskich w konflikcie z syjonizmem i W. Brytanią. Otóż te żywe reakcje sympatii podtrzymują i niewątpliwie wzmacniają poczucie jedności arabskiej.

A dzieje się to tym łatwiej, iż bliski Wschód, podobnie jak Maghreb, korzystają dziś w zakresie komunikacji ze wszystkich europejskich zdobyczy. W czasach, gdy idee wędrowały na grzbietach wielbłądów, traciły po drodze wiele z swego dynamizmu. Dziś prasa, telegraf, telefon i radio zlikwidowały odległość a idee i wiadomości przenoszą się momentalnie z jednego krańca islamu na drugi, elektryzując tysiące i miliony, budząc zamieszki i demonstracje, które się stają wyrazem panarabskiego solidaryzmu. I to jest fakt trzeci, którego doniosłości nie wolno nam nie doceniać.

Gdzie kryje się źródło tych wrogich nastrojów, mobilizujących arabski świat przeciw Europie? Niewątpliwie wybitną rolę odgrywają w tym ruchu idee arabskich myślicieli, promieniujące z zamkniętych kół intelektualistów Wschodu. Krzewicielami tych idei stają się coraz liczniejsi a zdolni agitatorzy, przenikający w lud, działający ulotkami oraz żywym słowem; doniosły wpływ wywiera prasa, nie ostatnim wreszcie ośrodkiem wielkiej kampanii jest mahometański meczet.

Obraz byłby jednak niekompletny, gdybyśmy pominęli wpływ rozkładowych doktryn Europy. Jest rzeczą wysoce znamionną, iż we francuskich koloniach i mandatach wrzenie wzrosło niepomniernie właśnie w okresie rządów frontu ludowego. Klasowa, laicystyczna i komunistyczna agitacja przeniosła się w dzikim zaślepieniu także na terytoria kolonialne, by tam zyskiwać sojuszników dla politycznych rozgrywek w metropolii. Jest to niesłychanie lekkomyślne i granie z ogniem, który może i musi wzbudzić ogólną po-

żogę. A w pożodze tej zmarnieje nieodwołalnie wielkie dzieło nie tylko Lyautey'a ale może i Kard. Lavigerie.

I jeśliśmy naszkicowali szerzej sytuację, w której znajduje się dziś świat arabski, to właśnie dlatego, by podkreślić doniosłość tkwiącego w tych zagadnieniach religijnego problemu.

Mobilizowanie Azji przeciw Europie, harmonizowanie panazjatyizmu z panarabizmem — nie może być obojętnym dla katolickiego świata. Ziemia japońskich wysp w niemniejszym stopniu, jak ziemie Indyj, bliskiego Wschodu i północnej Afryki, przesycone są krwią męczenników. Od wieków falangi apostołów wiary szły niestrudzenie i nieustraszenie z ewangeliczną nowiną. Cierpliwością, świętością i heroizmem ofiary tysiące pionierów katolicyzmu rozszerzyły wydatnie granice Chrystusowego Królestwa. Przez długie wieki islam stanowił ideową twierdzę, która odpierała z pogardą wszelkie ataki ewangelicznej nowiny. I dopiero wiek ostatni przyniósł kapitulację na niektórych przynajmniej odcinkach. Na ziemiach Afryki, w dziedzictwie św. Augustyna, w krajach bliskiego Wschodu rozmnożyły się chrześcijańskie ośrodki, przenikając w sfanatyzowane islamem dusze synów Wschodu. Ta sama akcja wydała stosunkowo obfite plony także na Wschodzie dalekim.

I teraz nad tym trudem wieków, nad heroizmem poniesionych ofiar, nad szkarłatnym całunem męczeństwa... jawi się groźny cyklon zbudzonych nacjonalizmów, mobilizuje odwet dla białych najeźdźców. Czy w tej dziejowej rozprawie ostoi się katolicyzm, skompromitowany tylokrotnie brutalnością, wyzyskiem i rozwiązłością białych, przynajmniejszych się obłudnie do ewangelii Chrystusa?

Ileż to razy gospodarka kolonialna Europy wysuwała na pierwszy plan chrystianizm, wyzyskując niecnie wysiłki misjonarzy do realizowania ziemskich planów zaboru i gwałtu? Czy nie zachęcano misjonarzy do pochodu naprzód z krzyżem ale i z narodowym sztandarem? Czy osiedla misjonarzy nie stawały się siłą faktu ośrodkami obcej kultury, nie umiejscowionej czy nie chcącej uszanować kultury miejscowej.

W nadziei rozszerzenia wpływów sprowadzono do stolic europejskich tysiące arabskiej, hinduskiej, chińskiej czy japońskiej młodzieży. I tutaj dopiero przed umysłami tej przyszłej elity jawiły się tragiczne problemy na tle skłócenia chrześcijańskich wyznań, laicyzmu, bezbożnictwa, walki z Kościołem, który równocześnie eksportowało się dla politycznych celów na tereny kolonialne. Czyż dla inteligentnego Japończyka, Chińczyka lub Araba nie musi się stać zarzewiem wewnętrznego buntu, sarkazmem przepojony fakt, że

np. masońskie rządy Francji, gnębiąc katolicyzm w swej własnej ojczyźnie, występują równocześnie z najwyższą obłudą jako wysocy protektorowie katolicyzmu na dalekim czy na bliskim Wschodzie?

A zaniebdany czy niedoceniany przez tak długi okres problem kleru tubylczego! Ileż trzeba było wysiłku ze strony najwyższych czynników Kościoła, by przełamać opory rządów kolonialnych i ich pionierów, odzianych niestety nawet i w duchowne szaty!

Oto tragiczny spłot zagadnień, który może zarysować się w całej swej ostrości w dobie podjętej krucjaty Azji przeciw Europie.

Niektórzy odważają się dyskutować w Europie na temat ujemnych i dodatnich stron teorii i praktyki rozdziału Kościoła od państwa; obserwując potężniejący ruch pan-azjatyzmu i panarabizmu stajemy się gorącymi zwolennikami rozdziału katolicyzmu od interesów kolonialnych państw, od interesów europejskiej kultury, w imię najwyższego interesu nieśmiertelnych dusz!

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Fale z nad Pacyfiku. — Rozdźwięk włosko-niemiecki. — Włochy, Polska i Dunaj. — Samodzielność środkowego Wschodu. — Urzędowe sprawozdanie dyplomacji polskiej. — Niepokój z nad Pacyfiku.

Odprężenie sytuacji międzynarodowej, które nastąpiło w listopadzie ub. roku przybrało postać względnie trwałej skłonności do zabiegów o kompromis pacyfikacyjny w Europie. Ponad tą jednak skłonnością prześlizgują się nadal płytsze od niej fale odprężeń i naprężeń doraźnych.

Kończąc poprzedni referat miesięczny musiałem stwierdzić, że „wulkany znów dymią” na Dalekim Wschodzie, w sposób dla sprawy powszechnego pokoju niepokojący. Po zdobyciu Nankinu przez Japończyków, ciężkiej bitwie jaką w tym celu musieli stoczyć, oraz awanturze z kanonierkami Ameryki i Anglii na rzece Jangtsekiang, zawrzało na całym globie. Ententa anglo-francuska poczęła szykować do podróży na Ocean Spokojny część swoich ciężkich flot bojowych; Ameryka zapowiadała przesunięcie na Hawaj większości swoich morskich sił zbrojnych. Równocześnie Rosja głosiła, że ostatecznie postanawia „podać” Chinom swą Mongolię Zewnętrzną z jej stutysięczną, dobrze uzbrojoną armią. Gdyby te zapowiedzi zostały spełnione, to obóz demokracji osłabiłby niechybnie swoją pozycję wobec faszyzmów w Europie.

Zapowiedzi te jednak spełnione nie zostały. Japonia wolała uniknąć komplikacji, które by stąd dla niej wynikać mogły.

Przeprosiła więc formalnie najbardziej urażoną Amerykę, oraz co ważniejsza, wstrzymała przygotowaną już wyprawę na Kanton, któredy głównie otrzymują teraz Chińczycy broń i amunicję. Tym samym również musiała zaniechać ofensywy w głąb Chin, wzdłuż Jangtsekiang, na nową stolicę rządu chińskiego, Hankou. Zajęła się natomiast głównie umacnianiem i rozszerzaniem miejscowym pozycji już zdobytych.

W konsekwencji takiego obrotu rzeczy na Dalekim Wschodzie, zmieniły swe zamiary także mocarstwa gotujące się do interwencji. Ameryka nie posłała floty na Pacyfik, Anglia i Francja wstrzymały wysyłkę okrętów liniowych z Europy; rosyjsko-mongolskie wojska też się nie spieszą z ofensywą na tyły japońskie w Chinach Północnych, pomimo, iż nad wojskami tymi rzekomo miał już objąć dowództwo syn chińskiego dyktatora, marsz. Dziang Kai-szeka. Na razie Chiny, nadal zaopatrywane z Kantonu, zajęły się zaciętą, wielką bitwą w obronie Hangczou.

To względne odprężenie na Dalekim Wschodzie nie omieszkalo wywrzeć wpływu na sytuację europejską. Zaznaczył się on w podtrzymanej nadal przewadze demokracji nad faszystami. Przewaga ta okazała się nawet wystarczającą do tego, ażeby zakłócić stosunek Niemiec i Włoch w basenie naddunajskim, co pozostaje w związku z porażką Włoch w Hiszpanii pod naciskiem franko-anglo-amerykańskiego trójp porozumienia. Nieraz już stwierdzałem, że Włochy zrzekły się na rzecz Niemiec swoich „protokółów rzymskich” z Austrią i Węgrami, w nadziei, że zostaną odszkodowane w Hiszpanii. Z chwilą gdy się ta nadzieja rozwiała, a przewaga demokracji oraz ich protekcja w odniesieniu do państw środkowo-wschodnich rysowała się coraz wyraźniej, Mussolini zdecydował się na pewnego rodzaju dyplomatyczny pół-zwrot. Wznowił protokoły rzymskie, zwołując zjazd ich uczestników do Budapesztu 10 stycznia. W intencji włoskiej miało to oznaczać zmianę podziału sfer interesów niemieckich i włoskich nad Dunajem w sensie przywrócenia włoskiej protekcji nad Austro-Węgrami. Przy tym Rzym nie zamierzał wchodzić Niemcom w drogę także na terenie Czechosłowacji, lecz w myśl dawniejszych planów życzył sobie tylko zbliżenia Austro-Węgier z Rumunią i oczywiście Jugosławią. Miałoby to wytworzyć pewnego rodzaju blok bałkański oparty o Italię.

Politykę tę zainaugurował Mussolini zwracając się ku Polsce za pomocą manifestacji z prochami płk. Nullo, o której pisałem w poprzednim miesiącu. Ponieważ Polska pozostaje w stosunkach formalnie przyjaznych z Niemcami, a zarazem i z mocarstwami zachodnimi, przeto filopolskie posunięcie Włoch nie było formalnie antyniemieckim, faktycznie jednak konkurencyjnym tak wobec Niemiec, jak wobec mocarstw zachodnich. Nadto wiedeński zjazd skutecznie pod egidą protokółów rzymskich niebezpiecznawie

był interpretowany jako chęć ze strony Italii zbliżenia się za pośrednictwem Austro-Węgier do Małej Ententy i zapośredniczenia ugody między nią a Węgrami. Wszystko to razem wzięte nie przedstawiało się wprawdzie całkowicie jasno, jednak wyraźnie dawało do zrozumienia, że Włochy gotowe by były współdziałać z państwami środkowego-Wschodu w kierunku powściągnięcia dążeń ekspansyjnych niemieckich, co byłoby także korzystne i dla obecnej polityki mocarstw zachodnich.

Italia zatem zajęła nową pozycję w międzynarodowej grze europejskiej. Fakt, że przy tym nie tylko nie zerwała z Niemcami, lecz nawet oznaczyła w porozumieniu z nimi termin rewizyty Hitlera w Rzymie na wiosnę br., nie przeczy tej tezie, boć przecie wszyscy, mocarstwa zachodnie i państwa środkowo-wschodnie, pragną się z Niemcami porozumieć. Wszyscy jednak pragną osiągnąć to porozumienie na warunkach o wiele dla Niemiec skromniejszych, niż wysunięte wobec lorda Halifaxa przez kanclerza Hitlera, który domagał się Austrii i Czechosłowacji w Europie, a Kamerunu, Konga belgijskiego i Angoli w Afryce. Toteż z tymi ogólnymi tendencjami nie staje w sprzeczności także podróż jugosłowiańskiego premiera Stojadinowicza do Berlina, ani zapowiedziane odwiedziny węgierskiego regenta Horthy w Polsce, oraz jego spotkanie z faktycznym wicedyktatorem niemieckim Goeringiem na polowaniu w Białowieży.

Trwały związek polityczny Italii z blokiem państw środkowego Wschodu oraz z mocarstwami zachodnimi, zmierzający do okiełznania dążeń niemieckich, miałby poważne widoki osiągnięcia tego celu i byłby zjawiskiem bardzo pożądanym ze stanowiska pacyfikacji Europy. Zaledwie jednak zarysowuje się on dopiero i w dalszym swoim rozwoju zależy od tego czy przyniesie Mussoliniemu korzyści, których on stąd oczekuje. Te korzyści to, po pierwsze wyprowadzenie Włoch z niedogodnej, biernej pozycji w jakiej się znalazły od czasu rozmów Halifaxa z Hitlerem, a po wtóre to aspiracja do udziału w ustępstwach gospodarczych i kolonialnych jakie Zachód obiecuje Niemcom, oraz w poparciu którego zamierza udzielić państwom środkowo-wschodnim. Trzeba przyznać, że zwrot w polityce włoskiej dokonany został pod tym kątem celowo i zrzęcznie.

Przy sposobności warto podnieść, że wprowadzona od lat przez politykę polską zasada samodzielności, oraz swobody ruchów między współzawodniczącymi ze sobą państwami, bardzo się rozpowszechniła tak między państwami naddunajskimi jak nawet pośród wielkich mocarstw. Powołuje się na nią rząd jugosłowiański w swoim stosunku do Włoch i Francji, oraz do Włoch i Niemiec. Zastosowały je same Włochy wobec Niemiec oraz ich naddunajskich i zachodnich sąsiadów. Wreszcie dotychczasowi włoscy, z tytułu protokołów rzymskich, wasale: Austria i Węgry,

wyłamały się z jednostronnej subordynacji wobec Rzymu, zapowiadając zbliżenie nie tyle z Rumunią, jak pragnęły Włochy, ile właśnie z Czechosłowacją. To znacznie zaostrza postawę Austrii i Węgier, a pośrednio także nową politykę włoską w stosunku do Niemiec. Zaostrzyłoby ją jeszcze bardziej gdyby doszedł do skutku węgiersko-czeski pakt nieagresji, poważnie odciążający Czechosłowację na wypadek jej zatargu z Niemcami. Blok środkowo-wschodni czuje, że koniunktura zwraca się na jego korzyść i ujawnia tendencję do coraz większej samodzielności. W tym kierunku oddziaływa także ostry wewnętrzny zwrot faszystowski w Rumunii. W pierwszej chwili usiłowały go zaliczyć na swoją korzyść Niemcy, później z większym uzasadnieniem Włochy, ale z największym naciskiem nowy rząd rumuński oświadcza swą solidarność przede wszystkim z Małą Ententą, Polską i Wielką Ententą franko-angielską.

Jakież się wobec tych nowych objawów politycznych na środkowym Wschodzie zachowują inne mocarstwa zainteresowane, a więc Niemcy, Rosja i Zachód? Niemcy starają się robić *bonne mine au mauvais jeu* i mówią o wizycie Hitlera w Rzymie, ale w aktualnej polityce grożą przeciwdziałaniem. Na wieść o wznowieniu protokołów rzymskich zareagowały zapowiedzią „kuracyjnego” wyjazdu Goebbelsa do Egiptu, gdzie mogłyby się wmieszać między Włochy, Anglię i Arabów. Do Bukaresztu po tamtejszym zwrocie mieli Niemcy wysłać Goeringa, ale się rozmyślili. Najbardziej niebezpiecznym, choć bardzo dyskretnym kontratakiem z ich strony był artykuł niemieckiej wojskowej urzędówki, o potęgę militarnej Sowietów. Ostrzega on wyraźnie przeciwników, ażeby nie przeciągały struny, bo mogą Berlin wpędzić ponownie w Rapallo. Ostrzeżenie jest jednak raczej tylko pozornie groźne, gdyż *eo ipso* Niemcy zamknęliby przed sobą ostatnią jaka im pozostaje drogę ekspansji.

Jednakże rapallitański ukłon Berlina w stronę Moskwy był o tyle niebezpieczny, że Sowiety bardzo się niepokoją pacyfikacyjno-solidarystycznymi dążeniami polityki europejskiej. Rzeczywiście zasadnicza skłonność tych dążeń prowadzi w kierunku bloku antysowieckiego. Komintern wyteża przeto wszystkie siły ażeby tej pacyfikacji zapobiec. Drobnym lecz znamennym ze względu na stosunek Moskwy nie tyle do Polski ile do Niemiec był zamiar sprawienia Warszawie „krwawego Sylwestra”, odkryty w porę i udaremniony. Przypominał on pod adresem Niemiec, że jeśli pragną mieć sojusznika popierającego ich dążenia nad Dunajem to Moskwa jest do tego gotowa. Na zachodzie akcja Kominternu przybrała znacznie szersze rozmiary, przede wszystkim w postaci paryskich strejków, które w zamierzeniach swych sięgały podobno próby sił między republiką burżuazyjną, a dyktaturą proletariatu. Opanowanie tego niebezpieczeństwa pochłonęło sporo czasu i wysiłku rządowi Chaumemps. Całe zaś morze krwi pochłonęła wielo-

tygodniowa, jeszcze nie ukończona, prowadzona w strasznych warunkach przy 12 stopniowym niekiedy mrozie, bitwa o Teruel w Hiszpanii. Ten punkt strategiczny stanowił wysuniętą pozycję powstańczą między Walencją a Barceloną. Z niego powinna była wyjść ofensywa powstańcza w kierunku niedalekiego już morza, która gdyby się powiodła, rozstrzygnęłaby wojnę na korzyść gen. Franco. Uprowadzając to niebezpieczeństwo i pragnąc wziąć odwet za zdobycie Asturii — czerwoni, znienacka, w 100 tysięcy wojska uderzyli na miasto, przejściowo je zdobyli, potem częściowo znów utracili i obecnie toczą się tam przewlekłe walki pozycyjne w stylu madryckim. Jest rzeczą jasną, że czerwoni nigdy by się na tak gwałtowny wysiłek nie zdobyli, gdyby nie otrzymali nowych transportów materiału wojennego z Bolszewii. Gdyby się Moskwie ta niespodzianka hiszpańska była powiodła i znów zakwestionowała przewagę powstańczą na rzecz czerwonych, to załagodzona do pewnego czasu rozterka europejska z powodu Hiszpanii mogłaby wybuchnąć z nową siłą, pogrzebać odprężenie i politykę pacyfikacyjną. Oczywiście dyktatura proletariatu w Paryżu bardzo by harmonizowała i mogła pomóc do opanowania Hiszpanii przez tamtejszą wojującą komunę. Te wszystkie wysiłki spełzły jednak na niczym. Moskwa znajduje się w ofensywie wprowadzić jeszcze czynnej, ale nie bardzo skutecznej.

Żywe zainteresowanie nową fazą „osi” rzymsko-berlińskiej okazał także Londyn. Na wieść o zbliżaniu się Italii do Małej Ententy, oraz włoskich aspiracjach do udziału w gospodarczych dobrodziejstwach pacyfikacji, część opinii angielskiej zareagowała odruchem w kierunku poparcia ekspansji Niemiec na Austrię i Czechosłowację. Ekspansja taka zmierzałaby do trwałego zaszczenia Italii przez hitleryzm. Później jednak przeważała koncepcja wszechstronniej przemyślana, bardziej licząca się ze stanowiskiem Francji. Dotychczasowy podsekretarz stanu w *Foreign Office*, p. Vansittart otrzymał misję nawiązania układów z Włochami. Premier zaś Chamberlain wystąpił z planem, dotąd dość dyskretnie jeszcze traktowanym, który mocno przypomina pakt czterech z r. 1933. Anglia życzyłaby sobie „dyktatoriatu” europejskiego złożonego z niej samej oraz Francji, Włoch i Niemiec. Tej formacji politycznej miałoby towarzyszyć przeciwdziałanie autarchii, ożywienie międzynarodowej współpracy gospodarczej, rozwiązanie kwestii surowcowej, kolonialnej, oraz zawieszenie zbrojeń, poza już będącymi w toku, co by wyszło wybitnie na korzyść Anglii, a na niekorzyść Niemiec i Włoch.

Niejasno przedstawia się w tym planie rzecz najważniejsza, mianowicie losy środkowego wschodu Europy. Gdyby pakt zmierzał, podobnie jak w r. 1933, do wasalizacji państw naddunajskich i Polski wobec Niemiec i Włoch, to nie miałby żadnych widoków realizacji z powodu nieuniknionego oporu zarówno państw środ-

kowo wschodnich jak Francji. Wolno przypuszczać, że się ten projekt zbliża raczej do później przez Italię wysuwanej koncepcji „paktu pięciu”, włączającego Polskę; chociaż i wtedy jeszcze byłaby dla nas ta koncepcja wadliwa i niedostateczna. Jedyną żywotną postacią solidaryzacji Europy mógłby być jedynie blok pan-europejski obejmujący również cały środkowy Wschód naddunajski i bałkański. Gdyby do takiego bloku wchodziła Rosja Sowiecka, to byłby on równoznaczny z Paneuropą Brianda z r. 1930. Gdyby zaś Rosja została zeń wyłączona to byłby to blok przeciw-sowiecki odpowiadający w zasadzie dążeniom hitlerowskim. Nie mógłby im odpowiadać tylko od strony środkowego Wschodu, ponieważ nie przewidywałby jego wasalizacji, lecz konsolidację. O nią właśnie toczyć się będzie w najbliższym czasie gorąca walka z Niemcami, w której Włochy ofiarują swą przeciw nim pomoc, o ile oczywiście same zostaną dostatecznie za to wynagrodzone.

Ze strony mocarstw zachodnich przedsiębrane były ożywione narady ministrów angielskich i francuskich z b. premierem belgijskim van Zeelandem, dotyczące w pierwszym rzędzie zagadnienia gospodarczego *modus vivendi* dla Niemiec. Niezpodstawnie mocarstwa zachodnie poczytują to zagadnienie jako kluczowe. Gdyby się udało rozwiązać je i zapewnić Niemcom byt ekonomiczny na najbliższe lata, to łatwiej byłoby skłonić ich do ograniczenia aspiracji politycznych. W szczególności pragnęłyby mocarstwa zachodnie uniknąć konieczności zaspokojenia roszczeń kolonialnych Hitlera w takiej okazałej postaci jaką im kanclerz niemiecki nadał wobec lorda Halifaxa: Kamerun, Kongo, Angola. Specjalnie Kongo interesuje Belgię i dlatego van Zeland krząta się tak żywo koło kompromisu gospodarczego z Niemcami. W chwili gdy piszę, wysunięty został w tym względzie ciekawy projekt. Oto mocarstwa zachodnie miałyby przyznać Niemcom i Włochom wielki kredyt w złocie, który tym państwom posłużyłby jako podkład dla ich waluty i pozwoliłby im ją zdewaluować dla celów handlowych, bez obawy paniki. Dewaluacja miałaby na celu potaniecie cen eksportowych niemieckich i włoskich, niezawodnie w tym celu, ażeby towar niemiecki i włoski mógł w większych niż dotąd ilościach wchodzić na rynek światowy lub nawet na własne rynki mocarstw zachodnich. Wtedy Niemcy i Włochy mogłyby w zrównoważonym obrocie handlowym sprowadzać większe ilości surowców od mocarstw zachodnich oraz z ich kolonij. Pomysł ten wydaje się być doraźnie celowym, a w połączeniu z dawniej deklarowaną gotowością Francji dopuszczenia także obcej emigracji do francuskich kolonij, przedstawia ciekawą próbę kompromisu między koniecznościami ekspansywnymi Europy środkowej, a zachowaniem przez mocarstwa zachodnie ich imperiów zamorskich. Jest to jednak kom-

promis mało zaszczytny dla ambicji narodowej faszystów, mogący przy tym wykazać znaczne trudności w realizacji praktycznej. W dalszej perspektywie musiałyby się ujawnić jego sztuczność, opierająca byt Niemiec na koloniach i dobrej woli Zachodu. Nie wydaje się możliwym zasadnicze rozwiązanie kwestii bytu ekonomicznego i handlowego Niemiec za pomocą tak prostego środka jak sama tylko intensyfikacja handlu międzynarodowego. Aż dziw bierze, że go już dawno nie wprowadzono w czyn, że trzeba było aż tak wielkiej presji jak groza bezpośredniego wybuchu wojny powszechnej, ażeby myśl w tym kierunku poruszyć.

Może przyczynę tej oporności stanowiły komplikacje jakie wyniknąć mogą przy wzmożonym obrocie gospodarczym Niemiec z mocarstwami zachodnimi względnie na rynkach konkurencyjnych. Jeśli bowiem Niemcy zaczną sprowadzać większe niż dotąd ilości, powiedzmy kauczuku z belgijskiego Konga lub holenderskiej Sumatry, opłacając je wzmożonym wywozem fabrykatów do Belgii i Holandii, do ich kolonij, lub na rynki konkurencyjne, to jednak nie wydaje się pewnym, czy eksport niemiecki nie stanie się uciążliwą, trudną do zrównoważenia konkurencją dla zachodniej produkcji. Prawdopodobnie rozrost obrotów handlu międzynarodowego nie usunie konieczności ograniczania i kontyngentowania tak produkcji jak pracy.

Może też nie bez związku z tą ewentualnością prezydent Roosevelt w swym tegorocznym orędziu do kongresu, obok kwestii pokoju, wojny i zbrojeń wysunął także sprawę społeczną. Zapowiedział walkę rządu z potęgą finansową banków i trustów ciążącą na całokształcie kontrolowanego przez wielki kapitał życia gospodarczego. Wezwał kongres do uchwalenia ustaw analogicznych do „kodeksów pracy”, którymi operował w pierwszym okresie swej walki z kryzysem gospodarczym. Ustawy te miałyby określić *minimum* płac robotniczych, skrócenie czasu pracy i ograniczenie wytwórczości rolnej. Wiadomo że ustawy tego rodzaju niedawno zostały wprowadzone we Francji przez rząd Bluma. Skutki okazały się ekonomicznie złe i spowodowały ostrą reakcję ze strony radykałów opartych o drobnomieszczaństwo i drobny kapitał. Wiele zatem przemawia, że francuskie niepowodzenie w tej mierze zostało spowodowane z jednej strony przez zbyt płytki zasięg samej reformy, z drugiej zaś przez namietności polityczne podżegane z zewnątrz. W każdym razie świąteczne strejki w Paryżu zmusiły rząd Chautempsa do podjęcia nowej próby pacyfikacyjnej, tym razem nazwanej w stylu Roosevelta „kodeksem pokoju społecznego”. Premier ogłosił wezwanie do pracodawców i pracobiorców, ażeby pod egidą rządu rozpoczęli wspólne obrady nad uregulowaniem wzajemnego stosunku, których wynik następnie rząd przedstawiłby parlamentowi celem nadania mu mocy prawa. Zdaje się, że ta inicjatywa chybi celu, gdyż jest bardziej powierzchowna od rooseveltowskiej.

Inicjatywa zaś rooseveltowska jeżeli rozwinie się w poważniejszą kampanię na rzecz reformy społecznej będzie też musiała sięgnąć dalej niżli obecnie zamierza.

Na ogół otrzymuje się wrażenie, że równolegle z międzynarodową akcją na rzecz pacyfikacji i odbudowy współpracy gospodarczej, będzie musiała być prowadzona wewnętrzna akcja przebudowy społecznej. Inna rzecz, że o ile chodzi o Francję, to tamtejsza opinia jest silniej niż gdziekolwiek skłócona nie tylko w kwestii społecznej, ale niemniej także i ustrojowo-politycznej. Zagadkowy spisak zbrojny „kagulardów” podobno monarchistyczny, z drugiej zaś strony knowania i zamieszki komunistyczne nie ułatwiają obiektywnej akcji reformatorskiej. W chwili gdy piszę nadchodzi wiadomość, że akcji tej nie będzie już prowadził gabinet Chautempsa. Zachwiał się kurs franka z powodu niepokoju społeczno-politycznego, nastąpiła scysja w parlamencie między premierem a komunistami, w następstwie której socjaliści ustąpili z rządu, który się podał do dymisji. Wewnętrzna sytuacja Francji, nieustające kolizje między klasą robotniczą opanowaną przez marksistów, oraz broniącymi kapitalizmu radykałami wskazują, że czas najwyższy nadchodzi na realizację tych pacyfikacyjno-gospodarczych projektów międzynarodowych o których była mowa wyżej. Inaczej mogą przyjść one za późno.

W tej porze roku stan polityki międzynarodowej widziany z pozycji polskiej znajduje z reguły urzędowe oświecenie wobec odnośnej komisji parlamentarnej ze strony p. ministra spr. zagr. *Exposé* styczniowe nie odbiegało od poprzednich sposobem ujęcia. Referowało wyłącznie powierzchwnie faktów, unikając interpretacji bardziej istotnej, która w ustach p. ministra mogłaby łatwo oddziaływać „niedyplomatycznie”, zwłaszcza wobec zagranicy. Mimo to słuchacze nie mogli uskarżać się, ażeby *exposé* nie było zajmujące, samo bowiem życie dostarczyło im ważnego materiału. Najwięcej uwagi poświęcił p. minister kryzysowi pacyfistycznych metod polityki międzynarodowej oraz samej Ligi Narodów. Silnie wyodrębnił wobec nich pozycję Polski, uniezależniając nasze podstawowe traktaty polityczne nie tylko z Niemcami i Rosją lecz także z Francją i Rumunią od Ligi. Zapowiedział konieczność jej reorganizacji oraz ciąg dalszy polskich w tym kierunku zabiegów. Wobec projektów międzynarodowej odbudowy gospodarczej podniósł z naciskiem konieczność uregulowania sprawy surowców oraz terenów emigracyjnych, w których zainteresowana jest również Polska. Zaznaczył, że polskie rozmowy z Francją na temat Madagaskaru są już bardzo posunięte, że może jeszcze w bieżącej sesji parlamentarnej będzie mógł donieść coś konkretnego o ich wyniku. Wobec nowych dążeń naddunajskich oświadczył p. minister, że z polskiego stanowiska życzyć sobie należy, ażeby stosunek Francji i Włoch w tej części Europy ułożył się ponownie

według zasad jakie zostały przez te mocarstwa przyjęte podczas odwiedzin ówczesnego premiera francuskiego Lavała w Rzymie, w styczniu 1935 r. Zauważmy nawiasowo, że ta umowa dawała ze strony Francji placet Włochom na akcję wobec Abisynii, wzajemian za solidarną francusko-włoską obronę Austrii przed Niemcami. Wobec powstającego widma paktu czterech na zachodzie podniósł p. minister odpowiednie zastrzeżenie, wyrażając nadzieję, że ten instrument dyplomatyczny, o ile by doszedł do skutku, uwzględni w należytej mierze interesy polskie.

Idąc naprzeciw nastrojom opinii mówił p. minister o traktacie mniejszościowym z Niemcami i o Gdańsku. Ta część *exposé* nosiła charakter dosyć głośnieznego uspokojenia opinii, mimo iż powoływała się na najświeższe z Niemcami i Gdańskiem umowy. Nie o umowy bowiem chodzi, lecz o rzeczywiste zagrożenie polityczne ze strony Niemiec. Zagrożenie to wszakże, na tle obecnej sytuacji, raczej się nieco zmiejszyło. W sprawie realizacji ustępstw przyrzeczonych mniejszości polskiej przez rząd czeski p. minister zajął stanowisko krytyczne. Zastrzegł dla mniejszości polskiej pewnego rodzaju „klauzulę najwyższego uprzywilejowania” na wypadek gdyby rząd czeski chciał przyznać jakieś innej mniejszości narodowej prawa większe niżli Polakom. Ostrzegł również p. minister rząd czeski, że jego upór przy polityce nieżyczliwej dla Polaków zmusza Polskę do „bardzo daleko sięgającej rezerwy politycznej” wobec Czechosłowacji. Ten ustęp mowy p. ministra oznacza silny nacisk na Pragę, która pragnęłaby dojść do porozumienia ze swymi mniejszościami narodowymi, niemiecką i węgierską, jakoteż z rządami w Berlinie i Budapeszcie. Pewnej aktualności dodaje temu naciskowi także oczekiwane spotkanie węgierskiego regenta z praskim premierem na lutowym polowaniu w Białowieży. O Litwie p. minister wspomniął również przy okazji mniejszościowej, a wspomniął ujemnie. Skądinąd zaś wiadomo, że Litwa miałaby chęć spróbować odprężenia z Polską, ażeby zbliżyć się do naszego „systemu bariery” między Niemcami a Rosją. Litwa obawia się ażeby ewentualny blok przeciwsowiecki w Europie nie wywołał najazdu niemieckiego na Litwę „po drodze” do Moskwy. Przyjazne stosunki p. min. Becka z państwami nadbałtyckimi mogą w Litwie budzić nadzieję na przeciwniemieckie przy mierze obronne z Polską. Zdaje się jednak, że te nadzieje zawodzą, albowiem jedyny szlak jakim by Polska mogła ewentualnie dopuścić niemiecką wyprawę na Moskwę, prowadzi właśnie przez Bałtyk i jego wschodnie pobrzeże. Przeciwdziałać się zasadniczo i absolutnie temu kierunkowi niemieckiej ekspansji byłoby ze strony Polski zadaleko posuniętą i nieprzeczną obroną Bolszewii.

Wspominałem na początku tego sprawozdania o zmiennych falach odprężeń i naprężeń jakie się co parę tygodni przesuwają od listopada, ponad już nieco ustaloną ogólną skłonnością do

pacyfikacji Europy. Miesiąc dyplomatyczny, z którego tu zdawałem sprawę, kształtował się pod znakiem odprężenia, które nadeszło z Dalekiego Wschodu po ostrym naprężeniu spowodowanym przez zdobycie Nankinu. W chwili, gdy moje uwagi kończę z nad Pacyfiku znów słychać głuchy podziemny grzmot, budzący obawę, czy tamtejsze wulkany nie zaczną ponownie dymić.

W Tokio wazą się decyzje co do Kantonu. Na razie zbombardowano go, zwłaszcza urządzenia komunikacyjne, potężnym atakiem wielkiej floty powietrznej. Na porządku dziennym wewnętrznej polityki japońskiej znajduje się sprawa zastąpienia gabinetu księcia Konoye przez gabinet admirała Suetsugu, który się wypowiedział wojowniczo pod adresem Anglii w wywiadzie prasowym. Pisze się o uroczystej konferencji cesarskiej i wypowiedzeniu wojny Chinom, jeśli nie przyjmą warunków pokoju przedstawionych tym razem ultimatywnie.

Niemieckie ambasady w Tokio i przy rządzie chińskim zabiegają podobno usilnie o pokój chińsko-japoński, oczywiście w duchu przewagi Japonii. Świadczyłoby to iż Niemcy pozbawione poparcia Włoch, a coraz silniej naciskane w Europie, obawiają się teraz większego pożaru na Dalekim Wschodzie. W razie bowiem klęski Japonii utraciliby także drugiego sprzymierzeńca spośród „antykomunistycznego” związku mocarstw faszystowskich. W razie zaś silnego zaangażowania Moskwy na Dalekim Wschodzie nie mogliby odpiierać nacisku europejskiego groźbą Rapallo.

Pomruki z nad Oceanu Spokojnego niosą jednak właśnie (co prawda za pośrednictwem londyńskiego Reutera) pogłoskę, jakoby Mongołowie sowieccy już mieli uderzyć na Mongołów japońskich. Ze strony Moskwy krok taki byłby zrozumiały o tyle, że jest ona zdeprymowana niepowodzeniem swej akcji w Hiszpanii i Francji, gdzie pragnęła pokrzyżować pacyfikację Europy. Wymarsz Mongołów przeciw Japonii mógłby więc budzić w Sowietach nadzieję, że sprowokuje powszechny pożar nad Oceanem Spokojnym, po czym przerzuci się on do Europy, zniszczy antysowiecką pacyfikację i ewentualnie postawi Niemcy obok Moskwy. Rachuba niemiecka jest ostrożniejsza rachuba sowiecka odchyła się od niemieckiej, bo wychodzi z założenia bardziej rozpaczliwego. Niesie też w sobie dla Moskwy niebezpieczeństwo, że może Japonię odwrócić od Chin, a całą potęgą zwrócić przeciwko Sowietom. Wtedy również w Europie znalazłyby się one w położeniu krytycznym. I nie tylko one. Także państwa sąsiednie, oraz — europejski pokój.

Na razie stwierdzić należy, że na Dalekim Wschodzie znów zdają się powstawać fale naprężenia.

Andrzej Prawdzic.

Warszawa, 18 stycznia 1938.

Antymasońskie referendum w Szwajcarii.

28 listopada ub. roku świat cały z wielkim zainteresowaniem wyczekiwał wiadomości ze Szwajcarii w sprawie tzw. antymasońskiego referendum. Rzecz przedstawiała się następująco. Przed paru laty wystąpiła *l'Action Helvétique* z inicjatywą, domagającą się od rządu rozwiązania łóż masońskich. Szwajcaria bowiem, jak wiadomo, jest jedynym krajem, w którym ludności przysługuje prawo inicjatywy. Według brzmienia ustawy wystarczy 50 tysięcy zebranych podpisów, by wszelkie dezyderaty polityczne mogły być poddane pod głosowanie ludowe i w razie powodzenia uzyskać moc prawną, co pociąga za sobą zmianę odnośnych paragrafów Konstytucji.

Otóż zgłoszona w roku 1934 inicjatywa antymasońska otrzymała nawet nadwyżkę ilości głosów przepisanej prawem, bo aż 56 tysięcy. Wpływ jednak łóż okazał się tak potężny, że władze, rzecz niebywała, przystąpiły do sprawdzenia autentyczności podpisów. Każdy zwolennik inicjatywy musiał się wylegitymować i raz jeszcze potwierdzić swą wolę. Ta żmudna robota zajęła dużo czasu, ale nie zmieniła stanu rzeczy. Choć z opóźnieniem inicjatywa musiała wejść na porządek dzienny obrad Rady Związkowej i związkowego parlamentu. I w jednej i w drugiej instancji inicjatywa spotkała się ze stanowiskiem negatywnym. Rada Związkowa, złożona z siedmiu członków — dwóch katolików, pp. Motty i Etter, czterech radykałów i jednego agrariusza — jednomyślnie doradzała ludowi w specjalnym orędziu, by postulat ten odrzucił. Podobnie zachował się i parlament; prawie jednomyślnie (oprócz dwóch głosów) wypowiedział się przeciw inicjatywie. Wreszcie i w Radzie Stanów (*Conseil des États*) ani jeden głos nie poparł inicjatywy przy bardzo licznym wstrzymaniu się od głosowania. Słowem antymasońskie referendum zostało przez Szwajcarię prawie jednomyślnie odrzucone. Wyobrażamy sobie zdumienie czytelnika. Gdzież się podzieli w Szwajcarii katolicy? Czy i oni głosowali za masonerią?

Pytanie to stawiano już z różnych stron. I bez znajomości szwajcarskich stosunków nie podobna wytłumaczyć sobie tego osobliwego zjawiska.

Katolicy szwajcarscy — rzecz zrozumiała — oczekiwali w tej dość drażliwej sprawie dyrektywy episkopatu. I gdyby szwajcarscy biskupi oświadczyli, że należy skorzystać z okazji i położyć kres legalnemu istnieniu masonerii, powodzenie inicjatywy z góry byłoby przesądzone. Akcja Katolicka jest w Szwajcarii doskonale zorganizowana, więc głos pasterzy znalazłby tu skuteczny posłuch.

I rzeczywiście episkopat wypowiedział się oficjalnie i stanowisko swe wobec zgłoszonej inicjatywy podał do wiadomości publicznej w osobnej deklaracji. Przytaczamy ją w dosłownym tłumaczeniu:

I. Kościół katolicki przez głosy swych papieży sprecyzował wyrażnie swe stanowisko wobec międzynarodowej masonerii, zakazując kategorycznie swym wiernym należenia do organizacji masońskich.

II. Biskupi szwajcarscy, wierni raz powziętej przez się linii postępowania, uważają za swój obowiązek trzymać się zdala od wszelkiej walki o charakterze wybitnie politycznym. Obecna inicjatywa, zarówno ze względu na osoby, które ją wysunęły, a które nie należą do Kościoła katolickiego, jak również z powodu reakcji, jaką już zdołała ona wywołać, jest czysto politycznej natury. Dlatego też biskupi szwajcarscy uważają za wskazane powstrzymać się od wszelkiej interwencji w tej sprawie.

Rzecz zrozumiała, że ta deklaracja szwajcarskiego episkopatu wprawiła w niemały kłopot zwolenników i autorów inicjatywy. Liczyli oni bowiem przede wszystkim na poparcie ksiąząt Kościoła. Jakież więc powody skłoniły szwajcarski episkopat do zajęcia właśnie takiego stanowiska?

Trzeba przede wszystkim pamiętać, że katolicy stanowią w kraju mniejszość, wystawioną do niedawna w niektórych kantonach na bardzo ostry *Kulturkampf*, zresztą i po dziś dzień nie doczekali się zupełnego równouprawnienia (zakony np. — za wyjątkiem oo. Kapucynów — są tylko tolerowane, a Towarzystwo Jezusowe skazane na banicję). Nic więc dziwnego, że w takich warunkach katolikom szwajcarskim zależy przede wszystkim na tym, by przez przyjęcie antymasońskiej inicjatywy nie obostrzono jednocześnie 56 paragrafu Konstytucji, gwarantującego swobodę prywatnych zrzeszeń. Z tego też powodu biskupi szwajcarscy nie życzyli sobie, by zostali wciągnięci do antymasońskiej rozgrywki, która mogłaby się źle skończyć nawet w razie zwycięstwa. Przypomnieli więc tylko stanowisko Rzymu oraz zwrócili uwagę, że sprawa ma wybitnie polityczny posmak. Ten drugi punkt deklaracji został zrozumiany jako zostawienie wiernym swobody, jaka przysługuje im w sprawach politycznych, z czego też nie omieszkali skorzystać katolicy. W szeregach katolickich nastąpiło rozdzielenie. Zjazd partii konserwatywnej (nazwa katolickiej partii w Szwajcarii) w Lucernie, zwołany na dwa tygodnie przed głosowaniem, pozostawił swym członkom wolną rękę. Genewscy chadecy wypowiedzieli się za zniesieniem masonerii. Podobnie katolicki kanton Fryburg. Przeciw zaś głosowały kantony Szwajcarii niemieckiej oraz katolicki Tessyn. Za przykładem konserwatystów również partia liberalna pozostawiła swym członkom zupełną swobodę. Przeciw inicjatywie opowiedzieli się radykali, z których rekrutują się przeważnie loże masońskie, agrariusze i socjaliści. Rzecz zrozumiała, że w takich okolicznościach nie mogło być mowy o zwycięstwie. W obronie inicjatywy wystąpili zdecydowanie tylko nacjonaliści, energiczni i bardzo ruchliwi, ale nieliczni. Stosunek liczbowy przedstawiał się następująco: inicjatywę odrzucono 514,539 głosami przeciw 233,491. Na 18 kantonów i 6 pół-kantonów jeden tylko kanton (Fryburg) opowiedział się za inicjatywą (9092 głosami przeciw 8047).

W końcu do klęski inicjatywy przyczyni łoś z pewnością jej niezręczne sformułowanie prawnicze. Artykuł 56 Konstytucji, dla którego projektowała inicjatywa poprawkę, brzmi tak:

Obywatele mają prawo zakładać stowarzyszenia pod warunkiem, że cel i środki, którymi się posługują, nie zawierają nic niedozwolonego lub szkodliwego dla państwa.

Otóż poprawka tak została sformułowana:

Jednak stowarzyszenia masonskie i Old Fellows, stowarzyszenia filantropijne „Unia” i im podobne (*similaires*) są w Szwajcarii wzbronione.

Każdy przyzna, że ujęcie to nie należało do formuł szczególnych. I dlatego Szwajcarzy, którzy w paru kantonach rozwiązywali partie komunistyczne jako niebezpieczne dla państwa, nie chcieli ograniczać się wyłącznie do masonerii, jak chciała poprawka. Gdyby autorowie inicjatywy wystąpili z propozycją zniesienia tajnych towarzystw w ogóle, kto wie, czy nie otrzymaliby większości głosów, a tym samym nie odnieśli zwycięstwa.

Ks. Wacław Tworowski.

Genewa, grudzień 1937.

SPROSTOWANIE

W styczniowym numerze PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO w artykule „Kwestia emerytalna w Polsce” napisałem na str. 27, iż równocześnie ze stwarzaniem całej masy młodych emerytów bez zaopatrzenia wprowadzono zaopatrzenia emerytalne dla jednoroocznych premierów i ministrów. Otóż do wspomnianego ustępu wkradła się istotna w swej treści pomyłka, dotycząca uprawnień emerytalnych ministrów, którą niniejszym prostuję.

Art. 2 Ustawy z dn. 13 marca 1934 r. głosi że: „ministrowie, którzy, przed objęciem tego stanowiska pełnili służbę, jako stali funkcjonariusze państwowi... otrzymują, w razie ustąpienia z zajmowanego co najmniej przez rok stanowiska ministra, uposażenie emerytalne, na podstawie niniejszej ustawy, według uposażenia w służbie czynnej, ostatnio pobieranego uposażenia ministrów”, czyli, że uprawnienia emerytalne nie dotyczą ministrów, którzy by nie mieli odpowiedniej ilości (15 względnie 5) lat łącznej służby państwowej. Ustawa z dnia 22 listopada 1935 r. zamienia wymagany rok zajmowania stanowiska, na „dwa lata”.

H. J. Korybut-Woroniecki.

NACZELNY REDAKTOR: KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.

Oddźwięk „Zygzaków” K. H. Rostrowskiego w chrześcijańskiej duszy.

(Z teki pośmiertnej Michała Sobańskiego)¹⁾

W tych *Zygzakach*, jak w załomach podwodnych skał oceanu, są perły nie brzydsze od Cejlońskich, a może od nich rzadsze.

Nie będę podnosił piękności wiersza: *Confiteor*, bo pamiętam bajkę Kryłowa o ośle, chwalącym śpiew słowika. Język mój za ubogi, by mówić o tym wspaniałym Psalmie.

Chcę mówić za to o dwóch drobniejszych utworach, które dla przeciętnego tj. roztargnionego czytelnika, są niemal felietonowym materiałem literackim, ale mnie przepełniły podziwem i szacunkiem dla Autora, bo, mimo lekkości ich formy, mimo rubasznego zacięcia i pozornego komizmu, ile w nich siły, ile mądrej myśli, ile idealizmu przy realizmie, jaki krzepki zespół prawdy i piękna.

Wielostrunną jest poetycka lutnia K. H. Rostrowskiego. Chociaż, jakby od niechcenia, napisze bajkę, nie przestaje być nigdy filozofem, socjologiem, ma rozmach epicki i tę wyższość duchową ponad poziomem dzisiejszych myślicieli i działaczy, że nie jest ani konserwatystą, ani de-

¹⁾ Od jednego z przyjaciół śp. hr. Michała Sobańskiego, pierwszego prezesa Akcji Katolickiej Archidiecezji Warszawskiej, otrzymaliśmy garść uwag, skreślonych przez tego wielkiego szermierza Chrystusowej Prawdy pod wrażeniem przeczytanego zbiorku drobnych wierszy K. H. Rostrowskiego pt. *Zygzaki*. Uwagi te niby „głos z zaświata” dorzucamy, za zgodą rodziny śp. hr. S., do hołdów składanych obecnie wielkiemu naszemu zmarłemu Poecie jako skromny, ale pełen wyrazu przyczynek. (*Przyp. Red.*)

mokratą i tych i tamtych ceni i szanuje, bo jest chrześcijaninem i tych i tamtych zwalczać gotów, bo ponad stronnictwa ukochał prawdę i sprawiedliwość. Ten poeta jest chrześcijaninem, w najszczytniejszym tego słowa znaczeniu — jest katolikiem, który promienieje nie tylko wiarą, ale wielkim bogactwem łask Ducha Świętego.

W bajce o „Krowie i Kubie”, tak wesoło opowiedzianej, tak dowcipnie dostosowanej stylem do prawdopodobnej rozmowy Kuby ze swoją żywicielką, w wierszu, w którego rytmie słychać jakby tętent zadzierzystego oberka, w tym niepozornym figlu rymowanym tkwi nauka tak potrzebna ludzkości od chwili wygnania z raju, a więcej niż kiedykolwiek i więcej, niż gdzie indziej, potrzebna dziś w Polsce, potrzebna Polakom, którzy wciąż zapominają o tym, że „bez pracy — nie ma kolaczy”, którzy chcą żyć coraz wygodniej, a pracować coraz mniej, którzy walczą o wciąż nowe prawa, a nie chcą pamiętać o obowiązkach, o nie przedawnionym wyroku, że w pocie czoła pożywać mamy chleb powszedni, a coś dopiero mleko, śmietanę, masło i ser.

W wierszu „Robociarze” wesołość znika, temat jest zbyt poważny, ale w jego treści jaki genialny zespół formy szorstkiej, jak spracowana ręka robociarza i treści tak nabrzmiałej wzruszeniem, tak odczuwającej ciężką dolę tych wydziedziczonych.

W wierszu tym rwanym, chropowatym, nierównym, coś stęka, coś pręży się i zarazem ugina, coś wysila się i omdlewa. To echo duchowej rozterki i fizycznego wyczerpania robotnika. To zarazem wyraz litości i trwogi poety na widok tego co się dzieje, a na co nieraz patrzy bezsilnie.

Jedni zamiast używać — nadużywają, inni zamiast używać — cierpią głód, zimno i nędzę.

Stół zastawiony złego bogacza i barłóg Łazarza nie przestały smucić oczu Chrystusowych i urągać sprawiedliwości Bożej. Świat jest wielką uczcią Baltazara i dlatego *Mane, Tekel, Fares* coraz wyraźniej błyska na firmamencie lat ostatnich.

„Robociarze” mają bezpretensjonalną formę wiersza okolicznościowego. Ach, jakże też jest on zastosowanym do dzisiejszych warunków życia!

To właśnie, że jest „okolicznościowy” stanowi jego wartość i zasługę. Są w nim wszystkie znamiona talentu, wszystkie szlachetne pierwiastki, które wyczułem w bajce o „Krowie i Kubie”, ale ten bajko-pisarz, ten poeta, ten muzyk, który tak dostrajać umie ton i rytm swojego wiersza do myśli, treści i celu utworu, ten filozof i socjolog, ten chrześcijanin nie pozwala nam zapominać, że jest urodzonym dramaturgiem i ostrym pazurem trąca o ludzkie, tłuszcem obrosłe serca, budzi znieczulone sumienia.

Robociarz nie umie nawet przed sobą samym wyrazić jak ciężą mu znużenie, bezradność i obojętność wybrańców losu na jego cierpienia: „A wy się nawet nie podziwujecie”! Rostworowski na tę wymówkę nie zasłużył.

On podsłuchiwał pomruk proletariusza i sam go powtarza, a w jego natchnionym głosie ten ochrypły, ledwo dosłyszalny monolog mularza, warczy złowrogo, słyszymy w nim jakby pierwszy groźny grzmot przed burzą, jakby daleki trzask zbliżającego się cyklonu.

Nie chce poeta roztkliwiać, budzić litości; realniejsze ma cele. Chce obudzić uśpione uczucia sprawiedliwości i strachu.

Tak! strachu, przed tym dniem sądu na Józafata dolinie, w którym faryzeusze, dziś prawicowi, staną po lewicy.

Dum veneris iudicare saeculum... Ten wiersz o znużonych plecach robotniczego życia, ten wiersz techniczno-budowlany, jest rzeczywiście wierszem duchowo-budującym.

Oby każdy z tych, co „wypuści ster z dłoni, I pełnym żłobom się pokłoni”... oby „górne sfery” społeczne usłyszały i zrozumiały ten głos, który do nich odczytywał się z wyżyn Polskiego Parnasu, bo póki z góry przemawia, jest on dobroczynną przestrogą. Kiedy przemówi z dołu, będzie nieszczęściem i wstydem dla obu stron, bo będzie wtedy nową zbrodnią, przychodzącą karać zbrodnie stare...

Michał Sobański.

Przemiany nowoczesnego państwa.

*Nie ma żadnych spiżowych praw
gospodarczych! Spiżowe są tylko prawa
ludzkiego sumienia.*

Artur Górski: „Niepokój naszego czasu“.

Pisanie o ustroju politycznym jest dziś znacznie trudniejsze niż było przed kilkudziesięciu laty. Zatarły się bowiem granice między poszczególnymi dziedzinami życia. Ustrój władz państwowych, ustrój społeczno-gospodarczy, struktura militarna, organizacja sił społecznych — wszystko to zazębia się coraz ściślej, utrudniając wyodrębnienie poszczególnych zagadnień. Toteż ludzie nie lubiący zbyt wielkiego wysiłku myślowego wolą, zamiast wyodrębniać zagadnienia, posługiwać się ogólnikowymi etykietkami, które mają określać ogół zjawisk życia społecznego, a w gruncie rzeczy nie określają nic. Wydaje mi się rzeczą słusniejszą zamiast poszukiwania nazw dla tworzących się kształtów rzeczywistości, poszukać rzeczy samej w zamięcie sprzecznych zjawisk.

I.

Badacze nowszej epoki, nawet z obozu socjalistycznego, obalili bez trudu naiwną wiarę Marxa, że ustrój polityczny jest tylko nadbudową form gospodarczych. Przywrócono wolnej woli ludzkiej i świadomemu dążeniu wybitnych jednostek należne im miejsce w kształtowaniu ustroju politycznego. Wiemy jednak wszyscy dobrze, że ta wola obraca się w pewnych granicach, których nie może przekroczyć pod

grozą upadku a przynajmniej wielkiego osłabienia państwa, że życie stwarza dla niej pewne określone ramy w psychice ludzkiej i w warunkach materialnych. Idzie o to, aby ustalić, co stwarza owe ramy.

Otóż obserwując przemiany, jakim ulega struktura społeczno-polityczna państw, zauważyć można trzy czynniki wpływające decydująco na charakter ustroju.

Zacznijmy od tego, o którym najmniej dotąd mówiła nauka, a który w naszych czasach uwydatnia się szczególnie jaskrawo. Jest nim — sposób prowadzenia wojny. Bodaj, że pierwszy Sombart w swym *Krieg und Kapitalismus* wykazał wpływ, jaki wywołało przejście od systemu wojowania średniowiecznego do wojny armij zaciężnych, na ustrój gospodarczy i polityczny państw. Istotnie wojna była dotychczas, a nic nie zapowiada, aby w naszych czasach miała przestać być, ostateczną próbą porównawczą siły narodów.

O tej próbie każdy naród pamięta i usiłuje swoje państwo zbudować na takich zasadach, które by tę próbę najlepiej przetrwały. Stąd formy ustrojowe sąsiadów są tak często „zaraźliwe“, jeżeli tylko wydają się stwarzać lepsze warunki do zorganizowania siły zbrojnej narodu. O przykładach pomówimy za chwilę.

Drugim czynnikiem kształtującym ustrój polityczny, jest czynnik społeczny. Nie ulega już dziś wątpliwości, że bez względu na formę ustroju, rządzi de facto zawsze grupa ludzi, większa czy mniejsza, tych, którzy rzeczywiście kształtują życie publiczne. Istotne wszakże różnice zależą od tego, z kogo się ci ludzie rekrutują, inaczej mówiąc, jaka warstwa społeczna poczuwa się do odpowiedzialności za losy państwa, jak szeroki w społeczeństwie jest zasięg uświadomienia politycznego. Pod tym względem społeczeństwa europejskie w ciągu ostatnich stuleci wykazują olbrzymie zmiany.

Wreszcie trzecim, może najistotniejszym i najgłębszym niewątpliwie czynnikiem, są idee dominujące w danej epoce. Przez idee nie rozumiem tu tylko poglądów politycznych, ale cały stosunek człowieka do otaczających go zjawisk, panujące w tym czasie wyobrażenia o Bogu, świe-

cie, człowieku i stosunkach zachodzących między ludźmi. Jest to słowem cały zespół pojęć natury przede wszystkim moralnej.

II.

Ustrój feodalny pod względem wojskowym opierał się na rycerzu, który sam zdobywał sobie zaopatrzenie wojenne i środki żywności. Przy ówczesnych środkach walki był to system najsprawniejszy. O wartości walczącego decydowała jego siła osobista i waleczność, oraz dopasowany indywidualnie a bardzo kosztowny rynsztunek.

Lepiej było takiemu rycerzowi dać uposażenie w naturze (ziemi i ludziach), niż starać się dla niego o środki do odpowiedniego życia. Stąd warstwą broniącą państwa i jedyną warstwą uświadomioną politycznie, poczuwającą się do odpowiedzialności za całość państwa, było rycerstwo ziemskie.

Dominującą ideą był prymitywny spirytualizm. Prymitywność jego polegała na słabej znajomości świata i niedostatecznym rozróżnianiu rzeczy przyrodzonych od nadprzyrodzonych. Przejawem spirytualizmu w ustroju politycznym był osobisty stosunek zwierzchnika do powładnego i panowanie w prawie zasady przywileju. Idea liczenia głosów lub prawa publicznego była temu ustrojowi całkowicie obca.

Przejęcie od ustroju feodalnego do nowoczesnego (demokracja parlamentarna) było długotrwałe, a spowodowała je zmiana owych trzech zasadniczych czynników, o których mówiliśmy wyżej. System wojowania zmienił się naprzód gruntownie. Zamiast ekwipujących się samodzielnie rycerzy zjawiły się masy żołnierzy, albo zespołowo obsługujące działa, albo tworzące wielkie kolumny piechoty. Żołnierze ci byli ubrani na koszt władcy i on dostarczał im jednolitej broni i ciągle zużywającej się amunicji. Państwa, które chciały sprostać pod względem siły militarnej tym nowoczesnym armiom, musiały same przejmować ich strukturę. Władca zaś takiej armii nie potrzebował już dzielnych i wiernych lenników, ale wielkiej ilości pieniędzy na armię zaciężną. Stąd od razu trzy skutki: upadek znaczenia rycerstwa jako jedynej warstwy politycznej, wzrost znaczenia zasobnej w go-

tówkę warstwy mieszczańskiej i niepomierne zwiększenie władzy królewskiej, jako jedyne go czynnika dysponującego nowoczesną siłą wojskową.

Było co prawda państwo w Europie, którego rycerstwo tak dalece dbało o swe przywileje, że nie dopuściło, by królowie stworzyli potężną armię zaciężną nowoczesną. Zdecydowano za wszelką cenę pozostać przy dawnym systemie pospolitego ruszenia. W rezultacie nie wzmocniła się władza królów, lecz także stan mieszczański nie stał się współodpowiedzialny za losy państwa, nie wszedł w obręb, jeżeli tak można to nazwać, narodu politycznego. Jakie były skutki zachowania przestarzałej struktury wojskowej, społecznej i politycznej w owym państwie i jakie to było państwo, tego mówić chyba już nie potrzeba.

Ewolucja jednak nie zakończyła się na absolutyzmie. Miasta, których znaczenie wskutek rozwoju handlu międzynarodowego po odkryciu nowych lądów, a także rozwoju gospodarki pieniężnej i dworów monarszych oraz biurokracji (por. Sombart: *Luxus u. Kapitalismus*) wzrastało coraz bardziej, zaczęły wywierać wpływ co najmniej równy wpływowi szlachty. Mieszczanie dochodząc do głosu, narzucali państwu ustrój, jaki wytworzył się w miastach w ciągu średniowiecza: ustrój oparty na pozornej równości i wolności (*Stadtluft macht frei*), a w rzeczywistości na hierarchii pieniądza (patrycjat, kupcy i rzemieślnicy, pospólstwo). W ustroju tym wykształciła się także zasada decydowania przez głosowanie i obioru rządców miasta, o co zresztą mieszczenie toczyli długie walki z panującymi.

Ten ustrój wysunięto jako ideał i w ciągu wieku XIX znalazł on zastosowanie we wszystkich niemal krajach europejskich, wprowadzony przeważnie w drodze rewolucyjnej. Nie byłby się on prawdopodobnie tak rozpowszechnił, gdyby pierwsze państwo demokratyczno-parlamentarne — Francja rewolucyjna — nie dokonała przewrotu w dziedzinie wojskowej, wprowadzając powszechną służbę wojskową. Kto chciał sprostać Francji z czasów dyktatoratu, konsulat, czy cesarstwa, musiał przejść na system powszechnej służby wojskowej. Między powszechną służbą wojskową a powszechnymi wyborami istnieje zrozumiała zależność.

Naszkieowane tu przemiany są zrozumiałe tylko na tle zasadniczej zmiany postawy ideowej człowieka. Miejsce prymitywnego spirytualizmu zajął już w początkach epoki nowożytnej materialistyczny naturalizm. Wydał on imponujące owoce w technice, a upokarzające w dziedzinie dyscypliny moralnej człowieka. Stał się źródłem masowości i egalitaryzmu, kapitalizmu i absolutyzmu, zarówno królów jak potem parlamentów.

Polska nie miała mieszczaństwa, nie miała także absolutyzmu. Zachowała ustrój nie tyle oryginalny ile zacofany. — *Liberum veto*, jak udowodnił prof. Konopczyński, spotyka się w średniowieczu w wielu krajach zachodniej Europy, przede wszystkim w Hiszpanii; oryginalność Polski polega tylko na jego hodowaniu o jakieś trzysta lat za długo. Rezultat był zgodny z przepowiedniami Piotra Skargi, którego kazanie o monarchii nie mogło być ogłoszone drukiem, jako przeciwnie wolności.

III.

Od czasu wielkiej wojny zmienił się system wojowania. Udział w wojnie biorą nie tylko umundurowani żołnierze, ale zmuszony do tego jest każdy obywatel. Żołnierzem nie jest się przez krótki okres, ani w czasie pobytu na froncie, ale przez całe życie. Armia składa się z przeróżnych nowych elementów: z kadry zawodowych oficerów i podoficerów, z żołnierzy odbywających służbę, z przysposobienia wojskowego, z rezerwy, z przemysłu wojennego, z organizacji całego życia gospodarczego na wypadek wojny. Słowem wojna współczesna wymaga dla swoich celów stałego zorganizowania całego społeczeństwa.

Bezsprzeczną zasługą ustrojów demokratycznych jest włączenie do „narodu politycznego“ wszystkich warstw społecznych. Konsekwencją wzrostu uświadomienia politycznego najszerzych warstw jest rozwój świadomości narodowej i powstanie nowoczesnych narodów w pełnym tego słowa znaczeniu. Podobnie jak w poprzedniej epoce weszła w życie państwa nowa warstwa — mieszczaństwo, tak obecnie wkraczają w to życie nowe warstwy: robotnicze i chłopskie.

Warstwy te nie przeszły przez okres samorządnego życia wielowiekowego, jak mieszczaństwo. Przeciwnie — w ich tradycjach tkwi gromadzkość, masowość i dość swoista karność. Idea liczenia sił przez oddawanie kartek wyborczych jest dla tych warstw w gruncie rzeczy dość obca. Bardziej odpowiada im liczenie się przez ustawienie w szeregu żywej gromady ludzkiej. Toteż cechą współczesnych prądów politycznych, nawet najbardziej wrogich militaryzmowi, jest urządzenie masowych zjazdów i na wpół wojskowa organizacja.

Na szczytach myśli ludzkiej rozpoczął się już wyraźny odwrót od materialistycznego naturalizmu ku nowemu spirytualizmowi. Ale odwrót ten nie przeniknął jeszcze w szerokie doły, nie ogarnął jeszcze ruchów masowych w większości narodów. Nie tylko materialistyczny jest bolszewizm, ale i hitleryzm jest na wskrós naturalistyczny. Nawet faszyzm cały nacisk kładzie na materialny przejaw życia narodu — jego państwo. Toteż obraz świata przedstawia dziś jeszcze wielki ideowy chaos.

Formy ustrojowe idą naprzód szybciej od treści. Kto chce dziś sprostać sile bojowej Niemiec, Rosji, czy Włoch musi wytworzyć podobną zdolność mobilizacyjną i sprawność organizacyjną swego narodu. Jednakże w tych ustrojach nowoczesnych ukryte jest źródło poważnego niebezpieczeństwa dla cywilizacji. Jest ono wpływem materialistycznego spadku i wyraża się w chęci organizowania już nie tylko obywateli, ale i sumień ludzkich. Jest to typowe dla materialistycznego naturalizmu nie wyróżnianie spraw ducha. Zabicie autonomiczności sumienia ludzkiego musi się w świecie cywilizacji chrześcijańskiej zakończyć skarleniem i upadkiem narodu.

IV.

Trzeba umieć rozróżniać rzeczy dziejowo konieczne od rzeczy niepotrzebnych, wytworzonych przez zejście na manowce myśli ludzkiej. Wydaje mi się, że w porządku rozwoju państwa nowoczesnego leży przejście od ustroju reprezentacji narodu (ustrój parlamentarny), jaki dała poprzednia epoka do ustroju organizacji narodu. W tym kierunku pchają i względy ideowe i społeczne i militarne.

Natomiast nie wolno wprowadzać organizacji sumień ludzkich, monopolizowania myśli i moralności przez państwo. Kryterium moralne postępowania człowieka nie może leżeć w żadnej instytucji doczesnej, musi ono znajdować się w jego własnym, w religii Chrystusowej ukształtowanym, sumieniu.

Upowszechnienie się spirytualistycznych zdobyczy najnowszej myśli powinno usunąć szkodliwe tendencje i wpłynąć na zmianę charakteru nowoczesnych ustrojów państwowych.

Dr Wojciech Wasiutyński.

Na lewo zwrot!

Stajnia Augiasza.

Tegoroczna dyskusja budżetowa w sejmie była bardzo ożywiona, a cała w ogóle sesja ciekawa i ważna.

Jako pozytyw unosił się ponad nią „okrągły” miliard przeznaczony przez Rząd na inwestycje i roboty publiczne, z Centralnym Okręgiem Przemysłowym na czele. Ta imponująca, jak na nasze stosunki, kwota została skonstruowana celowo nie tylko pod względem rzeczowym, lecz niemniej również taktycznym. Miliard — to pięknie brzmi i wywiera wrażenie propagandowe. Dla szerokiej opinii zawsze coś z tego wrażenia pozostanie, pomimo, że i w sejmie i w prasie rozanalizowano je i sprowadzono do właściwych rozmiarów. Okazało się, że ta kwota jest tylko pozornie o 200 milionów większa od zeszłorocznej, w rzeczywistości zaś tylko o 30 milionów w zakresie inwestycji cywilnych, oraz 40 w inwestycjach wojskowych. Ponadto włącza miliard tegoroczny, podobnie jak w r. ub. paręset milionów normalnych, zawsze stosowanych inwestycji poszczególnych resortów administracji oraz przedsiębiorstw państwowych. Co do pokrycia, to mniej więcej w połowie opiera się ono na zwyczajnych środkach budżetowych, w połowie zaś, czyli w wysokości około pół miliarda, obciąża rynek kapitałowy wewnętrzny na rzecz państwowego kredytu inwestycyjnego. Pomimo pewnego „upłynnienia” tego rynku, czyli zwiększonego na nim zasobu gotówki, zasób ten pozostaje nadal w tak rażącej dysproporcji do potrzeb obrotu i rozwoju życia gospodarczego, że państwowy kredyt inwestycyjny wchodzi z tymi potrzebami w jawną kolizję. Ponieważ zaś od ożywienia go-

spodarczego zależy siła płatnicza społeczeństwa na rzecz Skarbu, słusznie przeto sprawozdawca komisyjny budżetu inwestycyj stwierdził, że państwo taką procedurą podcina gałąź na której siedzi.

Referenci poszczególnych działów budżetu w komisji sejmowej w ogóle nie szczędzili słów krytyki. Kierowane one były nie tyle przeciwko układowi preliminarza budżetowego, lub celowości poszczególnych wydatków, ile przeciwko krzyżującej niedostateczności zarządzeń w stosunku do potrzeb. Tę stronę zagadnień naświetlano ze szczególnym naciskiem niemal przy wszystkich budżetach resortowych. Raz wraz padały groźne w swej wymowie zestawienia liczbowe. W rozprawie nad planem finansowym ministerstwa przemysłu i handlu sprawozdawca stwierdza, iż ożywienie w przemyśle nosi charakter wybitnie jednostronny. Jego niemal wyłącznym bodźcem jest akcja inwestycyjna państwa wojskowa i cywilna. Wzmogło to produkcję surowcową i w ogóle wytwórczą, z żelazną na czele, lecz równocześnie wskaźnik produkcji przetwórczej, konsumcyjnej spadł. Przemysł średni i drobny oraz rzemiosło pozostały poza nawiasem naszej „koniunktury”. Mimo to nawet w przemyśle surowcowym i wytwórczym nie zdołaliśmy wyrównać wzmózonego tempa, jakie istniało w innych państwach. Tylko w przemyśle żelaznym, chemicznym i papierniczym przekroczyliśmy produkcję z r. 1928. Znaczenie węgla i nafty stale się zmniejsza. Produkcja naftowa wynosiła u nas w 1913 r. 2% produkcji światowej i była przeważnie w rękach polskich, obecnie spadła do 0,25% i przeszła w większości w obce ręce. Wskutek akcji inwestycyjnej oraz wywołanego przez nią częściowego ożywienia w przemyśle wzmógł się obrót handlowy z zagranicą lecz głównie po stronie importu, skutkiem czego bilans handlowy za rok 1937 wykazuje niedobór. Pomimo zresztą zwiększonego handlu z zagranicą także i w tej dziedzinie nie dotrzymujemy jej kroku. W przeliczeniu na głowę mieszkańca, czyli w stosunku obrotów handlu zagranicznego do ludności, Polska stoi w Europie na ostatnim miejscu. Stan ten się pogarsza, dodaje referent; dodać by zaś mógł jeszcze, że mimo całego ubóstwa naszego handlu z zagranicą, tą właśnie drogą głównie nadciągnęła do nas „fala koniunk-

tury", która pozwala nam „odbijać od dna” i stanowi jedyną nadzieję stosowanej obecnie praktyki gospodarczej.

Nie brakło efektownych zestawień także w innych sprawozdaniach działowych komisji budżetowej, lub w dyskusjach jakie na ich podstawie prowadzono. Oto p. min. rolnictwa twierdził jakoby doprowadzenie wydajności gruntów ornych w całej Polsce do poziomu wielkopolskiego wymagało wkładów inwestycyjnych po tysiąc złotych na hektar, co by w sumie równało się 15 miliardom złotych. Liczba tak „astronomicznie” zawrotna, że aż budzi wątpliwości czy nie jest przesadzona.

W sprawozdaniu o budżecie ministerstwa komunikacji stwierdzono, że powódź r. 1934 kosztowała 100 milionów strat. Zmusiło to do zajęcia się sprawami wodnymi, ale plan ułożony wówczas na 4 lata nie był wykonywany nawet przez rok. Niemcy próbowali poruszyć sprawę umiędzynarodowienia Wisły w zamian za regulację tej rzeki przez kapitał obcy, motywując swą dążność tym, że utrzymywanie Wisły przez Polskę w stanie dzikim, zamula dolny, niemiecki bieg tej rzeki. Na regulację dróg wodnych w Polsce należałoby wydawać co najmniej 30 milionów rocznie przez 20 lat, nie licząc budowy wielkich tam. Preliminowano zaś na ten cel niespełna 3 miliony, *plus* projektowany wydatek na budowę tam (Rożnów etc.) w kwocie około 16 milionów. Co do budowy dróg jezdných lądowych to w państwach europejskich obciążenie na głowę ludności na ten cel waha się od 20 do 40 złotych, w Polsce zaś wynosi 4 złote. Według niedawnego Kongresu Drogowego należałoby w Polsce wydawać na drogi 185 milionów rocznie, preliminowano zaś faktycznie, oprócz długu, 27 milionów. W dziale „mechanizacji” komunikacyjnej jest o tyle lepiej, że w ciągu ostatnich dwóch lat prawie wyrównano znaczny ubytek w stanie liczebnym samochodów, jaki miał miejsce w latach kryzysowych. Ale nie trzeba zapominać, iż na Kongresie Drogowym stwierdzono fatalny wpływ złego stanu dróg polskich na samochody. Dzięki niemu zużywają się one znacznie prędzej niż na Zachodzie i bardzo znaczna część ogólnego taboru pojazdów mechanicznych w kraju bywa z reguły popsuta. Wreszcie co do najważniejszego z środków lokomocji tj. dróg żelaznych, to wprowadzie

wzięły one udział w „konjunkturze” w postaci wzmożonych przewozów, skutkiem czego musiano powiększyć personel o 7%, a i dochody wzrosły tak, że je można było preliminować w kwocie około 60 milionów, ale około 100 milionów kosztowały kolej ulgi taryfowe w przewozie towarów dla poparcia życia gospodarczego. Skutkiem zaś długoletnich zaniedbań w odnawianiu taboru należałoby weń inwestować obecnie blisko $\frac{1}{2}$ miliarda złotych, *plus* budowa gospodarczo lub strategicznie nieodzownych 2 tysięcy kilometrów nowych linii, co znów kosztowałoby 400 milionów. Wobec tych prawie miliardowych potrzeb inwestycyjnych samego tylko kolejnictwa, sprawozdawca postawił wniosek, ażeby zwolniono przedsiębiorstwo państwowe P. K. P. od obowiązku wpłaty większej części swych dochodów, czyli 42 milionów do skarbu państwa. „Nie doszukawszy się znamion wielkości” w budżecie komunikacji, oraz ze względu na jej doniosłość nie tylko gospodarczą lecz i wojskową, wnioskodawca zalecał, by Sejm wezwał rząd do opracowania dla następnego budżetu zasadniczego planu rozwoju dróg wodnych, kołowych i żelaznych, oraz ażeby ta dziedzina zajęła pierwsze miejsce w planie inwestycyjnym.

Jedno wreszcie z najbardziej uderzających stwierdzeń padło w dyskusji komisyjnej nad budżetem M. S. Wojsk. Aczkolwiek Polska liczbą ludności niewiele ustępuje Anglii, Francji i Włochom w Europie, obszarem przewyższa Włochy, zarówno zaś ludnością jak obszarem w dwójnasób jest większa od Czechosłowacji, to jednak budżet wojskowy polski wynosi: 11% budżetu Anglii, 12% budżetu Francji, 39% budżetu Włoch i... 82% budżetu Czechosłowacji.

Te i inne jeszcze dane przytoczone podczas dyskusji budżetowej posiadają wymowę bardzo pokrewną garści liczb, którymi starałem się zilustrować stopień zacofania Polski wobec gospodarstw narodowych europejskich w jednym z moich artykułów.¹⁾ Widocznie liczby takie masowo narzucają się uwadze przy rozpatrywaniu niemal wszystkich dziedzin polskiego życia. Jako uzupełnienie sum i cyfr z dyskusji budżetowej ciśnie się pod pióro jeszcze owe 400 mi-

¹⁾ Cfr. *Przegląd Powszechny*, listopad 1937.

lionów złotych, na jakie szacuje swe zaniedbanie techniczno-inwestycyjne kopalnictwo węglowe, oraz najokrutniejsza bodaj potworność polskiej gospodarki narodowej, jaką stanowi zadawniony i dotąd, mimo reglamentacji obrotu z zagranicą stosowany, *dumping*. Od wielu, wielu lat dostarczamy obcym wielkie masy niektórych dóbr, z węglem i cukrem na czele, po cenach znacznie niższych od własnego kosztu produkcji. Krocie milionów strata jakie stąd wynikają, zdzierane są następnie przez odnośne gałęzie przemysłu w wysokich cenach wewnętrznych z wynędzniałego polskiego konsumenta, który płaci np. 1 złoty za kilogram cukru, sprzedawanego w Anglii po 20 parę groszy. Ten nieludzki wyzysk rodzimej polskiej nędzy uprawia się w podwójnym celu: ażeby zdobyć waluty obce na przewóz do kraju surowców i fabrykatów, których sami nie wytwarzamy, oraz, ażeby zapewnić masowy zbyt i stan zatrudnienia w tych dziedzinach przemysłu, których (jak w węglarstwie) zdolność produkcyjna doraźnie przerasta niedorozwinięte potrzeby spożywcze krajowe. Potworność ta stałaby się zbędną dopiero po należytym wzmożeniu i usamodzielnieniu polskiej produkcji, oraz równoległym spotęgowaniu polskiej konsumpcji. Niestety *dumping* temu właśnie przeszkadza, szybka zaś intensyfikacja narodowego gospodarstwa nie da się przeprowadzić dopóki ono jest prowadzone metodami kapitalizmu ale bez kapitałów.

Gospodarstwo polskie przedstawia obraz istnej stajni Augiasza tak straszliwie zabagnionej, iż jej nie sposób na czas uporządkować przez cierpliwe grzebanie łopatą choćby „okrągłego” miliarda złotych rocznie na inwestycje. Czują to, rozumieją i wyzyskują nasi najbliżsi sąsiedzi z zewnątrz i z wewnątrz kordonu granicznego. Niemcy traktują nas od dłuższego czasu z coraz widoczniejszym lekceważeniem, prowokują, gnębią swą polską mniejszość. I odwrotnie swoją niemiecką mniejszość w Polsce poplatają kapitalistycznie, by mogła polskiej nędzy świecić w oczy swoją zamożnością, bronić się nią (majątki dobrze zagospodarowane) przed reformą rolną, oddziaływać agitacyjnie nawet na ludność polską w Wielkopolsce, gdzie żywioł niemiecki występuje coraz czynniej i butniej. Są to objawy o wysokiej groźbie politycz-

nej dla Polski, tym większe, że mają miejsce nie tylko w województwach zachodnich. W Bydgoszczy i w Poznaniu odbywają się zjazdy niemieckie oficjalnie i manifestacyjnie, ale we Lwowie odbywają się również, aczkolwiek na razie jeszcze na pół konspiracyjnie. Rozzuchwaleni Niemcy wielkopolscy podają tam rękę mniej licznym i mniej rozzuchwalonym Niemcom małopolskim, a co gorsza nie tylko Niemcom.

Niespełna przed rokiem policja nasza odkryła i unieszkodliwiła na Wołyniu miejscowy, ukraiński spisek zorganizowany „pod wezwaniem” hetmana Skoropadskiego, z widocznymi zamiarami tak na Małopolskę Wschodnią, jak na Ukrainę sowiecką. Idea spisku szła wyraźnie po tej samej linii co hitlerowskie aspiracje antysowieckie i ukraińskie w duchu traktatu brzeskiego z 1918 r. Spisek ten wyphywał logicznie z polityki niemieckiej i charakteryzował ją dosadnie. Niemniej logiczne i znamienne są dla niej ostatnie wiadomości prasowe o zjeździe niemieckim we Lwowie i kontakcie z irredentą ukraińską na terenie małopolskim. Szczególnie zasługują na uwagę rewelacje o znacznych funduszach z dawna, systematycznie asygnowanych z Berlina na poparcie ukraińskiego ruchu gospodarczego i politycznego w Polsce.

Wygląda to wszystko tak, jakby katastrofalna polska niemoc ekonomiczna wprowadzała kraj na pochyłą równię, po której on się z wolna zsuwa w niemoc polityczną. Niemoc ta manifestuje się na zewnątrz najjaskrawiej w Gdańsku, ale od zewnątrz przenikać poczyną i na wewnątrz państwa. Na polityczny podbój polskiej „nędzy wyjątkowej”, jak ongi tak i dziś w awangardzie przemocy zbrojnej, wyrusza naprzód cudzoziemska przemoc pieniężna. Z Niemiec umacnia ona Niemców w Wielkopolsce, pędzi zatrwożonych kupców poznańskich we wschodnie miasta Rzplitej, pod osłoną hasła polszczenia handlu. Czuje się ta przemoc już dość potężną, by wyciągać macki po Lwów, ogarniać i podsycać antypolskie dążenia Ukraińców (aktualizacja autonomii), zaprzęgać je do gotowania wielkiego szlaku ekspansji niemieckiej na upragnioną Ukrainę. W ślad za potęgą finansową niemiecką również Komintern moskiewski, a nawet maleńka, obłąkana szowinizmem Litwa forpocztami prze-

mocy pieniężnej docierają do Polski z zewnątrz, by ją rozsadzać od wewnątrz.

Wygląda więc to wszystko tak, jakby nasza gospodarcza „stajnia Augiasza“, znalazłszy się na pochyłej, ośliszej od obcego złota równi, poczyniała spadać na polityczny poziom „karczmy zajezdnej“, jaką się Polska stała dla ościennych potęg monetarnych i militarnych w XVIII wieku. Wygląda to tak, jakby ów szczyt prowokacji, jakim było wywabianie młodzieży niemieckiej i polskiej z Wielkopolski do Niemiec ub. lata, stanowił objaw historycznie analogiczny z uprowadzaniem chłopów polskich przez Starego Fryca za panowania Augusta III i Stanisława Augusta.

Konsolidacja i ordynacja.

Świadomość, albo przynajmniej instynktowne odczucie, tego tragicznego stanu rzeczy zaczyna nareszcie się szerzyć w różnych sferach naszego społeczeństwa. Przenika do obozu rządzącego i sejmu, do stronnictw opozycyjnych, nawet częściowo do szerokiego ogółu, do żadnych władzy, ale jeszcze bardziej chleba, „mas demokratycznych“. Świadomość ta poczyną budzić reakcję, na razie chaotyczną i mało celową, lecz coraz bardziej wyraźną. Szerzy się poczucie bezwzględnej niedostateczności środków, używanych przez państwo dla gospodarczego podźwignięcia kraju, w stosunku do zadań, jakie ono stawia i tempa, jakiego wymaga. Poczuciu temu dała wyraz dyskusja budżetowa w oświeceniu gospodarczego stanu kraju, oraz we wnioskach i dezyderatach fragmentarycznych, lecz na tyle radykalnych, iż żadną miarą nie dadzą się uwzględnić w ramach obecnego systemu polityki ekonomicznej państwa.

Inny przejaw wspomnianej reakcji, również jaskrawo uwydatniony podczas ostatniej sesji parlamentarnej, to coraz głębsza linia podziału i coraz ostrzejsza walka o władzę między prawymi, lewymi i centrowymi odłami obozu rządzącego w pierwszym rządzie, a opozycyjnej części społeczeństwa w drugim rządzie. Zwłaszcza o ile chodzi o obóz rządzący, to ostatnia sesja parlamentarna wywołała wrażenie wzrastającego zdenerwowania i naprężenia. Z jego utajonych

źródeł, same „strony walczące” może nie zdają sobie dostatecznie sprawy, ale źródła te niewątpliwie w dużej mierze tkwią w poczuciu niepewności położenia kraju, w coraz trudniejszych zadaniach jakie wyłaniają się przed rządzącymi tym krajem i w coraz oczywistszej dysproporcji używanych przez rząd środków w stosunku do zadań. Ponieważ zaś cała mentalność publiczna tkwi nadal w śmiertelnych kleszczach uczuć i pojęć wyhodowanych przez ginący świat liberalizmu, kapitalizmu, marksizmu, rasizmu, walki klas i walki ras, które żadnych skutecznych rozwiązań tragicznej rzeczywistości wskazać nie są zdolne, przeto nacisk tej rzeczywistości potęguje tylko energie bojowe, oraz ich rozpaczliwe szamotanie się pośród nieugiętych ścian impasu. Pozytywną stroną tego stanu jest, że mimo wszystko towarzyszy mu pewien wzrost świadomości, iż dalej tak długo ciągnąć już się nie da, że więc będzie musiała nastąpić jakaś głębsza zmiana. Zewnętrznie zdaje się popierać tę ewentualność fakt, że prawico-lewicowa linia podziału dosięgła już podobno samych szczytów obozu rządzącego, co znalazło swój wyraz w sejmowym wystąpieniu gen. Żeligowskiego, oraz w sporze o prezesurę sejmowej komisji wojskowej.

Prawico-lewicowy „kordon” nie podzielił jednak obozu rządzącego na dwa odłamy. Panuje i rządzi dotąd odłām trzeci, centrowy, flankują go zaś z dwu stron grupy mniej lub więcej ciężące ku nacjonalizmowi i totalizmowi prawemu albo ku postępowi i demokracji, czy marksizmowi. Rządząca grupa centrowa stoi w obliczu nie tylko tych dwu grup skrzydłowych, lecz także w obliczu opozycji społeczeństwa, oraz co najważniejsza, w obliczu całokształtu chmurnej i groźnej rzeczywistości polskiej. Ta grupa prowadzi czyn państwowy. Prowadzi go od roku pod hasłem konsolidacji obozu rządzącego ze społeczeństwem na zasadzie programu umiarkowanego liberalizmu gospodarczego i politycznego, oraz umiarkowanego nacjonalizmu.

Dotychczasowy wynik tego czynu okazał się, mimo poprawy gospodarczej, równie niedostateczny, jak ona. Próby zbliżenia ze społeczeństwem od strony prawej nie zostały uwieńczone powodzeniem, natomiast pogłębiły rysę podziału prawico-lewicowego w samym obozie rządzącym. Kroki pod-

jęte przeciwko lewicowemu rządowi Z. N. P. odegrały rolę momentu do pewnego stopnia zwrotnego. Wykazały one szczególnie dobitnie, że obóz rządzący nie jest ideowo dość jednolity, ażeby rządząca grupa centrowa mogła w swej polityce posunąć się na prawo tak daleko, jakby tego wymagała konsolidacja z prawą częścią społeczeństwa. Kroki te pozwoliły również wnioskować, że nawet gdyby zostały doprowadzone do końca, to automatycznie wywołałyby „kontrkonsolidację” obojga lewych opozycji, legionowej i społecznej względnie marksistowskiej.

Równocześnie, pomimo poprawy gospodarczej, wzmógł się nacisk rzeczowej sytuacji kraju. Od wewnątrz ujawnił się on bardzo ostro już ubiegłego lata w postaci rozruchów chłopskich w Małopolsce. Od zewnątrz zaś szedł zmiennymi falami już to bezpośredniego niebezpieczeństwa wojny, już ludzających nadziejami odprężeń; lecz w trakcie samej sesji budżetowej roztrącił te nadzieje ponownie. Tym samym zachwiał się u podstaw centrowo-liberalny, zachowawczy kurs państwowej polityki ekonomicznej, ściśle związany z wiarą w odrodzenie światowego kapitalizmu.

Zdaje się, iż mimo całej swej zasadniczej ku temu niechęci, rządząca grupa centrowa, poczęła jednak liczyć się z koniecznością ewolucji ustrojowej oddalającej od kapitalizmu i jego metod gospodarczych. W tym zakresie nie można dotąd znaleźć za granicą innych wzorów jak korporacjonizm fasadowy, który modyfikuje kapitalizm powierzchownie, lecz godzi się z zasadą rządów autorytarywnych, a nawet z totalizmem. Stąd zapewne pojawiły się na naszym gruncie już to pewne próby konkretne, już głucho wieści o przygotowywanym jakoby projekcie przymusowych związków przemysłowych, rzemieślniczych i pracowniczych. Według próbnego precedensu z reorganizacją Państwowych Zakładów Przemysłowo-Zbożowych, oraz według zagranicznych wzorów fasadowo-korporacyjnych miałyby te związki pozostać w ścisłej zależności od państwowych władz biurokratycznych, względnie pozostawać pod władzą mianowanych przez państwo, a w rozległe atrybucje wyposażonych, zarządów i szefów.

Ten domniemany projekt, tak zresztą skromny w swej oryginalności jak i rewolucyjności, powstał pod naciskiem sytuacji rzeczowej, która bezlitośnie odsuwa w coraz mniej uchwytną dal miraż odrodzenia światowego kapitalizmu, oraz pomyślnej pod jego protekcją hodowli kapitalizmu polskiego. Naprzeciw temu przymusowemu „zuchwalstwu” wyruszyły i podały im rękę względy konsolidacyjno-taktyczne. Wprawdzie korporacjonizm fasadowy można by doskonale realizować w konsolidacji prawicowej, mniej lub więcej faszyzującej, jednakże nawet tak skromna „przebudowa społeczna” nie była, jak się zdaje, do zniesienia dla liberalnej konserwy gospodarczej obozu legionowego z Ozonem włącznie. Wszak jego szef-założyciel, płk Koc, okazał się tak nieugiętym filarem polityki deflacyjnej i „klasycyzmu” walutowego, że swego czasu ustąpił z Banku Polskiego, z powodu ograniczeń dewizowych, zastosowanych zresztą w Polsce dopiero, gdy od lat zostały przyjęte prawie na całym świecie. Konsolidacja centro-prawa, w duchu odezwy inauguracyjnej płk. Koca, miała prawdopodobnie stanowić polityczny odpowiednik gospodarczego dźwignia Polski w kapitalizmie na wyżyny Centralnego Okręgu Przemysłowego. Gdy widoki w tym kierunku, zwłaszcza od strony kapitalizmu światowego, rysują się znów wysoce problematycznie, gdy rzeczywistość napiera gwałtownie w kierunku przebudowy ustrojowej, lub nawet ku zasadniczej a przez nikogo nie wypróbowanej zmianie polityki walutowej, to na tę niesamowitą drogę wkraczać z pomocą konsolidacji centro-prawej wydało się nieodpowiednim. Jeżeli nie wystarczają dotychczasowe, umiarkowane rozsądne plany inwestycyjne, jeżeli równocześnie zawodzi i w samym obozie rządzącym wywołuje rozłam konsolidacja centro-prawa, to siłą rzeczy narzuca się myśl skojarzenia „przewrotowych eksperymentów” z polityczną pomocą konsolidacji odwrotnej, centro-lewej. Wszak lewica jest „wyspecjalizowana w rewolucji”, głosi ją *ex officio* i tradycyjnie. Przy tym współdziałanie z nią w tym kierunku posiada już za sobą w przeszłości rządów pomajowych precedensy, do precedensów zaś i do wzorów obecna polska praktyka rządzenia przywiązuje szczególniejszą wagę.

Pod wpływem takich przypuszczalnie perspektyw i względów doszedł więc do skutku „na lewo zwrot”. Zwrot na razie dyskretny i pełen rezerwy, nie tyle lewy, ile centrowy, jednak wyraźnie już zaznaczony zarówno w zmianie szefostwa Ozone, jak w ustępliwym kompromisie z Z. N. P. Zarysowują się, w chwili gdy piszę, także dalsze konsekwencje tego zwrotu. Pewien w tym kierunku objaw stanowi kontakt premiera z lewicowym zjazdem prawniczym w Warszawie. Jeszcze godniejszy uwagi jest jednak projekt ordynacji wyborczej dla wielkich miast oraz przyspieszenia wyborów samorządowych. Te posunięcia wychodzą wprawdzie naprzeciw życzeniom społeczeństwa bez różnicy partyj, jednak szczególnie muszą być miłe demokratyczno-parlamentarnej lewicy.

Projekt samorządowo-ordynacyjny wywołał też po stronie społeczeństwa reakcję, znamioną dla stosunku obojga opozycji, prawej i lewej, względem siebie oraz do obozu rządzącego a rzucającą światło na zagadnienie władzy, podstawowe dla ustroju państwa. Projekt jest tym donioślejszy, że stanowi on balon próbny dla przyszłej zmiany ustawy wyborczej do ciał parlamentarnych.

Nowa ordynacja wyborcza do samorządów wielkomiejskich kombinuje głosowanie powszechne z głosowaniem korporacyjnym. Pierwszemu z nich przyznaje 60% mandatów radzieckich, drugiemu 40%. Głosowanie powszechne ma być wieloprzymiotnikowe, a więc tego samego typu co poprzednia, z czasów sejmowładztwa, ustawa wyborcza parlamentarna. Głosowanie korporacyjne dzieli się na dwie grupy, z których każdej przypada z mocy prawa 20% mandatów. Grupa pierwsza to samorząd gospodarczy i organizacje zawodowe adwokackie, lekarskie, inżynierskie, rzemieślnicze itp. Grupa druga, to związki zawodowe pracowników najemnych. Głosowanie korporacyjne w obecnych warunkach polskich dałoby prawdopodobnie wynik zbliżony do obecnego składu ciał parlamentarnych czyli prorządowy. W głosowaniu powszechnym obóz rządzący zdobyłby zapewne tylko mniejszość mandatów, jednak łącznie z głosowaniem korporacyjnym, mógłby w radach wielkomiejских osiągnąć przewagę.

Stwierdziła to natychmiast prasa opozycyjna i zajęła wobec projektu stanowisko solidarnie negatywne, chociaż na prawicy i lewicy wzajemnie odwrotne. Ze strony nacjonalistycznej zaatakowano odcinek korzystny dla lewicy, główne uderzenie skierowując przeciw żydom, jako jej naturalnym sprzymierzeńcom. Ze strony socjalistycznej zaprotestowano przeciwko głosowaniu korporacyjnemu, jako że jest „niedemokratyczne“. W istocie rzeczy wszystkie te trzy stanowiska: projektodawcy czyli obozu rządzącego, oraz obojga opozycji są znamienne tak pod względem taktycznym, jak co do swych perspektyw ustrojowych. Jakież to perspektywy?

Nie zapominajmy, że projekt wielkomiński jest balonem próbnym zapowiedzianego już w zasadzie projektu nowej ustawy wyborczej parlamentarnej. Konstytucja obecna pozostawiła parlamentowi dość uprawnień, żeby w niezgodzie z jego większością nie można było trwale rządzić państwem. Gdyby przeto obóz pomajowy dopuścił w izbach do większości opozycyjnej, to wydałby sam na siebie wyrok likwidacji. Obóz ten, moim zdaniem, nie ma powodu przeczyć, iż jego władza nie opiera się na demokratyczno-parlamentarnej zasadzie większościowej, lecz nosi charakter autorytatywny, oparty na mniejszościowej „elicie“. Jest to zasada ustrojowa nie wszędzie popularna, ale dobrze znana, i historycznie może więcej zasłużona niżli demokracja.

Otóż w obecnych warunkach konstytucyjnych polskich ustawa wyborcza, poniekąd nawet samorządowa, a zwłaszcza parlamentarna, rozstrzygają o tym, czy rządy w państwie mają się opierać na zasadzie większościowej czy autorytatywnej. W konkretnym zastosowaniu rozstrzyga ona o tym, czy rządy mają nadal pozostać w ręku obozu legionowego, lub też przejść mają w inne ręce; a także w jakie mianowicie ręce, prawe czy lewe. Ponieważ jednak obóz legionowy, nie zamierza zrzekać się władzy, lecz szuka tylko konsolidacji czyli współpracy z prawą albo lewą częścią społeczeństwa, jasnym jest przeto, że nie może wprowadzać ustawy wyborczej czysto demokratycznej, lecz tylko mieszanej. Od tego zaś jaką postać nada demokratycznej części ustawy wyborczej, zależy

wejście do parlamentu żywiołów przeważnie lewicowych lub prawicowych; a zatem projekt ustawy wyborczej przesądza także z kim obóz rządzący zamierza się bliżej „konsolidować”, z prawicą czy z lewicą. Gdyby np. obok 40% mandatów korporacyjnych projekt przyznawał 60% głosowaniu powszechnemu, ale przy okręgach jednomandatowych oraz wyłączając żydów w osobną kurię, to zapewniłby w tym głosowaniu szanse nacjonalistycznej prawicy. Jeśli natomiast głosowanie powszechne ma być takie, jak w obecnym rzeczywistym projekcie samorządowym, to istotnie zdaje się ono zmierzać do „konsolidacji” lewicowej.

To wszystko warto jest mieć na uwadze, gdy się dyskutuje o zmianie ordynacji wyborczej. Dyskutuje się tym samym o tym, kto w państwie ma sprawować władzę: prawica, lewica lub obóz legionowy, oraz o tym, czy ustrój państwa ma być autorytatywny, lub demokratyczno-parlamentarny. Rzeczywista na ten temat dyskusja toczy się raczej powierzchownie, choć aż nadto namiętnie. Zmusza ona niestety do stwierdzenia, że pomimo całej grozy rzeczywistości i pomimo częściowego pod jej wpływem otrzeźwienia, walka o to, kto ma rządzić, wciąż jeszcze bardziej przykuwa myśl i pochłania siły niżli problemat, co rząd ma czynić, ażeby ratować kraj. A to jest sprawa jedynie istotna i jako taką odczuwają ją już instynktownie szerokie masy ludu. One też tylko w swych rozpaczliwych porywach kontratakują klęskę wręcz, chociaż zwalczać ją mogą tylko na oślep.

Drogi i bezdroża.

„Na lewo zwrot”, podobnie jak poprzednia „konsolidacja” centro-prawa, nie sięga w tragiczną rzeczywistość polską dość głęboko, ślizga się po jej powierzchni, goniąc na razie cele raczej taktyczne. Ta pogoń nie zdaje się rokować większego powodzenia niżli kurs centro-prawy, który również rozwijał się na płytkiej płaszczyźnie, gdzie twórczych rozwiązań tragedii narodowego bytu nie ma.

„Na lewo zwrot” zdaje się celować taktycznie w kierunku P. S. L., a tylko „po drodze” natrawia na P. P. S., która

ze swej strony również zezuje ku P. S. L. Powodem tego niemal powszechnego, legionowego, socjalistycznego, nawet nacjonalistycznego ciążenia ku P. S. L. jest fakt, iż ludowcy reprezentują największą liczebną „potęgę mas”. Ta potęga dynamizuje się coraz silniej i kroczy na czele demokratycznej opozycji przeciwko zasadzie rządów autorytatywnych. Opozycja przeciwko zasadzie stanowi tu raczej tylko formę. Ta forma pokrywa dążenie do usunięcia od władzy obozu legionowego, oraz przejścia jej po nim. Dążenie to posiada z kolei jeszcze głębszą, choć może nie uświadomioną należycie, przyczynę. P. S. L. reprezentuje główny trzon ilościowy narodu, warstwę chłopską, która najbliższej, najboleśniej, najsilniej jest zagrożona przez kalectwo ustroju społecznego i gospodarki narodowej polskiej. To jest ta przeludniona wieś polska, której zagłada w oczy zagłada, więc P. S. L. bardziej niż jakikolwiek odłam narodu odczuwa, iż władza państwowa nie wywiązuje się wobec niej z elementarnego swego zadania, że nie umie odeprzeć katastrofy, która się wdziera do kraju od wewnątrz a w następstwie i od zewnątrz.

To są istotne, głębokie, zasadnicze przyczyny żywiołowej opozycji antyautorytatywnej P. S. L. Pan premier z całą szczerością ujawnił je wobec sejmu, rzucając w symbolicznym geście przed jego oczy pęk kos powstańczych, osadzonych na sztorc przez chłopą polskiego przeciwko polskiemu rządowi.

Ażeby tego rodzaju „demokratyczną opozycję” opanować, na to nie wystarczą żadne półśrodki, żadne umiarkowane „centrowe” posunięcia ani na prawo, ani na lewo. Że tak jest, o tym nawet w powierzchownej, czysto taktycznej płaszczyźnie mógł się od razu przekonać obóz rządzący, gdy projekt kompromisowej reformy wyborczej miejskiej, dla lewicy wyraźnie przychylny, przyjęty został przez nią odmownie, w myśl hasła: wszystko albo nic. Postawa P. P. S. nie wydaje się tutaj być samodzielną. P. P. S. jako taka, jest wobec reżimu usposobiona raczej ugodowo. Ale P. P. S. liczy się mocno z P. S. L., a P. S. L. nie jest do kompromisów skłonne, bo życie mas ludowych w Polsce przytłacza nędza bezkompromisowa, bezlitosna, śmiertelna.

Ażeby opanować „demokratyczną opozycję“ z takich źródeł płynącą, na to nie wystarczą również plany inwestycyjne, problematyczne w założeniu, a w wykonaniu obliczone na 20 lat. Na to trzeba usunąć polską nędzę wyjątkową tak skutecznie i tak szybko, ażeby masy mogły żyć. To stać się może dwoma tylko drogami. Albo do Polski w krótkim czasie nadejdzie potężna odsiecz ekonomiczna z zagranicy i sygnie kilka co najmniej miliardów złotych kredytu bardzo długoterminowego i taniego. Albo też Polska sama sobie kredytu tego udzieli antycypując ów kapitał, nieodzowny na to, ażeby wprowadzić w obrót zasoby kraju, zatrudnić bezrobotne ręce i nasycić głodujące usta.

Innych dróg wyjścia z tragedii narodowego bytu nie ma. Tragedia ta sięga zbyt głęboko, ażeby wyjścia z niej mogły być kompromisowe. One mogą być tylko heroiczne. Ktoś na ten heroizm zdobyć się musi: albo ginący świat międzynarodowego kapitału, albo włączona weń, ale kapitału pozbawiona, Polska. Heroizm nie leży w naturze kapitalizmu i nie od Polski zależy mobilizacja heroizmu w światowej gospodarce kapitalistycznej. Bierną w tym kierunku nadzieją ludziliśmy się zbyt długo i zbyt ryzykownie pozwoliliśmy się zepchnąć na sam brzeg przepaści. Dalsza pogoń za tą *fata-morganą* mogłaby już niedługo znaleźć swój kres automatyczny i straszliwy. Nie stoi więc przed nami otworem żadna inna droga jak tylko heroizmu własnego. Droga wielkiego szturmów wszystkich zjednoczonych sił polskich, narodu, ludu i państwa przeciwko nędzy. Droga to ani prawa, ani lewa, ani centrowa. Droga to górna. Droga wielkości wyłamującej wrota dziejów, zawarte przed ginącym światem wielkomieszczańskim, by je rozewrzeć na nowy świat, w duchu i materii odrodzony.

Czy na tę drogę prowadzi Polskę ostatni „na lewo zwrot“? Chyba tylko o tyle, o ile pozwoli szybko stwierdzić, że na płytkiej głębi równie niedościgłą jest „konsolidacja“ lewa, jak się nią okazała prawa. „Na lewo zwrot“ pozwala wprawdzie dostrzec pewne jakby zadatki rewolucyjnego heroizmu. Lecz niestety obciąża je rzeczowy fakt przestarzałych, obcych nowej rzeczywistości doktryn, oraz fał-

szywie przez te doktryny skierowany dynamizm uczuć. Stąd wielkie powstaje niebezpieczeństwo, że gdyby zadatkom lewicowego heroizmu sądzone było szerzej się rozwinąć w czyn, to mogłyby one przełom wykoszlawić i roztrwonić na manowcach.

Romantyzm polityczny piłsudczyków, do którego Ozon zdaje się nawracać w osobie swego nowego szefa, oraz klasowo-antykapitalistyczny ferwor „rewolucyjny” P. P. S. już występowały w przymierzu na widowni polskiego narodowego gospodarstwa, z najfatalniejszym jednak wynikiem. Było to w okresie osławionej „radosnej twórczości”, podczas pierwszej „dobrej koniunktury” lat 1927—30. Wyładował się wtedy ów sojusz w nieopatrzny i jednostronny rozmach inwestycyjny, oparty na bezgranicznej ufności w długotrwały dopływ kapitałów z rynku światowego, świetnie wtedy na pozór prosperującego. Zachodzi obawa, ażeby, postanowiwszy ewentualnie ów kapitał antycypować, nie pakowano go znów bez miary w roboty publiczne i ciężki przemysł, nie dbając o równowagę z produkcją szybkiego obrotu i trwoniąc kapitał zaoszczędzony przez wzrost cen bez waloryzacji zobowiązań. W tym stylu, zgodnym z niedawną agitacją za robotami publicznymi, utrzymana wszak jest nawet obecna polityka „wielkiego planu inwestycyjnego”.

Drugie niebezpieczeństwo, jakie się zarysowuje w perspektywie „zwrotu na lewo” wypływa stąd, że marksizm z dawna cierpiał na zupełny niemal brak konkretnej wizji organizacyjnej nowego ustroju społecznego. O ile ją sobie wyobrażał lub bywał zmuszony wcielać w czyn, czynił to w sposób grubiańsko-prymitywny. Po prostu kopiował półdzikie pra-formy korporacji wyłonięne z rozkładu kapitalistycznego indywidualizmu, etatyzował je i biurokratyzował. Tak powstały równoległe do amerykańskich prywatnych, trusty i koncerny państwowe sowieckie. Okazało się, co było z góry do przewidzenia, że te „zsocjalizowane” formy produkcji doprowadziły je do upadku, na barki zaś proletariatu legły jarzmem niewoli, wyzysku i nędzy dużo sroższym niżli to, pod którym „jęczy” proletariat w kapitalistycznej Ameryce.

Nowy ustrój na takim trybie zrealizowany „sabotuje“ zarówno poprawę doli ludu i sprawiedliwość społeczną, jak potęgę państw, które by go wprowadzić chciały lub wprowadziły. Zachodzi więc uzasadniona obawa, ażeby i w Polsce przebudowa społeczna wdrożona pod hasłem „zwrotu na lewo“ nie zboczyła na zgubne manowce przeinwestowania i etatyzacji, którym precedensu dostarczył Z. S. R. R. Jako odskocznia w tym kierunku może łatwo posłużyć również korporacjonizm fasadowy, należycie zbiurokratyzowany i stotalizowany.

Prawa część opinii publicznej energicznie się przeciwko temu broni, aczkolwiek i ona dotąd albo wcale nie miała wizji nowego ustroju, albo też zadawałniała się „korporacjonizmem fasadowym“, według istniejących a mało skutecznych wzorów zagranicznych. Korporacje nie mogą i nie powinny być biurokratycznie kierowanymi narzędziami etatyzacji życia gospodarczego, ani odwrotnie, nie powinny być czczą formą zewnętrzną niezdolną do przekształcenia istoty kapitalizmu. Powinny być organami społecznego samorządu gospodarczego, powołanymi do realizacji gospodarki planowej, według dyrektyw i pod kontrolą silnej władzy państwowej. Finansowej siły motorycznej dostarcza gospodarce planowej, umożliwia ją jako niezbędny warunek i przełamuje faktycznie kapitalizm — tylko nieograniczony zasób oraz celowa dyspozycja kapitałem obrotowym w ręku państwa. To jest istota całego systemu, bez której się on urzeczywistnić nie da.

Świadomość takiej natury przełomu toruje sobie już drogę w opinii publicznej, jednak nie od strony lewej, lecz prawej. Niektóre dzienniki wszczęły nawet, dość jeszcze co prawda, nieśmiałą kampanię za zasadniczą zmianą podstaw i środków naszej polityki gospodarczej. Nie zbuduje się kapitalizmu bez kapitału, nie oczyści się polskiej gospodarczej stajni Augiasza bez antycypacji kapitału, nie zrealizuje się bez tego sprawiedliwości społecznej. To są zasadnicze drogowskazy wyjścia z tragicznej rzeczywistości polskiej. Gdyby ich świadomość należycie rozpowszechniła się w społeczeństwie, a zwłaszcza objęła tzw. świat pracy, to wówczas nasz radykalizm społeczny musiałby wprawdzie zmodyfiko-

wać swoje nastawienie na nienawiść klasową, ale za to otworzyłaby się przed nim droga, na której wspólnie z romantyzmem piłsudczyków mógłby wyładować swoją energię w sposób dobroczynny dla proletariatu i zbawczy dla kraju. To byłby radykalizm właściwie skierowany. Niezawodnie wtedy, na tej płaszczyźnie, nie byłoby trudno osiągnąć konsolidację powszechną, ani prawą, ani lewą, ani centrową, lecz górną i twórczą. Powstać by mógł rzeczywisty Obóz Zjednoczenia Narodowego.

Na razie jeszcze do tego jest dość daleko. Świat pracy, podobnie jak i kupiecki świat „łokcia i miarki“, na ostatnich swych zjazdach w Warszawie i Bydgoszczy stanął raczej na stanowisku „poprawy gospodarczej“ oraz „okrągłego“ miliarda na inwestycje. Udział w tych zjazdach przyjmowali naczelnicy przedstawiciele polityki gospodarczej państwa: premier, wicepremier oraz minister przemysłu i handlu. Wobec postulatów tych zgromadzeń pp. ministrowie musieli robić *bonne mine au mauvais jeu*. Postulaty takie, jak znaczne ulgi podatkowe, taryfowe, a zwłaszcza waloryzacja zarobków według kosztów utrzymania, były najzupełniej słuszne ze stanowiska zarówno sprawiedliwości społecznej jak rozwoju handlu polskiego. Tylko że te postulaty były stuprocentowo nierealne w obliczu tych wymiarów poprawy, jakie mogą być osiągnięte przy budowie kapitalizmu bez kapitału.

Ten irrealizm żądań opartych na poprawie, która już odbiła od dna, jest godnym odpowiednikiem złudnych nadziei, jakie z nią dotąd wiązał obóz rządzący. Harmonizuje ten irrealizm jeśli nie dynamiką, to poziomem świadomości z żywiołowymi odruchami w zakresie handlu i reformy rolnej, którymi społeczeństwo usiłuje ratować się samo, ponieważ go państwo ratować nie umie. Harmonizuje niemniej z poziomem społecznego uświadomienia, które „przyświeca“ walkom między prawicą i lewicą, między zwolennikami narodu a wyznawcami ludu, między totalistycznymi bałwochwałcami państwa a demokratycznymi czcicielami „potęgi mas“.

Zdaje się, że dopóki one nie przejrzą i nie wskażą drogi górnej, która jedynie wiedzie do ocalenia, dopóty inteligencja polska nie będzie wiedziała co czyni i nie będzie wiedziała co czynić. Nie wie tego Polska liberalna, nie wiedziałaby

totalna, ani prawa, ani lewa. Bo „papugi narodów“ nikt obcy nie wyręczy w odpowiedzi na straszliwe konkretne pytania, jakie na przełomie jej narodowego bytu postawił przed nią sfinks dziejów:

Jak nakarmić lud, jak uzbroić naród, jak ocalić państwo?!

St. Szczutowski.

Panazjatyzm i komunizm w Azji Wschodniej.

O panazjatyzmie, jako o ruchu zmierzającym do usunięcia wpływów Europy i Ameryki z całego kontynentu azjatyckiego, mówi się już od dawna. Przy końcu XIX stulecia zagadnienie „żółtego niebezpieczeństwa” zostało w formie poetyckiej wysunięte przez znakomitego filozofa rosyjskiego, Włodzimierza Sołowjewa. Na początku wieku XX poruszył je cesarz niemiecki, Wilhelm II, opierając się również na przesłankach raczej uczuciowych, niż realnych. Wreszcie w latach powojennych popularyzatorami tego ruchu byli i są liczni myśliciele i publicyści polityczni, szeroko omawiający symptomy „zmierzchu Europy” i odrodzenia Wschodu. Te ostatnie teorie prawdopodobnie nie pozostały bez wpływu na ostateczne skryształowanie się idei panazjatyckiej, kierującej w Japonii od czasu jej wkroczenia na drogę cywilizacji zachodniej.

Naród wychowany w atmosferze blisko tysiąc lat trwającej wojny z potężnym plemieniem tubylczych wyspiarzy — Ainami i fanatycznie wierzący w boskie pochodzenie swojego cesarza, stanowił wprost idealne środowisko dla rozwoju teorii, przeznaczającej mu rolę „oswobodziciela Azji”, a rezultaty osiągnięte w ciągu pierwszych dziesięcioleci jego działalności na arenie międzynarodowej, mogły go tylko utwierdzić w jej słuszności. Graniczące niemal z cudem powodzenie tzw. „Ery Meidzi”, czyli okresu wysiłków w kierunku przyswojenia zdobyczy cywilizacji zachodniej, już po niespełna dwudziestu pięciu latach doprowadziło do pierwszej zwycięskiej wojny — z Chinami (1894—5), która osta-

teczenie utrwaliła międzynarodowe położenie Japonii i pozwoliła jej po raz pierwszy postawić stopę na lądzie (półwysep Liao-dung). Pozbawiona owoców zwycięstwa przez wielkie mocarstwa, z Rosją na czele, Japonia bierze swój odwet po dziesięciu latach w wojnie z imperium carów i tym razem utrwała swoją władzę w południowej części półwyspu Liao-dung oraz zyskuje obszernie wpływy gospodarcze w Mandżurii Południowej dzięki przejęciu praw rosyjskich do koncesji kolejowej, przecinającej ten kraj. Formalne uznanie jej stanowiska wielkiego mocarstwa stanowi poza tym jej poważne osiągnięcie na arenie międzynarodowej.

Tu jednak dalsza zwycięska ekspansja japońska na lądzie azjatyckim zostaje czasowo wstrzymana. Rosja, aczkolwiek zwyciężona, jest wciąż jeszcze zbyt potężna, aby można było pokusić się o ostateczne usunięcie jej z Mandżurii, rewolucja w Chinach obala ostatnią dynastię cesarską i tworzy w „Państwie Podniebnym” republikę, a zjednoczony front państw zachodnich pilnie strzeże „otwartych drzwi” i innych swoich przywilejów w tym kraju. W roku 1908 Japonia przychodzi do porozumienia z Rosją na zasadzie podziału wpływów z Mandżurii i lojalnie współpracuje w „koncercie dyplomatycznym” mocarstw zachodnich w Pekinie. Wielka wojna światowa, w której bierze udział po stronie Ententy, przynosi jej nowe rozczarowanie. Zdobytą przez siebie kolonię niemiecką w Chinach — Dziao-dzou z portem Cingdao — zwraca, „za poradą sojuszników” prawowitemu właścicielowi, rządowi chińskiemu; interwencja zbrojna w Syberii i na rosyjskim Dalekim Wschodzie, podjęta w związku z rewolucją bolszewicką, spełza na niczym, z „21 żądań”, skierowanych do pogrążonych w wojnie domowej Chin i zawierających propozycję rozciągnięcia nad tym państwem niemal protektoratu, zostały uwzględnione tylko pewne przywileje gospodarcze w Mandżurii Południowej i w Chinach Północnych. Wreszcie w roku 1922 Japonia wraz z innymi dziećmi państwami podpisuje „Protokół Waszyngtoński”, gwarantujący niepodzielność terytorialną Chin i zasadę „otwartych drzwi” w tym kraju. Zobowiązuje się ponadto do ograniczenia swoich zbrojeń morskich, zgadzając się na utrzymanie z W. Brytanią i Stanami Zjedn. Am. stosunku 5—5—3.

Były to dotkliwe ciosy dla japońskiej dumy narodowej, które niezwłocznie wywołały ostrą reakcję w postaci ruchu opozycyjnego, skierowanego przeciwko rządowi, parlamentowi i dyplomacji, jako domniemanym winowajcom doznanych porażek. Oskarżano ich o słabość, ugodowość, a nawet sprzedajność. Powstały tajne stowarzyszenia, proklamujące powrót do dawnych obyczajów japońskich, prostych i rycerskich, nieskalanych destrukcyjnym wpływem cywilizacji zachodniej. Od Zachodu należy brać tylko jego wiedzę techniczną, wszelkie zaś jego wpływy kulturalne na gruncie japońskim są szkodliwe i powinny być usunięte. Japonia — kraj rycerzy, rolników i rybaków — powinna być rządzona według systemu patriarchalnego z cesarzem-półbogiem jako ojcem i z „godnymi” pośrednikami, wykonującymi jego wolę. Udział w rządach parlamentu, stworzonego na wzór zachodni i znajdującego się na utrzymaniu i pod wpływami wielkiej finansjery, ściśle związanej z kapitałem międzynarodowym, powinien być wykluczony. Parlament może istnieć, skoro taką jest wola cesarza, ale raczej jako ciało doradcze, wykonujące jego rozkazy. Również powinni ustąpić dygnitarze, a zwłaszcza dyplomaci, zatruć kulturą zachodnią i z tego powodu prowadzeni na pasku przez sfery kierownicze państw obcych.

Teorie te kształtowały się stopniowo i dochodziły do wiadomości Zachodu fragmentami i przeważnie przypadkowo. Symptomy jednak tarć wewnętrznych można było zaobserwować już od dawna, tylko na Zachodzie na ogół nie doceniano ich znaczenia, jak również nie umiano znaleźć dla nich należytego wytłumaczenia. Obecnie wiadomo już, że w tajnych organizacjach, mających na celu gruntowną zmianę całokształtu polityki japońskiej, brali za młodu udział obecni najwyżsi dygnitarze cesarstwa, jak np. minister spraw zagranicznych i kilkakrotny premier Koki Hirota. Znaczna część członków tych organizacji składa się z młodszych oficerów armii, która w ogóle górowała nad resztą społeczeństwa zarówno dzięki swojemu patriotyzmowi i fanatyzmowi przywiązaniu do osoby cesarza, jak i swoim ultra radykalnym poglądom.

Sytuacja wewnętrzna imperium w znacznym stopniu przyczyniała się do szybkiego wzrostu ruchu opozycyjnego wśród mas ludowych. Grożące krajowi przeludnienie, w związku z kryzysem gospodarczym, który po długich latach dobrobytu ogarnął i Japonię, coraz bardziej potęgowało nędzę wsi. Emigracja do krajów anglo-saskich wkrótce natrafiła na nieprzeczwyciężalne przeszkody, a i w innych krajach walczyła wciąż z wzrastającymi trudnościami. Naturalna ekspansja Japonii w kierunku południowym nie mogła się rozwijać ze względu na politykę SZA — na Filipinach, Holandii — na wyspach Sundajskich i W. Brytanii — w Australii. Współpraca z mocarstwami zachodnimi na terenie Chin nie rokowała żadnych widoków na przyszłość, tym bardziej, że postępująca konsolidacja władzy w tym kraju pod sprężystym kierownictwem rządu nankińskiego mogła w najbliższej przyszłości przekreślić nawet dotychczasowe nieznaczne zdobycze japońskie na lądzie azjatyckim. Do tego wszystkiego przyłączył się komunizm, który po opanowaniu całej Rosji, zwrócił swoje zatrute żądło przeciwko Chinom i Japonii i żerując przeważnie na nędzy, znalazł pewną, co prawda nieznaczną, ilość adeptów w obu krajach. W Japonii został on szybko zlikwidowany, a i w Chinach nigdy nie doszedł do większych wpływów, ale zajmując stanowisko wyraźnie anty-japońskie, bądź co bądź przedstawiał pewne niebezpieczeństwo dla planów przyszłej współpracy Japonii z tym państwem. Zresztą już samo istnienie na wybrzeżach Pacyfiku wciąż rosnącego w siły państwa sowieckiego stanowiło dla Japonii poważną groźbę.

W związku z tym w ciągu ostatnich lat, poprzedzających atak japoński na Mandżurię, walka wewnętrzna w Japonii przybiera na ostrości. Tzw. partia wojenna coraz gwałtowniej domaga się „polityki energicznej“, godnej wielkiego mocarstwa, a ekstremiści zarówno spośród wojskowych jak i cywilnych, nie wahają się nawet przed stosowaniem terroru wobec opornych dygnitarzy. Rola tych ostatnich staje się coraz trudniejsza. Obserwatorzy cudzoziemscy odnoszą wrażenie, że chodzi nie o różnicę zdań w kwestii zasadniczej, a raczej o samą taktykę. Dygnitarze, zagrożeni nożem spiskowców, nie odrzucają już samej idei, ale obawiają się

jej zbyt gwałtownej realizacji ze względu na sytuację międzynarodową. Ustępują więc jedną pozycję po drugiej, wraz z parlamentem uchwalają coraz większe budżety wojskowe, ale do ostatecznej rezygnacji z wszelkiego oporu — brak im jeszcze odwagi, tym bardziej, że i tron zachowuje stanowisko wyczekujące.

Incydent mandżurski był niespodzianką nie tylko dla opinii zachodniej, ale do pewnego stopnia i dla japońskich sfer rządowych. Wiadomo bowiem obecnie, że wystąpienie armii kwantuńskiej odbyło się na rozkaz generała Hajaszi, ówczesnego generalnego gubernatora Korei, który bez porozumienia z rządem wziął na siebie całą odpowiedzialność za wszelkie następstwa tego kroku. Bezprecedensowe powodzenie całej akcji zarówno w dziedzinie wojskowej, jak i dyplomatycznej, stało się poważnym atutem w ręku partii wojennej, ale też również początkiem nowych tarć wewnętrznych. Znowu bowiem bardziej umiarkowane sfery, z parlamentem i finansjerą na czele, uważały dalszą agresję za niewskazaną i niebezpieczną i nawoływały do dłuższej przerwy, którą należy zużytkować na systematyczną i planową eksploatację zdobytych terenów. Armię jednak trudno już było powstrzymać w jej pędzie zdobywczym. Rzecznicy jej wskazywali, że obecna koniunktura międzynarodowa najbardziej sprzyja realizacji postulatów dziejowych Japonii i że nie wykorzystana, może się już nie powtórzyć. Czynili oni gorzkie wyrzuty sferom rządowym, że w roku 1920 brak decyzji z ich strony nie pozwolił armii usunąć komunizmu z Dalekiego Wschodu, ograniczając jego zasięg jeziorem Bajkałem i domagali się, aby błąd ten nie został popełniony po raz drugi. Ostateczne załatwienie kwestii zarówno sowieckiej jak chińskiej zostało wysunięte jako *conditio sine qua non* i w kołach wojskowych istniała tylko pewna rozbieżność co do kolejności załatwienia tych dwu równorzędnych zagadnień.

W okresie tym opinia zachodnia po raz pierwszy dowiedziała się i o ideologicznym podkładzie akcji japońskiej. Ogłoszenie w prasie chińskiej tzw. memoriału czy „testamentu” barona Tanaka zmusiło opinię zachodnią do podania gruntownej rewizji swoich dotychczasowych poglądów

na ekspansję japońską w Azji Wschodniej. Jak wiadomo, memoriał ten, uznany przez Japończyków za apokryf, szczegółowo i niezmiernie subtelnie omawia niebezpieczeństwo, grożące Japonii wskutek przeludnienia i braku podstawowych surowców i wskazuje jej drogi rozwoju mocarstwowego na lądzie azjatyckim. Ma ją zapoczątkować „wyzwolenie” Mandżurii spod jarzma chińskiego, następnie stworzenie niepodległego państwa Wielkiej Mongolii z poszczególnych ziem, znajdujących się pod władzą Chin i Rosji sowieckiej. Dalej jest mowa o „odsunięciu” Sowietów za Bajkał, o rozbiciu na części i stopniowym przyswojeniu Chin i jako apoteoza występuje wyzwolenie całej Azji spod władzy i wpływów cudzoziemskich. Dotąd nie wiadomo czy memoriał ten rzeczywiście napisał zmarły w roku 1927 baron Tanaka i w jaki sposób dostał się on do rąk chińskich, o ile nie był to tylko „balon próbny” puszczony umyślnie przez Japończyków celem zbadania, jakie wrażenie wywoła on w sferach międzynarodowych. Nie jest to jednak rzecz istotna, jeżeli się zważy, że wypadki późniejsze całkowicie stwierdzają realizację tego programu. Mongolia jest już państwem niepodległym, kwestia chińska znajduje się w stadium rozwiązania, a stosunki z Sowietami nie wskazują na żadną możliwość porozumienia polubownego.

W pierwszych latach po okupacji Mandżurii, stosunki japońsko-sowieckie były tak naprężone, że wybuch wojny spodziewany był lada chwilę. Nie uległy one znaczniejszemu odprężeniu i po bezsławnym wycofaniu się Sowietów z Mandżurii w rezultacie sprzedaży kolei wschodnio-chińskiej. Odwrotnie, właśnie wtedy prasa japońska z dużą dokładnością sprecyzowała swoje pretensje do Sowietów. Była w nich mowa i o „bezcelowości” dla Sowietów dalszego posiadania okręgu Pomorskiego z Władywostokiem i o konieczności ustąpienia Japonii północnego Sachalinu i Kamczatki i wreszcie o wadliwej polityce Sowietów w stosunku do pokrewnych Japonii plemion mongolskich, zamieszkałych na Dalekim Wschodzie, których los „nie może być dla niej obojętny”. Jeden z najwybitniejszych generałów japońskich, baron Araki, kilkakrotnie w wywiadach prasowych zupełnie niedwuznacznie podkreślał konieczność dla Japonii usu-

nięcia czerwonego niebezpieczeństwa z całego Dalekiego Wschodu. Wszystkie te wystąpienia zostały w pewnym momencie zahamowane, w dalszym jednak ciągu są charakterystyczne dla nastrojów panujących w armii i społeczeństwie japońskim w stosunku do Sowietów. W chwili obecnej trudno stwierdzić z całą pewnością czy to przemyślana decyzja, czy prosty przypadek skierował akcję japońską w stronę Chin. Niespodziewany dla Japończyków opór rządu marszałka Dziańg Kai-szeka zdaje się przemawiać raczej za drugą alternatywą, nie wykluczając jednak i gotowości do walki na obu frontach równocześnie.

Wracając do podkładu ideologicznego agresji japońskiej, przytoczymy jeszcze jedną teorię, szeroko propagowaną przez sfery wojskowe. Opiera się ona na historii i streszcza się jak następuje: Kiedy morze Śródziemne było ośrodkiem cywilizacji świata, przodującymi narodami byli Grecy i Rzymianie. Potem ośrodek ten przeniósł się na Atlantyk i państwem przodującym stała się Anglia. Obecnie wszystko wskazuje na to, że ośrodkiem cywilizacji staje się Pacyfik, a więc główna rola przypada Japonii, która posiada możliwości udzielone jej przez niebo i dzięki jedności narodowej potrafi je wykorzystać. Na kształtowanie się tej teorii niewątpliwie znaczny wpływ mieli piewcy „Zmierzchu Europy“, o których wspominaliśmy wyżej. Skoro bowiem berło panowania nad światem wypada z trzęsących się rąk staruszki Europy i własni jej synowie na podstawie logicznych wniosków dochodzą do stwierdzenia tego faktu, to coś pozostaje jej pełnemu życia i nie wyzyskanych sił sąsiadowi wschodniemu, jak wyjąć to berło z ręki słabej i wznieść je przed sobą jako symbol nowej mocnej władzy.

Gigantyczny plan Japonii znajduje się obecnie w stadium realizacji i niespodziewany, długotrwały opór Chin, podsycany z jednej strony przez zagrożone bezpośrednio Sowiety, a z drugiej — przez ponoszący ogromne straty materialne kapitał zachodni, coraz bardziej staje się wodą na młyn panazjatycki Japonii. Teraz już nie ma mowy o stopniowym wykonaniu programu, o zadowoleniu się, powiedzmy, autonomią Chin Północnych. Zbyt wiele krwi japońskiej przelano, zbyt wiele wydano pieniędzy, aby można było

mówić o częściowym zadośćuczynieniu. Chiny obecnie muszą być „postawione na kolana” i zdane na łaskę i niełaskę zwycięzcy, a państwa cudzoziemskie, o ile pragną zachować dotychczasowe przywileje w tym kraju, muszą zrewidować swoją politykę w stosunku do tego sporu azjatyckiego, obchodzącego tylko Japonię i Chiny. Tego rodzaju enuncjacje coraz częściej wychodzą z ust japońskich czynników urzędowych. Brzmi w nich ponadto rozdrażnienie, dotąd zupełnie obce wszystkim wystąpieniom japońskim i nadające im cechy daleko posuniętej szczerości. Tak jeden z decydujących czynników w obecnym rządzie japońskim, minister spraw wewnętrznych, admirał Suetsugu, wyraził w udzielonym wywiadzie przekonanie, że wypadki obecne doprowadzą do „ogólnej pożogi”, w której Japonia wykona swoje posłannictwo wyzwolenia rasy żółtej spod hegemonii białych. W wywiadzie tym fanatyzm panazjatycki w dziwny sposób łączy się z przezornością męża stanu, gdyż mówiąc o możliwości wypowiedzenia wojny W. Brytanii, o ile by zaszła tego potrzeba, pośpiesza zaznaczyć, że „nie chce wierzyć, aby Amerykanie, których interesów akcja japońska nie dotyczy, ślepo szli za Anglią w razie jej wojny z Japonią”. To przesvědczenie o rozbieżności interesów skłóconego i zdezorientowanego Zachodu jest również jednym z najpotężniejszych czynników, wpływających na wzrost idei panazjatyckiej. Kiedyż bowiem może być lepsza koniunktura dla realizacji planów panazjatyckich, jeżeli nie teraz, kiedy Ameryka wykazuje zdecydowaną niechęć uwikłania się w jakiegokolwiek konflikty nie dotyczące bezpośrednio Nowego Świata, a W. Brytania i Francja są przykute do spraw europejskich dzięki atmosferze naprężenia, stworzonej przez Niemcy i Włochy? Jeżeli zaś w dodatku te dwa państwa ostatnie znajdują się z Japonią w sojuszu antykomunistycznym, to jakież są widoki na anty-japońskie wystąpienie zbiorowe, z wyjątkiem oczywiście „ogólnej pożogi”, do której Japonia jest przygotowana, a dobrze wie, że W. Brytania jej za wszelką cenę uniknąć pragnie.

Reasumując powyższe uwagi dochodzimy do logicznego wniosku, że poza podatnym gruntem, jakim jest Japonia dla ruchu panazjatyckiego ze względu na swoje położenie geo-

graficzne, warunki gospodarcze i walory moralne narodu, wzrost idei panazjatyckich i rozpoczęta ich realizacja ma swoje źródła w dotychczasowej bierności rasy białej i w najrozmaitszych rozbieżnościach, dzielących ją na wrogie obozy i samolubne jednostki polityczne. W warunkach obecnych jedyną realną przeszkodę, dzielącą Japonię od całkowitej realizacji jej panazjatyckiego programu, stanowią Chiny, w cudowny niemal sposób zjednoczone przed obliczem grożącej im zagłady politycznej. Z chwilą gdy przeszkoda ta runie pod naciskiem przeważającej techniki i głębszej świadomości narodowej, cechujących Japonię, wrogiem jej pozostanie tylko obszar Chin i nie ustająca na nim irredenta, ale to już są czynniki, które mogą skomplikować ostateczne rozwiązanie zagadnienia, nie będą jednak w stanie uniemożliwić go. Panazjatyzm japoński przypomina wobec tego diabła, wywołanego przez czarnoksiężnika za pomocą czarów. Bez nich diabeł pozostałby tylko nieszkodliwą abstrakcją, której istnienie co najwyżej służyłoby za bodziec, podsycający energię do uregulowania najbardziej palących spraw gospodarczego życia Japonii. Raz wywołany — stał się siłą destrukcyjną, której zniszczenie nie leży już w mocy czarnoksiężnika, poza „ogólną pożogą”, której wyniku w dobie obecnej nie mogą przewidzieć ani wywołujący, ani wywołany.

Co się tyczy komunizmu, to rola jego w rozwoju wydarzeń na Dalekim Wschodzie jest, że się tak wyrazimy, znacznie więcej reprezentacyjna, niż istotna. Sowiety na początku swojej działalności postawiły dużą stawkę na Chiny i stawka ta została przegrana. W roku 1922 prorok i twórca „Nowych Chin”, dr Sun Yat-sen, straciwszy nadzieję na pomoc państw zachodnich, popierających „legalny” rząd wzajemnie zwalczających się generałów w Pekinie, zaprosił do Kantonu, swojej ówczesnej stolicy w Chinach Południowych, misję sowiecką z komisarzem Borodinem i wojskowym doradcą Galenem na czele. Misja ta szczegółowo poinformowała chińskiego reformatora o wszystkich właściwościach ustroju komunistycznego, generał zaś Galen (późniejszy czerwony marszałek Bluecher) wcale dobrze wyćwiczył armię południową. O stosunku dra Suna do doktryny komunistycznej istnieją rozmaite wersje, w pozostawionej jednak przez

niego księdzie: *Trzy zasady*, wpływy sowieckie wyrażają się tylko w utworzeniu partii rządzącej i zbiorowych ciał administracyjnych, kontrolujących działalność poszczególnych ministerstw. Zapobiegliwy Borodin zdążył jednak jeszcze za życia Sun Yat-sena stworzyć sporą ilość „eksperymentalnych komórek komunistycznych” i po jego śmierci pokusił się o zdobycie decydujących wpływów na rząd południowy, prowadzący właśnie zwycięską walkę o zjednoczenie państwa. Zamiar ten jednak został w porę ujawniony przez nowego wodza Chin Południowych, Dziańg Kai-szeka. Misja sowiecka została wysłana z powrotem, a kilkanaście tysięcy komunistów chińskich dało głowę pod miecz podczas tzw. rzezi kantońskiej. Ruchu ideowego nie można doszczętnie wytępić tylko przy pomocy miecza, to też resztki komunistów pozostały rozproszone wśród ludności południowej i w czasie późniejszym, korzystając z trudnej sytuacji rządu nankińskiego, walczącego z wciąż odradzającą się samowolą administratorów prowincjonalnych, rozpoczęli na nowo swoją akcję, tworząc nawet własne formacje zbrojne i własny rząd w górzystej części prowincji Dziańg-si. Zaznaczyć jednak przy tym należy, że w okresie największej swojej potęgi formacje komunistyczne w Dziańg-si nie liczyły więcej ponad kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy i że akcję karną wojsk rządowych, wymierzoną przeciwko nim, w znacznym stopniu paraliżowały z początku buntury wewnętrzne, a następnie atak japoński na Mandżurię.

Z chwilą zawarcia rozejmu w Tang-ku, w roku 1933, wznowiona akcja karna rządu nankińskiego wyparła wojska czerwone z ich górskiej cytadeli w Dziańg-si i zmusiła je do stopniowego cofania się z jednej prowincji do drugiej. Bezprzykładna ta wędrówka po olbrzymich przestrzeniach Chin środkowych i zachodnich trwała prawie trzy lata, aż wreszcie wojska czerwone znalazły się w odległej i ubogiej prowincji Chin północno-zachodnich Szen-si, na pograniczu Mongolii Wewnętrznej. Tu w roku 1936 wojska ekspedycji karnej miały im zadać ostatni cios, ale wtedy właśnie agresja japońska w Chinach Północnych nawiązała pierwszą nić porozumienia między prześladowcami i prześladowanymi. Mia nowicie do wojsk rządowych, składających się przeważnie

z resztek armii mandżurskiej, wygnanej z kraju przez Japończyków i znajdujących się pod komendą b. wielkorządcy Mandżurii, marszałka Dżang Siue-lianga, zgłosili się emisariusze wojsk czerwonych, proponując zaprzestanie bratobójczej walki i połączenie sił celem okazania oporu wrogiej agresji. Wiadomości o tych pertraktacjach i o wrzeniu, panującym w ich wyniku w szeregach wojsk Dżang Siue-lianga, doszły do Nankinu i spowodowały wyjazd do Szen-si samego marszałka Dżiang Kai-szeka, celem dokonania inspekcji podejrzanym o współpracę z komunistami oddziałów.

Przybył on w asyście trzytysięcznego oddziału honorowego, złożonego z samych oficerów i po przeprowadzeniu śledztwa zarządził translokację części wojsk. Wywołało to bunt, którego szczegóły dotąd pozostały tajemnicą nie tylko dla Europy, ale i dla szerszych kół politycznych i wojskowych Chin. Wiadomo tylko, że eskorta marszałka została zaatakowana przez przeważające siły a on sam uwięziony. Areszt jego trwał kilka tygodni i wywołał burzę protestów w całych Chinach, która raz jeszcze dowiodła wielkiej popularności marszałka. W końcu, w rezultacie wysiłków rządu nankińskiego i gróźb wysłania ekspedycji karnej, został on zwolniony i wódz buntowników, Dżang Siue-liang wyraził skruchę za popełniony czyn i życzenie poniesienia odpowiedzialności przed sądem wojennym. Zarówno jednak ze skąpych komentarzy czynników urzędowych, jak i z bardzo formalnego procesu sądowego, niezbicie wynikało, że chodziło nie o zwykły bunt lub niesubordynację wojskową, ale o rzecz w swoich skutkach znacznie donioślejszą. Nie ulega wątpliwości, że marszałek Dżiang Kai-szek, w czasie swojej niewoli, odbył decydujące rozmowy z emisariuszami wojsk czerwonych oraz ze stronnikami współpracy z komunistami w dziedzinie obrony kraju. Wygląda również na to, że go do tej współpracy usposobiono przychylnie, przyrzekając całkowite podporządkowanie się wojsk komunistycznych rozkazom dowództwa nankińskiego. Rzeczywiście wkrótce po tym wybuchła wojna z Japonią i armia komunistyczna poddała się pod rozkazy rządu.

Tak w skrócie przedstawia się blisko czterystoletnia historia komunizmu w Chinach. W normalnych warunkach

życia państwowego nie odegrałby on żadnej roli, ale i w tak sprzyjających dla swojego rozwoju okolicznościach, jak wojna domowa, agresja obca i nędza ludności, nie zdołał on zjednoczyć pod swoimi sztandarami ponad kilkaset tysięcy (powiedzmy nawet kilka milionów) adeptów, co stanowi garstkę w porównaniu z czterystu milionami ludności, nie mówiąc już o tym, że część tych adeptów stanowiła masę płynną i że się tak wyrazimy, koniunkturalną.

Źródła japońskie donosiły o wzmożonej w czasach ostatnich działalności emisariuszów sowieckich w Chinach Północnych, w której wyniku dał się zauważyć wzrost liczby komunistów w wojskach i wśród uczącej się młodzieży. Pierwsza informacja jest zupełnie słuszna, tylko w danym wypadku chodziło nie o propagandę komunistyczną, a tylko o anty-japońską. Taktyka Sowietów w krajach wschodnich znana jest od dawna i wiadomo, że nigdy nie występowali oni tam z marksizmem, ale umiejętnie podgrzewali uczucia narodowe, zachęcając do walki z ciemieczami. Tak było w krajach kolonialnych, Maroku, Algierze, Tunisie, Syrii i Palestynie, tak było i w państwach niepodległych, kiedy chodziło o wyzwolenie się spod obcych wpływów politycznych czy gospodarczych. Obecnie zaś kiedy taktyka Trzeciej Międzynarodówki prowadzi do stworzenia „frontów ludowych” i do legalizacji partyj komunistycznych, tym bardziej mowy być nie mogło o propagandzie, podważającej istniejący ustrój w państwie, zwłaszcza takim jak Chiny, gdzie kosztowne próby komunizacji tak bardzo zawiodły.

Nastroje wojsk i znacznego odłamu inteligencji w Chinach Północnych są zupełnie zrozumiałe, jeżeli weźmiemy pod uwagę ukrytą, ale nie ustającą agresję japońską, trwającą od czasu okupacji Mandżurii aż do wybuchu obecnej wojny. Chodziło tu nie o komunizm, ale o podrażnione uczucia narodowe, może zaś i o obiecywaną pomoc sowiecką. Oczywiście było to może niemniej groźne dla planów japońskich w Chinach Północnych, niewątpliwie jednak miało zupełnie inny charakter. Odwrotnie — można z całą pewnością stwierdzić, że właśnie nieustanna agresja japońska w ciągu lat ostatnich chroniła komunizm chiński od ostatecznej zagłady, a wojna obecna doprowadziła do jego *sui*

generis legalizacji. Gdyby więc w najbliższej przyszłości ostatecznie załamał się front chiński i upadł rząd marszałka Dziaŋg Kai-szeka, nie byłoby nic niemożliwego w tym, że dalsza walka partyzancka odbywałaby się pod hasłami komunistycznymi.

Panazjatyzm i komunizm występują w Azji Wschodniej w charakterze śmiertelnych wrogów. Jest atoli jedna rzecz, która je łączy, mianowicie nienawiść do państw kapitalistycznego Zachodu. W trosce więc o własną przyszłość zarówno Europa, jak i Ameryka mogłyby sobie tylko życzyć, aby jak najprędzej doszło do ostatecznej rozgrywki między tymi dwoma wrogami. Z drugiej jednak strony, starcie to, jak słusznie twierdzi admirał Suetsugu, doprowadziłoby do „ogólnej pożogi”. Cóż więc pozostaje? Widocznie tylko — według tradycyjnej recepty angielskiej — *wait and see*. Tak też na razie czynią Europa i Ameryka.

Konstanty Symonolewicz.

Brązowanie Marysienki.

Z powodu książki Tadeusza Boya-Żeleńskiego: *Marysienka Sobieska*.
Książnica Atlas. Lwów-Warszawa 1938, str. 366.

Nie zwyczajna miara szczęścia i nieszczęścia — zarówno w życiu jak w dziejach pośmiertnych — stała się udziałem Marii Kazimiery de La Grange d'Arquien. Wprost bezprzykładna kariera wyniosła francuską szlachciankę, córkę zadłużonego i oszkalowanego dworzanina, na tron jednego z najpotężniejszych królestw. Pozyskała sobie Marysienka namiętną i wierną miłość wielkiego i szlachetnego człowieka, najdumniejsze sny o potędze i sławie stały się dla niej rzeczywistością, lecz Opatrzność nie szczędziła jej również bolesnych ciosów. Ambitne plany założenia dynastii w Polsce prysły tuż u kresu poczynañ, w czym nie ostatnią rolę grały usterki i wady charakteru Marysienki i jej synów. Wrażliwą Francuzkę trapiły rodzinne niesnaski i dotkliwie cierpienia cielesne. Ostatnie lata królowej były prawdziwie tragicznym epilogiem jakiejś *Haupt — und Staatsaktion*, godnej zaiste *Grand Siècle'u*. Wizerunek tej nieprzeciętnej niewiasty, władczyni i małżonki ulegał w czasach późniejszych różnym przemianom, zależnie od ducha epoki. Historycy, poczynawszy od Helcla i Czermaka aż po W. Sobieskiego i Konopczyńskiego, nie darzyli cudzoziemki wielką sympatią. W Egerii Sobieskiego widzieli złego ducha, który opętanego przez siebie człowieka ściągał z świetlanych wyżyn. Natomiast obaj biografowie Marysienki, którzy podjęli się próby usprawiedliwienia tej poniżonej postaci, przeniknięci kulturą francuską i serdecznym podziwem dla ojczyzny bohaterki, mianowicie Kazimierz Waliszewski i Tadeusz Boy-Żeleński,

ci widzą w niej za dużo istoty płciowej, *Venus triumphatrix — toute entière à sa proie attachée*. Ci tak pilnie i tak wyłącznie przyglądali się jednej tylko stronie tego bogatego życia kobiecego, że zamiast wiernego obrazu stworzyli *portrait-charge*, na którym podobnie jak w tamtych sławnych karykaturach niewspółmiernie wyolbrzymiono pewną część postaci...

Czyniąc te wstępne uwagi do krytycznej oceny najnowszej książki Boya, chciałbym z góry usunąć podejrzenie, że właśnie czynię to, przed czym w swej *captatio malevolentiae* autor przestrzega przyszłych krytyków swej pracy: że z miejsca atakuję go znanymi skądinąd hasłami o „życiu ułatwionym” i „odbrązowaniu”. Dzieło Boya, poświęcone królowej Marii Kazimierze, obok czarujących *Obrachunków Fredrowskich*, a może nawet i przed nimi, należy do najlepszych pism znakomitego akademika, a jako twór literacki zasługuje na bardzo wysoki szacunek. Owiewa je tchnienie ówczesnej epoki, wyczułe i odtworzone przez autora pierwszorzędnie. Poprzedziły je sumienne i szeroko zakrojone badania źródeł drukowanych. Psychologiczne wczucie się Boya w swoją bohaterkę jest wielkie; jakkolwiek nie zawsze dociera ono aż do samych głębin duszy (pewne jej dziedziny są dla autora zamknięte z powodu *incompatibilité d'humeur*), to jednak rozwiera najpoważniejsze i szerokie widoki na barokowy krajobraz psychiczny, na *un paysage choisi que vont charmant masques et bergamasques*. Dodajmy jeszcze, że biograf, choć wobec swego przedmiotu zamiast patosu odległości używa życzliwej ironii, wypływającej z duchowej bliskości, umie jednak w obliczu prawdziwej wielkości zachować należytą, pełną czci postawę; książka Boya nie narusza żadnego słusznego uczucia, a poczuciu polskości u autora wystawia piękne i niezaprzeczone świadectwo. I cieszylibyśmy się bez zastrzeżeń z tego dziecka pełnego wszelakich wdzięków, gdyby nie ochrzczono go chybionym imieniem.

Czytamy w tytule *Marysienka Sobieska* i na tej podstawie mamy prawo spodziewać się wyczerpującej biografii królowej. Tymczasem Boy prawie wyłącznie zajmuje się młodą kobietą i to pod kątem Marii Kazimiery jako „miłościwej pani” Jana Sobieskiego. Spośród 324 stron

tekstu poświęcono 274 okresowi między r. 1655 a 1683, a zatem 28 latom erotycznego rozkwitu tego egzotycznego kwiatu na polskiej glebie.

To sfłoczenie losów dziecka, osoby dojrzałej i sędziwej już niewiasty czyli czterdziestu siedmiu lat życia na pięćdziesięciu stronicach raz, naprzód dlatego, że zakłóca proporcję, a po wtóre dlatego, iż osobowość Marysieńki wyjaśniają nam jej pochodzenie i jej przeżycia młodości; i wreszcie dlatego, że historyczne znaczenie królowej (jak i zła sława) polega na roli, jaką odegrała w latach od r. 1683 do 1696.

Przyznajemy więc, że błyskotliwe, świetnie pisane dzieło, w którym bardzo rzadko diabeł Bitru pokazuje swe pazurki (str. 132, 136, 148, 173, 175, kiedy to wyrывa się filuterny okrzyk: „zmysły, zmysły” lub gdy się dokucza „dziewicom konsystorskim”... zresztą nie taki straszny diabeł jak go malują), że ten ostatni tom Boya jest zachwycającą i na ogół prawdziwą, a przy tym taktowną historią małżeństwa dzielnego Jachniczka i nie tak znowu przewrotnej Marysieńki. Lecz do tego, by się stało biografią wyczerpującą, brakuje dziełu rzeczy zasadniczej: historycznej perspektywy i historycznej metody i — w związku z tym — równomiernego ujęcia wszystkich okresów rozwojowych i wszystkich ważniejszych przejawów osobowości Marysieńki.

Boy-Żeleński jest lekarzem, krytykiem, wybitnym znawcą kultury francuskiej jako spokrewniony z nią duchowo, jest wnikliwym szkicownikiem sarmatyzmu jako jego krewny rzeczywisty; i dopóki obraca się w dziedzinie, w której te cenne przymioty najzupełniej wystarczają, tworzy rzeczy godne podziwu. Szczęśliwe wyrażenia, jak to o „Piaście ożenionym z Celmeną”, albo takie zestawienia jak: „Żółkiewski budzi w nas cześć, Batory grozę, Sobieski mimowolny uśmiech”, owszem nawet ta pozbawiona na pozór szacunku formułka: „skoro go powiesić na ściankę między Chrobrym a Kościuszką, co chwila wylazi z ramek, aby załatwić jakąś ludzką potrzebę” — właśnie one świadczą o trafnym psychologicznym sądzie i o historycznym instynkcie subtelnej krytyki. Nawet tam, gdzie przesadza (Sobieski ma być „bohaterem mimo woli”; a to, co się uważa za jego

słabość, było najistotniejszym motorem jego życia i „jemu najbardziej należałby się tytuł pośmiertny honorowego członka Pen-clubu”), kryją się ziarna, nie tylko ziarenka historycznych prawd, jak dotąd — przeoczonych. Mimo to nie możemy obojętnie przejść obok faktu, że mądry i dowcipny autor, zarówno dzięki własnemu usposobieniu jak i dzięki brakom w historycznym wykształceniu, które pozwalają mu przechodzić obok pewnych zagadnień i źródeł, że Boy koniec końców dzieje Sobieskich traktuje jakby jakąś *histoire anecdotique* XVII i XVIII francuskiego stulecia, przy czym miłość wraz z intrygami, stanowią główny moment, owszem są wszystkim. A przecież taki Henri Bremond pod konwencjonalną powłoką *Grand siècle*'u odkrył nie tylko ziemską, ale i niebieską miłość.

Tu właśnie stajemy wobec pierwszego błędu boyowej „Marysieńki”. Królewską parę co najmniej w równym stopniu cechuje jej religijność oraz zabobonność, jak i jej zmysłowa miłość. Historia Marii Kaz. była nie tylko marivaudażem i nie tylko w latach, kiedy to według znanego przysłowia jakoś się sama stała pobożną, lecz zawsze była księgą budującą. A obok religijnych popędów, jakie w każdej czynności Sobieskich można odkryć, trzeba jeszcze pokazać myśl polityczną, snującą się poprzez całe ich życie a przyczynowo związaną z ich głęboko chrześcijańską postawą życiową. Na próżno szukać będziemy u Boya wiadomości, że Maria Kazimiera miała swój bardzo konkretny program ustroju; że wyzyskane przez anegdotyczną historię rysy tej postaci, owszem nawet że jej osławione skapstwo i rodzinne sprawy łączą się z tragicznymi i bądź co bądź dalekosiężnymi zamiarami (jakkolwiek spełzły one na niczym) założenia w Polsce silnego państwa monarchicznego na modłę francuską.

Dalej, okrzyczana Marysieńka była pionierką kultury w rozmaitych dziedzinach. A choć brakowało jej pogłębionego wykształcenia naukowego, jednak wspólnie ze swym małżonkiem systematycznie pracowała nad szczepieniem zachodniego ducha w swej drugiej ojczyźnie. Była świadomą krzewicielką poezji, sztuki i gospodarczego rozwoju. I choć Boy z dokładnie określonego punktu widzenia

żywi czułą sympatię dla swej bohaterki i stara się uzyskać uznanie i podziw dla mistrzyni niewieściego wdzięku, jednak jego Marysieńka „i na tronie pozostała mała”. Nie jest niczym więcej jak czarującą *précieuse quelque peu ridicule*, która gdy taką być przestaje, od razu staje się „piekielną babą”.

Tymczasem ta Mademoiselle d'Arquien, która przez cztery dziesiątki lat grała kierowniczą rolę na politycznej widowni Europy, była czymś więcej, znacznie więcej. O tym jednak trzeba by napisać osobną książkę, opartą na niewyzyskanych dotąd źródłach. Nawet Boy mógłby być w tej sprawie coś powiedzieć, choćby na podstawie opublikowanego już materiału, owszem powinien był powiedzieć, gdyby był... historykiem.

Zacznijmy od pierwszego wystąpienia *petite d'Arquien* w polskiej historii. Dla Boya jak i dla wszystkich jego poprzedników małżeństwo Zamoyskiego jest prostym kaprysem zblazowanego magnata wobec kwitnącego dziewczęcia, ofozonego podwójnym wdziękiem młodości i obcego pochodzenia. Nie zastanowiły autora ani wiadomość o dziwnych początkach tego małżeństwa, ani inne dokumenty, jakie znaleźć można u Des Noyers. W rzeczywistości Maria Ludwika wydała swą faworytkę za mąż za Zamoyskiego już w owym czasie, gdyż Zamoyski był wtedy upatrywany na króla Polski; stało się to więc w owym krótkim odstępie czasu między projektem następstwa arcyksięcia a wyborem, *vivent le roi*, księcia francuskiego. Zaledwie Zamoyski przestał być kandydatem na tron Piastów, jego małżeństwo, kojarzone obustronnie jedynie z pobudek politycznych, straciło rację bytu. Rozumiemy teraz, dlaczego Marysieńka przeniosła wojewodę kijowskiego nad biednego Sobieskiego. Rozumiemy też, dlaczego Maria Kazimiera z taką zawziętością starała się na powrót zdobyć królewski diadem, który już raz miał uwieńczyć jej skronie. Boy i później przeocza tę przewodnią pobudkę Marii Kazimiery, ten namiętny pęd do panowania nad krajem, w którym nie chciała pozostać inaczej niż jako królowa. Prócz przygodnej wzmianki na 233 stronie nie dowiadujemy się nigdzie, że pani Sobieska przez sześć lat (1668—1674) marzyła tylko o przygotowaniu wyboru swego męża, że już podczas bezkrólewia po Janie

Kazimierzu usiłowała wysunąć kandydaturę hetmana i że intrygi za panowania Michała I nie zmierzały (str. 223) do obsadzenia warszawskiego tronu księciem francuskim a przeniesienia Sobieskich do Wersalu, lecz że wtedy Celadon — jak się pysznie wyraził austriacki poseł — *aus anstüftung seines Weibes der Crohn für sich ambire vndt dies durch die hülff der Crohn Frankreich suchen thue*.

Jeżeli zamiast rokoszy widzimy same rozkosze, jeżeli *carte blanche* i dekonfitury przesłaniają nam wytrwałe i nadzwyczaj zręczne zabiegi Marysienki dokoła korony królewskiej, jeżeli prawie nic nie słyszymy o mistrzowskiej grze dyplomatycznej, jaką prowadziła młoda kobieta w czasie bezkrólewia r. 1673/4, to rzecz oczywista, że wobec „plotek, plotek“ zacierają się dwa zasadnicze fakty: współdział królowej w układzie jaworowskim (1675) oraz zaraz po nim następujące dwa ciosy wymierzone w Prusy i Węgry i zwrot ku Austrii, w czym również współdziałała królowa i to nie w interesie miłoty księżniczki swego ojca, lecz z rzeczowego przemyślenia zagadnień, obchodzących państwo i domową politykę dynastii. Całokształt historii poprzedzającej bezpośrednio dzieje Świętej Ligi wygląda u Boya mniej więcej tak, jak u jakiegoś Voltaire'a albo Tallemant'a des Réaux. Nos Kleopatry, nosek Marysienki mają wyłącznie rozstrzygać o dziejowych wydarzeniach, gdy w rzeczywistości decyzja Sobieskiego, w której oczywiście utwierdzała go jego przeznaczone małżonka, należy przypisać delikatnemu „nosowi“ monarchy, który wyczuł wszystkie niebezpieczeństwa grożące Polsce w razie tureckiego zwycięstwa nad Habsburgami. Tutaj mści się znowu na Boyu jego *outsiderstwo* w dziedzinie historii. Inaczej przekonałby się bez trudu, że Jan III zawarł pokój w Żórawnie nie ze strachu przed małżonką, lecz ze względu na niebezpieczeństwo nowego najazdu szwedzkiego, że „Krucjata Marysienki“ jeżeli już miała być koniecznym dziełem pięknej kobiety, to była dziełem Heleny Rákóczi, która podała rękę Thököly'emu a przez to poddała tureckiej potędze całe południowe Podkarpacie jako miejsce wypadu. Oboje Sobiescy walczyli o przymierze z Austrią właśnie w chwili, kiedy Ludwik XIV był gotów oddać staremu d'Arquien dwa księstwa zamiast

jednego, byleby tylko nie dopuścić do tego aliansu. Jeżeli zaś już wplątał się jakiś rodzinny interes do zapału krzyżowej wyprawy, podjętej istotnie z religijnych i politycznych pobudek, to tyczy się to syna, królewicza Jakuba. I o tym jednak dowiadujemy się bardzo mało. Ani o historycznie najważniejszej epoce życia Marysienki, o jej walce o godne małżeństwo dla swego pierworodnego syna, o jego wybór *vivent rege* i o zaprowadzenie silnej władzy królewskiej, ani o roli władczyni w zmiennych losach Świętej Ligi, o tragicomedii dokoła Luizy Szarloty Radziwiłłówny i o palatynackim małżeństwie, o strasznym epilogu rządów Sobieskiego, ani o wstrząsającym zafargu ze synem marnotrawnym, ani o intryganckiej grze Marysienki z Jabłonowskim i jej planie trzeciego małżeństwa z tym magnatem, o jej stosunku do bawarskiego zięcia i politycznej działalności w pierwszych latach panowania Sasów — o tych wszystkich tak istotnych wypadkach i faktach nie znajdujemy u Boya żadnej dokładniejszej wzmianki.

Skoro tylko Marysienka przestaje być istotą płciową, znika i zainteresowanie jej losami. Latom od 1683 do 1696, a wśród nich owemu lustrum w latach 1691—1696, podczas którego była właściwą regentką Polski, poświęcono w tej książce sześć stronic, za to nie szczędzono ośmiu stronic marnym sprawkom, w które zaplątali się wraz z jakąś rzymską kurtyzaną Aleksander i Konstanty Sobiescy. Musimy tu przypomnieć własne słowa Boya, wydrukowane na stronicy 241: „wciąż nie piszemy tu historii Polski; wielka polityka obchodzi nas o tyle, o ile wiąże się z osobą Marysienki. Ale wiąże się prawie ciągle”. Tymczasem o tej wielkiej polityce czytamy tak mało, gdy o *petite histoire* i o przeróżnych *historiettes* pisze się tak dużo, o wiele za dużo.

Niestety nawet i to, co czytamy o dziejach politycznych, nie zawsze jest ściśle. Przytoczymy tu kilka przykładów, których można by zaczerpnąć znacznie więcej; dołączymy ponadto parę zaczerpniętych z prywatnego życia Marysienki. O przodkach Marii Kazimierzy wyraża się Boy z niezamąconą żadnym znawstwem tej sprawy nonszalancją. Twierdzenie, że d'Arquien wywodzą się od Karola Wielkiego, Ludwika Świętego, Hugona Capet i Kłodwiga nie jest żad-

nym wymysłem usługnych genealogów, lecz najzupełniej odpowiada historycznej prawdzie. Wystarczy zestawić wywód przodków Marysieńki na podstawie najbardziej używanych podręczników, jak Père Anselme, *Dictionnaire de l'ancien Poitou* Beauchet-Fillet'a i dzieł Thaumasa'a, aby zaraz dotrzeć do *royal descents* (por. *Miesięcznik Heraldyczny* 1933, 134). Zresztą i gdzie indziej z genealogią stoi Boy na stopie wojennej. Tak więc kolebki Sobieskich dopatruje się na Rusi Czerwonej, podczas gdy najstarsza ojczyzna rodu — jak wiadomo — leżała w powiecie stężyckim (województwo sandomierskie). Krytykuje dalej Boy dane dotyczące daty urodzin Marii Kazimiery, jak gdyby były one lichą sztuką sceniczną. Należy to do specjalności autora, że daty urodzin wyższych osobistości podaje w wątpliwość. Tak uczynił z synem Aleksandra Fredry, nie troszcząc się o proste środki, jakie w takich wypadkach są do rozporządzenia genealogów. U Marysieńki nie ma żadnych danych, by datę jej pojawienia się na łez dolinie przesuwac o parę lat i przez to wnosic więcej „ułatwionego życia“ w uprzywilejowanym świecie. Wątpliwość co do ustalonej daty jej urodzin (28 czerwca 1641 r.) nie co innego chyba ma na oku, jak wyjaśnienie sobie nieprawdopodobnej dojrzałości czternastoletniego podlotka, który w roku 1655 był już bardzo samodzielną osobką. Niestety najinteligentniejsze pomysły zawodzą wobec świadectwa źródłowych dokumentów i to nie tylko wobec niewystarczającego świadectwa syna, lecz i wobec kościelnych ksiąg w Nevers, wobec *Histoire généalogique de la Maison de France* wspomnianego już ojca Anzelma, posiadającej moc urzędową, wobec wreszcie ustalonych dat urodzin i ślubów rodziny de La Grange. Rodzice Marysieńki zawarli małżeństwo w roku 1634. Mieli jednego syna i trzy córki, starsze od Marii Kazimiery. Wiadomość, podana przez doktora Connora o przybyciu królowej do Polski w dwunastym roku życia, jest poprawna. Boy, tak jak zresztą inni polscy biografowie małżonki Sobieskiego, nic nie wie o tym, że panna d'Arquien towarzyszyła być może Marii Ludwice w jej podróży do Polski, lecz też zaraz po tym musiała wrócić do Francji, skoro dzieciństwo swe spędziła na zamku Prie w Nivernais i przez kilka lat prze-

bywała w zakładzie sióstr Urszulanek w Nevers. Pod koniec r. 1652 przybyła (znowu?) do Polski, prawdopodobnie razem ze siostrami, wysłanymi przez św. Wincentego a Paulo 6 września tegoż roku do Warszawy na żądanie królowej Marii Ludwiki.

Pomińmy już pewną ilość nieściśłości w biografii Jana Sobieskiego aż do jego małżeństwa, a wspomnijmy o jednym ważnym bądź co bądź przeoczeniu, mianowicie o pierwszym poważnym romansie starosty jaworowskiego z ową szlachcianką, którą młody Sobieski bezwarunkowo chciał poślubić, a którą jego matka jak najpośpieszniej wydała za mąż za kogo innego. Epizod ten jest dlatego ważny, że wprowadził oziębienie między syna a matkę i że słowa Jachniczka o rzekomej swej poprzedniej niechęci do małżeństwa są w świetle tego zdarzenia prostą fanfaronadą. Na przestrzeni zaś lat aż do roku 1674 ograniczymy się do jednej uwagi. Przyczyn rokoszu Lubomirskiego należy szukać gdzie indziej, niż to przypuszcza Boy. Wielki marszałek koronny przygotował w potajemnym porozumieniu się z wiedeńskim i berlińskim dworem swoją kandydaturę na tron i to na podstawie swego pochodzenia z mazowieckich Piastów poprzez książąt Ostrogskich, Kostków i Odrowążów. Jerzy Lubomirski patrzył na Wazów jako na rodzaj uzurpatorów, jednakowoż po ich wymarcu chciał swoim tronowym prawom jako potomka księcia Janusza Mazowieckiego zapewnić zwycięstwo.

Pierwsze potajemne zaślubiny Jana Sobieskiego z Marysieńką są potwierdzone jako fakt nie tylko przez list Enghiena i papy d'Arquien albo dzięki wiadomości podanej przez Niemirycza. Wbrew powątpiewaniom Czerbaka mogą na podstawie niedrukowanych źródeł ustalić dzień 14 maja jako dzień ślubu. Akty poselstwa austriackiego już w parę dni po tym określają to zdarzenie jako znane. A przeciwnie historia o nocnej schadzce jest zupełnie zmyślonym rozdziałem, zaczerpniętym z *Chronique scandaleuse* i bez tego już dość skandalicznej. Oboje zakochani nie żenowali się bynajmniej swymi schadzkami, wiedziała o tym królowa Maria Ludwika i wesele odbyło się przy blasku latarni zupełnie według programu i bez żadnych dramatycznych scen w obec-

ności Bonzy'ego i kilku świadków, których powiadomiono na parę dni przed tym.

Boy twierdzi, że oryginały listów wymienionych między Sobieskim a Marysieńką są mitem, nikt ich nie widział. Otóż znajdują się one dobrze zachowane w berlińskim archiwum państwowym, a to w drugim i ósmym dziale archiwum Sobieskiego. Podczas gdy więc ten rzekomy mit jest namacalną rzeczywistością, legendę o proteście szlachty przeciwko cynizmowi magnatów przy wyborze Wiśniowieckiego należy umieścić w sferze mitów. Nieszczęśliwa psychoza tłumy z dnia 19 czerwca 1669 roku była dziełem dobrze przygotowanej agitacji prowadzonej przez biskupa Olszewskiego, działającego w zupełnej zgodzie z Wiedniem. O biednym Michale I niedużo posiadamy pewnych danych w drukowanych źródłach, Boy jest tu więc poniekąd usprawiedliwiony. Tak np. kronika małżeństwa Wiśniowieckiego spoczywa wśród tajnych aktów wiedeńskich, dotychczas nie wyzyskana przez nikogo. Wydrukowana, nawet w części, dostarczyłaby materiału na monografię, wobec której zbłądłaby monografia seksualnego życia kilku szczepów dzikusów, napisana przez kilku Malinowskich i wydana przez kilku Przeworskich. W tych papierach znalazłby Boy rozwiązanie zagadkowego stosunku króla do pani Konarzewskiej, dowiedziałby się mianowicie że była to nie pani ale... pan Komarzewski.

A oto dalsze błędy, jakich chyba można było uniknąć na podstawie materiałów drukowanych: wiadomość o śmierci Longueville'a — wbrew twierdzeniu Boya — dotarła do Warszawy już 1 lipca 1672, co więcej ona to była powodem, że w akcie z tegoż dnia nie znalazło się zamierzone początkowo wypowiedzenie posłuszeństwa Wiśniowieckiemu. Niewłaściwe również jest twierdzenie, że Sobieski odsunął po swoim wyborze myśl połączenia hetmańskiej godności z władzą królewską; jak długo mógł, odraczał chwilę przekazania tej godności komu innemu i uczynił to dopiero wtedy, gdy dalsze zwlekanie było niemożliwe. Podjęte próby usunięcia Marysieńki od koronacji jako królowej nie ograniczały się wyłącznie do sejmo-krzyków jednego szlachcica, żądanie to stawiała potężna i wielka partia, a mały pośpiech

Sobieskiego w koronowaniu się na króla należy tłumaczyć nie tylko wysuwana urzędowo na pierwszy plan gorliwością oswobodzenia raz na zawsze kraju od muzułmanów, lecz właśnie trudnościami, jakie podnoszono przeciwko Marii Kazimierze. Dorzucimy ubocznie, że Boy pomija ważny epizod choroby Marysienki w lecie i jesieni 1674 roku. Liczono się wówczas powszechnie z możliwością jej zgonu. Sobieski miał poślubić Eleonorę, wdowę po Wiśniowieckim, a gasnąca w swym mniemaniu „Jutrzenka“ zaklinała swego „Sylwandra“, by po jej śmierci nie brał za żadną cenę znienawidzonej Austriaczki, tej *ragazza* i „karlicy“, lecz żeby poślubił koniecznie Francuzkę. W ogóle dziwi mię to, że Boy nic nie wspomina o śmiertelnej zawiści tych dwóch kobiet — Marysienki i Eleonory. Z tego współzawodnictwa zrodziła się większość spisków, uknutych — w liczbie co najmniej czterech — za panowania Jana III przez austrofilskich magnatów. Niewłaściwe jest za to twierdzenie Boya, jakoby Austria sama maczała w nich w jakiś sposób swe palce. Leopold I uchylał raz po raz usiłowania swej macochy i swojej siostry, które z cesarza chciały zrobić protektora knowań Stanisława Lubomirskiego, Grzymułtowskiego i Paca, a później Sapiehy.

Teraz parę słów o nieścistościach odnośnie do spraw francuskich. Marysienka nie była oddzielona od rodziców od najwcześniejszego dzieciństwa. Aż do roku 1652 przebywała w Nivernais, w roku 1662 przybyła do Francji i według wszelkiego prawdopodobieństwa przez całe życie utrzymywała z rodziną jak najściślejszą łączność. Na zamku Prie znalazły się całe stosy jej listów pisanych do ciotki. Tajemniczy Brisacier był niewątpliwie naturalnym synem Sobieskiego; pochodził ze związku, jaki Jan III utrzymywał z żoną pewnego francuskiego urzędnika podczas pobytu swego w Paryżu (1647). Sobieski mieszkał wówczas w *Hôtel de Brisach*. Dla każdego, kto zna ówczesne i późniejsze stosunki francuskie — syn naturalny pani de Tencin d'Alembert nazywał się np. Le Rond, ponieważ podłożono go na schodach kościoła St. Jean Le Rond — nazwisko Brisacier jest dostatecznie wymowne. Barwna historia tego nielegalnego Sobieskiego, jedna z najbardziej romantycznych przy-

gód, jakie pisało kiedykolwiek życie, wygląda u Boya powikłana. Tak np. Ludwik XIV nigdy nie przypuszczał, że przy wystawieniu książęcego patentu *in blanco*, jaki Sobieski obmyślił dla owego Brisacier, chodziło o starego d'Arquien (któremu „król-słońce“ wtedy nie chciał stanowczo wyświadczać tej łaski), lecz mniemał, że *duché pairie* jest przeznaczone dla małego Ludwika-Jakuba, najstarszego syna Jana III i chrzestnego dziecka francuskiego władcy. A nieporozumienie to dlatego nie wyszło na jaw, że w tej komedii pomyłek Béthune, szwagier Sobieskiego i poseł w Warszawie uroił sobie, że tytuł księcia właśnie jest dla niego przeznaczony. Odmowa Ludwika XIV, który wzbraniał się przyznać Sobieskiemu tytuł *Majesté*, nie stoi w żadnym związku z aferą Brisacier, jak mniema Boy. Burbon z zasady nie chciał udzielać tego tytułu monarsze wybieranemu.

Wróćmy teraz do Polski albo przed tym jeszcze do Austrii. Twierdzenie Boya, że militarna strona bitwy pod Wiedniem jest trudna do ustalenia, brzmi co najmniej za śmiało wobec faktu, że nie wiele walk tak dobrze znamy w każdej fazie i w każdym szczególe ich przebiegu jak właśnie walkę z 12 września 1683 roku. Możemy najdokładniej podać liczbę wojsk chrześcijańskich i tureckich; posiadamy przecież z osmańskich źródeł przeglądową listę Kara Mustafy, a stan niemiecko-austriacko-polskiej armii odtwarzają najdokładniej badania Kukiela, Jagielskiego, Chrzanowskiego, O. Dąbrowskiego, Laskowskiego i innych niepolских historyków oraz dane zawarte w wiedeńskim archiwum wojskowym. Na podstawie tych źródeł muzułmanie posiadali około 115 tysięcy walczących, z których 20 tysięcy związanych było z Wiedniem jako korpus obserwacyjny, reszta zaś, 95 tysięcy, rozprawiała się z 76 tysiącami chrześcijan, z czego Polacy, to 25 tysięcy armii Sobieskiego i 3 tysiące korpusu pomocniczego Hieronima Lubomirskiego, wcielone do wojsk cesarskich.

Zupełnie fałszywa ocena zachowania się Leopolda I, jaką reprezentuje polska historiografia, która tu zawodzi i nie umie się wczuć w obcy sposób myślenia, usprawiedliwia Boya, że powtarza jak za panią matką wszystkie frazesy o „niewdzięczności“ i „pysze“ cesarza, że on, tak wnikliwy

kiedy indziej psycholog, nazywa postępowanie Habsburga wobec królewicza Jakuba chamskim, nie dodając, że to zachowanie się musiało mieć swoją przyczynę. Cały bowiem „znany” przebieg sprawy po oswobodzeniu Wiednia jest bardzo nieznana intrygą, której głównym aktorem był Hieronim Lubomirski a której motywy nie są nam jeszcze jasne. Lubomirski donosił 20 lipca Sobieskiemu, że książę lotaryński oznajmił mu, autorowi tego listu, iż węgierska korona oraz ręka jednej arcyksiężniczki mają przypaść Jakubowi. Otóż właśnie te dwa punkty były główną przeszkodą, jaka wyłoniła się w dobie przygotowań do zawarcia przymierza między Wiedniem a Warszawą. Leopold żywił uzasadnioną nieufność wobec stosunków polskiego dworu do Apafi’ego, Thököly’ego i innych Węgrów, wrogo usposobionych dla Habsburgów. Nie miał przy tym żadnej ochoty oddawać synowi Sobieskiego arcyksiężniczki Marii Antoniny, jedynej swej siostry na wydaniu, ponieważ następstwo Jakuba na tronie polskim uważał za nader wątpliwe. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, na propozycje przedstawione przez Buonvisi’ego, ówczesnego nuncjusza wiedeńskiego, a później przez wicekanclerza Gnińskiego, wyrażono ze strony austriackiej — biskup Sinelli i ambasador hrabia Waldstein — grzeczne ale niedwuznaczne „nie”.

Jakże więc musiał być zaskoczony Sobieski, gdy ni stąd, ni zowąd dowiedział się, że z austriackiej strony ofiarowuje się jednocześnie i węgierską koronę i habsburskie małżeństwo! Otóż propozycję tę wysłał Lubomirski z palca. Akty wiedeńskie wykazują, że Lotaryńczyk nie wyrzekł w tej sprawie ani słowa i psychologicznie tym mniej prawdopodobną wydaje się taka interwencja małżonka Eleonory, im więcej on liczył na to, że sam zostanie królem Polski po śmierci Sobieskiego. Jan III odnosił się początkowo do doniesień Lubomirskiego sceptycznie, w zwycięskim jednak uniesieniu, przyciśnięty do tego listami Marii Kazimiery, począł w te dziwy wierzyć. Wysłał ks. Hackiego z osobną misją do Leopolda I, której główną treść stanowiły dwa owe punkty: Węgry oraz małżeństwo królewicza Jakuba. Łatwo zrozumieć wrażenie, jakie musiało wyrzucić to poselstwo na nie przeczuwającym cesarzu i to w dzień bitwy pod Kahlen-

bergiem. Propozycje te, powołujące się na zachęty Lotaryńczyka, diametralnie sprzeczne ze wszystkimi austriackimi wypowiedzeniami, uważał po prostu za wymuszenie. 13 i 14 września panowały na dworze cesarskim głęboka konsternacja i szczerze oburzenie z powodu tej misji Hackiego. Intryga Lubomirskiego osiągnęła swój cel: zakłóciła jednomyślność dwóch sprzymierzeńców w decydującej chwili. Musimy bowiem pamiętać, że Hieronim Lubomirski był kierownikiem ekspedycji na Węgry w pierwszych latach panowania Jana III, że bez przerwy pobierał francuską pensję i wkrótce po Wiedniu wystąpił znowu jako przywódca frankofilów.

Nuncjuszowi Buonvisi'emu i ojcu Markowi d'Aviano udało się zmienić nastrój dobrodusznego Leopolda. Gotów był już spotkać się z Sobieskim. Nie tylko nie chciał mu okazać się niewdzięcznym, lecz przeciwnie chciał wyrazić swoją wdzięczność. I rzeczywiście uczynił to w wyszukanych słowach, pragnął jednak dać równocześnie „lekcję“, by na przyszłość unikać wszelkich pustych nadziei co do osoby królewicza. Więc przy powitaniu pominął go. Tak, a nie jako „chamstwo“, należy pojmować zaniechanie powitania Jakuba przez Leopolda. A jak naprawdę mało zdawał sobie Habsburg sprawę z wyrządzonej Sobieskiemu przykrości, może poświadczyć następujący wyjątek z listu Leopolda, pisanego przez niego wieczorem tegoż dnia, i to do swego duchownego ojca i powiernika: *la visita d'hoggi col Re di Polonia e passata molto bene e se esso fu da me così sa disfatto com'io da lui, certo potremo essere consolati. Io credo che da questo porra nascere gran bene a tutta la Cristianità.*

Przejdźmy obok wierszy, pisanych w stylu wojennych meldunków, w których Boy maluje klęskę pod Parkanami, a zaprzeczmy raczej innej zakorzenionej historycznej plotce o „śmiertelnej nienawiści“ Marysienki do siostry Jana III, księżnej Radziwiłłowej. Obie niewiasty kłóciły się często między sobą, według zwyczaju panującego na dworze warszawskim, lecz czyniły to także Marysienka i jej własne siostry Mme de Béthune i Wielopolska. Mimo to kochały się czule. Podczas choroby bratowej nie odstępowała Maria Kazimiera od jej łóżka i śmierć księżnej kosztowała królowę

wiele łez. Niegodziwe przekąsy Baluze'a nie zasługują na najmniejszą uwagę.

Zamiast tych rozdzwieków między żoną a siostrą Sobieskiego, powinno się było raczej opowiedzieć szeroko o kłótniach Marysieńki ze swoim pierworodnym synem, wynikających z głębokich przyczyn. Biografię królowej z okresu lat 1689 do 1696 zbywa Boy paru słowami. Wielka szkoda, że autor ani razu nie skorzystał z opublikowanych przez Ziembickiego (i cytowanych w spisie spożytkowanych prac) listów, na podstawie których możemy wglądać w ten niesmaczny spór rodzinny. Przy tym Boy podaje zupełnie opaczna wiadomość o niechęci królowej do swej synowej, księżniczki Jadwigi, podczas gdy w rzeczywistości Maria Kazimiera żyła z nią właśnie w jak najlepszej zgodzie i jednym z głównych powodów zatargu matki z synem były wyrzuty, jakie czyniła królowa Jakubowi za jego brak miłości w stosunku do swej małżonki. Zauważmy mimochodem, że podana przez Boya wielkość posagu Jadwigi nie odpowiada faktycznemu stanowi rzeczy. Panna młoda wniosła pół miliona, a nie sto tysięcy.

Żywo trzeba zaprotestować przeciw wątpliwościom, jakie wyraża autor co do wykształcenia i kulturalnych zainteresowań Sobieskiego. Ten wypad przeciw duchowemu horyzontowi króla jest jedyną próbą „odbrązowania” w książce, napisanej zresztą bez żadnych uprzedzeń. Gdyby Boy przestudiował rzeczywiście wszystkie książki podane w chaotycznym wykazie literatury, nie mógłby wtedy w żaden sposób zaprzeczyć wszechstronnego i głębokiego wykształcenia Jana III. Katalog królewskiej biblioteki, powstałej w całości z osobistych zamówień króla, świadczy o niezwykle żywej i wszechstronnej ciekawości Sobieskiego. Nie pominięto tu żadnej dziedziny ludzkiej wiedzy. Wybór dzieł literackich wskazuje na dobrego ich znawcę. Niech tylko Boy, który w tej dziedzinie jest szczególnym rzeczoznawcą, przegłębnie wykaz autorów francuskich, których Sobieski czytał, a więc: Corneille, Molière, Racine, Rabelais, La Fontaine, a także Amadis, Cyrano, Mlle de Scudéry i Scarron, a z drugiej strony La Calprenède, Voiture, Boileau, potem znowu St. Evremont, kardynał Retz, *Lettres portugaises*, Fonte-

nelle, cały Pascal, Descartes, wielki Arnauld. Podobnie rzecz się ma z innymi książkami, którymi król ustawicznie się rozkoszował. Głębokość zaś i zakres jego wykształcenia można oznaczyć, cofając się do samych jego źródeł, tzn. do studiów krakowskich, przeglądając bogate materiały, jakie zachowały się z tego okresu, albo gdy się rozważy nakreślony przez niego zarys studiów Jakuba Sobieskiego, lub gdy się przerzuca kartki setek poselskich doniesień, świadczących zgodnie o duchowej ruchliwości i wszechstronnym wykształceniu Jana III. Zwłaszcza listy Béthune'a, Polignaca i Voty są pod tym względem szczególnie ważne. Zabobonność, którą Sobieski podziela z bardzo wielkimi i bardzo uczonymi ludźmi swego czasu, równie słabo przemawia przeciw jego duchowej niezależności i szerokiej wiedzy, jak zabobonna wiara w cuda nauki oraz we wszechmoc płci w niczym nie umniejsza fachowości pewnego wybitnego nowoczesnego znawcy francuskiej literatury...

Skończmy tę naszą krytyczną przechadzkę poprzez życie Marysieńki u jej grobu. Boy jest ostrożniejszy od Waliszewskiego; nie chce opowiedzieć się za romantyczną wersją o przeniesieniu szczątków królowej. Naga prawda jest taka: ciało Marii Kazimiery spoczywało w kościele Boskiego Zbawiciela w Blois, aż do wystawienia w Warszawie prowizorycznego grobu. Tam też zimą 1716/7 roku została przeniesiona trumna. 28 lutego 1717 umieszczono ją w warszawskim grobie u Kapucynów obok Jana III. W prozie tych danych kryje się jednak coś z Trystana i Izoldy. Ostatnim życzeniem Marysieńki był powrót do swego Jachniczka. I tutaj stajemy wobec najważniejszego zagadnienia tej książki, jak w ogóle każdego dzieła o królewskiej parze: czy naczelny motyw życia Marii Kazimiery, jej stosunek do Sobieskiego, został uchwycony trafnie?

Wielką zasługą Boya jest to, że przeciwstawia się powierzchownej opinii o Marysieńce jako o złym duchu, samolubnej megerze, wyzyskującej swego powolnego małżonka do własnych celów. Z wielkim zrozumieniem ukazuje autor raz po raz cierpienie i ból, jaki tak często nawiedzał i królową (co prawda pomija najgorszy: przeżycia związane z jej najstarszym synem). Dowodzi przekonująco, że

głęboka miłość między Celadonem a Astreą była obopólna. Lecz zatrzymuje się przy czystej zmysłowości i przy tym, co da się uchwycić racjonalistycznie. Boy nie spostrzega sił metafizycznych, jakie wyzierają z poza tej grubo-zmysłowej, grubo-popędowej powłoki miłości. Już same jej początki nie są tylko banalną historią małżeńskie niewierności. Przy sięga w kościele warszawskim *vivente marito* ma zabarwienie religijne. Później zaś sakramentalny pierwiastek występuje w tym związku ludzi głęboko wierzących coraz dobitniej. Boy zupełnie niesłusznie pominął to stopniowe uduchowanie małżeństwa Marysienki. W listach królowej pisanych do Jakuba mamy wzruszające dowody uszlachetnionej miłości małżeńskiej, dowody na to, że uczucia żony do męża wzniosły się ponad zmysłowość i polityczne interesy, że ta miłość przetrwała zwycięsko. Za jeden ten list dajemy chętnie wszystkie drukowane i czekające na wygrzebanie z ukrycia sprośne wyjątki z listów miłosnych Celadona i Astrei: *Je suis toujours en esprit près du roi votre père. Je désire qu'il m'ait autant dans le sien. Je connais l'obligation que je Lui (Bogu) ai de me l'avoir (Sobieskiego) donné pour mari. Je voudrais à tous les moments du jour Lui pouvoir marquer ma reconnaissance.* Tak pisano po 25 latach małżeńskiego pożycia a po 35 latach miłości.

Szkoda również, choć nie robimy z tego Boyowi żadnego zarzutu, że nic nie wie o licznych niedrukowanych źródłach, które także dowodzą, że Maria Kazimiera już w *Sturm — und Drangjahren* jej małżeństwa była namiętnie kochającą małżonką i świadczą jednocześnie, jak naprawdę kierowała się ona zawsze wielkimi koncepcjami politycznymi, a nie tylko niskimi chęciami zysku. Była dzieckiem czasu i wychowanicą Marii Ludwiki; posiadała duszę wielką, *de gloire leur âme est ivrogne*, a przy tym kaprysy źle wychowanego dziecka. Jednego uderzającego rysu jej charakteru Boy nie wymienił: lęku przed samotnością. Inny — popęd do dziecinnych zabaw — naszkicował tylko pobieżnie. W każdym razie obraz tej osobiwej kobiety domaga się jeszcze w wielu kierunkach licznych uzupełnień. Dokonać tego może tylko fachowy historyk.

Jako pisarz jednak wywiązał się Boy ze swego zadania znakomicie. Z małego zasobu źródeł — którego ograniczona objętość przeziara z przytaczanej literatury — stworzył pełne życia opowiadanie o wielkiej miłości i jej działaniu na współczesny sobie przebieg zdarzeń. Jesteśmy mu za to i za odsłonięcie nam innych przejawów duchowego życia wdzięczni. Przez postawienie pewnych zarzutów, które zrobiłem jako historyk, i z których część przynajmniej musiałem przytoczyć, nie chciałem ubliżyć szanownemu autorowi. *Le plus bel écrivain du monde ne peut donner que ce qu'il a.* Wystarczy tylko zestawić nieprzeciętne osiągnięcie Boya z przerażającym płodem niejakiego Aurenche, wydany w Paryżu u Emile-Paul Frères pt. *La fortune de Marysieńka* — a który na wstyd i hańbę otrzymał nagrodę Lubomirskiego — by się przekonać nawet o dziejopisarskiej wartości dzieła, danego nam przez niefachowca, tej rozkosznej, ludzkiej i żywej „Marysieńki Sobieskiej”. I właśnie poważanie swe, jakie żywię wobec tej pracy i zachwyty, jaki odczuwałem przy czytaniu tej książki o najsztudniejszych walorach artystycznych, chciałem wyrazić nie w pustych pochwałach, lecz przez rzeczowe zajęcie się jej treścią.

Prof. dr O. Forst Battaglia.

O prymat na Pacyfiku.

W parę lat po stworzeniu przez Stany Zjednoczone podwalin pod ich kolonialne imperium na zachodzie Pacyfiku, ówczesny prezydent Roosevelt wydał sąd, że „geograficzne położenie Ameryki zabezpiecza Stanom pokojowe opanowanie wód Pacyfiku, pod warunkiem jednak, że z dostateczną energią podejmie się trudu wyciągnięcia wszelkich z tej sytuacji korzyści”. Filipiny w rękach Stanów mogły stać się bazą do handlowego i finansowego przenikania na kontynent Azji i przyległe wyspy, tak samo jak wyspy Hawajskie mogły stworzyć silną bazę hegemonii na środkowym Pacyfiku. Na północ bowiem od Manilli w promieniu nie większym od 1,700 mil, leżą ośrodki życia Japonii: Jokohama, Kobe, Osaka, oraz bramy wejściowe do Chin północnych: Dajren i Tientsin; na południe natomiast w tymże samym promieniu leżą: Sajgon i Bangkok, zbierający bogactwa francuskich Indo-Chin i Siamu — wierzeje Singapur, strzegące wejścia do bajecznych skarbów Indyj brytyjskich — Batawia i Surabalia, kluczowe porty Indyj holenderskich — wreszcie północne pobrzeża Australii. W polu koła, zatoczonego z tegoż ośrodka promieniem nie wiele większym od 2,500 mil, zamieszkuje niemal połowa ludzkości globu.

Prawie równocześnie z tym zjawieniem się Stanów Zjednoczonych na międzynarodowej arenie imperialnych ekspansyj, zaczęły wynurzać się z feodalnego ustroju potężne nowoczesne kształty Japonii. O ile jednak długie dziesięciolecia wewnętrznej konsolidacji i gospodarczego rozwoju rozległych ziem Ameryki umożliwiły Stanom łatwe zdobycie

resztek hiszpańskiego dziedzictwa, budząca się z długiego letargu azjatycka potęga Japonii napotkała na zjednoczony przeciw sobie front Europy i Ameryki. Każdą więc swą zdobycz kolonialną musiała okupić ciężkimi ofiarami z życia i mienia swych obywateli i upokarzanej dumy narodowej. Szczytowe jej osiągnięcia, przypadające na okres wielkiej wojny i oddające, jakby się mogło wydawać, całość Chin w jej wyłączną eksploatację, unicestwione zostały umowami washingtonskimi z 1921/2, pozbawiającymi ją ponadto jedyne dotychczas brytyjskiego jej sprzymierzeńca. Tak samo jednak, jak rozbudowująca się na bogatych własnych surowcach gospodarka Stanów zmusza je do ekspansji na zewnątrz, tak również zagęszczająca się wciąż ludność skąpych obszarów Japonii przynagla ją do poszukiwania osiedleńczych terenów, źródeł surowcowych oraz rynków zbytu dla bogatej produkcji.

W tym samym mniej więcej czasie, gdy Stany Zjednoczone i Japonia inicjowały swą światową politykę imperialną, wielkie mocarstwa Europy zmieniały dotychczasową taktykę swych imperialistycznych poczynań. Po rozdzieleniu bowiem między całość *nomanslandów*, rozpoczęły one systematyczną organizację gospodarczej eksploatacji państw słabszych, wykorzystując w tym celu swe przeważające wpływy polityczne i swe siły militarne. Ofiarą tych nowych metod coraz bardziej uprzemysławiających się wielkich mocarstw Europy miały paść w pierwszym rzędzie bogate w ludność terytoria Chin, a także, jak spodziewano się przez pewien czas, gęsto zaludnione wyspy Japonii.

Z inicjatywy Roosevelt'a „Amerykanie przyzwyczajali się myśleć o Pacyfiku jeżeli nie jako o *mare nostrum*, to w każdym bądź razie jako o arenie ich przyszłej w XX w. działalności”.¹⁾ Pierwsze jednak dziesiątki lat tego stulecia przyniosły niewątpliwą przewagę ich brytyjskim rywalom. Większa zasobność Wielkiej Brytanii w finansowe i techniczne środki, jej uprzednia rola pioniera na rynkach Dalekiego Wschodu, oraz sąsiedztwo jej olbrzymich posiadłości kolonialnych, a więc i właściwe nastawienie jej morskich

¹⁾ Whyte: *Contemporary Review*. XI. 1937.

połączeń, dawały jej bezwzględną przewagę w rywalizacji z początkującymi wysiłkami zespołu jej współzawodników. W tym początkowym wyścigu o prymat na zachodnich wybrzeżach Pacyfiku najważniejszą przeszkodą w poczynaniach Stanów był brak bezpośrednich i krótkich połączeń z Pacyfikiem ich wschodnich prowincyj, dziś jeszcze grupujących około 70% ludności, przeważającą masę przemysłu, oraz bardzo znaczną część rolniczych i kopalnianych zasobów. Kanał Panamski, otwarty w r. 1915, oraz powolne lecz stałe zagęszczanie się osiedli nad Pacyfikiem, stwarzały coraz imperatyniwszą konieczność poszukiwania rynków w basenie tego oceanu i coraz większego wysiłku w zwalczaniu szczęśliwszych dotychczas konkurentów.

Wojna światowa, przyniósłszy polityczną i militarną przewagę Wielkiej Brytanii na innych wodach i kontynentach, tutaj na Pacyfiku i w Azji zniszczyła podstawy jej dotychczasowej wyższości. Wzbogaciła ona bowiem w środki finansowe i techniczne jej głównych na tych wodach rywali, pozbawiła ją nimbu pierwszej na morzach potęgi, oraz wyczerpała źródło, umożliwiające dotychczas stały rozwój jej przemysłowej wytwórczości, stanowiącej główną ostoję jej potęgi. Uprzemysłowiające się dominia, Indie, oraz szereg innych państw, zmniejszyły w znacznym stopniu zakupy towarów angielskich, pozbawiając przemysł brytyjski płynących z tego zysków, które przedtem pozwalały na zawsze zwycięską konkurencję na każdym zagrożonym przez obcych rywali odcinku. Toteż o ile w r. 1913 przywóz z Imperium Brytyjskiego stanowił 54% chińskiego, a 42,8% japońskiego importu, w dwadzieścia lat potem spadł on do 29,4% względnie do 30,5%, w tym samym natomiast czasie przywóz ze Stanów Zjednoczonych wzrósł z 6% do 21,9%, względnie z 16,8% do 32,4%.

Jeżeli gospodarcze przemiany świata walnie przyczyniły się do tak radykalnych przesunień na rynkach Pacyfiku, to ulegające zmianom polityczne i militarne warunki mocarstw, stanowiące przecież podstawę przenikania Europy na te rynki, również doniosłą odegrały rolę. Hasło *Britannia rule the waves*, głoszonemu dumnie przez wieki i stającemu się prawie aksjomatem nie tylko na tych wschodnich morzach, rozwój wypadków zadaje jeden cios po drugim. Zbyt duża

ilość nagromadzonych w ciągu wieków a rozrzuconych po całej kuli ziemskiej posiadłości, oraz stopniowe przyzwyczajanie się ich posiadaczy do rzekomego pewnika, że będą mogli zachować swe zdobycze samą tylko tradycją i biernością pozostałego świata, związało radykalnie ręce Wielkiej Brytanii tak na Pacyfiku jak i gdzie indziej. Podczas gdy główni rywale Wielkiej Brytanii na Pacyfiku: Japonia i Stany Zjednoczone mogą zawsze na tym tylko oceanie, lub na nim głównie, skoncentrować swe działania, to Wielka Brytania z „konieczności musi rozważać swe zobowiązania i swe interesy na Dalekim Wschodzie w płaszczyźnie jeszcze bardziej żywotnych jej spraw, mogących wyłonić się gdzie indziej. W konsekwencji wolność jej poczynań w rejonach Pacyfiku jest niewątpliwie mniej szeroka niżby to mogło być idealnie pożądanym”.¹⁾

W rozważaniach spraw Pacyfiku, nie można, jak sądzimy, pomijać tych właśnie historycznych momentów ich rozwoju. One bowiem tłumaczą dostatecznie i zaciętość Japonii i energiczne przygotowania Stanów i bierność W. Brytanii na wodach tego oceanu. Zmuszona powrócić do Europy dla obrony swych bardziej żywotnych spraw domowych, może W. Brytania w swych działaniach na Pacyfiku, na razie przynajmniej, tylko sekundować inicjatywie Stanów Zjednoczonych, ku którym też zwracają swe nadzieje jej własne na tym oceanie położone dominia.

II.

W basenie Pacyfiku krzyżują się obecnie niewątpliwie najbardziej różnorodne i najbardziej rozgałęzione interesy. Olbrzymie bowiem skupienia ludzi, znajdujące się na jego zachodnich pobrzeżach, rokuja wielkie możliwości dla produkcji państw przemysłowych, bogate zaś w surowce a prawie puste, lub tylko słabo zamieszkałe ziemie jego południa i wschodu, otwierają szerokie osiedleńcze perspektywy dla wszystkich przeludnionych krajów. Naturalne te warunki krajów Pacyfiku utrudniają szczególnie sytuację mocarstw

¹⁾ Whyte: *Contemporary Review*. XI. 1937.

Europy, dzierżących olbrzymie pobrzeżne jego terytoria. Usiłują one bowiem równocześnie zwiększyć swą ekonomiczną penetrację na terytoria tubylczych państw tego oceanu a zarazem ochronić przed ludnością i gospodarczą ekspansją tychże państw swe kolonialne posiadłości Pacyfiku.

Dynamizm Japonii, wyładowywany obecnie w bardzo energiczny sposób na kontynencie Azji, zatrwożył cały zespół najbardziej na nim zainteresowanych mocarstw i zbliżył ich polityczne posunięcia. Jeżeli konferencja w Brukseli, wykazująca teoretyczną zgodność poglądów obradujących tam państw na sprawy Pacyfiku, nie doprowadziła mimo to do czynniejszego wystąpienia przeciw Japonii, to przyczyn tego faktu należy szukać, bądź w niedostatecznym przygotowaniu koniecznych środków do walki, bądź w związaniu tych państw z kłopotami na innych odcinkach.

To zaabsorbowanie innymi sprawami daje się odczuwać nawet Stanom Zjednoczonym, chronionym już od dawna w ich kontynentalnym odosobnieniu doktryną Monroego. Ostatnie wypadki w Brazylii, wywołujące uporczywe pogłoski o czynnym współdziałaniu w tym przewrocie totalnych państw Europy, spowodowały wystąpienie sekretarza stanu Sumner Welles'a, który oświadczył, że każda próba państw nie-amerykańskich narzucenia drogą siły kontynentowi amerykańskiemu swych politycznych lub ekonomicznych wpływów, otrzyma natychmiastową i należytą odprawę.

Tym bardziej polityka Francji na Pacyfiku zależną jest od toku spraw na innych kontynentach i tym silniej związane są jej posunięcia na tym odcinku z inicjatywą Stanów i W. Brytanii. Usadawianie się bowiem Japonii na właściwych już chińskich terytoriach jest równie groźne dla Filipin, jak dla Hong-Kongu i Indo-Chin. Staje się więc zupełnie zrozumiałą czujna uwaga Francji, zwrócona ku dalekiemu Pacyfikowi, mimo licznych kłopotów w utrzymaniu całości jej własnych granic. Jak bowiem wyraża się *Temps* (27 VIII 1937), „zaczęto już rozumieć błędność poglądów, które głoszą możliwość, by Francja pozostała biernym tylko obserwatorem wypadków na Dalekim Wschodzie”. Powaga sytuacji w Europie pozbawia jednak francuskie posiadłości na Pacyfiku wszelkich prawie środków czynnej obrony,

oddając faktyczną ich ochronę w ręce W. Brytanii. Ten poza-europejski francusko-brytyjski solidaryzm jest jednak korzystny również i dla Anglii. Porty bowiem Indo-Chin, a szczególnie rozbudowana obecnie baza Cam-Ranh'u, leżąc w połowie drogi pomiędzy Indiami Holenderskimi i Singaporem, oraz Hong-Kongiem i Filipinami, mogą ogromnie ułatwić działania floty, broniącej tych posiadłości.

O ile obecna solidarność Francji i W. Brytanii na Pacyfiku wypływa z faktu wspólnego ich zagrożenia, to zgodność brytyjsko-holenderskich interesów jest ponadto sprawą ściślej litery prawa. Na zasadzie bowiem traktatu londyńskiego z r. 1824, Wielkiej Brytanii przysługuje prawo okupacji wysp Sundu w razie ich opuszczenia przez Holendrów. Parowiekowa już tradycja powierza też W. Brytanii opiekę nad portugalskimi posiadłościami.

Wyraźne przeciw-japońskie zgrupowanie Anglii, Francji, Holandii i naturalne ciążenie ku nim Ameryki, skłania te państwa do podjęcia jak najbardziej energicznych zarządzeń defensywnych na wszystkich odcinkach. Czynniejszą jednak inicjatywę paraliżuje brak dostatecznego przygotowania do wojny W. Brytanii i Stanów. Rolę W. Brytanii na Pacyfiku jako strażniczki europejskiego stanu posiadania doskonale rozumieją Japończycy. Już w roku 1934, Matsuka, uczeń Toyamy, jeden z wodzów skrajnego nacjonalizmu i ostatni reprezentant Japonii w Lidze Narodów powiedział, w wywiadzie udzielonym Tomaselli'emu, że chociaż „z Anglią pozornie mamy tylko konflikt interesów handlowych, w istocie jednak zatarg jest znacznie głębszy”.¹⁾ Gorączkowe przygotowania całego zespołu tych naturalnych niejako, wobec agresywności Japonii, sprzymierzeńców, oraz skoncentrowanie w ich gronie olbrzymich zasobów materialnych, pozwala na przypuszczenia, że przyszłość, być może najbliższa, pozwoli im na odrobienie zaniedbań. Możliwości te stają się tym większe, że opinię publiczną tych krajów, tak zawsze poważnie ważącą na decyzjach ich rządów, podniecają nieustannie nieopanowane wystąpienia japońskich militarystów.

¹⁾ C. Tomaselli: *Ecco il Giappone*.

Siła Japonii w jej obecnych zbrojnych poczynaniach wypływa jednak nie tylko z samych militarnych zaniedbań jej przeciwników, lecz także i z popełnionych przez nie grubych błędów politycznych. Skoalizowanie totalnych państw Europy, zatrzymujące na tym kontynencie całość prawie militarnych sił Wielkiej Brytanii i Francji, niewątpliwie nie doszłoby do skutku, gdyby nie kolonialna zachłanność tych dwu wielkich mocarstw. Właściwie bowiem i w odpowiednim czasie przeprowadzone zsolidaryzowanie główniejszych przynajmniej państw europejskich w należytej eksploatacji zamorskich posiadłości, będących wyłączną prawie własnością tych dwu mocarstw, wyszłoby na dobro i dla samych tych kolonij i dla obrony ich wobec obcych ataków.

Zmniejszające odporność Europy wobec Azji czynne porozumienie Niemiec i Włoch z Japonią nie może tym dwu państwom przynieść jakichkolwiek trwałych korzyści. Nie dysponując bowiem żadnymi prawie zasobami finansowymi, nie będą mogły oczywiście ani Niemcy ani Włochy zorganizować eksploatacji Chin na istotnie zdrowych zasadach gospodarczych, w wojennych natomiast metodach gospodarki, geograficzna sytuacja Japonii daje jej niewątpliwą nad nimi przewagę. Przypuszczając nawet lojalność Japonii w jej przyszłych postępowaniach z dzisiejszymi jej sprzymierzeńcami, nie możemy jednak zrozumieć jakim sposobem będą mogły one wszcząć eksploatację Chin bez uprzedniego zabezpieczenia swych własnych pozycji w Europie. Jeżeli natomiast porozumienie to jest tylko koniunkturalną taktyką, zmierzającą do wygrywania innych atutów, to można się słusznie obawiać, że w powstającym z tego zamieszaniu wygrana przypadnie stronie trzeciej, czyhającej tylko na to od dawna...

Łamanie solidarności Europy na Pacyfiku, szkodliwe dla jej wewnętrznego spokoju, jest niemniej niebezpieczne dla samejże gospodarczej eksploatacji i przyszłego rozwoju Chin, głównego obiektu tych swarów. Coraz czynniejsza interwencja Japonii w ich sprawy wewnętrzne, potęgując fermenty polityczne i nienawiść do najeźdźców ze „wschodnich mórz”, nie daje w zamian, z braku odpowiednich kapitałów, lepszej organizacji ich gospodarstwa. Niewątpliwa

natomiast wyższość handlowa Chińczyków nad ich sąsiadami ze wschodu, zmuszać będzie tych ostatnich do podejmowania brutalnych metod walki gospodarczej i autorytatywnego eliminowania innych konkurentów, co oczywiście nie przyniesie korzyści ani Chinom ani Europie.

III.

„Kwestia Pacyfiku jest zagadnieniem równowagi demograficznej pomiędzy Japonią, Ameryką i Australią“, ¹⁾ zgadzając się z tym twierdzeniem Grousset'a, uważamy za konieczne jego rozszerzenie na całość wyspiarskich terytoriów tego oceanu, a także na prowincje środka i południa Chin. W samej rzeczy dla przeludnionych terytoriów Japonii i Chin znalezienie miejsca dla nadmiernej masy ich obywateli staje się sprawą życia oraz dalszego rozwoju. Na wyspach bowiem właściwej Japonii, o powierzchni nieco mniejszej od obszaru Polski, zamieszkuje przeszło dwukrotnie większa ilość ludności. Masa nieużytkowych przestrzeni tego górzystego kraju, w wielu bardzo prowincjach zmusza do wyżywienia tysiąca osób z kilometra kw. uprawianej ziemi. W tej populacyjnej ciasnocie Japonii, wzrastającej z każdym rokiem o milion prawie nowych obywateli, szukać należy przyczyn gwałtownego parcia Japończyków, bądź ku wolnym przestrzeniom, bądź ku nowym rynkom.

Drakońskie zarządzenia okresu feodalnego powstrzymywały rozrost japońskiej ludności i uniemożliwiały jej ekspansję na zewnątrz. Parę jednak tylko lat po zniesieniu tych ograniczeń wystarczyło zupełnie dla zaludnienia Hawajów Japończykami i uczynienia z tych wysp japońskiej właściwie kolonii pod gwiazdzystym sztandarem. Gospodarcze osiągnięcia pracowitych i zawsze karnie zorganizowanych Japończyków wzbudziły powszechne obawy, oraz bardzo szybko spowodowały hermetyczne zamykanie się szeregu krajów przed „żółtym niebezpieczeństwem“. Nie mogąc wysyłać swych ludzi, zaczęła Japonia poszukiwać surowców, a korzystając z taniej pracy, zorganizowała doskonale wy-

¹⁾ R. Grousset: *Le Reveil de l'Asie*. 1924.

wóz swej masowej produkcji. I w tym jednak wypadku szybko natknęła się na zarządzenia specjalne, chroniące obce rynki przed zalewem japońskiego towaru. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach gorycz i zaciętość podsycają działalność Japończyków i że już w r. 1919 można było czytać w jednym z ich wielkich pism zdania, zapowiadające kierunki ich przyszłych wysiłków: „Kalifornia dla Amerykanów, Australazja dla kilku tysięcy Anglosasów, maltuzjaniistów i protekcjonistów — to teoria! Prawo naturalne natomiast oddaje rynki dla proletariatu, pracującego po coraz bardziej niskich cenach. Wcześniej też czy później to ślepe i głuche prawo natury załamać musi najtwardszy nawet upór ludzi“.

Wody Pacyfiku, rozległe i burzliwe, tworzą jednak wspaniałą drogę dla ludzkiej ekspansji z przeludnionych ziem kontynentu Azji ku wolnym jeszcze terytoriom Australazji i Ameryki. Ludzka ta fala, spływająca już od dawna w tym kierunku, radykalnie zmieniałaby demograficzne oblicze tych krajów, gdyby nie była tak surowo i ściśle tamowana i kontrolowana. Mimo jednak masy tych przeszkód dzisiejszy „etniczny skład Pacyfiku nie jest już taki sam, jakim był przed stuleciem lub nawet ćwierćwieczem. Trudno też przewidzieć czy i jakim sposobem dadzą się zmienić w najbliższej przyszłości te naturalne tendencje uczynienia z Pacyfiku azjatyckiej latorośli“.¹⁾

W tych żywiołowych dążeniach do azjanizacji Pacyfiku, Japończycy, dysponujący potężną organizacją państwową, od dawna już wydawali się najbardziej niebezpiecznymi rywalami europejskich mocarstw i dlatego też napotykali na największe trudności w swych migracyjnych poczynaniach. Biorąc ponadto pod uwagę fakt, że emigrują oni tylko w ostateczności, zmuszeni imperatywnym postulatem życia, będziemy mogli ocenić istotną wartość potrzeb, rozpraszających około półmilionową ich rzeszę na wyspach Oceanii i pobrzeżach Ameryki. Tę cyfrę japońskiej emigracji na Pacyfiku należy jeszcze uzupełnić przeszło cztero-milionową masą Chińczyków, zamieszkujących w Indo-Chinach, Indiach

¹⁾ S. H. Roberts: *Population Problems of the Pacific*. 1927.

Holenderskich i brytyjskiej Malayi, by zobrazować konieczność demograficznych przemian na tym oceanie.

Chińska i japońska fala płynie również na północ od macierzystych osiedli. O ile jednak Chińczycy względnie łatwo aklimatyzują się w surowym klimacie północy, jak o tym świadczy chińska kolonizacja Mandżurii, o tyle Japończycy napotykać w warunkach naturalnych tych krajów na potężne dla swego osadnictwa przeszkody. Przeszkody te nie są jednak nie do przezwyciężenia. Można więc sądzić, że większe zasoby kapitałów i odpowiednie przygotowanie mogłyby skierować falę japońską w kierunku mniej niebezpiecznym dla europejskich właścicieli Pacyfiku. Stopniowe, przy odpowiednich kapitałach, zagospodarowanie kontynentalnych posiadłości Japonii, oraz obfitsze zaopatrywanie ich w surowce, będzie mogło zmniejszać potrzeby emigracji, wytyczając równocześnie północną i wschodnią linię japońskiej ekspansji.

Jeżeli skierowanie wysiłku Japonii ku należytej organizacji dzisiejszych jej posiadłości kontynentalnych, może usunąć polityczne niebezpieczeństwo dla europejskich kolonii Pacyfiku, to nie rozwiąże ono bynajmniej ich przyszłych losów. Zbyt bowiem duża dysproporcja w zaludnieniu dwu sąsiadujących krajów nigdy nie da się sztucznie na długo utrzymać. W bezpośrednim natomiast z Japonią sąsiedztwie leżą Filipiny o powierzchni przekraczającej obszar jej rodzimych wysp i o sześciokrotnie prawie mniejszym zaludnieniu. Ziemia tych wysp bardziej urodzajne niż japońskie, mogłyby, podług amerykańskich obliczeń, swobodnie wyżywić 50 milionów mieszkańców, podług japońskich natomiast aż całą setkę milionów.

Dalej na południe sytuacja ludnościowa przedstawia się w gorszym jeszcze świetle. Najnowsze badania *Royal Institute of International Affairs*,¹⁾ stwierdzają, że mandatowe terytoria N. Gwinei „ukrywające znaczne zasoby bogactw kopalnianych są tylko w swej połowie mniej lub więcej zbudane oraz zaludnione”. W holenderskiej części tej olbrzymiej wyspy stan ten jest jeszcze bardziej opłakany. Na pół-

¹⁾ *The Colonial Problem*. 1937.

nocnym terytorium Australii, będącym niejako kolonią czterech państw, doświadczenie osadnicze wydało znikome rezultaty, chociaż próby z uprawą bawełny i tytoniu wykazały wspaniałe wyniki. Tak samo mniej więcej układa się sytuacja na zasobnych ziemiach Bornea. Dwie te wyspy i północne terytorium Australii, mogą produkować duże ilości surowców i żywności, ich warunki klimatyczne uniemożliwiają jednak zwarte osadnictwo Europejczyków... chociaż mogłyby stworzyć pewne możliwości dla kolonizacji azjatyckiej gdyby ona nie pociągała za sobą politycznych kłopotów. Dlatego też obok polityki „białej Australii”, zamykającej cały kontynent dla wyłącznego użytku sześciu milionów mieszkańców, również „rząd holenderski, kontrolując ściśle imigrację, usiłuje zapobiec dostaniu się do jego kolonii elementów niepożądanych, aczkolwiek widzi on niebezpieczeństwo zaniedbywania ich eksploatacji w obecnej politycznej sytuacji Pacyfiku”.

IV.

O ile dla Azji sprawy populacyjne wysuwają się na pierwszy plan jej zainteresowań Pacyfikiem, o tyle w zainteresowaniach Europy i Ameryki przeważają niewątpliwie motywy gospodarcze. Przecież i „otwieranie” portów Chin oraz Japonii dla europejsko-amerykańskiego handlu i tak ceniona przez Stany Zjednoczone polityka „drzwi otwartych” na terytoriach chińskich i zacięta na nich walka konkurentów rozmaitej narodowości — wszystko to jest podyktowane żądzą tym intensywniejszego zwiększania gospodarczych zysków. Polityczne i prestiżowe posunięcia dyplomacji na rynkach Dalekiego Wschodu, wyraźniej niż gdziekolwiek indziej, pozostają na usługach gospodarczych interesów danych mocarstw.

Oparta na założeniach gospodarczych, penetracja Europy i Ameryki na kontynent i wyspy Azji, zawodząc w wielu bardzo wypadkach, umożliwiła im jednak, a przede wszystkim obu mocarstwom anglo-saskim, opanowanie zagranicznych obrotów tych krajów. Dziś jeszcze, nawet mimo pewnych brytyjskich w tej dziedzinie strat, oba te mocarstwa

obejmują znacznie ponad połowę zagranicznych obrotów chińskiej republiki. Również handel zagraniczny Japonii w przeszło 60% odbywa się z dwoma jej głównymi na Pacyfiku rywalami i rzecz charakterystyczna wzrasta w momentach wojennego naprężenia.

Gdy trudności w znalezieniu ujścia dla zwiększającej się ludności zmusiły Japonię, w celu jej wyżywienia, do uprzemysławiania swego gospodarstwa, wystąpiła ona jako bardzo niebezpieczny konkurent na rynkach tegoż Pacyfiku. Wypierając jednak z tych rynków przemysłowe wyroby swych anglo-saskich konkurentów zwiększała równocześnie i sumy obrotów z nimi i ich udział w swym handlu zagranicznym. Nieznacznie bowiem malejący udział Wielkiej Brytanii, był wyrównany ze znaczną nadwyżką wzrostem udziału Stanów Zjednoczonych, których przywóz w porównaniu do przedwojennego zwiększył się prawie dwukrotnie. Ten potężny udział Anglosasów w gospodarstwie krajów Dalekiego Wschodu wiąże ściśle ich wzajemne zainteresowania i zmusza do poważnych rozważań przed powzięciem każdej wojennej decyzji. W tym powiązaniu gospodarczych interesów głównych mocarstw na Pacyfiku, zależność Japonii jest o tyle większa, że uprzemysłowienie jej osiągnęło już taki stopień rozwoju, iż wymaga dużego zbytu zewnętrznego, równocześnie jednak dalekie jest jeszcze od przemysłowej samowystarczalności. Zaangażowanie natomiast Stanów Zjednoczonych w handel z Japonią znacznie przekracza ich handlowe stosunki z Chinami. Wywóz bowiem Stanów do Japonii, oceniany przeciętnie na 200 milionów dolarów, przeszło czterokrotnie przewyższa eksport do Chin i daje ponadto dodatnie saldo, równe całej wartości wywozu do Chin, co, w dzisiejszych czasach pogoni za obcą walutą, nie jest do pogardzenia nawet dla Stanów. Jeżeli w zagranicznych stosunkach Wielkiej Brytanii, udział Chin i Japonii osiąga przeciętnie jednakowy poziom i nie przekracza 2%, to żadne z jej dominiów nie wywozi do Chin ponad 3,5%, do Japonii natomiast wywóz Australii, Indyi, Malayów osiąga lub przekracza tylko 1% ich eksportu.

Handel zagraniczny, przynoszący mocarstwom Europy i Ameryki potężne zyski, nie jest jednak jedynym sposobem

eksploatacji rynków Pacyfiku. Olbrzymie szczególnie surowcowe zasoby Chin, oraz ich całkowite gospodarcze zaniedbanie, przedstawiały bardzo ponętne pole dla inicjatywy żadnego wysokich premij obcego kapitału. W tej dziedzinie gospodarczych inwestycji żywe jeszcze tradycje pionierskiej pracy Wielkiej Brytanii zachowują dla niej pierwszeństwo lokaty na chińskim rynku prawie dwóch miliardów dolarów. Kwota japońskich inwestycji, wynosząca niecałe 1,4 miliarda, ustępuje nieco brytyjskiemu stanowi posiadania, przekracza natomiast znacznie amerykańskie lokaty, sięgające zaledwie 250 milionów.

Tak wysoki, w stosunku do rodzimych kapitałów, udział Japonii w chińskich inwestycjach tłumaczy się jej imperatywną potrzebą surowców oraz koniecznością zdobycia najbliższego rynku Chin. O jej natomiast zależności od obcych źródeł surowcowych świadczą fakty sprowadzania z zewnątrz całości przerabianej w jej fabrykach bawełny, wełny, kauczuku i niklu, 90% ołowiu, drzewa i cukru, około 80% cyny oraz prawie 70% całości spożywanych chemikaliów. Łącznie przeszło 60% potrzebnych dla przemysłu surowców przybywa do Japonii drogą morską z zewnątrz. Ta konieczność zaopatrywania się w surowce poza obrębem swych granic, oraz wywożenia w zamian za nie, z braku kapitałów, własnych wyrobów, szczególnie zwiększa wojenne ryzyko Japonii. Rozpoczęcie bowiem działań wojennych z samymi tylko Stanami, pozbawi Japonię od razu około 3% jej handlu z Ameryką, a 2% z Australią i Europą uczyni bardzo niepewnym, narażając pozostałe 5% na mnóstwo rozmaitych morskich niespodzianek.

Jeżeli utrzymanie handlowych stosunków z obcymi krajami, dając Japonii surowce i możliwość ich opłacenia, zdecydowanie o losach ewentualnie prowadzonej przez nią wojny, to zależność Stanów Zjednoczonych od tego czynnika jest znacznie mniejsza. Stany bowiem dysponując olbrzymim rynkiem wewnętrznym, traktują swój wywóz za granicę jako raczej rentowną lokatę nadwyżek, oraz możliwość powiększenia własnej produkcji. Wojenny też zatarg z Japonią może je pozbawić najwyżej 20% ich zagranicznego handlu, co stanowi zaledwie 2% całości ich rynkowych obrotów.

Poza Hong-Kongiem, żyjącym z Chin i tak niebezpiecznie wysuniętym na północ, zbrojne działania na Pacyfiku nie zostaną w wyższym też stopniu odczute także i przez Imperium Brytyjskie.

W rozważaniach możliwości zbrojnych konfliktów na Pacyfiku nie można pominąć tej ekonomicznej strony spraw Oceanu Spokojnego. Prócz bowiem ścisłej międzynarodowej zależności gospodarstwa Japonii, jego stan wewnętrzny nie jest bynajmniej zadawalniający. Mimo więc, że rozgardiasz Europy i wojenne zaniedbania Stanów, dają japońskim militarystom asumpt do pobrząkiwania szablą, gospodarcza sytuacja Japonii absolutnie nie pozwala na długą wojenną awanturę. Zadłużenie bowiem jej skarbu przekroczyło już od dawna 10 miliardową granicę, określoną przez zamordowanego przez tychże militarystów Takahashi'ego, jako najwyższej dopuszczalną. Samo natomiast rolnictwo, którego roczna produkcja nie wynosi więcej jak dwa miliardy, obciążone jest siedmiu prawie miliardami.

Pomijając więc możliwości działań wojennych pomiędzy głównymi rywalami na Pacyfiku, sam już ich wyścig zbrojeniowy łatwiej będą mogły przetrzymać zasobniejsi w kapitały Anglosasi niżli Japończycy. Jeżeli nawet przypuścimy, że dla celów wojennych cały japoński naród dobrowolnie zamieni się w wytwarzających narzędzia wojenne niewolników państwa, to jednak pozostaje groźne pytanie, gdzie znajdą te armie konieczne dla swej pracy surowce i żywność? Zainwestowanie natomiast w tym celu krajów podbitych, które mogłyby chociaż w części zapobiec tym brakom terytoriów metropolitalnych, nie może być dokonane bez olbrzymich zasobów finansowych. Stąd też, jak stwierdzają powszechnie świadectwa, „ta prosta i nie-szczęśliwa dla Japonii prawda, że nie jest ona dostatecznie bogatą dla osiągnięcia koniecznego dla niej w Mandżurii powodzenia”,¹⁾ powinna stać się przestrożą i wskazówką w poszukiwaniu korzystnych dla wszystkich kompromisów.

¹⁾ *Foreign Affairs*. X, 1937.

V.

Mimo tych wszystkich względów, polityczny kompromis pomiędzy mocarstwami Pacyfiku może się rozbić o obawy populacyjnego zalania przez Japończyków europejskich posiadłości na tym oceanie, wspólnota gospodarczych interesów może nie przeważać nad ich rozbieżnościami a rozsądek pokojowej organizacji współżycia może ustąpić miejsca szaleństwu wojennemu. Na wypadek tej wojny nie łatwym jest zobrazowanie techniki wywołanych tym zbrojnym konfliktem działań morskich. Tak samo bowiem i w tej dziedzinie, mimo różnorodności sytuacyjnych warunków i wielkiej rozpiętości w siłach zbrojnych wspomnianych potęg, olbrzymie przestrzenie Pacyfiku prawie jednakie stawiają przeszkody wszystkim trzem partnerom w ewentualnych wojennych poczynaniach.

W najgorszej niewątpliwie pod tym względem sytuacji znajdują się Stany Zjednoczone. Odległość bowiem San Francisco—Manilla wynosi ponad 8.000 mil, co równa się linii, łączącej New York poprzez Atlantyk z chińskim Turkiestanem i wymaga co najmniej dwudziestu dni wędrówki amerykańskiej floty bojowej. Flota Wielkiej Brytanii, bazująca na Śródziemnomorzu, nie będzie mogła również osiągnąć Singapooru w krótszym terminie. Sytuacja Japonii jest pod tym względem znacznie korzystniejszą. Jej flota może dostrzec do Filipin już w trzecim dniu pływania, a Singapoor dostrzeże przy końcu ósmego dnia rajdu. Okupacja jednak przez Japończyków Filipin, stać się może poważnym powodem wspólnego brytyjsko-amerykańskiego przeciwdziałania, co przecież nie leży w interesie Japonii.

Kolosalne te odległości nie byłyby oczywiście wielką przeszkodą w wojennych operacjach morskich, gdyby zaangażowane w nich okręty mogły znaleźć pośrednie bazy operacyjne. W dzisiejszych bowiem warunkach techniki, zespołowe działania floty bojowej nie pozwalają jej na większe niż 2.000 mil oddalanie się od swych baz. Na urządzenie natomiast w takich odległościach dostatecznie bezpiecznych baz morskich nie pozwalały dotychczas mocarstwom Pacyfiku, tak przepisy traktatu WASHINGTONSKIEGO, jak i geopolityczne warunki ich posiadłości. Uwzględnić należy ponadto

fakt, że urządzania baz i fortyfikacyj na wyspach mandatowych Japonii zakazuje akt mandatu, jak zresztą odległość tych wysp od amerykańskich wybrzeży znacznie przekracza normę odpowiednią dla konstytucji baz; drobne wreszcie wysepki Stanów na zachodzie Pacyfiku i Hong-Kongu są, bądź zbyt zagrożone przez posiadłości Japonii, bądź nie odpowiadają koniecznym na samodzielne bazy warunkom.

Warunki geopolityczne Pacyfiku, utrudniając działania ofensywne, w tymże prawie stopniu ułatwiają obronne poczynania całości niemal nadbrzeżnych jego mocarstw. Jak macki polipa wysunięte na wschód, południe i północ mandatowe i własne kolonialne wyspy Japonii dobrze strzegą jej metropolitalnych terytoriów od wszelkich ataków z tych kierunków. Od dawna już fortyfikowane i zaopatrywane we wszelkie konieczne w dobrze zorganizowanej bazie morskiej instalacje, wysunięte pozycje Hawaiów przygotowane są do jak najściślejszej kontroli dostępu na macierzyste wybrzeże Ameryki. Wykończone właśnie urządzenia imperialnej bazy Singapooru, nie tylko bronią wejść na Ocean Indyjski, lecz łącznie z pomocniczymi bazami ewentualnych sprzymierzeńców, mogą skutecznie ochraniać sąsiadujące z nim francuskie, holenderskie i brytyjskie posiadłości.

Samo jednak choćby i najdogodniejsze położenie geograficzne, nawet wzmocnione odpowiednio zorganizowanymi bazami, nie stworzy jeszcze bezpieczeństwa komunikacji morskich, ani nie ochroni lądowego stanu posiadania. Konieczne są jeszcze do tego odpowiednie siły morskie. Choćby flota bojowa Japonii w 1938 będzie dwukrotnie mniejszą od brytyjskiej i prawie tak samo od amerykańskiej, to jednak japońskie działania wojenne w najbardziej nawet dla Japonii niepomyślnym wypadku będą wymagały znacznie mniejszego rozdrabniania floty. Dla pozostałych natomiast na Pacyfiku mocarstw ostatnie lata przyniosły w dziedzinie możliwości użytkowania ich flot znaczne bardzo zmiany. Wspomniane już wystąpienie sekretarza stanu Welles'a świadczy dowodnie, że amerykańska flota wojenna, w 95% swego składu bazująca na Pacyfiku, z daleko już mniejszą pewnością będzie mogła pozostawiać bez ochrony amerykańskie interesy na Atlantyku. „Sytuacja Wielkiej Brytanii

jest jeszcze trudniejszą. Posiadając bowiem na wszystkich morzach ponad 80,000 mil ważnych dla niej dróg żeglugowych, z konieczności zmuszoną jest do rozpraszania swego tonażu bojowego, co powoduje, że brytyjska flota na Dalekim Wschodzie jest zdecydowanie mniejszą niż japońska, na Atlantyku natomiast słabszą niż amerykańska¹⁾.

Różnorodność interesów, krzyżujących się na żeglugowych drogach Pacyfiku, uczyniła z rozstrzygających się na jego wodach spraw najbardziej światowe zagadnienie naszych czasów. Łączy ono w obronnym wysiłku własnego stanu posiadania siły morskie najbardziej zagrożonych mocarstw, jak Wielkiej Brytanii, Holandii i Francji, a ku temuż zgromowaniu zbliża się również polityka Stanów Zjednoczonych. Strategiczna sytuacja tych ostatnich zmusza je jednak do poszukiwania także innych jeszcze sprzymierzeńców. I w tej perspektywie jawią się Sowiety.

Jak już wspominaliśmy, brak właściwych amerykańskich baz operacyjnych w pobliżu Japonii, czyni tę ostatnią prawie że nie osiągalną dla, dwukrotnie niemal większych od jej floty, morskich sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Jedynie instalowane obecnie na Aleutach bazy sprowadzają te odległości do możliwego minimum. Na operacyjnych jednak liniach, prowadzących od Aleutów ku Japonii, leżą Sowieckie porty Petropawłowska i Władywostoku. Ewentualne też konieczności wojennego użytkowania tych baz na Aleutach, niewątpliwie podniosą walory sowieckiego współdziałania ze Stanami Zjednoczonymi. Władywostok w szczególności, odległy zaledwie o 700 mil od głównych przemysłowych, obronnych i ludnościowych ośrodków Japonii, stać się może w ręku militarnie potężnego mocarstwa, czynnikiem decydującym o wynikach wojny. Bazująca bowiem w nim liczna flotylla najmniejszych nawet łodzi podwodnych będzie mogła niszczyć i dezorganizować transporty Japonii z kontynentu Azji, uniemożliwiając tym samym i działania wojenne i wyżywienie jej ludności, a eskadry lotnicze, wzbogacone jednostkami z lotniskowców i transportowców lotniczych marynarki, będą mogły bombardować silnie

¹⁾ P. Roe: *How is the Empire?* 1936.

skoncentrowane przemysłowe i obronne ośrodki pobliskiej Japonii.

Ponieważ współdziałanie takie jest niewątpliwie korzystne i konieczne także i dla Z. S. R. R., któremu Japonia poważnie grozi lądowym odcięciem jego prowincyj nadmorskich od głównego trzonu, przeto sprawy Pacyfiku łączą w sobie czynne zainteresowania tak mocarstw wybitnie morskich, jak i Sowietów, państwa wybitnie lądowego.

VI.

Splot międzynarodowych kwestyj, wyłaniających się na rozległych przestrzeniach Pacyfiku, a grożących nieustannie zaognieniem rywalizacji głównych na tym oceanie mocarstw, jeżeli nie formalnym wybuchem ich zbrojnych działań, nie wyklucza jednak możliwości pomyślnego kompromisu. Owszem do takiego właśnie kompromisu skłania bardzo ściśle wzajemne powiązanie gospodarczych interesów tych mocarstw i faktyczna niemożliwość skutecznego przedsięwzięcia wojennych działań morskich.

Najważniejszą przeszkodą trwałej pokojowej współpracy jest bez wątpienia stała obawa, dysponujących coraz mniejszym przyrostem naturalnym, mocarstw Europy i Ameryki o zatopienie ich posiadłości na Pacyfiku potokiem azjatyckiej, a w szczególności japońskiej, emigracji. Jeżeli same prawa biologii uzasadniają dostatecznie te obawy, nie znaczy to bynajmniej, że nie można zmniejszyć niebezpiecznych dla Europy i Ameryki skutków tego zjawiska.

Że fala japońska chętnie płynie ku południu nie da się tego zaprzeczyć. Zmuszona jednak twardymi okolicznościami życia, kieruje się ona również na północ i wschód, jak świadczą o tym kolonizacyjne poczynania na Hokkaido, Korei, a ostatnio i w Mandżurii. Przeszkodą, tamującą wylew tej emigracyjnej japońskiej fali na te ziemie, jest ich zbyt surowy dla Japończyków klimat. Stosowne inwestycje, odpowiednia i dostateczna pomoc zapewniona emigrantom, oraz właściwy okres indywidualnych i zbiorowych doświadczeń gospodarczych, umożliwiają jednak przewycięzenie nawet i tych przeszkód. Dla dokonania tego eksperymentu brakuje jednak Japonii kapitałów.

Jeżeli więc mocarstwa, posiadające kolonie na Pacyfiku i dysponujące olbrzymimi zasobami kapitałowymi, chcą uchronić swe posiadłości przed japońskim zalewem, rozsądniej będzie zaopatrzyć Japonię w nieodzowne kapitały i skierować jej ekspansję ku północy i wschodowi. Doktrynerskie zapatrywania sprzeciwiają się wprowadzić wpłacaniu „premię napastnikowi”, lecz w przeciwstawianiu się żywiołom więcej znaczą niewątpliwie dobrze zbudowane tamy, niż najpiękniej pomyślane doktryny.

Także zaspokojenie migracyjnych potrzeb Japonii, zmniejszając niebezpieczeństwo, grożące bezludnym prawie posiadłościom Europy na Pacyfiku, nie rozwiąże jeszcze oczywiście całości skomplikowanych populacyjnych zagadnień tego oceanu. Dla szerszego rozstrzygnięcia imperatywną staje się konieczność zaludnienia nadających się dla europejskiej kolonizacji obszarów, nadproduktywną masą przeludnionych krajów Europy. Ziemie nieodpowiednie natomiast dla tej emigracji, a tworzące barierę pomiędzy północną strefą japońską a południową europejską, mogą być zaludnione mniej niebezpiecznym politycznie elementem emigracyjnym, którego nie brak w tejże Azji.

Populacyjne zagadnienie Pacyfiku nie jest jednak jedyną, zaogniającą na nim stosunki, kwestią. Pozostają jeszcze niemniej naglące i ostre sprawy gospodarcze. Obecna, niszcząca wszelkie europejskie kalkulacje, żywiłowa wprost konkurencja Japonii, znajduje swe źródła w nadzwyczajnej nędzy jej przeludnionych terytoriów, dostarczających sił roboczych, które pracują za garść ryżu kilkanaście godzin dziennie. Żadne też bariery celne w krajach przemysłowych ani wymuszone zarządzenia polityczne w innych państwach, nie uchronią Europy i Ameryki, dopóki będą istniały realne przyczyny nadmiernej taniości japońskich towarów. I w tym więc wypadku w interesie tak Europy jak Ameryki leży konieczność ludnościowego rozszerzenia terytoriów Japonii, oraz zdrowej rozbudowy jej kolonialnego i metropolitalnego gospodarstwa, które by mogło podnieść stopę życiową i rozmaite wymagania szerokich mas jej obywateli. Tak samo więc i tutaj właściwe zainwestowanie kapitałów, może skierować japońskie towary ku wewnętrznemu ryn-

kowi i zwiększyć ponadto japońską konsumpcję towarów obcych.

Do uzdrowienia gospodarczej sytuacji na Pacyfiku w nie-mniejszym również stopniu przyczynić się może radykalna zmiana polityki obcych kapitałów w Chinach. Bardziej planowe ich inwestowanie, zwracające baczniejszą uwagę na rozszerzenie wewnętrznej raczej konsumpcji, niż na wydoby-cie z Chin maksymalnych dla tych kapitałistów korzyści, daleko szybciej rozszerzy ten rynek dla europejskich towa-rów, niż kolejne eliminowanie za pomocą armat, groźnych obcych konkurentów.

Kompromis z Europą i Ameryką jest dla Japonii rów-nież niemniej konieczny, ze względu na potrzeby jej gospo-darczej polityki zagranicznej. Pięć już bowiem lat trwająca wojna gospodarcza z Chinami, wydała, co stwierdzają roz-maici świadkowie, tylko bardzo znikome dla Japonii rezul-taty. Wyższe handlowe uzdolnienia Chińczyków i brak rod-zimych japońskich kapitałów walnie przyczyniły się do tego. Wojenna natomiast okupacja, mająca zaradzić tym brakom, w swych gospodarczych skutkach może się okazać jeszcze bardziej kosztowną.

Rozżarzająca się obecnie walka o prymat na Pacyfiku, dzierzony przed wojną prawie niepodzielnie przez Wielką Brytanię, rozwiązana być może tylko przez znalezienie wła-ściwego ustosunkowania się rozmaitych rywalizujących sił, oraz przez traktatowe zadośćuczynienie tym wszystkim real-nym potrzebom. Pojęcie bowiem prymatu narzuca świado-mość podporządkowania jednych narodów drugim, co było jeszcze możliwe w okresie, gdy rozwinięty przemysł i po-tężna flota Brytanii spełniały na wodach tego oceanu gospo-darcze i polityczne zadanie cywilizatora i stróża porządku. Dziś obowiązki te przejęły na własne, wciąż potężniejsze barki, poszczególne państwa nadbrzeżne. Dlatego też każde usiłowanie ze strony któregoś z tych mocarstw narzucenia swej przewagi pozostałym, musi wywołać ich skoalizowane przeciwdziałanie, pociągając za sobą jedynie powiększenie chaosu w całym basenie tego oceanu i powszechne straty gospodarstwa światowego.

Roman Piotrowicz.

Socjaliści a komuniści.

Wzajemne stosunki między socjalistami a komunistami przechodziły różne fazy i ulegały częstym wahaniom. Do wojny roku 1914 socjaliści i komuniści (którzy wówczas zwali się w Europie lewicowymi socjal-demokratami a w Rosji — bolszewikami) należeli do wspólnej, tzw. drugiej międzynarodówki. Wewnątrz tej międzynarodówki toczyły się dyskusje na temat: jak dojść do władzy i jak urzeczywistnić socjalizm. Przy zachowaniu jednolitości organizacyjnej, nie brakło w tych dyskusjach różnic i to nie tylko natury taktycznej, gdyż sięgały one również zagadnień ideologiczno-programowych, oscylując między alternatywami: ścisły, ortodoksyjny marksizm czy liberalizm światopoglądowy, ruch klasowy proletariacki czy ogólnie ludzki, patriotyzm narodowy czy internacjonalizm itp.

Wobec bankructwa socjalistycznego internacjonalizmu w czasie wielkiej wojny rozgorzały, w mocno wówczas uszczuplonych szeregach socjalistycznych, namiętne walki różnych frakcyj i kierunków, co doprowadziło do ostatecznego rozłamu na międzynarodówkę komunistyczną i socjalistyczną.

Okres 1917—1922 był erą nieprzebiegających w środkach walk komunistów z socjalistami. Kanonem polityki komunistycznej stało się wówczas hasło: „jedynie poprzez trupa socjal-demokracji — do rewolucji proletariackiej“. Komuniści zarzucali socjalistom najpotworniejsze, z punktu widzenia marksizmu, czyny: zdradę interesów klasowych proletariatu, kontrrewolucję, przygotowanie wojny przeciw Rosji Sowieckiej itp. Socjaliści reagowali na to rozmaicie

w różnych krajach. W Niemczech, w Polsce i w paru innych krajach odpowiedzieli ostrą — przeważnie fizyczną, w mniejszym stopniu ideologiczną — walką, włącznie do skrytobójczych i ulicznych morderstw. Niewygodnych sobie komunistów usuwali nie tylko z ruchu politycznego, lecz również z ruchu ściśle zawodowego. W innych krajach, jak w Austrii, Francji, we Włoszech itd. walka ograniczała się na ogół do metod parlamentarnych, przy pewnym nawet kokietowaniu rządu sowieckiego, inspiratora ruchu komunistycznego.

Na tle postępującej stabilizacji politycznej i gospodarczej Europy oraz załamania się, obliczonej na krótką metę, bolszewickiej fali rewolucyjnej, następuje w okresie 1922—1924 krótka faza stępienia wzajemnej walki wewnątrz obozu marksistowskiego, jawi się nawet współpraca obu międzynarodówek, choć wyraźnie nieszczerą i połowiczną. Produktem tego okresu krótkotrwałego zawieszenia broni było wprowadzenie Sowietów, przy usilnej pomocy socjalistów, wpływowych wtenczas w wielu państwach, do polityki europejskiej i względnie znaczne umocnienie organizacyjnych wpływów socjał-demokracji.

Atoli już w następnym dziesięcioleciu (1925—1935) walka obu kierunków marksistowskich rozgorzała na nowo i zaczęła przybierać jeszcze potworniejsze rozmiary. Główną przyczynę tego zjawiska należy upatrywać w fakcie, że zabrakło w tym iście negatywnym ruchu, jakim bezsprzecznie jest marksizm, czynnika cementującego: wspólnej nienawiści do wspólnego wroga względnie, iż kierownicy obu kierunków nie zauważyli w porę grożącego im wspólnie niebezpieczeństwa.

Dopiero tak ważne zdarzenie polityczne jak przewrót hitlerowski w Niemczech, stłumienie powstania austriackich marksistów w lutym 1934 roku i wypadki 6 lutego r. 1934 w Paryżu, kiedy to ledwo nie wywrócił się cały francuski system masońsko-demokratyczny, a nieco później zagrożenie losów rewolucji hiszpańskiej — podziałyły zarówno na komunistów jak i na socjalistów tak piorunująco, że zaczęli coraz bardziej zapominać o wzajemnych urazach przeszłości i szukać wspólnego języka oraz wspólnej drogi działania.

Nie będziemy tu szczegółowo analizować przyczyny i drogi rozwoju tej współpracy. Jest ona faktem uwidocz-nionym przez powstanie francuskiego „frontu ludowego”, istnienie hiszpańskiego rządu socjalistyczno-komunistycznego, wreszcie przez zawarcie jednolitego frontu socjalistów i komunistów w Austrii, we Włoszech i w innych krajach.

Wbrew wszelkim częstym mniemaniom, zgoda, współpraca i powrotne zjednoczenie socjalistów z komunistami nie realizuje się bez ostrych tarć i wahań. Inicjatywa ruchu zjednoczeniowego jest — od czasu stanięcia Dymitrowa na czele Kominternu — w rękach komunistów. Oni to nacie-rają na socjalistów i uporczywie domagają się jedności, ponosząc przy tym wcale okazałe ofiary na odcinkach swojej dotychczasowej taktyki, swego dorobku organizacyjnego, a nawet swej ideologii. Mielśmy już okazję wyświetlić to zagadnienie na łamach *Przeglądu Powszechnego*. Stroną, idącą na współpracę i na zjednoczenie ze znacznym oporem i z niemałą dozą wahań, są socjaliści. — Zdaje się, że główna przyczyna tych wahań leży w odstrasającym przykładzie sowieckim. Co mędrsi socjaliści zrozumieli, iż nagły entuzjazm komunistów dla jedności, ich nagła miłość do demokracji, pokoju etc. nie jest tak bardzo bezinteresowna, jak to Komintern stara się w nich wmówić. Czują i widzą oni, że główne korzyści ze współpracy i zjednoczenia, mimo przejściowych ofiar, wyniosą komuniści i że koniec tego procesu to niechybne zwycięstwo komunizmu tam, gdzie ta nowa taktyka zostaje z powodzeniem przeprowadzona. Co zaś oznacza zwycięstwo komunistów, mogli się socjaliści przekonać z doświadczeń Związku Sowieckiego, gdzie tępienie socjalistów jest po stokroć potworniejsze aniżeli w państwie faszystowskim czy hitlerowskim. Ba, nawet jeszcze przed pełnym swym zwycięstwem pokazują już komuniści swoje pazury, że przytoczymy choćby przykład dokonanych morderstw na hiszpańskich zjednoczonych marksistach (tzw. POUM — rzekomi trockiści) i oszczerczą kampanię oraz bezpardonową walkę stoczoną z przewódcą lewicowych socjalistów, do niedawna premierem czerwonego rządu: Largo Caballero, który nosił przezwisko „hiszpańskiego Lenina”.

Ciekawe światło na wzajemne stosunki socjalistów z komunistami rzuca sprawa połączenia komunistycznych związków zawodowych ze związkami socjalistycznymi. Wiadomo, że główną siłą ilościową i materialną socjalistów, są klasowe związki zawodowe robotników. Komuniści w ciągu długich lat próbowali stworzyć swój własny masowy ruch zawodowy, ale — z wyjątkiem ZSSR — nie udało im się nigdzie tego dokonać. W kilku krajach (Francja, Hiszpania, Polska i innych) komuniści rozwiązyali swoje odrębne związki zawodowe i gremialnie wstąpili do związków socjalistycznych, starając się, nieraz z dobrym skutkiem, opanować te związki od dołu. Poza międzynarodowym ruchem zawodowym, kierowanym przez socjalistów, pozostały wszakże sowieckie związki zawodowe, które — przy przymusie organizacyjnym — liczą około 22 milionów członków. Wejście tego kolosu organizacyjnego do międzynarodowego ruchu robotniczo-zawodowego dałoby komunistom ogromne szanse opanowania ruchu robotniczego i zrewolucjonizowania Europy i całego świata.

Po szeregu wstępnych rozmów działaczy obu międzynarodówek, socjalistyczna Międzynarodowa Federacja Związków Zawodowych wysłała w listopadzie ub. r. do Moskwy delegację w składzie wiceprezesa międzynarodówki i wodza francuskich związków zawodowych Jouhaux, sekretarza generalnego międzynarodówki Schevenelsa i drugiego sekretarza Stółza, którzy mieli ustalić warunki przystąpienia sowieckich związków zawodowych do socjalistycznej międzynarodówki zawodowej. Ze strony Sowietów pertraktacje prowadzili trzech sekretarze związkowi: Szvernink, obecnie przewodniczący Sowietu Narodowościowego, drugiej Izby sowieckiego pseudo-parlamentu — Moskatow, b. generalny komisarz wyborczy do Najwyższego Sowietu i Nikołajew, wszyscy starzy bolszewicy i — ma się rozumieć zaufani ludzie Stalina. Oto wynik tych pertraktacyj w trzech oficjalnych dokumentach:

Wnioski delegacji sowieckich związków zawodowych:

Delegacja Rady Generalnej Związków Zawodowych ZSSR proponuje ustalić dokonanie połączenia związków z Międzynaro-

dową Federacją Związków Zawodowych w warunkach następujących:

a) wzmocnić akcję Międzynarodowej Federacji Związków w walce klasy robotniczej przeciwko wojnie i faszyzmowi;

b) zastosować wszystkie środki propagandy przeciwko wojnie i faszyzmowi (zgromadzenia robotnicze, prasa, radio, kino itd.);

c) zorganizować we wszystkich krajach sankcje proletariackie przeciwko państwowi napastniczym: Niemcom, Włochom i Japonii (odmowa ładowania statków krajów napastniczych, odmowa wykonywania i dostarczania transportów do tych krajów, organizacja strajków w przedsiębiorstwach fabrykujących broń i materiały wojenne dla napastników itd.);

d) pomoc dla Hiszpanii i Chin w ich walce przeciw napastnikom: Niemcom, Włochom i Japonii;

e) zdążać do jedności ruchu zawodowego we wszystkich krajach, gdzie ruch zawodowy jest podzielony, bądź też gdzie istnieją tarcia (Stany Zjednoczone, Czechosłowacja, Kanada, Ameryka Południowa, Hiszpania itd.);

f) podtrzymać jednolity front proletariacki, dopomóc mu oraz frontom ludowym w tych krajach, w których one istnieją, w walce przeciwko faszyzmowi i wojnie.

Jednocześnie wysuwa delegacja Rady Generalnej Zw. Zaw. ZSRR, następujące sprawy organizacyjne:

1) Delegacja proponuje zwołanie nadzwyczajnego kongresu Międz. Federacji Zw. Zaw. w którym wezmą udział związki sowieckie, w celu wzmocnienia jedności ruchu zawodowego.

2) Międz. Federacja Zw. Zaw. winna mieć trzech przewodniczących, z których jednym będzie przedstawiciel związków sowieckich. Przewodnictwo w Biurze ma być kolejne. Jeden z sekretarzy generalnych winien reprezentować związki sowieckie.

3) Związki sowieckie, biorąc pod uwagę wielkie obciążenie finansowe, które wynika ze statutu (5,280.000 franków francuskich), winny uzyskać gwarancję, że te miliony franków, które będą wpłacane przez związki sowieckie, nie posłużą na rzecz propagandy przeciwko Związkowi Sowieckiemu i ruchowi zawodowemu w ZSSR.

Na te propozycje delegacja socjalistów odpowiedziała następującym oświadczeniem:

Deklaracja delegacji Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych.

Delegacja Międz. Fed. Zw. Zaw. w odpowiedzi na propozycje Rady Centralnej Związków Zawodowych ZSSR w sprawie jedności związków z Międzynarodówką oświadcza:

W sprawach dotyczących punktów a) i b) żadnych zastrzeżeń.

Oдноśnie punktu c) delegacja Międzynarodówki wyraża swą zgodę, ponieważ punkt ten wynika z punktu a) i b), wskazując jedynie na to, że decyzje te stosowane są przy uwzględnieniu specjalnych warunków każdego kraju.

Oдноśnie punktu d), ta akcja wydatnej pomocy dla Hiszpanii i Chin przeciwko krajom napastniczym — Niemcom, Włochom i Japonii — nie wywołuje żadnych zastrzeżeń co do jej konieczności.

Delegacja Międzynarodówki dodaje, że sprawy te są ustalone w uchwałach Międzynarodówki jako przedmiot jej walki przeciwko wojnie i faszyzmowi.

Oдноśnie punktów e) i f), oba te punkty nie wywołują żadnych zastrzeżeń, pod warunkiem stosowania artykułu 3. statutu Międzynarodówki, gwarantującego autonomię central krajowych.

W sprawach natury organizacyjnej delegacja Międzynarodówki oświadcza się na rzecz propozycji delegacji związków sowieckich, aby zwołać nadzwyczajny kongres Międzynarodówki, w którym wezmą udział związki sowieckie. Delegacja M-ki oświadcza swą gotowość poparcia zmian statutu w kierunku proponowanym przez delegację związków sowieckich.

Z chwilą zatwierdzenia decyzji powyższych przez odpowiednie organy Międzynarodowej Federacji Zw. Zaw. — Biuro Międzynarodówki rozpocznie rozmowy na temat przystąpienia związków sowieckich do Międzynarodówki, co poprzedzi zwołanie nadzwyczajnego kongresu.

Odpowiadając na punkt 3, delegacja Międzynarodówki oświadcza, że statut M-ki przewiduje obowiązek podtrzymywania zrzeszonych organizacji, co wyklucza wszelkie możliwości jakiegokolwiek akcji przeciwnej interesom którejkolwiek z central zrzeszonych. Związki sowieckie mają wobec tego gwarancję, że miliony franków wpłacanych przez nie, nie posłużą na rzecz propagandy przeciwko Związkowi Sowieckiemu i ruchowi zawodowemu w ZSSR.

W dniach 12 i 13 stycznia br. Biuro socjalistycznej międzynarodówki związków zawodowych, po rozpatrzeniu powyższych dokumentów powzięło następującą uchwałę:

Biuro Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych, po wysłuchaniu sprawozdania i dyskusji nad nim stwierdza, że zamiast zwykłego zgłoszenia wstąpienia Rady Centralnej Zw. Zaw. ZSSR, zaopatrzonego zwykłymi oświadczeniami — zostało postawionych wiele warunków wstępnych, zanim jeszcze zgłoszenie zostało skierowane do Międzynarodówki; uznaje za niemożliwe przyjęcie tych warunków; decyduje przekazać zrzeszonym organizacjom wszystkie szczegóły tej sprawy, przed posiedzeniem

Rady Generalnej w Oslo; proponuje Radzie Generalnej odrzucenie warunków wstępnych i zapytuje organizacje zrzeszone o ich stanowisko w tej sprawie, jeśli chcą je wyrazić; z naciskiem prosi o odpowiedź możliwie szybką, by mogła ona posłużyć za materiał dla posiedzenia Biura Międzynarodówki w dniach 16 i 17 marca 1938 roku.

Dokumenty powyższe i inne znane nam fakty świadczą o tym, że:

1) Kierownicza trójka socjalistycznej M-ki zawodowej zgodziła się na warunki sowieckie, wśród których punkt c) oznacza ni mniej ni więcej jak — wojnę światową.

2) Biuro międzynarodówki (prócz wymienionej trójki należy doń 6 przedstawicieli innych krajów m. in. Citrine — Anglia i Mertens — Belgia) odrzucając propozycje sowieckie wcale nie zrezygnowało z myśli połączenia się ze sowieckimi związkami.

3) Biuro zdezawuowało swoją delegację tylko pod wyraźnym naciskiem krajowych związków. Przeciwno połączeniu wystąpiły bowiem zdecydowanie związki angielskie, skandynawskie, szwajcarskie, belgijskie i nawet czechosłowackie. Niektóre związki krajowe groziły, iż w razie przyjęcia sowieckich związków, one wystąpią z międzynarodówki. Za połączeniem wypowiedziały się bez zastrzeżeń tylko związki francuskie i hiszpańskie.

4) Sowiety skłonne są by zrezygnować z szeregu swych propozycji i wstąpić do socjalistycznej międzynarodówki zawodowej bez wstępnych warunków, a na ogólnie przyjętych normach. W myśl bowiem faktyki „konja trojańskiego” chodzi im głównie o to, by być wewnątrz ruchu masowego, do którego dotąd mieli trudny dostęp.

Mając się, podobno w maju rb., odbyć międzynarodowy kongres związków zawodowych, rozstrzygnie ostatecznie sprawę przyjęcia sowieckich związków. Niechęć umiarkowanych socjalistów do łączenia się z komunistami jest więcej niż zrozumiała, mimo perspektywy rocznego wpływu kasowego 5 $\frac{1}{4}$ milionów franków.

Jakie stanowisko zajęli w tej sprawie „nasi” socjaliści? Nie mówimy o „Bundzie” czy „Poale-Syjon”; te żydowskie partie socjalistyczne są rzecz jasna, za połączeniem się

z sowieckimi związkami bez żadnych zastrzeżeń. Inaczej być zresztą nie może, gdy się zważy, że są to takie same krypto-komunistyczne partie jak niedawno rozwiązana Niezależna Socjalistyczna Partia Pracy dr. Kruka. W PPS, o której mówimy, były głosy niechętnie przyjęciu sowieckich związków. Tym niemniej czynnik w tej sprawie najbardziej miarodajny, bo przewodniczący Komisji Centralnej Związków Zawodowych p. J. Kwapiński zajął zupełnie niedwuznaczne stanowisko. W polemice z przeciwnikami połączył się z sowieckimi związkami wywodził p. Kwapiński:¹⁾

Jeżeli istotnie dojdzie do tego, że poszczególne(?) organizacje zawodowe w ZSSR przystąpią do poszczególnych międzynarodowych związków zawodowych, to największą klęskę oczywiście poniosą politycy moskiewscy, bowiem okaże się dowodnie, że nie udało im się na przestrzeni 17 lat stworzyć międzynarodowego ruchu zawodowego w oparciu o ideologię komunistyczną.

A dalej pisał:

Czy sądzicie, że gdy delegaci rosyjscy przyjdą na poszczególne międzynarodowe kongresy i przypatrzą się potężnej działalności związków zawodowych w państwach demokratycznych — nie wyniosą z krajów demokratycznych tęsknoty do swobody krytyki, do prawdziwej obrony interesów robotniczych wobec tyranii sowieckiej biurokracji? Jeżeli mówi się o niebezpieczeństwie — to niebezpieczeństwo istnieje dla polityków sowieckich; płynie ono z ewentualnej likwidacji odrębnej Międzynarodówki zawodowej rosyjskiej.

Okazuje się więc, że na dwa tygodnie przed odrzuceniem przez Biuro międzynarodówki moskiewskiej propozycji, przez pepesowskich związków uważał wejście sowieckich związków do socjalistycznych międzynarodowych organizacji zawodowych za — największą klęskę Stalina! Wątpliwe, by działał tu brak informacji i orientacji. P. Kwapiński należy do tych socjalistów, którzy doskonale znają bolszewików. Nie należy też do typu naiwnych polityków, jest starym, szcwanym i wyrobionym politykiem partyjnym. Skąd więc ta chęć pomagania bolszewikom, pod pokrywką słów o walce z nimi? Trudno nam odpowiedzieć na to zupełnie ściśle,

¹⁾ *Robotnik* z dnia 1 stycznia 1938.

a same domysły bez decydujących dowodów nie nadają się do artykułu.

Na podstawie jednak przedstawionej wyżej sprawy jedności socjalistycznego i komunistycznego ruchu zawodowego można sobie wyrobić pogląd o kwestii, jak się układają wzajemne stosunki pomiędzy socjalistami i komunistami.

Przyznajemy otwarcie, iż uczucie subiektywnej niechęci i obawy przed komunistami jest jeszcze u naszych socjalistów dość mocno ugruntowane. Mimo to obiektywnie, pracują socjaliści — nieraz i świadomie — nad torowaniem dróg dla komunizmu. Wynika to ze wspólnej, u socjalistów i komunistów, ideologii — marksizmu, ze wspólnej nienawiści do wspólnego wroga, którego nazywają generalnie — faszyzmem, ze wspólnego programu działania na okres najbliższy (pięcio-przymiotnikowe wybory i powrót do parlamentarnej demokracji) oraz ze wspólnych metod walki — strajki, demonstracje uliczne itp., a w ostateczności — ulubione barykady.

Silniejsze więc są momenty łączące od elementów dzielących. Trzeba to uwzględnić, o ile się chce ocenić sytuację trzeźwo i w perspektywie dalszej mety, a uniknąć nieprzebacznego w polityce krótkowidztwa i lekkomyślnej wiary w słowa, które często brzmią antykomunistycznie.

W chwili obecnej, mniej więcej od pół roku, komunizm w Polsce przechodzi znowu okres silnego wewnętrznego przesilenia, z powodu ociągania się i ujawnionej nieumiejętności kierownictwa partyjnego Komunistycznej Partii Polski w przeprowadzeniu nakazanej przez Moskwę taktyki kursu demokratycznego i z powodu wewnętrznych rozrachunków w bolszewickiej klicie, wszak Stalin rozgromił znaczną część Komitetu Centralnego KPP. Mamy wszakże wszelkie dane stwierdzające, iż komuniści w Polsce wzmocnią w najbliższej przyszłości swój nacisk na „front demokratyczny“, a w szczególności na PPS i na jej związki zawodowe.

Artykuł mój w styczniowym zeszycie *Przeglądu Po-wszechnego* pt. „Demokratyczne drzwi“, wywołał w codziennej prasie względnie żywą dyskusję. Niestety część prasy,

wyzyskała artykuł i autorytet *Przeglądu Powszechnego* do wzajemnych oskarżeń, a nawet insynuacji, przechodząc koło jądra zagadnienia.

Z zasadniczą polemiką wystąpił w *Robotniku* (14. I. br.) p. Czapiński. Nie ustrzegł się przy tym stylu wiecowego i miejscami nieprzyzwoitego, ale mniejsza o styl, każdy używa takiego na jaki go stać.

Główny zarzut p. Czapińskiego pod naszym adresem brzmi, że operujemy „straszakiem komunistycznym” i że straszak ten potrzebny nam jest li tylko w celu walki z demokracją, względnie ma zasłonić nasz strach przed demokracją. Szczerością i konsekwencją nie „grzeszą” te zarzuty. Nie uda się p. Czapińskiemu udowodnić, że wypowiadamy się przeciw istotnej demokracji tj. przeciw udziałowi ludu w rozstrzyganiu najistotniejszych spraw państwowych i przeciw kontroli przedstawicielstwa narodowego nad rządem. Jakby kulą w płot trafia nasz przeciwnik, gdy twierdzi, że „odraza (do demokracji) jest widoczna, mimo iż autor zaznacza półgębkiem, że dzisiejsza ordynacja wyborcza jest do niczego”. Jeszcze w ub. r., w kwietniowym zeszycie *Przeglądu Powsz.* pisałem, wcale nie „półgębkiem” o konieczności spełnienia żądań ruchu ludowego, a m. in.:

...rewizja ordynacji wyborczej w kierunku umożliwienia również polskiemu o p o z y c y j n y m czynnikom politycznym dojścia do wpływów w państwie i wyłonienia takich ciał ustawodawczych, które naprawdę reprezentować będą opinię publiczną narodu.

Sądzę, że p. Czapiński znał ten pogląd, gdyż polemizował również z tamtym artykułem.¹⁾ Skądinąd zaś wiemy, że nie tyle wyimaginowany straszak, ale prawdziwe niebezpieczeństwo komunistyczne zajmowało PPS bodaj że w większym stopniu, niż jakiegokolwiek inne stronnictwo w Polsce, z tego choćby względu, że jako najbliższy sąsiad i krewniak komunizmu więcej od innych odczuwa jego ataki i natrętne próby rozkładu od wewnątrz.

Rozprawiając o niebezpieczeństwie komunistycznym nie operujemy nigdy gołosłownymi twierdzeniami, lecz dobrze skontrolowanymi faktami i rzetelną znajomością przedmiotu.

¹⁾ *Robotnik* z II. IV, 1937 r.

Każdy krytyczny, chociaż przeciwny nam ale bezstronny czytelnik musi nam to przyznać.

Powołuje się nasz oponent na przykłady krajów demokratycznych: Anglii i krajów skandynawskich, że te właśnie kraje „są najdalsze od komunizmu”. Do pewnego stopnia tak jest istotnie, ale nie wolno przy tym zapominać, że 1^o zupełnie inna aniżeli w Polsce jest sytuacja geo-polityczna, narodowościowa i gospodarcza tych krajów; 2^o demokratyczny sposób rządzenia — zresztą przy monarchistycznym systemie — w danych krajach może się wykazać w przeszłości i w teraźniejszości dużym sukcesem i unikaniem kompromitujących widowisk, jakie dawały sejmowładcze demokracje w Polsce, w Niemczech, Austrii, Włoszech, Francji itd.; 3^o mają te państwa to szczęście, że nie graniczą z ZSSR i że nie mają pośród siebie obcego, z natury jakby wyrotowego, narostu jakim jest żydostwo w swej masie. Znamienne, że właśnie o Francji, gdzie jesteśmy świadkami przerostów demokracji z masonską pojętej, p. Czapiński nie raczył wspomnieć ani słówkiem w swej polemice.

Niepoważną też jest próba p. Czapińskiego rewizji powszechnie znanego faktu historycznego o roli kiereńszczyzny w Rosji. Urzędowy jakby styl sprostowania prasowego podkreśla tylko nieszczerłość stanowiska naszego oponenta. Pi-sze on:

Nieprawdą jest, że „Kiereńszczyzna” wywołała bolszewizm! Natomiast prawdą jest, że wywołało go samodzierżawie. Oto wielka i oczywista prawda o której raczą zapominać p. p. Skalińscy.

Ani wielka, ani taka oczywista, jak pan Czapiński przypuszcza. Należy przy tym sprostować, iż nie pisałem o kiereńszczyźnie jako o przyczynie bolszewizmu, lecz najwyraźniej jako o najważniejszym „czynniku, który ułatwił bolszewikom zwycięstwo”. Z takim zaś twierdzeniem spierać się można jedynie z nieuctwa albo ze złej woli. Carski absolutyzm (samodzierżawie), przy splocie innych zjawisk i czynników, wywołał rewolucję i swój własny upadek. Rozwój i zwycięstwo bolszewizmu to już w mniejszym stopniu „zasługa” caratu. Większe, doprawdy, „zasługi” mają tu

liberali i socjaliści rosyjscy no i znane czynniki, jak masoneria, międzynarodowe żydostwo, sztab niemiecki. Ma bolszewizm bezsprzecznie swe korzenie w całej historii Rosji, jak to głęboko i wszechstronnie udowadnia prof. Kucharzewski w swym dziele *Od Białego Caratu do Czerwonego*. Nie można wszakże stanąć na fatalistycznym stanowisku, że bolszewizm koniecznie musiał zwyciężyć po upadku caratu. Znam opinię autorytatywnych bolszewików, którzy zwycięstwo swoje z roku 1917 uważali za szczęśliwy zbieg okoliczności i za wynik politycznej mądrości swego wodza Lenina, który potrafił wykorzystać słabość demokratycznego ustroju, w okresie od marca do listopada 1917 roku i pomoc udzieloną z zewnątrz.

Owszem, słuszne reformy społeczne i polityczne, przeprowadzone w swoim czasie, chronią państwo od wstrząsów i rewolucji. Ale któż potrafi udowodnić, że taki właśnie charakter ma ewentualny powrót Polski do sejmowładztwa, właśnie dziś, gdy tego domagają się komuniści i kiedy — naszym zdaniem — otwierałoby to szerokie możliwości rozwoju przed komunizmem, największym wrogiem Polski?

P. Czapiński przeciwstawia nam autorytet mr Edena, ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, który twierdzi, że „demokracja jest najlepszym środkiem przeciw komunizmowi”. Cóż to za cudowne słówko „demokracja”! Dla mr Edena jest to władza lordów i kapitału angielskiego nad pół miliardem ludzi, przy względnym udziale we władzy 30 kilku milionów Anglików. Dla Stalina jest to niczym nieograniczona władza własnej klikki nad 170 milionową ludnością i dwumilionową międzynarodówką komunistyczną. Dla francuskiego radykała oznacza to słowo władztwo mafii masońskiej przy pozornym współudziale mas wyborczych i to mniejszości narodu, gdyż kobiety we Francji są pozbawione prawa głosowania. Dla p. Czapińskiego znowu system demokratyczny to rządzenie państwem przez lewicowe i — wyłącznie z konieczności ilościowej — centrowe partie polityczne, a raczej przez ich kierownictwa, przy usankcjonowaniu tego stanu rzeczy przez pięcioprzymiotnikowe głosowanie. W to cudowne słówko — „demokracja” wkładają różni ludzie w różnych krajach zupełnie rozmałą treść.

O ile pod demokracją rozumieć mamy: prawo decydowania i możliwie najszerszego udziału mas ludowych — tej podstawy każdego narodu — w rządach państwem oraz wszechstronny, kulturalny, duchowy i gospodarczy rozwój narodu, w atmosferze wolności i bez zbytniego skrupowania jednostki, przy zachowaniu karności społecznej i solidarności narodowej na wewnątrz i na zewnątrz — to owszem, tak pojęta demokracja jest skuteczną bronią przeciw komunizmowi. Ale gdzież jest taka prawdziwa demokracja? Nie wiem czy nawet najczystsza współcześnie demokracja szwajcarska odpowie temu ideałowi. A przecież nawet w Szwajcarii — znacznie mniej zagrożonej aniżeli Polska przez niebezpieczeństwo komunistyczne, walkę z komunizmem prowadzi się ostatnio bardzo energicznie, za pomocą specjalnych plebiscytów i ustaw.

Różnica między naszym poglądem a poglądami reprezentowanymi przez p. Czapieżskiego nie polega na wrogości czy przychylności do demokracji jako takiej, lecz na zgoła różnym i sprzecznym pojmowaniu roli człowieka i społeczeństwa, roli państwa i narodu.

Doprawdy, dziwnym brakiem konsekwencji grzeszą popesowcy, gdy próbują udowodniać, że przez zalegalizowanie partii komunistycznej zada się komunizmowi najcięższy cios (Żuławski), gdy głoszą, że połączenie sowieckich związków zawodowych ze socjalistycznymi przyczyni się do klęski dyktatury stalinowskiej (Kwapiński) lub że przez powrót do sejmowładztwa najsukuteczniej zwalczy się w Polsce komunizm (Czapieżski).

Uważamy to za brak konsekwencji, gdyż musielibyśmy przyjąć hipotezę, że komuniści z ich bolszewickim kierownictwem na czele dążą świadomie do politycznego i fizycznego samobójstwa, walcząc z determinacją właśnie o demokrację w pojęciu Czapieżskiego, zjednoczenie w pojęciu Kwapińskiego i legalizację w pojęciu Żuławskiego. A my znając bolszewików i nie chcąc dopuścić do ciężkiego grzechu politycznego, jakim jest lekceważenie wroga, nie chcemy jakoś uwierzyć w zamiary samobójcze komunistów, uważamy przeto punkt widzenia PPS za niedorzeczny i absolutnie nie wytrzymały krytyki.

W końcu chcę jeszcze sprostować zarzuty p. Cz. o moich „jezuickich wybiegach”. Widocznie nie uświadomił sobie jeszcze p. Czapiński, że słowo „jezuicki” przestaje już w Polsce straszyć, że stało się — jak ongiś — zaszczytem, z którego autor niniejszych słów może się tylko cieszyć. Oburza się p. Cz., że zarzuciłem mu dezorientowanie opinii. Zarzut ten podtrzymuję w całej pełni, ale powtarzam, iż zarzut mój dotyczy wmawiania w szeroką opinię przekonania jakoby komuniści zmienili swą faktykę w stosunku do socjalistów i do demokracji. Tak pojętego zarzutu nie usuną ani nie osłabiają fakty przejściowych kłótni w rodzinie marksistowskiej.

Przy sposobności niech mi wolno będzie wyrazić zdziwienie z faktu, że argusowe oczy p. Cz. jakoś nie zauważyły specjalnych artykułów poświęconych PPS.¹⁾ Miałby tam dopiero strawę pełną „jezuickich wybiegów”... A może „wybiegi” te były nawet dla dialektyki p. Cz. za mocne?

¹⁾ *Przegląd Powszechny* marzec 1937 r.: „Drogi PPS” i lipiec-sierpień 1937 r.: „O należyłą postawę wobec komunizmu”.

J. Skaliński.

Przegląd Piśmiennictwa.

Adam Żółtowski: *Descartes*. Poznań. Nakładem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. Skład główny w Księgarni Jana Jachowskiego w Poznaniu. 1937, str. 252 (ze streszczeniem w języku francuskim).

Niewiele posiadamy oryginalnych monografij z zakresu historii filozofii. Dlatego z tym większym uznaniem należy powitać monografię dra Żółtowskiego o *Descartes'ie*. Całość czyta się z przyjemnością. Dr Żółtowski potrafi prowadzić czytelnika poprzez dziedzinę obcej myśli z pożytkiem dla jego historycznej wiedzy filozoficznej. A osiąga to dzięki przystępności wykładu, logicznemu wiązaniu rozwijającej się myśli filozofa oraz dzięki łączeniu historii systemu z biografią jego twórcy. Dzięki tym właśnie czynnikom otrzymujemy obraz pełen plastyki i życia, zdolny zainteresować nawet niefachowych czytelników. Dalszą zaletą monografii jest obfitość umiejętnie dobranych wyjątków z dzieł omawianego filozofa. Daje to czytelnikowi możliwość bezpośredniego wniknięcia w świat kartezjuszowskiej myśli, sprawdzenia słuszności interpretacji a dla początkującego w dziedzinie filozofii stanowi rodzaj wprowadzenia do studium filozofii *Descartes'a*.

Za główny cel swej pracy obrał dr Żółtowski określenie stanowiska *Descartes'a* w filozofii nowożytnej, czym rzeczywiście dotychczas nikt wyłącznie się nie zajął. Ale tu musimy zrobić autorowi jeden zasadniczy zarzut, musimy mu wytknąć jego historyczne uprzedzenie, które jest powodem, że linię podziału między filozofią nowocześnie a dawniejszą przeprowadza trochę za radykalnie. Chce zresztą tę granicę utrzymać za wszelką cenę, stąd może płynie to dopatrywanie się przebłysków „nowożytnej”, „genialnej” myśli nawet tam, gdzie z trudem tylko można wyłuskać coś oryginalnego. Autor wyraźnie sympatyzuje ze wszystkim, co w jakikolwiek sposób nosi etykietę tzw. filozofii nowożytnej. Stąd płynie jego pobłażliwość dla wszelkich niedociągnięć u *Descartes'a*, a w każdym razie usiłowanie zmniejszenia odpowiedzialności twórcy przez wyszukiwanie względów łagodzących. To

samo uprzedzenie każe autorowi wyrażać się mniej przychylnie o wszystkim, co się odnosi do filozofii tradycyjnej. Bo na czymże np. opiera autor swój sąd, że wystarczającym kryterium dla odróżnienia płodów myśli nowożytnej od średniowiecznych jest „jasność ujęcia i składność wyrażenia”, która „z pewnością nie pochodzi ze średniowiecznej głowy” (s. 45). Osobiście jesteśmy raczej skłonni do wręcz przeciwnego sądu. Przyznajemy, że dziełom średniowiecza brak psychologicznego pogłębienia i że właśnie przewaga psychologii i momentów osobistych może uchodzić za kryterium nowoczesnej filozofii, lecz nie zgodzimy się na tak ogólnikowy anachronizm naukowy, jakim jest przypisywanie scholastyce mętnej terminologii i braku jasności pojęć. Godzimy się z autorem, że nowożytny sposób filozofowania „polotu myśli nie kępuje” (s. 69), ale właśnie dlatego kwestionuje wartość filozofii jako nauki, czego nie kwestionowali starożytni i średniowieczni myśliciele. Również sąd o niepłodności arystotelizmu, który autor zdaje się podzielać z Descartes'em, w obecnym stanie historycznych badań jest zdawkowym komunalem. Tutaj należałoby Descartes'a skorygować, tak jak to czyni autor gdzie indziej. Że ktoś się trzyma zasad arystotelizmu, nie znaczy, że rozumie je, że stosuje się do nich i że umie z nich korzystać, czego najlepszym dowodem jest fakt, że dopiero dzisiaj zaczynamy znowu doceniać Arystotelesa i wracać do niego. Płodność i trwanie jakiegoś systemu są ściśle powiązane ze sobą i ani sama płodność, ani samo trwanie — nie mówiąc już o kryteriach wewnętrznych — nie jest wystarczającym sprawdzianem prawdziwości systemu. Tak samo nie rozumiemy, dlaczego „nierozzerwalność porządku idealnego i realnego” ma być cechą „progu nowożytnej filozofii”, skoro tę nierozzerwalność głosi skrajnie już Parmenides, skoro jest ona podstawą metafizyki Arystotelesa, skoro bez niej nie do pomyślenia byłaby suma św. Tomasza. Nie trzeba więc wcale sięgać aż do Schellinga, jak to czyni autor (s. 48). Oryginalną do pewnego stopnia cechą nowożytnej myśli jest bez wątpienia coraz wyraźniejszy zwrot ku podmiotowi i mieszanie porządku idealnego ze subiektywnym. Descartes jest mistrzem właśnie pod tym względem. Descartes zatracza pojęcie „pojęcia”, myśl u niego jest określona tak szeroko, że słusznie dr Żółtowski może się nią zachwycać (w przedmowie) jako czymś „zmiennym, żywym, organicznie powstałym, osobliwym kolejom podległym, w nieuchwytne nieraz stosunki pomiędzy sobą ujętym”. Szkoda, że dr Żółtowski nie dodał, że tutaj właśnie wbrew wszelkim pozorom zaczął się zmierzch prawdziwej metafizyki, której już nic nie uratuje, a którą Kant — jako logiczny wynik „nowoczesnego przełomu” — uzna za nieszkodliwe marzenia... Dr Żółtowski nie widzi, czy widzieć nie chce, że właśnie u Descartes'a następuje rozdział między światem rzeczywistym, światem zmysłów, a podmiotem poznającym myślą, że

o świecie zewnętrznym wiemy coś dopiero na podstawie... wniosków logicznych. Gdzież tu owa nierozzerwalność porządku idealnego? Tę nierozzerwalność można widzieć w dowodzie ontologicznym, ale Descartes korzysta z niego w jednym jedynym, odosobnionym wypadku (istnienie Boga). Za bardzo również nieścisle, albo nawet wręcz fałszywe uważamy powiedzenie autora na stronie 16. Spostrzeżenie Descartes'a, że „nawet sfera zmysłowego na pozór poznania w istocie też jest zależna od czynności duchowych”, ma być „odkryciem”, „drogą pośrednią, jedną z Platona z Arystotelesem”. Cóż w takim razie twierdził Arystoteles? Autor nie mógłby wypowiedzieć takiego sądu, gdyby był uwzględnił choćby pracę Marcela de Corte'a: *La doctrine de l'intelligence chez Aristote* (Paris, J. Vrin. 1934).

Można by jeszcze wytknąć autorowi szereg nieścisłości tam, gdzie wypowiada się na temat filozofii tradycyjnej (przesadne jest np. określenie molinizmu jako „skrajnego indeterminizmu” (s. 40); autor niesłusznie przeciwstawia molinizm tomizmowi, gdyż molinizm — jako zaprzeczenie banezianizmu — może być uważany za interpretację tomizmu). W ogóle ta filozofia tradycyjna jest słabą stroną monografii dr. Żółtowskiego. Uważaliśmy za swój obowiązek wytknąć choć parę najgłośniejszych niedociągnięć, żeby zaprotestować przeciw nawet nieświadomemu uprzedzeniu dyletantyzmu naukowego odnośnie do tej filozofii, dozwolonego i stosowanego systematycznie do niedawna, niedopuszczalnego już jednak dziś w dziełach, roszcujących sobie prawo do miana prac naukowych.

Monografię jako całość uznać należy mimo to za pracę udaną. Bo choć autor, wskutek jednostronnego zapatrzenia się w filozofię nowożytną, przejawia — nie historyczny rozgłos, lecz historyczną wartość dzieła Descartes'a i przecenia dorobek nowszych czasów, wielkich na polu nauk doświadczalnych, znacznie słabszych na polu filozofii, jednak sama postać i myśl francuskiego filozofa wychodzi do nas z kart monografii prawdziwa i żywa.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

Paul Siwek S. J. *Spinoza et le panthéisme religieux*. Paryż 1937. Desclée de Brouwer et Cie (str. XXXI+293).

W tej książce autor stawia sobie za cel przedstawić jak najwierniej system Spinozy i konsekwencje zeń płynące. By ten cel osiągnąć, nie idzie autor śladami tych interpretatorów Spinozy, którzy za wszelką cenę chcą doprowadzić do zaniku trudności, jakie się zjawiają w wielu punktach spinozańskiego systemu, przedstawiając nie to, co Spinoza faktycznie twierdził i czego nauczał, lecz to, co powinien by był twierdzić, chcąc być w zgodzie logicznej z zasadami założonymi u podstaw. Nie naśladuje

również tych, którzy z łatwością odkrywają sprzeczności, nie zadając sobie trudu, by jednak wykryć wiązania logiczne, łączące pozornie niezgodne części systemu. Dlatego autor zdecydował się obrać metodę nie analityczną, którą stosował sam Spinoza, budując swą etykę *modo geometrico*, lecz metodę syntetyczną w przekonaniu, że w ten właśnie sposób lepiej uwydatnią się autentyczne myśli Spinozy, gubiące się niekiedy w długich sylogizmach i subtelnościach. Autor znajduje usprawiedliwienie swej metody w postępowaniu samego Spinozy, który wielokrotnie odstępował od metody geometrycznej jak sam powiada, zawilej i męczącej, by wypowiedzieć swe myśli w formie swobodniejszej i zrozumialszej.

W pierwszej części znajdujemy życiorys z uwzględnieniem wpływów ideowych, pod jakimi zostawał młody Baruch Spinoza i których oddźwięk widać w jego systemie. Obdarzony umysłem żywym i wnikliwym młody Spinoza nie mógł się zadowolić kabalistycznymi i talmudycznymi tłumaczeniami, w których przenośnie brano w sensie właściwym, a Boga przedstawiano na miarę człowieka. Pograżony w wątpliwościach i nieufności do religij pożytywnych, Spinoza pragnął poznać Boga bez pomocy objawienia drogą filozoficznej spekulacji; szukał zatem dróg u filozofów greckich, zwłaszcza stoików, których panteizm i wysoki szacunek dla cnoty zwłaszcza łagodności i miłosierdzia względem wszystkich ludzi, wywierał nań stanowczo większy urok niż „rasistowska“, „podwójna“ moralność zalecana przez talmud. Spinoza żywił wielką cześć dla Giordana Bruno, tego nieugiętego przedstawiciela renesansowego stoicyzmu. Od Kartezjusza przejął prawie całkowicie fizykę i nauczył się posługiwać metodą geometryczną w wywodach filozoficznych. Słowem fizyka Kartezjusza i metoda geometryczna została przez Spinozę użyta do ugruntowania panteizmu religijnego, którym się przejął, czytając Maïmonidesa i stoików i ku któremu go popchnęły grubo antropomorficzne obrazy talmudu i popularne pojęcia utrzymywane przez tłum o mentalności dziecięcej.

W części drugiej autor przedstawia, w jaki sposób Spinoza wznosi *modo geometrico* swój system filozoficzny, będący panteizmem religijnym. Wychodząc nie z doświadczenia, gdyż ono dostarcza pojęcia nie adekwatne, lecz z idei najprostszej wytworzonej przez rozum, mianowicie z idei bytu, Spinoza dzięki intuicjonizmowi i ultrarealizmowi kartezjuszowskiemu dochodzi konsekwentnie do pojęcia bytu jako jedynej substancji. W gruncie rzeczy utożsamienie bytu z jedyną substancją stanowi raczej postulat w rozumowaniach Spinozy, gdyż w jego wywodach nurtuje założenie o intuicji tożsamości bytu i substancji. Należy przypuszczać, iż znajomość teorii scholastycznej o analogii bytu, wzbudziłaby wątpliwości w umyśle Spinozy co do jego dogmatycznie sformułowanej tezy o jedynej substancji, którą nazywał Bogiem lub naturą

(*Deus sive natura*), co w rezultacie oznacza utożsamienie świata z Bogiem czyli panteizm.

Spinoza miał aspiracje stworzenia na terenie religii podobnej rewolucji jaką Kopernik spowodował na terenie astronomii, chciał stworzyć religię czysto rozumową, wolną od wszelkich elementów nadprzyrodzonych. Panteizm przezeń wymyślony miałby być właśnie tą religią. Marzenia Spinozy nie ziściły się. Wielu współczesnych dopatrywało się w panteizmie Spinozy ateizmu; i w najnowszych czasach naturalizm widzi w spinozizmie swe oparcie. Przedstawiciele marksizmu bolszewickiego jak Deborin uważają Spinozę za praojca swego kierunku.

W trzeciej części autor krytykuje system religijny spinozjański, wykazując, że ta religia bez wiary, bez nadziei i miłości przedstawia jakiś dziwny twór, jakąś geometrię religii.

Spinoza uważa kult Boga przez zewnętrzne oznaki za zaborny, sprowadzając istotę religijności do praktykowania miłości bliźniego, łagodności, tolerancji. Spinoza głosi religię bez dogmatów i moralność opartą na prawie natury, które w człowieku wyraża się w postaci dążenia do zachowania się i do mocy, tak iż tyle ma się prawa ile siły. Słowem egoizm i siła miałyby stać się miarą prawa. Nic bez powodu Hegel powiedział, iż Spinoza zabija właściwą etykę. Materialiści zaś ubolewają nad tym, że Spinoza nie miał odwagi szczerze wypowiedzieć swych przekonań materialistycznych i ateistycznych. Nic dziwnego, iż filozofowie bolszewizmu chcą widzieć w systemie Spinozy kamień węgielny dla swych teorii socjalnych.

Autor przedstawił filozofię Spinozy w sposób udokumentowany tekstami, tak że interpretacja myśli spinozjańskiej nie jest dowolną. Nacisk został położony, odpowiednio do tytułu książki, na stronie religijnej spinozizmu. Czytelnik dojdzie do przekonania, że Spinoza szukający Boga i tworzący swój panteizm religijny jest postacią raczej tragiczną, daleką od obiecanego spokoju, mającego płynąć ze stoickich rozważań świata *sub specie aeternitatis*, podobnie jak jego system jest wynikiem wielu nieporozumień. Ks. Siwek dał nam gruntowne studium o panteizmie religijnym Spinozy. Miał zresztą do tego wszelkie dane, wystarczy bowiem wspomnieć gruntowne a dawniej wydane dzieło o Spinozie pt.: *L'âme et le corps d'après Spinoza*, Paryż 1930.

Ks. prof. Piotr Chojnacki.

Lucien Biernacki, Docteur en Théologie: La doctrine de l'Église chez le Cardinal Hosius. Paris, Gabalda 1936 pp. XIII+290. (Księgarnia św. Wojciecha).

Ks. dr Józef Smoczyński: Eklezjologia Stanisława Hozjusza. Pelplin 1936, str. XV+116; Wydawnictwo teologiczne Diecezji Chełmińskiej.

W całej polemice z protestantami w wieku szesnastym zagadnienie Kościoła nie od razu wysunęło się na pierwszy plan,

choć tkwiło u jego podstaw. Logiczny jednak związek i bieg myśli prowadził nici poszczególnych kwestii do wspólnego centralnego punktu, zasadniczego zagadnienia, od którego wszystkie inne zależały, czy to kwestia o usprawiedliwieniu, czy o źródłach objawienia, o sakramentach czy o odpustach. Dla katolików punktem oparcia była boska powaga nauczającego Kościoła — dla protestantów i innowierców Pismo św. Jakie stanowisko zajął w swej polemice z protestantami kardynał Hozjusz odnośnie do Kościoła, jako podstawowego zagadnienia? — oto pytanie, na które nam odpowiada ks. dr L. Biernacki w swej pięknej monografii o Hozjuszu.

Zasługą niemałą autora jest to, że naukę Hozjusza o Kościele, rozproszoną w rozmaitych dziełach, zebrał i ugrupował według logicznie powiązanych z sobą rozdziałów w trzech głównych częściach: o naturze Kościoła i jego roli względem źródeł objawienia i życia wiernych, o znamionach prawdziwego Kościoła i o ustanowieniu hierarchicznego ustroju w Kościele przez Chrystusa.

Przedstawiwszy we wstępie ogólny obraz historii i stanu protestantyzmu w Polsce, z którym Hozjusz miał bezpośrednio do czynienia, przechodzi do poszczególnych problemów. Czym Kościół jest w swej istocie z ustanowienia Bożego — organizacją widzialną czy też i niewidzialnym, mistycznym zrzeszeniem wiernych i jakim? Jaka powaga względem Pisma św., tradycji; jakie znaczenie w życiu wewnętrznym każdego z wiernych? Po czym poznać prawdziwy Kościół, skoro tyle najrozmaitszych, sprzecznych między sobą wyznań chrześcijańskich chce uchodzić za prawdziwy Kościół Chrystusowy? Odrzucającym wszelką hierarchię kościelną reformatorem trzeba było uzasadniać zróżnicowanie stanów wśród wiernych w Kościele, udowodnić i obronić urząd i władzę biskupów nauczycielską, uświęcającą i rządzącą, prymat i nieomyłność papieża — wyjaśnić znaczenie soborów powszechnych. Oto główne zagadnienia, przed którymi autor postawił Hozjusza — to równocześnie treść książki.

Pokazuje nam w niej ks. dr Biernacki, jak Hozjusz umiał po mistrzowsku uporać się z tymi zagadnieniami. Siegał do ich podstaw; śmiało, odważnie dotykał najistotniejszych trudności, a w odparowywaniu zarzutów nie zadowalał się łatwością zaprzeczenia czy głośliwym twierdzeniem, ale wszechstronną erudycją, głębokim wnikiem w naukę i znaczenie Pisma św. a zwłaszcza obfitymi i soczystymi tekstami z tradycji potrafił dobitnie wykazać słuszność swej nauki. Umiejętnie korzystał z dorobku innych obrońców wiary katolickiej na Zachodzie, ale też, jak słusznie autor (za Franklem St., por. str. 116, 129) podnosi, trzeba mu przyznać w pewnej mierze zasługę torowania nowych dróg na polu systematycznej teologii jak np. w kwestii o znamionach Kościoła, o nieomyłności papieża (por. str. 239 uwaga samego

autora). W zagadnieniach tych wyprzedził Hozjusz Bellarmina, Suareza i innych.

Wielką zaletą pracy ks. dr Biernackiego jest jej jasność i przejrzystość. Na początku każdego rozdziału daje ogólny pogląd na daną kwestię, potem rozwija dowody i zarzuty przeciwników, a następnie wyjaśnia pozytywnie naukę katolicką i odpowiada na trudności w ujęciu oczywiście kardynała Hozjusza. W zakończeniu ocena. Krótkie ujęcie wniosku, podkreślenie oryginalności, zasługi czy niedomówień polemisty. Przedstawienie zarzutów i odpowiedzi nie w formie uogólnionej, ale tak jak były stawiane wówczas, czyni książkę bardzo zajmującą i łatwą w czytaniu.

Ponadto monografia, choć odnosi się do wieków ubiegłych, jest jednak wysoce aktualną. Daje wgląd w zapatrywania innowierców, odsłania trudności i daje wyjaśnienia na zarzuty, jakie i dziś mogą być i są podnoszone. Pogłębiająca nauka Hozjusza da każdemu wierzącemu dużo światła i pociechy z posiadanej prawdy. Szkoda, że książka napisana w języku francuskim jest dla szerszego ogółu w Polsce niedostępna.

W recenzji o pracy ks. dr Biernackiego, jaką zamieścił ks. B. Waczyński T. J. w *Orientalia Christiana* 1937 vol. III pag. 681—684, znajdujemy wzmiankę o nieuwzględnieniu niektórych prac prawosławnych o Hozjuszu. Sądzę, iż w zakresie tematu autora uwzględnienie wspomnianych przez ks. W. prac niewiele podniosłoby wartość niniejszej rozprawy, ponieważ punkty sporne co do Kościoła, podnoszone przez prawosławnych, zostały prawie dosłownie powtórzone przez protestantów. Natomiast z zadowoleniem widzielibyśmy rozszerzenie i pogłębienie nauki o Kościele jako ciele mistycznym Chrystusa, o czym autor wspomina wprawdzie w pierwszej części ale jakby ubocznie tylko. W świetle tej nauki ciekawą byłoby rzeczą, jak kardynał Hozjusz uwydatnia podmiotową przynależność członków do prawdziwego Kościoła w odróżnieniu od protestantów, jak pojmuje zespolone życie całego Kościoła, choć stanowiło zróżnicowane itd.

Pewne rozszerzenie wspomnianej wyżej myśli daje nam nowa monografia o Hozjuszu, wydana po polsku w ubiegłym roku przez ks. dr Józefa Smoczyńskiego. Ks. dr Smoczyński nie miał bynajmniej zamiaru uzupełniać w czymkolwiek pracy ks. dr Biernackiego. Zaznacza bowiem w przedmowie, że swoją pracę ukończył już przed otrzymaniem książki ks. dr Biernackiego. Niemniej jednak mimo tożsamości prawie tematu praca ks. dr Smoczyńskiego daje pewien przyczynek.

Pierwsze dwa rozdziały nie dają nic nowego. Są one nieco tylko odmiennym ujęciem polemicznego stanowiska Hozjusza wobec zagadnień pojęcia i znamion Kościoła, ustroju hierarchicznego i stanowiska Kościoła wobec protestanckiej zasady o Piśmie św.

jako jedynym źródle objawienia Bożego. (Autor nazywa tę zasadę: biblicyzmem) W trzecim zaś rozdziale i ostatnim zarazem poświęca autor więcej już uwagi mistycznej społeczności Kościoła, w czym uwzględnia właśnie i poglądy prawosławnych na stosunek jednostek z osobna i całość wiernych w ogóle do Chrystusa. Podkreśla życiodajność sakramentów i współżycie z Chrystusem, co nam pozwala wglądać w duszę Hozjusza wysoce z Bogiem zjednoczoną. Naukę o mistycznym cielem Chrystusa — nazywa autor złotym tłem eklezjologii Hozjusza. Pozostaje ona jeszcze mimo wszystko ujęta tylko w ogólnych, szkicowych rysach.

Praca ks. dr Smoczyńskiego (zdaje mi się) nie jest dla ogółu przeznaczona. Wiele jest zwrotów, zrozumiałych tylko dla teologów. Ponieważ jednak pisana jest w języku polskim — uważam, że za wiele języka łacińskiego w tekście (*vivum membrum, idea corporis mystici, fides implicita itp.*), a nadto za dużo wyrazów łacińskich spolszczonych, które by można zupełnie dobrze czysto polskimi słowami zastąpić jak np. dyferencjacja, eksplikacja, sukcesja, interpretują, korelat, autorytet magisterski, uzurpują, partycypacji itp. Poza tym bliższe wyszczególnienie zagadnień w odpowiednich rozdziałach i podpodziałach mogłoby nadać pracy większą jasność i przejrzystość treści.

Nauka o Kościele jako mistycznym cielem Chrystusa w ujęciu Hozjusza, po pięknym początku ks. dr. Smoczyńskiego, ze względu na wdzieczny i obszerny zakres może jeszcze dostarczyć tematu do osobnej nawet monografii.

Ks. Jan Pastuszka T. J.

Św. Katarzyna Genueńska: Traktat o Czyśćcu, z oryginału włoskiego przetłumaczyła s. Leonia, niepokalanka. Warszawa, Koło studiów katolickich, 1938.

Przedziwna książeczka! — Aby ją zrozumieć, trzeba ją czytać w duchu tej, która ją przeszło 400 lat temu napisała. Katarzyna de'Fieschi, patrycjuszka genueńska XV wieku († 1510), marzy od 13 roku życia o klasztorze augustianek, gdzie starsza jej siostra jest zakonnicą. Lecz rodzina, chcąc przypieczętować z trudem zawartą zgodę z możną rodziną Adornów, wydaje młodzieńką Catarinetę, prawie dziecko, za Juliana Adorno, pięknego, bogatego hulakę, który niebawem zniechęcił się do żony i powrócił do nawyknień kawalerskiego życia. Przez 5 lat Katarzyna cierpiała dotkliwie nad tym stanem rzeczy; żyła w odosobnieniu w głębi swego pałacu, w postach, we łzach i w modlitwie za niewiernego męża. Lecz w 20 roku życia nastąpiła nagle zmiana; chcąc przypodobać się małżonkowi, który się skarżył, że ma mniszkę za żonę, zaczęła się stroić, bywać w towarzystwach, używać młodości, nie w sposób grzeszny, lecz próżny i światowy. Z tego stanu obudził ją zachwyt, w którym ujrzała nagle w ol-

śniewającej jasności, do czego doprowadziłaby ją ta szeroka droga, pozornie usłana różami; zadrżała, i oświecona łaską Bożą, zawróciła na wąską ścieżkę, nie już wzorowego życia chrześcijańskiego, lecz heroicznej pokuty. Napisała słynny *Dialog* między duszą a ciałem, w którym obrazuje swe wewnętrzne przeżycia, i *Traktat o czyszczeniu*, który obecnie ukazał się we wzorowym przekładzie polskim.

Hektor Vernazza, uczeń św. Katarzyny i pierwszy wydawca jej dzieł, umieścił na wstępie do tej książeczki następującą uwagę: „Święta owa dusza, będąc jeszcze w więzach ciała, znalazła się w czyszczeniu gorejącej miłości Bożej, która ją oczyszczała i wypalała wszystkie plamy, ażeby, gdy przejdzie próg wieczności, mogła stanąć bezpośrednio przed obliczem Boga, który jest jedyną jej miłością. Za pomocą ognia Boskiego pojęcia, jaki jest stan dusz wiernych znajdujących się w czyszczeniu, gdzie oczyszczają się z wszelkiej rdzy i skazy grzechowej, których nie wyzbyły się za życia” (str. 7—8).

Samo wyrażenie *purgatorium*, którym Święta posługuje się w swoim *Troffato del Purgatorio*, nie używane w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, powstało dość późno; użył go po raz pierwszy antenat naszej Świętej, Sinibaldo de'Fieschi, znany jako papież Innocenty IV, w dokumencie z roku 1254; od tego czasu termin ten wszedł w użycie i stał się w języku kościelnym oficjalną nazwą dla określenia miejsca ostatecznego oczyszczenia dusz sprawiedliwych, które przeszły do wieczności w łasce Bożej. Dante rozpowszechnił to wyrażenie przez swe słynne *Purgatorio*, część drugą, bodaj czy nie najpiękniejszą, swej *Boskiej Komedii*. Jego wysoce artystyczny opis jest fikcją poetycką, choć nie ma tam nic sprzecznego z najściślejszą teologią tomistyczną, której Alighieri był zwolennikiem ale to bądź co bądź poezja. U św. Katarzyny wyobrażenia nie odgrywa żadnej roli; trzyma się ona wiernej stałej tradycji Kościoła, gdy opowiada nam płomiennymi słowami mękę dusz stęsknionych za Bogiem; znać w każdym wierszu, że przechodziła sama przez te udręczenia, acz w śmiertelnym jeszcze ciele i dlatego umie je tak plastycznie wyrażać. Sama jednak — jak w ogóle mistycy — ma wrażenie, że jej słowa dalekie są od rzeczywistości: „Wszystko co powiedziałam — mówi pod koniec *Traktatu* (str. 70) — jest dla mnie tak jasne, jakbym tego dotykała; ale brak mi odpowiednich wyrazów na oddanie tych rzeczy; to, co tu powiedziałam, przeżyłam wewnętrznie, i dlatego to spisałam”.

Znamiennym jest u Katarzyny szczegół, o którym już Dante wspominał w swym *Purgatorio*: że cierpienia czyścicowe, acz nie mniejsze w sobie od mąk piekielnych, z wyjątkiem, że są tylko czasowe, są znoszone z miłością tak wielką, że stają się poniekąd rozkoszą: „Sądzę — pisze Święta, (str. 13) — że szczęście dusz czyścicowych da się porównać chyba tylko ze szczęściem świę-

tych w niebie; szczęście to wzrasta z każdym dniem, przez to że Bóg udziela im się w miarę, jak znika w nich przez ogień rdza grzechowa”.

„Im wyżej się idzie, tym mniej boli”, mówił florencki poeta o wstępowaniu na górę czyścicową: *Piu va sù e men famale* (Purg. IV. 30).

Warto tu nadmienić, że modlitwy i uczynki pokutne św. Katarzyny Genueskiej nie były bezowocne. Pod koniec życia Julian Adorno nawrócił się i poświęcił się wraz z żoną uczynom miłosiernym w szpitalu miejskim rodzinnego grodu.

Niniejszy przekład nie tylko odznacza się wiernością, polem, zachowaniem cech oryginału, piękną i czystą polszczyzną, ale wyszedł w wytwornej szacie graficznej, drukowany polską antykwa i ozdobiony ślicznymi drzeworytami Wiktorii J. Goryńskiej.

Taka książka jest prawdziwie chlubą zasłużonego już wydawnictwa warszawskiego Koła studiów katolickich, które puszcza niniejszym w obieg 14 tomik swego cyklu. Ukazuje się on bardzo na czasie w tym roku, w którym Genua obchodzi uroczystie 200 letnią rocznicę kanonizacji swej wielkiej Patronki (1737—1937).

S. M. R.

Podręcznik organizacyjny oddziału Katolickiego Stowarzyszenia Mężów. Opracowali ks. St. Sprusiński, asystent kośc. K. S. M. w Warszawie i mgr Wład. Deptuła, redaktor organu K. S. M.

Wydanie podręcznika organizacyjnego dla oddziału mężów Akcji Katolickiej jest ważnym kamieniem drogowym na gościńcu tej Akcji. Ileż wysiłków trzeba było, aby na terenie nowym, przebić się przez wszystkie przeszkody, uporządkować i jasno określić normę postępowania i technikę organizacyjną w organizmie Akcji Katolickiej, poczynawszy od komórek parafialnych a skończywszy na całości diecezjalnej a może kiedyś i na krajowej. Jest to wielka przystuga i dla Akcji Katolickiej i dla ducha organizacyjnego w Polsce, którego brak na wszystkich polach zawsze dawał się we znaki.

Nie jest to oczywiście książka do czytania. Określenie, „podręcznik organizacyjny” mówi aż nadto wyraźnie, że jest to książka zawodowa, którą trzeba przestudiować a następnie raz po raz do niej zaglądać. Wyjątek z tego określenia stanowi część pierwsza, podająca ogólne zasady i prawne podstawy Akcji Katolickiej w bardzo jasnym i treściwym ujęciu. W części drugiej znajdujemy wskazówki, jak zakładać oddziały Akcji Katolickiej, jak w nich pracować, by stworzyć ruch, ożywienie i zainteresowanie i uczynić pracę jak najbardziej owocną. Część trzecia podaje cechy, jakie powinny być właściwe członkom kierownictwa, ze szczególniejszym omówieniem roli asystenta duchownego.

Wreszcie część czwarta, napisana przez mgr Deptułę szereguje przepisy prawne organizacyjne, oraz przepisy prawne państwowe. Całość ujęta popularnie, dostępna jest dla wszystkich.

Z satysfakcją przytaczamy z książki następny ustęp (str. 42): „Zaznaczyć wypada, że dotychczas nie ma jeszcze jednolitego sposobu zorganizowania i systemu pracy dla wszystkich K. S. M. diecezjalnych w Polsce. Zresztą sądzimy, że nie jest to konieczne. Warunki w naszym kraju tak są rozmaite, że lepiej tę organizację pracy centrali zostawić poszczególnym diecezjom do uznania”. Słusznie, bo najpierw taką była decyzja papieża, pozostawiająca każdej diecezji autonomię — a po wtóre lepiej jest przynajmniej w początkach Akcji, unikać pedanterii i liczyć się z rozmaitymi możliwościami ewolucji.

Natomiast z przykrością wyznajemy, że nie znaleźliśmy w podręczniku dokładnej wzmianki o zawodowej podstawie organizacji oddziałów czy sekcji. (Kilka słów na str. 286 niewyraźnie potrąca o tę kwestię). Jeżeli jednak oddziały czy sekcje mają przynieść trwałe owoce, potrzebnym jest, by członkowie organizacji zbliżeni byli do siebie stanowiskiem, kulturą i zainteresowaniem. W organizacji musi być przede wszystkim ułatwiona atmosfera porozumienia i współpracy, musi być ten sam język. Kwestia ta jest bardzo dyskutowana wśród członków i zwolenników Akcji Katolickiej.

Ks. Jan Pawelski T. J.

Henryk J. Korybut-Woroniecki: Z czasów Wielkiej Wojny — Stowarzyszenie „La Pologne et la Guerre” w Szwajcarii. Wydawnictwo Instytutu Józefa Piłsudskiego. Warszawa 1937 r. Str. 79.

Treścią broszury p. Woronieckiego jest zrekonstruowana, na tle jego osobistych wspomnień, historia działalności stowarzyszenia *La Pologne et la Guerre*.

Nie jest to pełna historia tego stowarzyszenia, lecz szkic historyczny, mający posłużyć za punkt wyjścia dla szerszego opracowania. *La Pologne et la Guerre* — powstało w lutym 1915 roku w Lozannie. Przemianowane następnie w 1917 roku na *Union Nationale Polonaise*, zlikwidowane zostało w końcu 1918 roku.

Jak widać z powyższych dat, okres jego działalności biegnie równoległe do akcji wojny światowej — organizacja ta bowiem, powołana była specjalnie na okres wojny i z jej zakończeniem — zamknęła też swoją działalność.

Skupienie to utworzyli ludzie, którzy bądź stale mieszkali w Szwajcarii jak Z. Laskowski, G. Narutowicz, bądź tzw. przez autora „turyści” jak prof. Kucharzewski i inni, tj. ci których wojna zaskoczyła na wywczasach w Szwajcarii, lub też emisariusz-

sze polityczni — jak A. Zalewski, ks. J. Grabowski; wreszcie ludzie, bez formalnej przynależności organizacyjnej — jednak faktycznie gorąco współdziałający — jak Ignacy Paderewski, H. Sienkiewicz, Osuchowski.

Celem stowarzyszenia było, przy pomocy żywego i drukowanego słowa, drogą nawiązywania kontaktu z miarodajnymi ośrodkami polityki międzynarodowej — szerzenie wiedzy o Polsce i jej faktycznych aspiracjach. Usiłowano wszędzie przeniknąć, i rzucić słowo właściwe, źródłową informację, dokument... na szalę ważących się wypadków, dla przeważenia tej szali na stronę niepodległości.

To też wydawnictwa *Pologne et la Guerre* (stowarzyszenia nazwanego tak od tytułu programowego artykułu prof. Kochanowskiego) — jak *L'Aigle Blanc* i *Le Moniteurs Polonais*, oraz periodyczne wydawnictwa broszurowe — przepojone są nie tylko rzeczowym podejściem do naszych spraw, lecz tchnie z tych kart gorący, mądry patriotyzm, pozbawiony taniego sentymentalizmu, za to oparty o gruntowną wiedzę i szczerą, bezinteresowną chęć służenia sprawie polskiej.

Działacze z *La Pologne et la Guerre* uważali, że sprawą zasadniczą jest „nie dopuszczać do zatajania prawdy o Polsce”. To też podjęli zdecydowaną walkę z obojętnością, ignorancją, faryzeuszostwem politycznym, jakie niepodzielnie w tym czasie panowały wśród ludów Zachodu — podsycane w dodatku jeszcze, obcą — a niestety nie tylko obcą — propagandą.

Tak więc *La Pologne et la Guerre* — wśród czynników oddziałujących na nasz los — było jednym z wybitniejszych ośrodków — podniecających ową „grę sił”, w rezultacie której wskrzeszona została Rzeczpospolita Polska. Musimy bowiem pamiętać, iż w tym okresie na szerokim świecie, wiedziano tylko o naszej nędzy gospodarczej i upośledzeniu politycznym. Tę dymną zasłonę, należało rozedrzeć i ukazać naród takim jakim był, mimo lat niewoli: niepodległym z ducha i pragnącym niepodległości politycznej.

La Pologne et la Guerre — nie była akcją oderwaną. Obok niej i w analogicznym duchu działały londyński *Polish Information Comitee* — paryski „Komitet Wolnej Polski”, medjolański *Pro Polonia* — To był front naszej „nieoficjalnej” propagandy — mającej uświadomić narody oraz możnych tego świata, od których zależał układ sił na mapie Europy.

P. Woroniecki nie jest w swojej broszurze — tylko historykiem, gromadzącym fakty. Czasami „porywa go” — jego własny pogląd na szereg spraw i zagadnień. Szuka kontrastów i analogij — dla pewnych sytuacji — w przeszłości i teraźniejszości. Praca pisana stylem przyjemnym, obiektywna, w podawaniu faktów ścisła, jest ciekawa nie tylko dlatego, że wprowadza nas w rzeczy dotąd nieopisane, ale i dlatego, że jest jednym

jeszcze cennym świadectwem — jak z różnorodności działania okresu wojny światowej, tworzyła się na naszych oczach synteza, której na imię — walka o Niepodległość.

K. Kossobudzki.

Ks. Kamil Kantak: *Franciszkanie polscy t. I 1237—1517*, str. XV+443. Kraków 1937.

Zasłużony badacz zakonów zebrzących w Polsce, na jubileusz 700-lecia działalności oo. franciszkanów polskich, ogłosił I tom poświęcony pierwszym trzem wiekom rozwoju tego zakonu na ziemiach Polski. Łącznie z dziejami polskich minorytów kreśli historię klarysek, zarysowuje na tle ówczesnych, nie zawsze jasnych i chlubnych stosunków, panujących w naszej ojczyźnie, trawionej waśnią i niezgodą, sylwetki świetlanych postaci bł. Kingi, Jolanty, Salomei i wielu innych wybitnych cnotą i zasługą jednostek. W kilku rozdziałach omawia organizację, ustrój i życie wewnętrzne zakonu, nie ukrywając bynajmniej cech ujemnych i pewnego rozluźnienia ostrości reguły zakonnej, co można wytłumaczyć duchem czasu, przenikającym łatwo i poza mury klasztorne. Najszerzej potraktował autor w końcowych rozdziałach żywą i owocną działalność religijną, jaką rozwijali polscy franciszkanie w licznych swoich kościołach, skupiając w bractwach i w III zakonie znaczną część mieszczan i ówczesnej szlachty a nawet magnatów. Piękną kartę mają oni również w dziejach nawrócenia Litwy i Rusi, gdzie jak bł. Jakub Strepa i wielu innych biskupów, rekrutujących się z zakonu św. Franciszka, przyczynili się bardzo do utrwalenia wiary i polskości. Tom I kończy autor pamiętnym rokiem 1517, w którym usamodzielniono polską prowincję, oddzielając ją od czeskiej. Dalsze dzieje tej prowincji, wiążące się nierozzerwalnie z historią Polski przyniosą nam dwa następne tomy, które mają się ukazać już w bieżącym roku. Sumienna praca ks. Kantaka, oparta na obfitym materiale archiwalnym, po większej części dotąd nieznany, rzuca wiele światła na czasy, stanowiące tło do dziejów zakonu św. Franciszka w Polsce.

Na końcu warto zwrócić uwagę na mały błąd gramatyczny ale stale się powtarzający. Autor zestawiając synów św. Franciszka i św. Dominika, posługuje się zawsze słowem: *dominikani*; obok prawidłowego franciszkanie powinno być przecież: *dominikanie*. Inne dość liczne usterki językowe nie umniejszają rzeczowej wartości tej poważnej monografii historycznej, która powinna znaleźć w szerszych kołach naszego społeczeństwa należyte przyjęcie i całkiem zasłużone uznanie. Podkreślić też należy ofiarność zarządu prowincji franciszkanów, który dostarczył funduszy na wydanie tej pracy, zajmującej poważną pozycję w historii kultury naszego kraju.

Ks. Cz. Sejbuk T. J.

O. Franciszek Świątek: *Z dziejów polskiego żywotopisarstwa świętych*. Lublin — Uniwersytet r. 1937, str. VI+175.

Wielką lukę w literaturze naszej stanowi brak opracowania polskiego żywotopisarstwa świętych. Aby zachęcić historyków polskich do pracy, już w r. 1923 Uniwersytet Lubelski ogłosił w tym celu konkurs, który w pięć lat później ponowiła również bezskutecznie Akademia Umiejętności. Tej piekającej potrzebie postanowił choć w części zaradzić zasłużony propagator kultu świętych polskich, o. Świątek. W pracy swojej omawia chronologicznie życiorysy sławniejszych Polaków lub przez Polaków napisane poczynawszy od *Vita et Passio Sancti Adalberti Martiris* z X wieku i dochodzi aż do roku 1934, dając krótkie wiadomości o autorach i rozbierając krytycznie ich pisma. Najlepiej przedstawia się w niniejszym opracowaniu średniowiecze, gdyż mamy wiele prac monograficznych dotyczących tego okresu. Czasy zaś późniejsze potraktowane są raczej fragmentarycznie. Wyjątek stanowią *Żywoty Świętych* ks. Piotra Skargi, którym autor poświęcił wielką część swej rozprawy, bo aż 67 stron. Nowością w obfitej już u nas literaturze skąrgowskiej jest krytyczne zestawienie źródeł, omówienie oryginalności Skargi i polemika z ks. Bergą, który błędnie uważa dzieło Skargi za proste tłumaczenie *Żywotów Świętych* Suriusza. Dziwną jest jednak rzeczą, że autor omawiając dziesiątki żywotopisarzy polskich pominął zupełnie tak cennego i zasłużonego hagiografa jakim był Piotr Hiacynt Pruszczy, którego *Forteca Duchowna Królestwa Polskiego* wydana w Krakowie w r. 1662 jest dotąd nieocenionym źródłem życiorysów świętych i świątobliwych Polaków. Za to przysłużył się wielce o. Świątek przez przypomnienie i podkreślenie zasług sławnego Marcina Baroniusza vel Barana z Jarostawia, mało w Polsce znanego, niedocenianego i często błędnie identyfikowanego z Cezarem Baroniuszem, z którego obficie czerpał ks. Skarga.

Książka o. Świątka napisana przystępnie i zajmująco z pewnością zachęci niejednego z naszych badaczy do studiów monograficznych w tym kierunku, które z czasem ułatwią pracę syntetyczną na wielką skalę.

Ks. Kazimierz Drzymała T. J.

J. Rosnowska: *Żywe Kamienie W. Berenta*, szkic monograficzny, Stud. z Zakr. Hist.-Lit. Pol., nr 13. Warszawa 1937.

Niby barwna wstęga filmowa przewija się przed oczami czytelnika *Żywych kamieni* Berenta, szmat życia średniowiecznego, życia może nigdy bardziej kontrastowego, może nigdy bardziej smutnego i wesołego zarazem, pobożnego i swawolnego, hucznego i ponurego jednocześnie. Lecz podczas gdy obrazy te barwą i życiem czarują fantazję czytelnika a pieśczę ucho gładkością i potoczystością zdania, przed umysłem jawią się pytania-

zagadki: Skąd nagle to zainteresowanie tym odległym życiem u Berenta? Co oznaczają te wskrzeszone postacie? Powieść-symbol to, czy tylko swobodna igraszka wyobraźni? A i sam język i ujęcie tematu nasuwają niejedno pytanie. I napróżno szukałby rozwiązania gorliwy czytelnik w opracowaniach krytycznych dzieła, bo opracowania całości dotychczas nie mieliśmy. Tę dotkliwą lukę wypełnia praca J. Rosowskiej. Autorka w swym monograficznym szkicu odpowiada na niepokojące czytelnika pytania. Dlatego pracę tę powitać należy z radością. Żałuje się tylko, że może zanadto szkicowe ujęcie tematu odbiło się ujemnie na jasności dziełka. Również i przeoczony zapewne brak spisu rozdziałów jasności tej nie pogłębia, a utrudnia pogładowe ujęcie całości.

Ks. J. Mikołaj T. J.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Książnicy Atlas, Lwów — Warszawa:

- Tadeusz Żeleński (Boy): *Marysienka Sobieska*. 1938, str. 363.
 Anton Zischka: *Nauka łamie monopol*. Str. 322.
 Zofia Nałkowska: *Niedobra miłość*. Romans prowincjonalny. Wydanie III. Str. 255.
 Tejze: *Dom nad łąkami*. Powieść. Wydanie II. Str. 166.
 Lucjan Rydel: *Betlejem Polskie*. Wydanie V. 1938, str. 93.
 Mieczysław B. Lepecki: *Maurycy A. Beniowski. Zdobywca Madagaskaru* 1938. str. 209.

Nakładem „Prosto z Mostu”, Warszawa:

- Jan Mosdorf: *Wczoraj i jutro*. Str. 216.
 K. I. Gałczyński: *Utwory poetyckie*. Str. 211.
 Bolesław Mieciński: *Podróże do piekici*. 1937, str. 137.

Nakładem „Raju”, Warszawa:

- Maria Ukniewska: *Strachy*. 1938, str. 358.
 Juliusz Kleiner: *W kręgu Mickiewicza i Goethego*. 1938, str. 290.
 Bruno Schulz: *Sanatorium pod klepsydrą*. 1938, str. 262.
 Karol Irzykowski: *Lżejszy kaliber*. 1938, 255.
 Maria Kuncewiczowa: *Dwa księżyce*. Wydanie drugie. 1938, str. 282.
 Czesław Jacek Centkiewicz: *Biała foka*. 1938, str. 263.
 Tadeusz Katelbach: *Za litewskim murem*. Str. 378.

Nakładem Instytutu Śląskiego, Katowice:

- Józef Feldman: *Bismarck a Polska*. Skład główny: Nasza Księgarnia. Warszawa. 1938, 403.
 Emil Kuroński: *Położenie prawne ludności polskiej w Trzeciej Rzeszy*. Skład główny: Nasza Księgarnia w Warszawie. 1938, str. 61.
 Józef Gołąbek: *Literatura serbsko-łużycka*. Skład główny, tamże. 1936, str. 247.

Nakładem różnych:

- Juliusz Kaden-Bandrowski: *Życie Chopina*. Gebethner i Wolff. Warszawa 1938, str. 129.

- Prof. dr Karol Heim: *Istota ewangelicyzmu*. Nakładem „Prze-
glądu Ewangelickiego”, Bydgoszcz 1938, str. 168.
- Św Katarzyna Genuńska: *Traktat o czyśćcu*. Koło Studiów Kato-
lickich, Warszawa 1938, str. 74.
- Ks. prof. dr Józef Pastuszka: *Filozoficzne i społeczne idee*
A. Hitlera. Nakładem T-wa Wiedzy Chrześcijańskiej. Lublin
1939, str. 91.
- Słowacja i Słowacy*. Praca zbiorowa pod redakcją Wł. Semkow-
skiego. T. I. Kraj i lud. W Krakowie 1937, str. 263.
- Enrico Corradini: *Jedność i potęga narodów*. Z drugiego wy-
dania włoskiego przetłumaczył i wstępem poprzedził dr Jan Zdzi-
towiecki. Nakładem Wydawnictwa „Awangardy Państwa Narodo-
wego”, Poznań 1937, str. 133.
- Daniel Culhane: *De Corpore Mystico doctrina Seraphici*.
Dissertatio doctoralis. Apud aedes Seminarii Sanctae Mariae ad
Lacum, Mundelein, Illinois, U. S. A. 1934, str. 107.
- Ogólnopolski Kongres Kupiectwa Chrześcijańskiego.
Warszawa 13—15. XI. 1937. Nakładem Nacz. Rady Zrzeszeń Ku-
piectwa Polskiego. Warszawa. Str. 236.
- Leocadia Małunowicz: *De ara Victoriae in curia Romana quo-
modo certatum sit*. Nakładem T-wa Przyjaciół Nauk w Wil-
nie. Wilno. 1937, str. 122.
- Benedykt Herz: *Żydowska krew*. Nakładem Ludwika Fiszer. War-
szawa. Str. 47.
- Piszczkowski Mieczysław: *Pisma Jana Żabczyca*. Z 6 rycinami
w tekście. Nakładem T-wa Naukowego we Lwowie, z zasiłkiem
Ministerstwa W. R. i O. P. Lwów 1937, str. 99.
- Ks. J. R.: *Droga Krzyżowa*. Dla członków Akcji Katolickiej. Łomża
1938, str. 55.
- M. M. Szelański: *Inwentarz pamiątek po 1-ym Polskim*
Korpusie w Muzeum Wojska w Warszawie. Nakła-
dem Komitetu Hist. Stow. Dowborczyków „Ku Chwale Ojczyzny”.
Warszawa 1937, str. 73.
- Ks. Grzegorz Piramowicz: *Nauka obyczajowa*. Wydawnictwo Chy-
rowskiego Koła T-wa Im. ks. Piotra Skargi. N. 27. Chyrów 1938 str. 83.
- Henryk Glass: *Ofensywa komunizmu i drogi przeciwdzia-
łania*. Nakładem Księgarni i Drukarni Katolickiej S. A. Katowice.
1938. str. 114.
- Wśród problemów szkoły i wychowania*. Pamiętnik II Zjazdu
asystentów kościelnych Akcji Kat. archid. gnieźn. i pozn. Nakładem
Archid. Inst. A. K. Poznań. 1937, str. 128.
- Ks. Franciszek Kwiatkowski T. J.: *Kazania pasyjne*. Wydawnictwo
Apostolstwa Modlitwy, Księży Jezuici. Kraków. Str. 175.
- Jan Drohojowski: *Brief outline of the jewish problem in*
Poland. Published by Polish National Alliance of Brooklyn,
U. S. A. (Zjednoczenie Polsko Narodowe). Brooklyn. Str. 28.
- Oddłużenie samorządu terytorialnego*. Sprawozdanie Cen-
tralnej Komisji Oszczędnościowo-oddłużeniowej dla samorządu.
Warszawa 1937, str. 142.
- Ks. Walerian Adamski: *Kultura i jej dziedziny*. Sp. Akc. „Ostoja”,
Poznań 1938, str. 74.
- Ks. dr A. Fajęcki: *Biskupi z naszej Almy*. (Katalog biskupów
spośród b. wychowanków Rz.-Kat. Akademii Petersburskiej od
1842—1918). Warszawa 1938, str. 17.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kanonizacja błóg. A. Boboli. — Sprawy szkolne w Senacie. — Zwycięstwo ZNP. — Atak sen. Kwaśniewskiego.

Rozpalono duchowe ognie i rozesłano po ziemiach Rzeczypospolitej wici zwołujące Polaków na wielkie święto naszej ojczyzny do Wiecznego Miasta. Bo oto sędziwy Namiestnik Chrystusa, „polski Papież” zdecydował podnieść, w dniu Zmartwychwstania Pańskiego, naszego rodaka błogosławionego Andrzeja Bobolę do rzędu świętych, przyznając mu najwyższą rangę, najchlubniejsze odznaczenie bohatera wiary.

Uroczystość to wielka i wyjątkowa dla całego narodu polskiego i dlatego też do całego narodu skierował J. Em. Ks. Kardynał Prymas Hlond swe orędzie, by podkreślić doniosłość zapowiadzanej na 17 kwietnia kanonizacji. Wśród „wielkanocnych radości” Ojczyzna nasza pojawi się znowu na wspaniałej, nadprzyrodzonej widowni, ku której kierowały się zawsze ambicje chrześcijańskich narodów. Nie brak było Polski w glorii chwały swych synów i córek na tej arenie bohaterstwa ducha. W ciągu stuleci włączali papieże w szeregi świętych naszych rodaków, jako obrońców i wyznawców wiary.

Od 170 jednak lat nastąpiła bolesna dla narodu polskiego przerwa. Rozbiory przyćmiły stary tytuł Polski, nazywaną płodną „matką świętych”; przerwały dawne procesy kanonizacyjne naszych błogosławionych i uniemożliwiły rozpoczęcie starań o beatyfikację świątobliwych sług i służebnic Pańskich.

Nie było nas stać na starania o gloryfikację „mężów sławnych i ojców naszych”, bo byliśmy zajęci twardą obroną wiary i przeżywalismy własną martyrologię.

Pozostaliśmy więc w tyle za innymi narodami. Kanonizacja błóg. Boboli jest i pod tym względem przełomem. Przyjdzie już teraz kolej na Bogumiła, Bronisławę, Kingę, Jolantę i innych a zarazem posuwać będziemy naprzód sprawy królowej Jadwigi, Papczyńskiego, o. Honorata, Kalinowskiego, m. Ledóchowskiej, Malczewskiej, Czartoryskiego, br. Alberta, m. Siedliskiej oraz tylu dawnych i współczesnych bohaterów i bohaterek cnoty i sprawy Chrystusowej.

Kanonizację kwietniową przeżyć musimy jako wielkie święto kościelne i narodowe. Udział nasz w uroczystościach rzymskich nie będzie mógł być bardzo wspaniały, ale powinien być możliwie liczny, reprezentacyjny, godny Rzeczypospolitej, która w oficjalnym charakterze otoczy tron sędziwego Papieża...

W Ojczyźnie zaś uroczystości kanonizacyjne urósć powinny do znaczenia narodowego wyznania wiary, utwierdzając Rzeczpospolitą w jej górnych przeznaczeniach. Nie tylko w Wilnie, w Pińsku i Janowie Poleskim, nie tylko w kościołach, kolegiach i rezydencjach ojców jezuitów, lecz w każdej organizacji kościelnej i katolickiej, w każdej szkole i zakładzie, postać, cnoty i czyny proroka wskrzeszenia Polski powinny krzepić współczesne pokolenie tym duchem, którego on był apostołem, wyznawcą i męczennikiem. W jego szkole dokształcać się powinni w umiejętności świętych i w apostołskich uniesieniach kapłani, dusze zakonne i świeccy działacze.

Wielkim wskazaniem świętego Andrzeja jest nasze posłannictwo religijne i kulturalne na kresach wschodnich. Bez sprzeniewierzenia się swej misji dziejowej, nie możemy uchylać się od zadań, które nam Opatrzność tam wyznaczyła i nie możemy odstępować ich cudzoziemcom. To powołanie nasze, nasz polski obowiązek. Za wzorem św. Boboli powinniśmy pracę dla jedności Kościoła wśród potomków bohaterskich unitów poprzeczyć walnie, szczerze, bez lęku, bez pogłębiania nieporozumień obrządkowych, bez spychania tego wielkiego zagadnienia na tory współzawodnictwa o prestiż i wpływy. Fatalnym błędem byłoby tworzenie polskiego prawosławia na cmentarzystku unii, zroszonym krwią katolickich męczenników. Śladami Boboli i tylu zapamiętałych szaleńców apostołskich, którzy w najniebezpieczniejszych czasach podtrzymywali na wschodnich rubieżach myśl jedności kościelnej, niech tam u boku dostojnych Biskupów staną do misyjnej pracy najlepsi z duchowieństwa, najgorliwsi spośród zakonników, najbardziej uchrystusowane siostry, najidealniejsi świeccy działacze. Na kresy wschodnie niech z całego kraju płyną modlitwy, jałmużny, dary. Taki jest najgłębszy sens bliskiej kanonizacji.

Gdy Opatrzność zwróci Polsce chwałebne szczątki świętego Boboli, które z Pińska przez Połock i Moskwę sowiecką pielgrzymowały do papieskiego Rzymu, powitamy je z religijną cziłą

i honorami narodowymi jako relikwie nowego Patrona, jako zapowiedź pełnego chrześcijaństwa w polskim życiu, jako zwiastuna wielkości Rzeczypospolitej. Wierzmy, że z legendarnego nimbu proroczego, który otacza postać świętego, wyłoni się za jego wstawiennictwem zapowiadana, pomyślna, Boża rzeczywistość polska.

Na dzień Zmartwychwstania Pańskiego wyznaczył Ojciec Chrześcijaństwa uroczystość kanonizacji polskiego bohatera wiary. Czy w tym fakcie nie ukrywa się głęboka myśl — symbol, życzenie i nakaz, by Polska współczesna nawiązała do tradycji minionych wieków, by zmartwychwstała duchowo i religijnie, stając jako naród i państwo w rzędzie zdecydowanych obrońców i szermierzy Chrystusowej wiary?!

I nie można zaprzeczyć, iż świadomość tej religijnej i kulturalnej misji rośnie i potężnieje w narodzie. Polska wciśnięta dziś między dwa na pozór odmienne, w istocie jednak identyczne, prądy bezbożnictwa, mobilizuje sumienia swych najlepszych synów. Bolszewicki ateizm i rasistowski poganizm uderzają brudnymi falami niewiary we wschodnie i zachodnie rubieże naszej ojczyzny, wewnątrz zaś kraju nie brak wielu cichych a nawet jawnych sprzymierzeńców bezbożnej ideologii. Rosną jednak zastępy wiernych i uświadomionych obrońców wiary, gotowych do ideowego starcia.

Echa tych zdecydowanych i dynamizujących się w naszej ojczyźnie poglądów rozbrzmiały parokrotnie w Sejmie i Senacie w ciągu tegorocznej sesji budżetowej.

Stanowisko szczerze katolickie, pełne troski o przyszłość narodu, zajął przede wszystkim sen. Rudowski w swym gruntownym referacie, odczytanym 10 lutego br. na komisji budżetowej min. WR i OP. Głęboko przemyślane, doskonale uzasadnione uwagi referenta zyskały pełne uznanie w całym społeczeństwie katolickim, poruszyły bowiem w sposób jasny i zdecydowany cały szereg problemów pierwszorzędnej doniosłości dla katolicyzmu w Polsce.

Na czoło tych zagadnień wysunęła się paląca kwestia wychowawczych idei, realizowanych przez nauczycielstwo w ramach zreformowanego ustroju szkolnego.

Uwagi sen. Rudowskiego mają tym donioślejsze znaczenie, iż padły z ust referenta nie związanego zawodowo z dziedziną wychowawczą, odbiorcy raczej niż dawcy oświaty, który głosy i opinie nurtujące w społeczeństwie, niepokoje, nadzieje i krytyki, rozlegające się po wsiach, miasteczkach i prowincjonalnych ośrodkach skupił, uszeregował i w przekonującej syntezie podał senackiej komisji.

Sen. Rudowski stwierdził, iż ustawa z marca 1932 r. jak i długotrwała dyskusja publiczna, interpretująca tę

ustawę, orzekła zgodnie, iż kształcenie świadomych swych obowiązków i twórczych obywateli Rzeczypospolitej wymaga obok zapewnienia im wysokiej umysłowej i fizycznej sprawności, także najwyższego wyrobienia religijnego oraz moralnego. Wszyscy zgodzili się na to, że: „wychowanie musi być przesiąknięte wielką ideą i jednolitym nastawieniem całego grona nauczycielskiego”, innymi słowy, że wychowanie młodzieży bez ideału jest fikcją. Nauka bowiem jako taka jest wprawdzie światłem ale ziemnym, podając ją młodzieży należy ją ogrzać ideą. I najsilniejsze napięcie dyskusji ogniskowało się w pytaniu: skąd ma to ciepło pochodzić? Życie pokazało, iż nie wystarczy idea wspólnej szczęśliwości ludów, pokoju, humanitaryzmu, wolnej myśli czy postępu. Nie wystarczy nawet hasło niepodległej Polski i wywalczonej bohaterskim czynem wolności. Dlatego idea wychowania państwowego i obywatelskiego, lansowana przez szereg lat na terenie szkoły z takim nakładem wysiłków, nie dała odpowiednich wyników. Dzisiejsza bowiem młodzież nie patrzyła na narodziny naszej niepodległości, nie brała czynnego udziału w montowaniu jakżeż trudnych początków naszego państwa. Nie zdoła się też nigdy przejąć duchem legionistów heroicznego okresu.

Wśród straszliwej, dzisiejszej biedy i nędzy, uosobieniem państwa dla wielu, wielu obywateli jest skąpa pensyjka, komornik, urzędnik państwowy lub wreszcie policjant czy mandat karny. I dlatego, chociaż nikt przeciwko pojęciu wychowania państwowego protestować nie będzie, ani protestować nie może, chociaż jest ono rozumiane i uznane, to jednak musi być jeszcze uzupełnione, wzmocnione pojęciem pokrewnym. A będzie nim pojęcie narodu. I dlatego do idei wychowania państwowego trzeba dodać ideę wychowania narodowego. Pojęcie to jest bliższe, bardziej emocjonujące i łatwiej przyswajalne dla młodzieży.

Wreszcie jako element trzeci, zasadniczy, nie podlegający żadnej dyskusji, poparty konstytucją, ustawą szkolną, szeregiem okólników i publicznych enuncjacji ludzi zajmujących najwyższe w państwie stanowiska — występuje wychowanie religijne. Tak więc wychowanie pełne, dynamiczne, twórcze, musi być państwowo-narodowym oraz religijnym.

Z kolei poruszył referent zagadnienie metody realizowania takiego właśnie wychowawczego ideału na terenie szkół, zwłaszcza powszechnych, które są podstawą całego szkolnictwa.

Istotnym momentem tej metody ma być pojęcie korelacji.

Korelację z wychowaniem religijnym określił w 1930 r. śp. minister Czerwiński w Sejmie słowami: „Konstytucja orzeka, że w zakładach, gdzie kształci się młodzież poniżej lat 18, nauka religii jest obowiązkowa. Z tej zasady prawnej, już sumienie pedagogiczne każe mi wyciągnąć wniosek, że i na innych lekcjach w szkole i w ogóle w oddziaływaniu szkoły na młodzież nie powinno być niczego, co by tym zasadom przeczyło, żebyśmy nie wychowywali młodzieży w duchowej anarchii”. Słowa zmarłego ministra przedstawiają doniosłą prawdę. Młodzież w wieku szkoły powszechnej przedstawia materiał specjalnie chłonny oraz musi czymś nasiąknąć, jakąś ideą i albo dostanie ją z rąk dawcy oświaty ukształtowaną, pełną i harmonijną i zaszczerpi w sobie wysokie poczucie etyki i moralności, oparte na religii — jak to definiuje minister Świątosławski (Państwowa Rada Oświecenia, 24. XI. 1937 r.), albo też przy braku korelacji młodzież sama chwycić będzie różne okruciny i ułamki prawd, co jej wpadać będą w ręce i wytworzyć w niej muszą pojęcie chaosu, bo to wszystko będzie dla niej prawdą lub też w miarę spostrzeganych sprzeczności wszystko nieprawdą... Mnie, jako laikowi byłoby trudno określić i ściśle sprecyzować na czym ta korelacja winna polegać w szkole, co będzie jej istotą w praktycznym programie. Ujmę to pojęcie w formie negatywnej obserwacji: gdybyśmy zaobserwowali, że młodzież opuszczając salę szkolną, patrzy z pogardą na godło państwa, lub z kpinami na portrety mężów, zawieszane na ścianach, że się lekko wyraża o imieniu Polski, a odwraca od widoku żołnierza, że widzi same jeno krzywdy, niedole i łzy, a nic dobrego i jasnego nie spostrzega w Ojczyźnie, to byśmy chyba bez omyłki orzec mogli, że w tej szkole nie ma korelacji z ideą wychowania państwowo narodowego, a nauczyciel jest z punktu widzenia dobra ogólnego szkodnikiem. I analogicznie: nie byłoby w tej szkole korelacji z ideą wychowania religijnego, gdyby jej uczniowie zaczęli nam tłumaczyć, że religia to bzdury, zawsze sprzeczne z nauką, a wymyślił je kler, by trzymać lud w poddaństwie i ciemnocie, itp.

Otóż korelacja będzie momentem w dużym stopniu decydującym, czy idee wychowawcze, któreśmy uznali za obowiązujące, będą istotnie kształtowały młodych obywateli, czy też pozostaną zupełnie bez wpływu lub nawet dopuszczają infiltrację i penetrację idei zgoła przeciwnych i przeciwstawnych tamtym. Korelacja może być lepiej lub gorzej postawiona w danej szkole, zależeć to będzie od zdolności pedagogicznych oraz inteligencji nauczyciela, jest natomiast rzeczą absolutnie pewną, że korelacji wcale nie będzie, a będzie natomiast przeciwdziałanie jej, często ciche i zakonspirowane, jeśli nauczyciel owych idei nie podziela, a tym bardziej, jeśli jest ich wrogiem...

Siłą faktu wyłania się więc doniosłe pytanie: jaką wartość wychowawczą przedstawia w zakresie swej ideologii

nauczycielstwo, od którego przecież w bardzo wysokim procencie zależy realizacja programu, na zasadzie państwowo-narodowego i religijnego ideału?

Odpowiedź sen. Rudowskiego na tak sformułowane pytanie, jest znowu odpowiedzią szerokich kół katolickiego społeczeństwa w Polsce.

...Napiętnować muszę i zaprotestować przeciwko wpajaniu i przesycaniu szkoły polskiej ideami szkodliwymi i destrukcyjnymi. Jestem daleki od twierdzenia, że czyni to całe nauczycielstwo, posiadam jednak dowody, że część jego jest tą gangreną objęta. Zagadnieniem tym interesuje się — rzecz można — całe społeczeństwo, pasjonuje się nim prasa, rodzice, stowarzyszenia, publicystyka katolicka i wolnomyślicielska, w ogóle wszyscy. Najwięcej zaś spokoju i flegmy pod tym względem okazuje resort oświaty. Zjawiają się wprawdzie co roku oficjalne enuncjacje, ale nie wydają się one mieć zbyt wielkiego wpływu na bieg rzeczy. Linia zasadnicza, piony ideologiczne są ustalone Konstytucją, uprawnocnione ustawą i potwierdzone okólnikami ministrów. W momencie jednak i w miejscu realizowania tych pięknych tez, to jest na dołach wśród szkół powszechnych, na terenie inspektoratów, a nawet niektórych kuratoriów zostają one przemilczane, niewykonywane, a również zdarza się, że są zwalczane. I wtedy konkretne decyzje władz szkolnych zamiast zapadać samorzutnie, *ex officio*, muszą być dopiero wywalczane naporem opinii społecznej, a tam, gdzie ona nie znajduje zorganizowanego wyrazu, dzieje się bardzo rozmaicie.

Gdzie jednak tkwi źródło tych objawów?

Rozprawy sądowe, niemniej jak głośne oświadczenia premiera Składkowskiego pozwalają stwierdzić, iż są nauczyciele, szerzący wśród młodzieży bezbożnictwo i sympatie dla komunizmu. Jest zatem sprawą ogromnie doniosłą ustalić, skąd tacy nauczyciele się biorą, w jakich ośrodkach się rekrutują, w jakim środowisku i pod czym wpływem nasiakają tymi przewrotnymi ideami, które później na terenie szkoły szerzą?

Otóż na podstawie dokładnych i sumiennych rozstrząsań doszedł sen. Rudowski do wstrząsającego wniosku, że ideologię religijnego liberalizmu a nawet bezbożnictwa, obok komunistycznych sympatyj, wszczepiono mniej odpornym adeptom właśnie w okresie przygotowywania ich do nauczycielskiego zawodu, lub nieco później w ramach oficjalnie organizowanych kursów dokształcania.

We wrześniu 1929 r. w formie listu, publicznie wydanego, streszczono przebieg konferencji pedagogicznej w gronie około 40 nauczycieli oraz wywiązano z prelekcji dyskusję. Streszczenia

dokonała osoba obecna na konferencji, biorąca całkowitą odpowiedzialność za zgodność z prawdą. O ile zdołałem dociec, to prawdziwość tej publicznej enuncjacji nie została przez Ministerstwo zakwestionowana, ani sam fakt zdementowany. Otóż na konferencji tej został wygłoszony referat pt. „Szkoła antyreligijna”. W streszczeniu wygląda on następująco: religia jest sprzeczna z nauką, stąd jej w szkole jest szkodliwa. Kościół jest czynnikiem politycznym, broniącym umocnionej władzy, stąd wrogi dla mas pracujących i to jest wystarczającym faktem, by nauczycielstwo domagało się usunięcia religii ze szkół. To usunięcie osłabi wprawdzie wpływ kleru na dzieci, jednak wpływ ten dalej trwać będzie na domy i rodziny dzieci. I dlatego szkoła areligijna jest nie wystarczającą, należy dążyć do wprowadzenia szkoły antyreligijnej, która bierny stan walki z religią zamieni na czynny. I dlatego podtrzymywanie przez nauczyciela faktów, utwierdzających religię, jest niedopuszczalne, przeciwnie należy przy każdej okazji wykazywać bzdury religijne, np. przy fizyce, jak Jozue słońce zatrzymał; przy przyrodzie — podawać dzieciom pojęcia naukowe, podważające wierzenia religijne; przy pogadankach krajoznawczych — objaśniać architekturę kościołów średniowiecznych, która polegała na tym, by spowiedź mogła być podsłuchiwana dla celów inkwizycji; przy literaturze polskiej, aczkolwiek ona często nie jest zbyt podatna dla naszych celów, to jednak trzeba powstawać przeciw świętościom narodowym oraz wykazywać wsteczność i nieaktualność utworów. W ten sposób, bez narażenia się na represje, można przy wszystkich okazjach podważać fatalnie głęboko zakorzenione przesady religijne i akcentować sprzeczności religii z nauką i — dosłownie prelegent kończy — „jak czyniliśmy to w naszej szkole, dlatego każdy kto z niej wyszedł, potrafi iść po tej linii, podkreślając ją swoim życiem”...

Najciekawsze momenty z dyskusji, wywołanej prelekcją, są następujące: po co to kłamstwo, że walczymy z klerem, kiedy istotnie i zgodnie z naszym przekonaniem — walczymy z religią; przełom pojęciowy w tej dziedzinie zajdzie po nastaniu sprzyjających warunków, a są one prawdopodobnie już bardzo bliskie. Religii nie zwalczy się jawnie, trzeba ją podgryzać. Chłop nie pójdzie na otwartą walkę z religią, trzeba zwracać jego uwagę na walkę z obszarnikiem, który razem z księdzem go gnębi. Jawną szkołę antyreligijną stworzy dopiero nasz uczeń, przygotowany przez nas, on podważy religię rodziców i całego społeczeństwa, religię, która zawsze łączy się z burżuazyjnym porządkiem politycznym i administracyjnym.

Niestety przykłady takie nie są zjawiskiem zupełnie odosobnionym. Tym ciekawszą będzie odpowiedź na pyta-

nie: o jakiej to szkole „swojej“ mówił ów wyżej zacytowany prelegent? Otóż sen. Rudowski stwierdza, że:

Nie mogła to być inna szkoła, jak pedagogium nauczycielskie, kierowane przez dr Władysława Spasowskiego. Spotyka się często nauczycieli, mówiących z pewną dumą: należą do koła spasowiaków. Uważają oni p. Spasowskiego za swego ojca duchowego, a dzieło jego, blisko 600-stronicowy tom pt. *Wyzwolenie człowieka*, wydany w 1933 r., nazywają biblią swoją. Ponad wszelką wątpliwość stwierdzić trzeba, że ideologia w dziele jego zawarta stoi w rażącej sprzeczności z ideami wychowawczymi, obowiązującymi w szkole polskiej. Dzieło dr Spasowskiego jest demoralizujące w najwyższym stopniu. Młodzieniec, kształcący się na nauczyciela, który przeczyta ten pracowity elaborat, musi albo nabrać głębokiej niechęci do jego autora, a niesmaku dla dzieła, lub też zacznie fanatycznie nienawidzić religii we wszystkich jej przejawach, oraz mocno musi w sobie osłabić wszelki kult i entuzjazm dla idei państwowej i narodowej. Dla przykładu zacytuję: „Religia jest obłędem. Jezus postacią mitologiczną; jego prawo miłości bliźniego jest zwyrodnieniem. Bóg jest pustą himerą. Święci, to hultaje, zwyrodnialcy, niechluj o kurzych mózgach... Papież każdym zdaniem, które wypowiada nie tylko błędzi lecz iże. Obecnie nastąpiła chwila wypowiedzenia stanowczej wojny wszelkiej pozytywnej religii itp.“ Zaś zagadnienia narodowe charakteryzuje w następujących słowach: „System wychowawczy winien dążyć do tego, aby wyzwolić jednostkę z wszelkich przesądów burżuazyjnych, tj. religijnych i nacjonalistycznych. Człowiek wyzwolony winien się wyrzec ojczyzn i praojcowizn i ukochać wielką miłością ziemię“.

Oto... podręcznik nieoficjalny naszych młodych nauczycieli. Jest rzeczą niewytłumaczną, niezrozumiałą dlaczego Ministerstwo Oświaty powierzyło takiemu człowiekowi kierownictwo seminarium nauczycielskiego i utrzymywało go na tym stanowisku szereg lat. Dzisiaj zbieramy owoce tego siewu. Trafił on na dobrą glebę i rozrósł się bujnie po dzielnicach i zakątkach Polski. Wiele faktów i procesów o tym świadczy. Niepokój rodziców chrześcijańskich wzrasta, apele i inwokacje Ministerstwa Oświaty sprawy nie załatwia, trzeba czynu, energii i stanowczości...

I można by się uspokajać, że ostatecznie Spasowski wychował tylko nieliczną stosunkowo garstkę nauczycieli bezbożników, gdyby nie fakt, że tym infiltracjom wolnomyślicielstwa a nawet bezbożnictwa sprzyja decydująca grupa w łonie Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Można i trzeba uznać wielkie zasługi w dziedzinie organizacji zawodowej Związku, który skupia w swych szeregach blisko $\frac{3}{4}$ nauczycielstwa, natomiast trudno uwierzyć

w lojalność jego kierowniczych grup w dziedzinie problemów i ideałów wychowawczych, uznanych przez Konstytucję i nakazanych przez prawo.

Niektóre tylko dowody przytoczył sen. Rudowski w swoim referacie:

...Jeśli się nawet pominie pojedyncze fakty, to już w żaden sposób nie można przejść do porządku dziennego nad oficjalnymi enuncjacjami Związku.

W nr. 1 *Przewodnika Pracy Społecznej* z września 1934 r., oficjalnego organu Z. N. P., redaktor tegoż organu p. Kazimierz Maj, przewodniczący wydziału pracy społecznej w Z. N. P., w artykule „Zadania Z. N. P. w dziedzinie oświatowej w dobie obecnej” pisze: „Walczymy o nowy typ nauczyciela w Polsce”, „zmieniają się podstawy ideologiczne pracy oświatowej”, „praca oświatowa w służbie idei przebudowy gospodarczej Polski winna uświadomić jednostki i społeczeństwo, że do Państwa należy sankcja i władza w dziedzinie wychowania moralnego obywateli; winno przygotować jednostkę i społeczeństwo do współdziałania z Państwem w walce z klerem, który, sięgając po władzę polityczną, dąży do podporządkowania kultury i oświaty własnym celom, sprzecznym z interesami naszego Państwa”. Zatem p. Maj wyraźnie twierdzi, że Państwo Polskie walczy z klerem i określa, jako jeden z obowiązków społecznych Związku przygotować jednostkę — niewątpliwie ucznia — i całe społeczeństwo do tej walki. To jest niełojalne wobec Państwa. To jest sprzeczne z prawdą, bowiem Państwo Polskie nie walczyło, nie walczy i bynajmniej nie ma zamiaru walczyć z klerem. Tym bardziej, że walka z klerem, jako takim, jest tym samym, co walka z religią. Można wprawdzie walczyć z jakąś jednostką z kleru, złą i nieodpowiednią, to niekiedy Państwo czyni, czyni to również czasem i społeczność katolicka, jednak organ związku mówi tu o klerze, jako o całości. Walka z klerem musi być uznana, jako walka z Kościołem, bowiem, jak państwo bez urzędników, jak armia bez korpusu oficerskiego, tak samo Kościół bez kleru — nie mógłby egzystować. Miał zupełną rację ten nauczyciel, który na opisaną wyżej konferencji pedagogicznej oświadczył w dyskusji: po co to kłamstwo, walczymy przecież z religią! Zresztą zorganizowane w Z. N. P. nauczycielstwo niejednokrotnie jasno tę sprawę ujmowało. Na zjeździe w Krakowie w 1930 r. ustalono, że „Polska winna być pozbawiona wpływów klerykalnych, tak bardzo szkodliwych”. I dalej następują uchwały: „Zjazd wzywa zarząd główny do poczynienia wszelkich starań celem ustawowego wprowadzenia szkoły świeckiej”. I następna: „Zjazd domaga się zniesienia okólnika Bartla w sprawie praktyk religijnych młodzieży szkolnej”.

Zatem jest rzeczą niewątpliwą, że Z. N. P., jako organizacja, głosi hasło walki tak z klerem, jak i z religią, że hasła te są

realizowane w praktyce, a że nie pozostają w dziedzinie utopii jedynie, tego dowodzą fakty.

Przechodzę do obserwacji w innej dziedzinie. Niektóre zarządy powiatowe i ogniska (ognisko w Gniewoszowie, pow. Kozienice, Zarząd w Kozienicach i w Kielcach, nr 18 i 20 *Wolnomyśliciela*) powzięły wiosną 1936 r. następujące uchwały: „*Wolnomyśliciel polski*, walcząc z reakcją i ciemnotą w Polsce, dobrze zasłużył się sprawie niezależnej oświaty i za to wyrażamy mu podziękowanie”. A przecież *Wolnomyśliciel* został zamknięty za propagandę komunistyczną. Z. N. P. odnosi się zatem do tego rodzaju organizacji z całą atencją i sympatią i również organizacje komunistyczne odpłacają się wielką życzliwością, tytułując związkowców w listach do Z. N. P. pisanych „drogimi kolegami”. I tak, jest w Paryżu międzynarodowa organizacja nauczycielstwa tzw. I. T. E., organizacja ta wydaje biuletyn, między innymi czytamy w nim: „jedyny prawdziwy postęp świata jest ściśle związany z losami Z. S. S. R. Obowiązkiem każdego kraju jest bronienie Z. S. S. R. Walka z religią jest największej wagi, bo religia łagodzi niezadowolenie mas i odciąga je od walki klasowej”. Do komitetu wykonawczego tej organizacji zapłatał się również jakiś delegat z Polski. Kto go delegował — nie miałem możliwości, dla braku czasu, stwierdzić. W każdym jednak razie, gdy po zarządzeniach Premiera, Z. N. P. zorganizował strajk szkolny jakże inny niż ten w 1905 r., ogłosiła I. T. E. list otwarty do nauczycieli polskich pełen uznania i zachęty do dalszej walki. Tak samo komunistyczna partia polska, a także cała prasa sowiecka wzięła w gorącą obronę zawieszony zarząd Z. N. P. Również sympatie Z. N. P. do komunizmu stwierdza wyrok sądowy w sprawie I. K. C. z *Płomykiem*. W motywach wyroku sąd pisze: „*Płomyk* uprawia propagandę na rzecz Sowietów, z zamiarem wytworzenia w umyśle czytelnika bezwarunkowo przychylnego ustosunkowania do Z. S. S. R. i panującego w nim układu społeczno-politycznego”. Na rozprawie apelacyjnej ujawniono, że: „pismo sowieckie *Głos radziecki*, omawiając proces z *Płomykiem*, napadło na faszystowskie metody dławienia świetlanej prawdy o Sowietach, do której tęsknią polskie dzieci”.

Trzecim charakterystycznym momentem dla związku jest jego działalność polityczna, wychodząca daleko i szeroko poza ramy statutu, a stwierdzająca wprost niebывале ambicje na tym polu. Analogia związku pod tym względem z partią polityczną jest zupełna i całkowita. Związek ma swoją własną ideologię, powołuje się na nią nader często w swych publicznych enuncjacjach. Ideologia ta dotyczy nie tylko problemów wychowawczych, lecz również stosunku Państwa do Kościoła, układu wzajemnego warstw społecznych, oraz stosunku do rządu i poszczególnych ministrów. Związek za pośrednictwem własnego organu prasowego oraz środków, zbieranych drogą na pół przymusową od członków,

szerzył, propagował i walczył o własną ideologię. Związek zmuszał do subordynacji bezwzględnej swych członków, Związek miał w swym ręku sankcje dostateczne, by opornych zwalczyć i zniszczyć. Bowiem, jak oceniono mi obecną sytuację, w inspektoratach 95% obsady — to ludzie Związku, w kuratoriach 60%, podobnie w centrali.

Ba. Związek... rości sobie pretensje, by mieć wpływ na obsadzenie gabinetu. Na wzmiankowanym już zjeździe krakowskim w 1930 r. zapadła uchwała: „Zjazd kategorycznie protestuje przeciwko nominacji ks. Żongołłowicza na wiceministra oświaty i wzywa zarząd główny do poczynienia wszelkich starań w kierunku cofnięcia nominacji”. Wolno wprowadzić odnośnię się każdemu obywatelowi przychylnie lub krytycznie do danego ministra, jest jednak *curiosum* niebywałe, by stowarzyszenie urzędników państwowych chciało obsadzać swych resortowych ministrów. Niemniej dowodem tendencji politycznych związku jest uchwała zjazdu delegatów Z. N. P. z 23. IV. 1934 r., domagająca się „zjednoczenia związków młodzieży wiejskiej o pokrewnej ideologii, celem skuteczniejszego przeciwstawienia się wstępnym wpływom na młodzież wiejską organizacji klerykalnych i partyjnopolitycznych.

Niewątpliwie objawem politycznej działalności był październikowy strajk szkolny, a zwłaszcza ścisły kontakt, nawiązany z organizacjami zawodowymi, politycznymi i klasowymi różnych branż, celem wywołania powszechnego strajku ogólnokrajowego, popierającego dezyderaty Związku. Przy tej okazji nauczycielstwo nie dopuszczało dzieci polskich do polskiej szkoły, a zarządzenia Premiera nazwano w *Biuletynie komitetu strajkowego* nr 3 z dnia 3 października „faszystowskim zamachem” na nauczycielstwo, manifestując publicznie swoje stanowisko.

To są przecież typowe metody partii politycznych... Wodzem tej całej akcji skupiającej nici oraz środki w swych rękach, był obecny prezes Związku p. Zygmunt Nowicki. Zaiste trzeba mieć gołębio dobre serce i optymizm zgola niebywały, by w tych warunkach, po zarządzeniach wydanych z wielką odwagą cywilną, zaakceptować wybory krakowskie z 2 lutego 1938 r. i mieć wiarę, że to co było dotychczas w Związku nie powtórzy się w przyszłości. Tę wiarę mają zarówno p. min. Świętosławski, jak i p. premier Składkowski.

Tej wiary nie podziela jednak żadną miarą katolickie społeczeństwo. Dała temu wyraz m. in. p. pos. Prystorowa, kiedy w czasie dyskusji w Sejmie powiedziała te odważne słowa:

W rezultacie mamy wybór prawie zupełny dawnego zarządu. Nie wiem, czy można nazwać to zwycięstwem. Wybory te porównałabym do wyborów stalinowskich...

Zwycięstwo za to widzi w lutowych wyborach zarządu Z. N. P. polska radykalna lewica. Oto *Robotnik* (z dn. 4 II) z entuzjazmem i dumą głosił, że nauczycielstwo polskie na zjeździe krakowskim „zdało egzamin ze swego charakteru!”
A dalej:

Rozprostowały się zgięte kiedyś karki... odrzucono szantaż polityczny kół reakcyjnych... Nie wywiesiliście białej chorągwi. To jest wielka Wasza zasługa. Zasługa — dla Polski.

A *Dziennik Ludowy* (z dn. 4 II) w wybuchu radości woła:

Zjazd krakowski stał się dużym krokiem naprzód w dziele konsolidacji Świata Pracy... był manifestacją hartu ducha polskiego nauczyciela... Polska może być dumna, że posiada nauczycielstwo ciosane z tak twardej bryły...

I tu nasuwa się najsmutniejsza refleksja.. Do ostatniego zjazdu delegatów ZNP można się było łudzić, iż Związek nie podzielił zgubnej ideologii swego zarządu. Teraz te złudzenia rozwiały się całkowicie, bo trudno wytłumaczyć sobie jednomysłne niemal poparcie p. Kolanki przez uczestników krakowskiego zjazdu i poddanie się desygnowanemu przez niego następcy, jak tylko wyznawaniem przez nich tej samej ideologii, której służy kierownictwo ZNP.

Toteż tragiczne wprost akcenty zabrzmiały w zakończeniu referatu sen. Rudowskiego:

...wziąwszy pod uwagę, że te zgubne prądy, nurtujące w nauczycielstwie trwają od szeregu lat, że Ministerstwo nie zdołało ich opanować dotychczas, że przeciwnie dopuściło, by na terenie jego własnych organów pasorzytowały komunizujące i bezbożnicze jaczejki, że wychowankowie tych ośrodków posunęli się już niewątpliwie ogromnie w górę w hierarchii administracji szkolnictwa i mają możność w dostatecznej mierze paraliżować wytyczne, wychodzące od Ministra, że zatem tendencje te mają ogromny zasięg, wielką dynamikę i poważnych protektorów tak w kraju, jak za granicami Rzeczypospolitej, że wreszcie Z. N. P. ma wolność decyzji, siłę i środki przeciwstawiać się zarządzeniom Premiera Rzeczypospolitej — dojsć musimy do nieodpartego przekonania, że sytuacja jest niezwykle groźna i niebezpieczna!

Gdy sobie równocześnie uprzytomnimy, że każdy chrześcijanin, a zwłaszcza katolik nie zadawałnający się samą metryką katolicyzmu, lecz w istocie rzeczy uważający się za członka Kościoła, ma obowiązek występowania przeciwko złu i zwalczania go, to ocenimy sytuację jeszcze poważniej.

I tu, dochodzimy do samej treści i istoty zagadnienia, zagadnienia, które może być brzemienne w straszliwe skutki i konsekwencje dla Narodu Polskiego i Państwa...

Musimy mieć odwagę zdania sobie sprawy z sytuacji obecnej, stoimy przed wielką dziejową alternatywą, albo, albo.

Uszanujmy i podporządkujmy się wszyscy kanonom Konstytucji i prawu; wszyscy, nie tylko chrześcijańscy rodzice i Rząd Rzeczypospolitej, lecz również kuratorzy, inspektorzy, kierownicy szkół, aż do tych najniższych, najbiedniejszych I-klasowych, a także i ci wszyscy, którzy rozum ludzki i dumną myśl niezależną człowieczą wyżej od wszechmocy Boga jedyne go stawiają.

Chyba że zamierzamy zmienić Konstytucję, zerwać konkordat, przeinaczyć prawa. Wtedy obwołujmy ministrami Spasowskich, czy Nowickich i wyciągajmy dłoń bratnią na Wschód i daleki okrwawiony Zachód!

Te decyzje i silna nicodstępna wola wykonania są niezbędne...

Tak ujmują zagadnienia oświatowe w Polsce jej odbiorcy-dolę.

A tymczasem p. Minister WR i OP oświadcza z olimpijskim niemal spokojem, iż za wszystko, co się stało na krakowskim zjeździe „bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność”. — Odpowiedzialność to olbrzymia wobec teraźniejszości i przyszłości Polski!

Odpowiedzialności tej nie lęka się również sen. Jędrzejewicz, który oświadczył w komisji budżetowej, iż ocena działalności związku Z. N. P., tak jak ją ujął p. sen. Rudowski, nie jest zgodna z jego zapatrywaniem. Nie ma w tym dla nas żadnej niespodzianki; wie, o tym doskonale cały kraj, zdaje sobie sprawę z faktu, komu to w lwiej części Z. N. P. zawdzięcza swoją dyktaturę i pod czyimi rządami rozpleniło się zło na terenie szkolnym.

Ale te czy inne zapatrywania pewnych senatorów posłów czy radykalnych grup politycznych nie wpłyną i nie mogą wpłynąć hamująco na przekonania i wysiłki szerokich warstw katolickich.

Jasne i decydujące wskazanie w tym względzie zawiera uchwała pierwszego Polskiego Synodu Plenarnego, która wraz z innymi uchwałami, potwierdzona przez Ojca św. Piusa XI i promulgowana staje się dla wszystkich katolików w Polsce suwerennym nakazem moralnym.

Na mocy prawa przyrodzonego i uroczystych orzeczeń papieskich, a zwłaszcza na mocy encykliki o chrześcijańskim wychowaniu młodzieży, rodzice katoliccy powinni się domagać, aby ich dzieci kształciły się w katolickich szkołach wyznaniowych. Zanim szkoły wyznaniowe utworzone zostaną, Synod Plenarny nalega, aby wierni z prawa i obowiązku

domagali się, by nauczanie w obecnym ustroju szkolnym odpowiadało w całości zasadom nauki katolickiej i aby młodzieży nie narażano na szkody religijne i moralne przez niestosowną koedukację, przez łączenie młodzieży katolickiej z żydowską i przez powierzanie wychowania młodzieży katolickiej nauczycielom innowiercom. (Uchwała 122).

Jest dla nas rzeczą oczywistą, że program polityki szkolnej, wytyczony przez polski episkopat, spotka się z namiętnym sprzeciwem wszystkich lewicowych, radykalnych i wolnomyślicielskich czynników, że wypowiedzą mu one bezwzględna i nieprzebiegającą w środkach wojnę. Opierając się na dotychczasowych doświadczeniach, musimy być przygotowani na ewentualność, iż wpływowa grupa Związku N. P. z zarządem na czele, nie zaniedba niczego, by uchwała Plenarnego Synodu spotkała się z zorganizowanym oporem. Wszak uchwała ta przekreśliła na całej linii zasadnicze postulaty Związku, dążącego do stworzenia szkoły jednolitej, wyzwolonej z wpływów Kościoła. Program szkoły wyznaniowej to czerwona płachta dla pionierów francuskiego systemu szkoły zlaicyzowanej.

Przewidujemy więc, iż wspomniana uchwała Synodu stanie się w Polsce ogniskiem zdecydowanej walki światopoglądowej, która wywiąże się między folksfrontem i demokratycznymi klubami, między nielegalnie zakonspirowanym reżyserem tych folksfrontów: masonerią a zdrową, katolicką większością polskiego narodu. Pokaże się dowodnie, kto jest gospodarzem w Polsce, czy polski, katolicki naród czy nie mające nic wspólnego z polskim duchem i polską tradycją obce, międzynarodowe agentury.

Przedstawiciel „klubu demokratycznego“, innowierca sen. Kwaśniewski rzucił w Senacie (10. II. br.) katolickiemu społeczeństwu bezczelne wyzwanie, że w Polsce „albo będzie walka z klerem... albo musimy sobie powiedzieć, że idziemy do państwa kościelnego i przestajemy być państwem polskim“. Były polski wojewoda podejmuje zbankrutowane hasło Gambetty: *Le cléricalisme voilà l'ennemi* i to w momencie, kiedy demokracje nawet te masońskie wyciągają ręce do Kościoła jako jedyne go dziś i nieustraszonego obrońcy godności i wolności jednostki przed taranem różnych systemów totalnych.

Piętnując prowokację senatora-innowiercy, która niestety nie spotkała się dotychczas z należytą odprawą, wyrażamy niezłomną wiarę, iż społeczeństwo polskie stanie zdecydowanie obok swego Episkopatu, by wspólnie i harmonijnie realizować program wielkiej, narodowej, katolickiej Polski. Kamieniem zaś węgielnym takiej właśnie Polski jest wycho-

wanie moralne i religijne młodzieży, które w całej pełni można uzyskać jedynie w katolickiej, wyznaniowej szkole.

Pisząc przed dwoma miesiącami o „problemie krwawego kwadransa”, wyraziliśmy z naciskiem pogląd, iż „nie na przewrotach, zamachach i wstrząsach opiera katolicyzm polski swoje nadzieje na pełny rozkwit i całkowite zwycięstwo”. Ale niech senatorowie Kwaśniewscy, ich podkomendni i ukryci komendanci nie myślą, że słowa te mają głosić bierne cierpiętnictwo, że mają być apoteozą katakumb, że ideałem katolików jest pozwolić się zakuć w obrożę masonskiej niewoli i być pariasem politycznym w swej własnej ojczyźnie. Byłoby to wyciąganie najfałszywszych wniosków z najprawdziwszej tezy.

Nie kto inny, tylko papież Pius XI, w swej encyklice skierowanej do Meksyku, przypomina, iż „katolicy nie mogą cierpliwie znosić, by napadano na przysługującą z natury wolność porządku religijnego oraz obywatelskiego”. Obrona tych praw stosownie do warunków może być mniej lub więcej wskazana a formy tej walki mogą być, zdaniem Ojca chrześcijaństwa, mniej lub więcej gwałtowne.

Jeśli jednak same władze atakują najoczywściej sprawiedliwość i prawdę, tak iż wywracają prawie podstawy na których się władza opiera, nie widzimy dlaczego należałoby potępiać tych obywateli, którzy skupiają się razem dla obrony własnej i dla ratowania narodu, używając etycznych a odpowiednich środków przeciwko tym, którzy by nadużywali władzy dla rozsadzania Rzeczypospolitej.

Od antyklerykalizmu zaczęła się hiszpańska komuna a kończy się generałem Franco! Czyżby takie ideały snuły się po głowie sen. Kwaśniewskiego i czyżby takich kolei życzył swej ojczyźnie?!

Niebezpieczna to gra i antypaństwowa akcja wzywać w senacie Rzeczypospolitej polskiej do walki z klerem, jako takim, jako całością, jako stróżem religii, którą kocha i której bronić będzie cały katolicki naród.

Sen. Kwaśniewski przypuszcza, że za nim stoi polski chłop. Jest to tragiczna pomyłka. Zwrócono dyskretnie uwagę b. wojewodzie, co o nim myśli polski włościanin. Nam się zdaje, iż za p. senatorem stoi tylko wolnomyślicielski klub, chyba, że za kulisami tai się potężniejszy sprzymierzeniec...

Tak się złożyło, że w czasie bieżącej sesji sejmowej zażądano od p. Premiera, by, stosownie do obowiązującego prawa, ujawniono istniejące w Polsce loże masonerii a ich

członków pociągnięto do odpowiedzialności sądowej. Jesteśmy przekonani, że sumienny sądowy proces da rewelacyjne wyniki i takiego procesu, w obronie obowiązującego prawa, powinno się domagać solidarnie polskie, katolickie społeczeństwo. Interpelacja posła Dudzińskiego powinna wzbudzić w narodzie równie silne echo jak zbrodnicze strzały i krew rozlana w świątyni... Potworna zbrodnia fanatyka nienawiści kleru jest realizowaniem na swój sposób hasła, które z ust b. wojewody padło w gmachu Senatu Rzeczypospolitej!

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

„Gwiazdka” pokoju w zwałach chmur. — Powrót Rosji do Europy. — Cztery przewroty w jednym miesiącu. — Polska, Węgry i perspektywy rozbiorowe.

Napreżenia i odpreżenia, ofensywy i kontrofensywy rysują się zazwyczaj w polityce międzynarodowej względnie wyraziście. Gorzej bywa z okresami przejściowymi, w których rozkładają się pewne ugrupowania mocarstw, a nowe jeszcze się nie wytworzyły. Najgorzej zaś wtedy, gdy ów stan przejściowy powstaje na skutek naprężeń tak gwałtownych, że nie tylko rozkładają one konstelacje istniejące, lecz równocześnie utrudniają narodziny nowych. Zdarzyć się wtedy może, że skłócone siły, zabarykadowawszy sobie nawzajem ujścia na widowni międzynarodowej, zwracają się na wewnątrz państw i wyladowują się we wstrząsach, które z kolei wprowadzać mogą elementy nowe w położenie zewnętrzne. Dopóki się jednak taki proces należycie nie rozwinie, ogólny jego obraz przedstawia szczyt chaosu i gmatwaniny, którą tym trudniej jest przejrzyście ułożyć, że się nieustannie chwieje i zmienia.

Tak było właśnie w miesiącu ubiegłym. W końcu listopada czyli mniej więcej „na gwiazdkę”, nastąpiło w Europie odprężenie pokojowe dzięki solidaryzacji Ameryki z Anglią i Francją, dzięki przewadze tego „trójporozumienia demokracji” nad „osią” rzymsko-berlińską w Hiszpanii, oraz dzięki temu, że Moskwa na czas jakiś skoncentrowała swą uwagę i siły na Dalekim Wschodzie, a zaniechała Hiszpanii. Powstała stąd pewna ogólna skłonność do pacyfikacji europejskiej, sięgająca chwilami aż do projektów wskrzeszenia „paktu czterech” mocarstw (Anglia, Francja, Niemcy, Italia), który by ewentualnie miał także pogodzić Anglię z Włochami i umożliwić flocie angielskiej podróż na Pacyfik. Plany tego rodzaju miały wszelkie dane, ażeby zaniepokoić Moskwę i powściągnąć ją w jej zamiarach interwencyjnych na Dalekim Wschodzie. Ze stanowiska mocarstw zachodnich, a zwłaszcza

Francji, wymagały te plany uprzedniego wzmocnienia sprzymierzonych z Francją państw środkowo-wschodnich, gdyż inaczej mogłyby one zostać zwasalizowane przez oś rzymsko-berlińską i przesunąć wewnętrzną równowagę między uczestnikami paktu czterech na korzyść tej osi szczególnie zaś niebezpieczne dla Francji.

Stąd podróż Delbosa. Związane z nią zamierzenia Zachodu rozplynęły się wkrótce we mgłę, narastających dalszych komplikacji. Falami naprężeń i odprężeń od Chin i Hiszpanii pokrywać się poczęła „gwiazdkowa” skłonność pacyfikacyjna a wraz z nią i nadzieje na odbudowę kapitalistycznej gospodarki światowej. Fala naprężeń, która jest w toku w chwili gdy piszę, tak do głębi poruszyła Europę i tak potężne w niej samej wytworzyła wiry, że trudno przewidzieć, czy i kiedy „gwiazdka” trwałego pokoju jeszcze się w niej zdoła wynurzyć.

Pierwszy wir powstał nad Dunajem, od strony Włoch na skutek nieprzyjaznego dla nich „wiatru od Hiszpanii”. Jak już referowałem w ub. m. Italia musiała skapitulować ze swych hiszpańskich snów imperialistycznych wobec przewagi „trójporozumienia demokracji”. Fakt ten sam przez się stawiał już znak zapytania nad jej naddunajskim kompromisem podziałowym z Niemcami, w szczególności co do Austrii, gdyż Włochy traciły hiszpańską kompensatę. Równocześnie angielskie rozmowy Halifaxa z Hitlerem wskazywały na niebezpieczeństwo odosobnienia Włoch od Niemiec wobec Wielkiej Brytanii. Wreszcie podróż Delbosa i gospodarcze projekty Zachodu wobec środkowowschodu nasuwały obawę osaczenia wręcz Italii, tak politycznego jak i gospodarczego. Mussolini przeto zarządził kontrofensywę. Spróbował nawiązać przyjazny kontakt z Polską oraz wznowić protokół rzymskie, układ z czasów poprzedzających „oś rzymsko-berlińską”, chroniący Austrię przed Niemcami. To się nie powiodło. Nie powiodło się zwłaszcza wyodrębnić i wydać Czechosłowację Niemcom, co w mniemaniu Rzymu miało je pogodzić z utratą Austrii. Wpływ Delbosa nad Dunajem był jeszcze zbyt świeży, plan federacji naddunajskiej premiera czeskiego Hodży przeważał w Austrii a nawet na Węgrzech. Samo zaś poruszenie tych spraw w takim kierunku i duchu musiało nadwyżyć oś rzymsko-berlińską, budząc w Berlinie uzasadnioną nieufność.

Reakcja czynna z jego strony nie dała na siebie długo czekać, aczkolwiek w swej pierwotnie projektowanej postaci napotkała na przeszkody, które ją odroczyły. W Berlinie zapowiedziano uroczysty obchód pięciolecia rządów hitlerowskich. Miał być zwołany *Reichstag*, miał przemówić *Führer*. Zachodziło wszelkie prawdopodobieństwo, że nawiąże do warunków postawionych Halifaxowi, że będzie się starał zachęcić Zachód do uruchomienia „złotego kredytu” van Zeelanda dla Niemiec, że wreszcie, być może nie

będzie forsował wygórowanych i trudno strawnych dla Zachodu niemieckich rewindykacji kolonialnych, a za to pokusi Anglię widokami trwałej gwarancji przeciwwłoskiej w drodze uzależnienia od Niemiec Austrii, a przez nią samych Włoch.

O tym wszystkim była już częściowo mowa w poprzednim sprawozdaniu, ale wypadło te punkty przypomnieć, gdyż nowa, szczególnie złożona rzeczywistość, z nich się organicznie wyłoniła. Jak i dlaczego się to stało, że Niemcy poniechały uroczystego obchodu hitlerowskiego pięciolecia, *Reichstag* nie został zwołany i *Führer* mowy przed nim wtedy nie wygłosił?

Współdziałały tu w pewnej mierze ważne powody drugorzędne, jak rezerwa angielska wobec Niemiec. Ich usadowienie się nad Dunajem, uzależniłoby wprowadzić od nich Italię, ale wcale by nie wyłączało, że Niemcy zechcą swego ewentualnego włoskiego wasala użyć i poprzeć przeciwko Wielkiej Brytanii: już to wstrzymując nadal flotę angielską od podróży na Daleki Wschód, już też atakując politycznie Wschód Bliski. Stąd od czasu podróży Halifaxa do Berlina i włoskiej prowizorycznej kapitulacji w Hiszpanii, Londyn ujawniał mimo wszystko więcej chęci do porozumienia z Mussolinim niżli z Hitlerem. Nie ufał zresztą jednemu i drugiemu, dlatego postarał się o środek presji na Włochy, wzniecając przez swych agentów z Sudanu „próbne” powstanie przeciwwłoskie w Abisynii.

Naczelna wszakże przyczyna chwilowego powstrzymania kroków czynnych ze strony polityki niemieckiej leżała gdzie indziej. Cała koncepcja trwałej ugody pokojowej między mocarstwami zachodnimi a centralnymi opierała się z jednej strony na przewadze „trójporozumienia demokracji” w Hiszpanii, z drugiej zaś na wycofaniu się stamtąd Rosji na Daleki Wschód. Niebezpieczeństwo bloku przeciwsowieckiego, jakim zagrazać by mogła pacyfikacja Europy bez jej udziału, zwróciło już od dłuższego czasu uwagę Moskwy i wywołało stopniowy „powrót do Europy”. A nie był on łatwy. Zaniedbanie Hiszpanii na rzecz Chin mściło się i wznowione zabiegi długo nie dawały pożądanego dla Moskwy wyniku. Może w znacznej mierze dlatego, że nie chciała już być tak szczodra jak poprzednio w dostawach materiału wojennego na wschód i na zachód, gdyż sama dla siebie trzymać go musiała w pogotowiu. W końcu jednak znalazła Moskwa drogę dla siebie najwłaściwszą i swój cel doraźnie osiągnęła. Czerwony front w Hiszpanii wzmógł się znów poważnie, a choć Teruel zdołano tylko unieruchomić na wzór Madrytu, za to na tyłach armii powstańczej zorganizowano „duplikat” utraconej Asturii, w postaci nowego terenu operacji w Estremadurze.

Jest to fakt sam przez się nie rozstrzygający, ale w myśli taktyki moskiewskiej komplikuje widoki porozumienia między mocarstwami zachodnimi i centralnymi. Rzecz jasna, że gdy de-

mokracje zachodnie przeważają nadal w Hiszpanii nad poróżnionymi między sobą faszystami, a pomiędzy te dwie strony ponownie wkracza interwencja sowiecka na rzecz czerwonej Barcelony, to zarówno położenie hiszpańskie jak jego międzynarodowe reperkusje gmatwiają się w niebywałym dotąd stopniu. Ofensywne porywy czerwonych prowokują Włochy do przeciwstawienia się im czynnie, co znów złośliwie krzyżuje gotowość tejże do układów z Anglią o wycofanie wojsk posiłkowych z armii powstańczej.

Nie dość tego. Nowe naprężenie hiszpańskie sięgnęło szczytu, gdy prasa włoska poczęła grozić, iż wojska włoskie nie tylko nie zostaną z Hiszpanii wycofane, lecz przeciwnie wzmocnione o dalsze 50 tysięcy żołnierza, z powodu widocznego przyrostu energii bojowej czerwonych. Równocześnie ta sama prasa włoska wystąpiła z bardzo ostrym i niedwuznacznym oskarżeniem, iż wszelkie transporty materiału wojennego przybývają tym razem do Barcelony nie skądinąd jak... z pobliskiej Marsylii. Wiadomo było wprawdzie, że lewica, a w szczególności komuna francuska nieraz już przemyciała do czerwonej Hiszpanii broń, amunicję, samoloty itp. Nigdy jednak dostawy te nie przybrały tak wielkich i skoncentrowanych w czasie rozmiarów, iżby się to odbić mogło wydatnie na działaniach wojennych jak właśnie w wypadku o którym mowa.

Ta rewelacja prasy włoskiej była tym wymowniejsza, że po stronie francuskiej potwierdzono ją głuchym milczeniem. Fakt zatem trzeba uważać za niewątpliwy, co więcej należy go uchwycić jako koniec nici, po której dojść można do kłębka przyczyn. Cofnijmy się pamięcią wstecz do „świętecznych” strajków paryskich i obalenia pierwszego gabinetu Chautemps’a pod presją komunistów francuskich. Trudno wątpić, że jak zawsze tak i wtedy akcją komunistycznej partii Francji kierował Komintern. Celowość tej akcji rysuje się bardzo wyraziście. Komintern wytężył wszystkie siły, ażeby drogą presji od wewnątrz zawrócić francuską politykę zagraniczną z niebezpiecznego dla Moskwy toru porozumienia z mocarstwami centralnymi oraz wzmocnienia państw środkowo-wschodnich. Wysiłek był tak duży, że go nawet interpretowano jako próbę rewolucji przeciwko republice burżuazyjnej, na rzecz dyktatury proletariatu we Francji. Komintern nie łudził się zapewne, iż osiągnie tak heroiczny rezultat, ale w każdym razie pragnął utracić z rządu min. Delbosa i jego politykę. I tego praktycznego celu nie udało się jednak Moskwie osiągnąć w stu procentach. Wynik wywołanego przez nią wewnętrznego wstrząsu we Francji wypadł raczej połowicznie niemniej jednak okazał się ważkim. Komintern, względnie sam Stalin, uznał, że w obecnej sytuacji międzynarodowej byłoby dla Moskwy niepożądane ubezwładniać Francję na zewnątrz, doprowadzając w niej wrzenie wewnętrzne do eksplozji w wojnie domowej. Przeciwnie,

pożądane jest nawet wzmocnienie gospodarcze i militarne Francji pod warunkiem, żeby nie służyło pacyfikacyjnej ugodzie z Niemcami, lecz zbliżeniu z Moskwą i przeciwstawieniu się Niemcom. Komuna przeto francuska, oraz liczniejsi, lecz zależni od niej socjaliści zawarli z radykałami cichy pakt utrzymujący nadal fikcję „frontu ludowego”, oraz dopuszczający do władzy drugi gabinet Chautemps'a na następujących warunkach kompromisowych: 1^o Marksisci zachowują się tolerancyjnie i nie będą przeszkadzali zachowawczej polityce gospodarczej rządu radykalnego, włącznie aż do „kodeksu pokoju” między pracodawcami i pracownikami. 2^o Marksisci zgodzą się na koncentrację naczelnego dowództwa wszystkich sił zbrojnych Francji w ręku ministra obrony narodowej i szefa sztabu generalnego. 3^o Marksisci dopuszczają nawet min. Delbosa do powrotu na jego stanowisko, wszakże pod warunkiem, że 4^o min. Delbos zmodyfikuje dyskretnie swą politykę, jeśli nie wprost ku odnowieniu paktu francusko-sowieckiego przeciw Niemcom, to przynajmniej w kierunku pewnego współdziałania z Moskwą. 5^o Min. Delbos okaże swoją po temu dobrą wolę dopuszczając poważny dowóz materiału wojennego do czerwonej Hiszpanii. 6^o W zamian Moskwa przysłuży się Francji likwidacją jej załagru z Turcją o Aleksandretę.

Potęga marksizmu we Francji oraz natura położenia międzynarodowego czynią tego rodzaju cichy układ między klasowym, a radykalnym skrzydłem francuskiego „frontu ludowego” więcej niż prawdopodobnym. Jest on niemal równoznaczny z układem między Paryżem a Moskwą i stanowi sukces polityki sowieckiej rzeczowo ważki a metodycznie sensacyjny. Kominternowi powiodło się po raz pierwszy tak skutecznie przerzucić naprężenie zewnętrzne na wewnątrz wielkiego mocarstwa i tą drogą zmodyfikować korzystnie dla Moskwy sytuację międzynarodową.

Prawda, że Moskwa nie zaniedbuje przy tym działań dyplomatycznych od zewnątrz. Jak już zaznaczyłem, punktem wyjścia niepokojącej Moskwę polityki pacyfikacyjnej europejskiej stał się moskiewski zwrot ku Dalekiemu Wschodowi. Aczkolwiek utrzymana w pewnych granicach, interwencja rosyjska w obronie Chin przeciw Japonii byłaby w zasadzie dla mocarstw zachodnich pożądana, jednakże mogłaby się stać zbędną, gdyby mocarstwom zachodnim udało się pogodzić z centralnymi na tyle, ażeby floty zachodnie mogły wyruszyć na Pacyfik. Moskwa obawia się, ażeby taka uгода nie doprowadziła, w myśl dotychczasowych wskazań niemieckich, do europejskiego bloku antysowieckiego, dlatego też jej przeciwdziała. W zamian oferuje mocarstwom zachodnim swą pomoc przeciw Japonii, lecz pod warunkiem kontrasekuracji z ich strony przeciw Niemcom.

Niepoślednią w tym planie rolę odgrywa również dążność do zapewnienia Moskwie udziału w ewentualnej ekspansji kredy-

tów gospodarczych lub politycznych z zachodu na wschód, którą by jednak umożliwić mogła jedynie uprzednia pacyfikacja generalna, tj. z włączeniem Rosji. Kontrprojekt rosyjski przeciwstawia się więc podobnym marzeniom ekonomicznym jakie niedawno były wysuwane w perspektywie pacyfikacji europejskiej z Niemcami a bez Rosji. Obydwa te projekty są zresztą chimera, gdyż zostałyby sparaliżowane albo przez Niemcy albo przez Rosję. Chimerycznością ustępują tylko dawnym snom pacyfistycznym francuskim o „bezpieczeństwie zbiorowym” ignorującym konieczności ekspansyjne Niemiec i usiłującym wtłoczyć je w granice wersalskie wraz ze środkowym wschodem oraz Moskwą.

Wracając do rzeczywistości stwierdzić należy, iż ze względu na zaogniony stosunek Anglii do Włoch oraz jego hiszpańską piętę achillesową celowo jątrzoną przez Sowiety, układy pacyfikacyjne europejskie szły nader opornie. O wysłaniu flot na Daleki Wschód łatwiej więc było mówić niż go wykonać. W takiej sytuacji groźba ataku japońskiego na Kanton musiała mocarstwom zachodnim silnie działać na nerwy. Dla Sowietów odwrotnie sytuacja taka, w znacznym stopniu przez nie przygotowana, dawała sposobność do racjonalnego politycznego zwrotu. Zamiast angażować się na oślep przeciw Japonii, popierając tym samym powstanie bloku antysowieckiego w Europie, Moskwa zdecydowała się zużytkować swe możliwości przeciwjapońskie w grze sił europejskich, ażeby nie dopuścić do rozwiązań dla siebie niepożądanych.

Zwrot ten ujawniła Moskwa na radzie Ligi Narodów w Genewie. Litwinow zaproponował uchwałę „popierającą moralnie” wszelką dobrowolną interwencję w obronie Chin. Uchwała taka została istotnie powzięta. Ponieważ nie mogła być powzięta bez zgody mocarstw zachodnich, przeto oznacza do pewnego stopnia aprobatę z ich strony dla współdziałania z Moskwą. Jakoż istotnie zaznaczyło się ono w ożywionym oficjalnym uczestnictwie Moskwy w dalszych kontrowersjach na tle hiszpańskim. Uczestnictwo to pozostało wysoce dwuznacznym. W układach z Włochami o wycofanie wojsk posiłkowych z Hiszpanii, Sowiety, w Komitecie nieinterwencji, podbiły targ na niekorzyść Włoch, ażeby porozumienie utrudnić.

Nie brakło nawet tak drastycznych objawów ubocznych, jak nowe ataki „nieznanych” korsarzy na okręty handlowe angielskie na wodach hiszpańskich. W Londynie zaliczono te ataki na odpowiedzialność powstańców hiszpańskich i Włoch. Zablokowano nawet z tego powodu włosko-powstańczą bazę morską na Majorce. Poszlaki są tym razem istotnie nieco mniej wyraźne niż na jesieni. Inicjatywa włosko-powstańcza o tyle wydaje się dopuszczalną, o ile stanowiłaby odruch odwetowy z powodu niepokojów abisyńskich, wzniecanych z Sudanu, lub z powodu transportów przesłanych z Marsylii do Barcelony. Politycznie jednak byłoby te

ataki ze stanowiska włosko-powstańczego raczej irracjonalne. Logicznie natomiast a celowo służyć mogły rosyjskiej racji stanu. Torpedując bowiem statki, usiłowały Sowiety równocześnie torpedować układy anglo-włoskie, a przeciwdziałać polityce, zmierzającej do zwolnienia flot zachodnich na Daleki Wschód oraz obejmącej się bez rosyjskiej interwencji przeciw Japonii.

Francuski „zabieg wewnętrzny” wspólny z dyplomacją zewnętrzną Z. S. R. R. okazały się bardzo płodne. Wytworzyły nową sytuację przejściową, szczególnie dotkliwą dla mocarstw roztrąconej osi rzymsko-berlińskiej. Na zachodzie uspokajająca się wewnętrznie a zbrojąca się forsownie Francja współdziała chwilowo z Sowietami w Hiszpanii, wspólny zaś z Anglią zdaje się przychylić do szerszej koncepcji pacyfikacyjnej sowieckiej, od której Moskwa uzależnia swoje występowanie na Dalekim Wschodzie. W Hiszpanii panuje nieopisany rozgardiasz, który z dwu stron bije przede wszystkim Włochy, bo z jednej nie usuwa przewagi, jaką nad nimi w Hiszpanii osiągnęły „trzy mocarstwa”, a z drugiej prowokuje też Włochy a nawet Niemcy uderzeniami czerwonej Barcelony. W Europie środkowej Rzym poróżnił się poważnie z Berlinem z powodu włoskich prób odszkodowania się za hiszpańskie fiasko przez „reaneksję” Austrii do protokołów rzymskich. To wykoleiło Italię z osi rzymsko-berlińskiej i wprowadziło na tor polityki Delbosa, zwalczającej politykę niemiecką na środkowym wschodzie. Sprowokowane w ten sposób Niemcy musiały stwierdzić gorzki zawód, jaki je spotkał w przymierzu z Włochami. Na wschodzie wreszcie Rosja zwrócona ponownie frontem do Europy zajęła pozycję taktycznie ofensywną w stosunku zarówno do Włoch jak i Niemiec.

Taka sytuacja nosiła wszelkie cechy ciężkiego załamania całej dotychczasowej „zdobywczej” polityki mocarstw faszystowskich, opartej na rzymsko-berlińskim sojuszu. Wykazała ona pewien odruch odrodzeniowy tylko jeszcze w pogłosce o niemieckim sukcesie dla powstańców, równoległym do 50 tysięcy nowych posiłków, które miał zaofiarować Rzym. Ponieważ w chwili gdy piszę powstańcy biorą znów górę nad czerwonymi w Hiszpanii, nie jest wyłączone, że się znowu wyłoni nadzieja ocalenia osi rzymsko-berlińskiej, oraz ułożenia w jej obrębie podziału ziem nad-dunajskich. Na ogół jednak sytuacja wytworzona na skutek „powrotu do Europy” Z. S. R. R. nosiła wygląd tak dalece klęskowy dla odosobnionych Niemiec oraz hitlerowskiej polityki, że nie dziw, iż wywołała reakcję wewnętrzną, jeszcze ostrzejszą, choć bardziej samoistną, od spowodowanej przez Komintern we Francji. Jedyny ośrodek myśli politycznej, jeszcze względnie niezależny od dyktatury narodowych-socjalistów, mianowicie korpus oficerski armii niemieckiej, począł fermentować opozycyjnie. Zarzucano reżimowi bezpłodność hiszpańskiej interwencji na

rzecz Włoch, oraz niepożądany antagonizm z Moskwą, z którą armia niemiecka skłonna jest raczej współdziałać. Korpus oficerski umyślił tedy sobie, że należy zlikwidować hitlerowską dyplomację z jej niefortunnymi wynikami i wdrożyć kurs rapallitański. Najradykałniejszym po temu środkiem wydawała się likwidacja reżimu na rzecz restauracji Hohenzollernów.

Z chwilą gdy korpus oficerski doszedł do takiego postanowienia, dyktatura hitlerowska w Niemczech znalazła się w większym niż kiedykolwiek niebezpieczeństwie od wewnątrz. Oko w oko stanęły przeciw sobie dwie naczelne organizacje narodu niemieckiego cywilna i wojskowa. Nastąpiło gwałtowne „krótkie spięcie”, w którym zwyciężyła organizacja cywilna. Zwyciężyła dlatego, że choć słabiej uzbrojona, okazała się ruchliwszą, bardziej zwartą, stanowczą, z natury swej lepiej uzdolnioną do walki wewnętrzno-politycznej. Zwyciężyła też dlatego, że kierowała nią jednolita wola, silna indywidualność nie znająca strachu, umiejąca uprzedzać ciosy. Hitler okazał się niegorszym, choć mniej krwawym od Stalina, mistrzem w opanowywaniu zagrażającej rewolucji.

Przewrót w Niemczech skoncentrował w ręku dyktatora całą pełnię władzy cywilnej i wojskowej w stopniu oczywiście znacznie wyższym od podobnej koncentracji władzy wojskowej we Francji. Dyktator zapewnił sobie na jakiś czas moc manewrowania wszystkimi siłami narodu jako narzędziem idealnie zwartym, karnym i sprawnym tak na widowni międzynarodowej, jak wewnętrznej i gospodarczej. Spisek wojskowo-monarchistyczny posiadał bowiem poparcie cywilne, także w wielkim przemysle, wywierającym pewien wpływ liberalny na politykę gospodarczą państwa przez ministerium gospodarki narodowej. Dlatego także i to ministerium wciągnięte zostało w orbitę rozległych przesunąć personalnych, które objęły armię i dyplomację.

Przesunięcia w dyplomacji rzuciły od razu pewne światło na pozycję wyjściową jaką kanclerz Hitler zamierzył zająć celem zasadniczego przegrupowania frontu politycznego Niemiec na arenie międzynarodowej. Nominacja Ribbentropa ministrem spraw zagranicznych wskazywała niewątpliwie na chęć porozumienia z Anglią. Odwołanie ambasadorów w Rzymie, Tokio, Moskwie, Wiedniu wskazywało na gotowość Niemiec do ewentualnego wycofania się z antykomunistycznego trójprzymierza faszystów z Italią i Japonią, nawiązania zaś nici rapallańskich z Moskwą.

W wyniku takiego zwrotu mógłby kanclerz Hitler ofiarować Wielkiej Brytanii usługi doraźne dla niej bardzo cenne. W pierwszym rzędzie szybką i skuteczną, rękoma Moskwy dokonaną, likwidację pożaru na Dalekim Wschodzie, przy równoczesnej „straży” ze strony Niemiec, ażeby interwencja rosyjska nie sięgała zbyt głęboko. Mógł ponadto kanclerz Hitler ofiarować W. Brytanii szybkie i radykalne poskromienie Włoch a więc tym samym swobodę dla floty angielskiej wyruszenia na Daleki

Wschód. W zamian zamierzał, jak się zdaje, żądać od Anglii przede wszystkim *placef* na *Anschluss* Austrii, stanowiący bezpośrednie wędzidło na Italię. Na dalszym planie projektów niemieckich widniały zapewne także aspiracje kolonialne (może bardziej umiarkowane niżli te, które wysunięto wobec Halifaxa), oraz pacyfikacja ekonomiczna i kredytowa.

Efekt takiej postawy ujętej przez Niemcy, okazał się jednak doraźnie raczej odwrotny od oczekiwanego. Anglia zlekła się uzależnienia od Niemiec, zwłaszcza zwróconego ponownie na rapallitański szlak współdziałania z Moskwą. Przewrót wewnętrzny i zwrot zewnętrzny w polityce niemieckiej odegrał więc dla Anglii rolę raczej silnego bodźca w kierunku porozumienia z Włochami. Wdrożono forsowne w tym kierunku układy między Edenem a Grandim w Londynie. Dotyczyły one z natury rzeczy przede wszystkim sprawy hiszpańskiej, czyli wycofania wojsk posiłkowych. W obliczu czerwonej ofensywy nie było to możliwe, bez uprzedniego przywrócenia przewagi powstańczej. Przewaga ta właśnie zaznaczyła się znowu w ostatnich dniach, doprowadzając do zajęcia Teruelu, ale dopiero niedaleka przyszłość wykaże czyim się to stało staraniem: Włoch, za aprobatą Anglii i Francji, czy też Włoch przy współdziałaniu jeszcze, mimo wszystko, niemieckim.

Tak czy owak Niemcy postanowiły zareagować w sposób stanowczy na owe anglo-włoskie układy, zmierzające niewątpliwie do kapitulacji włoskiej w Hiszpanii oraz ponownego zwrotu Włoch do protekcji nad Austrią. Cios wymierzony ze strony Niemiec w Austrię zarazem uprzedził to niebezpieczeństwo, jako też, przy ponownej przewadze powstańców mógł jeszcze kusić Włochy hiszpańską kompensatą. Cios w Austrię wymierzony osobiście przez Hitlera wobec Schuschnigga w Berchtesgaden był silniejszy i bardziej skuteczny od jakichkolwiek poprzednich zakusów „anszlusowych”. Był też wymierzony we właściwej chwili i sytuacji. Wojska włoskie są jeszcze bardzo potrzebne w Hiszpanii, a układy anglo-włoskie wobec tego trudne i zaledwie wdrożone. Spieszny zatem zwrot wojskowy włoski na granicę Brenneru w obronie Austrii, zarówno technicznie jak i praktycznie, wydaje się bardzo wątpliwy. Cios w Austrię stwarza dla Niemiec natomiast dogodną pozycję dla dalszej gry dyplomatycznej. Mogą stąd Niemcy wywierać presję zarówno na Włochy, jak na zachód, grożąc ewentualnie temu ostatniemu widmem Rapallo, które znów powinno by łagodzić postawę Moskwy wobec Niemiec.

To „widmo” wywołane na ekranie austriackim, zdolne jest nawet spowodować ze strony Rosji akcję równoległą, groźną dla państw środkowo-wschodnich, dla mocarstw zaś zachodnich dwuznaczną, bo oscylującą między Rapallo a paktem sowiecko-francuskim. Austria stanowi obszar geopolitycznie bardzo ważny

dlatego, że jej zabór przez Niemcy przesądza również likwidację Czechosłowacji na korzyść Niemiec oraz może Węgier. Wschodni geopolityczny odpowiednik Austrii w stosunku do Rosji stanowi Besarabia rumuńska. Jej okupacja przez Z.S.R.R. oddałaby w jego ręce ujście Dunaju i wytworzyła, mniej może od austro-niemieckiej nad Czechami, decydującą, jednak bardzo krępującą przewagę strategiczną Rosji nad Rumunią, oraz całym Bałkanem wschodnim. Przez tę „bramę mołdawską” wiedzie starodawny szlak wojenny rosyjsko-carogrodzki. Rosyjski zamach na Besarabię pociągnąłby też za sobą bardzo doniosłe następstwa polityczne. Wystawiłby na ogniową próbę przymierze polsko-rumuńskie, gdyż stanowiłby dla nas *casus foederis*, obowiązujący do wojny z Sowietami. Gdybyśmy go nie dotrzymali tym samym zostałoby zniweczone zobowiązanie wzajemne Rumunii w razie rosyjskiego ataku przeciwko Polsce: tym samym przysłoby przymierze.

Gdyby zamach Niemiec na Austrię nie został powstrzymany przez zachód i Włochy i rozwinął się według życzeń niemieckich, to przyniosłoby Niemcom ogromny przyrost potęgi i otworzyłby przed nimi wrota dalszej ekspansji na południe i wschód. Elementarna rosyjska racja stanu nakazywałaby wtedy Moskwie równoległą ekspansję, z punktem wyjścia w zaborze Besarabii. Dlatego to jest rzeczą tyleż znamienneą co zrozumiałą, że Z.S.R.R. postarał się trzymać w pogotowiu formalną okazję do zatargu z Rumunią w postaci afery z porwaniem czy ucieczką sowieckiego *chargé d'affaires* w Bukareszcie. Było to tym bardziej na rękę dla p. Litwinowa i jego Narkomindiel'u, że na terenie Rumunii ścierają się wpływy niemieckie z wpływami Włoch i mocarstw zachodnich, powstaje więc dla Rosji sposobność do manewrów w tę lub ową stronę.

Zachodzi też wszelkie prawdopodobieństwo, że ta niebezpieczna koniunktura zewnętrzna w jakiej się znalazła nasza rumuńska sojuszniczka jest najważniejszą przyczyną głębokiego niepokoju wewnętrznego jaki opanował ten kraj. Wzrastające zagrożenie z zewnątrz domaga się gwałtownie dynamizacji sił wewnętrznych narodu. Stan zaś gospodarczy i kulturalny kraju wykazuje głęboką, demoliberalną „dekompozycję”. Wybory dały wynik tak rozproszkowany, że pomimo ułatwień konstytucyjnych dla formowania większości, uformować jej w parlamencie nie było można. Próba dyktatury nacjonalistycznej również zawiodła i w rezultacie nie pozostało innego wyjścia jak tylko „dyktatura królewska” w oparciu o cerkiew i armię. Jest to więc czwarty z rzędu przewrót wewnętrzny, w jakim wyładowuje się napięcie międzyrodowe, idąc w kierunku mniejszego oporu zamiast szukać ujścia w bardzo ryzykownej, natychmiastowej wojnie powszechnej. Naprzód stało się to we Francji, następnie w Niemczech, potem w Austrii, równoległe zaś w dwóch etapach, w Rumunii.

Nie jest wyłączone, jak to już zaznaczyłem, że mocarstwom zachodnim, wspólnie z Włochami uda się jeszcze odeprzeć niemiecki zamach na Austrię. Oddziała zapewne w tym kierunku dymisja Edena i przewaga skłonności do spiesznej ugody z Italią, dominująca obecnie w rządzie angielskim. Ostatnia mowa Schuschnigga każe się domyślać poparcia Włoch i Zachodu. Czy i na jak długo ostoja się wobec tego oś rzymsko-berlińska, pomimo zapowiedzianej wizyty w Rzymie — pokaże najbliższa przyszłość. Jeżeli zaś mimo wszystko, Niemcy zdołają pochłoniąć Austrię i Czechy, Rosja zaś „na pierwsze danie” Besarabię, to albo wojna musiałaby rozgorzeć, wbrew dotychczasowym nadziejom, natychmiast, albo też oś rzymsko-berlińska przekształciłaby się w stosunek wasalny Rzymu do Berlina. Na miejsce niedoszłych projektów podziałowych naddunajskich między Niemcami a Włochami, rozpocząłby się proces nowych rozbiorów między Niemcami a Rosją.

Perspektywy te są tego rodzaju, że powinny alarmować także politykę i opinię polską. Należy życzyć ażeby się ona nie dała uspić ciepłym słowom, w swej mowie, wygłoszonej pod adresem Polski, które kanclerz Hitler skierował przed *Reichstag*iem. Te „ciepłe słowa” wraz z pochwałą „prawdziwej neutralności”, domniemanym jej oparciem o autorytet Marszałka Piłsudskiego, oraz gdańską „idyllą” niemiecko-polską, zmierzają do zapewnienia Niemcom bierności polskiej w sprawie austriackiej. Niedwuznaczną zachłannością brzmią słowa mowy poświęcone Austrii i Czechosłowacji, ostro i wojowniczo odpierają spodziewaną kontrofensywę zachodu i Włoch. Nie trzeba się przy tym łudzić jeszcze ostrzejszym tonem wobec Z. S. R. R. To było nieuniknione wobec starcia z Sowietami w Hiszpanii i na terenie francuskim. Ton ten oznacza jedynie, że na razie Niemcy wołałyby jeszcze osiągnąć tolerancję *Anschluss*’u przez zachód w obrębie bloku antysowieckiego, tym bardziej, iż Anglia zareagowała zwrotem ku Italii na sugestie neo-rapallitańską. Na ogół biorąc, Niemcy i Moskwa pozostają jeszcze wobec siebie w pozycji bojowej, bo każde z nich ma poczucie doraźnej przewagi nad Zachodem. Hitler wyraził to w swej mowie, Stalin zaś w rozgłosnym liście do komsomolca, gdzie dodaje ducha swoim poddanym, a zarazem prowokuje, może nieostroźnie, opinię francuską, podkreślając działalność Kominternu, ostatnio tak wydatną, właśnie we Francji.

Te wszystkie gesty taktyczne nie powinny zasłaniać przed opinią polską groźnej istoty położenia. Tym żywszą musi ona darzyć uwagę działania dyplomacji polskiej. Nie były one ostatnio ani zbyt liczne, ani heroiczne. Pan min. Beck w *exposé*, które omawiałem w poprzednim zeszycie, oświadczył się za polityką *status quo* nad Dunajem, pod osłoną porozumienia Italii z Francją.

Jest to koncepcja bliska planom federacyjnym premiera Czechosłowacji, Hodży oraz min. Delbosa. Wkrótce potem wyjechał p. Beck na posiedzenie Ligi Narodów. Zatrzymał się w Berlinie na długiej, podobno trzygodzinnej konferencji osobistej z Hitlerem, którego przypuszczalnie musiał uspokoić co do tego punktu swego *exposé*. Później na Riwierze konferował również długo z min. Edenem, oraz rumuńskim min. Micescu. Wreszcie krążyć poczęły w prasie pogłoski o postanowionej jakoby w zasadzie podróży naszego min. do Rzymu.

Ponad te wszystkie zabiegi przygotowawcze, badawcze lub asekuracyjne ponad deklaracje polskie w Genewie, stwierdzające, iż udział w Lidze przestał obowiązywać do czynnych wystąpień lub zastrzegające polską neutralność wobec Dalekiego Wschodu wybija się jako fakt najbardziej konkretny i czynny wizyta regenta Węgier w Warszawie.

Dała ona sposobność do gorących manifestacyj uczuciowych ze strony zarówno państwowej jak społeczeństwa polskiego. Urzędownie starano się nadać tej wizycie cechę apolityczną. Jeżeli jednak te odwiedziny rzucimy na tło sytuacji międzynarodowej, to nie trudno będzie przyjść do wniosku, że się ono kształtuje zbyt dramatycznie w najbliższym sąsiedztwie Polski i Węgier, ażeby kontakt polsko-węgierski mógł być wydarzeniem politycznie obojętnym. Aczkolwiek do wiadomości publicznej nie doszło o czym rozmawiał p. min. Beck z p. min. Kanyą, logika jednak sytuacji wskazuje, iż zmiany jakie już zaszły w stosunku Austrii do Niemiec, oraz jakie zagrażać mogą stosunkowi Rumunii do Rosji, wymagają określenia dalszych zamierzeń tak ze strony Polski jak Węgier. Byłoby w najwyższym stopniu wskazane, lecz niestety nie jest zbyt prawdopodobne, ażeby były to zamiary przeciwdziałające niekorzystnym dla Polski a niebezpiecznym także i dla Węgier przesunięciem w układzie sąsiadujących z nami sił. Na to wszakże Węgry zbyt słabe zewnętrznie, Polska zaś nie dość zdynamizowana wewnętrznie.

Wydaje się natomiast bliskim prawdy przypuszczenie, że odwiedziny regenta Węgier w Warszawie nastąpiły nie bez aprobaty Włoch. Geopolityka wskazuje, że w razie uzależnienia Austrii i Czech od Niemiec, oraz osłabienia Rumunii wobec Rosji, byłaby dla Polski i Węgier pożądana taka przynajmniej kompensata, jaką by dla nich obu stanowić mogła wspólna granica Karpacka. Wymagałoby to powrotu, w tej lub innej formie, Słowaczyny pod berło węgierskie a godziłoby się także z powrotem czeskiego Cieszyzna do Polski. W szerszym rozwinięciu grupa państw złożona z Polski, Węgier, Jugosławii, Rumunii i Włoch nadawałaby się jako pewnego rodzaju wewnętrzna cytadela, czy druga linia obronna ich wspólnie zagrożonej, od wschodu i zachodu, niepodległości. Po utracie wysuniętych wersalskich redut w Austrii, Czechosłowacji i Besarabii, nie pozostawałoby tym państwom nic innego

jak zewrzeć się między sobą jak najściślej w celu osłony odwrotu od planu Hodży na uprzednio przygotowane pozycje dośrodkowe. Zdaje się, że właśnie w ich przygotowaniu leży sens polityczny wizyty węgierskiej w Warszawie i zapowiedzianej wizyty p. Becka w Rzymie.

Nie są to horoskopy różowe. Nie jest to polityka, której by można zarzucić nadmiar heroicznego maksymalizmu. Wręcz przeciwnie. Mimikry do procesów rozbiorowych w obrębie wersalskiego środkowego wschodu stanowi szlak niebudzący najmniejszej wątpliwości co do tego dokąd on nieuchronnie poprowadzić musi. Ale zarazem jest to szlak jedynie dostępny dla Polski zdystansowanej w potęgę gospodarczej i w wyścigu zbrojeniowym przez mocarstwa rozbiorowe. Czas jest tak tragicznie groźny, że nawet najpotężniejsi wyężdżają wszystkie siły i nie cofają się przed ciężkimi wewnętrznymi wstrząsami, byle wydobyć z siebie *maximum* energii zdolnej sprostać niebezpieczeństwu. Polska, która się wewnętrznie podciąga w tempie obliczonym na dwadzieścia lat, pozwala się unosić, *voque la galère!* — falom koniunktur, tęsknie wygląda kto z obcych i czy w porę, wyciągnię ją z wielorakiej niemocy. Taka Polska może na zewnątrz tylko chylić głowę przed *fatum*, a wobec zuchwałych ofensyw organizować jedynie racjonalne odwroty.

A jednak... Wszakże naokół coraz liczniej gromadzą się precedensy i wzory dynamizacji *in extremis* o wręcz przewrotnym napięciu. Nawet pierwotniejsza od Polski Rumunia zdobyła się na nową konstytucję o korporacjonistycznej fasadzie. Czyż więc mimo politycznie ascetycznej „ambicji ostatniego miejsca”, którą Polska dotąd zdawała się ujawniać, nie powstanie i dla nas pokusa, żeby jednak coś „nowoczesnego” w tym rodzaju spapuzić? Chyba tak. Tylko że niestety przepisać od mądrzejszych, pójść w ślad za odważniejszymi w tym wypadku nie wystarczy. Żaden z nich nie znajduje się na takim dnie nędzy, jak to od którego „odbija” pracowicie obecnie Polska. Z takich miełn może wyprowadzić naród tylko wielki poryw heroiczny poprzez wielki, przodowniczy akt społecznie twórczy.

Andrzej Prawdź.

Warszawa 25. II. 1938.

Do walki z klęską społeczną.

Walka z każdą klęską społeczną należy do szczególnie trudnych. Klęska ta bowiem, właśnie dlatego że jest „społeczna”, wciska się wszędzie i wyrządza dotkliwe szkody, jest zaś trudna do opanowania, gdyż wiąże się ze splotem różnorodnych przyczyn, które nawet wyśledzić jest nie łatwo, a tym bardziej dosię-

gnąć. W dziedzinie zdrowotnej dość wskazać, jako na przykład, na zagadnienie gruźlicy, które w konkretnych naszych warunkach jest na dłuższy jeszcze okres czasu wprost nierozwiązalne. A jeśli do przyczyn takiej klęski należą również czynniki natury moralnej, wówczas sprawa komplikuje się tym więcej. Nie tylko bowiem czynniki te usuwają się skrzętnie spod kontroli obserwatora i sankcji prawa, ale, co szczególnie pragniemy tu podkreślić, trudno jest znaleźć ochotników do zajęcia się tymi zagadnieniami, od pracy uchylają się nawet powołani.

Zaznaczmy jednak, jest to bowiem znamienne w obecnym wypadku, uchylanie się powyższe nie pochodzi najczęściej z lenistwa lub niechęci do pracy społecznej. Działają tu zazwyczaj inne momenty, natury subiektywnej, związane z panującymi pojęciami obyczajowymi, które pod kątem poszanowania siebie i drugich każą unikać wszelkich bardziej drażliwych tematów. „Nie wypada” ich poruszać, to są rzeczy zbyt „niewłaściwe, kompromitujące”, „szanujący się człowiek” powinien się trzymać od nich z daleka; w imię konwenansu, niemal w imię cnoty głosi się abstynencję od tego rodzaju pracy. Cóż dziwnego, że przy takich przekonaniach aktualne dziś w całym świecie cywilizowanym potrójne zagadnienie: prostytutki, handlu kobietami i chorób wenerycznych, znajduje zaledwie garstkę ludzi, którzy się nim bliżej interesują i udzielają czynnego poparcia. Ogół trzyma się z dala od tych spraw, nie porusza ich, nie czyta, nie pisze o nich, nie bierze udziału w akcji.

A jednak dlaczego? — Kilka do kilkunastu procent prostitutek, to istoty dziedzicznie obciążone i umysłowo niedorozwinięte; ogromna część pozostałych, to ofiary nędzy i nadużycia. Zasługują więc na litość i zajęcie się nimi; odmówić im tego, znaczy działać nie tylko nieszlachetnie, ale nie po chrześcijańsku, nie po ludzku. Ofiarami handlu żywym towarem padają przeważnie (u nas przynajmniej) dziewczęta uczciwe, uwiedzione przez niegodziwych handlarzy, które nie przeczuwały nawet, w jak straszne dostają się siła. Powinno się więc ratować je i przez nieubłaganą walkę z handlem kobietami ratować inne od tego okropnego losu. A wreszcie choroby weneryczne, jedne z najstraszniejszych, nawiedzają w niektórych krajach do 10% ludności i dosięgają nie tylko złych, ale i niewinnych; są zakaźne i każdy, bez najmniejszej winy własnej, może im ulec lub odziedziczyć je i zostać unieszczęśliwiony, nieraz na całe życie.

Kto to rozważy, a jeszcze bardziej kto wniknie w szczegóły i pożałowania godny los ludzi, którzy padli ofiarą występku lub nadużycia, ten uzna bez najmniejszej wątpliwości, że wszyscy ludzie dobrej woli, przede wszystkim katolicy, powinni zainteresować się tymi zagadnieniami i pomagać w ratowaniu tych nieszczęsnych, na których może niedawno rzucali kamieniem. Przecież im większe nieszczęście, im bardziej ponura tragedia, tym właściwsze pole dla

czynnej miłości bliźniego i tym samym Boga. Niestety ta prosta prawda, płynąca z tak niezbitą konsekwencją z podstawowych założeń przyrodzonej i chrześcijańskiej etyki, spotyka się z ciągłym niezrozumieniem wśród szerokich sfer inteligencji.

Nie mamy zamiaru wchodzić tu w szczegóły wspomnianych trzech klęsk społecznych, pisaliśmy o nich już dawniej. Pragniemy jedynie zwrócić uwagę na nie z okazji świeżo wydanej książki pt. *Nierząd jako choroba społeczna*,¹⁾ w której dr Józef Macko, naczelnik wojewódzkiego Wydziału Opieki Społecznej w Krakowie, omawia specjalnie powyższe zagadnienia. Radzimy każdemu, kogo rażą takie sprawy, by przeczytał powyższą książkę. Przekona się, jak można o tych, rzeczywiście drażliwych problemach, pisać i mówić z pominięciem wszystkiego, co razi, tak że po zapoznaniu się z treścią dwustu kilkudziesięciu obszernych stron nie tylko nie uczuje się urażony niewłaściwością przedmiotu, ale złoży książkę z głębokim współczuciem dla nieszczęśliwych ofiar i z mocnym przekonaniem, że pracę nad ich ratowaniem powinien wysoko cenić, owszem sam według możliwości popierać. Chrześcijańska zasada, że należy nienawidzić zła, a litować się nad błędzącymi, stanie jasno przed jego oczyma. Walka wypowiedziana tu jest tylko zbrodni i chorobie.

Autor traktuje trzy wspomniane zagadnienia łącznie, stanowią one bowiem pewną zwartą całość, tak blisko zazębiają się wzajemnie o siebie. Prostytucja, czyli nierząd uprawiany dla zysku, dała początek handlowi żywym towarem; handel zaś ten, dla podtrzymania swego bytu, popiera prostytucję. Choroby wreszcie weneryczne, jakkolwiek szerzą się różnymi drogami, znajdują jednak szczególnie sprzyjające warunki zakażenia w prostytucji, tak że zniesienie tejże byłoby ogromnym zahamowaniem zarazy. Stąd też ustawodawstwo traktuje zazwyczaj te sprawy równocześnie.

Rozległy materiał, objęty pracą dra Macko, daleki jest naturalnie od wyczerpania, wystarcza jednak do zapoznania się z całokształtem zagadnienia, zarówno pod względem historycznym, jak zwłaszcza społecznym i prawniczym; dla interesujących się nim bliżej podaje zresztą autor obszerną literaturę. Szczególnie cenne informacje znajdujemy tu o walce z nierządem w poszczególnych krajach i na forum międzynarodowym dotychczasowy stan rzeczy w Polsce, oraz projekty ustaw na przyszłość, wniesione niedawno do Sejmu, zostały też dostatecznie uwzględnione.

Troska o społeczeństwo, jego zdrowie moralne i fizyczne, a zwłaszcza troska o kobietę, przebiega z całej książki. W zakre-

¹⁾ Dr Józef Macko: *Nierząd jako choroba społeczna*. Warszawa 1938, nakł. Polskiego Komitetu walki z handlem kobietami i dziećmi. Str. VIII+278.

sie walki z nierządem jest dr Macko zwolennikiem abolicjonizmu, tj. zniesienia reglamentacji prostytucji, tej hańby podwójnej moralności i wyzyskiwania człowieka. Rzadko spotyka się tak rzeczowe, a równocześnie tchnące głębokim odczuciem krzywdy kobiety argumenty, jak te, które autor zamieszcza w swym uzasadnieniu abolicjonizmu. Pracę jego polecamy dlatego każdemu, tym zwłaszcza, którzy, jak duchowieństwo i działacze społeczni, powołani są przede wszystkim do troski o dobro ogółu.

Dodajmy wreszcie, że tym, którzy czują nieprzewzciężony wstręt do tego rodzaju akcji i z jakiegokolwiek przyczyny nie chcą się wdawać w bezpośrednią walkę ze złym, książka dra Macko pokaże, iż mogą oddać dobrej sprawie dużą przysługę przez akcję pośrednią: wychowawczą i opiekuńczą nad młodzieżą i dorosłymi, przez troskę o podniesienie ogólnego poziomu moralnego i religijnego. Klęski społeczne, jak powiedzieliśmy na początku, mają bowiem nie tylko szeroki zasięg, ale też płyną z przelicznych i różnorodnych źródeł — to też i akcja lecznicza i zapobiegawcza, jeśli ma być skuteczna, nie może zacieśniać się do jednego rodzaju pracy, ani ograniczać tylko do dotkniętych już nie-szczęściem.

Ks. St. Podoleński T. J.

Errata do art. „O prymat na Pacyfiku”.

Str.	Wiersz od góry	J e s t :	P o w i n n o b y ć :
342	21	między całość	między sobą całości
350	16	i wschodnią	i zachodnią
352	37	przekracza tylko 1 0/0	nawet przekracza 10 0/0
353	27	3 0/0 jej handlu z Ameryką, a 2 0/0	30 0/0 jej handlu z Ameryką, a 20 0/0
353	28	pozostałe 5 0/0	pozostałe 50 0/0
358	28	i Wschód	i Zachód

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 4 marca 1938 r.

Spis rzeczy tomu 217.

Artykuły:

	Str.
J. Skaliński: Demokratyczne drzwi	3
H. J. Korybut-Woroniecki: Kwestia emerytalna w Polsce	15
Ks. St. Podoleński T. J.: Biała rasa w niebezpieczeństwie	32
Prof. dr Otto Forst Battaglia: Dzisiejsza Szwajcaria	42
Ks. J. Pawelski T. J.: Jubileusz Rodziewiczówny	63
Ks. Wł. Rejowicz T. J. „Prawda życia”, prof. Rozwadowskiego	73
St. Szczutowski: Burżuazja, proletariat i ustrój	137
Ks. Al. Kisiel T. J.: Na drodze do realizmu	154
Ks. prof. dr Wincenty Granat: Narodowość Chry-	
stusa i ghetto ławkowe	169
H. J. Korybut-Woroniecki: Bezbożnictwo sowieckie . .	186
Konstanty Symonolewicz: Wojna japońsko-chińska	199
Dr Maria Kastarska: „Prix Goncourt” 1937 r.	211
Prof. dr Otto Forst Battaglia: Przełom w Rumunii	222
Michał Sobański: Oddźwięk „Zygzaków” K. H. Rostwo-	
rowskiego w chrześcijańskiej duszy	281
Dr Wojciech Wasiutyński: Przemiany nowoczesnego	
państwa	284
St. Szczutowski: Na lewo zwrot!	291
Konstanty Symonolewicz: Panaszjizm i komunizm	
w Azji Wschodniej	310
Prof. dr Otto Forst Battaglia: Brązowanie Marysieńki	323
Roman Piotrowicz: O prymat na Pacyfiku	241
J. Skaliński: Socjaliści a komuniści	361

Przegląd piśmiennictwa.

Casimir Swietliński: La Conception sociologique de l'Oecuménicité dans la pensée religieuse russe contemporaine. (Ks. Jan Urban T. J.)	93
B. H. Merkelbach O. P.: Summa Theologiae Moralis (Ks. E. Elter T. J.)	96

	Str.
S. Stendig: Materializm a poznanie (Ks. Br. Wójcik T. J.)	97
Grzegorz Burzyński: Takt pedagogiczny w wychowaniu współczesnego człowieka (Ks. St. Podoleński T. J.)	98
Marceli Handelsman: Ukraińska polityka ks. Adama Czartoryskiego przed wojną krymską (Ks. J. Urban T. J.)	100
Przegląd Socjologiczny. Kwartalnik Polskiego Instytutu Socjologicznego, wydany z udziałem seminariów i zakładów socjologicznych wyższych uczelni w Polsce z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej (Dr Andrzej Niesiołowski)	101
Ks. dr Leon Skibniewski: Psychologiczna diagnoza powołania kapłańskiego (Ks. Al. Kisiel T. J.)	105
Yvonne de la Vergne: Madame Elisabeth de France (Ks. Bronisław Wójcik T. J.)	106
W. I. Gutowski: Źródło wody żywej (Ks. Br. Wójcik T. J.)	107
Peter Lippert S. J.: Einsam und Gemeinsam (Ks. Br. Wójcik T. J.)	107
Dr Josef Weingartner: Der Christ im Alltag (S. M. R.)	108
Zygmunt Nowakowski: Gałązka rozmarynu. — Jo van Ammers-Küller: Patrioci. — Andrzej Strug: Miliardy. — Tatiana Czernawina: Zbiegowie z G. P. U. — Karol Koźmiński: Kamienie na szaniec. — Józef Morton: Spowiedź. — Jerzy Marlicz: Bezdroża. — Czesław Ksawery Jankowski: Sieć z czerwonej przędzy. — Helena Zakrzewska: Pojednanie. — Stefan Thermeson: Przygód Marcelianka Majster-Klepki historii 6. — Hugh Lofting: Cyrk doktora Dolittle (Zofia Starowieyska-Morstinowa)	236
Gen. Ludwik v. Eimannsberger: Wojna pancerna. — Doradca żołnierza (Ks. L. Nowak T. J.)	246
Lutman Tadeusz: Studia nad dziejami handlu Brodów w latach 1773—1880 (Dr Marian Tyrowicz)	248
Dr Mieczysław Orłowicz: Ilustrowany Przewodnik po Warszawie (Ks. E. Elter T. J.)	249
Tacyt: Dialog o mówcach (Ks. Br. Wójcik T. J.)	250
Dawna sztuka (Ks. St. Bednarski T. J.)	251
R. Leszczyński: Judyta (Ks. J. Mikuła T. J.)	252
Fr. Schnabel: Deutsche Geschichte im Neuzehnten Jahrhundert (Prof. O. Forst Battaglia)	253
St. Dunin-Borkowski S. J.: Spinoza (A. K.)	256
Adam Żółtowski: Descartes (Ks. Al. Kisiel T. J.)	375
Paul Siwek S. J.: Spinoza et le panthéisme religieux (Ks. prof. Piotr Chojnacki)	377
Lucien Biernacki: La doctrine de l'Église chez le Cardinal Hosius (Ks. Jan Pastuszka)	379
Ks. dr Józef Smoczyński: Eklezjologia Stanisława Hozjusza (Ks. Jan. Pastuszka)	379
Św. Katarzyna Genueńska: Traktat o Czystcu (S. M. R.)	382
Podręcznik organizacyjny oddziału Katolickiego Stowarzyszenia Mężów (Ks. Jan Pawelski T. J.)	384

	Str.
Henryk J. Korybut-Woroniecki: Z czasów Wielkiej Wojny — Stowarzyszenie „La Pologne et la Guerre” (K. Kossobudzki)	385
Ks. Kamil Kantak: Franciszkanie polscy (Ks. C. Sejbuk T. J.)	387

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Styczeń: Problem „krwawego kwadransa” (Ks. Edward Kosibowicz T. J.)	112
Luty: Panazjatyzm i panarabizm. — Religijny problem Wschodu (Ks. Edward Kosibowicz T. J.)	259
Marzec: Kanonizacja błog. A. Boboli. — Sprawy szkolne w Senacie. — Zwycięstwo Z. N. P. — Atak sen. Kwaśniewskiego (Ks. Edward Kosibowicz T. J.)	391

Sprawy Państwa:

Styczeń: Odprężenie jeszcze trwa. — Halifax i Hitler. — <i>Tour d'amitié</i> min. Delbosa. — Anglia, Włochy, Liga i Polska. — Na frontach rzek Niebieskiej i Żółtej. — Wulkany znów dymią (Andrzej Prawdzic)	118
Luty: Fale z nad Pacyfiku. — Rozdźwięk włosko-niemiecki. — Włochy, Polska i Dunaj. — Samodzielność środkowego Wschodu. — Urzędowe sprawozdanie dyplomacji polskiej. — Niepokój z nad Pacyfiku (Andrzej Prawdzic)	268
Marzec: „Gwiazdka” pokoju w zwałach chmur. — Powrót Rosji do Europy. — Cztery przewroty w jednym miesiącu. — Polska, Węgry i perspektywy rozbiorowe (Andrzej Prawdzic)	406
Zażydzenie Warszawy w świetle statystyki (Ks. Marian Pirożyński C. S. S. R.)	126
Książka w Polsce (E. S.)	134
Antymasońskie referendum w Szwajcarii (Ks. Wacław Twor- kowski)	278
Do walki z klęską społeczną (Ks. St. Podoleński T. J.)	418